



R.J.  
ELLORY

Cicha wiara  
w anioły

PRZESZŁOŚĆ JAK DUCH POJAWIA SIĘ ZA PLECAMI,  
I CAŁY CZAS TRZYMA W SZACHU

Wydawnictwo Dolnośląskie

**RJ. ELLORY**

# **Cicha wiara w anioły**



## RJ. ELLORY

Urodził się w 1965 r. w Birmingham. Osierocony w wieku 7 lat, wychowywał się w szkole z internatem. Zawodowo zajmował się grafiką, fotografią, muzyką i literaturą. W ciągu 6 lat napisał 22 powieści, ale długo żadne wydawnictwo nie chciało ich wydać, głównie dlatego że autor książek jest Anglikiem, a akcja rozgrywa się w USA. Przełom nastąpił w 2003 roku wraz z publikacją pierwszej powieści Cma. Przełożona na niemiecki, niderlandzki, włoski i szwedzki okazała się sukcesem, podobnie jak 6 kolejnych. Cicha wiara w anioły, sprzedana do 22 krajów, została uznana za najlepszy kryminał roku 2009 przez nowojorski „The Strand Magazine”.

Pamięci Trumana Capote'a (1924-1984)

*To, co zapamiętaliśmy w dzieciństwie, zostało przez nas zapamiętane na zawsze; to wciąż te same duchy - utrwalone, zapisane, wdrukowane i cały czas widoczne.*

Cynthia Ozick

## PROLOG

Odgłos wystrzału niczym trzask kości.

Nowy Jork: niekończący się hałas, ostry zgrzyt metalu i dudniące kroki, nieustanne i niesłabnące; stacje metra i pucybuci, zakorkowane skrzyżowania i żółte taksówki; kłótnie kochanków; historia, namiętność, nadzieje i pragnienia.

Nowy Jork pochłonął huk wystrzału bez najmniejszego trudu, zupełnie jakby był on niewiele głośniejszy od pojedynczego uderzenia samotnego serca.

Nikt go nie usłyszał pośród tego bogactwa życia.

Być może z powodu wszechobecnego hałasu.

Być może dlatego, że nikt nie nasłuchiwał.

Nawet kurz, widoczny w świetle księżyca wpadającym przez hotelowe okno na trzecim piętrze, poruszony nagle przez siłę wystrzału, po chwili podjął na nowo swą nieustającą podróż.

Nikt nie zareagował, ponieważ był to Nowy Jork - miasto, gdzie takich samotnych i nieodkrytych ofiar jest mnóstwo. Ofiar, o których szybko się zapomina.

Miasto dalej pilnowało swoich spraw. Niedługo rozpocznie się nowy dzień. Taka błahostka jak czyjaś śmierć nie może opóźnić jego nadejścia.

W końcu tym właśnie jest życie; niczym więcej i niczym mniej.

Jestem banitą.

Mam chwilę, by spojrzeć na swoje życie i spróbować zrozumieć, czym było. Pośród szaleństwa, które napotkałem, pośród pędu, huku i okrucieństwa konfliktów ludzkości, których stałem się świadkiem, zdarzały się chwile miłości, namiętności i nadziei. Nadziei na coś lepszego. Jednak stanąłem twarzą w twarz z pewnymi obrazami i teraz mam je przed oczami, dokądkolwiek bym się nie udał. Byłem niczym bohater Buszującego w zbożu Salingera, stojący na krawędzi pola sięgającego do ramion żyta, słyszący głosy dzieci bawiących się wśród falujących i kołyszących się zbóż, ich śmiech, odgłosy ich zabawy - ich dzieciństwo - i wypatrujący, kiedy pojawią się zbyt blisko urwiska. Wiedziałem, że jeśli dotrą do przepaści, nie będzie czasu, by je złapać, i spadną. Patrzyłem, czekałem, nasłuchiwałem i z całych sił próbowałem być na miejscu, zanim zlecą w tę przepaść. Gdy już zlecą, nie będzie sposobu, by je uratować. Zginą. Zginą, ale nie zostaną zapomniane.

Tym właśnie było moje życie.

Życie rozwijające się jak nić, nie wiadomo, jak mocna, i nie wiadomo, jakiej długości; czy zerwie się raptownie, czy będzie biec bez końca, wiążąc ze sobą więcej istnień; w jednym

wypadku będzie słabe niczym nitka w szwie koszuli, w innym - mocne jak lina potrójnie spleciona i z supłami, w której każda nitka i włókno są zasmolowane i skręcone, by odeprzeć wodę, krew, pot i łzy; sznur tak gruby, że można by nim unieść ścianę stodoły, wyciągnąć dziecko z wezbranej rzeki, utrzymać klacz nawet wbrew jej woli, przywiązać człowieka do drzewa i ukarać go za jego winy, wciągnąć żagiel na maszt albo powiesić grzesznika.

Zycie, którego można się trzymać albo obserwować, jak wyślizguje się z rąk niczym żyłka wędkę; zawsze jednak życie.

Otrzymawszy jedno, mamy ochotę na dwa, trzy lub więcej. Tak łatwo zapominamy, że nawet to jedno, które otrzymaliśmy, przeżyliśmy głupio.

Czas przesuwa się jak żyłka wędkę, w którą wpatrujemy się z nadzieją, tygodnie przechodzą w miesiące, a te w lata; jednak mimo tego całego czasu wystarczy cień zwątpienia, a nagroda przepada.

Pamiętamy tylko wyjątkowe chwile - rzadkie niczym supły i rozmieszczone nieregularnie jak wrony na linii telefonicznej. Nie chcemy ich zapomnieć, ponieważ często to wszystko, co nam pozostało.

Pamiętam je wszystkie, a nawet jeszcze więcej, i czasami zastanawiam się, czy niektóre nie są dziełem wyobraźni.

Tym właśnie było i zawsze będzie życie.

Teraz, gdy dotarło ono do ostatniego rozdziału, czuję, że nadszedł czas, by opowiedzieć o tym wszystkim, co się wydarzyło. Ponieważ tym właśnie byłem i zawsze będę - nikim więcej niż gawędziarzem, opowiadaczem historii, feśli ktoś chce orzec, kim jestem lub co zrobiłem, to podpowiadam, że właśnie nim.

Przynajmniej to jedno jest prawdą. To moje świadectwo lub też, jeśli wolicie, spowiedź.

Siedzę w ciszy. Czuję ciepło własnej krwi na rękach i zastanawiam się, jak długo jeszcze będę oddychać. Patrzę na trupa przed sobą i wiem, że na swój sposób sprawiedliwość zatriumfowała.

Przeniesiemy się teraz w czasie do samego początku. Chodźcie ze mną, jeśli chcecie. To wszystko, o co mogę prosić. Chociaż popełniłem wiele błędów, wierzę, że zrobiłem również wystarczająco dużo dobrego, by zasłużyć na chwilę waszej uwagi.

Wciągnijcie powietrze. Przytrzymajcie je w płucach. Wypuście. Trzeba zachować ciszę. Musimy ich słyszeć, kiedy w końcu po mnie przyjdą.

## I

Plotki, pogłoski, bajania. Obojętnie, czy opadło ono na ziemię, czy wzbiło się w powietrze, plotki głoszą, że białe pióro oznacza pojawienie się anioła.

Zobaczyłem je w środę rano, 12 lipca 1939 roku; było długie i cienkie, nie przypominało żadnego z piór, jakie widziałem do tej pory. Wypadło zza drzwi, kiedy je otworzyłem - zupełnie jakby czekało cierpliwie, aż będzie mogło to zrobić - i powiew z korytarza poniósł je do mojego pokoju. Uniosłem je, po czym trzymając ostrożnie, pokazałem mamie. Powiedziała, że musiało wylecieć z poduszki. Myślałem o tym przez jakiś czas i w końcu doszedłem do wniosku, że poduszki są wypełnione anielskim pierzem. To właśnie z tego biorą się sny - wspomnienia aniołów sączą się nam do głów, kiedy śpimy. Odtąd zacząłem myśleć o różnych poważnych sprawach. Na przykład o Bogu. Albo o Jezusie, który umarł na krzyżu za nasze grzechy i o którym mama mi tak często mówiła. Nie robiło to na mnie wrażenia, nigdy nie byłem zbyt religijny. O wiele później, po latach, zrozumiałem, czym w istocie jest hipokryzja. Uświadomiłem sobie, że moje dzieciństwo było pełne osób, które mówiły jedno, a robiły drugie. Nawet nasz pastor Benedict Rousseau był hipokrytą, szarlatanem, oszustem: jedną rękę trzymał na

Biblii, a drugą pod plisami spódnicy swojej siostry. Jako dziecko nie rozumiałem tego. Dzieci, mimo całej swojej spostrzegawczości, pozostają ślepe na wiele spraw. Widzą wszystko (bez dwóch zdań), ale dostosowują obrazy do swojej wrażliwości. Tak samo było z tym piórem, które nie było niczym więcej, niż było, ale w pewnym sensie stanowiło znak, zapowiedź. Znak, że przyszedł mój anioł. Wierzyłem w to, wierzyłem w to z całego serca, i dlatego wydarzenia tego dnia wydawały mi się jeszcze bardziej dziwne, niż w istocie były. A musicie wiedzieć, że tego dnia wszystko się zmieniło.

Tego dnia przyszła Śmierć. Solidna, metodyczna, obojętna na mody i nieokazująca nikomu względów; podchodząca bez szacunku do Paschy, Bożego Narodzenia, wszelkich obrządków czy tradycji. Przyszła Śmierć - zimna i nieczuła, poborca podatku od życia, wystawiająca rachunek za oddychanie. A ja stałem na podwórku, na suchej ziemi, otoczony przez gwiazdnice, floksy i golterie. Musiała nadejść High Road, przechodząc pomiędzy polem mojego taty a ziemią Krugerów. Przybyła piechotą, ponieważ nie zauważyłem później śladów końskich kopyt ani opon roweru. Wprawdzie mogła też nadlecieć, ale z jakiegoś powodu uważałem, że przyszła.

Przyszła, żeby zabrać mojego ojca.

Mój ojciec nazywał się Earl Theodore Vaughan. Urodził się 27 września 1901 roku w

Augusta Falls, w Georgii, kiedy prezydentem był Roosevelt, po którym odziedziczył drugie imię. Biorąc przykład ze swoich rodziców, w 1927 roku nadał mi imię po Coolidge'u. I oto ja, Joseph Calvin Vaughan, syn swego ojca, stałem na suchej ziemi, otoczony przez gwiazdnice, floksy i golterie, kiedy śmierć nadeszła latem 1939 roku. Później, po pogrzebie, zawiązaliśmy bawełnianą koszulę ojca na gałęzi sasafrasu i podpaliliśmy ją. Patrzyliśmy, jak spala się na popiół. Dym symbolizował jego duszę wzlatającą z tego padołu łez do wyższego, sprawiedliwszego i bardziej godziwego świata. Potem moja mama wzięła mnie na bok i spoglądając na mnie podkrążonymi i spuchniętymi oczami, oznajmiła, że ojciec zmarł na gorączkę reumatyczną.

- Ta gorączka go zjadła - powiedziała łamiącym się głosem. - Zaczęła się zimą 1929. Byłeś wtedy jeszcze mały. Twój tata cierpiał z powodu flegmy i śliny, których ilości wystarczyłyby do nawodnienia całego pola. Kiedy gorączka dociera do serca, słabnie ono i nigdy w pełni nie zdrowieje, i jest tylko kwestią czasu, miesiąca albo dłużej, kiedy człowiek umrze. Jednak ojciec nie zmarł tak szybko, Josephie. Bóg uznał za stosowne dać mu jeszcze kilka lat życia; może Pan doszedł do wniosku, że powinien poczekać do czasu, aż staniesz się duży. - Sięgnęła do kieszeni swojego fartucha i wyjęła z niej szarą ścierkę. Wytarła powieki; proszek antymonowy rozsmarował się po jej policzkach. Miała minę pięściarza, który przegrał walkę w sobotnią noc. - Gorączka trawiła jego serce - wyszeptała - i mieliśmy szczęście, że udało nam się utrzymać go przy życiu tyle lat.

Ja jednak wiedziałem, że to nie choroba go zabrała. Jego zabrała Śmierć, która przyszła tu High Road, a potem wróciła tą samą drogą, pozostawiając za sobą tylko ślady stóp na ziemi przy płocie.

Później moje wspomnienia dotyczące ojca staną się fragmentaryczne i pełne żalu; później będę myślał o nim jako o kimś w rodzaju Juana Gallardo, odważnym niczym bohater Krwi na piasku, choć nie tak niestałym i nie tak przystojnym jak Valentino.

Został pochowany w dużej, prostej trumnie. Farmerzy z sąsiedztwa, wśród nich Niemiec Kruger, zawieźli jego ciało na cmentarz ciężarówką z platformą. Później zebrali się, ponurzy i wyelegantowani, w naszej kuchni, pośród zapachu cebuli smażonej na tłuszczu z kurczaka, aromatu ciasta drożdżowego i wody lawendowej trzymanej w ceramicznym dzbanie stojącym przy zlewie. Rozmawiali o moim ojcu, dzieląc się wspomnieniami, anegdotkami i opowiadając długie historie. Każdy z nich upiększał i podkolorowywał przy tym fakty.

Moja mama siedziała milcząca i czujna, z wyrazem twarzy pełnym wymuszonej prostoty, jej pomalowane proszkiem antymonowym oczy były głębsze niż studnie,



rozszerzone źrenice - czarne jak smoła.

- Pewnego razu przyglądałem się całą noc, jak zajmował się chorą kobyłą - powiedział Kruger. - Pozostał przy niej aż do wschodu słońca, karmiąc staruszkę ziołami mającymi zatrzymać kolkę.

- Opowiem wam o Earlu Vaughanie i Kempnerze Tzancku - zagaił Reilly Hawkins. Pochylił się na krześle; jego czerwone i stwardniałe ręce były niczym kiście suszonych owoców, wzrok miał rozbiegany, jakby wiecznie szukał czegoś, co może mu się wymknąć. Pole Reilly'ego Hawkinsa leżało na południe od naszego, mieszkał tutaj na długo przed naszym przyjazdem. Już pierwszego dnia powitał nas jak starych znajomych, wznosił wraz z moim ojcem stodołę i nie wziął za swój trud nic poza dzbanem zimnego mleka. Życie odcisnęło na nim swe piętno, twarz miał usianą zmarszczkami, a białka oczu podobne do macicy perłowej. To były oczy, które zostały przemyte łzami po utraconych przyjaciółach. A także rodzinie, ponieważ wszyscy jego krewni dawno odeszli i byli bliscy zapomnienia; niektórzy zginęli na wojnie, w wyniku pożaru albo powodzi, inni w głupich wypadkach. Ironią losu wydaje się fakt, że nasze pochopne decyzje - same z siebie niebędące niczym więcej niż próbami potwierdzenia i ubarwienia monotonnej egzystencji - tak często doprowadzają do śmierci. Tak było w przypadku młodszego brata Reilly'ego, Levina, który w wieku zaledwie dziewiętnastu lat wybrał się z nim na festyn. Bracia poznali tam podchmielonego i gadatliwego pilota akrobatę. Latał on samolotem „Stearman” albo „Curtiss Jenny”, którym opryskiwał pola latem; bez strachu przelatywał tuż nad koronami drzew i dachami stodół, wykonując bezsensowne i aroganckie sztuczki. Reilly zaczął namawiać Levina do odbycia lotu. Bracia toczyli rozmowę, jakby to było pas de deux, precyzyjny two step, tango wyzwania i prowokacji, a każde słowo - krokiem, uniesioną stopą, zgięciem pleców, agresywnym wejściem ramieniem. Levin nie miał ochoty na ten lot, twierdził, że jego głowa i serce są stworzone do prowadzenia obserwacji z poziomu ziemi, jednak Reilly nalegał, podpuszczał go - jak to bracia mają w zwyczaju - chociaż wiedział, że jest to niebezpieczne. Mimo że od pilota czuć było alkohol, a na dworze się ściemniało, Levin w końcu ustąpił, mając nadzieję, że z Bożą pomocą wszystko się uda. Pilot, który okazał się o wiele odważniejszy niż zwinny, spróbował wykonać ślizg na ogon. Silnik zgasł na samym szczycie tej figury. Zapadła długa cisza, rozległ się szum wiatru, a potem dźwięk, jakby ciągnik uderzył w mur. Obaj zginęli. Pilot i Levin Hawkins wyglądali jak zwęglone zwierzęta, które zginęły w wypadku samochodowym. Smuga dymu miała blisko sto metrów i unosiła się aż do rana. Pomocnik pilota, chłopak mający jakieś szesnaście lub siedemnaście lat, błąkał się godzinami z bezmyślnym wyrazem twarzy. W końcu zniknął.

Wkrótce potem odeszli rodzice Reilly'ego Hawkinsa. Oboje umarli z rozpaczy po śmierci jego brata. Próbował dalej prowadzić ich małą farmę, ale nawet świnie wydawały się patrzeć na niego z ukosa, jakby dobrze wiedziały, że jest winny. Reilly nie doczekał się nawet słowa potępienia, jednak stary Hawkins, żując bezustannie swój tytoń „Heidsieck”, patrzył na starszego syna, jakby miał on dług do spłacenia, i czekał, aż go ureguluje. Jego oczy były rozbiegane niczym oczy człowieka, który właśnie rzucił palenie i zawitał do sklepu z tytoniem. Nawet jedno słowo potępienia nie zostało wypowiedziane, ale zawsze tak jakby wisiało w powietrzu.

Reilly Hawkins nigdy się nie ożenił. Niektórzy twierdzili, że dlatego, iż nie mógł mieć dzieci. Mnie jednak wydawało się, że Reilly nigdy się nie ożenił, ponieważ miał kiedyś złamane serce i bał się, że złamanie go po raz drugi przyniesie mu śmierć. Plotki głosiły bowiem, że chodził kiedyś z dziewczyną z hrabstwa Berrien, śliczną niczym laleczka. Po rozstaniu z nią postanowił już nigdy więcej nie ponosić ryzyka; zresztą, miał jeszcze inne cele w życiu. Poza tym w jego wypadku wchodził w grę wybór między jakąś gadatliwą dziewczyną z biednej rodziny, dziewczyną, która nosiła bawełniane sukienki z drukowanymi wzorami, robiła sobie skręty i piła prosto z butelki, a samotnością. Wydawało się, że wybrał to drugie, jednak nigdy o tym nie mówił wprost, a ja nigdy wprost nie pytałem. Taki był właśnie Reilly Hawkins. W tym czasie wiedziałem o nim bardzo mało i trudno było zgadnąć, jakie są jego zamiary czy cele, ponieważ sprawiał wrażenie człowieka, który robi to, co chce, a nie to, co podpowiada rozsądek.

- Z Earla był niezły bokser - powiedział Reilly tego dnia, dnia pogrzebu. Popatrzył na moją mamę. Nie poruszyła się, ale spojrzeniem wyraziła zgodę, by kontynuował. - Earl i Kempner pojechali za Race Pond, do Hickox w hrabstwie Brantley. Pojechali tam, żeby zobaczyć się z człowiekiem o nazwisku Einhorn, o ile dobrze pamiętam, człowiekiem o nazwisku Einhorn, który miał deresza na sprzedaż. Zatrzymali się po drodze na kielicha i kiedy odpoczywali, do środka wszedł jakiś chamski gość i zaczął wrzeszczeć jak potępieniec. Denerwujący był to chłop i wkurzył ich straszliwie. Earl zasugerował, żeby facet załatwiał swoje interesy na zewnątrz, najlepiej w lesie, gdzie nikt go nie usłyszy.

Reilly spojrzał raz jeszcze na mamę, a potem na mnie. Nie ruszałem się, chciałem bowiem usłyszeć, co zrobił mój ojciec, żeby uspokoić tego gościa w pobliżu Hickox w hrabstwie Brantley. Mama nie poruszyła ręką ani nie podniosła głosu i na twarzy Reilly'ego pojawił się uśmiech.

- Żeby nie przedłużyć: ten brutal próbował powalić Earla jednym ciosem. Earl odsunął się, a potem przyłożył facetowi tak mocno, że ten wyleciał przez drzwi i upadł na ziemię.

Wyszedł za nim, próbował przemówić mu do rozsądku, ale facet był w walecznym nastroju i żadne argumenty do niego nie trafiały. Kempner też wyszedł, akurat w chwili, gdy mężczyzna wstał i zaatakował Earla, trzymając w ręce jakąś deskę. Earl przypominał jednego z tych chińskich akrobatów z cyrku Barnym & Bailey, odskakiwał i tańczył dookoła niego, jego pięści były jak tłoki. Jeden z tych tłoków napotkał na swojej drodze nos mężczyzny i dało się słyszeć chrzęst łamanej kości. Krew buchnęła strumieniem, koszula gościa nią namokła, przyklął na ziemi i zawył jak zarzynana świnia. - Reilly Hawkins odchylił się do tyłu i uśmiechnął. - Słyszałem, że krew z nosa tamtego leciała tak długo, aż w końcu się wykrwawił...

- Reilly Hawkinsie - powiedziała moja mama - ta historia jest zmyślona od początku do końca i dobrze o tym wiesz.

Hawkins wyglądał na zmieszanego.

- Bez urazy, psze pani - powiedział i skinął głową z szacunkiem. - Nie chciałem denerwować pani w takim dniu.

- Jedynymi rzeczami, które mnie denerwują, są półprawdy, nieprawdy i jawne kłamstwa. Przyszedłeś tutaj, żeby towarzyszyć mojemu mężowi w ostatniej drodze, i byłabym wdzięczna, gdybyś powściągnął swój język, swoje maniery i był prawdomówny, szczególnie w obecności dziecka. - Popatrzyła na mnie. Siedziałem tam z wybałuszonymi oczami i chłonałem każde słowo, pragnąłem bowiem poznać jak najwięcej szczegółów związanych z życiem mojego ojca: człowieka, który prawym sierpowym rozkwaśił nos osiłkowi i sprawił, że wykrwawił się na śmierć.

Zawsze będę pamiętał pochówek mojego ojca. Ten dzień w miasteczku Augusta Falls, w hrabstwie Charlton, wśród relikwów wojny secesyjnej nad rzeką Okefenokee. Będę pamiętał ziemię, która była bardziej bagnem niż twardym gruntem; po prostu wciągała wszystko w siebie, wiecznie głodna, nigdy nienasycona. Ta napęczniała ziemia pochłonęła również mojego ojca, a ja na to patrzyłem; miałem zaledwie gościa w pobliżu Hickox w hrabstwie Brantley. Mama nie poruszyła ręką ani nie podniosła głosu i na twarzy Reilly'ego pojawił się uśmiech.

- Żeby nie przedłużać: ten brutal próbował powalić Earla jednym ciosem. Earl odsunął się, a potem przyłożył facetowi tak mocno, że ten wyleciał przez drzwi i upadł na ziemię. Wyszedł za nim, próbował przemówić mu do rozsądku, ale facet był w walecznym nastroju i żadne argumenty do niego nie trafiały. Kempner też wyszedł, akurat w chwili, gdy mężczyzna wstał i zaatakował Earla, trzymając w ręce jakąś deskę. Earl przypominał jednego z tych chińskich akrobatów z cyrku Barnym & Bailey, odskakiwał i tańczył dookoła niego, jego

pięści były jak tłoki. Jeden z tych tłoków napotkał na swojej drodze nos mężczyzny i dało się słyszeć chrzęst łamanej kości. Krew buchnęła strumieniem, koszula gościa nią namokła, przykląkł na ziemi i zawył jak zarzynana świnia. - Reilly Hawkins odchylił się do tyłu i uśmiechnął. - Słyszałem, że krew z nosa tamtego leciała tak długo, aż w końcu się wykrwawił...

- Reilly Hawkinsie - powiedziała moja mama - ta historia jest zmyślona od początku do końca i dobrze o tym wiesz.

Hawkins wyglądał na zmieszanego.

- Bez urazy, psze pani - powiedział i skinął głową z szacunkiem. - Nie chciałem denerwować pani w takim dniu.

- Jedynymi rzeczami, które mnie denerwują, są półprawdy, nieprawdy i jawne kłamstwa. Przyszedłeś tutaj, żeby towarzyszyć mojemu mężowi w ostatniej drodze, i byłabym wdzięczna, gdybyś powściągnął swój język, swoje maniery i był prawdomówny, szczególnie w obecności dziecka. - Popatrzyła na mnie. Siedziałem tam z wybałuszonymi oczami i chłonałem każde słowo, pragnąłem bowiem poznać jak najwięcej szczegółów związanych z życiem mojego ojca: człowieka, który prawym sierpowym rozkwaśił nos osiłkowi i sprawił, że wykrwawił się na śmierć.

Zawsze będę pamiętał pochówek mojego ojca. Ten dzień w miasteczku Augusta Falls, w hrabstwie Charlton, wśród reliktyw wojny secesyjnej nad rzeką Okefenokee. Będę pamiętał ziemię, która była bardziej bagnem niż twardym gruntem; po prostu wciągała wszystko w siebie, wiecznie głodna, nigdy nienasycona. Ta napęczniała ziemia pochłonęła również mojego ojca, a ja na to patrzyłem; miałem zaledwie jedenaście lat, on nie więcej niż trzydzieści siedem. Razem z matką staliśmy nad trumną z grupą niewykształconych i pełnych współczucia farmerów z czterech stron świata. Rękawy marynarek sięgały im do kłykci, a spod grubych flanelowych spodni wystawały sprane skarpety. Byli wieśniakami, raczej nieokrzesanymi i niewychowanymi, lecz silnymi, krzepkimi i szlachetnymi. Mama trzymała mnie za rękę trochę za mocno, ale nie mówiłem ani też nie cofnąłem dłoni. Byłem jej pierwszym i jedynym dzieckiem, ponieważ - jeśli opowieści o mnie były prawdziwe, a nie miałem powodu, by w ich prawdziwość wątpić - nie bardzo chciałem przyjść na świat i w trakcie porodu nastąpiły komplikacje, które umożliwiły późniejsze powiększenie rodziny.

- Zostaliśmy tylko ty i ja, Josephie - wyszeptła później. Ludzie już się rozeszli - Kruger i Reilly Hawkins, a także inni o znajomych twarzach, choć nieznanymi mi nazwiskami - i staliśmy obok siebie w drzwiach naszego domu, domu wzniesionego za pomocą rąk, drewna i potu. - Tylko ty i ja - powtórzyła, a potem weszliśmy do środka i zamknęliśmy drzwi

na noc.

Później, leżąc w łóżku i czekając na sen, który nie przychodził, myślałem o piórze. Może niektóre anioły dawały, a inne zabierały.

Gunther Kruger - człowiek, który stanie się bardziej widoczny w moim życiu w czasach, które dopiero nadejdą - powiedział mi, że człowiek powstał z ziemi i jeśli do niej nie wróci, zostaje zaburzona równowaga we wszechświecie. Reilly Hawkins twierdził z kolei, że Gunther jest Niemcem, a Niemcy nie umieją patrzeć z szerszej perspektywy. Jego zdaniem ludzie byli duszami.

- Duszami? - powtórzyłem. - Masz na myśli duchy?

Reilly uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, Josephie - wyszeptał. - Nie duchy... Raczej anioły.

- To mój tata został aniołem?

Przez chwilę nic nie mówił, przechylił tylko głowę z dziwnym błyskiem w oczach.

- Twój ojciec aniołem? - powiedział i uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakby mięsień napiął się z boku jego twarzy i nie mógł sobie z tym poradzić. - Może pewnego dnia? Podejrzewam, że musi się trochę postarać, ale tak... pewnego dnia kto wie, może faktycznie zostanie aniołem.

## II

Wzdłuż wybrzeża Georgii - Crooked River, Jekyll Island, Gray's Reef i Dover Bluff - drogi są bardziej mostami i groblami, które jedynie udają trakty, gdzieś skaczącymi po wodzie niczym kaczki puszczane przez dzieci; natknąć się tu można na podtopione wyspy, zatoki i cieśniny, słone błota i odnogi rzek, drzewa porośnięte mchem i kłody związane razem, by przeprowadzać wędrowców przez najgłębsze bagna, podczas gdy równiny na południowym wschodzie wznoszą się stopniowo aż do Appalachów. Mieszkańcy Georgii uprawiali ryż (przynajmniej dopóki nie pojawił się Eli Whitney z odziarniarką bawełny), robotnicy rolni zbierali orzechy ziemne, a osadnicy nacinali sosny, żeby otrzymać żywicę potrzebną do produkcji terpentyny. Sto tysięcy kilometrów kwadratowych historii; historii, której się uczyłem, historii, w którą wierzyłem.

Krzesło z pulpitem, jednoizbowa szkoła; nauczycielka nazywała się Alexandra Webber. Twarz szeroka niczym preria, oczy chabrowe; prosta i nieskomplikowana. Jej włosy były lniane i zawsze pachniała lukrecją i miętą, a także trochę imbirem albo sarsaparillą. Nie miała dla nas litości, nie spodziewała się też jej w zamian, a jej głębokie pokłady cierpliwości przeistaczały się w równie głęboki gniew, jeśli czuła, że umyślnie jej nie posłuchałeś.

Siedziałem obok Alice Ruth Van Hörne - dziwnej, miłej dziewczynki, która z niewyjaśnionych powodów budziła we mnie instynkt opiekuńczy. Było coś prostego i poruszającego w sposobie, w jaki kręciła równo obciętą grzywką, kiedy się koncentrowała, chwilami patrząc na mnie, jakbym znał odpowiedź, na którą ona nie wpadła. Być może to właśnie z powodu okazywanego mi zainteresowania zawsze boleśnie odczuwałem jej nieobecność. Miałem jedenaście lat, niedługo miałem skończyć dwanaście, i zastanawiałem się nad rzeczami, którymi nie mogłem się podzielić z innymi. Alice reprezentowała coś, czego w pełni nie rozumiałem, coś, co wydawało mi się zbyt trudne do wyjaśnienia. Przez cztery lata, kiedy chodziłem do szkoły, ona też tam była, przede mną, obok mnie, przez jeden semestr tuż za mną. Kiedy patrzyłem na nią, uśmiechała się, czasami rumieniała, a potem odwracała wzrok tylko po to, by odczekać chwilę i znów na mnie spojrzeć. Uważałem, że jej uczucie do mnie jest czymś nieskomplikowanym i czystym, i że zapewne w przyszłości dla nas obojga będzie tkliwym wspomnieniem z dzieciństwa.

Co innego panna Webber; ta reprezentowała coś zgoła odmiennego. Kochałem pannę Alexandrę Webber. Moje uczucie było tak czyste i proste jak jej twarz. Panna Webber prowadziła zajęcia według Robert's Rules of Order i jej głos, jej milczenie, wszystko, czym była, i wszystko, czym - jak sobie wyobrażałem - zawsze będzie, jawiło się balsamem i

panaceum na śmierć mojego ojca.

- John Burgoyne... kto z was słyszał o Gentlemanie Johnnym?

Cisza. Kiedy na nią patrzyłem, słyszałem jedynie bicie swego serca.

Siedemnaścioro dzieci tłoczyło się w wąskim, wyłożonym drewnem pomieszczeniu i nikt nie uniósł ręki.

- Jestem rozczarowana - powiedziała panna Webber i uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Podobno przyjechała aż z Syracuse, żeby nas uczyć. Mieszkańcy Syracuse oddychali innym powietrzem, powietrzem, które sprawiało, że ich głowy były czyste, a umysły bystre; mieszkańcy Syracuse stanowili odmienną rasę.

- John” Burgoyne, zwany Gentlemanem Johnnym, urodził się w 1722 roku, a zmarł w 1792. Był brytyjskim generałem podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Został okrążony przez nasze wojska pod Saratogą 17 października 1777 roku. To było pierwsze wielkie amerykańskie zwycięstwo i decydująca bitwa tej wojny.

Przerwała. Moje serce zapomniało bić.

- Josephie Vaughanie?

Z wrażenia o mało nie połknąłem języka.

- Gdzie jesteś, Josephie Vaughanie... bo z pewnością nie wśród nas?

- Jestem, proszę pani... Oczywiście, że jestem.

Rozległ się stłumiony śmiech, jak wśród dzieci zbierających słodycze w Halloween. Uczniowie naszej klasy pochodzili głównie z hrabstw Liberty i McIntosh, inni z Silco i Meridan. Pomiędzy nimi była Alice. Alice Ruth Van Home. Laverna Stowell. Seralyn Williams. Przybywały z całej okolicy, żeby uczyć się życia od panny Alexandry Webber.

- Miło mi to słyszeć, Josephie Calvinie Vaughanie. A teraz, by udowodnić, jak bardzo uważałeś na lekcji, staniesz przy moim biurku i opowiesz nam, co wydarzyło się tego samego roku pod Brandywine.

Moja odpowiedź była pozbawiona polotu i zwyczajnie słaba. Panna Webber poleciła mi zostać po lekcjach i umyć gąbki do tablicy.

Stała przy mnie, jak mi się początkowo wydawało po to, by upewnić się, czy należycie wykonam zadanie, lub po to, żeby udzielić mi dalszej reprimendy za mój brak skupienia na lekcji.

- Josephie Vaughanie... - zaczęła.

Klasa była pusta. Było popołudnie. Mój ojciec nie żył od ponad trzech miesięcy. Za pięć dni będę miał dwanaście lat.

- Nasza dzisiejsza lekcja... Odniosłam wrażenie, że byłeś nią znudzony.

Potrząsnąłem głową.

- Ale nie uważałeś.

- Przepraszam, panno Webber... Myślałem o czymś innym.

- O czym?

- Myślałem o wojnie, panno Webber.

- Słyszałeś o wojnie w Europie? - zapytała. Wydawała się zaskoczona, chociaż nie wiedziałem dlaczego.

Skinąłem głową.

- Kto ci o niej mówił?

- Moja mama, panno Webber... Mama mi o niej mówiła.

- Jest kulturalną i inteligentną kobietą, prawda?

- Nie wiem, panno Webber.

- Wierz mi, Josephie Vaughanie, każda Amerykanka mieszkająca w Georgii, która wie o Adolfie Hitlerze i wojnie w Europie, jest kulturalną i inteligentną osobą.

- Tak, panno Webber.

- Usiądź, Josephie - powiedziała. Spojrzałem na nią. Byłem kilka dobrych lat od niej młodszy i zapewne jakieś piętnaście centymetrów niższy.

Wskazała swoje biurko stojące na przedzie klasy.

- Chodź - powiedziała. - Usiądź tu ze mną i porozmawiajmy przez chwilę, zanim wyjdiesz.

Zrobiłem, co mi kazała. Czułem się tak, jakby moja skóra była zbyt duża. Miałem wrażenie, że mój szkielet jest po prostu za mały.

- Podaj wyraz, którym można by zastąpić wyraz kolor - poleciła. Popatrzyłem na nią, a zaskoczenie musiało wyraźnie rysować się na mojej twarzy, ponieważ się uśmiechnęła.

- To nie jest żaden egzamin, Josephie, tylko proste pytanie. Znasz jakiś wyraz o podobnym znaczeniu do wyrazu kolor?

Skinąłem głową.

- W takim razie podaj mi go.

- Barwa, proszę pani.

- Dobrze - powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. Jej chabrowe oczy rozjarzyły się niczym słońce nad Syracuse.

- A jeszcze jeden?

- Jeszcze jeden?

- Tak, Josephie, jeszcze jeden wyraz bliskoznaczny do wyrazu kolor.



- Może odcień... Może być? Skinęła głową.
- A jakiego wyrazu użyjesz, by uniknąć słowa dużo?
- Dużo? Może wiele albo zastępy? Panna Webber przekrzywiła głowę.
- Zastępy? Skinąłem głową.
- Skąd znasz to słowo, Josephie?
- Z Biblii, proszę pani.
- Mama czyta ci Biblię? Potrząsnąłem głową.
- Czytasz ją sam?
- Trochę.
- Dlaczego? - zapytała.
- Chciałem... - Poczulem, że zaczynam się rumienić. Ile jest wyrazów bliskoznacznych

do słowa „rumienić”?

- Co takiego chciałeś, Josephie?
- Chciałem dowiedzieć się czegoś o aniołach.
- O aniołach?

Skinąłem głową.

- Serafinach i cherubinach, poznać hierarchię niebiańską.

Panna Webber parsknęła śmiechem, ale szybko spoważniała.

- Przepraszam, Josephie. Nie chciałam się roześmiać. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Nic nie powiedziałem. Policzki mnie paliły; zupełnie jak latem 1933, kiedy wyschła rzeka.

- Opowiedz mi o hierarchii niebiańskiej.

Przesunąłem się z zakłopotaniem na krześle. Czułem coś w rodzaju zawstydzenia. Nie chciałem, żeby panna Webber pytała mnie o ojca.

- Jest dziewięć chórów aniołów - wyjaśniłem, a mój głos z trudnością wydobywał się z gardła, zupełnie jakby tkwiła w nim jakaś klucha. - Serafini to ogniste istoty o sześciu skrzydłach, które strzegą tronu Boga. Następni w kolejności są cherubini, którzy mają duże skrzydła i ludzkie głowy. To słudzy Boga i strażnicy świętych miejsc. Potem są Trony, Panowania, Cnoty, Potęgi, Księstwa, a następnie archanioły, takie jak Gabriel i Michał. Na końcu są zwykle anioły, posłańcy Boży, którzy chronią ludzi i narody.

Przerwałem. Zaszło mi w ustach i gardle.

- Michał pokonał Lucyfera i zepchnął go do gehenny.
- Gehenny? - powtórzyła panna Webber.
- Tak - odpowiedziałem. - Do gehenny.

- A dlaczego Michał walczył z Lucyferem?

- Lucyfer nosił światło - wyjaśniłem. - To właśnie znaczy jego imię... Lux to światło, a ferre - nieść. Niektórzy ludzie nazywają go gwiazdą poranną, inni - niosącym światło. Był aniołem. Miał oświetlać i pokazywać Bogu grzechy człowieka.

Popatrzyłem na drzwi. Było mi głupio, że dałem się wciągnąć w rozmowę o takich sprawach. Przeniosłem wzrok na pannę Webber. Uśmiechała się, a na jej twarzy malował się wyraz zaciekawienia.

- Świecił i pokazywał Bogu, gdzie człowiek zgrzeszył. Zbierał dowody, był kimś w rodzaju policjanta. Potem mówił o tym Bogu, a Bóg karał ludzi za to, co zrobili.

- Więc co się stało? - zapytała panna Webber. - Wygląda na to, że po prostu wypełniał swoje obowiązki.

Potrząsnąłem głową.

- Na początku tak robił, ale potem stał się bardziej zainteresowany podlizywaniem się Bogu niż prawdą. Zaczął namawiać ludzi do robienia złych rzeczy, żeby móc o nich mówić Bogu. Wodził ludzi na pokuszenie i sam ulegał pokusom. Zaczął opowiadać kłamstwa i Bóg naprawdę się na niego zezłościł. Potem Lucyfer spróbował wszcząć bunt aniołów. Michał walczył z nim i stracił go do gehenny.

Przestałem mówić. Język wymknął mi się spod kontroli i zanim się zorientowałem, był już za horyzontem. Kurz, który wzbil podczas ucieczki, osiadł mi w gardle i sprawił, że zakaszlałem.

- Chcesz się napić wody, Josephie? - zapytała panna Webber.

Potrząsnąłem głową.

Ponownie się uśmiechnęła.

- Jestem pod wrażeniem. Pod wrażeniem twojej wiedzy na tematy biblijne.

- Nie wiem za wiele na tematy biblijne - odrzekłem. - Ja po prostu wiem trochę o aniołach.

- Wierzysz w nie? - zapytała.

Skinąłem głową.

- Oczywiście, że tak. - Wydawało mi się dziwne, że w ogóle zadała to pytanie.

- A dlaczego chciałeś się dowiedzieć czegoś więcej o aniołach?

Przelknąłem głośno strach. Zamienił się w bryłę wielkości orzecha, która uwierała mnie w gardle.

- Z powodu mojego taty.

- Chciał, żebyś dowiedział się jak najwięcej o aniołach?

- Nie, proszę pani... To dlatego, że Reilly Hawkins powiedział mi, że jeśli mój ojciec naprawdę się postara, stanie się jednym z nich.

Przez chwilę się wahała. Przypatrzyła mi się uważniej niż dotąd, ale nie uśmiechnęła się ani nie roześmiała.

- On umarł, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Kiedy to się stało, Josephie?

- Dwunastego lipca.

- Zaledwie kilka miesięcy temu?

- Tak, proszę pani, jakieś trzy miesiące temu.

- Ile masz lat, Josephie?

Uśmiechnąłem się.

- Za pięć dni kończę dwanaście.

- Za pięć dni, tak? Masz rodzeństwo?

Potrząsnąłem głową.

- Mieszkasz sam z matką?

- Tak, proszę pani.

- A kto nauczył cię czytać?

- Mama i tata... Tata powtarzał mi, że czytanie to jedna z najważniejszych umiejętności. Mówił, że nawet jeśli człowiek przez całe życie mieszka w jednopokojowej klatce w małej mieścinie, dzięki czytaniu może zobaczyć oczami wyobraźni cały świat.

- Twój ojciec był mądrym człowiekiem.

- Ze złym sercem - powiedziałem.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, jakbym powiedział coś niestosownego.

- Przepraszam... - zacząłem.

Uniosła rękę.

- Nic nie szkodzi.

- Chyba powinienem już iść, proszę pani.

Skinęła głową.

- Tak, chyba powinieneś. Już i tak za długo cię zatrzymałam.

Wstałem z krzesła i podszedłem do jej biurka. Położyłem na dłoni swoje malutkie serduszko, delikatne niczym ptak w słomianej klatce.

- Miło mi się z panią rozmawiało - powiedziałem. - I przepraszam za to, że nie uważałem na lekcji o bitwie pod Brandywine.

Uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. Zaledwie na ułamek sekundy, na jedno uderzenie serca. Poczulem energię przepływającą przeze mnie, energię, która wypełniła moje serce, rozděła żołądek, sprawiła, że poczułem się, jakby mi się chciało siusiu.

- Nie szkodzi, Josephie... Podejrzewam, że przebywałeś wtedy w o wiele ciekawszym miejscu. - Mrugnęła do mnie. - Idź już - dodała - i niech oczy twojej duszy będą otwarte.

Moje urodziny przypadały w sobotę. Obudził mnie śpiew Murzynów na polu Gunthera Krugera. Na ganku znalazłem zawinięty w brązowy papier pakunek. Napisane na nim było kształtnymi literami JOSEPH CALVIN VAUGHAN. Wniosłem paczkę do domu i pokazałem mamie.

- Otwórz ją - powiedziała. - To na pewno prezent. Może od Krugerów.

Długa dolina Johna Steinbecka.

W środku odkryłem dedykację: „Idź przez życie ze śmiałym sercem, Josephie Vaughanie, gdyż zwykły los jest zbyt błahy, byś się nim zadowolił. Wszystkiego najlepszego z okazji dwunastych urodzin, Twoja nauczycielka - Alexandra Webber”.

- To od mojej nauczycielki - powiedziałem. - Książka.

- Widzę, że to książka, dziecko - odparła matka, wycierając ręce w fartuch, po czym wzięła ode mnie tomik. Okładka była kartonowa, a kartki pachniały świeżą farbą drukarską. Kiedy mi go oddała, poprosiła, żebym o niego dbał.

Przez chwilę przyciskałem tę książkę do piersi, bojąc się, że ją upuszczę. Potem, po chwili wahania, w końcu ją otworzyłem. Zamknąłem oczy i podziękowałem temu, kto podszeptał panie Webber podobny przejaw szczodrości.

#### CHRYZANTEMY

Wysoka, szara mgła zimy napływała nad Sahnas Valley z nieba i z całej reszty świata. Opadła niczym pokrywka na góry i zmieniła dolinę w zamknięty dzbanuszek.

Odłożyłem książkę na bok i usiadłem na schodach ganku. Słyszałem głosy czarnych pracujących w polu, czułem zapach naleśników, wokół mnie budził się nowy dzień, a ja czytałem - strona po stronie, dając się ponieść słowom, których nie rozumiałem, ale nie przejmowałem się tym zupełnie, ponieważ znalazłem tam coś, co rzuciło mi wyzwanie, a zarazem przerażało mnie, podniecało i zalewało falami gorączki i namiętności, których nie umiałem zdefiniować.

Wieczorem powiedziałem mamie, że chcę pisać.

- Do kogo chcesz napisać? - zapytała.

- Nie - odparłem. - Ja chcę pisać... pisać książki. Chcę zostać pisarzem.

Pochyliła się, naciągnęła mi kołdrę po szyję i pocałowała mnie w czoło.

- Pisarzem, tak? - powiedziała z uśmiechem. - W takim razie coś mi się wydaje, że powinieneś zacząć nosić ze sobą pióro.

W piątek, 3 listopada 1939 roku, znaleziono ciało Alice Ruth Van Horne. Znałem ją lepiej niż kogokolwiek innego w mojej klasie. Miała zielone oczy, a jej włosy nie były złote, rude ani brązowe, lecz mieniły się barwami tysiąca opadłych liści. Kiedy się śmiała, wydawało się, że jakiś egzotyczny ptak przez pomyłkę wleciał przez nasze okno. W śniadaniówce przynosiła kanapki, które - wiedziałem to - sama sobie przygotowywała. Skórki od chleba były odcięte i zawinięte w osobne papierki.

- Dlaczego to robisz? - zapytałem pewnego dnia.

- Chcesz jedną? - Wyciągnęła w moim kierunku cienki brązowy paseczek pieczywa.

Potrząsnąłem głową.

- Spróbuj - zachęciła mnie.

Wziąłem ostrożnie skórkę i powąchałem ją.

Roześmiała się.

- Spróbuj - powtórzyła.

Skórka smakowała jak coś ciepłego, jak cynamon, jak nic innego, co znałem. Smakowała cudownie.

Przekrzywiła głowę.

- Dobrze, co?

Skinąłem głową.

- Naprawdę dobrze.

- To dlatego pakuję je oddzielenie. Ich smak nie jest tak wyraźny, gdy pozostają na kromkach chleba.

Została znaleziona naga na polu przy końcu High Road, gdzie Śmierć zaczęła swą wędrówkę, kiedy przyszła zabrać mojego ojca. Wydawało się, że tym razem wcale nie musiała przebyć całej drogi, że dziewczynka postanowiła oszczędzić jej fatygi i wyszła jej na spotkanie. Przy ciele znaleziono śniadaniówkę. Było późno, dawno po szkole i w środku nie było nic z wyjątkiem zmiętego papieru, w który przedtem zawinięte były kanapki, oraz zapachu skórek od chleba.

Miała jedenaście lat. Ktoś ją rozebrał, a potem pobił i zrobił jej rzeczy, „których żaden normalny człowiek nie zrobiłby psu, a co dopiero małej dziewczynce”, jak to określił Reilly Hawkins. Powiedział to w naszej kuchni, siedząc obok Gunthera Krugera, który przyniósł gliniany dzban z lemoniadą od pani Kruger, a moja mama ofuknęła go: „Cicho, Reilly, nie

chę rozmawiać o takich okropieństwach przy chłopcu”.

Później chłopiec, którego miała na myśli, poszedł spać. A przynajmniej udał, że idzie. Zaczekałem, aż deski w domu przestały trzeszczeć i rozciągać się, a potem wymknąłem się ze swojego pokoju i zamarłem niczym zjawa wśród cieni i wspomnień na szczycie schodów.

- Zgwałcił ją - usłyszałem Reilly'ego. - To była mała dziewczynka, jeszcze niewinna, a ten bydlak zgwałcił ją, pobił i w końcu udusił, a potem zostawił ją na polu na początku High Road.

- Po mojemu to zrobił jeden z czarnuchów - powiedział Gunther Kruger.

Matka odwróciła się do niego. Jej słowa były stanowcze i bezwzględne.

- Nie chcę słyseć takiej gadki, Guntherze Kruger. W chwili gdy tu rozmawiamy, twoi rodacy pozwalają, by tyran prowadził ich na wojnę, której nikt z nas nie chciał. Polski rząd uciekł do Paryża; słyszałam nawet plotki, że Roosevelt sprzeda Brytyjczykom karabiny i bomby. Tysiące, setki tysięcy, może nawet miliony ludzi zginie... A wszystko to przez Niemców.

- Taki punkt widzenia jest niesprawiedliwy, pani Vaughan... Nie wszyscy Niemcy...

- Podobnie jak nie wszyscy czarni, panie Kruger.

Kruger nie odpowiedział. Żagle jego okrętu zwisły bezwładnie. Wiatr zmienił kierunek i poleciał w stronę ławicy wstydu.

- A poza tym nie pozwalam na takie gadki w moim domu - dodała matka. - Nie żyjemy w średniowieczu. Nie jesteśmy ciemnym ludem. Adolf Hitler jest białym człowiekiem, tak samo jak Czyngischan był Mongołem, a Kaligula - Rzymianinem. Nieważne, jakiej jest się narodowości, jakiego koloru ma się skórę czy jaką religię się wyznaje... Ważne, jakim się jest człowiekiem.

- Ona ma rację - powiedział Reilly Hawkins. - Ona ma rację, Guntherze Kruger.

Kruger zapytał, czy Reilly i moja matka nie mają ochoty na dolewkę lemoniady.

Zakradłem się z powrotem do swojego łóżka i pogrążyłem się w myślach o Alice Ruth Van Home. Przypomniałem sobie brzmienie jej głosu, to, jak się śmiała nawet z najgłupszych rzeczy. Przypomniałem sobie zabawę, w którą kiedyś się bawiliśmy na polu z połamanym płotem, zabawę, w czasie której upadła i zraniła się w łokieć, i musiałem zaprowadzić ją do domu, do jej matki. Była łagodną dziewczynką, zawsze pogodną. Przypomniałem sobie, w jaki sposób patrzyła na mnie, uśmiechała się, odwracała wzrok, a potem patrzyła po raz wtóry... zawsze czekając na moją reakcję; reakcję, która nigdy nie nastąpiła. Płakałem za nią.

Uświadomiłem sobie, że moje wspomnienie Alice, wspomnienie, które - jak wierzyłem - na zawsze pozostanie idealne, nie będzie nigdy niczym więcej niż cieniem w

sercu.

Próbowałem wyobrazić sobie, jakim człowiekiem trzeba być, żeby zrobić coś tak potwornego Alice Ruth. Czy w ogóle taka osoba zasługuje na miano człowieka?

Kiedy się obudziłem, moja poduszka była mokra. Najwyraźniej płakałem we śnie.

Pomyślałem, że Bóg z pewnością natychmiast uczynił Alice aniołem.

Nazajutrz wyciąłem z gazety artykuł i ukryłem go w pudełku pod łóżkiem.

CHARLTON COUNTY JOURNAL Sobota, 4 listopada 1939 ZNALEZIONO MARTWA DZIEWCZYNKĘ W piątek, 3 listopada, w godzinach rannych w Augusta Falls znaleziono ciało jedenastoletniej Alice Ruth Van Home. Alice, uczennica szkoły podstawowej w Augusta Falls, została dostrzeżona przez jednego z mieszkańców. Szeryf Haynes Dearing powiedział: „Mieszkańcy bezzwłocznie powiadamiają nas o obecności każdej bezdomnej lub nieznaney osoby na naszym terenie. Obowiązuje stan najwyższego pogotowia. Zabójstwo tej młodej dziewczynki, członkini naszej społeczności, na dodatek w tak drastycznych okolicznościach, daje nam wszystkim powód, żeby zwracać uwagę na wszelkie zdarzenia rozgrywające się w najbliższym otoczeniu. Chciałbym apelować do wszystkich obywateli, aby nie ulegali panice, ale jednocześnie cały czas mieli baczenie na swoje dzieci”. Zapytany o szczegóły dotyczące śledztwa, szeryf Dearing odmówił dalszych komentarzy. Arthur i Madeline Van Home, rodzice zamordowanej dziewczynki, mieszkają w Augusta Falls od osiemnastu lat. Należą do Kościoła metodystycznego hrabstwa Charlton. Pan Van Home ma gospodarstwo w Augusta Falls.

Usiłowałem nie myśleć o tym, jak to jest być bitym i duszonym, ale im bardziej się starałem, tym więcej podobnych myśli wypełniało mi głowę. Dopiero po kilku dniach wyparłem to zdarzenie z pamięci. Zdaje się, że podobnie chcieli zrobić wszyscy mieszkańcy Augusta Falls.

Są chwile, które doskonale pamiętam. Letnie dni, mgliste i nabrzmiałe od powietrza i słońca, pana Tomczaka wynoszącego swój gramofon „Victrola” na podwórko, płyty z szelaku ciężkie jak talerze i dorosłych, którzy wreszcie rozpinali kołnierzyki. I chociaż nikt nie miał pieniędzy i bardziej niż prawdopodobne było, że nigdy nie będzie miał, nie miało to znaczenia, ponieważ wszyscy byli bogaci przyjaźnią i poczuciem wspólnoty.

Dzieci bawiły się na polach, ktoś przynosił skrzynkę piwa dla panów, a ktoś inny robił napój z arbuza dla pań.

Moja mama wkładała letnią sukienkę, tańczyła walca z tatą i nosiła uśmiech jak medal: za waleczność, za wierność, za miłość.

Te dni, które pamiętam, bezpowrotnie minęły. Odeszły bezgłośnie w mglistą

przeszłość. Nie tylko minęły, ale zostały też zapomniane. A przecież wierzyłem, że nigdy ich nie zapomnę. Ani tutaj, w Augusta Falls, ani w żadnym innym miejscu. Wszyscy pijani uderzającą do głowy myślą, że są żywi.

Dźwięk czegoś znajomego, ale odległego - mecz baseballowy w radiu, trzask i syk szmaragdowych kapsli cocacoli - i nagle przeszłość znowu jest tutaj. Technikolor i sensurround: Cecil B. DeMille, King Vidor. A potem upragniona cisza po niekończącym się hałasie.

I poutykane pomiędzy tymi wspomnieniami, niczym zardzewiałe kawałki metalu, inne wspomnienia...

Dziewczynki.

Zawsze dziewczynki.

Dziewczynki takie jak Alice Ruth Van Home, którą kochałem tak, jak tylko dziecko potrafi kogoś kochać - prostym, cichym, idealnym uczuciem.

Ich życia jak poskręcany wilgotny papier, wyciśnięte i porzucone.

Po jakimś czasie, pod wpływem wydarzeń cichych i pięknych, zacząłem wierzyć, że świat stanie się lepszy.

Jednak wcale taki się nie stał. Jeszcze nie wtedy.

Może w jakimś małym stopniu to, co teraz robię, przywróci równowagę.

Może duchy, które prześladowały mnie przez te wszystkie lata, wreszcie odejdą.

Ich głosy ucichną - w końcu nieodwołalnie się uspokoją.

W ręce trzymam wycinek prasowy. Podnoszę go i przez cienki papier, poplamiony moją krwią, widzę światło wpadające przez okno i zarys trupa przede mną.

- Widzisz? - mówię. - Widzisz, co narobiłeś?

A potem się uśmiecham. Jestem coraz słabszy. Dostrzegam w tym wszystkim, co się stało, swoiste zwieńczenie całego swego życia.

- Nigdy więcej - szepczę. - Nigdy więcej.



### III

- Wybierasz słowo - powiedziała panna Webber. - Wybierasz słowo, a potem myślisz o tym, ile słów oznacza tę samą lub podobną rzecz. Wyrazy, które oznaczają tę samą lub podobną rzecz, nazywamy synonimami. Zapisujesz je w notesie i kiedy chcesz utworzyć zdanie, zaglądasz do notesu i stosujesz najbardziej interesujące lub pasujące wyrazy, jakie możesz znaleźć.

Skinąłem głową.

Wyszła zza biurka i usiadła na krześle obok mnie. Klasa była pusta. Poczekalem, aż wszyscy wyjdą, i dopiero wtedy otrzymałem jej instrukcje. Do Gwiazdki zostały dwa tygodnie. To były ostatnie dni szkoły.

- Słyszałeś o tak zwanym małpim procesie? - zapytała.

Potrząsnąłem głową.

- Kilkanaście lat temu, zdaje się w roku 1925, nauczyciel biologii John T. Scopes, który pochodził z miasta Dayton w stanie Tennessee, opowiadał swoim uczniom o tak zwanej ewolucji. Wiesz, co to jest ewolucja, Josephie?

- Tak, proszę pani... To pogląd głoszący, że dawno temu wszyscy byliśmy małpami na drzewach, a jeszcze przedtem rybami czy czymś.

Uśmiechnęła się.

- Pan Scopes uczył teorii ewolucji zamiast kreacjonizmu, czyli tego, jak to jest wyłożone w Biblii. Stan Tennessee postawił go przed sądem. Oskarżycielem był William Jennings Bryan, znany mówca i trzykrotny kandydat na prezydenta. obrońcą pana Scopesa został Clarence Darrow, słynny amerykański adwokat. Pan Scopes przegrał i został skazany na grzywnę w wysokości stu dolarów, ale nie wyrzekł się swoich poglądów. - Panna Webber pochyliła się do mnie. - Nigdy, Josephie Vaughanie, nie mówił ludziom tego, co chcieli słyszeć. Mówił to, w co wierzył.

Odchyliła się do tyłu.

- Zastanawiasz się, dlaczego ci o tym opowiadam?

Nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem na nią i czekałem na dalszy ciąg.

- Opowiadam ci o tym dlatego, że mamy konstytucję, a konstytucja gwarantuje nam, że możemy mówić to, co czujemy, i obstawać przy swoim prawie do mówienia tego, co uważamy za prawdę. Właśnie to, Josephie Vaughanie, powinieneś robić ze swoim pisaniem. Jeśli chcesz pisać, to pisz, ale zawsze pamiętaj, by pisać o tym, co uważasz za prawdę, a nie o tym, co inni ludzie chcą, by za prawdę uchodziło. Rozumiesz?

- Tak - odparłem. Wydawało mi się, że faktycznie rozumiem.
- W takim razie chcę, żebyś podczas przerwy świątecznej napisał opowiadanie.
- O czym?

Uśmiechnęła się.

- Decyzja należy do ciebie. Ty musisz to postanowić. Wybierz coś, co ma dla ciebie jakieś znaczenie, coś, co budzi w tobie jakieś emocje, coś, co... wywołuje twoją wściekłość albo nienawiść, albo też coś, co wywołuje twoje podniecenie. Napisz prawdziwe opowiadanie, Josephie. Nie musi być długie, ale musi dotyczyć czegoś, w co wierzysz.

Panna Webber podniosła się i stanęła nade mną. Raz jeszcze dotknęła mojego policzka.

- Wesołych świąt. Zobaczymy się na początku 1940 roku.

Gunther Kruger był najbogatszym człowiekiem w hrabstwie Charlton. Jego dom był dwa razy większy od naszego. W salonie stał odbiornik radiowy „Atwater Kent” i cała rodzina Krugerów - Gunther, jego żona, ich dwóch synów i córka - siadała przed nim ze słuchawkami na uszach i słuchała muzyki i słów, które nadchodziły aż z Savannah, przez Hinesville i Townsend, Hortense i Nahunta. Te dźwięki w cudowny sposób przekraczały bagna Okefenokee i nie tonęły. To było magiczne i dziwne wejrzenie w świat, którego nie potrafiłem sobie wyobrazić. W kuchni Krugerowie mieli pralkę „Maytag” i mikser „Sunbeam Mixmaster”. I była też pani Kruger, która nosiła zgrzebne wełniane spódnice, robiła frankfurterki oraz sałatkę ziemniaczaną i mówiła z dziwnym akcentem.

- Wyglądasz jak strych na buble - stwierdziła pewnego dnia. Zmarszczyłem brwi, przechyliłem głowę i powtórzyłem: - Strych na buble?

- Taki do stryszenia bubli - wyjaśniła. - Wiesz, bije i stałe branie.

- Kije i stare ubranie - powiedziałem i uśmiechnąłem się szeroko. - Strach na wróble!

- No tak - zgodziła się pani Kruger. - Tak jak mówiłam, strych na buble! A teraz jedz, zanim buble przylecą, bo będziesz je musiał wystryszyć. Cha, cha!

Zacząłem odwiedzać Krugerów jakiś tydzień przed świętami. Pana Krugera najczęściej nie było w domu. Matka przykazała mi, bym pozostawał tam tylko do jego powrotu.

- Temu człowiekowi wystarczająco dużo własnych dzieci płacze się pod nogami - powiedziała. - Wraca do domu, ty mówisz mu „dziękuję” i wychodzisz, rozumiesz?

Rozumiałem; nie zamierzałem nadużywać niczyjej uprzejmości. Poza tym Elena Kruger (wszystkiego dziewięć lat, zbyt dużo zębów, uszy jak żagle czekające na Gofsztrum) wydawała się robić wszystko, co w jej mocy, by sprowokować mnie do użycia przemocy za

każdym razem, gdy tam byłem.

Cierpliwości Hioba wymagało powstrzymywanie się od spuszczenia jej manta za gwizdy i oszczercze zniewagi. Jej bracia, Hans i Walter, starali się nie zwracać uwagi na jej zachowanie, ale cały czas tam była - dokuczając, drażniąc i wiercąc mi dziurę w brzuchu - od chwili, gdy się pojawiałem, aż do momentu, gdy słyszałem tubalny głos pana Krugera wkraczającego do kuchni i głośno witającego się z domownikami.

Jestem pewien, że była miłym dzieckiem, ale dwunastoletniemu chłopcu dziewięcioletnia dziewczynka jawi się jako najgorsza z harpii. Jej głos był nieprzyjemny i ostry jak zardzewiały gwóźdź wbijany w ucho i chociaż później stała się łagodna i miła, na swój sposób wrażliwa i piękna, wówczas kojarzyła się z gorzkim lekarstwem na chorobę, która dawno minęła. Elena Kruger była przeze mnie postrzegana jak dzban skwaśniałego mleka, po wypiciu którego każde beknięcie było bardziej kwaśne od poprzedniego.

Aż do czasu, gdy zobaczyłem jej siniaki.

Było późne popołudnie, kilka dni przed Gwiazdką, i pan Kruger z Walterem nie wrócili jeszcze z pola. Pani Kruger zawołała córkę do pomocy w kuchni i Elena poszła. Stałem w korytarzu, który oddzielał salon od tylnej części domu. Z tego miejsca widziałem wszystko przez otwarte drzwi.

Matka kazała Elenie podwinąć rękawy bluzki i w miarę jak dziewczynka to robiła, ukazywała wielobarwne - fioletowe, żółto-brunatne, żółte i karminowe - siniaki na swoich rękach. Odnosiło się wrażenie, że ktoś chwycił ją ze straszliwą siłą, że wielkie dłonie ścisnęły jej ramiona, może nią potrząsając, a może nie robiąc nic poza przytrzymywaniem jej nieruchomo.

- Padaczka - wyjaśniła mi mama, kiedy opowiedziałem jej o tym, co widziałem. - Nie wolno ci pisać o tym nikomu ani słowa - dodała z naciskiem. - Elena Kruger ma ataki padaczkowe, nazywają to grand mai, i jej rodzice muszą czasami przytrzymywać ją mocno, żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

Zapytałem, dlaczego ma te ataki. Mama uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- A dlaczego ktoś ma krzywe nogi albo nie widzi na jedno oko? Kto to wie, Josephie... tak to już jest.

Wyobraziłem sobie silne dłonie przytrzymujące Elenę, dłonie, które miały zapobiec trzęsieniu się i uderzaniu o podłogę, jej zabrudzoną spódniczkę, to, że prawdopodobnie między zęby włożono jej grubą skórzany pasek, żeby nie przegryzła sobie języka.

Po tym, co widziałem, obrzucanie wyzwiskami przez Elenę już mnie tak bardzo nie obchodziło. Wystarczyło, że wyobraziłem sobie przerażającą gwałtowność tej choroby, i od

razu z całego serca jej współczułem. Była bardziej zraniona, niż mogła kiedykolwiek zranić mnie, i wierzyłem, że jeśli wezmę trochę tego bólu na siebie, poczuje się lepiej. Byłem naiwny, może nawet głupi, ale wówczas to miało dla mnie sens. Od tej chwili widziałem ją w innym świetle i chociaż miała dwóch starszych braci - dwunastoletniego Hansa i szesnastoletniego Waltera, który był już prawie mężczyzną - zacząłem żywić do niej braterskie uczucie. Wydawała się delikatna i zboląa, zagubiona w świecie, w którym rządzą jej ojciec i bracia. Wyobrażałem ją sobie jako wrażliwą, samotną duszyczkę, bez łańcucha czy kotwicy, i postanowiłem, że w jakimś ograniczonym zakresie spróbuję uczynić jej życie choć trochę szczęśliwszym.

Święta przysły, po czym minęły. Napisałem swoje opowiadanie. Nosiło tytuł Bieg z piłką i dotyczyło Red Grange'a, tego, jak łapał piłkę i biegł z nią niczym pies za królikiem. Widziałem go kiedyś w kinie, na sobotnim seansie popołudniowym, na który poszliśmy z ojcem: najpierw kronika filmowa, półgodzinne Pete Smith Specjalty, a potem krótkometrażówka przed głównym filmem. Red Grange, niewykluczone, że największy biegacz w historii futbolu amerykańskiego, o nogach niczym tłoki parowe. W swoim opowiadaniu użyłem takich słów jak „flotyła”, „pełen wigoru”, „atletyczny” i „herkulesowy”. Panna Webber zamieniła je na słowa, które jej zdaniem wszyscy rozumieją, a potem stanęła przed klasą i poprosiła uczniów o zamknięcie oczu.

- Właśnie tak - powiedziała cicho. - Zamknijcie oczy... i nie otwierajcie ich, dopóki nie skończę.

Przeczytała klasie moje opowiadanie. Nie chciałem tego. Moje mocno bijące serce mogłoby stanowić źródło energii parowca przez całą drogę z Minnesoty do Meksyku. To uczucie, którego nie zapomnę do końca życia, o mało nie przywiodło mnie do zarzucenia marzeń o pisaniu.

Kiedy skończyła, odniosłem wrażenie, że otwiera się przede mną mała przepaść ciszy. Wpadłem do niej. Nikt nie wypowiedział ani słowa. Dopiero panna Webber wyciągnęła rękę i mnie z tej przepaści wyciągnęła.

Nie pochwaliła mojego opowiadania, ale też mnie nie zgała. Nie posłużyła się nim jako czymś w rodzaju przykładu dla innych dzieci w klasie. Zapytała tylko, kto ujrzał Red Grange'a w chwili, gdy biegł z piłką.

Ronnie Duggan uniósł rękę.

Tak samo Laverna Stowell. I Virginia Grace Perlman. A także Catherine McRae i jej brat Daniel.

Pochyliłem głowę. Policzki mnie paliły.

W końcu dzieci z podniesionymi rękami było więcej niż tych, które ich nie podniosły.

I wtedy panna Webber powiedziała:

- Nieźle... Naprawdę nieźle. Nazywamy to wyobraźnią. Wyobraźnia jest czymś niezbędnym w życiu. Każdy wielki wynalazek zawdzięczamy temu, że ktoś był w stanie coś sobie wyobrazić. Powinniście pielęgnować i rozwijać zdolność wyobrażania sobie różnych rzeczy. Powinniście pozwolić na to, by wasze głowy wypełniły się obrazami. Powinniście fantazjować.

Słuchałem jej. Kochałem ją. Wiele lat później zacząłem myśleć o zaprzestaniu pracy i wtedy przypomniałem sobie Alexandrę Webber i pozwolę, by moja głowa wypełniła się obrazami.

Wysli fantazji, by świat wydał się mniej mroczny.

Przyszedł luty. Pogoda się zmieniła. Gunther Kruger złożył wizytę mojej matce i powiedział jej, że wybiera się z rodziną w podróż wzdłuż rzeki St. Mary's, aby spędzić dzień w Fernandina Beach.

- Bardzo byśmy się cieszyli z waszego towarzystwa - powiedział, ale moja mama, ledwo na mnie patrząc, wyjaśniła panu Krugerowi, że jest bardzo wdzięczna za pamięć, ale niestety nie będzie mogła pojechać.

- Jednak Joseph na pewno będzie zachwycony - stwierdziła. - Obiecałam już pani Amundsen, że ubiję z nią masło. Jeśli nie zrobimy tego teraz, mleko stanie się...

Pan Kruger, jak zawsze dżentelmen, uniósł rękę i uśmiechnął się szeroko. Oszczędził matce kłopotu wyjaśniania odmowy.

- Może następnym razem - powiedział, po czym poinformował mnie, że wyruszają z domu o szóstej rano.

- Proszę nie dawać mu żadnego jedzenia - dodał. - Moja żona zawsze przygotowuje prowiantu jak dla całego pułku.

Nazajutrz padało, początkowo słabo, potem mocniej. Mimo to pojechaliliśmy do Fernandina Beach, a w czasie naszej podróży słońce wyszło, a niebo się roz pogodziło.

To był wyjątkowy dzień. Obserwowałem rodzinę Krugerów - panią Kruger, Waltera, dwoje młodszych dzieci - i ich życie wydawało się idyllą, wzorem dla wszystkich rodzin. Nie kłócili się ani nie sprzecali; śmiali się często i bez wyraźnego powodu; wydawali mi się wysepką doskonałości na tym straszliwie niedoskonałym świecie.

Kiedy zbieraliśmy się do wyjazdu, słońce złagodniało i zaczęło rozważać udanie się na spoczynek. Późnopołudniowa mgiełka unosiła się wokół nas niczym jakaś zjawa, jej ramiona były szerokie i opiekuńcze. Kiedy szliśmy z piłkami i kocami do samochodu, pan Kruger zwrócił się ze mną i zapytał, czy dobrze się bawiłem.

- Tak, proszę pana, bardzo dobrze - odrzekłem.

- Cieszę się - powiedział półgłosem. - Ty również, Josephie... nawet ty powinieneś mieć wspomnienia, które będziesz pielęgnował, kiedy staniesz się starszy.

Nie rozumiałem, co miał na myśli, ale nie zapytałem.

- Tak samo Elena - dodał.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego.

Uśmiechnął się.

- Chciałbym ci podziękować za to, że masz do niej taką cierpliwość. To wrażliwe dziecko. Spędzasz z nią dużo czasu, chociaż wiem, że pewnie wolałbyś łobuzować z Hansem i Walterem.

Poczułem się niezręcznie.

- Nie... nie ma sprawy, proszę pana, to dla mnie żaden kłopot - wyjąkałem zawstydzony.

- Wiele dla niej znaczysz - ciągnął. - Często o tobie mówi. Trudno jej znaleźć przyjaciół, więc dziękuję ci za to, że z nią jesteś.

- Nie ma za co - odparłem i wpatrzyłem się w drogę przed nami.

Przez ponad dziewięć miesięcy obserwowałem gojenie się ran. Wiedziałem, że na zawsze pozostanie po nich blizna, położona tuż pod skórą i widoczna tylko dla mnie, i że ta blizna przypominać mi będzie, co stało się z Alice zimą 1939 roku - o wszystkich tych rzeczach, o których usłyszałem, stojąc na podeście schodów, kiedy Reilly i moja mama rozmawiali w kuchni...

Przez ponad dziewięć miesięcy mieszkańcy Augusta Falls udawali, że to, co się stało, było mrocznym i krępującym snem. Czymś, co przytrafiło się gdzie indziej, nie tutaj, w ich miasteczku. Udawali, że jedynie słyszeli plotki o tym strasznym wydarzeniu, i dziękowali Bogu, że ich nie spotkało. Musieli sobie jakoś z tym poradzić, jakoś przetrwać. Przedarli się przez mrok i wynurzyli po drugiej stronie.

Przez dziewięć miesięcy wmawiali sobie, że wszystko jest w porządku.

Tyle że nie było.

Latem 1940 roku znaleziono ciało Laverny Stowell. Miała dziewięć lat; 12 sierpnia - trzy dni po odkryciu jej ciała na polu na peryferiach Silco w hrabstwie Camden - miała obchodzić dziesiąte urodziny. Została znaleziona w piątek, podobnie jak Alice Ruth Van Home. Była naga, jeśli nie liczyć skarpetek i buta na prawej nodze. Wiedziałem o tym, ponieważ w środę przeczytałem relację prasową o tym zdarzeniu. Wyciąłem jej zdjęcie i artykuł znajdujący się poniżej.

CHARLTON COUNTY JOURNAL Piątek, 9 sierpnia 1940

ZNALEZIONO CIAŁO DRUGIEJ ZAMORDOWANEJ

DZIEWCZYNKI

W piątek rano, 9 sierpnia, mieszkańcy Augusta Falls raz jeszcze stali się świadkami przerażającego odkrycia. Znaleziono ciało Laverny Stowell, córki małżeństwa z Silco, Leonarda i Marthy Stowell. Dziewczynka była naga, miała na sobie tylko skarpetki i prawy but. To już drugie tego typu morderstwo po listopadowej śmierci Alice Ruth Van Home. Szeryf hrabstwa Camden Ford Ruby odmówił komentarza, ale dopuszcza myśl o współpracy z szeryfem hrabstwa Charlton Haynesem Dearingiem. Panna Alexandra Webber, nauczycielka ze szkoły podstawowej w Augusta Falls, do której, uczęszczała Laverna Stowell, powiedziała nam, że Laverna była mądrym i śmiałym dzieckiem i nie miała problemów z nawiązywaniem kontaktów. Według niej dzieci zostały poinformowane o zaistniałej sytuacji i w nadchodzącym tygodniu na codziennych apelach będą odmawiać modlitwy za dusze zamordowanych dziewczynek. Mieszkańcy Augusta Falls i Silco spotkali się, by przedyskutować możliwość wspólnych działań. Szeryf Haynes Dearing ponownie z naciskiem podkreślił, że mieszkańcy obydwu miasteczek powinni zachować spokój. „W tego typu sytuacjach nie ma nic gorszego od paniki. Zapewniam wszystkich, że każde dochodzenie ma określoną procedurę i trzymanie się jej jest obowiązkiem policji. Jeśli mieszkańcy chcą pomóc, niech uważają na wszystkich dziwnych i nieznanym osobników, a także niech dbają o bezpieczeństwo swoich dzieci przez zapewnienie im właściwej opieki”. Kiedy zapytano go o postępy w śledztwie w sprawie morderstwa Alice Ruth Van Home, szeryf Dearing odmówił komentarza, stwierdzając jedynie, że „wszelkie szczegóły toczącego się dochodzenia muszą pozostać poufne do czasu, gdy sprawca zostanie aresztowany i postawione mu zostaną zarzuty”.

Trzymałem ten wycinek i czułem, że oczy zachodzą mi łzami. Wyobraziłem sobie, co bym czuł, gdyby to była Elena. Znów zapłakałem, lecz tym razem towarzyszyło mi coś oprócz poczucia straty: lęk.

Przenikał mnie lęk, a także wściekłość na osobę, która to zrobiła. Laverna codziennie przemierzała drogę do szkoły z Silco w hrabstwie Camden i chociaż poza salą lekcyjną panny Webber zamieniłem z nią najwyżej kilkanaście słów, z niewiadomego powodu uważałem, że w jakimś stopniu ją zawiodłem. Nie wiem dlaczego, ale wierzyłem, że za obie dziewczynki - Alice Ruth i Lavernę - odpowiadałem.

- Nie możesz się za to winić - powiedziała mi mama, kiedy zwierzyłem się jej ze swoich odczuć. - Niektórzy ludzie, Josephie, nie widzą życia takim, jakim my go widzimy.

Nie ma ono dla nich żadnej wartości i nie są w stanie się powstrzymać. I dlatego dochodzi do takich strasznych rzeczy.

- Musi być coś, co możemy zrobić...

- Musimy być czujni - odpowiedziała. Nachyliła się do mnie, jakby przekazywała mi sekret, o którym świat nie powinien się dowiedzieć. - Musimy uważać na siebie i innych. Wiem, że czujesz się winny, Josephie, taką już masz naturę, ale wina i odpowiedzialność to nie to samo. Powinieneś czuć się odpowiedzialny, jeśli uważasz, że to twój obowiązek, ale nie możesz nigdy się winić. Nie możesz karać siebie za grzechy innych.

Posłuchałem. I zrozumiałem. Pragnąłem coś zrobić, jednak nie wiedziałem co.

W naszym domu pojawiło się dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i kapeluszach. Matka powiedziała, że są z wydziału śledczego stanu Georgia, że zostali przydzieleni do pomocy szeryfowi Dearingowi. Przemierzali stan wzdłuż i w szerz, zadając bezpośrednie, niedelikatne pytania, i z tego, co podsłuchałem z rozmów toczących się w kuchni, wyglądało na to, że ludzie szybko zaczęli mieć ich dosyć. Dearing podobno chciał im towarzyszyć, ale agenci Leon Carver i Henry Oates odmówili, twierdząc, że to sprawa federalna i że kluczem do jej rozwiązania jest obiektywizm. Widziałem kiedyś Carvera, wysokiego, onieśmielającego mężczyznę, którego usiany fioletowymi żyłkami nos wyglądał jak zaciśnięta pięść. Mając oczy głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami, wydawał się zerkać z całkowitej ciemności. Nie zamieniliśmy ani słowa. Popatrzył tylko na mnie, jakby mi nie ufał, po czym się odwrócił. Obaj pozostali w Augusta Falls trzy dni, a potem udali się na południe, poruszając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara przez okoliczne miasteczka. W końcu wyjechali. Nie słyszeliśmy o nich już więcej i nikt ich nie wspominał.

Jakiś czas później rozmawiałem z Hansem Krugerem.

- Wampir - oświadczył. - To jakiś wampir przychodzi i wysysa krew z dzieci.

Prychnąłem z pogardą.

- Kto ci to powiedział?

- Walter - odparł. - To on mi powiedział, że to wampir. Ktoś, kto powstał z grobu i musi pić krew, żeby pozostać przy życiu.

- I ty uwierzyłeś w te bzdury?

Hans wahał się przez chwilę.

- I to samo opowiedział Elenie? - zapytałem.

Potrząsnął głową.

- Nie, Elenie tego nie mówił. Muszę jej o tym opowiedzieć...

Chwyciłem go za kołnierzyk koszuli. Próbował się wyrwać, ale trzymałem mocno.



- Nie waż się niczego jej gadać! - warknąłem. - Zostaw Elenę w spokoju. Jest i tak wystarczająco przerażona bez twoich bzdurnych historyjek o stworach, które nie istnieją!

Zza rogu wyszedł Walter.

- Ejże! Co tu się dzieje? Nie bijcie się!

Hans wyrwał się z mojego uścisku i wbiegł do domu.

Stałem tam, zawstydzony i trochę przestraszony widokiem Waltera.

- Co się stało? - zapytał.

- Zabroniłem mu opowiadać Elenie o wampirze - oznajmiłem. - Nie chcę, żeby się przestraszyła. Hans chciał jej o tym powiedzieć.

Walter wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę? Już ja się nim zajmę.

- Tylko nie zrób mu krzywdy.

Walter położył rękę na moim ramieniu.

- Nie zrobię mu krzywdy, spokojnie. Ja tylko dam mu nauczki.

- To nie wampir... to jakiś człowiek robi te rzeczy, jakiś straszliwy człowiek.

Walter uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Wiem, Josephie, wiem. Niech policja się tym zajmie, dobrze? Policja odkryje, kto jest za to odpowiedzialny, i zrobi z nim porządek. A ja się zajmę Hansem i Eleną.

Nic nie powiedziałem.

- Wszystko gra? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Tak - odparłem, ale wcale tak nie uważałem. Walter wychodził z ojcem, pracował na farmie, pomagał utrzymać rodzinę. Postanowiłem sam zaopiekować się Eleną i nic nie było w stanie mnie od tego odwieść.

- Idź już - powiedział. - No już, do domu. Porozmawiam z Hansem i zadbam o to, żeby nie przestraszył siostry.

Odwrociłem się i pobiegłem do siebie. Nie powiedziałem ani słowa matce. Stałem przy oknie w swojej sypialni i patrzyłem na dom Krugerów. Wiedziałem, że jeśli coś się stanie Elenie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Po wyjeździe federalnych szeryfowie z dwóch hrabstw - Haynes Dearing, mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, który jednak wyglądał starzej, i Ford Ruby - odbyli posiedzenie w Quinn Cumberland Diner, powszechnie szanowanym lokalu prowadzonym przez dwie wdowy w północnej części Augusta Falls.

Haynes Dearing należał do Kościoła metodystycznego hrabstwa Charlton. Natomiast

szeryf Ford Ruby był członkiem Kościoła episkopalnego i uczestniczył w nabożeństwach odbywających się w Woodbine. Jednak mimo odmiennego zdania w kwestii Johna Wesleya i interpretacji Biblii uznali, że trzeba się koniecznie spotkać, ponieważ śmierć małej dziewczynki jest ważniejsza od różnic religijnych.

Ta śmierć zbliżyła ich do siebie i połączyli siły. Rozważali nawet ściągnięcie pewnego człowieka z Valdosty, urzędnika dysponującego wykrywaczem kłamstw, ale w końcu się nie pokazał. Z pomocą każdego, kto tylko mógł iść o własnych siłach, przeszukali lasy i brzegi wokół Silco; nawet wrócili i jeszcze raz sprawdzili drugi koniec High Road, po prostu dla pewności. Czego ta pewność dotyczyła, nie miałem pojęcia i nie pytałem; wiedziałem tylko, że w kuchni mojego domu dorośli znów prowadzą przyciszonymi głosami rozmowy. Poszukiwania nic nie dały i w końcu, jak się można było spodziewać, Haynes Dearing i Ford Ruby wrócili do sporu o Johna Wesleya oraz Biblię. Kłócili się aż do chwili, gdy uznali, że wspólna praca była jednak błędem, w ogóle błędem było samo myślenie o tym, że mogą razem pracować, i przysięgli, że nigdy więcej się to nie zdarzy. Pod koniec sierpnia nie słyszałem już ani słowa o Lavernie Stowell. Może ona również została aniołem, podobnie jak Alice Ruth Van Home, a być może i mój ojciec, jeśli udało mu się oczyścić i postarał się na tyle mocno, że dostał łaski zajęcia miejsca pośród nich. Wmawiałem sobie, że ten koszmar naprawdę się skończył. Wierzyłem, że jakiś włóczęga, szalony, brutalny i bezwzględny, pojawił się na chwilę w naszym życiu, po czym zniknął. Z jakiegoś nieznanego powodu odwiedził nas dwa razy, ale tym sobie nie zawracałem głowy. Prawda różniła się od moich wyobrażeń. Zastanawiałem się, czy również w jakimś innym hrabstwie albo w innym stanie ten wampir odbiera życie dzieciom. Miałem oczy i uszy otwarte, nawet w nocy; czasami budziły mnie odgłosy zwierząt pomiędzy naszym domem a domostwem Krugerów i leżałem w łóżku, trzęsąc się z zimna i ze strachu. Po jakimś czasie, przygotowując się na to, co mogę zobaczyć, wyslizgiwałem się spod kołdry i podchodziłem ostrożnie do okna. Nic nie widziałem. Noc przede mną była chłodna, nieruchoma i monochromatyczna i zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem wyobraźnia nie płata mi figła. Miałem nadzieję, naprawdę miałem nadzieję, że koszmar już minął, jednak w głębi duszy wiedziałem, że tak nie jest.

- Konkurs - powiedziała panna Alexandra Webber.

Od śmierci córki państwa Stowell minęło pięć miesięcy; pięć miesięcy i kolejne święta.

Te święta były ciężkie dla mojej matki. Ona i pani Kruger, która - jak już teraz wiedziałem - miała na imię Mathilde, zaoferowały się do pomocy podczas epidemii grypy, rozprzestrzeniającej się pośród murzyńskich rodzin. Przez wiele dni wychodziła z domu

wczesnym rankiem i wracała późnym wieczorem, a ja spędzałem większość czasu w domu Krugerów. Miałem trzynaście lat, byłem kilka miesięcy starszy od Hansa, kilka lat młodszy od Waltera. Niemniej jednak, mimo że byliśmy w zbliżonym wieku, mało nas łączyło.

Niemal każdy miał własne zdanie na temat wojny; ludzie mówili, że Adolf Hitler jest szaleńcem, że Ameryka zostanie wciągnięta do walki. Roosevelt został wybrany po raz trzeci na prezydenta i chodziły słuchy, że Brytyjczycy używają amerykańskiej broni i ekwipunku, za które zapłacą dopiero po zakończeniu wojny. Niektórzy - szczególnie Reilly Hawkins - twierdzili, że to pierwszy krok na krótkiej drodze do współpracy.

- Wezwą nas - powiedział pewnego dnia. - Wezwą nas do walki w Europie.

- I co, pójdziesz na wojnę? - zapytała go moja matka.

- Bez dwóch zdań - odparł Reilly. - To zaszczyt oddać życie za sprawę, nie? Poza tym lepiej zginąć na wojnie niż tutaj na bagnach od tej cholernej murzyńskiej grypy.

- Reilly - upomniała go matka.

- Tak, psze pani - odparł z zakłopotaniem. - Bardzo przepraszam, psze pani.

- Czy ty w to wierzysz? - zapytałem Reilly'ego. - Naprawdę wierzysz w wojnę?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, Josephie, nie wierzę w wojnę. Powiem ci, w co wierzę... - Przerwał nagle i zerknął na moją matkę, jakby chciał się upewnić, że może mówić.

- Śmiało, Reilly Hawkinsie, tylko pamiętaj, że słucham i dam ci znać, kiedy się zagalopujesz.

- Wierzę - zaczął Reilly - w wolność przekonań, wiary i słowa. Ten gość - Adolf Hitler - to bez dwóch zdań faszysta i dyktator. To przez niego Niemcy kipią ze złości i nienawiści do Żydów, Cyganów, ludzi, którzy nie wyglądają tak jak oni, nie mówią tego samego co oni i nie chodzą do tych samych kościołów co oni. Narzucił swoje poglądy całemu krajowi i kraj oszalał. Tego rodzaju rzeczy przenoszą się jak wirus i jeśli dobrzy ludzie, uczciwi ludzie - ludzie tacy jak my - nie zrobią wszystkiego, co w ich mocy, żeby ją powstrzymać, ta zaraza rozpowszechni się wszędzie. To dlatego pójdę walczyć, jeśli będzie trzeba.

Następnego dnia zapytałem pannę Webber o wojnę i o to, co Reilly Hawkins mówił o Żydach i Cyganach.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną. Potem zrobiła taką minę, jakby było jej czegoś żal, a może nawet powstrzymywała łzy.

To właśnie wtedy powiedziała mi o konkursie. Zmieniła temat - nagle, niespodziewanie - i zapomniałem o Adolfie Hitlerze i o tym, że sprawił, iż ludzie są pełni

złości i nienawiści.

- Jaki konkurs?

- Konkurs na opowiadanie. Polega na napisaniu i wysłaniu opowiadania.

Przechyliłem głowę.

- Nie rób tak, Josephie Vaughanie - upomniała mnie. - Wyglądasz, jakbyś miał tylko połowę mózgu i dlatego głowa ci się przekrzywia.

Wyprostowałem się.

- Napisz opowiadanie - powiedziała. - Może być o czymkolwiek, ale tak jak już kiedyś mówiliśmy, najlepiej, żeby było o czymś, co cię interesuje, albo o czymś, co przeżyłeś. Nie powinno liczyć więcej niż dwa tysiące słów. Jeśli będzie dobre, poprawię je, przepiszę na mojej maszynie do pisania marki Underwood i wyślę je do Atlanty.

Nic nie powiedziałem. Właściwie nie przypominam sobie za dobrze tej chwili. Pamiętam tylko, że moje oczy i usta były szeroko otwarte.

- No co? - zapytała panna Webber. - Dlaczego tak stoisz bez słowa?

Po chwili potrząsnąłem głową.

- Bez powodu - odparłem.

- Teraz wyglądasz jak jeden z tych chłopców, którym trzeba wycierać usta co piętnaście minut... Wracaj do swojej ławki, Josephie.

- Tak, proszę pani.

- I zacznij pracować nad pomysłami. Na napisanie opowiadania masz równo miesiąc.

Trzy dni później natrafiłem przypadkiem na słowo „błazeństwa”. Nie pamiętam już teraz, w jakich okolicznościach. Było bardzo stare i oznaczało figle i psoty, czyli to, co robią dzieci, kiedy są w radosnym nastroju. To słowo sprawiło mi radość, wywołało mój uśmiech, dlatego postanowiłem tak właśnie zatytułować swoje opowiadanie.

Napisałem o tym, jak to jest być dzieckiem, ponieważ byłem dzieckiem. Napisałem, jak to jest mieć trzynaście lat i wychowywać się bez ojca, o wojnie w Europie i pewnych rzeczach, o których opowiedział mi Reilly Hawkins. Oprócz tego napisałem o rzeczach, które robiłem, by zająć czymś myśli, żeby zapomnieć, że moja matka jest zmęczona, że Hitler jest szaleńcem i gdzieś, tysiące kilometrów stąd zabija się ludzi, ponieważ myślą lub mówią inaczej. Napisałem o psikusach, które robiliśmy razem z Krugerami. O tym, jak znaleźliśmy martwego szopa i spaliliśmy go. Wykopaliśmy wiciokrzew i posadziliśmy go na tym małym grobie, powiedzieliśmy kilka słów i życzyliśmy szopowi, żeby odnalazł Alice Ruth oraz Lavernę i dotrzymał im towarzystwa w niebie. Napisałem o tych wszystkich rzeczach, podpisałem się starannie na dole „Joseph Calvin Vaughan” i dopisałem, ile mam lat,

ponieważ doszedłem do wniosku, że ludzie w Atlancie chcą znać takie szczegóły.

Dałem swoje opowiadanie pannie Webber w piątek, 18 lutego. W poniedziałek powiedziała mi, że przepisała je i wysłała do Atlanty, po czym pokazała mi to miasto na mapie. Wydawało się strasznie odległe. Zastanawiałem się, czy moje opowiadanie zestarzeje się do czasu, gdy tam dotrze.

Myślałem o tym opowiadaniu przez jakiś czas, a potem o nim zapomniałem. Wydawało mi się, że napisanie o czymś jest sposobem na uporanie się z tym.

- Można patrzeć na to i w taki sposób - przyznała panna Webber. - Można też i tak, że to, co zapisane, przetrwa wieki. To tak jak z książką, którą podarowałam ci na ostatnią Gwiazdkę... to, co tam zostało napisane, ciągle się w niej znajduje. Istnieją tysiące egzemplarzy tej książki, w kraju i na świecie. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili jakiś człowiek w Anglii, inny w Paryżu we Francji, a jeszcze inny w Chicago czyta właśnie tę książkę. A to, co wszystkie te osoby myślą przy tej lekturze, może być całkiem inne od tego, co czuł pisarz, kiedy to pisał. Opowiadanie jest jak komunikat, który znaczy coś całkiem innego dla każdego, kto go otrzymuje.

Chłonałem każde słowo panny Webber, ponieważ wszystko, co mówiła, miało dla mnie sens.

## IV

Wraz z nadejściem wiosny moja matka zachorowała. Stała się blada i anemiczna. Doktor Thomas Piper kilka razy złożył jej wizytę i wyglądał na zaniepokojonego i zmartwionego. Nosił ciemny garnitur z kamizelką, miał zegarek kieszonkowy na złotym łańcuszku i skórzaną torbę, z której wyjmował buteleczki z jodyną i patyczki, które wkładał chorym do ust.

- Ile masz lat? - zapytał mnie.

- Trzydzieści, proszę pana - odparłem. - W październiku skończę czternaście.

- To dobrze. Z tego, co widzę, jesteś już prawie mężczyzną. Twoja matka ma słabą krew. Mało w niej substancji odżywczych, mało żelaza i większości tego, czego powinno być dużo. Potrzebuje odpoczynku w łóżku i ciszy, być może nawet przez jakiś miesiąc. Poza tym musi mieć dietę bogatą w zielone warzywa i dobre mięso. Jeśli nie będzie przestrzegać tych zaleceń, długo nie pociągnie.

Po wyjściu doktora Pipera poszedłem do Krugerów.

- Zajmiemy się nią - zapewniła mnie Mathilde. - Codziennie będę do niej posyłać Gunthera z zupą i kapustą, a kiedy nabierze sił, będziemy ją karmić kielbasą z ziemniakami. Nie martw się, Josephie, może i straciłeś ojca, ale na pewno nie stracisz matki. Bóg nie jest aż tak okrutny.

Trzy tygodnie później, tego dnia, kiedy Reilly Hawkins powiedział mi, że prezydent Roosevelt wysłał amerykańskich żołnierzy na Grenlandię, panna Webber kazała mi zostać po lekcjach.

- Dostałam list - oznajmiła, po czym wyjęła z biurka kopertę. - Z Atlanty w stanie Georgia. Siadaj, przeczytam ci go.

Poszedłem na początek klasy i usiadłem.

- Szanowna pani! - zaczęła. - Z ogromną przyjemnością pragniemy poinformować panią o wynikach konkursu. Byliśmy pod wielkim wrażeniem poziomu materiałów nadesłanych w tym roku i chociaż ocenienie tak szerokiego wachlarza różnych stylów i tematów nigdy nie jest łatwe, uważamy, że w tym roku było trudniejsze niż kiedykolwiek.

Panna Webber przerwała i spojrzała na mnie.

- Z zalem musimy wyznać, że Błazeństwa Josepha Vaughana nie zakwalifikowały się do ostatniego etapu konkursu, jednak mimo to pragniemy panią poinformować, że z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy to opowiadanie. Błazeństwa sprawiły, że nasi jurorzy uronili więcej niż kilka łez, a parę razy szczerze wybuchnęli śmiechem. Kiedy zaś

stało się jasne, że opowiadanie to zostało napisane przez trzynastoletniego chłopca, mieliśmy poważne wątpliwości co do jego prawdziwego autorstwa. Te wątpliwości zostały natychmiast rozwiane, ponieważ jesteśmy świadomi pani doskonałej reputacji i wiarygodności jako nauczycielki. Mimo to wciąż nie możemy wyjść ze zdumienia, że utwór zdradzający tak duży naturalny styl narracyjny i tak wnikliwy zmysł obserwacji jest dziełem kogoś tak młodego.

Panna Webber raz jeszcze przerwała. Wszystko, co zrozumiałem, to że nic nie wygrałem. Nie czułem żadnych emocji w związku z tym.

- Na zakończenie pragnęlibyśmy z całego serca pochwalić pana Josepha Vaughana za jego opowiadanie Błazeństwa. Jego lektura była naprawdę przemiłym doświadczeniem czytelniczym i stanowi dowód na to, że mamy pośród nas, tutaj, w Georgii, błyskotliwego i ogromnie utalentowanego młodego autora, który - bardzo w to wierzymy - z czasem okrzepnie w swoich literackich próbach. Z najlepszymi życzeniami - komisja konkursu dla młodych autorów opowiadań w Atlancie.

Panna Webber odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. W następnej chwili jednak zasępiła się i przekrzywiła głowę. Miałem ochotę powiedzieć jej, że wygląda, jakby nie miała połowy mózgu.

- Nie cieszysz się, Josephie? - zapytała.

Nic nie powiedziałem. Zastanawiałem się, z czego według niej powinienem się cieszyć.

- Komisja konkursowa napisała do ciebie aż z Atlanty, żeby podkreślić, że twoje opowiadanie zasługuje na specjalną pochwałę. Jej zdaniem jesteś błyskotliwy i ogromnie utalentowany. Rozumiesz?

- Rozumiem, że nie wygraliśmy, proszę pani - powiedziałem.

Roześmiała się raptownie i ten śmiech był jak słońce przebijające się przez chmury.

- Nie wygraliśmy? Wygrana nie zawsze jest jedynym powodem, że coś robisz. Czasami robisz coś dla nabrania doświadczeń albo po prostu dla przyjemności; innym razem robisz coś, żeby udowodnić sobie, że to potrafisz, bez względu na punkt widzenia czy przekonania innych. Napisałeś opowiadanie, zaledwie drugie prawdziwe opowiadanie w swoim życiu, a komisja konkursowa wysłała ci specjalną pochwałę i wyraziła nadzieję, że okrzepniesz w swoich literackich próbach. To jest, mój drogi Josephie Calvinie Vaughanie, coś, z czego powinienes być bardzo dumny.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się. Zajęcia skończyły się już kwadrans temu i chciałem iść do domu. Kiedy wychodziłem tego ranka, mama wydawała się wyjątkowo słaba.

Panna Webber złożyła starannie list i umieściła go w kopercie.

- To dla ciebie - powiedziała i podała mi ją. - Powinieneś przechować ten list. Za każdym razem, gdy zwątpisz w swój talent, za każdym razem, gdy będzie ci się wydawać, że powinieneś zająć się czymś innym, a nie pisanie, przeczytasz go raz jeszcze i poczujesz, że siły powracają. Pisanie jest darem, panie Vaughan, i kwestionowanie jego wartości albo robienie czegoś wbrew talentowi byłoby poważnym błędem. - Uśmiechnęła się raz jeszcze. - A teraz... do domu!

Podziękowałem pannie Webber, wyszedłem ze szkoły i ruszyłem przed siebie. Pan Kruger powiedział mi kiedyś, że po deszczu ziemia jest zbyt miękka, by utrzymać ciężar dziecka, a co dopiero młodego mężczyzny takiego jak ja. I jeśli będę szedł drogą ze szkoły, mam się trzymać blisko płotu, z dala od drzew. Tak też robiłem.

Po powrocie do domu stałem w kuchni przez kilka minut. Z perspektywy czasu, naszego najbardziej przenikliwego doradcy, uświadamiam sobie, że nie przywiązywałem żadnego znaczenia do listu z Atlanty. To był mój pierwszy prawdziwy dowód uznania, a mimo to nic dla mnie nie znaczył. Wyjąłem go z kieszeni i przeczytałem. Przeczytałem słowa, ale ich nie przyswoiłem. Później ten list nabierze znaczenia i w jakimś stopniu stanie się kotwicą, gdy nadejdzie sztorm krytyki i zwątpienia we własne siły. Wtedy jednak - stojąc w kuchni - uważałem go za dowód porażki. Panna Webber nie była temu winna. List mówił, że muszę być lepszy, i chyba w jakimś ograniczonym zakresie określał poziom, do którego powinienem dążyć.

Nagle usłyszałem nad sobą głosy i zmieszałem się. Matka była sama w domu, a głosy brzmiały jak rozmowa. Czyżby choroba wpędziła ją w szaleństwo?

Wetknąłem list do kieszeni i stanąłem przy schodach. Nic nie słyszałem. Zacząłem podejrzewać, że mam omamy.

Nasłuchiwałem chwilę, a potem wbiegłem po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz. Kiedy dotarłem do podestu, znów usłyszałem głosy - mojej matki, ostry i ze śpiewną intonacją, a nawet z nutką śmiechu, i drugi - niższy, mówiący z obcym akcentem.

Podszedłem do drzwi. Były zamknięte, ale to z pewnością zza nich dochodziły te głosy.

Zapukałem.

- Mamo? - powiedziałem.

Na chwilę zapadła cisza, potem rozległ się jakiś szelest, a kiedy sięgnąłem do klamki, mama zawołała:

- Chwileczkę, Josephie, poczekaj chwilę, proszę.

Zamarłem zakłopotany i zdezorientowany.



Minęło jakieś pół minuty, może trochę więcej, zanim drzwi się otworzyły i stanął w nich Gunther Kruger. Popatrzył na mnie, uśmiechając się szeroko. Policzki miał zaczerwienione.

- Joseph! - wykrzyknął, wymawiając moje imię tak, jak to miał w zwyczaju, czyli „Josef”. Wydawał się bardziej zaskoczony niż ucieszony. - Witaj. Co za niespodzianka!

Pokręciłem głową. Dlaczego niespodzianka? Przecież zawsze wracałem ze szkoły o tej porze.

Za nim ujrzałem matkę leżącą w łóżku, z kołdrą naciągniętą aż po szyję. Wynurzyła spod niej rękę i wyciągnęła ją do mnie.

- Chodź, Josephie - powiedziała. - Wcześniej dzisiaj wróciłeś.

- Nieprawda - odparłem. - Zawsze wracam do domu o tej godzinie.

Zmarszczyła brwi.

- Ale przecież masz dodatkowe lekcje z panną Webber...

- W poniedziałki - przerwałem jej. - Dzisiaj jest piątek.

Uśmiechnęła się.

- No tak, oczywiście. Ale ze mnie idiotka. Pan Kruger właśnie przyniósł mi zupę. - Popatrzyła na komodę. Stał na niej gliniany garnek z zupą, którą pani Kruger przysyłała niemal codziennie. Wyglądał na nietknięty, nawet była na nim pokrywka.

- Aha - wybąkałem.

- Cóż... - powiedział pan Kruger. - Chyba na mnie już czas. Miło było cię widzieć, Josephie, zresztą tak jak zawsze. Wpadaj do nas częściej, żeby zobaczyć się z Hansem i Walterem. Dobrze?

- Dobrze - zgodziłem się, wciąż lekko zdziwiony.

Pan Kruger ściągnął marynarkę z krzesła stojącego za drzwiami i bez wkładania jej na siebie minął mnie, po czym zszedł po schodach. Słyszałem jego kroki na posadzce w kuchni, potem zaś rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi. Zapomniał pożegnać się z moją matką.

- Chodź tu - powiedziała. - Usiądź obok mnie.

Przeszedłem przez pokój. Wnętrze pachniało lawendą i gotowanym kurczakiem.

- Usiądź tutaj - poprosiła i poklepała dłonią materac. - Jak ci minął dzień, Josephie?

- Dostałem list.

- List?

Skinąłem głową.

- Od kogo?

- Od ludzi z komisji oceniającej opowiadania na konkursie w Atlancie.

Usiadła. Otworzyła szeroko oczy, na jej twarzy pojawił się wyraz zainteresowania.

- I co?

Wyjąłem list z kieszeni i podałem jej.

Przeczytała go bez słowa, a potem popatrzyła na mnie ze łzami w oczach i wyciągnęła rękę. Przyłożyła dłoń do mojej twarzy.

- Synku - powiedziała szeptem - wygląda na to, że znalazłeś swoje powołanie.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie przestawaj - ciągnęła. - Nigdy nie przestawaj pisać. Dzięki temu świat dowie się, kim jesteś.

Z jakiegoś powodu chciało mi się płakać, jednak się opanowałem.

Miałem trzynaście lat, byłem prawie mężczyzną i chociaż przywiązywałem do tego listu mniejszą wagę niż panna Webber i moja mama, nie był on z pewnością powodem do smutku.

Zacisnąłem zęby. Położyłem się obok matki na patchworkowej kołdrze i zamknąłem oczy.

Odgarnęła kosmyk z mojego czoła, a potem pochyliła się i pocałowała mnie.

- Twój ojciec byłby z ciebie dumny - powiedziała. - Jego syn pisarzem.

## V

Trzecia dziewczynka miała zaledwie siedem lat. Znalaziono ją w sobotę, 7 czerwca 1941 roku. Podobnie jak Alice Ruth Van Home i Laverna Stowell, została rozebrana do naga i zmasakrowana. Nazywała się Ellen May Levine. Szerokie, głębokie nacięcie biegło w połowie jej ciała, zupełnie jakby ktoś próbował przeciąć ją na pół. Może zaczął to robić, ale nie dał rady dokończyć.

Znałem ją niecałe trzy miesiące. Pochodziła z Fargo, położonego w pobliżu rzeki Suwannee w hrabstwie Clinch, i dołączyła do klasy panny Webber w marcu tego roku. Została znaleziona w płytkim dole nie więcej niż kilometr od mojego domu, pomiędzy drzewami przy polu Gunthera Krugera.

Szeryf Haynes Dearing spotkał się z szeryfem Fordem Rubym i pojechali na spotkanie z szeryfem hrabstwa Clinch Burnettem Fermorem. Plotka głosiła, że wszyscy trzej spędzili razem ponad dwie godziny; poprosili o szczegółowe mapy trzech hrabstw i co najmniej dwa razy zamawiali kanapki i kawę. Kiedy spotkanie dobiegło końca, wyglądało na to, że żaden z nich nie jest mądrzejszy, niż był przedtem, ale przynajmniej nie kłócili się o Johna Wesleya i Biblię.

Wyznaczono kilkunastu mężczyzn. Przybyli furgonetkami i zaczęli przeczesywać cały teren od jednego horyzontu do drugiego. Mieszkańcy miasta zbierali się na ulicach, dyskutując z ożywieniem. W gazecie pojawiały się coraz to nowe spekulacje, ale żadnych konkretów. Ludzie wspominali nawet o agentach Carverze i Oatesie z wydziału śledczego w Georgii, zupełnie jakby sprowadzenie ich z powrotem mogło coś dać. Carver i Oates nigdy więcej już się nie pojawili, podobnie jak nigdy nie przybył człowiek z Valdosty z wykrywaczem kłamstw. Szeryf Dearing wyglądał na wyczerpanego, zupełnie jakby sen był wzmowie z mordercą i unikał go z wielką zręcznością. Mówiono o prawdopodobnych narzędziach zbrodni, o nożach, tasakach i innych. Oglądałem to wszystko i zastanawiałem się, jakim cudem ci ludzie chcieli znaleźć kogoś, kto zadbał o to, by nie zostać odkryty. Wszyscy wiedzieli, że są niewinni, ale wiedzieli również, że są podejrzani i takimi pozostaną do czasu, aż zostanie odnaleziony prawdziwy sprawca.

Nie został i z jakiegoś powodu byłem przekonany, że nie zostanie.

- To po prostu potworność - powiedział Reilly Hawkins. Znów siedział w naszej kuchni. Mama wyzdrowiała, jednak pan Kruger w dalszym ciągu przynosił jej dwa lub trzy razy w tygodniu zupę i kiełbasę od swojej żony. Wiedziałem o tym, ponieważ często po szkole matka wysyłała mnie do Krugerów z umyтыми dzbankami i talerzami oraz

podziękowaniem.

- Ta sprawa z dziećmi...

Matka potrząsnęła głową.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Reilly - powiedziała.

- Ja chcę o tym rozmawiać - oświadczyłem. - Jestem już na tyle duży, żeby wiedzieć, co to jest morderstwo i że na świecie jest mnóstwo szaleńców. Panna Webber mówiła nam, że Niemcy wywożą Żydów do obozów i że wiele tysięcy osób zginęło...

- Naprawdę tak mówiła? - przerwała mi matka. - Nie jestem pewna, czy powinna mówić o tym małym dzieciom.

- Nie takim znów małym - zaprotestowałem. - Wiem, że francuska policja aresztuje Żydów w Paryżu i przekazuje ich Niemcom. Wiem też, że James Joyce umarł w Szwajcarii i że Virginia Woolf utopiła się w rzece...

- Dość - ucięła matka. - Wiesz dużo rzeczy, Josephie, ale to jeszcze nie znaczy, że będziemy rozmawiać w naszej kuchni o mordowaniu małych dziewczynek.

Spojrzałem na Reilly'ego Hawkinsa. Odwrócił wzrok.

- Znałem je wszystkie - powiedziałem. Głos mi się łamał z emocji. Czuję, że zaraz się rozplacę. - Wszystkie trzy. Znam ich imiona, nazwiska, wiem, jak wyglądały. Siedziałem z nimi w jednej sali lekcyjnej. Czasami panna Webber kazała mi głośno coś przeczytać, a wtedy Ellen May przysuwała się, jakby chciała słyszeć każde słowo, które wypowiadam. - Nie mogłem już tego wytrzymać. Zerwałem się na równe nogi. - Chcę o tym rozmawiać! Chcę wiedzieć, co się dzieje i dlaczego nie możemy nic zrobić z tymi strasznymi rzeczami!

- Dostyc już tego! - warknęła. - Masz obowiązki do wykonania. Umyj okno w swoim pokoju, a potem możesz iść do Krugerów, jeśli chcesz.

Rosła we mnie wściekłość. Przeszyłem matkę gniewnym spojrzeniem i nagle zrozumiałem. Bała się tak samo jak ja; nie wiedziała, co powiedzieć, żeby ten strach odegnać.

Poczułem, że powinienem spróbować się z nią pojednać. Wydawało mi się, że należy ją przeprosić, wyjaśnić, że mam mętlik w głowie, boję się i muszę opowiedzieć komuś o tym, jak się czuję. Jednak byłoby to w moim mniemaniu równoznaczne z kapitulacją. Zrobiłem więc małe przedstawienie, tupiąc nogami, gdy szedłem po schodach i korytarzem na piętrze. Kiedy dotarłem do drzwi swojego pokoju, otworzyłem je, a następnie nimi trzasnąłem, jakbym wszedł do środka. Potem zawróciłem i stanąłem u szczytu schodów.

-...uparty, zgadza się, ale rzadko kiedy nieposłuszny - mówiła mama. - Jest inteligentny i dociekliwy jak jego ojciec i kiedy już coś sobie wbije do głowy, nie popuści.

- Nie jestem właściwą osobą, żeby go osądzać - odparł Reilly. - Jest jedynym

chłopcem, z którym kiedykolwiek byłem tak blisko, i staram się nim opiekować. Ostatnie wydarzenia... te morderstwa... to coś strasznego. Trudno nawet sobie wyobrazić, jak muszą się czuć rodzice.

- Znam trochę rodziców drugiej dziewczynki - powiedziała moja matka. - Leonard i Martha Stowell. Mili ludzie. Nigdy nie poznałam ich córki. Była chyba najmłodsza. Z tego, co pamiętam, mają jeszcze troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę.

- Tragedia, straszliwa tragedia. Pomyśleć tylko, że taka potworność jest dziełem człowieka.

- O ile kogoś takiego można w ogóle nazwać człowiekiem. Moim zdaniem nie.

Reilly odchrząknął.

- Nie wiem, wygląda na to, że świat stał się strasznym miejscem. Wojna w Europie, te okropne rzeczy, które podobno robi się Polakom i Żydom... Słyszałem plotki, że Niemcy wyszukują i zabijają intelektualistów - muzyków, malarzy, pisarzy i poetów, nawet wykładowców i nauczycieli - wszystkich, którzy w jakiś sposób sprzeciwiają się ich światopoglądowi. Wyszukują ich i zabijają od razu na ulicy.

- To nie świat, Reilly. To po prostu kilku chorych ludzi, którzy zniewolili ciemny lud. Ta propaganda przeciw Żydom trwała od jakichś dwudziestu lat albo nawet dłużej. Adolf Hitler wolno zatruwał umysły i serca Niemców, a robił to długo przed rozpoczęciem wojny. Mam tylko nadzieję, że skończy się ona, zanim jeszcze bardziej zostaniemy w nią wciągnięci.

- Nie wiem, jak można by tego uniknąć - stwierdził Reilly. - Jako wolny i demokratyczny naród mamy obowiązek przeciwstawiać się tego rodzaju prześladowaniom.

- To prawda - przyznała matka - ale naszym podstawowym obowiązkiem w tej chwili jest chronienie dzieci naszych sąsiadów i znajomych przed potworem, który żyje wśród nas.

Wróciłem do swojego pokoju. Z okna patrzyłem na Elenę Kruger, która pomagała swojej mamie wieszać pranie na podwórku.

Trzy dni potem Elena zaczęła chodzić do szkoły panny Webber. Siedziała w rzędzie po lewej, jedną ławkę przede mną.

Siedziała na tym samym miejscu, na którym siedziała Ellen Mary Levine, zanim ktoś próbował przekroić ją na pół.

Choroba Eleny Kruger wydawała mi się jawną niesprawiedliwością. Nigdy nie byłem świadkiem jej ataku padaczkowego, lecz siniaki na rękach i ramionach było wyraźnie widać, kiedy poszliśmy pływać w jednym z małych dopływów Okefenokee. Czerwiec był upalny, ale to dopiero lipiec przyniósł temperaturę mogącą topić kamień, a kiedy w końcu zaczęły się wakacje, w pierwszym tygodniu sierpnia ledwo mogliśmy znieść ten okrutny skwar. Słońce

świeciło wysoko na niebie, jasne i twarde jak pięść i takim pozostawało do zmierzchu, po czym odpoczywało, żeby nabrać sił na następny dzień. Reilly twierdził, że to najgorętsze lato w historii; Gunther Kruger powiedział jednak, że właściwie to nie wiadomo, skąd Reilly czerpie tego rodzaju informacje. Mnie się wydawało, że nie ma znaczenia, jakie były inne lata; to, które mieliśmy teraz, w zupełności mi wystarczało. Walter Kruger pracował przez większość dnia z ojcem, więc nasza trójka - ja, Hans i Elena - wczolgiwaliśmy się pod dom Krugerów, szukając ucieczki od gorąca. Pod domem było chłodno i wilgotno, to był prawie inny świat i mimo robactwa i wrażenia, że coś wilgotnego pełza po skórze, cień zapewniany przez dom był o wiele bardziej znośny niż ostre i bezlitosne słońce.

- Myślę... myślę, że jeśli upał potrwa jeszcze jakieś trzy tygodnie, bagna wyschną na tyle, że będzie można po nich chodzić - powiedział Hans. Uważałem go za nieco tępego - miał według mnie dobre chęci, ale był powolny, zupełnie jakby jego myśli miały ustalony czas na przybycie, a mimo to się spóźniały. Uwielbiał Waltera; wpatrywał się w niego jak w źródło wszelkiej mądrości i prawdy. Jeśli Walter coś powiedział, było to święte. Trochę z tego przeszło z Hansa na Elenę i już wkrótce poczułem, że moim obowiązkiem jest chronić ją przed psikusami i żartami obu braci. Pewnego razu, przed laty, Hans kazał Elenie zjeść robaka. Powiedział, że to polecenie Waltera. Ma zjeść całego robaka. Nie zadawała żadnych pytań; spędziła pięć minut, szukając jakiegoś, aż wreszcie pojawił się Walter i zapytał ją, co robi. To chyba był jakiś niemiecki zwyczaj, że młodszy zawsze powinien podporządkowywać się starszemu. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że Walter kazał mi zjeść robaka, odparłbym, żeby wsadził sobie tego robaka tam, gdzie słońce nie dochodzi, i nie miałbym wcale na myśli miejsca pod domem Krugerów.

Upały nie trwały tylko przez następne trzy tygodnie, one trwały aż do drugiej połowy września i do tego czasu Okefenokee o mało nie zniknęła z map naszego hrabstwa. Nigdy się nie przekonaliśmy, czy bagna wyschły na tyle, by móc po nich chodzić. Niespodziewanie rozpoczęła się epidemia kolki. Jej ofiarą padały konie aż do Winokur na północy i do St. George na południu. Na zebraniach w całym stanie rozdawano mapy z wytyczonymi na nich liniami. Ludziom zabroniono je przekraczać, żeby nie przenosili zarazy na nowe obszary. O dziwo, mimo że byliśmy sąsiadami, jedna z tych linii biegła między naszym gospodarstwem a gospodarstwem Krugerów. Nie mogłem ich odwiedzać aż do świąt, ale co tydzień matka wysyłała mnie na koniec High Road, a tam - zawinięta w kawałek materiału i wetknięta pod kamień - leżała przesyłka od pana Krugera. Szedłem po tę paczuszkę niezliczoną ilość razy. To był zwykły kawałek skóry zwinięty i związany sznurkiem. Za każdym razem przekazywałem go matce bez pytania. W końcu jednak ciekawość zwyciężyła. Wyjąłem

pakunek spod kamienia i ukląłem na chwilę na ziemi. Zastanawiałem się nad tym, co pomyślałby sobie mój tata; czy postarał się już na tyle, że został aniołem, i czy umie czytać w moich myślach. Jednak ciekawość okazała się silniejsza od groźby potępienia i rozwiązałem sznurek, zapamiętując, gdzie znajdowały się poszczególne węzły, żeby potem móc zawiązać go na nowo.

Siedem dolarów.

Jeden banknot pięciodolarowy i dwie jednodolarówki.

Wydało mi się dziwne, że Gunther Kruger przysyła co tydzień mojej mamie siedem dolarów.

Złożyłem banknoty z powrotem, zawinąłem je w kawałek skóry, obwiązałem sznurkiem, a potem pobiegłem do domu.

Dałem matce pieniądze, nie mówiąc ani słowa.

Nie wiedzieć czemu, czułem się jak Judasz.

## VI

Grudzień 1941.

W październiku usłyszeliśmy, że Adolf Hitler znajduje się pod bramami Moskwy, a także że amerykański niszczyciel eskortowy USS „Reuben James” został zaatakowany podczas eskortowania konwoju na zachód od Islandii. Siedemdziesięciu marynarzy zginęło, czterdziestu czterech uratowano. Wstrzymaliśmy oddech, bojąc się poruszyć. Reilly Hawkins twierdził, że stanie się coś strasznego, że miał złe przeczucie podczas załatwiania spraw w White Oak.

Przecucie go nie myliło.

Siódmego grudnia Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Trzysta sześćdziesiąt japońskich samolotów wojskowych zaatakowało amerykańską bazę na Hawajach. Natarli również na amerykańskie - bazy na Filipinach, na Guam i Wake. Dwa tysiące czterysta osób zginęło.

Cztery dni później Hitler i Mussolini, faszystowski dyktator Włoch, wypowiedzieli wojnę Stanom Zjednoczonym.

W ciągu następnych sześciu tygodni amerykańskie oddziały wylądują w Irlandii Północnej. Ich członkowie będą pierwszymi amerykańskimi żołnierzami, których stopa postąpiła w Europie od czasów, gdy korpusy ekspedycyjne wylądowały we Francji podczas pierwszej wojny światowej.

Reilly Hawkins pojechał aż do Fortu Stewart, który leżał rzut kamieniem od Savannah, jednak armia powiedziała mu, że ma płaskostopie i nie może walczyć dla Roosevelta. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tak bardzo przygnębionego i załamane go; nie wychodził z domu przez trzy dni, a kiedy w końcu się wynurzył, nie golił się ani nie zmieniał koszuli. Moja matka powiedziała, że nic tak nie łamie ducha mężczyzny jak powiedzenie mu, że nie może pomóc.

Cztery dni przed Gwiazdką przyszedł do nas Gunther Kruger. Hans zachorował - miał wysoką temperaturę, bóle mięśni, majaczył. Matka zadzwoniła do doktora Pipera i zbadał on chłopca.

- Streptobacillus moniliformis - obwieścił donośnym głosem.
- Gadaj pan po ludzku - powiedziała matka.
- Szczurza gorączka - wyjaśnił doktor Piper. - Chłopiec został ugryziony przez szczura
- dodał już dla pełnej jasności i pokazał ropiejący obrzęk z tyłu kostki Hansa. - Oto ślad po ugryzieniu.



- Może pan to wyleczyć? - zapytała.

- Oczywiście, że tak - odparł doktor - ale trzeba będzie znaleźć i wytepić te szkodniki.

Matka uśmiechnęła się i skinęła głową. Odwróciła się do mnie.

- Josephie - powiedziała - biegnij do domu Reilly'ego i powiedz mu, że doktor Piper chce, żeby zaraz przyszedł do domu Krugerów.

Reilly zaczął pracować sam, jednak pod koniec następnego tygodnia miał już do pomocy siedmiu ludzi. Jednostka do Zwalczania Szkodników w Augusta Falls. To matka wymyśliła tę nazwę, a doktor Piper dodał, że jeśli zarażone szczury nie zostaną znalezione, wszystkie dzieci w miasteczku znajdują się w niebezpieczeństwie. Dla morale i dla dobra rodzin było konieczne, by to zadanie zostało wykonane skutecznie, z wojskową dyscypliną i szybkością. Reilly został dowódcą. Miano się tak do niego zwracać. Członkowie jednostki dysponowali strzelbami kaliber.25 (całą amunicję finansowało miasto), pułapkami, siatkami, wojskowymi butami i innym wyposażeniem armii. Weszli w posiadanie tego wszystkiego drogą oficjalną, wszystko to - na swój sposób - było niezbędne do działań wojennych.

Dowódca Hawkins golił się codziennie, chodził w czystej koszuli, patrolował drogi, którymi dzieci chodziły do szkoły. Na ramieniu miał zawieszoną strzelbę, kieszenie pełne naboji i pracował sumiennie nad tym, żeby wykurzyć wszystkie szczury z Augusta Falls.

- Szczury będą zawsze - powiedział doktor Piper mojej matce. - Niemożliwe, żeby pani wierzyła, że Reilly Hawkins zdoła wypłenić szkodniki w całym hrabstwie... A nawet jeśli to zrobi, podobno szczury w Clinch i Brantley są o wiele większe i groźniejsze od tych, które mamy w Charlton.

Mama uśmiechnęła się do niego.

- Nigdy nie twierdziłam, że to możliwe, ale gdy będzie pan miał wolną chwilę, niech pan idzie i zobaczy Reilly'ego Hawkinsa, a przekona się pan, że ma większe poczucie własnej wartości niż kiedykolwiek przedtem.

Doktor Piper odwzajemnił uśmiech.

- Gdybyż wszystkie kobiety w Augusta Falls były tak roztropne jak pani...

Matka skinęła lekko głową.

- Gdybyż wszyscy mężczyźni dawali się tak łatwo nakłaniać do konstruktywnych działań jak pan, panie doktorze...

Nic więcej nie powiedziano. Reilly Hawkins ze swoimi ludźmi dalej odszukiwał i zabijał szczury. Prowadził rejestr, szczegółowy i dokładny. W lutym 1942 roku, kiedy Japończycy zajęli coś, co nazywało się Sumatra, oświadczył z dumą, że odpowiada za zabicie ponad czterystu trzydziestu szczurów. Nie okazywano im żadnej litości. Nie brano żadnych

jeńców. Między polem bawełny a zagajnikiem drzew tupelo, położonym na końcu ziemi Gunthera Krugera, wykopano głęboką na dwa i pół metra dziurę. Wysypywano tam z wiader martwe szczury, a następnie palono.

To był ostatni raz, gdy Gunther Kruger i Reilly Hawkins współpracowali, ponieważ odkąd minęły święta i weszliśmy w rok 1942, wszystko w Augusta Falls się zmieniło.

To wojna za to odpowiadała; może zresztą nie tyle wojna, ile to, z czym wojna się wiązała. Uzmysłowiła nam, że są różnice między ludźmi; że gdzieś tam, tysiące kilometrów stąd, nasi rodacy giną za coś, czego nawet nie rozpoczęliśmy. Uzmysłowiła nam, że Niemcom nie można ufać, że Ameryka została wciągnięta w konflikt, którego nie wywołała.

- Nietolerancja religijna - powiedziała nam panna Alexandra Webber. - Uprzedzenia, nietolerancja religijna, istne polowanie na czarownice... Tego właśnie dopuszczono się względem Żydów. Stoi to w sprzeczności ze wszystkim, w co wierzą Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w sprzeczności z naszą konstytucją. Nie ma możliwości, żebyśmy mogli odmówić zaangażowania się w ten konflikt. To nie jest wojna między Anglią a Niemcami ani między Ameryką a Japonią. To wojna między aliantami a państwami Osi, które reprezentują wszystko to, do czego czujemy odrazę i co potępiamy. To wojna o wolność, o możliwość wyboru, o tolerancję religijną. Wiercie mi, gdybym była mężczyzną, zaciągnęłabym się.

Panna Webber mówiła szczerze i bez ogródek. Wszyscy obracali się przeciwko emigrantom: Włochom, Niemcom, nawet przeciwko niektórym przybyszom z Europy Wschodniej, którzy prowadzili farmy niedaleko Race Pond. Na zebraniach miejskich panowała napięta atmosfera, coś nieuchwytnego, choć niepozostawiającego wątpliwości. Osoby niebędące Amerykanami zaczęły wycofywać się z życia naszej społeczności. Nawet Gunther Kruger trzymał swoje dzieci w domu. Oczywiście rzeczą było, że dzieje się coś niedobrego.

Napięcie sięgnęło zenitu w środę, 18 marca 1942 roku, wraz z odkryciem czwartej zamordowanej dziewczynki.

Nazywała się Catherine Wilhelmina McRae. Miała osiem lat. Jej odcięta głowa została znaleziona przez bawiące się dzieci w tym samym miejscu, między polem bawełny a zagajnikiem tupelo, gdzie wykopano dziurę na szczury. Jej ciało odkryto w rowie trzydzieści pięć metrów dalej. Nie było najmniejszych wątpliwości, że morderca Catherine McRae to ta sama osoba, która zamordowała Alice Ruth Van Home, Lavernę Stowell i Ellen May Levine.

Znałem brata Catherine - Daniela - lepiej, niż znałem ją. Daniel był miesiąc ode mnie młodszy. Byłem przy tym, gdy jego ojciec przyszedł, żeby zabrać go z lekcji panny Webber. Patrzyliśmy na niego w milczeniu. Twarz jego ojca była czerwona i napuchnięta od płaczu.

Daniel był biały jak kreda i ogłuszony.

Trzej szeryfowie - Dearing z Charlton, Ruby z Camden i Fermor z Clinch - spotkali się raz jeszcze. Tym razem żadnych map, kanapek i kawy; tym razem zmobilizowano oddziały specjalne z trzech hrabstw do przeczesania całej okolicy w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby być związane z morderstwem małej McRae.

Jednostka Reilly'ego Hawkinsa zmieniła nazwę. Mężczyźni ściągali z Folkston, Silco, Hickox, Winokur. Ze Statenville w hrabstwie Echols przybyli bliźniacy, krewni szeryfa Fermora ze strony matki; przejechali ponad sto pięćdziesiąt kilometrów w rozklekotanej ciężarówce, żeby się przyłączyć do poszukiwań. W czwartek dwunastego siły pospolitego ruszenia liczyły ponad siedemdziesięciu mężczyzn. Dziwna sprawa, ale mimo braku jakiegoś oficjalnego zarządzenia cudzoziemcy nie wchodzili w ich szeregi. Nie było tam ani jednego Niemca, ani jednego Włocha; nawet Polacy i Francuzi zostali w domach. Byli tam tylko Amerykanie, irlandzcy Amerykanie, dwóch Szkotów i jednooki Kanadyjczyk, nazywający się Lowell Shaner. Niewykluczone, że to właśnie wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty. Niewykluczone, że właśnie w tamtej chwili urazy i plotki stały się paliwem dla gwałtownego płomienia oskarżeń. Początkowo nie było to nic więcej niż iskra, rozżarzony węgielek, lecz po dwóch dniach przeszukiwania pól i rowów rozmowy zmieniły się w podżeganie.

- Żaden Amerykanin nie zrobiłby czegoś takiego.

- Kto mógłby zabić cztery dziewczynki? Z pewnością tylko ktoś, kto nie szanuje naszego stylu życia.

- Nie zrobiłby tego ktoś, kto chodzi do kościoła, wiercie mi.

Tak oto mieszkańcy Augusta Falls rozpoczęli coś w rodzaju własnego śledztwa. Zaczęły krążyć plotki - niektóre z nich oszczercze, inne tylko kłamliwe, a jeszcze inne będące dziełem tych, którzy niczego bardziej nie pragnęli niż podsycania urazów i konfliktów między ludźmi początkowo neutralnymi względem siebie.

Tak dużo gadano o tych morderstwach, że nie sposób było o nich zapomnieć. Chyba po raz pierwszy w życiu bałem się świata. Wojna przerażała mnie - chociażby z perspektywy narzucanej przez pannę Webber.

- Wiemy, że mamy kłopoty, kiedy wojna po prostu staje się kwestią zrzucania bomb z samolotów i zabijania setek, o ile nie tysięcy ludzi. Historia pokazuje nam jedną rzecz: że w miarę jak stajemy się coraz bardziej zaawansowani technologicznie, stajemy się również zdolni do zabijania coraz większej liczby ludzi, nawet nie widząc ich twarzy. Któregoś dnia - jestem tego pewna - ktoś skonstruuje bombę, która będzie w stanie zniszczyć całe miasto, o ile nie hrabstwo. I to zdarzenie z całą pewnością wyznaczy punkt, w którym nasza cywilizacja

zacznie wolno i nieuchronnie chylić się ku upadkowi.

Tak mówiła panna Webber, ale mimo jej zatrważających przewidywań wojna wciąż nie toczyła się na terytorium mojego kraju, ale tysiące kilometrów stąd. Nawet atak na Pearl Harbor tego nie zmienił. Amerykańscy żołnierze dalej wyjeżdżali ze Stanów Zjednoczonych. Wojna nie dotykała amerykańskiej ziemi i dlatego - na swój sposób - jakoś udawało nam się przekonać siebie, że była czymś, co nas nie dotyczy.

Co innego morderstwa. Cztery dziewczynki zginęły właśnie tutaj, pośród nas. Znałem je. I to - mimo niewielkiego rozmiaru tych wydarzeń w zestawieniu z wojną w Europie - było jeszcze bardziej przerażające.

Pewnego dnia, kolejnego dnia, którego zostałem po lekcjach, by umyć gąbki, zwierzyłem się pannie Webber ze swych lęków.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Może po prostu napisz o tym, co ci leży na sercu - zaproponowała. - Pisanie może oczyszczać z lęku i nienawiści; może być sposobem na pokonanie uprzedzeń i bólu. Jeśli piszesz, masz przynajmniej szansę na wyrażenie siebie, możesz podzielić się swoimi myślami ze światem i niezależnie od tego, czy ktoś to czyta, czy nie i czy to rozumie, czy nie, one już dłużej nie siedzą uwięzione w twoim umyśle. Jeżeli będziesz je dusił w sobie, Josephie Vaughanie, jeżeli będziesz dusił je w sobie, pewnego dnia prawdopodobnie po prostu wybuchniesz.

Później, wiele lat później, okaże się, jak prorocze były jej słowa. Jednak wtedy, mając zaledwie czternaście lat, chciałem po prostu się dowiedzieć, dlaczego to wszystko tak bardzo mnie przeraża. Wydawało mi się, że jeśli będę w stanie zrozumieć człowieka, który robił te przerażające rzeczy małym dziewczynkom, nie będę się go już bał. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać jego życie, jak postrzegał świat. Na pozór musiał on być taki sam jak ten, który widziałem ja, ale jednak różny. Czy wtedy, gdy ja widziałem światło słoneczne, on widział tylko cienie? Czy wtedy, gdy ja budziłem się z koszmaru i ulga obmywała mnie niczym piana morską, on próbował ponownie zasnąć, by doświadczyć go jeszcze bardziej?

Zacisnąłem zęby. Zacisnąłem pięści. Zamknąłem oczy i spróbowałem wyobrazić sobie, jak szalonym trzeba być, by kogoś zabić. By zabić dziecko. A potem napisałem:

Jego oczy były spuchnięte od płaczu albo może od szukania czegoś. A może jego oczy były spuchnięte dlatego, że był szalonym człowiekiem, jednym z tych ludzi, którymi straszy się dzieci, kiedy są niegrzeczne.

Mocne uderzenie w ostrą krawędź. Mocne uderzenie w kanty, w najostrzejsze kanty,

które powinny być wygładzone przez miłość, tolerancję i cierpliwość.

Ludzie obserwowali go kątem oka i zadawali sobie pytanie, co musiało się wydarzyć, że ten człowiek stał się ponury i szalony. Pozlepiane włosy, wpatrzone w jeden punkt oczy, opadające kąciki ust, mocno zarysowana szczęka - ale mocna z gniewu i furii, nie siłą, która bierze się z charakteru i determinacji. Taki człowiek zna ciemność, myślą. Taki człowiek zna cienie i jamy, piwnice, lochy i katakumby i zna aż za dobrze dzwoniące łańcuchy, wleczone przez jeźdźców bez głów, którzy galopują w snach.

Z takim człowiekiem nie chce się rozmawiać, nie chce się nawiązywać kontaktu wzrokowego, nie chce się nawet myśleć o tym, że tam jest, kiedy przechodzi obok. On może zobaczyć twoje myśli, będzie wiedział, że myślisz o nim, staniesz się magnesem, który go przyciągnie. A kiedy już będzie cię miał, cóż, on naprawdę będzie cię miał. Nie będziesz mógł uciec, wierz mi.

Nikt nie wiedział, o czym ten człowiek myślał, ponieważ nikt nigdy go o to nie pytał. Zawsze tam był; dziwny, stały punkt na ścieżkach i bocznych drogach, stojący pod drzewami, kiedy pada deszcz, może palący papierosa i rozmawiający z duchami, które chodzą z nim, przy nim, a nawet w nim.

Jest częścią naszego miasteczka, częścią naszych domów i chyba wszystkim się wydaje, że jeśli go zignorują i nie będą o nim myśleć, po prostu odejdzie. Zniknie w ciemności pomiędzy wałącymi się chałupami na Cooper's Row. Wyparuje. Rozpuści się i zostanie zapomniany na zawsze.

Nie liczcie na to, znajomi i sąsiedzi.

Jego nazwisko było nieznane, podobnie jak twarz. Wiosną, kiedy wszyscy wierzyli w łaskawość natury, przyszedł do mieszkańców Augusta Falls w Georgii.

Rzeczy nie znikają, jeśli je ignorujesz; taka płynie z tego nauka.

Może nauka musi czasami zboleć.

Pokazałem swoje dzieło pannie Webber. Przeczytała je w milczeniu i z beznamiętnym wyrazem twarzy, a potem zamknęła zeszyt i przesunęła go po biurku w moją stronę.

- Chyba się nie nadaje na konkurs młodych pisarzy w Atlancie - powiedziała cicho, a potem się uśmiechnęła, ale tylko ustami, nie oczami, i domyśliłem się jakoś - może było to tylko przecucie - że ją zasmuciłem. Nie miałem odwagi zapytać ją o to wprost i dlatego nic nie mówiłem.

- Wiem, że dzisiaj jest poniedziałek, Josephie - powiedziała - ale boli mnie głowa i zastanawiam się, czy mógłbyś zostać na zajęciach dodatkowych na przykład jutro.

- Nie ma sprawy - odparłem. Zebrałem swoje rzeczy.

- Wydaje mi się...

Spojrzałem na nią.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nic - rzuciła szybko. - Idź już do domu. Jutro będziemy mówić o Jamesie Fenimore Cooperze i Mohikanach.

Przy końcu drogi wiodącej do szkoły obejrzałem się. Panna Webber wyszła na zewnątrz i stała na ganku przy drzwiach do budynku.

Patrzyła na horyzont, oczy miała utkwione w jakimś odległym i nieokreślonym punkcie. Wyglądała na zamyśloną, prawie nieobecną. Chciałem wrócić i zapytać ją, co się stało. Nie zrobiłem tego. Odwróciłem się i poszedłem do domu.

Teraz rozumiem, że to jedyny sposób, w jaki to mogło się skończyć.

Chyba tak.

Jak to jest ujęte w Biblii?

„Jeśli kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego, bo człowiek został stworzony na obraz Boga”\*

Oko za oko.

Jedno życie za trzydzieści.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy uświadomiłem sobie prawdę, kiedy zrozumiałem, że tylko człowiek znajdujący się przede mną mógł robić te wszystkie rzeczy.

Jednak wspomnienia prześlizgują się przed moimi oczami i nie dają się uporządkować.

Są jak kuleczki rtęci, zawsze szukają najłatwiejszej drogi. Zachowują się jak magnesy. Łączą się i stają jednym.

Wszystkie te pozostałości to odbicie mnie. Widzę odległy obraz dziecka, którym kiedyś byłem, dorosłego człowieka, którym się stałem.

Zamykam oczy.

Staram się głębiej odetchnąć, ale czuję ból.

Wiem, że umieram.

To było w poniedziałek, w poniedziałek, 23 marca 1942 roku, dwanaście dni po odnalezieniu odciętej głowy Catherine McRae; przez te dwanaście dni mężczyźni z Augusta Falls i Folkston, Silco i Winokur nie znaleźli niczego, co pozwoliłoby zidentyfikować mordercę dzieci kryjącego się pośród nich...

\*Ten oraz inne cytaty biblijne za: Biblia Tysiąclecia, Poznań 1983, Wydawnictwo Pallotinum, wydanie IV.

To właśnie w poniedziałek, 23 marca, wszystko się zmieniło.

A zaczęło się od mojego domu, domu, w którym mieszkałem, gdzie się urodziłem i dorastałem, gdzie straciłem ojca, gdy Śmierć przeszła High Road, nie zostawiając niczego poza śladami stóp i poczuciem nieodwracalnej straty; zaczęło się wtedy, gdy wróciłem ze szkoły, w której zostawiłem pannę Webber z jej bólem głowy i wzrokiem utkwionym w dali...

Zacząło się od tego, że usłyszałem śmiech dochodzący z piętra, te same głosy, które już kiedyś słyszałem, i zakradłem się po schodach. Serce podeszło mi do gardła, puls galopował, a czoło pokrył pot. Napięcie wynikające z jakiegoś niewyobrażalnego strachu pchało mnie naprzód.

Położyłem rękę na klamce drzwi sypialni matki.

To stamtąd dochodziły te dziwne odgłosy.

Towarzyszyło mi przeczucie, że wiem, być może rozumiem, dlaczego co tydzień matka otrzymywała pieniądze, pieniądze zawinięte w kawałek skóry i wetknięte pod ciężki kamień. Właśnie tam, obok płotu, który biegł wzdłuż High Road. Drogi, którą przyszła Śmierć.

Nawet teraz, po tylu latach widzę twarz matki.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ich tam - ją na łóżku, opierającą się na dłoniach i kolanach, naga, jak ją Pan Bóg stworzył, i jego - Gunthera Krugera - za nią, również nagiego, z rękami na jej ramionach, z twarzą czerwoną i spoconą. Ich ubrania leżały porozrzucane na podłodze, zupełnie jakby nie miały żadnej wartości.

Nikt nic nie powiedział.

Troje ludzi i nikt nic nie powiedział.

Zamknąłem drzwi. Chyba nawet nimi trzasnąłem. Odwróciłem się i zacząłem biec - po schodach, przez korytarz na parterze i przez kuchnię. W końcu wybiegłem przez tylne drzwi na podwórko. W ogóle się nie zatrzymywałem.

Słyszałem kiedyś opowieść o chłopcu, którego ojciec ciągle straszył, że sprawi mu tęgie lanie. Chłopiec był nie większy od sztachety w płocie i bał się, że dostanie w skórę. Nie wydawało mu się, żeby zniósł to lanie, ponieważ jego ojciec był wielki jak drzewo, takie drzewo, którego nie pokona nawet huragan. Więc chłopiec zaczął biegać. Każdego dnia. Biegał do szkoły, biegał ze szkoły do domu, biegał dookoła pola przy domu, codziennie trzy lub cztery okrążenia przed kolacją. Jego matka myślała, że stracił rozum, bracia i siostry żartowali sobie z niego. Jednak chłopiec dalej biegał, biegał jak Red Granger. Później lekarz powiedział, że ma „serce sportowca”, powiększone od nieustannego wysiłku. Później mówiono wiele rzeczy. Serce chłopca bowiem nie wytrzymało. Omal nie wybuchło.

Uciekanie przed tym, co go przerażało, w końcu go zabiło. Ironia losu, ale tak właśnie było.

Chciałem być jak najdalej od swojego domu. Biegłem wzdłuż ogrodzenia przy High Road, przez zagajnik drzew tupelo i przez pole Krugerów, aż w końcu dotarłem do domu Reilly'ego Hawkinsa.

Reilly'ego nie było - może polował na szczury, a może na mordercę dzieci - i czekałem w chłodnej ciszy jego domu przez ponad dwie godziny.

- Święta Mario, matko Boża! - wykrzyknął po powrocie, kiedy wynurzyłem się z najciemniejszego kąta jego kuchni. A'potem dodał: - Co się, do diabła...? Jezu, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Powiedziałem mu, czego byłem świadkiem.

Przez dłuższą chwilę milczał. W końcu pokręcił głową i westchnął. Wydawał się myśleć nie o tym, co powiedzieć, ale o tym, jak to powiedzieć w taki sposób, żebym zrozumiał.

- Ludzie są skomplikowani - zaczął. - Doskwiera im samotność, boją się, a czasami jedynym sposobem, żeby poczuć się lepiej, jest zbliżenie się do innej osoby, poznanie jej w sensie biblijnym.

- Oni uprawiali seks, prawda? - zapytałem.

- Tak, z tego, co powiedziałeś, wynika, że właśnie to robili.

- Ale nie tak jak w Biblii.

Reilly uśmiechnął się.

- Ależ oczywiście, że tak jak...

- Wiem - przerwałem mu - wiem, że w Biblii jest dużo seksu, ale nie takiego seksu... nie takiego seksu, który mężczyzna uprawia z kobietą inną niż jego żona.

Reilly skinął głową.

- Tu mnie masz, Josephie. Faktycznie, według Biblii ten rodzaj seksu sprowadza na ludzi kłopoty. - Żaden z nas przez chwilę nic nie mówił.

- Założę się, że wariuje z rozpaczy - Reilly w końcu przerwał ciszę. - Pewnie chodzi po polach, cały czas cię szukając.

Wzruszyłem ramionami.

- Możesz tu zostać - powiedział. - Pójdę do niej i powiem jej, gdzie jesteś. Powiem jej, że zostaniesz tu na noc.

Znów wzruszyłem ramionami.

- W spiżarce jest trochę świeżego mleka i smażony kurczak - ciągnął Reilly. - W takich chwilach dobrze jest coś zjeść. Przekąś, a ja znajdę twoją matkę, a potem wrócę i



pokażę ci, gdzie będziesz spał.

- Nie chcę, żebyś stąd odchodził, Reilly - powiedziałem.

Przeszedł przez kuchnię i usiadł obok mnie.

- Muszę iść i jej o tym powiedzieć, Josephie... Na pewno strasznie się martwi, wiesz?

- Nic mnie to nie obchodzi.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Teraz tak mówisz, ale rano będzie ci przykro, że myślałeś takie rzeczy.

- Myślenie i robienie to nie to samo.

- Prawda, to nie to samo, niemniej jednak niedobrze jest myśleć lub robić coś, czego później będzie się żałować.

Pozwoliłem Reilly'emu odejść. Nie było go dobre pół godziny, a kiedy wrócił, towarzyszyła mu moja matka. Wyglądała tak, jakby płakała. Kiedy weszła do kuchni, zmusiłem się, żeby nie patrzeć na nią. Też chciało mi się płakać, ale powstrzymałem się. Wiedziałem, że jeśli się rozplacę, rano będę tego żałował.

- Josephie - powiedziała głosem delikatnym niczym wietrzyk, niby czysta bawełniana kołdra, którą naciągasz na siebie, kiedy sposobisz się do snu. - Boże, nie wiem, co teraz myślisz, ale na pewno nic dobrego.

Odwróciłem głowę jeszcze bardziej. Czułem mięśnie napinające się na mojej szyi. Chciałem zakryć czymś głowę. Byłem wściekły na Reilly'ego, że przyprowadził ją tutaj. Czułem się tak, jakby mnie zdradził.

Matka usiadła twarzą do mnie przy stole kuchennym. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja próbowałem się odsunąć jeszcze bardziej, chociaż nie było już miejsca.

- Chcesz mi powiedzieć, co myślisz?

Potrząsnąłem głową. Zamknąłem oczy. Pragnąłem, żeby zniknęła.

- Josephie... Mówię do ciebie. Ignorowanie ludzi, którzy mówią do ciebie, jest niegrzeczne.

Odwróciłem się nagle do niej i otworzyłem szeroko oczy.

- Niegrzeczne jest rozbieranie się i robienie tych rzeczy z cudzym mężem!

Sprawiała wrażenie zszokowanej, wręcz ogłuszonej. Zamrugła kilka razy powiekami. Po chwili wstała z krzesła i wpatrzyła się we mnie.

Reilly też tam był - wyczuwałem, że stoi zaraz za drzwiami kuchni.

- Czy to za to dostawałaś te pieniądze? - zapytałem. - Za to dostawałaś co tydzień siedem dolarów? Za to, że przychodził i robił z tobą te rzeczy?

Matka spuściła głowę, lecz nie ze wstydu; była zbyt dumna, by się wstydzić. Spuściła

głowę, jakby przyznając się do małej klęski, przegrania bitwy na początku wojny, której - już to wiedziała - tak łatwo nie wygra.

- Kiedy będziesz gotowy, żeby ze mną porozmawiać... porozmawiać ze mną jak dorosły, jak młody mężczyzna, wtedy będę słuchać - oznajmiła. - Możesz pozostać tu tak długo, jak pozwoli ci Reilly Hawkins, a kiedy będziesz już gotów wrócić do domu, drzwi zastaniesz otwarte. Nie zamierzam cię przeproszać, Josephie Calvinie Vaughan, ponieważ nie masz prawa mnie osądzać. Przykro mi, że tobą wstrząsnęłam, ale tylko z tego powodu jest mi przykro.

Kiwnęła głową i wyszła z kuchni. Słyszałem, jak zamienia kilka słów z Reillym Hawkinsem, a potem tylne drzwi zamknęły się i wiedziałem już, że jej nie ma.

Reilly pojawił się w drzwiach kuchni.

- Mam wolny pokój na górze - powiedział tonem pełnym współczucia i nieskończonego zrozumienia. - Możesz tam spać tej nocy, a potem zastanowimy się, co zrobimy jutro. - Przerwał na chwilę i pokręcił głową. - Albo może pojutrze.

Trzy dni później - w czwartek, 26 marca, tego samego dnia, kiedy naziści zaczęli wywozić ogromne transporty Żydów do Auschwitz - rozmawiałem z panną Webber.

- Jaki jest ciężki? - zapytała.

Spojrzałem na nią pytająco.

- Ciężar, który nosisz - wyjaśniła. - Jak bardzo jest ciężki?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

- Tak ciężki jak dom - odparłem.

Patrzyła na mnie wzrokiem, który będę widział wielokrotnie w przyszłości, wzrokiem, jakim dziewczyny patrzą na chłopców: jej oczy, cała jej twarz zawierały bardziej złożony komunikat, niż słowa mogłyby kiedykolwiek wyrazić.

- W takich momentach dobrze jest z kimś porozmawiać.

- Reilly Hawkins twierdzi, że dobrze w takich chwilach coś zjeść.

- Domyślam się, że Reilly Hawkins ma rację. Najwidoczniej wie o wiele więcej ode mnie. - Uniosła torbę i zaczęła wypełniać ją naszymi zeszytami, żalonymi literackimi próbkami, które dawaliśmy jej do oceny. Nic więcej nie powiedziała, ale niemal słyszałem trybiki pracujące w jej mózgu.

- To sprawa osobista - wyjaśniłem.

Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że wszystko, co dotyczy czyjegoś życia, jest osobiste.

- To znaczy... To znaczy, to jest naprawdę bardzo osobista sprawa.

- Nie chcę się wtrącać, Josephie. Wyrażam tylko swoje zaniepokojenie jako twoja nauczycielka i przyjaciółka.

Zamknęła torbę i zatrzasnęła zamek. Uniosła ją z biurka i postawiła na podłodze. Stała w bezruchu, w całkowitym bezruchu, jeśli nie liczyć myśli, które biegały jej po głowie.

Czułem jej przyciąganie. Wiedziałem, co robi. Była lepsza niż ktokolwiek inny w łagodnym, ostrożnym wyciąganiu informacji. Było coś w jej głosie, coś prostolinijnego i uwodzicielskiego zarazem. Znałem to już z lekcji. Panna Webber podawała nam koniugację czasowników w czasie przeszłym w taki sposób, że słyszało się tylko ton jej głosu, nic więcej. Kiedy czytała opowiadania, słyszało się dźwięki, które opisywała, czuło dym z ognisk ranczerów pod Red Top Mountains albo Amicalola Falls, widziało nieskończone fale kukurydzy, czuło surowe i bezlitosne słońce przypiekające kark... Wszystko to było tuż przy tobie. Sprawiało, że chciałeś słuchać, a kiedy cię zapytała - że chciałeś mówić.

- Moja mama... - zacząłem. Popatrzyłem na nią, moje oczy były pełne łez. Bałem się, że przełamiam tamę i zaczną spływać po policzkach. - Moja mama była niewierna, proszę pani.

Wbiłem wzrok w podłogę.

Panna Webber podeszła do mnie. Poczulem na swoim ramieniu pewny uścisk jej cieplej ręki.

Mój umysł był jak wysuszone pole, jałowe i popękane, a moje sumienie niczym wiekowe drzewo, które wczepiało się rozpaczliwie korzeniami w spieczoną ziemię, mając nadzieję (wbrew wszelkiej nadziei) na przetrwanie. Sumienie ześlizgiwało się, traciło punkt oparcia i wkrótce upadnie. W obrębie gałęzi tego drzewa kiedyś rozkwitały lojalność, wiara, zaufanie i poczucie obowiązku, wszystko to, co niegdyś reprezentowało rodzinę. Mówiąc, złamałem więzy milczenia, jakąś cichą umowę, która zabraniała wypowiedzania się na temat tego, co się dzieje w czterech ścianach naszego domu.

- Nie rozumiem - powiedziała panna Webber. - Twoja mama jest wdową...

- Z cudzym mężem - przerwałem jej i ledwo te słowa wyszły z moich ust, zapadło kamienne milczenie.

Panna Webber wypuściła wolno powietrze i usiadła.

Spojrzałem na nią; przez łzy wydawała się zamglona i niematerialna.

- Nie wszyscy są doskonali - powiedziała cicho. - Nie wszyscy potrafią sprostać naszym oczekiwaniom, Josephie. Ludzie są tylko ludźmi. Wszyscy od czasu do czasu upadamy.

Pokiwałem wolno głową. Mój oddech stał się krótki i urywany.

- Wiem - wyszeptałem. - Wiem, proszę pani... ale ona zrobiła coś niewybaczalnego, a

to znaczy, że nigdy nie stanie się aniołem... a to z kolei oznacza, że nigdy już nie zobaczy mojego taty... i... i nie ma pani pojęcia, jak bardzo go zaboli.

Pozostałem u Reilly'ego Hawkinsa jeszcze jeden dzień. Rozmawiał ze mną o samych błahostkach. Podarował mi książkę pod tytułem *The Life and Times of Archy and Mehitabel*. Archy był poetą, który w kolejnym wcieleniu stał się karaluchem. Pisał na maszynie listy do autora książki. Będąc karaluchem, nie mógł dosięgnąć do klawisza Shift i dlatego wszystko pisał małymi literami. Mehitabel była kotką, bywała w świecie i cyniczną, Archy zaś filozofem, tolerancyjnym i wielkodusznym. Każde z nich na swój sposób naprawiało świat. Przeczytałem tę książkę. Trochę mnie rozbawiła i na chwilę zdołałem zapomnieć o matce.

Wieczorem Reilly opowiedział mi o swojej rodzinie, głównie o bracie Luciusie.

- Myślałem, że miałaś tylko jednego brata - zauważyłem.

- Levina? Tak, był też Levin. Ale najstarszy z nas był Lucius.

- Co się z nim stało?

- Z Luciusa był narwaniec. Pracował w kopalniach Anaconda Copper Mining Company, a potem popłynął do Hiszpanii, bo chciał wziąć udział w wojnie domowej. Opuścił Amerykę w 1936 roku, żeby walczyć przeciwko Franco. Został stratowany przez konia, który próbował uciec z płonącej stajni. Lucius był szalony, ale zarazem przystojny, miał ciemne włosy i oczy jak podświetlone szafiry. Mój ojciec zwykł mawiać, że albo będzie geniuszem, albo skończonym głupkiem, i nie potrafił powiedzieć, którym z nich. Ale w tym czasie mój ojciec też już był szalony. - Reilly roześmiał się; dźwięk ten przypominał rechot żaby spuszczonej w wiadrze do studni. - Wiesz, co to jest środek przeczyszczający?

Skinąłem głową.

- Był taki środek przeczyszczający, który nazywał się serutan. Miał taki slogan reklamowy: „Serutan to natura puszczana od tyłu”. Łapiesz? Więc mój tatuńcio pił ten środek, bo mu posmakował, i potem puszczał wiatry, aż cały dom śmierdział jak jajko usmażone w siarce. Ja, Lucius, Levin, a także nasza mama... wychodziliśmy z domu i staliśmy na podwórku, czekając, aż wywietrzeje na tyle, żebyśmy mogli wejść z powrotem. - Reilly pokręcił głową. - Wyglądał w sumie normalnie, miał też normalny głos. Dopiero wtedy, gdy zaczynało do ciebie docierać znaczenie jego słów, uświadamiałaś sobie, że John Hawkins jest kompletnie zbiegowany. Wzrok miał opuszczony, usta wykrzywione jak na jakiejś karykaturze przedstawiającej wariata, a kiedy się wściekał i wrzeszczał na nas, dzieciaki, cienkie sznureczki śliny wysuwały mu się pomiędzy zębów i chowały z powrotem, zupełnie jakby pajak wodny budował tam sobie schronienie przed zimą. Reilly potrząsnął głową. - Był szalony - on i prawdopodobnie każdy z jego przodków. Zakręcony jak domek ślimaka.

- Co się z nim stało? - zapytałem.

- Miał raka, wiesz? Zjadał go od środka. Ciągle palił te obrzydliwe czarne papierosy, które pochodziły Bóg wie skąd. W każdym razie rak zżarł mu płuca i gardło. Powinien był umrzeć szybko, ale jakoś wykupił sobie jeszcze trochę czasu. Może liczył na to, że zobaczy jakiś ciekawy krajobraz po drodze z tego świata i dlatego przebył okrężną drogę na cmentarz. Siadał na werandzie w swoim fotelu na biegunach, paląc te swoje ohydne czarne papierosy i wydychając potop śliny, i po prostu gapił się w horyzont. Nic tam nie było, nic z wyjątkiem chmur, ale przesiadywał tak godzinami, jakby na coś czekał.

- Czekał, aż przyjdzie Śmierć i go zabierze - powiedziałem. - Tak samo Śmierć przyszła High Road, żeby zabrać mojego tatę.

Reilly skinął głową i wpatrzył się we mnie.

- Myślę, że ma pan rację, Josephie Vaughan... myślę, że ma pan rację.

W sobotę rano Reilly zrobił stek, powiedział, że to mój ostatni posiłek w jego domu i że powinienem dobrze go przeżuć, a potem wyjść na podwórko, gdzie poprzedniego dnia rąbałem drewno. Powinienem skończyć to, co zacząłem, i związać stertę, a kiedy już wszystko posprzątam i pozamiatam, ruszać do domu. Nie z powrotem do domu Reilly'ego, ale do domu, w którym się urodziłem.

- Widziałeś tę wiązaną kwiatów na poboczu? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Wiesz, dlaczego one tam są?

- Zdaje się, że jakiś głupek upił się, walnął samochodem w drzewo i zginął na miejscu.

Reilly skinął głową.

- Żałoba powinna trwać tyle czasu, ile żyją kwiaty. Potem powinna się skończyć. Życie biegnie dalej. Prawda? Powiem ci coś. Coraz więcej mówi się teraz o wojnie. Tak jak kiedyś mówiło się o wielkim kryzysie. I jedno, i drugie sprawiło, że mnóstwo ludzi ginęło każdej minuty każdego dnia. Nieważne, czy z głodu, zimna i chorób, czy od kul Adolfa Hitlera. Śmierć to śmierć, niezależnie od tego, w jaki sposób przychodzi. Takie wydarzenia jak te sprawiają, że ludzie dużo czasu spędzają w łózkach. Nowi ludzie powstają prawie tak szybko, jak starzy umierają. Nowi ludzie powstają łatwiej i z mniejszym nakładem pracy niż usmażenie naleśnika. Wygląda na to, że to sposób natury na rozprawienie się z przeszłością i urządzenie przyszłości. Rozumiesz mnie, Josephie Vaughan?

Skinąłem głową.

- Więc zostaw przeszłość za sobą. Teraźniejszość jest tym, co jest, a przyszłość jest najlepszym, co może być. Czasami, jeśli chcesz, możesz dojrzeć diabła w stroju anioła.

Uśmiechnąłem się. Nie do końca rozumiałem, o czym mówi, ale to nie miało wtedy znaczenia. Już podjąłem decyzję, że tego dnia wrócę do domu.

Moja gorycz, moje poczucie krzywdy były tak krótkotrwałe, jak wiecheć zasuszonych kwiatów na poboczu, kwiatów ku czci kogoś pijanego albo kogoś, kto się spieszył, albo się zamyślił; kogoś, kto stracił życie w mgnieniu oka. Natura w ten sposób eliminuje słabych, chorych, delikatnych. A może nie. Może to diabeł w przebraniu anioła: biel na zewnątrz, czerń w środku.

Matka i ja nie rozmawialiśmy o tym zdarzeniu. O co miałbym ją zapytać? Co miałyby mi odpowiedzieć?

Wszystko w naturalny sposób ciążyło ku normalności. Nie mogłem się sprzeciwiać prawu ciąży. Tylko raz moja mama powiedziała coś, co wydawało się nawiązywać do tego, czego byłem świadkiem. W tę niedzielę, w którą wróciłem do domu, wieczorem pochyliła się nade mną, pocałowała mnie w czoło, kiedy odwracałem twarz do poduszki, po czym wyszeptwała:

- Za mnie też się módl, Josephie... za mnie też.

Uśmiechnąłem się, obiecałem, że będę, i na chwilę chwyciłem ją za rękę i spojrzałem jej w oczy.

Poczułem, że jej ulżyło, tak jakbym zgadzając się na spełnienie jej prośby, udzielał jej rozgrzeszenia i przebaczał. Nie miałem takiej władzy, ale po jakimś czasie zrozumiałem, że władza, którą człowiek uważa, że ma, jest niczym w porównaniu z władzą, którą inni mu przypisują. Moja matka dała mi tyle, ile pragnęła, bym miał, a potem przyjęła moje milczące błogosławieństwo.

Postanowiłem, że nigdy już więcej nie zobaczę Gunthera Krugera ani zdradzonej przez niego żony, jednak współczułem Elenie. Nie mogłem z niej zrezygnować. Patrzyłem więc na nią na lekcjach i myślałem o dziewczynkach, które zginęły, a także o jej ojcu i mojej matce i o tym, jak ich przyłapałem. W końcu postanowiłem wmówić sobie, że się myliłem, że nie byłem świadkiem niczego zdrożnego. Zepchnąłem ten cień do najdalszych zakamarków umysłu i tam pozostał, stając się coraz słabszy i mniej wyraźny, łaknąc światła słonecznego i uwagi, nic jednak nie otrzymując.

Kilka dni po powrocie do domu doszedłem z Eleną do końca drogi. Odwróciła się i zaczęła iść do swojego domu, lecz dogoniłem ją i dotknąłem jej ramienia. Zawahała się, nie wiedząc, dlaczego ją zatrzymałem, i chociaż uśmiechałem się tak szczerze, jak tylko mogłem, wydawała się zdenerwowana.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

- Spiesz ci się?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Dlaczego pytasz?

Wgapiałem się w swoje buty. Przez chwilę czułem się niezręcznie.

- Chciałem tylko... - Spojrzałem na nią. Wydawała się taka delikatna.

- Co takiego, Josephie? Co chciałeś?

Pokręciłem głową.

- Ja tylko chciałem... chciałem, żebyś wiedziała, że zawsze będę tutaj, jeśli czegoś będziesz potrzebowała.

Elena nic nie odpowiedziała. Jej wyraz twarzy prawie się nie zmienił. Odwróciła się i spojrzała w kierunku domu. Przez jakiś czas wydawało się, że bawi myślami gdzieś daleko. Potem znów spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. #

- Wiem - wyszeptała głosem tak cichym, że ledwo ją słyszałem.

- Wiem, Josephie. - Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

- Dziękuję - dodała i zanim jeszcze to słowo wybrzmiało do końca, już odchodziła, prawie biegiem. Odprowadzałem ją wzrokiem. Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć. Miałem nadzieję, że to wystarczy.

Po latach, gdy wydawało się, że wszystkie te straszliwe rzeczy są już za nami, odnosiłem wrażenie, że to w tej chwili zaczął zapadać mrok. Całun, ciężar, zasłona, cień znalazł wartości odżywcze wystarczające do wzrostu.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak było naprawdę, i pewnie nigdy się nie dowiem.

Poświęciłem się pisaniu: wypisywałem rękę do bólu i serce do cna. Jednak pisanie nie uwolniło mnie od lęku, gniewu, poczucia odpowiedzialności za to, co się stało. To właśnie wtedy postanowiłem coś zrobić. To właśnie wtedy postanowiłem zrobić, co w mojej mocy, by już żadna dziewczynka nie zginęła.

Porozmawiałem z Danielem McRae, z Hansem Krugerem; porozmawiałem szeptem z innymi chłopcami z klasy - z Ronaldem Dugganem, Michaelem Wiltseyem, Mauricem Frickerem. W sumie było nas sześciu. Za siedem miesięcy miałem skończyć piętnaście lat. Między nami był mniej niż rok różnicy. Postanowiliśmy się spotkać po lekcjach, wśród drzew na końcu pola z połamanym płotem, i przez godzinę, zanim zajęcia w szkole się skończyły, pociły mi się ręce.

Pobiegnę do domu i wyjąłem wycinki prasowe, które trzymałem w pudełku pod łóżkiem. Alice, Laverna, Ellen May i Catherine. Zebraliśmy się w sześciu w wyznaczonym

miejsu i zacząłem wyjmować te kawałki gazet, zwinięte w rogach niczym poślizgnięte liście.

Obserwowałem Daniela, gdy zobaczył imię swojej siostry na papierze gazetowym przed sobą. Wzdrygnął się, tak jakby jego dusza została porażona prądem. Z jakiegoś powodu spuścił wzrok i wpatrywał się w swoje buty; na czubku miał małą dziurkę; jego noga była tak brudna, że nie było widać tej dziurki, chyba że przypatrywałeś się długo i uporczywie. Najwyraźniej jego rodzice byli tak bardzo pogrążeni w żalu, że również jej nie zauważali. Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Wyglądał, jakby miał się rozplakać, ale zacisnął szczęki i wyczułem, że się opanował.

Nikt nie powiedział ani słowa. Napięcie i wstrzymywane oddechy.

- Więc... więc co takiego mamy zrobić? - zapytał w końcu Ronald Duggan. Stał tam, z włosami wpadającymi mu do oczu, o głowę niższy ode mnie, blady i mizerny, jakby odżywił się resztkami, cienka warstwa potu połyskiwała na jego czole. Wyglądał na zdenerwowanego. Do diabła, wszyscy wyglądali na zdenerwowanych, ale wyczułem w nich zrozumienie i ducha walki i wiedziałem, że pragnęli zrobić coś, żeby pomóc.

- Coś - powiedział Hans Kruger. - Musimy coś zrobić.

- Wydaje mi się, że powinniśmy pozwolić szeryfowi Dearingowi robić to, za co mu płacą - zauważył Maurice Fricker.

- Ale on robi nic - zauważył Hans.

- NIE robi nic - poprawił go Daniel.

- To ten ku ku klan - powiedział Michael Wiltsey. - To oni robią takie rzeczy. Tylko oni są na tyle źli, żeby robić takie rzeczy małym dziewczynkom.

- KuKluxKlan - sprostowałem. - Oni nazywają się KuKluxKlan i nie są zainteresowani białymi dziewczynkami. Ich interesują tylko czarni... po prostu bez powodu nienawidzą czarnych. To nie ma nic wspólnego z KuKluxKlanem.

- Więc kto to robi? - zapytał Daniel. - Jak jesteś taki cholernie mądry, to nam powiedz, kto robi te wszystkie okropności.

Pokręciłem głową. Zastanawiałem się, czy rozmowa o tym nie była błędem, bałem się, że może przyciągnąć ten koszmar.

- Nie wiem, kto to robi, podobnie jak nie wie tego szeryf Dearing ani Ford Ruby. W tym właśnie problem. Coś się dzieje i nikt nie wie dlaczego. Nikt też nie wie, co z tym zrobić.

- I myślisz, że my możemy coś z tym zrobić? - zapytał Michael.

- Do diabła, Michael, wydaje mi się, że moglibyśmy przynajmniej spróbować. - Znów uniosłem wycinki prasowe, w taki sposób, żeby je dokładnie widzieli. - Nie chcę czytać takich rzeczy o ludziach, których znamy. Popatrzcie na Daniela...



Wszyscy, jeden po drugim, spojrzeli na niego z wahaniem - prawie jakby bali się coś zobaczyć.

Daniel McRae stał nieruchomo. Wyglądał, jakby opuścił ciało i zostawił samą powłokę.

- Daniel stracił siostrę. Macie pojęcie, jak musi się czuć?

Odniosłem wrażenie, że Daniel zaraz się załamie. Oczy napęłniły mu się łzami.

- Nie... nie chcę... - zaczął, ale wyciągnąłem rękę i położyłem ją na jego ramieniu. Pochylił głowę i z głębi jego piersi dobiegło stęknienie, kiedy tłumił szloch.

- Musimy coś zrobić - powiedziałem. - Coś to zawsze więcej niż nic. Jesteśmy już na tyle duzi, żeby mieć oko na dzieciaki, prawda?

- Więc to właśnie będziemy robić? - zapytał Hans. - Będzieinny... będziemy strzec dziewczyn?

- Będziemy strażnikami - powiedziałem.

- To będzie jak tajny związek - odezwał się słabym głosem Ronald Duggan. - Możemy tak się nazwać. Możemy się nazwać Strażnikami.

- Nazwa nie ma znaczenia - stwierdził Daniel. Jego głos załamał się w pół zdania. - Nieważne, jak się nazywasz. Ważne, co robisz... i tyle.

- Strażnicy - powiedział Michael. - To właśnie nimi jesteśmy... I powinniśmy złożyć przysięgę. Powinniśmy zrobić to... no jak to się nazywa...

- O czym ty, do cholery, mówisz? - zapytał Maurice. Zrobił gniewną minę i zmarszczył brwi tak bardzo, że wyglądały, jakby ktoś mu je zszył.

- O braterstwie krwi - odparł Michael. - No wiecie, nacinamy ręce i złączamy je, a potem przyrzekamy, że coś zrobimy.

- Nikt nie będzie sobie nacinał rąk - zaprotestowałem.

- Powinniśmy - zauważył Daniel. Mówił cicho, jego głos ledwo wydostawał się z gardła. - Powinniśmy to zrobić, bo to coś znaczy i jest ważne. Moja siostra została zabita przez tego... tego wampira.

- Boże Wszechmogący, gadałeś z Hansem - powiedziałem. - To nie był żaden wampir. Wampiry nie istnieją.

- To tylko nazwa - odparł Daniel. - Nazwa, która nic nie znaczy. Siebie nazwaliśmy Strażnikami, jego możemy nazwać wampirem. To tylko nazwy, nic więcej. Po to, żebyśmy wiedzieli, o czym mówimy. Myślę, że powinniśmy to zrobić. Powinniśmy złożyć przysięgę, a potem ustalić, co mamy zrobić, żeby już więcej się to nie zdarzyło.

Hans Kruger wyjął scyzoryk. Ostrze miało nie więcej niż pięć centymetrów długości,

ale było ostre.

- Mam kamień i ostrzę je o niego od czasu do czasu, żeby mogło przecinać papier - powiedział. Wyciągnął rękę i kiedy przesunął ostrzem po miękkim opuszkę kciuka, zajęczał z bólu. Na palcu pozostała czerwona kreska. W ciągu kilku sekund krew spłynęła wzdłuż zagięcia jego dłoni.

Wziąłem nóż. Trzymałem go przez chwilę. Przycisnąłem ostrze do dłoni, zamknąłem oczy, zacisnąłem zęby. Początkowo nic nie poczułem, a potem przeszło mnie ostre ukłucie bólu. Zobaczyłem krew i na chwilę zrobiło mi się słabo.

Chłopcy kolejno poszli w moje ślady, a potem złączyliśmy dłonie.

- Umrzemy na zakażenie - powiedział Maurice Fricker. - Jesteście cholerne, głupie dzieciuchy. - Ale kiedy wyciągnęliśmy krwawiące ręce przed siebie, ponura determinacja malująca się na jego twarzy świadczyła o tym, że również on wierzy w to, co robimy.

- Złożymy teraz przyrzeczenie - oświadczyłem. - Przyrzekamy, że będziemy chronić małe dziewczynki...

- Elenę - powiedział Hans Kruger.

Michael Duggan spojrzał w górę.

- I Sheralyn Williams... i Mary.

- I moją siostrę - dodał Ronald Duggan.

- Twoją siostrę? - zdziwił się Daniel. - Twoja siostra ma dziewiętnaście lat. Mieszka już sama i pracuje na poczcie w Race Pond.

- Będziemy chronili je wszystkie - zdecydowałem. - My, Strażnicy, niniejszym przysięgamy strzec ich wszystkich, mieć oczy i uszy otwarte przez cały czas, do późna obserwować drogi i pola, i...

- I spotykać się tutaj co wieczór - powiedział Hans. - A potem patrolować razem miasteczko, żeby się upewnić, że nic się nie stało...

- O czym ty mówisz? - zdziwiłem się. - Co ci strzeliło do łba? Te dziewczynki nie były porywane z łóżek. Je porywano w środku dnia, sprzed naszych nosów i zabijano tam, gdzie każdy mógł je widzieć.

- To znaczy, że to musi być ktoś, kogo znamy, prawda? - zauważył Ronald. - W innym wypadku uciekałyby. Wszystkie wiedziały, że trzeba trzymać się z dala od nieznanomych.

Zaległa śmiertelna cisza. Popatrywaliśmy po sobie. Czuję się nieswojo.

- Nikt nie będzie nigdzie sam chodził - stwierdziłem. - Musimy przyrzec, że będziemy trzymać oczy i uszy otwarte i w razie zauważenia czegoś podejrzanego zawiadomimy szeryfa

Dearinga, dobrze?

- To właśnie musimy zrobić - przyznał Maurice.

- Zgadza się - dodał Daniel.

- W takim razie wszystko uzgodnione. Strażnicy zostali powołani do życia. Tylko nikomu ani słowa - powiedziałem. - Jeśli mordercą jest ktoś, kogo znamy, nie chcemy, żeby wszyscy o tym paplali. Nie chcemy dać temu... temu wampirowi najmniejszej szansy na odkrycie, że go wypatrujemy.

Kilka minut później odszedłem. Wycinki prasowe miałem złożone i poupychane po kieszeniach spodni. Dłoń mnie bolała i przed wejściem do domu umyłem ją w beczce z deszczówką stojącej przy końcu podwórza.

Czułem się jak małe dziecko. Chyba po raz pierwszy w pełni dotarło do mnie, że porwali się na coś, czego nie mogliśmy zrozumieć. Ogarnęło mnie przerażenie. Wszystkich nas. Cokolwiek to było, wydawało się nam o wiele bardziej przerażające niż jakaś tam wojna w odległym kraju. Było jednak jeszcze coś; coś małego, ale mimo to znaczącego. Zajęło mi dobrą chwilę zrozumienie, co to.

Po raz pierwszy w życiu poczułem się częścią jakiejś większej sprawy. Niby nic, a jednak wydawało się to ważne i wyjątkowe. Po raz pierwszy w życiu naprawdę gdzieś przynależałem.

Trzy dni później spotkaliśmy się po szkole i uzgodniliśmy miejsce naszej pierwszej zbiórki.

- Na końcu pola Gunthera Krugera - powiedziałem. - Tego, które leży daleko od drogi, w kierunku zakola rzeki.

- Nie wiem, gdzie to jest - stwierdził Daniel McRae i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przemawia przez niego zwyczajny strach. Odniosłem wrażenie, że nie chce tam pójść, że złożył przysięgę, iż zrobi wszystko, co w jego mocy, ale teraz się przestraszył.

- Wiesz, gdzie droga z twojego domu spotyka się z drogą do szkoły? - zapytał Hans Kruger.

Daniel skinął głową; nie mógł twierdzić, że tego nie wie.

- Będę tam na ciebie czekał - powiedział Hans. - Spotkamy się i pokażę ci dalszą drogę.

Oczy Daniela zabłyśły nerwowo. Zerknął na mnie. Uśmiechnąłem się uspokajająco. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Po szkole rozeszliśmy się w różne strony, każdy do domu na obiad. Moja mama zamierzała spędzić większą część wieczoru poza domem. Zapytała, jakie mam plany.

- Trochę poczytam - skłamałem. - Mam też sporo pracy.

- Jeśli zgłodniejesz, w spizarni jest mleko i wołowina w puszcze.

Wyszła tuż po siódmej. Zaczekałem do ósmej, nie mogąc opanować zdenerwowania, a potem włożyłem ciemną kurtkę, wyjąłem z kuchenki pudełko zapalek, a spod łóżka - dziesięciocentymetrowy nóż w skórzanej pochwie. Ojciec podarował mi go jakiś rok przed śmiercią.

- Nie powinienes mu go dawać - upomniała go matka.

- Na miłość boską, Mary, to już duży chłopak. A poza tym ten nóż jest tak ostry jak liść sałaty. Może przy odrobinie szczęścia uda mu się załaskotać nim kogoś na śmierć.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas. Musiałem oddać nóż. Wkrótce potem ojciec wziął mnie na bok i powiedział, żebym schował go pod łóżkiem i nie wygadał się przypadkiem przed matką. To miał być nasz sekret.

Wetknąłem nóż za pasek spodni i zakryłem go koszulą. Popatrzyłem raz jeszcze na kuchnię, a potem wyszedłem tylnymi drzwiami i przemierzyłem podwórko, kierując się na pola.

Gdy dotarłem do końca drogi, dołączyli do mnie Hans i Daniel. Musieli nadłożyć drogi. Nic nie powiedzieliśmy, tylko dalej szliśmy przed siebie pewnym krokiem, jakbyśmy próbowali przekonać samych siebie, że wiemy, co robimy.

Kiedy dotarliśmy do końca pola Krugera, okazało się, że są tam już wszyscy z wyjątkiem Michaela Wiltseya. Znow nie padło ani jedno słowo. Ledwie skinęliśmy do siebie głowami, spróbowaliśmy się uśmiechnąć; każdy z nas czekał, aż ktoś powie coś sensownego. Minęło dziesięć minut. Maurice Fricker zaproponował, żebyśmy poszukali Michaela, ale kazałem mu zostać na miejscu. Stwierdziłem, że na pewno zaraz się pojawi.

Przyszedł po dziewiątej. Ronnie Duggan przyniósł zegarek kieszonkowy swojego ojca i lampę naftową. Zaproponował, żebyśmy ją zapalili. Odparłem, że zapalenie lampy powiadomi wszystkich, kim jesteśmy i co robimy. Mimo to nalegał, żeby ją wziąć.

- To dokąd idziemy? - zapytał.

- Okrążymy tę krawędź pola i zaczniemy iść w stronę kościoła - powiedziałem. - Po dojściu do niego skęcimy do szkoły, ale zanim dotrzemy do drogi, przejdziemy za moim domem i skierujemy się do biura szeryfa...

- Do biura szeryfa? - powtórzył Michael Wiltsey.

- Nie dojdziemy do niego - uspokoiłem go - tylko będziemy iść w jego kierunku, dotrzemy do zakrętu, a potem wrócimy.

- Do diabła, Joseph, to będzie razem jakieś cztery albo pięć kilometrów -

zaprotestował Daniel. - Obejdziemy prawie całe Augusta Falls...

- A nie o to właśnie chodzi? - zapytał Hans. - Przecież w tym rzecz, żeby... spróbować przeszukać najwięcej, jak tylko się da.

Wszyscy milczeli. Dopiero Maurice Fricker, z szeroko otwartymi oczami i trupio bladą twarzą, zrobił krok naprzód i powiedział:

- Złożyliśmy przysięgę. Przyrzekliśmy, że to zrobimy. Więc to zrobmy, co? Stchórzyliście?

Nie stchórzyliśmy. Zacząłem iść. Hans ruszył obok mnie, a pozostali za nami.

Minęła niecała godzina. Było chłodno, niebo miało głęboką barwę ciemnego granatu, nasze twarze i ręce skąpane były w białej poświacie. Widziałem, jak bardzo przestraszony jest Daniel McRae, wzdrygał się na każdy dźwięk - wystarczał najcichszy szelest z żywopłotu przy drodze albo trzepot skrzydeł jakiegoś ptaka wzbijającego się w powietrze. Wyczuwając jego strach, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wydaje się mu, że morderca znajdzie go po zapachu, że zidentyfikuje go jako jednego z McRae'ów i przyjdzie, by dokończyć robotę, którą rozpoczął, dopadając jego siostrę. Chciałem mu powiedzieć, by się nie przejmował, bo morderca atakuje tylko dziewczynki, ale nie byłem o tym na tyle przekonany, żeby sprawiać wrażenie szczerego. Układałem w głowie słowa, ale bez skutku. Milczałem. Spoglądałem na Daniela, a kiedy doszliśmy do zakrętu i zaczęliśmy wracać, przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Wiedziałem, że chce odejść. Wiedziałem, że chce uciec do domu, zaryglować drzwi, zaszyć się w swoim pokoju, zakopać pod kołdrą i starać się przekonać samego siebie, że nic tak naprawdę się nie stało. Jednak nie mógł o to poprosić. Nie mógł złamać przysięgi. Postanowiłem więc mu to ułatwić.

- Daniel - powiedziałem.

O mało nie podskoczył z wrażenia.

- Musisz wracać do domu.

Otworzył szeroko oczy.

- Co się dzieje? - zapytał Hans Kruger.

Pozostali zebrali się wokół nas. Błąkaliśmy się w ciemności przez ponad godzinę. Nic nie zauważyliśmy i nabraliśmy już przekonania, że nie było nic do zauważenia. Niewykłuczone, że wszyscy mieli nadzieję na coś w rodzaju ulaskawienia, na to, że zostaną wysłani do domów.

- Daniel musi wracać - powiedziałem.

- Dlaczego? - zapytał Maurice Fricker. - Dlaczego pozwalasz mu wrócić do domu?

Popatrzyłem na Maurice'a, a także na pozostałych.

- Daniel jako jedyny z nas stracił kogoś z rodziny - wyjaśniłem. - Boję się, że morderca jego siostry może obserwować jego pozostałych krewnych. Chcę, żeby Daniel wrócił do domu i upewnił się, że wszystko gra.

To było głupie i powierzchowne wytłumaczenie. Wszyscy to wiedzieli, ale nikt nie ośmielił się go zakwestionować, ponieważ Daniel McRae naprawdę stracił siostrę, był jedyną osobą wśród nas, którą bezpośrednio dotknęła ta tragedia. Wiedziałem więc, że z tego powodu mam pewną swobodę działania.

Oczy Daniela były otwarte szerzej niż kiedykolwiek. Wyglądał tak, jakby zbyt długo wstrzymywał oddech.

- Dobrze - zgodził się Hans Kruger. - Może iść.

Popatrzyłem na Hansa. Z tego, że odwrócił wzrok, wywnioskowałem, iż doskonale rozumiał moje motywy.

- Idź - rzucił Hans. - Biegnij szybko. Po drodze możesz rozejrzeć się wokół mojego domu, żeby się upewnić, że nikt nie czyha na moją siostrę.

Daniel poruszył się - nagle, nieoczekiwanie. Próbował uśmiechnąć się do mnie, próbował coś powiedzieć, ale wydawało się, że wszystkie mięśnie w jego ciele nastawione są już na bieg i nic poza nim się nie liczy. Wystartował niczym Red Grange, a my staliśmy tam, patrząc, jak biegnie na koniec drogi, aż wreszcie zniknął nam z oczu.

Kilka minut później usłyszeliśmy jakiś hałas.

Dźwięk dobiegał z zagajnika po mojej prawej ręce. Hans usłyszał go również, podobnie jak Maurice Fricker i Michael Wiltsey. Staliśmy, wstrzymując oddech i milcząc, a potem zobaczyłem między drzewami jakiś błysk.

Serce mi się zatrzymało z wrażenia. Chwilę później znieruchomiało całe moje ciało.

Zastanawiałem się, czy to nie sztuczka wyobraźni, czy mój lęk nie dokonał projekcji czegoś, co istniało wyłącznie w mojej głowie.

- Widzicie to? - wyszeptał ktoś głosem pełnym rozpaczony.

Zastanawiałem się, jak wiele wystraszonych dzieci trzeba, by wywołać ducha.

Znów ujrzałem światło, tym razem miałem pewność. Wciągnąłem powietrze. Poczułem, że oczy mi się rozszerzają. Straszliwe przerażenie, zaczynające się gdzieś w moich trzewiach, przejęło drżeniem całe moje ciało.

I wtedy usłyszałem głos Ronniego Duggana. Był to zaledwie przerażony szept.

- fezu Chryste... to on...

Cofnąłem się. Hans stanął obok mnie. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku niskiego murku na brzegu pola. Poczułem rękojęść noża zatkniętego za pasek i chwyciłem go mocno,

zastanawiając się, czy w razie czego w ogóle będę miał szansę zrobić z niego jakiś użytek.

Ronnie upuścił lampę. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Rozległ się wyjątkowo głośno.

- Cholera - usłyszałem jego głos i wiedziałem, że zaklął nie z powodu zniszczonego przedmiotu należącego do ojca, ale dlatego, że mieliśmy teraz całkowitą pewność, iż zdradziliśmy swoje położenie.

- Za murek - wyszeptał Hans. Jego głos przypominał syk pary uciekającej spod pokrywki garnka.

Cała nasza piątka, potykając się, próbowała rozpaczliwie dotrzeć do murku.

Obejrzałem się za siebie i tam, skąd dobiegł dźwięk - pomiędzy drzewami - zobaczyłem nagle błysk. Serce zabiło mi gwałtownie i gdy dobiegliśmy do murku z chropowatego kamienia, wyszarpnąłem nóż z pochwy. Przykucnąłem tam z łomoczącym sercem, zlany potem. Słyszałem tylko pięcioro dzieciaków usiłujących ze wszystkich sił nie oddychać.

Próbowałem sobie wmówić, że morderca nas nie zauważył, że zatrzyma się na chwilę, popatrzy na drogę, nic nie zobaczy, odwróci się i wróci tam, skąd przyszedł.

Nie minęła nawet minuta, a już wiedziałem, że to nie przypadek. Ujrzałem snop światła przemykający pomiędzy drzewami i spoczywający wreszcie na drodze nie więcej niż piętnaście metrów od murku, za którym przykucnęliśmy.

Zacząłem się modlić, ale po chwili doszedłem do wniosku, że to nic nie da. Wszyscy się modlili. Każdy się modlił, jeśli nie za siebie, to za innych. Panna Webber modliła się z nami za Alice Ruth Van Horne i za Lavernę Stowell. Mieliśmy się modlić do Boga, żeby nie pozwolił temu zwyrodnialcowi zabić już żadnego dziecka więcej. I co to dało? Zupełnie nic. Więc zamiast się modlić, ścisnąłem nóż. Odwróciłem się i spojrzałem na Hansa. W jego szeroko otwartych, błyskających białkami oczach zobaczyłem strach. Wiedziałem, że był tak samo przerażony jak ja.

Usłyszałem odgłos kroków. Promień latarki oświetlił drogę nie dalej niż dziesięć metrów od miejsca, w którym się ukryliśmy. Za murkiem pięciu chłopców wystraszonych jak diabli, a na drodze morderca, z latarką w ręce, czekający, aż ujrzy któregoś z nas... chyba że może wyczuć nasz zapach. Pewnie był na tyle szybki, by nas dogonić, i na tyle silny, by nas przytrzymać i ścisnąć wszystkich razem.

Ronnie Dugan zaczął płakać. To był cichutki, kwilący, przerażony szloch, ale to wystarczyło.

Promień latarki znieruchomiał. Kroki ucichły.

Słyszałem jego oddech, chrapliwy, jakby krew pieniała się w jego piersi...

Czułem jego obrzydliwy oddech, smród skóry, zardzewiałego tasaka rzeźnickiego... słyszałem jego myśli, wyczuwałem, czego pragnął, widziałem siebie zwisającego głową w dół z gałęzi drzewa i żywcem obdzieranego ze skóry, pozbawianego każdego centymetra skóry... godziny całe minęłyby, zanim bym umarł, a każda sekunda byłaby istnym piekłem...

Kiedy przemówił... kiedy pierwsze słowa zostały wypowiedziane przez mordercę stojącego na drodze, Michael Wiltsey wrzasnął tak głośno, że można go było bez wątpienia usłyszeć aż w hrabstwie Camden.

Pamiętam Strażników.

Miłe wspomnienie, niczym upragniona cisza po niekończącym się hałasie.

Pamiętam ich twarze. Ronnie Duggan z grzywką, której jego mama nigdy nie umiała odpowiednio przyciąć. Michael Wiltsey, zwany Wiercipiętą. Maurice Fricker, skóra zdjęta z ojca; umiał zrobić zeza, najpierw patrząc na czubek nosa, a potem na boki, jakby równocześnie spoglądał na prawo i na lewo. Byliśmy przestraszonymi dziećmi, wszyscy razem i każdy z osobna. I był jeszcze Hans. Myślę o Hansie po raz pierwszy od bardzo dawna. Wygląda na to, że wyrzuciłem go z pamięci, ponieważ myślenie o Krugerach było, ogólnie rzecz biorąc, zbyt bolesne. Naprawdę bolesne.

Tej nocy, kiedy wydawało się nam, że zapędził nas w ślepy zaułek morderca, w rzeczywistości zostaliśmy złapani przez szeryfa Dearinga. Promień jego latarki prześlizgnął się po murku, za którym się skryliśmy, sprawiając, że każdy z nas zrobił się bledy z przerażenia, mokry od potu i zaczął szczełkować zębami. Ciało pokryła gęsia skórka, a nerwy były bardziej napięte niż opaska uciskowa nad krwawiącą raną. Ścisnąłem swój tępy nóż, jakby miał do czegoś służyć.

- Kto tam? - krzyknął szeryf.

A Michael w odpowiedzi wrzasnął tak głośno, że słyszeli go pewnie w sąsiednim hrabstwie.

Nikt nie ośmielił się poruszyć, nawet drgnąć.

A głos szeryfa Dearinga nie przypominał żadnego, jaki znałem. Wiedzieliśmy tylko jedno... Mieliśmy co do tego całkowitą pewność. Wiedzieliśmy, że wszyscy już przepadliśmy. Przepadliśmy i już nie żyjemy.

Odkrył nas ukrytych za murkiem, a kiedy jego latarka oświetlała nasze przerażone twarzyczki, chwilowy wyraz ulgi przemógł jego twarz niczym woda farbę, zupełnie jakby też był przerażony, naprawdę przerażony, jakby bał się tak samo jak my. A potem wpadł we wściekłość, był wściekły jak diabli, wrzeszczał na nas w ciemności, strasząc, że nas



wszystkich aresztuje, że rodzice czekają na nas z tęgim laniem... takim laniem, jakiego nie zapomnimy do końca życia.

Wtoczył nas wszystkich na tył swojego samochodu i przez pół godziny rozwoził do domów, a kiedy moja mama zobaczyła, że wysiadam z jego auta, wybuchnęła płaczem. Płakała tak jak wtedy, gdy grzebano mojego ojca, chociaż trochę inaczej.

Była bardziej wściekła niż kiedykolwiek przedtem, taka wściekła, jakiej jej nigdy nie widziałem, ale nie wypuściła mnie z objęć, ścisnęła mnie tak mocno, że ledwo mogłem oddychać, i powtarzała, że jestem najgorszym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić - upartym, nieposłusznym, wrednym, wręcz okrutnym. Jednak cały czas przytulała mnie i płakała, wypowiadając moje imię.

- Joseph... Joseph... Joseph...

Nazajutrz do szkoły przyjechał szeryf Dearing. Nie wymienił naszych nazwisk, ale kiedy mówił, spoglądał na każdego z nas po kolei, przyszpilając nas stalowym spojrzeniem. Powiedział, że były pewne kłopoty, że sprawy wymknęły się spod kontroli i że nakłada na nas, dzieci, godzinę policyjną.

Mamy być w domach nie później niż o szóstej wieczorem. I zamknąć się na cztery spusty, żebyśmy nie mieli żadnych problemów. To dla naszego dobra, wyjaśnił, a potem stał w milczeniu, podczas gdy panna Webber kiwała głową na znak, że w pełni z nim się zgadza.

My, Strażnicy, spotkaliśmy się po szkole. Staliśmy razem i próbowaliśmy udawać, że wcale się nie boimy, że jeśli spotkamy mordercę, pokonamy go, powalimy na ziemię, skopimy go całego. Wrzucimy go prosto do piekła, z którego nigdy nie wróci.

Wiedzieliśmy, że okłamujemy samych siebie. Wiedzieliśmy już dobrze, jak bardzo będziemy przestraszeni tej nocy.

Przestraszeni jak małe dziewczynki.

## VII

Walczyliśmy z Japończykami w bitwie na Morzu Koralowym, a potem o Midway. Człowiek nazywający się Churchill przybył z Anglii i rozmawiał z Rooseveltem. Eisenhower udał się do Londynu jako głównodowodzący wszystkimi amerykańskimi siłami w Europie. W radiu coraz częściej nadawano komunikaty o wojnie. Nie było tygodnia, żeby panna Webber nie mówiła nam na lekcji o jakimś ojcu i synu, którzy poszli na wojnę. Niektórzy z nich mieli wrócić załamani i przygnębieni. Inni nie powrócą nigdy.

Czas w pewnym stopniu uleczył sytuację między mną a matką. Znow zacząłem odwiedzać Krugerów. Nauczyłem się nawet stawać przed panią Kruger bez myślenia o jej mężu poznającym moją matkę w sensie biblijnym. Rutyna przyniosła nie tylko pogodzenie się z rzeczywistością, ale również zapomnienie. Rzeczy, które wówczas napisałem, a do których później wrócę, sugerowały nawet, że w pewnym sensie byłem szczęśliwy. Skończyłem piętnaście lat. Patrzyłem na dziewczyny w inny sposób niż dotąd. Myślałem o panie Webber i niektóre z tych myśli zawstydzaly mnie. Jednak nie wydawało się, by to miało znaczenie. Nic nie wydawało się mieć znaczenia. Nasłuchaliśmy się wystarczająco dużo o wojnie, by wiedzieć, że bieda i niedogodności, których doświadczaliśmy, były błahe i nieistotne w porównaniu z prawdziwym cierpieniem. Panna Webber twierdziła, że jesteśmy już na tyle duzi, by rozumieć, co tak naprawdę się dzieje. Powiedziała, że ponad pół miliona Żydów przebywa w warszawskim getcie, że odmawia się opieki medycznej osobom poniżej pięciu i powyżej pięćdziesięciu lat; że wszystkie żydowskie dzieci muszą nosić gwiazdę Dawida na ubraniach; że naziści zamordowali siedemset tysięcy Polaków, sto dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców Rumunii i ponad ćwierć miliona osób w Holandii, Belgii i Francji. Pokazała nam na globusie, gdzie leżą te wszystkie kraje. Przyglądaliśmy się w milczeniu. Niektóre z dziewczyn płakały, między innymi Elena Kruger. Chciałem potrzymać ją za rękę, ale uśmiechnęła się zawstydzona i otarła powieki rękawem sukienki. Powiedziała, że nic jej nie jest. Panna Webber poinformowała nas, że mężczyźni we wsiach często zmuszani są do kopania grobów i że potem ci mężczyźni, ich żony i dzieci są rozstrzeliwani przez niemieckie oddziały. Myślałem o dziewczynkach, które mordowano tutaj, w Augusta Falls. Myślałem o tym, jak zły może być człowiek. Czasami wyjmowałem wycinki i ślęczałem nad nimi, usiłując pobudzić do życia czarnobiałe twarze. Nigdy jednak mi się to nie udawało. Czulem się tak jak te dziewczynki, które odeszły na zawsze do niejasnego i nieokreślonego świata. Niewykluczone, że czekały na odkupienie, wybawienie od bólu. Wprawdzie żywiłem nadzieję, że stały się aniołami, jednak miałem wrażenie, że moja wiara jest równie słaba jak

pamięć o nich.

Pod koniec tego miesiąca zaszyłem się w domu i zacząłem pisać opowiadanie. Nie miało tytułu - wydawało mi się, że go nie potrzebuje, dopóki nie zostanie ukończone. Czułem się niezręcznie, ale wyobraziłem sobie żydowskie dziecko w Paryżu, z gwiazdą Dawida i smutną, znękaną twarzą. Siedziałem przy oknie, brodą prawie dotykając parapetu, i patrzyłem na nocne niebo. Zdawało się twarde jak kamień; mknące po nim chmury jawiły się cienkie i delikatne, zupełnie jakby można było rozproszyć je pstryknięciem palców. Były piękne w niewymuszony sposób; cienie chmur widzianych za dnia, podświetlone, by pamiętało się o poranku. Poranek odszedł, ale miał też znów nadejść... który z kolei, nie miało to znaczenia. W powietrzu rozchodziły się rześkie zapachy sosny i jałowca. Gwiazdy spoglądały na mnie z góry, może również anioły - Alice Ruth Van Home, Laverna Stowell, Ellen May Levine. Przypomniałem sobie małą McRae, to, że znaleziono jej głowę między polem bawełny a zagajnikiem tupelo, natomiast jej ciało w rowie. Mężczyźni z czterech hrabstw długo szukali jakiegokolwiek śladu zabójcy, za dnia i w nocy. Przyszli ludzie z psami. Ich ujadanie postawiłoby na nogi umarłego, jednak nic nie znalazły. Wszyscy ci ludzie mieli domy, pracę i dzieci, ale rzucili to wszystko jak zgnile ziemniaki i ruszyli w pościg. Czy chcieli w ten sposób odegnać strach? Strach, że ich dzieci mogą być następne? Nie, nie uważałem tak, ponieważ większość z nich zostawiła je bez opieki w domach, chociaż zapadł zmrok. Nie, to nie strach nimi powodował, to było coś o wiele bliższego szlachetności i wielkoduszności.

Czuliśmy jednak strach. My wszyscy. Przynajmniej tak nam się wydawało. Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Prawdziwy strach zaczął się bowiem dopiero wraz z piątą dziewczynką. To wtedy przyszedł. Przyszedł niczym Śmierć High Road. Niczym listonosz, niczym sprzedawca pomp, niczym każdy inny komiwojażer przyjeżdżający do Augusta Falls z towarami do sprzedania, oferujący olejek z rdestu wężownika albo części do maszyn rolniczych, gotów nabrać ludzi, którzy na odczepnego brali to, co oferował, i dopiero potem zastanawiali się nad tym, co zrobili, i zaczęli kłąć, na czym świat stoi. Tyle że do tego czasu sprzedawcy już nie było. Nie było go tak samo jak trąb powietrznych, które pojawiały się na horyzoncie i były na tyle silne, żeby porwać byka - nie jakiegoś chorego i starego albo słabego cielaka, ale silnego byka, z rogami, strzykającego śliną i wiecznie wściekłego. Tornada, trąby powietrzne, wszystko jedno co - w jednej chwili widziało się je, w następnej już ich nie było.

Jednak prawdziwy strach był inny. Poruszał się tak, jakby otrzymał zaproszenie od konkretnej rodziny. Czasami wydawało się, że Śmierć przychodziła, by zabrać nas wszystkich, a zaczęła od dzieci tylko dlatego, że się nie opierały.

Piąta dziewczynka siedziała obok mnie na lekcjach panny Alexandry Webber. Siedziała tak blisko, że wiedziałem, w jaki sposób pisze liczbę pięć. Do diabła, siedziała tak blisko, że czułem jej zapach.

Jej ciało znaleziono w poniedziałek, 3 sierpnia 1942 roku.

Gwoli ścisłości, znaleziono większość jej ciała.

To wtedy pojawiły się koszmary. Przez jakiś czas śniły mi się każdej nocy. Były zawsze takie same, może trochę różniły się pod względem miejsca i czasu, ale w gruncie rzeczy były identyczne.

Zacynały się od dźwięku.

Bum!

Bum!

Bum!

Jak odgłos ciężkiego kija uderzającego o sztachety płotu albo ciągniętego w dół schodów, ale głośniejszy, jakby ktoś uderzał w coś, wkładając w to naprawdę dużo siły. Następujący po tym dźwięk przypominał echo, ale nie był echem, ponieważ to nie był taki sam dźwięk, ponieważ dźwięk, który następował po BUM!, był mokrym odgłosem, jakby wybuchającego arbuza, ale zgniłego arbuza, cierpkiego, miękkiego i poślizgłego, takiego jak te arbuzy, którymi rzucasz z werandy dla śmiechu, dla zabawy, dla... błazeństwa!

A potem widziałem ją.

Leżała na ziemi.

Leżała na ziemi, jakby udała się na spoczynek.

Na wieczny spoczynek.

Widziałem podeszwy jej butów.

Wchodziłem pod górę, na niewielkie wzniesienie, które miało nie więcej niż pięć albo sześć metrów wysokości, i tuż nad jego grzbietem widziałem podeszwy butów. Nowych. Białe podeszwy nowych butów. Te podeszwy butów skierowane były w moją stronę i przez chwilę czerwieniłem się ze wstydu, ponieważ uświadamiałem sobie, że jeśli widzę podeszwy butów, powinienem widzieć również jej sukienkę, a pod nią małe białe...

Próbowałem nie myśleć o niczym z wyjątkiem jednego: dlaczego ona tam leży?

Dlaczego ktoś taki jak... ktoś taki jak dziewczynka, mała dziewczynka... dlaczego mała dziewczynka weszła na to wzgórze i tam się położyła, i leży tam, tak że każdy, kto tam wchodzi, może zobaczyć białe podeszwy jej butów?

Wydawało mi się, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

A potem słyszałem głos panny Webber, która mówiła:

- Najpierw zaprzeczasz, że robisz wszystko, żeby osiągnąć sukces, a potem przepraszasz za to, co zrobiłeś... Czy na tym ma polegać życie?

Nad moją głową zwiędłe liście zwijały się na gałęziach niczym dziecięce dłonie, rączki niemowlaka. Podejmowały ostatni wysiłek, żeby wyciągnąć resztki lata z powietrza, ponieważ już wkrótce będzie trudno przypomnieć sobie coś poza ponurą, napuchłą wilgocią, która wydawała się otaczać nas wiecznie. Zima w Georgii była czymś wyjątkowym, śmiałym i aroganckim potworem przypominającym nieznośnego i ordynarnego krewnego, który przyjechał w gości i wtrącał się w nasze intymne sprawy i rozmowy z zaciśniętymi pięściami, kwaśnym oddechem i wyczuciem plutonu egzekucyjnego.

Znów odzywała się panna Webber:

- To nie Arystoteles, Josephie Calvinie Vaughanie. To nie czerń i biel bez żadnych odcieni szarości pomiędzy... to życie, a w życiu dzieją się różne rzeczy, bez względu na to, co zrobisz, żeby je powstrzymać.

A potem rozlegał się krzyk dziewczynki: „Przestań!”, ale było ciemno, ciemno jak tylko w Georgii potrafi być, i nie było żadnego światła na ziemi z wyjątkiem reflektorów jakiejś ciężarówki tysiące kilometrów dalej; a może to ognisko gdzieś na polanie, gdzie ranczerzy siedzieli i jedli coś obrzydliwie śmierdzącego; zdjęli buty i postawili je na ziemi podszwami do góry, żeby robaki i pająki nie mogły się dostać do środka i gryźć ich w palce o wschodzie słońca.

- Przestań! Pomocy... Jezu, pomóż!

Dziewczynka - ramiona jak gałązki, nogi jak konary młodego drzewka, włosy jak len, pachnąca jak brzoskwinia, oczy jak szafiry, może kwarce, coś, co leżało pod ziemią przez milion lat, zanim pokazało swe oblicze...

I ona, ta mała dziewczynka, kopie i wymachuje rękami, jej dłonie są jak ściśnięte pięści noży, kiedy drapie ziemię, zupełnie jakby przez to drapanie jakiś głęboki, niemal podprogowy komunikat mógł być przeniesiony przez osmozę, wchłanianie... zupełnie jakby ziemia była w stanie zobaczyć, co się z nią dzieje, i przekazać komunikat poprzez glebę, korzenie i łodygi, poprzez oczy i uszy robaków i innych stworzeń, które wychodzą, żeby hałasować w nocy, kiedy nikt ich nie widzi, stworzeń, które jakiś naukowiec łapie i spogląda na nie pod mikroskopem; a kiedy widzi je, patrzące na niego przez wypolerowaną czarną tubę okularu, robi gwałtowny wdech, ponieważ mają one nocne oczy, mądre oczy, oczy, które widzą wszystko, oraz uśmiechają się znacząco, zupełnie jakby wiedziały, że nie żyją i zostały zgniecione między dwoma szkiełkami, ale nie ma to znaczenia, ponieważ cała mądrość, która przesączała się przez ziemię, wciąż w nich pozostawała. Ta mądrość jest czymś, czego nigdy

nie zdoła się odebrać - nawet zabijając te stworzenia.

Może to one przeniosą wiadomość?

Więc może... może... może właśnie na to miała nadzieję ta mała dziewczynka - że dzięki drapaniu, rozszarpywaniu, biciu, kopaniu, uderzaniu pięściami w ziemię... że dzięki temu wszystkiemu ktoś ją usłyszy... ktoś ją usłyszy, przybiegnie na ratunek i zobaczy mężczyznę pochylonego nad nią, mężczyznę z opuszczonym ramieniem i spoconym czołem, mężczyznę z zardzewiałym ostrzem i skórą, która śmierdziała zatęchłą norą, wychodkiem i cuchnącym bagnem, wezbranym błotem rzeczonym, rybą i surowym kurczakiem - tak surowym i starym, że jest siny, zwiędły, a jego zapach drażni nozdrza... takim kurczakiem, którym karmisz psa i wiesz, że będziesz musiał wezwać weterynarza...

Ktoś przyjdzie i zobaczy tego mężczyznę, pochylonego i oddającego się z zapalem swemu zajęciu, zupełnie jakby to była jego praca, prawdziwa praca, a nie taka jak ta, którą wykonują blade anemiczne urzędaszy w tych swoich wyprasowanych w kancik spodenkach, zajęte przekładaniem papierków z miejsca na miejsce, zupełnie jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, u diabła...

Tyle że nikt nie przyszedł.

Zupełnie nikt...

Ja przyszedłem. Przyszedłem nazajutrz rano. Nie było jej całą noc. Leżała w zagajniku na krawędzi pola Gunthera Krugera, a kiedy do niej dotarłem, była w czterech - nie, w pięciu - kawałkach i każdy z nich był rozdarty, a największym z nich był ten z jej głową, ponieważ ten bydlak przepiłował bok jej szyi, a potem zrobił ukośną linię, która kończyła się pod jej prawym ramieniem. I tak jej głowa, prawy bark i prawe ramię były jednym kawałkiem, a prawa ręka - drugim. Jedną z rąk, którymi szarpała, drapała i kopała ziemię...

A w powietrzu unosiło się jeszcze wciąż wspomnienie jej krzyków: „Pomóż mi pomóż mi o Boże Jezu Jezu Święta Mario Matko Boża Ojcze nasz któryś jest w niebie przyjdź królestwo Twoje bądź wola Twoja...”

Jednak te okrzyki trwały jedynie kilka uderzeń serca, ponieważ mężczyzna wyprostował się, a potem pochylił i wsadził zardzewiałe ostrze między jej żebra, po czym pociągnął wolno w dół i poczuł, że nic nie stawia oporu, zupełnie nic.

Otworzyła szeroko oczy i przez chwilę wydawało się, że wszystko będzie dobrze, ponieważ widziała światło, prawdziwe światło, niczym spadającej gwiazdy, i uśmiechnęła się, nieczęsto spotykanym i ładnym uśmiechem, i zastanawiała się, czy od razu zostanie aniołkiem, czy też, skoro myślała trochę nieładnie o swojej babci w ostatnie święta, to będzie miała jeszcze jakieś zadanie do wykonania...

Kiedy zaczął się nad nią pastwić, już nie żyła. Chyba na całe szczęście.

Nazywała się Virginia Grace Perlman. Jej ojciec był niskim mężczyzną, który pracował w banku w mieście, w słabym banku, jednym z tych, które omijają rabusie, ale jednak w banku. Był Żydem i miał córkę Żydówkę, która miała osiem i pół roku, gdy ktoś przeszył zardzewiałym ostrzem jej serce, a potem robił z nią różne rzeczy, rzeczy w sensie bliblijnym, rzeczy, które sprawiały, że czoła zwykłych ludzi pokrywały się potem. I robił jej te rzeczy pośród drzew przy strumieniu - tym samym strumieniu, który miał rów, gdzie znaleziono większość Catherine McRae pięć miesięcy wcześniej - a kiedy skończył robić te rzeczy, pociął ją na pięć kawałków i jednym z tych kawałków była jej prawa ręka, innym jej głowa i szyja oraz prawy bark i ramię, a jeszcze innym - reszta jej tułowia - jej lewe ramię, większa część jej boku, ale bez lewej ręki... a oni szukali bardzo długo, lecz mimo to nie znaleźli tej lewej ręki, a jeszcze inny z tych kawałków to była większa część dolnej połowy jej ciała, ułożona w taki sposób, że nie widziało się niczego oprócz białych podeszew jej nowych butów, kiedy się szło na szczyt wzgórza...

To właśnie znalazłem.

Za dwa miesiące miałem skończyć piętnaście lat, a rankiem 3 sierpnia znalazłem pokawałkowane zwłoki dziewczynki bez lewej ręki około kilometra od swojego domu.

Nazajutrz wyciąłem artykuł z gazety i dołączyłem go do innych w pudełku pod łóżkiem. Moje ciało pokryło się potem i ręce tak bardzo mi drżały, że nie byłem w stanie go równo wyciąć.

Przez tydzień nie mogłem pisać, a potem napisałem o czymś zupełnie innym.

Może byłoby inaczej, gdyby nie była Żydówką. Jednak nią była. Pamiętałem ją ze szkoły. Lubiałem ją. Nie mówiła za dużo, nigdy nie mówiła za dużo, a teraz już w ogóle nie będzie nic mówić.

Może byłoby inaczej, gdyby nie wojna tocząca się w Europie. Albo gdyby przynajmniej nie brali w niej udziału Amerykanie.

Wojna była winą Niemców.

Niemcy zdecydowanie, ponad wszelką wątpliwość, byli złymi ludźmi.

Niemcy nie lubili Żydów, nie lubili ich do tego stopnia, że zabili ich więcej, niż można sobie wyobrazić.

Może od tego właśnie wszystko się zaczęło - od bezpodstawnych plotek.

Plotek bez wartości.

Może to miało coś wspólnego z tym, kim była.

Może to dlatego, że była Żydówką.

Żydowską szmacianą laleczką, rozprutą i pozostawioną na śmierć.

A oto, jak wyglądały koszmary, które mnie nawiedzały.

Widziałem to wszystko, przynajmniej w wyobraźni. To, jak walczyła i się wrywała, jak szarpała paznokciami ziemię, jak powstrzymał jej krzyki, wbijając zardzewiałe ostrze prosto w jej serce.

Zamykałem oczy i widziałem to wszystko.

Matka przychodziła do mnie, kiedy się budziłem, przychodziła do mojego pokoju, przytulała moją głowę do piersi i czułem się jak garść popiołu, który rozprasza się, kiedy na niego dmuchnąć. Właśnie tak się czułem. Tak jakby nic ze mnie nie zostało. Czułem się jak duch.

Próbowałem nie zastanawiać się nad tym, dlaczego to właśnie ja znalazłem Virginie Grace Perlman. Próbowałem nie zastanawiać się nad tym, ale było to trudne, cholernie trudne.

Wiele razy, leżąc w łóżku i trzęsąc się jak w febrze, wyobrażałem sobie, że wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Wyobrażałem sobie, że nadchodzę w czasie, kiedy to wszystko się działo. Porwał ją wczesnym wieczorem, przynajmniej tak przypuszczał szeryf Dearing. Porwał ją o zmroku, porwał ją prosto z drogi, którą szła sama do domu. My - Strażnicy - tego wieczoru musieliśmy mieć oczy i uszy zamknięte. Nie mogłem sobie przypomnieć, co robiłem w tym czasie. Coś tak ważnego, że nawet tego nie pamiętałem. Wyobrażałem sobie, że zamiast tego byłem na miejscu zbrodni. Wyobrażałem sobie, że widziałem tego mężczyznę pochylającego się nad Yirginią Grace, że widziałem ją, jak z nim walczy, jak gorączkowo walczy o życie, a ja z rykiem wypadam i uderzam na nich i nagle za mną pojawiają się Strażnicy, wszyscy krzycząc i wyjąc jak potępieńcy; mężczyzna już wie, że tym razem mu się nie uda, i ucieka jak szaleniec, którym zresztą jest, a my znosimy ją ze wzgórza do mojego domu, do kuchni, gdzie siedzą moja mama i Reilly Hawkins, potem posyłają po panią Kruger, a ktoś inny biegnie do szeryfa Haynesa Dearinga...

I ojciec Laverny Stowell zjawia się z dwoma psami - groźnymi bydlakami, ale świetnymi w tropieniu - i łapią zapach z ubrania dziewczynki, łapią zapach tego zwyrodnialca, a ojciec Laverny Stowell musi powstrzymywać psy do momentu, aż przyjedzie ciężarówka. Na jej platformie stoją mężczyźni, mężczyźni tacy jak William Van Horne, Henry Levine i Garrick McRae, i każdy z nich ma siekierę i pałkę, i ciężarówka jedzie za psami, i dojeżdżają do rowu przy strumieniu, aż przecinają krawędź pastwiska Lucasa Landry'ego i widzą mężczyznę uciekającego jak szaleniec i dzikus, jak ścigane zwierzę...

Łapią go w pobliżu płotu doktora Pipera i jest tam szeryf Haynes Dearing, i potem



przeklina, że nikt nic nie mógł zrobić, ponieważ szaleniec, ten, który zabił te wszystkie dziewczynki, uciekał tak szybko i zaciekle, że jego nogi były szybsze od ciała, i nawet gdy widzieli go biegnącego prosto na ogrodzenie, nie mogli nic zrobić, żeby go zatrzymać... ponieważ biegł jak strzała, a kiedy uderzył w to ogrodzenie, przewrócił się jak upadające drzewo, a płot się zawalił i jeden ze słupków poleciał prosto mu na spotkanie, jak dawno niewidziany znajomy, i wbił mu się w brzuch.

Nie chcą go ruszać, mimo że wrzeszczy dziko, błagając o litość Boga i diabła równocześnie, leżąc tam z palikiem wbitym w brzuch, i przychodzi doktor Piper, i widzi, co się stało, ale nie jest w stanie nic zrobić, ponieważ jest tylko internistą, a nie chirurgiem, i ktoś wpada na pomysł wezwania weterynarza z Race Pond, ale wszyscy dochodzą do wniosku, widząc, jak dużo krwi spływa po paliku i spada na ziemię, że nie ma po co wzywać kogokolwiek... Och, Panie Boże, źródło wszelkiej prawdy, zaklinałem się w ciemnościach, przesyj mnie świętą błyskawicą, jeśli to wszystko jest nieprawdą.

To musiała być prawda, ponieważ byli tam lekarz, szeryf i trzech naoczni świadkowie, a jeden z nich - William Van Horne - był woźnym sądu hrabstwa Clinch, zanim usłyszał, że w pobliżu Augusta Falls jest więcej wody, i postanowił się przeprowadzić tutaj z żoną i dziećmi.

Tyle że to jednak nie była prawda.

Przyszedłem sam, i to za późno. O wiele godzin za późno. Virginia Grace już nie żyła.

Do diabła, to nie była moja wina, ale ponieważ to ja ją znalazłem, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że wszystko to ma coś wspólnego ze mną.

Miałem poczucie winy, choć nie popełniłem żadnej zbrodni.

- Pozwól sobie pomóc, Josephie - powiedziała matka ze łzami w oczach. - Poczucie winy jest gorzkie i niestrawne, nawet jeśli jest paltem, które sam dla siebie skroiłeś, nawet jeśli miara była dobrze wzięta. - Jej oczy stały się duże, wilgotne i jakoś puste. - Robiłam czasami rzeczy...

- Mamo...

- Słuchaj mnie teraz, Josephie. Jesteś już na tyle duży, żeby zdawać sobie sprawę z różnicy między dobrem i złem. Już czas, żebyś spojrział prawdzie prosto w oczy i się z nią zmierzył. To, co było między mną a...

- Mamo, proszę... - przerwałem jej. - Było, minęło. Nie chcę o tym nic wiedzieć.

- Twój ojciec zwykł mawiać, że nie ma takiej rzeczy na tym świecie, o której nie powinno się choć trochę wiedzieć. Zwykł mawiać, że ignorancja jest wymówką głupców.

Wspomniała mojego ojca; nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

- To, co było... to, co było między mną a panem Krugerem, i te pieniądze, po które cię

posyłałam... - Odwróciła się do okna. - Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda, Josephie? Prawda jest taka, że czasami robimy wszystko, żeby nasze życie biegło we właściwym kierunku. Niektóre z tych rzeczy robimy dla towarzystwa, ponieważ nawet osoba w moim wieku może być straszliwie samotna, kiedy nie ma nic do zobaczenia na horyzoncie poza chmurami. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo, jak rozpaczliwie brakuje mi twojego ojca...

- Mnie też, mamó... Wiem, co masz na myśli.

Odwróciła się do mnie i dotknęła mojej twarzy.

- Wiem, że tobie też, Josephie, ale tęsknota za ojcem to coś innego niż tęsknota za mężem... Trzyście, czterysta lat spędziliśmy razem; jedno troszczyło się o drugie i kończyło rozpoczynane przez nie zdania. - Uśmiechnęła się. - W każdym razie był kimś absolutnie wyjątkowym i minęło dużo czasu, zanim ból, który czułam po jego stracie, zmienił się w ból samotności. Tutaj - wyszeptwała - tutaj, w tym opuszczonym przez Boga i ludzi miejscu, trudno być kobietą i matką. Trudno jest żyć bez mężczyzny. Krucho z pieniędzmi. Nie mogłam znaleźć pracy, a pan Kruger jest naszym przyjacielem, on i jego żona, i czasami dorosły ma inne sposoby na wyrażenie swojej wdzięczności za życzliwość niż wy, młodzi.

Potrząsnąłem głową.

- Nie musisz mi tego mówić, mamó... I nie musisz być smutna ani czuć się winna. Nigdy nie prosiłem, żebyś o tym mówiła, a to dlatego, że to nie moja sprawa. Co było, minęło. Tata nie żyje. Znalazłem tę dziewczynkę na wzgórzu. Ktoś zrobił jej potworne rzeczy. Czasami nie śpię za dobrze i nie wiem, kiedy spokojny sen powróci. Mam prawie piętnaście lat. Myślę o panie Webber w sensie biblijnym...

Matka roześmiała się głośno.

- Co takiego?

- W sensie biblijnym. No wiesz...

Skinęła głową, uśmiechając się do siebie.

- No tak - powiedziała. - W sensie biblijnym.

- Tak się rzeczy mają i tak to czuję, a ty jesteś moją matką i kocham cię niezależnie od tego, co się stało. Do diabła, mamó, możesz nawet się zabawiać z panem Krugerem w każdą niedzielę odtąd aż do Święta Dziękczynienia. Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko wywróciło się do góry nogami. Dręczą mnie koszmary i żałuję, że nie zrobiłem nic, żeby ocalić tę dziewczynkę. Kiedy te małe przychodziły na lekcje panny Webber, na przykład w środowe i piątkowe popołudnia, żeby posłuchać jej opowieści... ona, ta Virginia Grace, siadała obok mnie. Pamiętam jej śmiech. Do diabła, mamó, pamiętam nawet jej zapach... Pachniała brzoskwiniami, czymś w tym rodzaju. To właśnie pomyślałem, kiedy ją tam zobaczyłem...

kiedy zobaczyłem ją tam pociętą na kawałki i porzuconą jak coś, co nie ma w ogóle żadnej wartości. Zobaczyłem ją tam i myślę, że kiedy już zobaczyło się coś takiego, nic nie jest w stanie zatrzeć tych obrazów i pozostaną one w mojej głowie aż do chwili, gdy zjedzą mnie robaki. To sprawia, że myślę o wszystkim inaczej. To sprawia, że myślę, że tak naprawdę nie można nic zrobić ze swoim życiem poza usiłowaniem przeżycia go najlepiej, jak można, a jeśli popełnia się błędy, to przynajmniej popełnia się je, próbując robić coś dobrego lub próbując robić coś lepiej albo przynajmniej czerpiąc przyjemność i miłość, skąd się da, nawet jeśli ksiądz mówi, że to grzech. - Roześmiałem się gorzko. - Do diabła, z gadania księży wynika, że wszystko, co dobrze smakuje albo sprawia przyjemność, powoduje, że kupuje się bilet do piekła.

Mama potrząsnęła głową.

- Gdy mówisz te słowa, przypominasz swojego ojca bardziej, niż on sam kiedykolwiek siebie przypominał.

Wziąłem ją za rękę. Uniosłem ją i pocałowałem.

- Co było, minęło - powiedziałem. - Wydaje mi się, że nic od śmierci taty nie było tak ważne jak to, co się stało z tymi dziewczynkami. Wszystko pomiędzy wydaje się... Jezu, mamo, to wszystko wydaje się błahe w obliczu czegoś takiego. Jestem pewien, że pan Kruger zgodzi się ze mną.

- Ja też jestem tego pewna - potwierdziła matka cichym głosem, po czym już nic nie mówiliśmy. Potem, w świetle tego wszystkiego, co powiedzieliśmy o winie i poczuciu winy, o moim ojcu i ostatnich morderstwach, w świetle tego wszystkiego wyda się ironią losu fakt, że wspomniała o Guntherze Krugerze, Niemcu, najbogatszym człowieku w Augusta Falls, właścicielu odbiornika radiowego „Atwater Kent” i miksera „Sunbeam Mixmaster”.

Guntherze Krugerze, który poznał moją matkę w sensie biblijnym, który pomagał jej w ciężkich czasach, zostawiając siedem dolarów zawinięte w skórę pod kamieniem przy płocie.

Guntherze Krugerze, którego żona była ciepłym zaczynem pod postacią kobiety, pasowała do kuchni jak ręką do rękawiczki i nic nie było dla niej kłopotem, ponieważ życie w całości wypełniały jej dzieci, zarówno jej własne, jak i wszystkie inne, i to dlatego jej drzwi były zawsze otwarte dla mnie...

Guntherze Krugerze, ojcu Eleny.

## VIII

Ciało robi się chłodne. Przód jego koszuli jest czarny od zaschniętej krwi. Z jakiegoś powodu jestem głodny i patrzę na zegarek. Siedzę tu od dwóch godzin. Zaledwie dwie godziny. Jestem taki zmęczony, tak straszliwie wyprany z sił. Zmęczony od myślenia, wspomnienia, zmęczony od mówienia do kogoś, kto nie odpowiada. Nigdy nie udzieli odpowiedzi. W głębi duszy jestem spokojny, wszystkie te dźwięki, które wypełniały mój umysł przez tyle lat, wreszcie ucichły.

Być może mógłbym sam siebie zabić: po prostu siedzieć tutaj i stopniowo zwalniać bicie serca, tak jak umięją to robić buddyści. W końcu nieodwołalnie by się zatrzymało.

Być może mógłbym to zrobić. Znaleźliby nas obydwu nieżywych i zastanawialiby się, co w ogóle tutaj zaszło, właśnie tu, w tym pokoju hotelowym na trzecim piętrze.

Ponieważ nikt nie słyszał wystrzałów. Nikt nie krzyknął. Nie rozległ się tupot stóp w korytarzu. Nie było żadnego walenia w drzwi, żadnych krzyków: „Co tam się dzieje? Hej! Proszę otworzyć! Proszę otworzyć, bo wezwiemy policję!”.

Nic, tylko cisza - zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Przesuwam się nieznacznie. Nogi mi zdrętwiały. Kładę pistolet na podłodze przed sobą i przez chwilę masuję prawe udo. Czuję, że krew krąży w żyłach, w tętnicach, i kiedy się poruszam, słyszę szelest wycinków prasowych, które mam w kieszeniach.

Zamieram. Na chwilę wstrzymuję oddech. Pochyliam się do trupa. Widzę swoje odbicie w jego oczach.

- Jedno wiem na pewno - szepczę - nigdy nie zostaniesz aniołem.

## IX

Lato uderzyło w nas jak zaciśnięta pięść; kiedy wychodziło się na dwór, skwar był niczym cios w twarz; apetyt mijał, chociaż pragnienie nie słabło. Ludzie nic nie jedli, choć wiedzieli, że brak pożywienia wywołuje napady złego humoru.

Słońce, stojące wysoko i nieznośne, nie takie znów obce krajobrazowi Georgii, parzyło całe niebo. Powietrze było rozrzedzone, ziemia, która podkreślała horyzont, miała barwę ochry, rdzawe plamy pól dopiero co wyczyszczono z bawełny; kolory były rozmyte i pozbawione pewności, a wszędzie latały drobinki kurzu i owady. Wydawało się, że powietrze nie ma dość siły, by unieść jakikolwiek ciężar. W końcu człowiek stawał się nieświadomy gorąca czy też raczej, gwoli ścisłości, był go świadom tak samo jak oddychania albo światła dziennego: uświadamiał sobie jego istnienie dopiero wtedy, gdy go nie było.

Zwykłem siadywać w cieniu pod schodkami ganku i patrzeć na rodzinę ciem, która również tam się kryła. Wsluchiwałem się w głosy na polach i wyobrażałem sobie, że należą do małych dziewczynek, które wciąż się tam bawią; ich piskom i śmiechom towarzyszyły okrzyki ulgi, gdy ktoś, w skwarze wczesnego popołudnia, skierował na nie strumień wody ze szlauchu.

Słyszałem ich głosy.

- Raz, dwa, trzy, Baba-(aga patrzy...

Strach usadowił się we mnie niby napięty mięsień, jakbym miał dodatkowe serce - serce, które znało strach, rozpacz i uczucie, że życie mogło rzucić czymś prosto w ciebie, prosto z boiska, czymś, co zakreśli łuk niczym wydęty żagiel, i nie ma niczego, zupełnie niczego na całym tym cholernym świecie, co pomogłoby Ci się z tym uporać. Obgryzałem paznokcie i myślałem o Virginii Grace Perlman. Kiedy zamykałem oczy, widziałem białe podeszwy jej nowych butów na szczycie wzgórza. W powietrzu czułem zapachy sosny i ziemi, a także czegoś, co zalegało pod tym wszystkim niczym złowrogi cień.

Zajęło mi dobrą chwilę zrozumienie, co to było. Krew, to wszystko. Miedziany zapach rozlanej krwi, która wsiąknęła w ziemię.

Jakiś czas później poszedłem na miejsce zbrodni. Stałem pomiędzy drzewami i spojrzałem w kierunku swojego domu, a także domu Krugerów. Zobaczyłem Elenę siedzącą na tylnych schodkach. Wcierała w swoje posiniaczone ramiona jakąś maź, która zapewne miała powstrzymać okrucieństwo słońca. Chciałem jej pomachać. Chciałem, żeby mnie zobaczyła. Wykrzychałbym jej imię, gdyby tylko była szansa na to, że mnie usłyszy.

Chciałem, żeby wiedziała, że tutaj jestem; że ją widzę i dopóki ją widzę, jest

bezpieczna.

Nikt ci nic nie zrobi, nie wtedy, gdy tutaj jestem, nie w chwili, gdy czuвам. Ostatnio przybyłem za późno, lecz tym razem... Strażnicy są gotowi...

Chciałem dać jej znak, że wszystko będzie dobrze.

Wiedziałem jednak, że sam się oszukuję. Słyszałem słowa i słowa te były gorzkie i smutne. Wydawało się, że skwar jeszcze bardziej zachęca do ich wypowiedzania. Trwała wojna; Niemcy robili Żydom potworne rzeczy; pięć dziewczynek zostało zabitych w niecałe trzy lata, a szeryfowie z trzech hrabstw wciąż nie byli ani trochę mądrzejsi niż wtedy, gdy Alice Ruth Van Home została znaleziona naga na polu przy końcu High Road.

Taka była prawda; prawda gorzka jak zepsuta lemoniada.

Tej nocy nie mogłem spać. Chyba się bałem. Kręciłem się w łóżku na wszystkie strony jak chłopiec śniący o tym, że się topi. Wstałem w półmroku budzącego się świtu i stanąłem przy oknie, patrząc na pole.

Patrzyłem i czekałem, od czasu do czasu wstrzymując oddech na tak długo, jak tylko mogłem. Patrzyłem przez zmrużone powieki, co sprawiło, że kolory zbladły, a perspektywa znikła. „Jednooki widzi wszystko płaskie”, powiedział mi kiedyś tata. „Nie może ocenić dystansu. Myli odległość między jedną rzeczą a drugą”. Próbowałem nie myśleć o ojcu, o brzmieniu jego głosu, jego zapachu: gorzkich jabłek, smoły węglowej, czasami cygar. Zamknąłem szczelnie swój umysł. Patrzyłem i czekałem, czekałem, czekałem. Próbowałem oddychać głęboko, równo i wolno. Próbowałem wyciszyć dźwięki owadów i drzew, wiatru i strumienia. Próbowałem usłyszeć inne rzeczy. Rzeczy, które nadchodziły z ciemności.

Próbowałem być odważny. Próbowałem być Strażnikiem.

Wszystko było nieruchome. Jak cmentarze, jak puste domy, jak stojące wody stawów, które wyglądały, jakby mogły utrzymać twój ciężar, jeśli odważysz się po nich przejść.

I nagle usłyszałem skrzypienie.

Byłem w szoku. Poczułem szpilki w dole pleców. Przebiegły w górę kręgosłupa i dotarły do włosów na karku. Odwróciłem się w kierunku drzwi sypialni i przez chwilę, zaledwie przez ułamek sekundy, wydawało mi się, że klamka zaczyna opadać. Przeciągły jęk strachu wydobył się z moich ust - mimowolna reakcja na coś, czego mój umysł nie był w stanie pojąć.

Patrzyłem. Czekałem, aż drzwi wolno się otworzą, ale nic takiego nie nastąpiło. Zamknąłem oczy i uświadomiłem sobie, że zaciskałem pięści tak mocno, że paznokciami wyłobiłem w dłoniach małe półksiężyce.

Rozwarłem dłonie. Zobaczyłem cienką szramę w miejscu, gdzie naciąłem skórę, kiedy

składaliśmy przysięgę. Przysięgę, że będziemy chronić. Przysięgę, że będziemy mieć oczy i uszy otwarte.

Ten, kto tam był, pewnie nas słyszał, czytał w naszych myślach, przewidział, co zrobimy, i widząc mnie tam, pośród innych, wybrał właśnie mnie jako przywódcę, głównego wicherzyciela.

Pokażę mu, pomyślał. Pokażę mu, co to znaczy się bać.

Porwał Virginie Perlman i zabił ją ze względu na mnie.

Otworzyłem oczy i odwróciłem się z powrotem do okna.

I wtedy go ujrzałem.

Wstrzymałem oddech, poczułem, jakbym w gardle miał grudę. Zacisnąłem powieki, starając się myśleć jasno, dać odpór wyobraźni i zobaczyć tylko to, co mam naprawdę przed sobą.

Otworzyłem oczy.

Wciąż tam był. Ciemna postać stojąca nieruchomo na końcu drogi, która prowadziła z naszego podwórka.

Wciąż tam stał. Nic nie robił. Chyba nasłuchiwał, patrząc na pola i dróżki, wypatrując kogoś samotnego, kolejnej dziewczynki, kogoś, kogo mógłby porwać w mrok i...

Poczułem, że łzy napływają mi do oczu, a potem nadszedł paraliż, który uniemożliwiał zrobienie czegokolwiek, nawet rozplakanie się. Zacisnąłem pięści, gotów uderzyć w szybę w oknie, a mimo to byłem przerażony, oniemiały i nie mogłem się poruszyć...

I wtedy postać się odwróciła.

Odwróciła się twarzą do mnie.

Gunther Kruger wahał się chwilę, a potem zaczął odchodzić, wracać do swojego domu. Długi płaszcz powiewał za nim niczym peleryna.

Poczułem obezwładniającą ulgę.

Zacząłem płakać, nie ze strachu czy przerażenia, ale z ulgi.

Patrzyłem, jak znika pomiędzy budynkami, a potem usłyszałem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Strażnik, pomyślałem, i przez chwilę wyobrażałem sobie, że jest jednym z nas, że stał tam, w ciemności, żeby się upewnić, że nikt nie przyjdzie z High Road, żeby porwać jego córkę prosto w mrok.

Minęło trochę czasu, zanim zasnąłem, ale gdy już zapadłem w sen, nic mi się nie śniło.

Nazajutrz Strażnicy spotkali się w zagajniku niedaleko pola z połamanym płotem.

- Mamy problem - powiedział mi Hans Kruger. Stał blisko mnie, w małym oddaleniu od innych. - Moja siostra - wyjaśnił - myśli, że coś knujemy. Myśli, że w coś się wplątaliśmy. Zagroziła, że jeśli jej nie powiem, co to takiego, wygada wszystko ojcu.

- To powiedz jej, że nic takiego nie robimy...

Hans roześmiał się nerwowo i zacząłem się zastanawiać, czy już przypadkiem nie powiedział jej o Strażnikach. Może oczekiwał od niej aprobaty; może wydawało mu się, że zyska w jej oczach i będzie przez nią postrzegany tak jak ich starszy brat.

- Znasz Elenę tak jak nikt - powiedział. - Uwielbia takie rzeczy. Jeśli nabierze podejrzeń, że coś się dzieje, nie odpuści, dopóki nie przekona się, co to. Pamiętasz tego szopa... tego, którego pochowaliśmy?

Pamiętałem to zdarzenie aż za dobrze. Jęczała, przymilała się i dokuczała nam, aż wreszcie powiedzieliśmy jej, co zamierzamy zrobić, a wtedy uparła się, że musi z nami iść, ale zaczęła krzyczeć, kiedy go zobaczyła, krzyczeć i płakać, ponieważ szop wpadł pod ciężarówkę czy coś w tym rodzaju i nie miał tylnych nóg.

Skinąłem głową.

- Pamiętam - powiedziałem.

- To co mam zrobić? - zapytał Hans, a potem odwrócił się, ponieważ ktoś wyszedł zza drzew i pojawił się na skraju ścieżki.

Elena Kruger, wszystkiego jedenaście lat, z włosami upiętymi w kucyki, które sterczały po bokach jej głowy niczym łodygi kwiatów, a na końcach miały jaskrawe kokardy przypominające nierówne płatki, uśmiechała się, jakby pozjadała wszystkie rozumy.

- Elena! - krzyknął Hans.

- Widziałam, jak idziesz tutaj - powiedziała. - Widziałam, jak wszyscy tutaj idziecie, i chciałam wiedzieć, co tu się dzieje... musicie mi powiedzieć, co tu robicie, albo wszystko powiem tacie.

Wyszedłem przed Hansa.

- Ja to załatwię - oznajmiłem zdecydowanym głosem.

Podszedłem do niej z surowym wyrazem twarzy, z miną pełną buty, stanąłem przed nią, dobre półtorej głowy od niej wyższy, i spojrzałem na nią z góry tak, jak patrzyła na mnie czasami panna Webber.

- Musisz iść do domu - stwierdziłem.

- Nie muszę cię słuchać - wypaliła.

- Elena... mówię poważnie. Nie możesz być w to wplątana. Musisz iść do domu i nie



wolno ci nikomu o tym mówić.

Przekrzywiła głowę. Zamrugła powiekami, po czym spojrzała na mnie z miną, która sprawiła, że się zaczerwieniłem.

- Elena, nie żartuję. To poważna sprawa.

Pozostali zaczęli iść w naszą stronę. Czułem ich wzrok na swoich plecach, a potem Maurice Fricker stanął obok mnie i popatrzył na dziewczynkę.

- Co ona tutaj robi, do diabła?

- Mogłabym cię zapytać o to samo - odparła. - Znam twojego brata, znam twoją mamę i tatę, i jeśli nie powiesz mi, co się tutaj dzieje, pobiegnę prosto do twojego domu i powiem im, że widziałam, jak palisz.

Maurice uniósł rękę.

- Ach ty, mała...

Wkroczyłem między nich; wziąłem Elenę za rękę i szybko wyciągnąłem ją spośród chłopców.

Poszliśmy w kierunku drzew, a potem zwolniłem i zatrzymałem się.

- Siadaj - poleciłem jej. - Siadaj tu i słuchaj, co ci powiem.

Usiadłem obok niej. Powiedziałem jej, kim jesteśmy. Powiedziałem jej o Strażnikach. Powiedziałem jej o przysiędze, że będziemy mieli oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dzieje. Powiedziałem jej, dlaczego ją złożyliśmy, a potem wyjaśniłem, że nie może w tym uczestniczyć. Miała być chroniona, a nie ochraniać.

- Ale przecież mam oczy i uszy tak samo jak wy - zauważyła i przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

Popatrzyłem za siebie na tych pięciu chłopców. Ronald Duggan stał z rękami na biodrach, jego twarz była czerwona, jakby ktoś go spoliczkował. Hans miał taką minę, jakby obecność siostry była jego winą i tylko on ponosił za to odpowiedzialność.

Odwróciłem się do niej.

- Elena, ja nie żartuję. Nie możesz być w to zamieszana. To niebezpieczne.

Potrząsnęła głową.

- Dlatego, że jestem dziewczyną, co?

Roześmiałem się.

- Nie, na miłość boską, wcale nie dlatego.

- To dlaczego? Dlaczego nie mogę być razem z wami?

Znów popatrzyłem na chłopców. Oczekiwali ode mnie, że wścieknę się na Elenę i wyślę ją do domu. Oczekiwali, że powiem coś ostrego i surowego. Nie mogłem tego zrobić;

w każdym razie nie Elenie Kruger.

- Elena... chodzi o to... chodzi o to, że jesteś zbyt ważna dla mnie. - Odwróciłem się i spojrzałem na nią. W jej oczach dostrzegłem coś, czego dotąd nie widziałem. Chciałem zapanować nad swoimi słowami, ale nie mogłem; wypływały ze mnie wbrew mojej woli. - Za bardzo mi na tobie zależy... naprawdę. Nie mogę znieść myśli, że coś może ci się stać, naprawdę nie mogę. Musisz mi zaufać. Musisz zrozumieć, że najważniejszą sprawą w moim życiu jest zapewnienie ci bezpieczeństwa. Obserwuję drogę prowadzącą do naszych domów. Zostaję do późna i obserwuję ją. Upewniam się, że nic się nie dzieje... Muszę mieć pewność, że nic ci się nie stanie, a myśl, że jesteś tam gdzieś w ciemności, nieważne z kim... myśl o tym, że jesteś tam, gdzie coś może ci się stać, jest po prostu nie do zniesienia.

Przestałem mówić. Popatrzyłem na swoje palce i splotłem je.

Uniosłem wzrok, kiedy poczułem jej dłoń na ramieniu.

Elena Kruger, z oczami otwartymi szeroko i pełnymi łez, z włosami upiętymi w kucyki, odległe wspomnienie chudej małej dziewczynki z siniakami na ramionach, wyciągnęła szyję i pocałowała mnie w policzek.

Popatrzyłem na nią. W jej oczach ujrzałem niewinną, naiwną, ślepią wiarę.

- No dobrze - wyszeptalem, a wtedy ona wstała, otrzepała spódniczkę i uśmiechnęła się do mnie.

- Jesteś moim Strażnikiem, tak? - powiedziała, a w jej głosie usłyszałem nutkę triumfu. - Mój Strażnik, Joseph Vaughan. - Miała taki wyraz twarzy, jakby właśnie powierzała mi swoje życie.

Poczułem, że się czerwienię, i musiałem odwrócić wzrok.

- Nie pisnę ani słówka - obiecała, po czym odwróciła się - nagle, niespodziewanie - i odbiegła.

Wstałem i patrzyłem, jak znika pomiędzy drzewami.

Tak, pomyślałem. Będę twoim Strażnikiem. Cokolwiek się stanie, będę przy tobie.

Koniec sierpnia. Niemcy aresztowali kolejne pięć tysięcy Żydów we Francji; piechota morska wylądowała na Guadalcanal i Wyspach Gilberta; ktoś rzucił kamieniem w przednią szybę samochodu Gunthera Krugera. Szeryf Haynes Dearing kazał rozwiesić plakaty na drzewach i bramach w rejonie Augusta Falls. Ukazywały sylwetkę mężczyzny - tylko zarys, niczym cień. Pod nią widniały słowa: NIE ROZMAWIAJ Z NIEZNAJOMYMI. NIE ODCHODŹ Z NIEZNAJOMYMI. UWAŻAJ NA SIEBIE. ZACHOWAJ OSTROŻNOŚĆ.

Wydawało się, że to tylko pogorszyło sprawę. Przypomniało wszystkim, że morderca jest wśród nas. Jeśli komuś zdarzyło się zapomnieć o tym, plakaty mu to przypomniały.

Niezależnie od tego, czy ten ktoś był wampirem czy nie, wydawał się w tej chwili bardziej realny niż kiedykolwiek przedtem.

A potem, 27 sierpnia, w czwartek, rozległ się huk wystrzału i przez okno sypialni Gunthera Krugera wleciała kula.

Kruger wezwał szeryfa Haynesa Dearinga; szeryf Dearing był naprawdę przejęty, nigdy nie słyszał o podobnym akcie barbarzyństwa, a w każdym razie nie o podobnym akcie barbarzyństwa skierowanym przeciwko białym; nie uważał bowiem tego strzału za przypadek.

W piątkową noc rozległ się jakiś hałas niedaleko pola bawełny i kiedy Gunther Kruger poszedł tam rano, odkrył, że ktoś zabił jego psa, rozciął go od gardła aż do ogona i zostawił go, żeby wysechł na słońcu.

Gunther po raz drugi wezwał Dearinga. Szeryf wypytywał go o ludzi, których Kruger mógł zdenerwować, o to, czy ktoś mógł szukać zemsty. Czy może wkroczył na cudze pole, postawił ogrodzenie o dziesięć metrów za daleko, niż powinien, dopuścił, żeby jego pies zagryzł czyjeś kurczaki?

- Tu nie chodzi o kurczaki, płoty ani nic w tym stylu i dobrze o tym wiesz! - nie wytrzymał Gunther Kruger.

Szeryf Dearing poradził mu, żeby trzymał nerwy na wodzy, kiedy rozmawia ze stróżem prawa.

- Więc zrób coś - zażądał Kruger. - Moja żona i dzieci są w niebezpieczeństwie przez tych maniaków... Podobno Ameryka to kraj sprawiedliwości i wolności...

Szeryf Dearing powiedział Guntherowi Krugerowi, żeby nie ważył się mówić niczego negatywnego o Ameryce i Amerykanach.

- Ale to Amerykanie... to Amerykanie rzucili kamieniem w szybę mojego auta. I wystrzelili kulę, która wpadła przez okno na górze i mogła zabić mnie, moją żonę albo któreś z naszych dzieci, a teraz Amerykanie zabili mi psa, rozcięli go na pół i zostawili, żeby wszyscy go widzieli. Masz pojęcie, jak bardzo moja córka kochała tego psa?

Szeryf Dearing uniósł ręce, jakby kapitulował, a potem cofnął się o krok i zaczął potrząsać głową. Powiedział Krugerowi, że nic mu nie przyjdzie z rzucania tak zapalczywych oskarżeń i że jeśli Kruger jest tak tendencyjny, to cóż, on nie będzie marnował tu czasu, stojąc i gadając po próżnicy. Mogą tak mleć jęzorami do zachodu słońca, a i tak to nic nie da.

- Ale przynajmniej jeśli zostaniesz do zmroku, mamy szansę zobaczyć kolejnego Amerykanina naruszającego spokój mojego domu i rodziny - powiedział Kruger, wyrzucając z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. To wystarczyło, żeby szeryf Dearing

wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku szosy, nawet się nie oglądając.

Zastanawiałem się, czy ktoś jeszcze widział Gunthera Krugera tej nocy, gdy widziałem go ja, stojąc w oknie swojej sypialni. Zobaczył go tam, po czym dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć.

## X

Szeryf Dearing nie powinien był nic mówić, ale była sobota wieczór i Clement Yates, który kiedyś został oddelegowany do pomocy Dearingowi w złapaniu zbiega z ośrodka dla młodocianych przestępców w Folkston, wyprawiał urodziny. Clement Yates miał płaską i niczym się niewyróżniającą twarz, z wyjątkiem prawego oka, które w kąciku było nieco podniesione z powodu blizny, zupełnie jakby ktoś złapał mu brew na wędkę i pociągnął mocno, chcąc wyrwać haczyk. Co więcej, był nieco powolny, a nachylenie jego ust i rozluźnienie szczęki sprawiały wrażenie, jakby połknął w końcu ten haczyk oraz żyłkę i teraz cierpliwie czekał, aż będzie mógł zjeść również wędkę. Kiedy Clement wpadał na jakiś pomysł, w jego mętnych oczach pojawiał się blask, zupełnie jak ognie świętego Elma.

Zebrali się w kilka osób w zajezdzie Upadek, który miał jedynie dwa stoliki, jeden kran z piwem, boks w kącie dla par, stół z desek, przy którym można było usiąść i coś zjeść, trociny na podłodze i łeb łosia bez prawego oka wiszący na ścianie. Nazwa tego przybytku nie była przypadkowa. Właściciel Frank Turów pierwszego dnia po otwarciu poślizgnął się, spadł ze schodów w piwnicy i o mało nie skręcił karku. Frank miał dziwną twarz, wyglądającą tak, jakby ktoś usiadł na niej podczas podwórkowej bójki. Rysy poddały się i odtąd już takie pozostały. Ani przystojne, ani szpetne, ale niezdecydowane, jakby w połowie drogi, przez co Frank musiał znosić zdziwione i zmieszane spojrzenia ludzi.

W urodzinach Yatesa, poza szeryfem Dearingiem i samym solenizantem, uczestniczyli Leonard Stowell i Garrick McRae, Lowell Shaner - jednooki Kanadyjczyk, który wraz z siedemdziesięcioma innymi ludźmi przeczesywał teren w marcu po zamordowaniu córki Garricka McRae, wspomniany już Frank Turów, który miał sześćdziesiąt osiem lat, ale mięśnie twarde jak skała i bez trudu poradziłyby sobie z każdym z zebranych, jeśliby go wyzwiał na pojedynek, i w końcu Gene Fricker - ojciec Maurice'a, jednego ze Strażników. Fricker pracował w spichrzu i śmierdział jak worek wilgotnego zboża; był postawny i powolny niczym Yates, ale powolny dlatego, że był metodyczny i dokładny, a nie głupi. Siedmiu chłopa, dwie beczułki cierpkiego piwa, które smakowało jak drożdże rozpuszczone w szczynach szopa, i języki rozwiązane przez poczucie koleżeństwa, wyższości i przede wszystkim przez to, że wszystkim zakręciło się w głowach od calverta, który Turów przechowywał na specjalne okazje.

- To nie Amerykanin - zawyrokował Yates.
- Kto? - zapytał Leonard Stowell.
- Ten bydlak, który robi te rzeczy dzieciakom.

Haynes Dearing uniósł rękę.

- Dosyć. Jestem stróżem prawa i muszę położyć temu kres. To przyjęcie urodzinowe Clementa Yatesa i niech będzie tym, niczym więcej. Tego wieczoru nie będziemy mleć jęzorami po próznicy na ten temat. Są tu między nami Leonard Stowell i Garrick McRae, obaj stracili swoje córki. - Dearing uniósł wzrok, po czym kiwnął do każdego z mężczyzn głową. - Pogadamy o tym kiedy indziej, zgoda?

- Nie przyszedłem tutaj, żeby mleć jęzorem po próznicy - powiedział McRae - ale wtrącę swoje trzy grosze... Zgadzam się z elementem, to nie jest Amerykanin.

- Ostatnia dziewczynka była Żydówką - zauważył Frank Turów.

- Nieważne, kim była - uznał Lowell Shaner. - Ważne, że była czyjąś córką. Uczestniczyłem w poszukiwaniach po zamordowaniu córki Garricka... Przyjechałem tu i widziałem, jak dorośli mężczyźni, którzy nigdy przedtem jej nie widzieli, mieli Izy w oczach. Przyjechali tutaj, bo chcieli pomóc... i powiem coś panu tu i teraz, szeryfie...

Dearing pochylił się i jego głowa znalazła się między zgarbionymi ramionami. Przypominał w tej chwili psa gotującego się do ataku.

- Co takiego chce mi pan powiedzieć?

Przez moment Shaner wyglądał na niezdecydowanego, ale popatrzył na Garricka McRae. Jego ponura mina i twarde jak kamień spojrzenie dodały mu odwagi.

- To, że jeśli czegoś szybko się nie zrobi...

- Wtedy wy, chłopaki, nabierzecie ochoty na lincz, spojoni gorzałą wsiądziecie na tył ciężarówki i pojedziecie w te pędy do St. George albo Moniac, żeby powiesić jakiegoś biednego, durnego, bezbronno czarnucha. Powiedzcie mi, że się mylę, a dam wam po dolarze.

Zapadła niezręczna cisza.

- Czarni to Amerykanie - zauważył Clement Yates.

- Dobra. Dość tego - powiedział Dearing. - Przykro mi, że w porę nie zrozumiałem, o co tu chodzi. To, o czym mówicie, to znalezienie jakiegoś CUDZOZIEMSKIEGO zabójcy dzieci... jak na przykład Irlandczyka albo może jednego z tych Szwedów, którzy przejeżdżali tędy w drodze na wycinkę... Do diabła, a co z Niemcami? Mamy tu mnóstwo Niemców. Niemcy wywołali wojnę, zabijają naszych chłopców we Włoszech i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze, a poza tym wykańczają Żydów, a przecież ostatnia z zamordowanych dziewczynek była Żydówką. Cholera, jak mogliśmy na to nie wpaść? To musi być Niemiec.

- Haynes - włączył się do rozmowy Gene Fricker. - Piekłisz się bez powodu. Nikt nie mówi...

- Niczego, co ma sens - dokończył za niego Dearing. - Właśnie tego, mój przyjacielu, nikt nie mówi. - Odchylił się w krzesło i przelotnie dotknął kabury swojej broni. To był nieznaczny gest, który umknąłby uwadze w innych okolicznościach, ale w tym momencie wydawał się mieć określony cel; przypominał wszystkim obecnym, że Dearing jest stróżem prawa, jedynym z zebranych, który ma broń, a ma ją dlatego, że prawo stanowi, że może ją mieć.

- Nie chcemy tutaj, w Augusta Falls, żadnych kłopotów - powiedział cicho. Raz jeszcze pochylił się do przodu i położył dłonie płasko na stole. - Nie chcemy tutaj żadnych kłopotów i nie będziemy ich mieli, bo tak mówię, a także dlatego, że mamy tutaj kilku trzeźwo myślących, rozsądnych mieszkańców. Wszyscy znacie życie i świat, wszyscy cierpicie trochę z powodu upału i marnych planów... ale żaden z was nie jest w gorącej wodzie kąpany ani na tyle głupi, żeby cierpieć na przypadłość zwaną polowaniem na czarownice. Zgadza się co do tego?

Przez chwilę każdy z zebranych przypatrywał się twarzom innych.

- Zgadza się co do tego? - powtórzył Dearing.

Rozległ się zgodny pomruk aprobaty.

- Doszły mnie słuchy, że ktoś się wziął na Gunthera Krugera - powiedział Dearing. - Wierzę, że żaden z was nie przyłożył do tego ręki, i dlatego nie będę was prosił o przyznanie się ani zaprzeczenie. Mówię tylko, że wszelkie kłopoty, jakie spadły na Gunthera Krugera, w tej chwili muszą się skończyć i tylko nierozważny i głupi człowiek nie przekazałby tej informacji wszystkim swoim sąsiadom. Może i jestem konserwatywny, ale chyba nie sprawiłoby mi przyjemności odcinanie wisielca z gałęzi.

- Rozumiemy to wszystko - powiedział Gene Fricker. - Jeśli stawiasz mur, Haynes, nie ma potrzeby podpierania go kantówką. Sam będzie stał.

- Cieszę się, że się rozumiemy, chłopcy. Ludzie są wystraszeni, a wtedy nie myślą jasno. Ta sprawa zmieniła to, jak każdy z nas widzi innych. Możecie się skarżyć, że jej nie podolaliśmy, i nie mogę was za to winić, ale najważniejsze, że wszyscy jesteśmy dobrymi obywatelami i żaden z nas nie chce, żeby to znowu się stało. Miejcie oczy szeroko otwarte. Szukajcie wszystkiego, co odbiegałoby od normy, a jeśli coś takiego zobaczycie, przyjdźcie do mnie i powiedzcie mi o tym, a ja niezwłocznie rozpocznę śledztwo. Rozumiecie mnie?

Podobno tylko to zostało powiedziane, a w każdym razie tak to później przekazywano z ust do ust, bo zaczęto owo spotkanie głośno komentować, nawet Reilly Hawkins o nim wspominał kilka dni później. Być może żaden z zebranych nie chciał powodować dalszych kłopotów; niemniej kłopoty nadeszły, i to gwałtownie. Następną noc, w niedzielę, 30 sierpnia,

była nocą, która odcisnęła piętno na całym moim życiu i na życiu wielu innych mieszkańców Augusta Falls.

Być może powinienem był dostrzec oznaki nadciągającego kataklizmu, może napięcie było namacalne. Może tylko wmówiłem sobie, że nic nie było widać. Pamiętam nawet tę sobotnią noc, kiedy leżałem w łóżku, podczas gdy szeryf Dearing, Leonard Stowell i inni w zajezdzie Upadek świętowali urodziny Clementa Yatesa. Świat się kręcił, ludzie zajmowali się swoimi sprawami; czytałem Steinbecka, dopóki powieki mi nie zaczęły opadać, i wydawało się, że następny dzień będzie taki sam jak każda inna niedziela.

Gdybym wiedział to, czego dowiedziałem się później - perspektywa czasu jest zawsze najbardziej przenikliwym i najokrutniejszym doradcą - wyciągnąłbym wszystkich Strażników z łóżek i razem zabralibyśmy tę dziewczynkę z jej domu i ukryli gdzieś aż do czasu, gdy wszystko by się skończyło.

Jednakże nie wiedziałem tego, podobnie jak nie wiedziała tego ona. Nawet moja matka, przy całej swej mądrości, nie miała o niczym pojęcia.

Śmierć raz jeszcze zawitała do Augusta Falls, pokonała całą High Road; solidna, metodyczna, obojętna na mody i nieokazująca nikomu względów; podchodząca bez szacunku do Paschy, Bożego Narodzenia, wszelkich obrządków czy tradycji; przyszła Śmierć - zimna i nieczuła, poborca podatku od życia, wystawiająca rachunek za oddychanie, odwieczny dług nas wszystkich.

Widziałem Ją, jak zabierała kolejną dziewczynkę, widziałem Ją blisko, ale kiedy popatrzyłem Jej w oczy, ujrzałem w nich tylko swoje odbicie.

Odgłos, jakby ktoś pięścią tłukł szybę, pięścią zawiniętą w ręcznik, ręcznik zerwany ze sznurka biegnącego od tylnych drzwi do słupka bramy, tępe „bum”, gorący dźwięk, gorący i napięty, gorący, napięty dźwięk, który dotarł do mojego umysłu przez sen.

Gorąco było blisko, zbyt blisko. Skóra, którą chce zrzucić wąż; skwar Georgii pod koniec sierpnia, cudowny upał, w którym trudno zasnąć, a kiedy już zasypiasz, nie chcesz, by minął, nie chcesz się z niego wynurzyć; coś jak wydostanie się z bezpiecznego mroku na bolesne jaskrawe światło i bycie wciągniętym z powrotem w nieświadomość, kiedy gorący huk na dworze staje się czymś przypominającym brzęk noży i szklanek wrzuconych do skórzanej torby, którą ktoś potrząsa, potrząsa, potrząsa...

Ktoś mną potrząsał.

Rozluźnienie mięśni, otwierających się jakby od przedwczesnego stężenia, każdy dający kuksańca następnemu, alarmujący go, efekt domina z neuronu przez synapsę i nerw, podczas gdy sen grozi, że pęknie jak balon wypełniony wodą. Poddaje się, kapituluje, ale



niechętnie, ponieważ gdy już zostanie stracony, nie da się go odzyskać. Tak jak Johnny Burgoyne pod Saratogą: poddał się bez względu na to, czy byli gentlemanami, czy nie.

- Joseph!

Natarczywy szept.

- Joseph! Obudź się!

Sny, sny o pannie Webber; szeroka preria jej twarzy, chabrowe oczy, prostota; chabrowe oczy kwitnące w słońcu Syracuse.

T

JOSEPH!

Głos przypominał głos mojego ojca - natarczywy, nie rozzłoszczony, nie wściekły, tylko uparty. Walczyłem z czymś, z czymś ciężkim, z czymś, co naciskało mnie, tak jakbym tonął.

Wrażenie ruchu, ręce pode mną, a potem otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą twarz Reilly'ego Hawkinsa, a obok niej twarz mojej matki.

- Pospiesz się, Joseph! - nalegała.

- Dalej, Joseph... ubieraj się szybko, musimy jak najszybciej wyjść z domu!

Dopiero wtedy poczułem dym - gryzący i przenikliwy. Musiałem czuć to gorąco przez ściany, ale najwyraźniej wyobraźnia podkoloryzowała doznania.

Ubrałem się pośpiesznie, niepewny i wstrząśnięty, ale rozumiejąc, że najważniejszy jest pośpiech. Coś się stało, coś złego. Matka i Reilly Hawkins ruszyli przede mną. Słyszałem ich kroki, kiedy schodzili po trzeszczących drewnianych schodach. Miałem wrażenie, że to patyk przeciągany przez sztachety.

Kiedy już znalazłem się na dole, zobaczyłem, że podłoga w kuchni zalana jest wodą. Stały na niej wiadra i garnki, a także za drzwiami, na podwórku... Z dworu dobiegały okrzyki i nagle w drzwiach pojawił się Clement Yates, z czerwoną twarzą, w koszuli mokrej od potu i wody, z szeroko otwartymi oczami i skórą pokrytą sadzą.

- Wiadro! - krzyknął do mnie. - Bierz wiadro, chłopcze... bierz wiadro z wodą, tylko szybko! Szybko, na miłość boską!

Wiadro było ciężkie. Poślizgnąłem się i o mało go nie wypuściłem z ręki, kiedy wychodziłem na podwórko.

To wtedy ujrzałem płomienie, jasnopomarańczowe pięści zaciskające się na dachu domu Krugerów, a potem wystrzeliwujące do nieba, jakby w gniewie. Smród był intensywny i klaustrofobiczny, smród palonego drewna i bawełny, wełny i kamienia, ziemi przypiekanej w ogromnym żarze; nie był podobny do niczego, co czułem przedtem, ponieważ pod spodem

- niczym zwoźniczy prąd głębinowy - wyczuwało się odór Śmierci.

Nie mam pojęcia, ilu ludzi tam było. Dom Gunthera Krugera stał w ogniu i wydawało się, że wszyscy mieszkańcy Augusta Falls pospieszyli pomóc ugasić pożar. Ryk i głośne skwierczenie, tępy huk, kiedy okna poddawały się gorącu, huk belek, które w końcu ulegały ognioniowi, trzask dachówek, jak wystrzały z pistoletów, jak smaganie biczem, zapach jałowca palącego się na pomarańczowo za domem, krzyki, lęk, tupot stóp, dwa rzędy ludzi - jeden wiodący z naszej kuchni na tyły domostwa Krugera, drugi - z rowu; dwa rzędy ludzi podających sobie wiadra z rąk do rąk, a pomiędzy nimi Gunther Kruger, Hans i Walter, Clement Yates, Leonard Stowell, Garrick McRae i Gene Fricker. Szeryf Dearing również tam był, słyszałem jego głos, choć nie widziałem twarzy. Później dowiedziałem się, że był jednym z tych, którzy znajdowali się w czerwonych czeluściach budynku, jednym z tych, którzy wyważyli drzwi i walczyli z dymem. Ponieważ miał oczy oślepięte dymem, słyszał tylko głosy i potykał się w szarości i mroku, w czarnym i gryzącym brudzie. Wszystko to na niewiele się zdało.

Wyciągnęli ich - Gunthera i Mathilde, Waltera i Hansa.

Nie wyciągnęli tylko jednej osoby: Eleny Kruger, z jej posiniaczonymi ramionami i napadami padaczkowymi. Jedenaście dni przed dwunastymi urodzinami zginęła na schodach piwnicy, kierując się w dół, prosto w ciemność, uciekając przed gorącem.

Pamiętałem obietnicę, którą złożyłem, stojąc na wzgórzu, gdzie znalazłem ciało Virginii Perlman, przysięgę, że będę strzegł Eleny i zadbam o to, by nic złego jej się nie stało. Złamałem tę przysięgę, jakby nie miała znaczenia. Wiedziałem... w głębi duszy wiedziałem, że to wszystko stało się przeze mnie.

Moja matka była tam również, głos miała zachrypnięty od krzyku, ubranie brudne, ręce i kolana pokryte mokrą sadzą i błotem. Reilly Hawkins musiał ją odciągnąć, kiedy dach w końcu się zawalił, i wszyscy już wtedy wiedzieli, że nie ma szans, by dziewczynka przeżyła. Przedtem jeszcze mieli nadzieję - głupią, bezsensowną, ale ją mieli. Kiedy belki z góry zaczęły spadać jedna za drugą, kiedy już ogromne kłębiące się płomienie buchały z każdego okna i każdych drzwi, wszyscy zrozumieli, że nie można nic zrobić. Elena Kruger była wciąż w środku. Wkrótce potem ściany zaczęły się chwiać na boki niczym pijane i każdy, kto odważyłby się tam wejść, spaliłby się na popiół, zanim by do niej dotarł.

Stałem i patrzyłem, a moje serce było czerwone i gorące, zęby zaciskałem tak mocno, że bolały mnie szczęki, a Izy spływały mi po twarzy, Izy wywołane dymem i bólem oddychania - a także wstrząsem, ponieważ w końcu zrozumiałem, co się stało.

Ktoś musiał podpalić dom Krugera.

A potem ujrzałem Śmierć. Ledwie cień, widmo, ale to była Ona. Ta sama, która zabrała mojego ojca.

Była noc z niedzieli na poniedziałek, druga, może trzecia nad ranem. Nie spałem, nikt z nas nie spał, ale majaczyłem od gorąca, dymu, znużenia, żalu. Pożar został ugaszony, z domu Krugera nie zostało nic poza czarnym wypalonym miejscem, tu i tam pozostały wspomnienia ścian, niczym połamane zęby sterczące z dziąseł ziemi. Można było zobaczyć miejsce, gdzie przedtem była kuchnia, poczuć frankfurterki i sałatkę ziemniaczaną, którą pani Kruger robiła, by nakarmić „strycha na buble”.

Zabrali stamtąd Elenę. Gunther Kruger, szeryf Dearing, jednooki Lowell Shaner i Frank Turów. Znaleźli ją leżącą na schodach piwnicy, jej ciało było do tego stopnia spalone, że nie można jej było rozpoznać. Zawinęli ją w koc i ponieśli ku pierwszym zapowiedziom nieuchronnie zbliżającego się świtu. Pani Kruger została na miejscu i patrzyła przed siebie, bez nadziei, bez jakichkolwiek uczuć, nie mogąc już dłużej płakać. W pewnej chwili o mało nie upadła i moja matka z Reillem Hawkinsem podtrzymali ją i zaprowadzili do naszego domu, do kuchni.

Patrzyłem z okna swojego pokoju, okna z widokiem na podwórkę Krugerów. I wtedy zobaczyłem ją idącą za zaimprovizowanym orszakiem pogrzebowym pomiędzy drzewami, w kierunku River Road. Frank Turów miał ciężarówkę z platformą i położyli na niej ciało Eleny Kruger, żeby je zawieźć do domu doktora Pipera. Śmierć była z nimi, nie szła ani nie płynęła w powietrzu, Ona była w cieniach między drzewami, w cieniach mężczyzn niosących Elenę, w dźwięku ich ciężkich butów rozgniatających mokre liście i ułamane gałęzie, w chrzęście żwiru, w parze, która wydobywała się z ich ust, kiedy kaszleli i szeptali między sobą, kiedy unosili ciało i kładli je na pace ciężarówki. Była tam. Wiedziałem, że wie, iż Ją obserwuję. Z jakiegoś dziwnego powodu czułem, że boi się tak samo jak ja.

To wtedy, na chwilę przed tym, gdy ją odwieźli, poczułem napięcie i niepokój wynikające z moich własnych najgorszych lęków.

Tak samo jak po śmierci Virginii Grace przyszła mi do głowy pewna myśl.

Wydało mi się, że morderca wiedział, co myślimy, że miał dostęp do naszych myśli i pozwalając, by Elena dowiedziała się o nas, przyrzekając, że będę ją chronił, przypieczętowałem jej los.

On ze mnie drwił.

On tak jakby był we mnie.

Zadrzałem spazmatycznie i długo nie mogłem się uspokoić.

Rozległ się ryk silnika. Ciężarówka ruszyła. Frank Turów siedział za kierownicą, a

szeryf Dearing obok niego. Gunther Kruger klęczał z tyłu obok ciała swojej jedynej córki, z opuszczoną głową, załamany. Lowell Shaner stał na poboczu. Nie ruszał się, dopóki ciężarówka nie zniknęła mu z oczu, a wtedy usiadł na ziemi, z czołem opartym na kolanach i nie ruszał się przez dłuższy czas.

Gdybym wiedział, wykrzyknąłbym nazwisko pana Krugera, chociaż nie mógł mnie słyszeć. Gdybym wiedział, że go nie będzie tak długo, wykrzyknąłbym jakieś słowo otuchy, nadziei, czegoś, co sprawiłoby, że poczułby, iż cały świat nie sprzysiągł się przeciwko niemu. Jednak nie wiedziałem i dlatego milczałem.

Pani Kruger i jej dwaj synowie pozostali u nas tej nocy wraz z Reillym Hawkinsem. Nazajutrz rano pan Kruger zabrał ich oraz ubranie, w którym spali, ponieważ było to wszystko, co w tej chwili mieli, i Frank Turów zawiózł ich na północ, do Uvalda w hrabstwie Toombs. Zona kuzyna Mathilde, która była obecnie wdową, miała tam farmę. Zapewniała ona skromne środki utrzymania.

Nie dopytywałem się o Krugerów. Chyba bałem się, że ciąży na nich jakaś klątwa, która może być zaraźliwa. Ich ziemia, ślad po domu, zostały zmyte przez deszcz i nową porę roku. Piwnicę zasypano. Miejsce porosło wysoką trawą i zostało zdeptane. Ktoś posadził tam drzewko, malutkie, niemające więcej niż metr wysokości. Wyginało się na wietrze i kazało mi myśleć o Elenie i udrękach jej przedwcześnie zakończonego życia.

Krugerowie jednego dnia jeszcze z nami byli, stanowiąc nierozłączną część naszego życia, a następnego nie pozostał po nich najmniejszy ślad.

Szeryf Haynes Dearing nie zadawał pytań na temat pożaru. Nie chciał wiedzieć; czułem, że boi się tego, co mógłby odkryć. Oczywiście mówiono o tym, musiano mówić, ludzie głowili się nad powodami tego, co się stało.

Zaczęły się plotki, pogłoski o siniakach Eleny, o tym, że mogły być dziełem jej ojca, że była maltretowana, a nawet gwałcona; że działo się to od wielu lat i w końcu Gunther musiał coś zrobić, żeby nie zaczęła mówić. Pamiętam wizytę szeryfa Dearinga u mojej matki. Nie słyszałem, o czym mówili, ale wyczuwałem napiętą atmosferę. Ostrzegał ją, mówi! jej, że podejrzewa, dlaczego Gunther Kruger tak szybko wyjechał, i że powinna powstrzymać się od wszelkich kontaktów z nim.

Dlaczego pozostałe dzieci Krugerów ocalały, a zginęła właśnie Elena?, pytał.

Dlaczego została znaleziona w piwnicy, podczas gdy pozostali byli na górze?

Czy Gunther Kruger był winien rzeczy, o które go podejrzewano? Czy to on odpowiadał za siniaki Eleny?

Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że Gunther zabił swoją córkę, bo chciał, żeby

milczała?

Przypomniałem sobie tę noc, kiedy widziałem Gunthera Krugera stojącego na drodze, stojącego w ciszy i w bezruchu, w długim płaszczu niczym pelerynie, przypomniałem sobie lęk, jaki czułem, gdy wyobrażałem sobie, kto to może być.

Nie był wtedy niczym więcej niż cieniem.

Słyszałem rzeczy, które powtarzali ludzie, i próbowałem ze wszystkich sił nie dawać im wiary; czułem, że mroczne umysły rodzą mroczne myśli. Ludzie zawsze znajdą powód, żeby wierzyć w takie rzeczy. Może dlatego, że wolą nie myśleć o tym, że ktoś podłożył ogień pod domostwo Krugera z takich motywów jak uprzedzenia czy dyskryminacja. Może dlatego, że ludzki umysł porządkuje sobie wszystko tak, jak umie, a jeśli Kruger byłby winny, byłoby łatwiej to wszystko zaklasyfikować i wytłumaczyć. Poza tym był cudzoziemcem, NIEMCEM, a jeśli wieści płynące z Europy były prawdziwe, jeśli Niemcy naprawdę odpowiadali za potworności, które tam się działy, to z pewnością mieli we krwi jakieś dziedziczne schorzenie, sprawiające, że byli zdolni do popełniania najgorszych czynów. Augusta Falls to niewielkie miasteczko. Krugerowie opuścili je i pozostało po nich zaledwie wspomnienie ich córki.

Strażnicy, kiedyś w liczbie sześciu, liczyli teraz pięciu członków. Hans Kruger wyjechał i na swój sposób mi ulżyło. Nie mógłbym mu codziennie patrzeć w oczy.

Nie spotykaliśmy się przez miesiąc, a kiedy już to zrobiliśmy, byliśmy w ponurych nastrojach i małomówni.

- Myślicie, że to ten morderca podpalił dom Krugera? - zapytał Michael Wiltsey.

Siedzieliśmy w rzędzie, tyłem do starego kamiennego muru biegnącego wzdłuż pola Lowella Shanera. Był ostatni dzień września 1942 roku, środa, i podczas gdy reszta świata zapamięta ten miesiąc z powodu zabicia pięćdziesięciu tysięcy Żydów i ofensywy wojsk hitlerowskich pod Stalingradem, nasza piątka zapamiętała go z całkiem innego względu.

Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Skąd masz taką pewność? - powiedział Ronnie Duggan. Odgarnął grzywkę z oczu i popatrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

- Może to był ktoś, kto myślał, że to Gunther Kruger jest mordercą dzieci.

- Tak sądzisz? - zapytał Daniel. Jego siostra zginęła nieco ponad pół roku temu, ale ciągnął za sobą jej cień, gdziekolwiek szedł. Kiedy widziało się go z daleka, odnosiło się wrażenie, że ktoś za nim idzie. Czasami przyłapywałem pannę Webber na tym, że wpatrywała się w niego badawczo, kiedy tego nie widział.

## XI

Od pierwszego spotkania Strażników minęło półtora roku, a mnie wydawało się, że odbyło się ono najwyżej tydzień temu. Osiemnaście miesięcy znaczone zgonami Ellen May Levine, Catherine McRae i Virginii Perlman. Elena również zginęła i mimo że znalazłem ciało Virginii, to właśnie śmierć Eleny najbardziej mnie zraniła. Może mała Krugerówna podążała za mną tak samo jak siostra za Danielem. Może ja też wyglądałem, jakbym miał przy sobie ducha. Może takie rzeczy są widoczne tylko dla innych.

- Myślę... - zacząłem. - Myślę, że to możliwe.

- Mój tata ma broń - powiedział Maurice Fricker.

- Wszyscy ojcowie mają broń, Maurice - westchnął z irytacją Ronnie Duggan. - Mój tata przesiaduje na podwórku i zabija głupie dzieciaki. Lepiej wracaj do domu inną drogą.

- Mówię poważnie - obstawał przy swoim Maurice.

- Ja... ja też mogę mieć broń - oświadczył Michael.

- Jezus, tylko nie to - powiedział Daniel. - Z ciebie jest taki wiercipięta, że pozabijałbyś wszystkich wokół.

- Dostyc już tego - przerwałem. Wstałem i włożyłem ręce do kieszeni. - Gadacie bzdury. Nikt nie będzie brał żadnej broni.

- To co mamy robić? - zapytał Daniel.

- Musimy opracować system - odparłem.

- System? - zdziwił się Maurice. - Jaki znów system?

- System patrolowania miasta... System patrolowania miasta, który pozwoli nam nabrać pewności, że widzimy wszystko, co się dzieje.

- Pamiętasz, co się stało ostatnim razem? - włączył się Ronnie Duggan. - Dearing przyjechał do szkoły. Mój tata tak bardzo się wkurzył, że ledwo mógł oddychać. Nie mam najmniejszego zamiaru znów przez to przechodzić.

- Nie rozumiemy się - powiedziałem. - Nie mówię o wałęsaniu się po nocach. Mówię o jakimś systemie pozwalającym na śledzenie ludzi.

- W pięciu? - zapytał Michael. Widziałem, że się zdenerwował. Wiercił się bardziej niż zwykle. - W jaki sposób, do cholery, pięciu z nas zdoła obserwować całe miasto?

Ruszyłem do przodu, odwróciłem się i spojrzałem na nich siedzących pod murem.

- Który ma jakąś kartkę? - zapytałem. Wyjąłem z kieszeni ołówek.

- Ja mam - powiedział Ronnie Duggan. Wstał i wyciągnął z tylnej kieszeni zwitek małych karteczek.

- Po cholere ci to? - zapytał Daniel.

Ronnie sprawiał wrażenie zawstydzonego. Popatrzył na mnie, jakby chciał, żebym mu jakoś pomógł. Wzruszyłem ramionami.

- No wiecie... - zaczął Ronnie. Odgarnął grzywkę lecącą mu do oczu. - Gdy jestem z dala... wiecie?

- Z dala? - powtórzył Daniel. - Z dala od czego? O czym ty bredzisz?

- A niech mnie dunder świśnie - powiedział Maurice Fricker i nagle wybuchnął śmiechem. - To na wszelki wypadek, gdy mu się zachce, a jest z dala od kibla.

Daniel wyglądał na zszokowanego. Przez chwilę usiłował się powstrzymać, ale w końcu zaczął histerycznie się śmiać.

Ronnie Duggan rzucił we mnie zwitkiem kartek. Złapałem. Trzymałem je przez chwilę, a potem odruchowo puściłem.

- Jezu, to tylko papier - powiedział Ronnie.

- Ale to papier do dupy! - krzyknął Daniel, a ja stałem i patrzyłem, jak Maurice, Michael i Daniel pokładają się ze śmiechu.

Ronnie Duggan tylko wpatrywał się we mnie zza zasłony włosów.

- Psiakrew, Joseph... możesz im powiedzieć, żeby przestali?

Pochyliłem się, by wziąć kartki.

- Nie dotykaj ich! - ryknął Maurice. - Nie dotykaj papieru do dupy!

Stałem, patrząc na nich. Chciałem się roześmiać, ale nie mogłem. Ze względu na Ronniego, ze względu na to, dlaczego tu się zebraliśmy. Usiadłem po turecku na ziemi i trzymając papier i ołówek w pogotowiu, czekałem, aż się uspokoją.

- Zachowujecie się jak małe dzieci - stwierdził Ronnie i też usiadł.

Wcale nie tak daleko nam do małych dzieci, pomyślałem. Za miesiąc będę obchodzić piętnaste urodziny. Strażnicy byli wszystkim, co miałem. Wydawało się, że Augusta Falls nie jest już tym samym miastem, gdzie dorastałem. Było cieniem samego siebie, swojej ciemniejszej połowy, a ja siedziałem na polu ze zwitkiem kartek na kolanach i patrzyłem na jedynych prawdziwych przyjaciół, których jeszcze miałem. Ronnie, Michael, Maurice i Daniel. Zostałem ich przywódcą, rzecznikiem, kapitanem. Chyba bałem się bardziej niż którykolwiek z nich, a kiedy patrzyłem, jak się śmieją, wiedziałem, że ten śmiech jest ucieczką, ulgą, krótkim wytchnieniem od uciążliwego ciężaru, który czuliśmy wszyscy.

- Zastanówmy się, kogo jesteśmy pewni - powiedziałem. - Kogo znamy do tego stopnia, żeby wiedzieć, że nie mógłby być mordercą?

Moje słowa ich uspokoiły. Zamarli.

- Mój tata - oświadczył Daniel McRae.

- I mój - zawtórował mu Maurice.

- I mój - dodali Michael i Ronnie.

Zapisałem ich nazwiska. Gdyby mój ojciec żył, z pewnością również znalazłby się na tej liście. Gdyby mój ojciec żył, nigdy nie zginęłaby druga dziewczynka. Chciałem w to wierzyć i wierzyłem.

- Szeryf Dearing, Lowell Shaner, Reilly Hawkins - dodałem. - I doktor Piper.

- Doktor Piper jest dziwny - zauważył Daniel. - Badał mnie kiedyś. Opuścił mi spodnie, złapał za jaja i kazał odkasznąć.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Akurat to - stwierdziłem - jest jednym z bardziej niewdzięcznych obowiązków lekarza.

- Bądźcie poważni - upomniał nas Michael. - Kto jeszcze z pewnością nie mógłby zrobić czegoś takiego?

- Wszyscy członkowie rodzin zamordowanych dziewczynek - odparł Maurice. - Ich ojcowie, bracia, wszyscy inni. Na miłość boską, nikt przecież nie mordowałby swoich krewnych, prawda?

Zapisałem nazwiska: McRae, Van Horne, Stowell, Levine i Perlman.

- Frank Turów - powiedział Ronnie. - Clement Yates, Gene Fricker.

Ich nazwiska również zostały zapisane. To wszystko byli ludzie, których znałem, i to przez całe życie. Szli w liczącym siedemdziesięciu mężczyzn szeregu, który tropił mordercę po śmierci siostry Daniela.

- To może dodamy wszystkich mieszkańców Augusta Falls - zaproponował Maurice Fricker. - Nie wierzę, że to robi ktoś stąd.

- Nie o to chodzi - powiedziałem. - My teraz eliminujemy ludzi. Zapisujemy wszystkich tych, którzy naszym zdaniem by tego nie zrobili. Dzięki temu będziemy wiedzieli, kogo nie szukamy, zgadza się?

- I zwrócimy uwagę na wszystkich innych - dodał Ronnie. - Nie możemy obserwować całego miasta, ale też nie musimy, zgadza się, Joseph?

Skinąłem głową.

- To prawda. Będziemy po prostu obserwować ludzi, których nie ma na tej liście.

- Ale to może być każdy - zauważył Michael. - To może być ktoś z Camden, Liberty albo Appling. Każdy może tu przyjechać i nie będziemy o tym wiedzieć.

- Musimy o tym wiedzieć - powiedziałem. - Właśnie dlatego to robimy. Prowadzimy



rejestr. Raz w tygodniu się spotykamy właśnie tutaj i mówimy o wszystkim, co wydało nam się dziwne, jakoś nam nie pasowało. Robimy to, co zawsze mówiliśmy, że będziemy robić... mamy oczy szeroko otwarte, pilnujemy siebie nawzajem, a przede wszystkim maluchów.

- To już się nie powtórzy, prawda? - zapytał DanielMcRae.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. W oczach miał łzy. Drwiny z Ronniego Duggana wydawały się bardzo odległym wspomnieniem.

- To się nie może znowu zdarzyć - powiedziałem i modliłem się ze wszystkich sił, żebym miał rację.

Październik przeszedł w listopad, a ten w grudzień; spotykaliśmy się co tydzień, tak jak się umówiliśmy. Informowaliśmy się o tym, kogo widzieliśmy, gdzie i kiedy. Próbowaliśmy dostrzegać wszelkie anomalie. Pewnego popołudnia doszliśmy do opuszczonej linii kolejowej i znaleźliśmy mężczyznę śpiącego w pobliskim rowie. Śmierdział jak skunks, a kiedy się obudził i zobaczył nas stojących nad nim, wrzasnął jak zarzynana świnia i czmychnął pomiędzy drzewa, po czym przebiegł przez pole Lowella Shanera. Z każdym kolejnym spotkaniem byliśmy coraz bardziej znudzeni i wyprani z zapachu. Wiedzieliśmy, że niczego nie dokonaliśmy. Podejrzewaliśmy, że morderca już dawno opuścił hrabstwo Charlton, może się zabił, może spadł w przepaść, utonął w bagnie albo popełnił samobójstwo ze wstydu, poczucia winy i przerażenia.

Nawet sylwetka na plakatach zaczynała wyglądać jak wytwór wyobraźni przestraszonego dziecka. Czasami nie mieliśmy czego raportować i spoglądaliśmy po sobie zmieszani i zrozpaczeni. Czułem się wówczas tak, jakbym był na morzu bez kotwicy, jakbym nie mógł skupić na nich swojej uwagi. Chciałem być ich przywódcą, ich nieulekłym i prostolinijnym kapitanem; chciałem zapewnić ich poczynaniom właściwy kierunek. Kiedyś odwołałem zebranie, ponieważ nie mogłem z nimi stanąć twarzą w twarz.

Wydawało mi się, że wszyscy rozumiemy, iż nam się nie udało. Elena Kruger zginęła i chociaż wiedzieliśmy, że nie padła bezpośrednio ofiarą mordercy, jednak w jakimś sensie była nią. Mianowaliśmy się strażnikami dzieci z Augusta Falls, a ja przyrzekłem ją chronić osobiście, niezależnie od kosztów. Przegraliśmy zarówno jako jednostki, jak i grupa, a wkrótce nasze spotkania stały się jedynie stałym i bolesnym przypomnieniem naszej klęski.

Nie powiedzieliśmy tego wprost, bo nie musieliśmy. Po prostu rozeszliśmy się do domów. Strażnicy przestali istnieć. Może wydawało się nam, że w jakiś sposób przyczyniliśmy się do śmierci Eleny. Nie wiedziałem tego wtedy, a po latach nie jestem w tym względzie ani odrobinę mądrzejszy. Myślałem o Michaelu Wiltseyu, Maurice'ie Frickerze, Ronniem Dugganie i Danielu McRae. Myślałem o Hansie Krugerze, który musiał

czuć się o wiele gorzej, niż my wszyscy razem wzięci, ponieważ był w środku tego domu, kiedy wybuchł pożar. Mógł coś zrobić. Podejrzywałem, że wierzył, iż powinien być coś zrobić. Może próbował, ale nie udało mu się. Wszyscy tak się czuliśmy. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale nic z tych starań nie wyszło. Czas Strażników dobiegł końca.

W miarę jak zbliżały się święta, wszystkim nam wydawało się, że po prostu patrzymy i czekamy, aż Śmierć zabierze kolejną osobę.

Prezydent Roosevelt zarządził zamrożenie czynszów, płac i cen produktów rolnych; alianci rozgromili Rommla pod El Alamein; sto czterdzieści tysięcy żołnierzy amerykańskich wylądowało w północnej Afryce, żeby walczyć z czymś nazywanym rządem Vichy; nie mogliśmy już dłużej kupować kawy ani benzyny; Niemcy otoczeni w zniszczonym Stalingradzie w końcu poddali się Rosjanom. Przez trzy tygodnie jedli konie rumuńskiej kawalerii.

Matka podarowała mi na gwiazdkę wieczne pióro, Reilly Hawkins zaś - notes z grubymi kartkami ze znakiem wodnym i skórzaną okładką. Napisałem w środku swoje imię, datę i wiek, a potem go zamknąłem.

Zbliżał się Nowy Rok. Wojna się nie kończyła. Wiele rzeczy zmieniło się od śmierci Eleny Kruger i wyjazdu jej rodziny. Nie widywałem Reilly'ego już tak często jak kiedyś, a pewnego razu podsłuchałem, jak ktoś mówi, że jestem „dzieckiem tej kobiety”. Później zdałem sobie sprawę, że plotki na temat Gunthera Krugera wcale nie ustały. Na domiar złego teraz dotyczyły również mojej matki. Uważano, że nie tylko zadawała się z Guntherem, ale była świadoma strasznych gwałtów, których dopuszczał się na swojej córce, i nic z tym nie zrobiła. Szeryf Dearing znów przyjechał do niej i rozmawiali przyciszonymi głosami w kuchni. Po jego wizycie wydała mi się bardziej zmartwiona niż przed nią.

- Słowa to tylko słowa - powiedziała mi panna Webber. Często jej się zwierzałem. Często zostawałem do późna, żeby jej przeczytać coś, co napisałem, a jeśli wydawałem się strapiiony albo poruszony lub jeśli nie udało mi się pokazać jej nic nowego przez kilka dni, brała mnie na stronę i pytała, co się stało.

- Słowa to nie czyny. Słowa po wypowiedzeniu zapomina się tak szybko, jak się je wypowiada. - Mówiła szczerze, ale nie było to prawdą. Słowa nie były zapomniane. Słowa były zapamiętywane, a czas wydawał się dodawać im tylko mocy. Mroczne myśli wydawały się dojrzewać i rosnąć z wiekiem, a im większą liczbę osób w nie wtajemniczałeś, tym większego znaczenia nabierały.

Moja matka je słyszała. Widziała, że ludzie od niej stronią. Nie była nieświadoma szeptów, które napotykała, tego, że niektóre kobiety odwracają się i wychodzą ze sklepu,

kiedy ona do niego wchodzi. Powiedziano jej, że dłużej już nie będzie mogła brać towarów na kredyt. Reilly Hawkins robił, co mógł, by nam pomóc, ale nie dało się ukryć, że pieniądze się skończyły. Matka była zbyt dumna, by przyjmować jałmużnę, a co dopiero o nią prosić. Ogłaszała się, że gotowa jest pracować, cerować, że może podjąć się innych tego rodzaju obowiązków, ale ludzie przychodzili do nas coraz rzadziej.

Jakiś czas po świętach zaczęło się wydawać, że nasza parcela jest małym gettem otoczonym przez płot pilnie potrzebujący odmalowania. Mieszkańcy Augusta Falls odizolowali nas od siebie. Odwrócili się od mojej matki. Straciła męża, środki utrzymania, poczucie przynależności, przyjaciół. Straciła również tę niewielką dozę przyjemności, którą dzieliła z Guntherem Krugerem. Wyglądało na to, że pozostałem jej tylko ja. Nie mogła mnie stracić, ponieważ nie planowałem wyjazdu. Za to straciła rozum. Powolny spadek sprawności umysłowej doprowadził w końcu do demencji.

- Nie jestem psychiatrą - powiedział mi doktor Piper. To było za trzecim razem, gdy z nim rozmawiałem, a za drugim, gdy składał wizytę matce. Za pierwszym razem, kiedy go wezwałem, matka nie chciała wyjść z pokoju. Czasami płakała łagodnie, czasami była cicho, ale nic, co mówiłem lub robiłem, nie zmusiło jej do otwarcia drzwi. Pobiegłem do spichrza i zapytałem, czy Gene Fricker mógłby wezwać doktora Pipera. Kiedy doktor przyjechał, zdążyła już wyjść z pokoju i stała na podwórku, patrząc na miejsce po domu Krugerów. Miała już tak jasny umysł jak zawsze.

Za drugim razem sam rozmawiałem z doktorem Piperem przez telefon. Powiedział, że nie może przyjechać. Za chwilę wybiera się do porodu.

Za trzecim razem poprosiłem Gene'a Frickera, żeby do niego zadzwonił, ponieważ matka nie jadła przez większą część tygodnia. Wiedziałem o tym, ponieważ w domu było niewiele jedzenia i na pewno zauważyłbym jakieś braki w spiżarni. Kiedy wracałem codziennie ze szkoły, okazywało się, że nic nie zniknęło. Wiedziałem, że nie wychodziła nigdzie coś zjeść, ponieważ wtykałem małe kawałki papieru w drzwi, zarówno frontowe, jak i tylne. Te papierki wciąż tkwiły w drzwiach, gdy wracałem. Kiedy odzywała się do mnie, mówiła o rzeczach, które zdarzyły się wiele lat temu, nadawała im o wiele większe znaczenie, niż miały, zachowywała się tak, jakby dopiero co się wydarzyły. Pytała, czy byłem u Krugerów; pytała o Waltera, Hansa i Elenę.

- Kiedy następnym razem będziesz się widział z panną Webber, musisz powiedzieć jej, żeby przekazała pozdrowienia ode mnie panu Leanderowi... Wiesz, temu staruszkowi, który mieszka obok niej.

Skinąłem głową.

- Dobrze, powiem jej.

Wiedziała równie dobrze jak ja, że pan Leander zmarł zimą 1938. Znaleziono go zamrożonego na podwórku, z oczami i ustami szeroko otwartymi. Jego ręce przywierały do klamki tylnych drzwi.

Powtórzyłem wszystko, co zapamiętałem z tego, co mówiła, doktorowi Piperowi.

- Na pewno nie może sobie poradzić z napięciem - powiedział - ale tak jak już mówiłem, chłopcze, nie jestem psychiatrą. Przeziębienia i kaszel, porody, gorączka, potwierdzenie zgonu. Tym właśnie się zajmuję. Nie patrzę dalej, niż mogę zobaczyć, i cokolwiek jest twojej matce, nie umiem tego dojrzeć. Najlepsze, co mogę zrobić w tym przypadku, to umówić ją na wizytę u jednego z lekarzy ze szpitala w Waycross, w hrabstwie Ware. Zatrudniają tam ludzi," którzy mają więcej literek przed nazwiskiem niż w samym nazwisku. To z nimi powinieneś porozmawiać.

Na razie porozmawiałem z Reillym Hawkinsem. A także z panną Alexandrą Webber. Oboje byli dobrymi, miłymi ludźmi, ale nie wiedzieli nic o chorobach psychicznych.

Doktor Piper umówił wizytę. Reilly Hawkins zawiózł nas na miejsce. Matka siedziała w milczeniu obok mnie. Czułem napięcie, jakiego do tej pory nie doświadczyłem. Brakowało mi ojca. Brakowało mi ciepła kuchni pani Kruger. Zajęłaby się matką, zrobiłaby bulion i kapustę kiszoną; zaczęłyby swoje pogaduszki o dzieciach i szyciu ubrań, o bezużytecznych mężach i bezczelnych synach. Pani Kruger powinna tu być ze względu na moją matkę, mimo tego, co mogła podejrzewać na temat Gunthera i jego niewierności.

Wtorek, 10 lutego 1943 roku. Waycross Community Hospital w hrabstwie Ware, w stanie Georgia. Miałem piętnaście lat, w sercu i umyśle byłem chyba starszy. Stałem obok matki przy dużym biurku w szpitalnym holu. Czułem zapach lekarstw, tę gorzkosłodką, przesyconą alkoholem mieszaną leków ściągających i przeciwbólowych. Byłem wystraszony, onieśmielony ogromem i wyglądem tego miejsca. Ludzie mieli białe fartuchy i białe twarze, byli poważni, obojętni i beznamiętni. Gdyby doktor Piper osobiście nie umówił wizyty u doktora Gabillarda, stalibyśmy tam do sądnego dnia.

Matka nie mówiła nic godnego uwagi. Zapytała, czy zostawiłem kanapki, które zrobiła, w furgonetce Reilly'ego Hawkinsa. Zapytała, czy doktor sprawi, że przestanie ją boleć głowa. Przypomniała mi, żebym powiedział ojcu, że zaprosiliśmy Haynesa Dearinga na lunch w sobotę i że najlepszy byłby kurczak.

Czekałem na nią cierpliwie całe dwie godziny. Siedziałem na prostym drewnianym krześle na korytarzu na trzecim piętrze, podczas gdy moja matka rozmawiała z doktorem Gabillardem. Był młodszy, niż sobie wyobrażałem, miał może jakieś trzydzieści pięć albo

czterdzieści lat. Myślałem, że ktoś, kto poznał ludzki umysł, musi mieć co najmniej setkę. Jednak włosy doktora były już rzadkie na czubku, i widziałem przez nie połyskującą czaszkę. Gdyby się pochylił, mógłbym się w niej przejrzeć. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie poleruje jej pastą do butów, dzięki czemu błyszczy jak but przed niedzielną mszą. Za dużo się uśmiechał, jakby próbował zapewnić wszystkich obecnych, że wszystko, dosłownie wszystko będzie dobrze. A nawet świetnie.

Nie będzie.

Wiedziałem o tym, zanim jeszcze tu przyjechała. Chciałem wyjść i poczekać z Reillym Hawkinsem na dworze albo nakłonić go, żeby towarzyszył mi na korytarzu. Znalazłem się jednak w sytuacji bez wyjścia. Nie mogłem czekać na dworze, bo w każdym momencie matka mogła wyjść z gabinetu. Reilly zaś nie chciał wejść, ponieważ bał się, że gdy tylko - jak to ujął - doktor od głowy na niego spojrzy, od razu wyśle go do zakładu w Brunswick.

Tkwiałem więc samotnie na korytarzu. Według moich obliczeń była jakaś piąta po południu. Chciało mi się sikać. Wreszcie wyszedł do mnie doktor Gabillard.

- Dostała środek uspokajający - powiedział. - Zatrzymamy ją tutaj na jakiś czas i pozwolimy trochę odpocząć.

Zapytał mnie o ojca, żyjących krewnych, przyjaciół rodziny, u których mógłbym się zatrzymać do czasu, aż zostanie wyleczona.

- Jesteś bystrym chłopcem - stwierdził - i dlatego powiem ci, co zrobimy i dlaczego. Dobrze?

- Sprawicie, że jej się polepszy, prawda?

Gabillard uśmiechnął się. Uśmiechnął się ustami, ale nie oczami.

- To chyba nie jest takie proste - stwierdził. - Mózg to złożona maszyna i nie wszystko o nim wiemy. Poskładanie czyjegoś mózgu nie jest tym samym, co poskładanie czyjejs złamanej ręki.

- Nie sądzę, żeby było coś nie tak z jej mózgiem - zauważyłem. - Myślę, że jej umysł jest po prostu przeciążony wszystkimi stratami, których doznała.

Gabillard raz jeszcze się uśmiechnął, wręcz roześmiał, po czym dotknął mojego ramienia, jakby okazywał cierpliwość i zrozumienie komuś, kto nie ma najmniejszego pojęcia o tym, o czym mówi.

Doszedłem do wniosku, że lepiej już się nie odzywać, bo jeśli dalej będę się z nim spierał, sam znajdę się w drodze do Brunswick.

- Podajemy jej na uspokojenie wodzian chloralu - powiedział Gabillard w pewnym

momencie. Potem wspomniał o tym, że trzeba ograniczyć dopływ tlenu do mózgu i w ten sposób zmniejszyć żywotność wirusów; mówił też, że podają jej chlordiazepoksyd na sen, skopolaminę do ujawnienia ukrytych myśli i uczuć, których nawet matka nie знаła, veronal na zwiększenie podatności na hipnozę. W końcu opowiedział mi o Węgrze von Medunie, który wynalazł terapię szokową metrazolem.

- Widzisz - zakończył - możemy spróbować wielu rzeczy i wszystkie one, zapewniam cię, pomogą twojej matce poczuć się o wiele lepiej. No dobrze, Josephie... Rozumiem, że twój ojciec miał wykupione ubezpieczenie zdrowotne?

Przed wyjściem poszedłem ją zobaczyć. Leżała w łóżku w białej sali. Przez okienko w zamkniętych drzwiach widziałem podeszwy jej butów.

Do złudzenia przypominały podeszwy butów Virginii Grace Perlman leżącej na szczycie wzgórza.

Odwiedzałem matkę raz w tygodniu przez półtora roku. Przez jakiś czas jeździłem do niej z Reillym Hawkinsem, ale w kwietniu 1943 roku powiedział, że już więcej nie będzie mi towarzyszył.

- Nie mogę tego robić co tydzień... w ogóle nie chcę już tego robić. To nie tak, że nie dbam o ciebie i twoją matkę, ale, do diabła, nie zniosę już dłużej widoku tego miejsca. Nie mogę znieść myśli, co jej robią wśród tych ścian, i dlatego nie zamierzam już do niej jeździć.

Rozumiałem. Nie utrudniałem tego Reilly'emu. Sam nie mogłem sobie z tym poradzić, jednak dalej jeździłem. W większości przypadków autobusem; końcowy odcinek pokonywałem pieszo.

## XII

Moja matka Mary Elizabeth Vaughan, z domu Wheland, urodzona 19 grudnia 1904 roku w Surrency, w hrabstwie Appling, niedaleko brzegów rzeki Little Satilla, wyszła za mąż za Earla Theodorem Vaughana po trzynastu miesiącach narzeczeństwa, w swoje dwudzieste urodziny, 11 października 1927 roku urodziła jedyne syna, a w lipcu 1939, po zaledwie czternastu latach małżeństwa, pochowała męża; wdowa w wieku lat trzydziestu czterech, wdowa, która nie wyszła ponownie za mąż, ponieważ zaczęła tracić rozum. Wydawało mi się, że pobyt w szpitalu w Waycross dopełnił dzieła.

Przeprowadziła się z tego świata do świata własnego. Ta przeprowadzka była stopniowa. Latem 1943 roku już mnie nie poznawała. Byłem trochę starszy, jednak mój wygląd aż tak bardzo się nie zmienił. Gabillard powiedział mi, że Haynes Dearing złożył jej wizytę dwa, może trzy razy, ale sam szeryf nie wspominał mi o tym. Zakładałem, że zbyt trudno przyszłoby mu mówić o tym, kim się stała.

Psychiatrzy i inni lekarze w Waycross powtarzali mi wciąż, że są oznaki zdrowienia.

- Zdrowienia z czego? - pytałem, a oni uśmiechali się i potrząsali głowami, mówiąc:

- To nie jest takie proste, Josephie.

Po jakimś czasie przestałem pytać, a oni przestali mówić. Chodziłem na trzecie piętro i siadałem przy jej łóżku, wycierałem jej czoło, a ona spoglądała na mnie i mówiła mi rzeczy, które - jak przypuszczałem - były tworem jej wyobraźni.

Nigdy nie widziałem tam Śmierci. Nigdy nie siedziała obok mnie. Nigdy nie nawiedziła sali, w której matka spała, czekając na odpowiedni moment do jej zabrania. Czasami pragnąłem, żeby przyszła. Nie ze względu na siebie, ale na matkę. Uważałem, że w tamtą niedzielną noc 30 sierpnia straciłem jej lepszą część. W tę noc, kiedy zginęła Elena Kruger. Noc, kiedy moja matka zrozumiała, że życie, jakiego pragnęła, i to, jakie otrzymała, nigdy nie będą tym samym.

Wydawało mi się, że widziała świat takim, jakim był, i myśl o życiu w pojedynkę działała na nią obezwładniająco. Nie wiedziałem nic o ludziach. Nie wiedziałem nic o ich złożoności i dziwactwach. Znałem jednak swoją matkę. Znalazła drogę ucieczki i wszystko, co mogłem zrobić, to jeździć do niej z wizytami przez lata, które zostały jej do śmierci.

Później, z perspektywy czasu, pojąłem, że sam również zacząłem się cicho i stopniowo wycofywać.

Pozostałem w domu, w którym się urodziłem i wychowałem. Po szkole pracowałem, podejmując się każdego zajęcia, jakie mogłem znaleźć, i wydawało się, że - z czystego

współczucia - ludzie zlecali mi wykonywanie rzeczy, które mogliby zrobić sami. Latem pracowałem do chwili, gdy było tak ciemno, że nie było nic widać. Proste prace. Stawianie płotów, oczyszczanie ziemi przed zaoraniem, przycinanie gałęzi, tego rodzaju rzeczy. A potem wracałem do domu i pisałem. Opisywałem swoje myśli i uczucia; zapełniłem notes w skórzanej oprawie, który podarował mi Reilly Hawkins, i prosiłem pannę Webber, by dawała mi dziesiątki zeszytów. Gdy już je zapełniłem, prosiłem o jeszcze. Chciała wiedzieć, co takiego piszę.

- To, co myślę... a czasami to, co czuję - odpowiadałem, ale nigdy nie przyniosłem jej nic do czytania. Chyba wydawało mi się, że jeśli opiszę rzeczywistość, w końcu przestanę ją nosić w swoim umyśle i zamiast niej pojawią się w nim owoce wyobraźni. Pisałbym wtedy tak jak Steinbeck albo Fenimore Cooper. Interesowało mnie tworzenie fikcji jako przeciwieństwa rzeczywistości. Dopiero później zrozumiałem, że obie te rzeczy były ze sobą ściśle powiązane: że doświadczenie, upiększone przez wyobraźnię, stawało się fikcją, a życie, widziane przez filtr wyobraźni, zmieniało się w coś, co można było lepiej tolerować i rozumieć. Ubarwiałem swoje wspomnienia dźwiękami i obrazami, które w rzeczywistości się nie pojawiły, przynajmniej nie w taki sposób, w jaki je opisywałem. Przez chwilę wydawało mi się, że może utraciłem kontakt z tym, co realne, ale jednocześnie wiedziałem, że to świadomy wybór z mojej strony. Niezależnie od tego, co napisałem, niezależnie od tego, jak coś sportretowałem, wiedziałem z absolutną pewnością, co jest faktem, a co fikcją. Czytałem zachłannie książki pożyczone od panny Webber, od Reilly'ego Hawkinsa, z biblioteki miejskiej Augusta Falls. Niezależnie od autora, miejsca akcji, czasu, niezależnie od sympatii lub antypatii, stylu i tematyki, czytałem je wszystkie. Czytanie stało się *raison d'être*.

Czasami myślałem o Strażnikach, ale zwykle starałem się nie myśleć. Byliśmy dziećmi, nikim więcej, a świat, który stał przed nami, był na tyle ogromny, że mógł nas pochłonać. Nie widywałem się z Maurice'em, Michaeliem czy Ronniem Dugganem z grzywką wpadającą do oczu; być może nie chciałem ich widywać, ponieważ po prostu przypominali mi o naszej klęsce. W ich twarzach widziałbym twarz Eleny, jej ciało niesione do ciężarówki tej nocy, kiedy wybuchł pożar. Takie rzeczy mogą podtrzymywać przy życiu duchy, a ja chciałem zostawić je za sobą.

Kiedy w październiku 1943 roku skończyłem szesnaście lat, wierzyłem, że wojna w Europie już niedługo się skończy. Chyba wierzyłem również, że straszliwe wypadki, które zaszły w Augusta Falls, są częścią dawno zapomnianej przeszłości. Plakaty, które szeryf Dearing porozwieszał na drzewach i parkanach, dawno skapitulowały w obliczu deszczu i zmian pogody. Życie toczyło się dalej i rodziny, które straciły dzieci, w końcu pogodziły się



ze stratą i jakoś przetrwały. Ludzie przestali wypytywać o moją matkę i moje podróże do Waycross, podróże, które trwały prawie trzy godziny w jedną stronę, a teraz odbywały się nie częściej niż raz w miesiącu, czasami rzadziej. W grudniu miała skończyć trzydzieści dziewięć lat. Widząc ją w szpitalu, gdy leżała w łóżku, a czasami siedziała w wiklinowym fotelu przy uchylonym oknie, z posiwiałymi włosami, i wymizerowaną, anemiczną twarzą, można by pomyśleć, że ma pięćdziesiątkę. Kobieta, którą odwiedzałem, nie była już moją matką. Była pustą skorupą, skręconą ze strachu i rozpacz, przebywającą wiecznie gdzie indziej. Widziała mnie, ale mnie nie rozpoznawała. Dla niej jej słowa były racjonalne, dla mnie nie były niczym więcej niż bełkotaniem, mrużeniem i innymi denerwującymi odgłosami. Wiedziałem, że odwiedza ją Haynes Dearing. Rozmawiałem o tym kiedyś z Gabillardem, a innym razem z pielęgniarką. Dziękowałem mu za to w duchu. Byłem wdzięczny, że nie przestał do niej przychodzić, że ja i matka nie mieliśmy przeciwko sobie całego świata. Nigdy nie rozmawiałem z nim o tych wizytach, a i on mi o nich nie wspominał. Myślę, że obaj czulibyśmy się zbyt niezręcznie i nie wiedzielibyśmy, co powiedzieć.

Po swoich urodzinach zacząłem myśleć o wyjeździe i chociaż nie doszło do niego przez następne kilka lat, ziarno zostało zasiane. Być może to książki, które czytałem, oraz świadomość, że poza Augusta Falls istnieje inny świat, świat, w którym małostkowa gorycz i wzajemne oskarżenia wywodzące się z przeszłości nie mają znaczenia, stanowiły pożywkę dla tej myśli. Pociągała mnie anonimowość, której można doświadczyć w mieście pełnym ludzi i hałasu, w którym pojedyncza twarz będzie ledwo zauważalna, a pojedynczy głos ledwo słyszalny. Może ta myśl była moim własnym sposobem na ucieczkę od wszystkiego tego, co się zdarzyło. Jednak dopóki moja matka żyła w Waycross, nie mogłem jej zostawić.

Dlatego zostałem. Trzymałem język za zębami i powściągałem temperament. Mieszkałem samotnie. Zarabiałem na tyle dużo, by wystarczało mi zarówno na potrzeby ciała, jak i ducha, na ołówki i zeszyty oraz na to, by raz w miesiącu jechać autobusem do hrabstwa Ware, by zobaczyć kobietę, która kiedyś była moją matką.

Gdyby nie panna Alexandra Webber, zapewne popadłbym w mrok zapomnienia. Na szczęście latem 1945 roku, kiedy świat oddychał z ulgą po napięciu wojny, przyszła mnie odwiedzić.

- Chcę zobaczyć to, co pisałeś przez wszystkie te lata - wyjaśniła i uśmiechnęła się ciepło. Jej oczy były chabrowe jak zawsze, a rysy czyste, pewne i piękne.

- Przyszłam posłuchać, jak czytasz, Josephie Calvinie Vaughanie - powiedziała i usiadła naprzeciwko mnie przy kuchennym stole. Miała dwadzieścia sześć lat, a ja siedemnaście i przypomniałem sobie tę nieokreśloną tęsknotę, którą wzbudzała we mnie, gdy

byłem dzieckiem.

Myślałem o Alexandrze Webber i te myśli były tak precyzyjne i dokładne jak papierowa wycinanka. Moja głowa, ręce, serce, moje nadzieje; modlitwy jak życzenia.

Samotność jest jak narkotyk; płynie poprzez żyły, przez nerwy i mięśnie; rości sobie prawo do posiadania całego twojego ciała i umysłu; karmi się i ma swoje własne wymagania. Samotność jest ścianą.

Alexandra Webber przyszła do mnie, żeby zobaczyć, co napisałem na tej ścianie, i chociaż myślałem, że nie ma w niej drzwi, jakoś je znalazła.

Zrobiłem krok do tyłu i wpuściłem ją przez nie.

Raz jeszcze zmieniam pozycję. Nogi mi drętwieją. Patrzę ponad ramieniem tego człowieka, przez okno, w kierunku świateł Nowego Jorku. Widzę samochody sunące ulicami poniżej, a za nimi miriady świateł z miliona okien, za którymi rozgrywa się życie, a każde z nich nieświadome sąsiedniego, każde zaabsorbowane własnymi ważnymi sprawami i wyjątkowymi chwilami.

Mój głos brzmi jak głos kogoś innego, zupełnie jakby tylko moje ciało stało przed oknem, ja natomiast byłbym gdzie indziej.

- Nigdy nie pytałem cię, dlaczego - mówię. - Nigdy nie pytałem cię, jak to się działo, prawda? - Patrzę na ciało siedzące przede mną, na zwisającą głowę, na włosy, na szerokie ramiona. Wiem, że na to pytanie nie otrzymam odpowiedzi, ale z jakiegoś powodu milczenie mnie niepokoi.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, jakich strasznych czynów się dopuszczałeś? Czy kiedykolwiek myślałeś o tym? Czy nigdy nie czułeś się winny? Nie dręczyły cię wyrzuty sumienia? - Zaciskam pięści. - Jak mogłeś coś takiego robić? Jak człowiek może robić coś takiego dziecku? Dziecku, na miłość boską.

Zamykam oczy. Usiłuję przypomnieć sobie twarze. Ich wszystkich. Alice Ruth Van Horne. Virginii Grace Perlman. Usiłuję przypomnieć sobie Alexandrę, to, jak wyglądała tego dnia, kiedy przyszła do mnie, tego dnia, kiedy pogwałciła moją samotność i kazała mi uwierzyć, że mogę znów żyć.

Usiłuję wyobrazić sobie matkę, to, jak wyglądała, kiedy odwiedzałem ją w Waycross.

Ale prawie nic nie widzę. Kształty i rysy są zamglone i nieostre.

- Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, co się stało z ich rodzicami, ich braćmi i siostrami? Myślałeś?

Potrząsam głową. Patrzę na podłogę. Czuję się tak, jakbym płynął pod sufitem, a w dole pozostało moje ciało, małe i nieistotne. Mój głos jest jak szept w czasie burzy. Jest

niczym. Mniej niż niczym.

Zastanawiam się, co robić.

Przez ułamek sekundy rozważam, czy nie jestem przypadkiem hipokrytą najgorszego rodzaju.

Oko za oko?

Czy na pewno zrobiłem dobrze?

Jednak już i tak za późno na takie myśli. Dokonało się.

Siedzę w milczeniu.

Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim przyjdą.

W tych ostatnich godzinach wszystko, co mogę zrobić, to próbować przypomnieć sobie, co się zdarzyło. Wierzę, że czuję przeszłość wychodzącą mi na spotkanie...

Czyste powietrze, wiatr nadciągający z wybrzeża; zapach gumy, jałowca, sasafrasu. Stałem przy oknie i patrzyłem na pustą parcelę Krugera. Gdyby nie wspomnienia, nigdy bym nie pomyślał, że stal tam jakiś budynek. Cienie za drzewami były w kolorze indygo, szarym, ciemnoszarym, aż do ciemnogramatowego. Z szopy dochodził zapach świeżo porąbanego drewna na opał; soki sosny wsiąkały w ziemię.

To właśnie z tego okna widziałem, jak szła.

Serce jak zaciśnięta pięść.

Słyszę ją na dole. Słyszę, jak przyrządza posiłek; twierdzi, że robi najlepszą jajecznicę po tej stronie rzeki Altamaha.

W moich snach była młodsza, włosy spadały jej na jedną stronę twarzy, przez ramię: surowy, ciemny jedwab w kolorze ochry, sjeny i umbry. Jej zapach był świeży jak zapach drzewa cytrusowego, łobuzerski i uwodzicielski. Jej skóra była bez skazy, niewinna, tak czysta jak jej oczy i pachniała mydłem, a także cienką warstwą potu, który spływał jej po czole, kiedy pochylała się nade mną w jednoklasowej szkole i kazała mi wyrecytować coś ważnego. Albo nieważnego. To nie miało znaczenia.

Kroki na ceramicznych płytkach na dole. Płaskie podeszwy z Syracuse, nauczycielskie buty - przewidywalne, pragmatyczne. Funkcjonalne. Palce wyjmujące jajka z torby, trzymające je, tłukące, białko i żółtko wpadające do miski. Dźwięk widelca mieszającego je gwałtownie.

Bicie mojego serca, mojego pulsu; szum krwi płynącej we mnie; dźwięk potu wydostającego się przez pory skóry; dźwięk rosnących włosów i paznokci; dźwięk oczekiwania.

Przyszła bardzo wcześnie. Nieśmiałe światło świtu dopiero wsączało się w przerwę

między nocą a dniem.

Kiedy zobaczyłem, że podchodzi do drzwi, otworzyłem je.

- Joseph Calvin Vaughan - powiedziała, jakbym nie znał swojego nazwiska.

- Panna Webber - odparłem.

- Jesteś już teraz młodym mężczyzną, Josephie, a nie dzieckiem. Nie uczę cię już od prawie dwóch lat. Możesz mi mówić Alexandra.

- Alexandra - powtórzyłem.

- Tak właśnie mam na imię - stwierdziła i uśmiechnęła się zarówno ustami, jak i oczami.

Milczenie między nami trwało kilkanaście uderzeń serca.

- Zamierzasz zaprosić mnie do środka. - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Przekrzywiłem głowę.

- Tak?

Skinęła.

- Tak - wyszeptała, po czym minęła mnie i weszła do wąskiego korytarza.

Miałem na sobie dzinsy i koszulę zapiętą najwyżej na jeden albo dwa guziki. Byłem boso. Umyłem się już, ale nie zdążyłem się jeszcze w pełni ubrać do pracy. Miałem pół kilometra płotu do postawienia wzdłuż wąskiej poręby. Frank Turów miał mi za to zapłacić jedną połowę sumy, szwagier Leonarda Stowella - drugą. To były przyzwoite pieniądze i nie chciałem, żeby przypadły w udziale jakiemuś wędrownemu robotnikowi z młotkiem i torbą gwoździ.

Tyle że przyszła do mnie Alexandra Webber. Chciała usmażyć jajecznicę, porozmawiać i pofantazjować.

Kiedy stanęła pod schodami i zawołała mnie, o mało nie wyskoczyłem ze skóry. Włożyłem buty, ale wydawało się, że moje nogi nie mają punktu oparcia w podłodze; szedłem ostrożnie, niepewnie, jak nowo narodzony żrebak; nogi były zbyt giętkie, by utrzymać mój ciężar.

- Widzę, że dbasz o dom - powiedziała. Weszła do kuchni, rozejrzała się wokół i wskazała na stół. - Mogę usiąść? - zapytała.

- Oczywiście - odparłem. Przypomniałem sobie, że to mój dom, a nawet jeśli nie mój, to mojej matki, i nie muszę się czuć jak nieproszony gość.

- Jak się masz, Josephie?

Ruszyłem na prawo, nie odrywając wzroku od Alexandry Webber. Szedłem bokiem, dopóki nie poczułem za plecami szorstkiego drewnianego blatu. Chwyciłem się jego

krawędzi. Miałem wrażenie, że muszę się czegoś przytrzymać. Czegoś, co znam.

- Jako tako - odparłem. - Sama wiesz, jak to jest, prawda?

Pokręciła wolno głowę. Odgarnęła koniuszkami palców kosmyk włosów z policzka i założyła go za ucho.

W moim ciele działały się rzeczy, których nie doświadczałem nigdy przedtem. Ból w kroczu, wrażenie, jakby coś stamtąd wychodziło. W ustach mi zaschło, czułem w nich posmak miedzi i kurzu.

- Jak to jest? - powtórzyła. - Nie jestem pewna, czy wiem, jak to jest, Josephie...  
Opowiedz.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

- Było ciężko... Ostatnie lata były bardzo ciężkie, panno Webber...

- Alexan...

- Alexandro. Przepraszam... nie mogę przestać o tobie myśleć jako o mojej nauczycielce.

Roześmiała się.

- Przecież byłą twoją nauczycielką - powiedziała. - Ale również twoją przyjaciółką, prawda? - Wahala się przez chwilę, patrząc na mnie pytająco.

- Prawda - przyznałem.

- Przychodziłeś do mnie i opowiadałeś mi o wszystkich swoich zgryzotach. Potem, kiedy z twoją matką stało się to, co się stało... - odwróciła wzrok i spojrzała w kierunku okna - kiedy z twoją matką stało się to, co się stało, myślałam, że znów będziesz do mnie przychodził i opowiadał, że poprosisz, żebym ci przy niej pomogła... ale ani razu nie przyszedłeś. Zastanawiałam się, czy może czymś cię zdenerwowałam.

Roześmiałem się, nagle, raptownie, bardziej ze zdenerwowania niż z radości. To był odruch, nic więcej.

- Czy mnie zdenerwowałaś? - Potrząsnąłem głową. - Nawet gdybyś się starała... nawet gdybyś bardzo się starała, nie mogłabyś mnie zdenerwować.

Przyniosła „Writer’s Digest”. W środku znajdowała się informacja o konkursie na opowiadanie. Roześmiałem się. Przypomniałem sobie Błazeństwa i list z Atlanty.

- Ciągle go jeszcze masz?

Skinąłem głową.

- Na górze.

- Możesz go przynieść?

- A chcesz?

- Jasne, przyniesiesz ten list... Nie pamiętam już, co w nim było napisane. Ja tymczasem zrobię coś do jedzenia. - Przechyliła głowę.

- Lubisz jajecznice? Robię najlepszą jajecznicę po tej stronie rzeki Altamaha.

Wstałem z krzesła. Zrobiłem krok w kierunku drzwi.

- Tak - powiedziałem, prawie jakbym musiał się zastanawiać nad odpowiedzią. -  
Lubię jajecznicę.

Poszedłem na górę. Słyszałem, jak krząta się w kuchni pode mną, wrzucając jajka do miski i mieszając je.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie wszystko, co zawsze chciałem wyobrazić sobie o Alexandrze Webber.

Uważałem, że ją kocham. Na wszystkie możliwe sposoby. Nie wyłączając biblijnego.

Przeczytała list. Uśmiechnęła się, roześmiała, zadawała pytania, których potem nie pamiętałem. Byłem zbyt pochłonięty patrzyeniem na nią.

Zjedliśmy jajecznicę. A do niej krakersy i marynowanego arbuza. Jajecznica była zupełnie dobra. Nie wiedziałem, czy faktycznie jest najlepszą jajecznicą po tej stronie rzeki Altamaha, ale jak dla mnie była całkiem dobra.

Przypomniałem sobie o płocie, o Franku Turowie i szwagrze Leonarda Stowella.

Do diabła z nimi, pomyślałem. Są dorosłymi ludźmi. Zrozumieją.

- Więc jak się miewasz?

Odsunąłem talerz.

- Dobrze.

- A twoja mama?

Potrząsnąłem głową.

- Jej już nie ma, wyjechała na zimę na południe i nie wróciła do domu.

- To prawdziwa tragedia... Całe twoje życie układa się tragicznie. Najpierw twój ojciec, potem to, co przydarzyło się Krugerom, a teraz mama.

- Takie właśnie jest życie... Podobno daje tyle samo, ile zabiera, prawda?

Sięgnęła przez stół i dotknęła mojej ręki. Przeszedł przeze mnie prąd; poczułem, że włosy na karku mi się zjeżyły. Poczułem, że ogarnia mnie nadzieja.

- Brakuje mi lekcji z tobą - wyszeptała.

- A mnie lekcji z tobą.

- Zawsze byłeś moim ulubionym uczniem.

- A ty moją ulubioną nauczycielką.

Roześmiała się.

- To nie fair... Byłam twoją jedyną nauczycielką.

Uśmiechnąłem się.

Dmij, dmij, wichuro mroźna;

O, nie jesteś tak groźna

Jak zła niewdzięczność ludzi\*.

Zmarszczyła brwi tak bardzo, że połączyły się i wyglądały jak szew.

- Szekspir?

\* Tłumaczył Maciej Słomczyński.

Skinąłem głową.

- Jak wam się podoba.

- Josephie Vaughanie, chcesz powiedzieć, że jestem niewdzięczna?

- Chcę powiedzieć, że nie doceniłaś komplementu.

- Doceniłam go na tyle, na ile zasłużył.

- Więc powiem to jeszcze raz... zawsze byłaś moją ULUBIONĄ nauczycielką.

- I czytasz Szekspira? Wzruszyłem ramionami.

- Czasami... częściej komiksy o Red Ryderze i Little Beaver.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Żartujesz sobie ze mnie, Josephie Vaughanie.

Popatrzyłem na swoje dłonie. Były złożone na stole, zupełnie jakby należały do kogoś innego, jakby ktoś zostawił rękawiczki.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi, panno Webber.

- Miałaś mnie tak nie nazywać... Naprawdę jest między nami niewielka różnica wieku.

- Pewna różnica zawsze będzie.

Na chwilę zapadło milczenie. Serce podeszło mi do gardła. Mało tego, ono podeszło mi do ust. Miałem je tak bardzo wypełnione sercem, że zastanawiałem się, jak zdołam cokolwiek powiedzieć. Moje myśli roztrzaskały się na małe kawałeczki porcelany. Widziałem każdą z tych myśli. Wszystkie one dotyczyły panny Alexandry Webber i w większości poznania jej w sensie biblijnym.

- Idziesz dzisiaj do pracy? Potrząsnąłem głową.

- Nie muszę nic robić.

- Chcesz spędzić ten dzień ze mną?

Spojrzałem jej prosto w oczy, a potem uśmiechnąłem się.

- Może - powiedziałam. Poczzerwieniała.

- Tylko może?

- Może to już coś, Alexandra Webber. Może nie znaczy nie.

- O czym ty mówisz, Josephie Calvinie Vaughanie? Uśmiechnąłem się. Wyjąłem serce z ust i położyłem je na dłoni.

- O niczym, panno Webber. O niczym i o wszystkim. Czuję mnóstwo rzeczy, których chyba nie rozumiem. Zawsze uważałem cię za piękną i zawsze uważałem cię za mądrą, i doceniałem, że zawsze miałaś czas, żeby wysłuchać tego, co mam do powiedzenia... I chyba w taki sposób, w jaki patrzyłem na ciebie jako dziecko, powinno się patrzeć na nauczycielkę. Potem podrosłem i zacząłem myśleć o tobie w inny sposób, w taki sposób, w jaki ludzie myślą o innych, gdy chcą poczuć ich bliskość. I wszystko jedno, w którą stronę spojrzełem, za każdym razem, gdy o czymś myślałem, w tych myślach byłaś ty, zupełnie jakbyś należała...

Uścisnęła moją rękę.

- Przestań - powiedziała, a w jej głosie słychać było zaniepokojenie.

- Dlaczego? Kto może mnie usłyszeć? Kto może mnie usłyszeć oprócz ciebie?

- Nie wiesz, co mówisz!

- Naprawdę nie? - Dotarłem ledwie do połowy drogi, a już zastanawiałem się, czy jednak nie zaszedłem za daleko. - W takim razie niech mi pani powie, dlaczego tu przyszła?

Panna Alexandra Webber odwróciła wzrok.

- Panno Webber?

Uniosła rękę, a także głos.

- Dobrze, niech ci będzie! Jeśli to zmierza tam, dokąd myślę, że zmierza, w takim razie przede wszystkim mów mi po imieniu.

Skinąłem głową.

- Więc... Więc powiedz mi, dlaczego tu przyszłaś, Alexandro?

- Alex - powiedziała stanowczym głosem.

Wytrzymałem jej spojrzenie.

Niezdarne rozpoznanie nieznajomego oddechu; uświadomienie sobie, że zapach, skóra, włosy, które dotykałem palcami, nie należały do mnie.

- W porządku - wyszeptała, a jej głos był jak szum morza w muszli. - Będziesz wiedział, co robić.

Spojrzałem na nią, będąc na tyle blisko, by czuć trzepot jej rzęs na policzku.

- A jeśli nie będę wiedział?

- Wtedy - powiedziała, a jej głos o mało nie został zagłuszony przez bicie jej serca - wtedy ci pokażę.



- Dlaczego tu przyszłam? - Potrząsnęła głową i odwróciła się. - Nie wiem, Josephie...  
Chyba dlatego, że pomyślałam, że jesteś samotny.

- Samotny?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Samotny. Wiesz, czym jest samotność.

- Tak - potwierdziłem. - Wiem wszystko o samotności.

- To tak, jakby była to twoja domena, prawda?

- Moja domena? - Uśmiechnąłem się, po czym zacząłem się śmiać. Nagle ulżyło mi, jakbym rozpiął zbyt mocno zaciśnięty pasek. - Tak, można tak powiedzieć... Samotność była moją domeną... A ty?

Przechyliła głowę na bok, przytrzymując brodę i policzek dłonią. Łokieć oparła na stole.

- Ja?

Skinąłem głową.

- Tak, ty. Też byłaś samotna, prawda?

Alex całowała moje powieki, najpierw jedną, potem drugą; czułem wilgoć jej ust, muskanie koniuszków palców, nacisk jej piersi na moje ramię, gorąco jej ciała...

Z tyłu jej sukienki znajdowały się guziki. Odwróciła się powoli, wzięła mnie za rękę, pokazała mi, gdzie są. Wyswobodziła się z materiału, jakby był jej drugą skórą. Bawełna osunęła się na ziemię.

Odsunęła się do tyłu.

Oddech uwiązał mi w piersi; schwytny, przestraszony ptak.

Roześmiała się.

Wzruszyła ramionami. Lok wysunął się zza ucha i musnął jej policzek. Uniosła rękę i wsunęła go z powrotem na miejsce.

- Wszyscy są samotni, Josephie.

- I to dlatego tu przyszłaś... Bo doszłaś do wniosku, że oboje jesteśmy samotni i chciałaś coś z tym zrobić?

Skinęła głową, uśmiechając się blado.

- Może - powiedziała.

- Może? - powtórzyłem. - To ja mówię może. Ale ty? Ty nigdy nie byłaś osobą, która mówi może... Ty byłaś zawsze prostolinijna, bezpośrednia i bezkompromisowa.

- Czy to ważne, dlaczego tu przyszłam?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, Alex, to nie jest ważne.

Podniosła się z krzesła. Zrobiła krok do tyłu, a potem do przodu, tylko jeden krok, ale tym krokiem tak jakby zasłoniła szczelinę między wyobraźnią a rzeczywistością.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Nie, Alex... Nigdy nie będę tego chciał.

Później nie będę mógł przypomnieć sobie, jak znaleźliśmy się na górze. Później, próbując sobie to przypomnieć, uznam, że to nie ma znaczenia.

Uniosłem rękę i dotknąłem jej dłoni, ramienia, karku.

Jej palce odnalazły mój pasek, guziki moich spodni.

- Zdejmij je - wydyszała.

Mocowałem się z ubraniem.

Wiatr podniósł zasłonki w oknie za mną, unióś włoski na mojej skórze, sprawił, że zadrzałem.

Odsunęła się ode mnie i usiadła na krawędzi łóżka.

Stanąłem przed nią, prawą ręką dotknąłem boku jej twarzy, jej policzka, jej włosy znalazły się między moimi palcami.

Całowała mój brzuch, zakreśliła koło wokół mojego pępka koniuszkiem języka, a potem obniżyła głowę i otworzyła usta. W środku mnie zapali! się ogień.

Po jakichś dziesięciu sekundach spojrzała na mnie.

- Wiesz, co robić, prawda?

Skinąłem głową.

Przesunęła się do przodu i zdjęła halkę. Położyła się na materacu i wyciągnęła do mnie rękę.

- Więc chodź - powiedziała - zanim umrę z tęsknoty.

Jakoś udało nam się odnaleźć wspólny rytm. Początkowo byliśmy niezręczni, ale w końcu go znaleźliśmy. Podążaliśmy za nim: zaniósł nas w miejsce, w które nie planowaliśmy pójść. Takie miejsce, z którego nie ma się ochoty wracać do domu.

Pamiętam, że były chwile, gdy się śmialiśmy, chociaż później nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego.

Alex leżała obok mnie, jej ciało naciskało na moje, rękę podłożyła pod głowę i kiedy zaczęła mówić, odwróciłem się, żeby na nią popatrzeć, by jej przerwać, całując ją, a po chwili powiedziałem: „jeszcze raz” i zamknęła oczy, i położyła się, a ja znalazłem się nad nią.

Nie wychodziliśmy z mojego pokoju aż do wieczora.

I tak mijał tydzień za tygodniem.

Powróciły sny. Sny, w których prześladował mnie widok lewej ręki.

Ręki Virginii Grace Perlman. Ręki, której nigdy nie odnaleziono.

Augusta Falls robiło, co mogło, by zapomnieć o tych morderstwach. Po trzech latach wszystkim mieszkańcom miasteczka udało się zapomnieć o przeszłości. Mnie nie.

Alex odwiedzała mnie coraz częściej i rozmawiałem z nią o dziewczynkach, morderstwach, o tym, kto mógł robić te wszystkie rzeczy; mówiliśmy o Krugerach, o śmierci Eleny, o tym, co nastąpiło potem.

- Cokolwiek się stało - powiedziała - to już skończone... To było tak dawno temu.

- To nie miało nic wspólnego z Krugerami - odparłem. - Znałem Gunthera Krugera... Znałem jego żonę i dzieci. - Przerwałem i spojrzałem na okno w kuchni. Zbliżał się koniec listopada. Przez blisko trzy miesiące Alex odwiedzała mnie dwa, trzy, czasami cztery razy w tygodniu. Kochaliśmy się - czasami jak szaleni, jakby było coś w środku każdego z nas, co musieliśmy odkryć i tylko siłą i namiętnością można było wyrwać to na wolność, by to zbadać; kiedy indziej robiliśmy to wolno, jakbyśmy byli pod wodą, każde słowo, każdy oddech, każdą pojedynczą chwilę fizycznego kontaktu przeciągaliśmy do granic możliwości. Miesiąc wcześniej skończyłem osiemnaście lat. Alex Webber będzie obchodzić dwudzieste siódme urodziny w lutym 1946 roku. Dzieliące nas blisko dziewięć lat nie wydawało się dużą różnicą wieku.

Minęły prawie cztery lata od dnia, gdy Reilly Hawkins zawiózł mnie i matkę do Waycross Community Hospital, odkąd psychiatra mówił mi o tym, że podają jej wodzian chloralu na uspokojenie, chlordiazepoksyd na sen, skopolaminę do ujawnienia ukrytych myśli i veronal na zwiększenie podatności na hipnozę. Miałem wrażenie, że matka wymknęła się do jakiegoś mrocznego i cichego miejsca i niezależnie od tego, jakie leki jej podawano, nieważne, jakie działania podejmowano, nic nie odnosiło skutku. Mrok i cisza pozostały. Cała ta terapia co najwyżej powstrzymywała ją od wołania o pomoc.

Alex wypełniła otchłań, pustkę. Cokolwiek przynosiła, trawiłem to i wciąż pozostawałem głodny. Czytaliśmy razem książki, czasami całymi nocami. Steinbecka, Hemingwaya, Williama Faulknera, Walta Whitmana, Flauberta, Balzaca, Dumasa, Szkarłatną literę Hawthorne'a, Czerwone i czarne Stendhala. Wyjaśniała mi to, czego nie rozumiałem. To, czego nie umiała mi wytłumaczyć, pokazywała. Moja praca leżała odłogiem. Niektórzy ludzie przestali mnie zatrudniać. Zacząłem się golić, a potem postanowiłem zapaść brodę. Włosy sięgały mi za ramiona.

- Ach ta cyganeria - westchnęła Alex i roześmiała się, po czym pocałowała mnie w czoło, ścisnęła moją brodę palcami i zaciągnęła mnie do łóżka.

Potem powiedziałem jej o Nowym Jorku, mojej wizji, moim ideale.

- Pięknolicy Manhattanie! Towarzyszu Amerykaninie! Dla nas wschodzi jutrzeńka. Dla nas, me miasto. Tam, gdzie wysokie piękności z marmuru i żelaza wznoszą się po dwóch stronach, by szło się między nimi.

- Co to?

- Walt Whitman - odparła i zaczęła się ze mnie śmiać - ty ciemny, cygański pisarzyno!

- Ciemny? Musisz wiedzieć, że właśnie zacząłem pisać książkę.

- Co takiego?

- Książkę. Powieść - wyjaśniłem. - Zacząłem pisać powieść.

Usiadła prosto. Kołdra zsunęła się z jej szyi i zatrzymała dopiero w talii, odsłaniając jej piękne piersi, łuk ramion... Wyciągnąłem do niej rękę. Chwyliła mnie za przegub i odepchnęła moją dłoń.

- Opowiedz! - zażądała. - Opowiedz mi o tym, Josephie.

- To nic takiego... Do diabła, Alex, to na razie tylko pomysł. Zacząłem ostatniej nocy... - przerwałem i zamyśliłem się na chwilę.

- Nie, dwie noce temu... Tej nocy, kiedy miałś przyjść, ale w końcu nie przyszedł.

- Opowiedz - nalegała. - Opowiedz mi o tym.

Wyciągnąłem spod siebie poduszkę i ustawiłem ją za głową. Alex miała zachwyconą minę; wydawała się autentycznie podekscytowana.

- Na razie to tylko szkic - wyjaśniłem.

- Tak jak i cały ty - zażartowała.

- Zaraz ci dam szkic - powiedziałem i żartobliwie złapałem ją za włosy.

- Przestań - upomniła mnie. - Bądź poważny... Powiedz mi, co piszesz.

- To będzie o człowieku - odparłem.

Uśmiechnęła się i przechyliła głowę.

- Dobry początek... Coś w stylu: dawno temu był pewien człowiek, tak?

- Za mądre, Alex, ciut za mądre jak dla mnie.

- Więc mi opowiedz - poprosiła. - Opowiedz, o czym to jest.

- O mężczyźnie nazywającym się Conrad Moody... Zrobił coś strasznego. Zabił dziecko. To był wypadek, ale on jest fatalistą, wierzy w opatrliwość i przeznaczenie... Uważa, że widocznie musiał zrobić coś złego, uszedł karze i teraz ta kara go dopadła. Spędza resztę życia na pokucie za zabicie dziecka, dziecka, które przyrzekł chronić.

Alex milczała przez chwilę.

- No co? - zapytałem.

Potrząsnęła głową.

- Masz coś, co możesz mi przeczytać?

- Teraz?

- Tak - powiedziała.

Przechyliłem się przez łóżko i włożyłem pod nie rękę. Przesunąłem palcami po podłodze, dopóki nie dotknąłem swojego notesu. Wyjąłem go spod łóżka i usiadłem. Alex zajęła miejsce obok, patrząc na mnie. Jej wyraz twarzy był jakiś chłodny i odległy.

- Chcesz, żebym przeczytał to teraz?

- Tak - wyszeptała. - Tylko fragmentek.

Otworzyłem notes, znalazłem właściwą stronę. Odchrząknąłem i zacząłem.

- Pomyślał o ciosie w splot słoneczny, ale to nie do końca opisywało napięcie, jakie czuł. Zastanawiał się nad zaporą, na którą napierają ogromne masy wody, ale to chyba też nie było adekwatne. Niedomówienie; grube niedomówienie. To napięcie było jak rzemień, struna fortepianu, drut, który skrzypiał i napinał się, i nie można było zawinąć większej części bez pęknięcia, uderzenia, cięcia czegoś. Był wykuty z żelaza. Wykuty z żelaza, ale niedoskonały. I wierzył, że te niedoskonałości czyniły go człowiekiem. Tak mu mówiono, a on w to chciał wierzyć, ponieważ wiara zawsze była jego mocnym fundamentem, a bez niego ściany mogłyby upaść. Conrad Moody pisał na tych ścianach, a one słuchały. Słuchały wszystkiego, co pragnął powiedzieć. Były wystarczająco proste. A także mocne. Na tyle mocne, żeby to wszystko mógł znieść...

- Przestań - powiedziała Alex.

Popatrzyłem na nią. Pojedyncza łza spływała po jej policzku.

Zasępiłem się, po czym spróbowałem się uśmiechnąć.

- Co? - zapytałem. - O co chodzi? Do diabła, Alex...

- To o tobie, prawda?

- Co takiego?

- O tobie... To o tobie i córce Krugera. Przyrzekłeś, że się nią będziesz opiekował, prawda, Josephie? Tego dnia, o którym mi mówiłeś, wtedy, gdy patrzyłeś w dół wzgórza i widziałeś ją na podwórku. Przyrzekłeś sobie, że zadbasz o to, żeby nic jej się nie stało.

Nie odpowiedziałem; nic mi nie przychodziło do głowy.

- Ale się nie udało, prawda? - ciągnęła Alex. - Nie dotrzymałeś przyrzeczenia i zginęła.

Milczałem.

- Jak długo jeszcze będziesz tym się zadręczał? - zapytała.

- Wcale nie uważam, że...

Uniosła rękę i przyłożyła palec do moich ust. Potrząsnęła głową, na chwilę zamknęła oczy, a potem przyciągnęła mnie do siebie.

- Ciii... - wyszeptwała. - Nic nie mów. Już dobrze... Wszystko będzie dobrze, Josephie. Zrobimy sobie dziecko. To proste. Sprawimy, że wszystko będzie dobrze. Sprowadzimy dziecko na ten świat i przywrócimy równowagę... Zdejmiemy zły czar.

- Alex...

- Ciii... wystarczy. Sprawimy, że wszystko znów będzie dobrze. Moje serce waliło jak oszalałe, niczym zaciśnięta pięść. Byłem spocony, moja skóra lśniła, ale było mi zimno, drżałem. Alex uniosła kołdrę i nas nią owinęła. Położyła się, a ja położyłem się z nią. Mój notes upadł na podłogę.

- Teraz - wyszeptwała.

Trzy dni przed Gwiazdką postanowiliśmy odwiedzić moją matkę w Waycross Community Hospital. Pożyczyłem od Reilly'ego furgonetkę i pojechaliśmy. Dwudziestego pierwszego grudnia 1945 roku. Niebo było pochmurne i przytłaczające, drzewa rosnące wzdłuż szosy przypominały ściskające coś ręce.

Nie chciałem, żeby Alex ją widziała, nie w takim stanie, jednak ona nalegała.

- Idą święta. To jest twoja matka. Nie możesz tego odłożyć na później.

Około dziewięćdziesięciu kilometrów w linii prostej. My jednak pojechaliśmy okrężną drogą, patrząc na poranne niebo, cienie uciekające wraz ze wschodem słońca, domy pojawiające się jakby znikąd. Chmury burzowe rozpychały się na horyzoncie niczym nieuchronnie zbliżająca się groźba, obietnica zemsty za coś niewypowiedzianego, ale co jakiś czas przebijały się snopy blasku, niby kozik wiejskiego rzeźbiarza chcącego znaleźć słoje w uschniętym drzewie.

Niewiele rozmawialiśmy, ale za każdym razem, gdy spoglądałem na Alex, wydawała się zadowolona. Optymizm wsączył się w jej żyły.

Widzieliśmy postacie zbierające bawełnę na polu; mężczyźni kładli kłody na drodze, inni rozłupywali je, by zrobić z nich podkłady kolejowe. Jechaliśmy przez ponad godzinę, a byliśmy najwyżej w połowie drogi do Waycross. Nie spieszyło się nam. Droga rozwijała się przed nami niczym czarna wstążka i podążaliśmy nią po prostu dlatego, że podjęliśmy taką decyzję. Mieliliśmy zobaczyć Mary Elizabeth Vaughan, kobietę, która wydała mnie na świat, jadąc do niej dlatego, że Alex wierzyła, iż była ona członkiem rodziny, w tej chwili w takim samym stopniu mojej, jak i jej. Powiedziała, że mnie kocha. Kiedy odwzajemniłem się takim samym wyznaniem, odparła:

- Kiedy kochasz kogoś, bierzesz go ze wszystkim, ze wszystkimi dodatkami, wszystkimi zobowiązaniami. Bierzesz jego przeszłość, przyszłość i teraźniejszość. Bierzesz to wszystko albo w ogóle nic. Tak to właśnie wygląda, Josephie, właśnie tak.

Alex nie kłóciła się, niczego nie kwestionowała; rzeczowo wyrażała swój punkt widzenia. Nastawiałem się na dyskusję, ale ona zabierała wiatr z moich żagli, zanim podniosłem kotwicę. Wyrzucałem sobie, że jej na to pozwalam. Pochodziła z Syracuse, a tam ludzie myśleli odmiennie niż my.

Późny ranek przyniósł duchotę, wiatr miał zbyt dużo wilgoci. Zjechałem na pobocze. Wyjeżdżone błoto i koleiny sprawiały, że koła rozjeżdżały się na różne strony, co czyniło jazdę bardziej katorgą niż przyjemnością. Alex powiedziała, że chce się jej pić, chciała otworzyć termos z kawą, który wzięła ze sobą, i przez chwilę siedzieliśmy, popijając kawę z jednego kubka i rozmawiając trochę o niczym dla zabicia czasu.

- Wzięliśmy koc - powiedziała po chwili.

- Tak - odparłem.

- To nie było pytanie, ale stwierdzenie.

Wzruszyłem ramionami.

- Więc wzięliśmy koc. I co z tego?

- Mamy furgonetkę z paką. Mamy koc. Stoimy na pustej drodze, a wokół nikogo.

- O czym ty mówisz, Alex?

- O tym, o czym myślisz, że mówię, Josephie.

Odwróciłem się i popatrzyłem na nią. Uśmiechała się figlarnie.

- Jeśli dobrze rozumiem, chcesz, żebyśmy położyli się na pace furgonetki i trochę się spocili...

- Ależ ty jesteś romantyczny! Boże, nazywaj rzeczy po imieniu.

- Do diabła, ty to wymyśliłaś, nie ja.

Wzruszyła ramionami.

- Więc nie komplikujmy. Połóż koc z tyłu furgonetki i zerznij mnie, co?

- Jezu, nie można po prostu iść na tył furgonetki na środku drogi i kogoś zerznąć.

- Dlaczego nie, do jasnej cholery? Gdzie jest napisane, że nie można tego zrobić?

Byłem zszokowany.

- Alex, w ten sposób nie zachodzi się w ciążę.

- Do diabła, Joseph, tu nie chodzi o zajście w ciążę, ja po prostu chcę uprawiać seks z tyłu furgonetki.

- Naprawdę chcesz to zrobić? Naprawdę chcesz, żebym położył koc z tyłu...

- I żebyś mnie zerznął. Tak, tego właśnie chcę. Chcę, żebyś to zrobił właśnie teraz, zanim się rozmyślę, zanim uda ci się zabić te resztki romantyzmu, jakie jeszcze pozostały.

Rozpostarłem koc na plandecce furgonetki.

Alex podeszła do tyłu i zdjęła majtki, po czym rzuciła nimi we mnie. Weszła na pakę i położyła się na niej. Wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się tak bardzo, że dobrą chwilę zajęło mi uspokojenie się na tyle, bym mógł podjąć jakieś działania.

Byłem świadom świeżego powietrza, świergotu ptaków w koronach drzew, świadom tego, w jaki sposób Alex rzuciła mnie na plecy, po czym usiadła na mnie okrakiem. Za bardzo się śmiałem, żeby traktować ją poważnie, a potem przez chwilę wydawało mi się naprawdę niezwykle to, że w ogóle byłem w tym miejscu, na dodatek z Alex Webber - swoją nauczycielką.

- Co? - zapytała.

Zmarszczyłem brwi i potrząsnąłem głową. Trudno się oddychało, ponieważ przyciskała mnie całym swoim ciężarem.

- Opowiedz - poprosiła. - Z czego się śmiejesz?

- Wcale się nie śmieję - wystękałem. - Jezu, Alex, zejdź ze mnie, zanim się uduszę.

- Udusisz się? Przecież ważę tyle co piórko.

- Tyle co piórko? No dobrze, niech ci będzie...

- Twierdzisz, że jestem ciężka? Twierdzisz, że jestem za ciężka? Czy właśnie to twierdzisz, Josephie Vaughanie?

- Nie nazywaj mnie tak!

- Dlaczego nie? Przecież tak właśnie się nazywasz?

- To prawda, tak się nazywam, ale do diabła, Alex, mówiłaś tak do mnie w szkole.

Roześmiała się hałaśliwie.

- Josephie Vaughanie! Lepiej odrób pracę domową na czas, bo inaczej będziesz musiał myć gąbki do tablicy.

- Alex! - krzyknąłem. - Mówię poważnie... Zejdź ze mnie, zanim skonam.

Przechyliła się na bok, zdejmując ciężar z mojej piersi, a potem odchyliła się do tyłu i włożyła rękę pod siebie, szukając mnie, prowadząc mnie, śmiejąc się nawet wtedy, gdy już znalazła i się obniżyła.

Chwyciłem ją w pasie i popatrzyłem na namiot z koca, który uformowała nad swoją głową.

Spojrzała na mnie, rozstawiając na boki ręce. Złapałem je, nasze palce splotły się i zaczęła kołysać się do tyłu i do przodu.



To wydawało się takie właściwe, może nawet zbyt właściwe. Zdawało mi się, że Alex jest uosobieniem wszystkich moich marzeń. Czy pierwsza miłość zawsze jest taka?

Byłem świadom jej zapachu, jej uśmiechu, jej napięcia, czułem, że uczestniczę w czymś wyjątkowym.

A potem doszła jeszcze świadomość warkotu silnika zbliżającego się samochodu. Leżąc na plecach, przyciągnąłem Alex do siebie. Oboje byliśmy prawie nadzy, przykryci tylko kocem, i próbowaliśmy się nie śmiać, w ogóle nie wydawać żadnych odgłosów. Moja ręka spoczywała na jej pośladku, jej spódnica była zwinięta wokół talii, a moje spodnie opuszczone do kostek. Nagle dotarło do mnie, że ten samochód zatrzymuje się obok nas.

- O rany - wyszeptałem.

- Ciii... - odszepnęła.

Wybałuszylem oczy. Samochód stanął. Nigdy jeszcze nie czułem się tak bardzo bezbronny. Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi auta, potem ich zatraskiwanie i kroki na drodze, chrzęst żwiru pod podszewkami.

- Szoferka jest pusta - rozległ się jakiś głos. - Szoferka jest pusta i nikogo nie widać ani na drodze, ani wśród drzew. Lepiej wyłazcie spod tej derki i pokażcie swoje twarze.

Alex przesunęła się na bok, tylko trochę, ale poczułem, że wychodzę z niej. Spontaniczny romantyzm tej chwili zginął gwałtowną śmiercią. Zupełnie jakby Kupidyn dostał kulkę.

- Tu szeryf hrabstwa Clinch Burnett Fermor. Cokolwiek tam robicie z tyłu tej furgonetki, robicie to na jednej z moich dróg. Proszę, żebyście wyszli spod tego koca, kimkolwiek, do diabła, jesteście, i pokazali swoje twarz, albo żarty się skończą.

Otworzyłem szerzej oczy. Wyraz twarzy Alex był bliski czystego przerażenia. Serce waliło mi jak młotem.

- Liczę do trzech. Tylko do trzech. Do trzech i koniec. Zaczynam... Raz... dwa...

- Dobra! - krzyknąłem. Sięgnąłem do góry i przyciągnąłem do siebie koc, po czym wyrząłem przez szparę i popatrzyłem nad paką i nad zasłoniętym ciałem Alex, przypominając sobie, że moje spodnie są opuszczone do kostek, a jej spódnica zwinięta wokół jej talii, tak że gdybym pociągnął koc choćby trochę dalej, zaczęłaby świecić gołym tyłkiem.

Szeryf Burnett Fermor miał wygląd twardziela i grubo ciosaną twarz. Kciuk lewej ręki wetknął za pasek spodni, prawą rękę położył na rewolwerze.

- Witaj, chłopcze - powiedział, przeciągając sylaby. Mięśnie jego szczęki zadrgały, kiedy to mówił. Oczy były zmrużone na słońcu, nadawały mu wygląd kogoś, kto wyszedł z piwnicy na światło dzienne, kogoś, kto był zamknięty w niej dla bezpieczeństwa swojego i

innych. - Jesteś tam sam pod tym kocem, czy masz tego ranka towarzystwo?

Alex poruszyła się nieznacznie. Jej palce pojawiły się na brzeжку koca, po czym je cofnęła. Uśmiechnęła się z trudem.

- Witam panią - powiedział Fermor. Podszedł do tyłu furgonetki

Ciało Alex napięło się. Uśmiechnęła się blado.

- Witam, szeryfie - odparła.

- Cóż, nie jesteśmy dziećmi, prawda? - powiedział. - Myślę, że tego ranka bardzo mało zostawiliście ludzkiej domyślności. Chciałbym was prosić, moi dobrzy ludzie, żebyście wyszli stamtąd i stanęli na poboczu.

- Mógłby nam pan dać chwilę? - zapytałem.

- Chwilę, synku? A do czego ci potrzebna ta chwila?

Poczułem mdłości.

- Żebyśmy się doprowadzili do porządku, zanim stąd wyjdziemy.

Szeryf Burnett Fermor popatrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

- Wygląda mi na to, że mamy tutaj bardzo trudną sytuację. Nie chciałbym was zawstydząć, ale równocześnie nie chciałbym też patrzeć w innym kierunku, kiedy będziecie stąd czmychać. Nie mam pojęcia, kim jesteście, i nie mam zamiaru odwracać się do was plecami, zanim się nie zapoznamy.

- Mogę pana zapewnić, szeryfie...

Burnett Fermor uniósł rękę i uśmiechnął się.

- Przepraszam, że wejść ci w słowo, synku, ale nie rozumiem, jak w twojej sytuacji możesz mnie zapewniać o czymkolwiek. Mogę trochę odwrócić wzrok, żeby oszczędzić wam wstydu, ale tylko pod warunkiem, że natychmiast staniecie na poboczu.

- Ale jest tu dama...

Fermor potrząsnął głową.

- Synu - powiedział, a w jego głosie dało się słyszeć nutkę rezygnacji, a trochę i rozdrażnienia. - Nie będę się z tobą bawił w gierki słowne. Nie mówmy o damie, dobrze? Wydaje mi się, że żadna młoda kobieta, która z tyłu furgonetki w świetle dnia uprawia pewnego rodzaju sypialnianą aktywność, nie zasługuje na miano... Cóż, nie wydaje mi się, żebyśmy chcieli omawiać teraz kwestie obyczajności i etyki, prawda? Poproszę was jeszcze tylko raz, a potem wezwę posiłki.

- Wychodzimy - powiedziałem. Spojrzałem na Alex. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

Wysunąłem się niezręcznie spod niej, odsunąłem na bok koc i prześlizgnąłem na tyłku

na koniec paki. Zeskoczyłem na ziemię i podciągnąłem spodnie. Fermor przyglądał mi się zimnym spojrzeniem. Alex zrobiła, co mogła, żeby zakryć się kocem i opuścić spódnicę, po czym doszła do końca paki na kolanach. Wyglądała na udręczoną i upokorzoną, włosy miała zmierzwiłone, była bosa i czerwona ze wstydu.

Femor popatrzy! na zegarek.

- Nie ma nawet jedenastej, a wy dwoje już parzycie się z tyłu tego pojazdu. Co to za zachowanie, do cholery?

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć. Fermor potrząsnął głową.

- Mówiąc szczerze, synu, nie chcę słyszeć od ciebie nic oprócz tego, jak się nazywasz.

- Wyjął z kieszeni koszuli notes i pióro. Zmierzył mnie wzrokiem i przesunął na tył głowy swój kapelusz.

Milczałem, patrząc w lewo na Alex.

- Jak się nazywasz? - powtórzył Fermor.

- Vaughan - odparłem. - Joseph Calvin Vaughan. Zapisał moje nazwisko w notesie.

- I skąd to pana przywiało tego ranka, panie Josephie Calvinie Vaughanie?

- Z Augusta Falls - powiedziałem.

- Augusta Falls? To w hrabstwie Charlton, zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- Augusta Falls, hrabstwo Charlton... Być może zna pan mojego kolegę, szeryfa Haynesa Dearinga.

- Tak, proszę pana, znam szeryfa Dearinga.

Fermor popatrzył na mnie spod runda swojego kapelusza.

- Miał pan do czynienia z szeryfem Dearingiem w Augusta Falls, panie Vaughan?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, proszę pana, nie miałem. Uniósł brwi.

- Więc skąd go pan zna?

- To nie jest duże miasto, szeryfie. Większość ludzi się zna.

- I tylko dlatego pan go zna, tak?

- Tak, proszę pana.

- Czym się zajmujesz w tym Augusta Falls, synu?

- Stawiam płoty, rąbię drewno i takie tam... Pomagam przy żniwach, robię, cokolwiek się nadarzy.

- Masz tam jakiś dom?

- Tak, proszę pana.

- Ile ma pan lat, panie Vaughan?

- Osiemnaście.

- Naprawdę? Osiemnaście...

Fermor zapisał coś jeszcze w notesie, a potem przeniósł uwagę na Alex.

- Teraz pani... Nazwisko poproszę.

- Alexandra Madigan Webber.

- Alexandra Madigan Webber... I pani jest również z Augusta Falls, tak?

- Tak, szeryfie, z Augusta Falls.

- Dokąd to jechaliście o tej porze?

- Do Community Hospital w Waycross.

- Dobrze, dobrze... - przeciągał sylaby Fermor. - A dlaczego to jechaliście do Community Hospital, panno Webber?

- Jechaliśmy zobaczyć... - Spojrzała na mnie. Wyglądała na osłabioną i zaniepokojoną.

- Zobaczyć? - powtórzył Fermor.

- Jechaliśmy zobaczyć matkę Josepha.

Fermor kiwnął wolno głową, nie spuszczając wzroku z Alex.

- A czy był jakiś szczególny powód, dla którego zatrzymaliście się właśnie tutaj, panno Webber... zamiast dojechać do hrabstwa Ware bez żadnego postoju?

Alex spojrzała na mnie, a potem przeniosła wzrok na szeryfa. Zadał to pytanie tylko po to, by jeszcze bardziej ją zawstydzić, i wiedziała o tym. Pokręciła wolno głową.

- Nie, proszę pana - odrzekła łamiącym się głosem.

Czułem coraz większą wściekłość.

- No dobrze - powiedział Fermor i zapisał coś jeszcze w swoim notesie.

- My naprawdę przepraszamy - zapewniłem go. - Jechaliśmy tędy i postanowiliśmy zatrzymać się na chwilę...

Fermor uniósł rękę.

- Nie wiem, czy to naprawdę konieczne, żebym znał wszystkie zawstydzające szczegóły waszej schadzki, panie Vaughan, z wyjątkiem tego, że jest to droga publiczna. Taki rodzaj drogi, po której ludzie chodzą albo jeżdżą konno czy nawet samochodami, i ostatnią rzeczą, jaką by chcieli tu widzieć, jest widok dwojga osób robiących to, co robiliście wy tego ranka. Prawda jest taka, że było to pogwałcenie porządku publicznego...

Alex otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Zrobiła krok do przodu.

- Szeryfie...

Fermor również zrobił krok do przodu. Było coś groźnego w sposobie, w jaki to

uczynił, jakby był to kontrapunkt wobec Alex, jakieś wyzwanie.

- Pani pozwoli, że o coś zapytam, panno Webber - powiedział. - Ile pani ma lat?

Zmarszczyła brwi.

- A co to ma do rzeczy?

- Zadałem grzeczne pytanie, panno Webber, i oczekuję grzecznej odpowiedzi.

Potrząsnęła głową.

- Dwadzieścia sześć, szeryfie.

- A czym się pani zajmuje w Augusta Falls?

Alex odchrząknęła.

- Jestem nauczycielką - wymamrotała.

- Dobrze słyszałem? Powiedziała pani, że jest nauczycielką?

Skinęła głową.

- Jest pani nauczycielką w Augusta Falls? - zapytał Fermor ze zdumieniem.

- Tak. Jestem nauczycielką w Augusta Falls.

Skinął na mnie głową.

- A ten młody człowiek tutaj... ten młody człowiek jest jednym z pani uczniów?

Roześmiała się nerwowo.

- Nie, proszę pana, nie jest moim uczniem.

Fermor poprawił kapelusz na głowie.

- Dzięki niech będą Najwyższemu za ten mały akt łaski, panno Webber, ponieważ gdyby był, stanowiłoby to zaiste skandaliczne pogwałcenie prawa.

- Nie ma takiego prawa, które by mówiło, że osiemnastoletni...

Fermor uśmiechnął się i zrobił kolejny krok do przodu.

- To ja jestem tutaj prawem, panno Webber, i jeśli ktoś będzie tu cytował jakieś przepisy, to tylko ja. Prawda jest taka, że zdenerwowaliście mnie straszliwie swoimi figlami z tyłu furgonetki i zamierzam zatrzymać was pod wszystko jedno jakim zarzutem, żeby wam dać nauczkę. Może następnym razem, kiedy będziecie przejeżdżać przez hrabstwo Clinch, nie przyjdzie wam już do głowy, żeby zatrzymywać się na poboczu MOJEJ drogi i robić tam rzeczy, które wypada robić jedynie za zamkniętymi drzwiami sypialni, i to po zmroku.

- Na miłość boską... - zaczęła Alex.

- Na miłość boską, panno Webber? Chodzi pani do kościoła w Augusta Falls? Odpowiada pani za moralną i religijną edukację uczniów w tej pani szkole? Powiedziałbym, że odpowiada, jeśli ta szkoła jest podobna do naszej. - Fermor potrząsnął głową. - Na pani miejscu nie wzywałbym imienia Pana Boga nadaremno, biorąc pod uwagę to, na czym was

przyłapałem tego pięknego ranka. Chciałbym prosić, żebyście poprawili ubrania i włożyli buty, a potem stanęli obok mojego samochodu i poczekali, aż wam założę kajdanki.

- Kajdanki? - powtórzyłem z niedowierzaniem, dopiero teraz zaczynając się poważnie martwić.

- A tak, panie Vaughan, kajdanki. To właśnie zamierzam zrobić: założyć wam kajdanki, a jeśli nie będziecie współpracować, to tak jak już mówiłem, wezwę swoich ludzi i dopiero wtedy naprawdę się zabawimy.

Ręka, która spoczywała na rewolwerze, przesunęła się o kilka centymetrów. Spojrzałem na Alex. Oczy miała szeroko otwarte, pełne łez. Wyglądała jak wystraszone dziecko.

Współpracowaliśmy. Włożyliśmy buty i poprawiliśmy ubrania. Wsiadliśmy do samochodu Fermora. Przykuł moją lewą rękę do prawej ręki Alex, a potem moją prawą dłoń do pręta nad drzwiami.

Ani ja, ani Alex nie powiedzieliśmy ani słowa przez całą drogę. Gdy ruszyliśmy, spojrzałem do tyłu na furgonetkę Reilly'ego Hawkinsa stojącą na poboczu. Zastanawiałem się, czy wciąż jeszcze tam będzie stała, kiedy wrócimy.

Biuro szeryfa hrabstwa Clinch mieściło się w budynku bez wyrazu, stojącym przy ulicy na peryferiach Homerville. Wyglądał on jak pudło, które ktoś wyrzucił po drodze do miasta, a potem doszedł do wniosku, że jest niewarte tego, by po nie wrócić. I tak już zostało.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, każde z nas w oddzielnej celi, ale widząc siebie przez wąski korytarzyk, zacząłem myśleć, że chyba to wydarzenie było najjaśniejszym momentem tygodnia pracy szeryfa Fermora. Przy końcu korytarza stał zastępca szeryfa, który wyglądał na niewiele starszego ode mnie. Z zaciśniętymi ustami i poważnym wyglądem sprawiał wrażenie kogoś przytłoczonego powagą swojego urzędu. Poinformował nas, że nie wolno nam rozmawiać. Spojrzałem zza krat na Alex. Siedziała na pryczy, opierając się plecami o ścianę, z uniesionymi kolanami. Oparła na nich brodę i za każdym razem, gdy na mnie patrzyła, miała oczy szeroko otwarte i wyglądała na zdezorientowaną. Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się. Wszystko będzie w porządku, usiłowałem jej powiedzieć. Nic wielkiego się nie stało, nie poniesiemy żadnych konsekwencji... I nie, wcale cię nie obwiniam.

Uśmiechnęła się do mnie blado, a potem zamknęła oczy i opuściła głowę. Wydawało mi się, że zasnęła.

Jakąś godzinę później zaczęło się zamieszanie. Drzwi na końcu korytarza otworzyły się szeroko i stanął w nich Fermor.

- Wyprowadź stąd tych zbrojeńców - powiedział. - Mamy teraz na głowie coś - o

wiele ważniejszego.

Zastępca szeryfa wyglądał na zdezorientowanego.

- No już! - zagrział Fermor.

Chłopak podbiegł do nas. Klucze brzęczały na jego pasku. Po chwili zaczął walczyć z drzwiami celi.

Alex wyprostowała się.

- Co się...

- Wychodzimy - powiedziałem i podszedłem do drzwi swojej celi. Odruchowo chwyciłem się krat.

Fermor stanął przy zastępcy szeryfa.

- Jesteś Joseph Vaughan z Augusta Falls - stwierdził donośnym głosem.

Skinąłem głową. Poczulem napięcie, moje palce zacisnęły się na kratkach tak mocno, że zbiały.

- To ty znalazłeś ciało małej Perlmanówny w sierpniu 1942.

Ponownie kiwnąłem głową.

- Tak, to ja.

- Cóż, synu, mamy tu następną - we Fleming, w hrabstwie Liberty. Jadę tam z zastępcą szeryfa Edgewoodem, więc nie mam teraz czasu na zajmowanie się wami.

Poczulem, że moje oczy otwierają się szeroko. Krew odeszła mi z twarzy. Moje serce przegapiło kilka kolejnych uderzeń; nogi miałem jak z waty. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, co takiego powiedział.

Następna dziewczynka. Trzy lata po Virginii Grace Perlman kolejna dziewczynka została zabita.

- Jest pan pewien... pewien, że... - wyjąkałem.

- Nie jestem jeszcze niczego pewien - przerwał mi Fermor. Odchrząknął i wsunął kciuki za pasek spodni. - Zanim was stąd wyrzucę, chciałem wam powiedzieć jedno. Nie myślcie sobie, że możecie bezkarnie przyjeżdżać do mojego hrabstwa, żeby dopuszczać się występków. Sprawdziłem to. Wszystko, co robiliście, było występkiem, to dla mnie jasne. Obnażanie się w miejscu publicznym i oddawanie się obscenicznym i lubieżnym praktykom. A fakt, że jest pani nauczycielką, panno Webber... - Przerwał dla efektu, a potem przeszył Alex stalowym i pełnym dezaprobaty wzrokiem. - Fakt, że odpowiada pani za moralność młodych mieszkańców Augusta Falls, to... Cóż, nie chcę użyć słów, które cisną mi się na usta. Ma pani szczęście, że jestem dobrze wychowany...

Głos Fermora stał się niewyraźnym mamrotaniem w moich uszach. Patrzyłem na jego

poruszające się usta, zmieniający się wyraz twarzy i nic dla mnie to nie znaczyło. Widziałem tylko białe podeszwy butów Virginii na szczycie wzniesienia.

- Mam nadzieję, że to wszystko, co się tutaj wydarzyło, będzie dla was nauką. Wasze szczęście, że to na mnie trafiliście, a nie na kogoś bardziej surowego. Nie zatrzymam was na dłużej jedynie z powodu tej potworności, która zdarzyła się w hrabstwie Liberty. Muszę pojechać tam, żeby pomóc szeryfowi Landisowi. - Fermor skinął głową, a potem odwrócił się do swojego zastępcy. - Zastępca szeryfa Edgewood zawiezie was z powrotem do waszego pojazdu. Prosiłbym, żebyście pojechali prosto do Community Hospital w Waycross i zrobili to, co mieliście zrobić. To wszystko, co mam do powiedzenia, ale będę się modlił za was w najbliższą niedzielę, jak to mam w zwyczaju w podobnych sprawach. Życzę wam jak najlepiej, ale nie będzie mi żal, jeśli wyjedziecie z mojego hrabstwa.

Raz jeszcze skinął głową, po czym zwrócił się do Edgewooda:

- Weź drugi samochód, zawieź tych ludzi do ich furgonetki, a potem przyjedź do Fleming.

- Tak jest - odparł Edgewood i odprowadził wzrokiem swojego przełożonego, który ruszył w kierunku frontu budynku. Kilka chwil później usłyszeliśmy odgłos włączanego silnika samochodu.

Zastępca szeryfa Edgewood stał przez chwilę nieruchomo, zdenerwowany, może nie będąc pewien, co robić dalej, a potem ruszył przed siebie i uniósł klucz, którym chciał otworzyć drzwi mojej celi.

- Panie mają pierwszeństwo - zauważyłem.

Zawahał się, popatrzył na mnie, obejrzał się na Alex, a potem powiedział:

- Tak, oczywiście. Panie. Tak... Przepraszam.

Alex wyszła z celi i czekała cierpliwie, gdy Edgewood szukał klucza do mojej celi w wielkim pęku. W końcu znalazł właściwy, otworzył drzwi i Gofnął się, robiąc mi miejsce na korytarzu.

Potem kazał nam wyjść przed budynek i zaczekać na niego. Wziąłem Alex za rękę, a kiedy wyszliśmy z wąskiego korytarzyka, objąłem ją i ścisnąłem mocno.

- Mamy fart - wyszeptalem, ale tak naprawdę chciałem powiedzieć: „kolejną dziewczynę... znaleźli kolejną dziewczynę”.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Powieki miała rozmazane od proszku antymonowego, była blada. Ledwo skinęła głową, nic nie mówiąc. Kiedy czekaliśmy na Edgewooda, przytuliłem ją do siebie ze wszystkich sił.

Jechaliśmy w milczeniu. Wątpię, żeby Edgewood wiedział, jak zareagować, gdybym



do niego zaczął mówić, ale byłem niezdolny do wykrztuszenia choćby słowa. Czułem się tak, jakby ostatnie trzy lata opadły na mnie jak cień, czułem walenie serca w piersi, czułem obecność czegoś, o czym tak bardzo starałem się zapomnieć.

Edgewood podrzucił nas do furgonetki, zawrócił i dojechał do skrzyżowania, na którym skręcił w kierunku hrabstwa Liberty.

- Chcę tam jechać - powiedziałem do Alex.

- Dokąd?

- Do Fleming.

Spochmurniała.

- Dlaczego? Dlaczego chcesz tam jechać?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem... Do diabła, nie wiem, po prostu czuję, że muszę tam być.

- I co tam zobaczysz? Kolejną dziewczynę, która została zamordowana?

Staliśmy po dwóch stronach furgonetki, patrząc na siebie ponad dachem. Wlepiłem wzrok w ziemię, w swoje buty, a kiedy go uniosłem, uświadomiłem sobie, że nie potrafię wytłumaczyć tego, co czuję.

Znalazłem Virginie Perlman. Złożyłem przyrzeczenie Elenie Kruger, przyrzeczenie, że nie pozwolę jej skrzywdzić, ale nie udało się. Stałem i patrzyłem, jak bezpodstawny gniew został skierowany przeciwko Guntherowi Krugerowi i jego rodzinie, i jak pośrednio spowodowało to nie tylko śmierć jego córki, ale również utratę przez mnie takiej matki, jaką znałem. To mnie przyciągało, to wszystko, co czułem, ale wiedziałem, że nie ma mowy, żeby Alex to rozumiała. Pomyślałem o Strażnikach, o tym, gdzie teraz są, co robią, i po raz kolejny zrozumiałem, że to, co staraliśmy się osiągnąć, było zwykłą dziecinadą.

- Naprawdę chcesz tam jechać? - zapytała.

Skinąłem głową. Ani chwili się nie wahałem.

- A twoja matka? Kiedy zamierzasz się z nią zobaczyć?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, może w drodze powrotnej... Ale jeśli nie chcesz jechać ze mną, mogę zawieźć cię do domu.

Potrząsnęła głową.

- Chcę odwiedzić twoją matkę - powiedziała cicho. - Ale nie chcę jechać do Fleming.

- Ja chcę... muszę tam jechać... nie pytaj dlaczego, na miłość boską, sam nie wiem, ale jest w tym coś, co po prostu... po prostu...

- Jeśli pojedziesz, pojedziesz tam sam - stwierdziła. - Jeśli naprawdę musisz to zrobić,

to tylko w ten sposób... Nie chcę być w to zamieszana. Nie chcę stać się częścią tego okropieństwa.

- Rozumiem - powiedziałem. - Zawiozę cię do domu.

- Do Fleming.

Spochmurniała.

- Dlaczego? Dlaczego chcesz tam jechać?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem... Do diabła, nie wiem, po prostu czuję, że muszę tam być.

- I co tam zobaczysz? Kolejną dziewczynę, która została zamordowana?

Staliśmy po dwóch stronach furgonetki, patrząc na siebie ponad dachem. Wlepiłem wzrok w ziemię, w swoje buty, a kiedy go uniosłem, uświadomiłem sobie, że nie potrafię wytłumaczyć tego, co czuję.

Znalazłem Virginię Perlman. Złożyłem przyrzeczenie Elenie Kruger, przyrzeczenie, że nie pozwolę jej skrzywdzić, ale nie udało się. Stałem i patrzyłem, jak bezpodstawny gniew został skierowany przeciwko Guntherowi Krugerowi i jego rodzinie, i jak pośrednio spowodowało to nie tylko śmierć jego córki, ale również utratę - przeze mnie takiej matki, jaką znałem. To mnie przyciągało, to wszystko, co czułem, ale wiedziałem, że nie ma mowy, żeby Alex to zrozumiała. Pomyślałem o Strażnikach, o tym, gdzie teraz są, co robią, i po raz kolejny zrozumiałem, że to, co staraliśmy się osiągnąć, było zwykłą dziecinadą.

- Naprawdę chcesz tam jechać? - zapytała.

Skinąłem głową. Ani chwili się nie wahałem.

- A twoja matka? Kiedy zamierzasz się z nią zobaczyć?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, może w drodze powrotnej... Ale jeśli nie chcesz jechać ze mną, mogę zawieźć cię do domu.

Potrząsnęła głową.

- Chcę odwiedzić twoją matkę - powiedziała cicho. - Ale nie chcę jechać do Fleming.

- Ja chcę... muszę tam jechać... nie pytaj dlaczego, na miłość boską, sam nie wiem, ale jest w tym coś, co po prostu... po prostu...

- Jeśli pojedziesz, pojedziesz tam sam - stwierdziła. - Jeśli naprawdę musisz to zrobić, to tylko w ten sposób... Nie chcę być w to zamieszana. Nie chcę stać się częścią tego okropieństwa.

- Rozumiem - powiedziałem. - Zawiozę cię do domu.

Podróż do Fleming zajęła mi dwie godziny. Pojechałem na północny wschód, przez

Hickox, Nahunta, wzdłuż granicy hrabstwa GlynnBrantley do Everett, a potem skierowałem się na północ przez hrabstwo Long do Liberty. Dojechałem na miejsce późnym popołudniem, pochmurnym i przytłaczającym. Na peryferiach Fleming nie zauważyłem ani śladu obecności policji, ale trzysta metrów dalej zobaczyłem radiowozy z hrabstw Charlton, Clinch, Camden i samego Liberty; kolejny samochód miał na drzwiach herb hrabstwa Tattnall. Zatrzymałem furgonetkę po lewej stronie i odczekałem kilka minut. Towarzyszyło mi frapujące uczucie, że wiem, co się stało, wiem, kto to zrobił, że jest to związane z tą samą osobą, która odpowiada za wcześniejsze śmierci. Po prawej stronie jezdni wznosił się wał, za którym był wyższy grzbiet, biegnący w górę do krzewów i niskich drzew. Drewniane kozły zostały ustawione w odległości dziesięciu metrów od siebie, pomiędzy nimi wisiała lina; po drugiej stronie, wśród drzew widać było jakiś ruch. Wsiadłem z samochodu i ruszyłem na prawo, minąłem linę i dotarłem do drzew rosnących jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Żałowałem, że nie ma ze mną Strażników: Maurice'a, Michaela, Ronniego, nawet Hansa.

W odległości dwudziestu metrów od siebie widziałem szeryfów Burnetta Fermora i Haynesa Dearinga. Towarzyszący im trzeci mężczyzna był, jak zakładałem, szeryfem hrabstwa Liberty. Był tam również Edgewood, trzymając się nieco z tyłu. Stał sztywno i wyglądał, jakby miał problemy z poradzeniem sobie z tym, co widział. Szedłem dalej, wolniej jednak, i chociaż wiedziałem, że mogę mieć kłopoty, chociaż wiedziałem, że Fermor i Dearing dobiorą mi się do skóry, nie mogłem się powstrzymać.

Pierwsze pojawiło się zmieszanie. Kilka dobrych chwil zajęło Fermorowi i Dearingowi zobaczenie mnie, zdanie sobie sprawy z tego, kim jestem, i zapytanie, co ja tu, u licha, robię, czy przyjechałem za Edgewodem, czy Edgewood mnie tu zabrał. I gdzie jest ta dziewczyna, i co ja sobie, do diabła, wyobrażam, przychodząc na miejsce zbrodni... Jezu Chryste, co to, u licha, jest? W ciągu tych kilku chwil usiłowałem zrozumieć, co widziałem przed sobą. Nie wiem nawet, czy udało mi się zestawić to, co miałem przed oczami, z galopującymi myślami i pytaniami, które nastąpiły, zanim Edgewood i Dearing stanęli przy mnie.

Dziewczynka była przepołowiona, a każda jej część zakopana w płytkim dole, nie więcej niż kilka metrów od siebie. Górna część jej ciała wystawała z ziemi, środkowa była w niej zanurzona, dolna leżała w pewnej odległości. To nie był obraz, który pasował do czegokolwiek. To było złudzenie, sztuczka, urojenie.

Raz jeszcze poczułem, że krew odpływa mi z twarzy, rąk, nóg. Poczułem, że wszystko we mnie się zaciska, zupełnie jakby próbowało odwrócić się od tego straszliwego widoku. Poczułem, że nogi się pode mną uginają, i przez chwilę nic nie słyszałem, mimo że szeryf

Dearing wyszczeniwał jedno pytanie za drugim.

-...robiąc coś takiego, a teraz jesteście tutaj...

-...co dokładnie się dzieje i lepiej znajdź jakieś wiarygodne odpowiedzi...

-...pewien rodzaj...

Przyłożyłem dłonie do uszu i upadłem na kolana. To wtedy poczułem kajdanki na swoich nadgarstkach - po raz drugi tego samego dnia. Cięć ogarnął całe moje serce. Spojrzałem do góry na nich, na nich wszystkich - Edgewooda, Dearinga, Fermora, Landisa z hrabstwa Liberty - i otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć.

- Nie waż mi się pisać ani słówka! - warknął na mnie Fermor. - Nie wiem, co tu się, do diabła, dzieje, chłopcze! Gdzie ta dziewczyna? Gdzie jest dziewczyna, która była z tobą? Coś z nią zrobił?

Nie mogłem mówić.

Dearing chwycił łańcuszek od kajdanek i podciągnął mnie na nogi. Ból w nadgarstkach i przedramionach był nie do wytrzymania. Miałem problemy z oddychaniem, a kiedy odwrócił się i zaczął mnie ciągnąć w kierunku szosy, znów poczułem, że nogi uginają się pod mną.

Wrzucili mnie na tył wozu szeryfa Landisa. Landis i Fermor zostali na miejscu zbrodni, Edgewood usiadł za kierownicą, a szeryf Haynes Dearing z hrabstwa Charlton, człowiek, którego znałem od urodzenia, zajął miejsce z tyłu, obok mnie i polecił Edgewoodowi, żeby jechał do biura szeryfa hrabstwa Liberty.

- Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, chłopcze - powiedział, a jego głos był ostry, oskarżycielski - ale musisz mi udzielić cholernie dobrych odpowiedzi.

Zacząłem coś mówić.

- Ani słowa - wysyczał. - Ani jednego cholernego słowa, chłopcze. Masz już wystarczająco dużo kłopotów. Mówiąc mi coś teraz, tylko pogorszysz swoją sytuację.

W głowie miałem pustkę. Myślałem o Alex, o mojej matce. Odwróciłem się i spojrzałem za szybę. Chmury burzowe zbierały się na horyzoncie. Zanosilo się na deszcz.

Eleno.

Słodka, cicha, stracona dziewczynko.

Myślę o kobiecie, którą byś się stała. Zastanawiam się, czy jest gdzieś miejsce, gdzie zbierają się wszystkie gwałtownie przerwane życia. Jakiś inny wymiar, inny świat biegnący równolegle do naszego, świat, w którym znajdziemy umarłych, dożywających swoich niekompletnych żyć.

Wspominam czasy, kiedy starałem się ze wszystkich sił zrozumieć, jakim

człowiekiem trzeba być, by zabić tyle dzieci.

Są różne grzechy. Wyimaginowane grzechy mojej matki - straszliwe, nawet mordercze, i moje grzechy - grzechy zrodzone ze strachu, strachu tak dużego, że kazał mi wierzyć, iż to, co robiłem, zostanie usprawiedliwione. Jednak Twoje grzechy były inne. Zupełnie inne. Nasze grzechy zostały popełnione z powodu naszego poczucia prawości, sprawiedliwości, potrzeby zakończenia tej sprawy.

Ale Twoje...

Nawet teraz nie potrafię zrozumieć, w jakim umyśle mogły się zrodzić takie potworności.

Przypominam sobie twarz szeryfa Dearinga, kiedy odjeżdżaliśmy z miejsca, gdzie się to wydarzyło. To, w jaki sposób na mnie patrzył, to w jaki sposób odwrócił się i spojrzał przez ramię.

Być może wiedział już wtedy.

Być może wiedzieliśmy obydwaj.

Tego dnia w Liberty, w hrabstwie Fleming, uwierzyli, że mogą być winny... Pamiętam to tak wyraźnie, jakby stało się wczoraj. Myślałem, że Virginia Grace jest ostatnią ofiarą. Jednak nie, było ich więcej, nie tylko ta jedna, znaleziona w Liberty.

Pamiętam, jak siedziałem naprzeciwko Dearinga, człowieka, który towarzyszył mi od dzieciństwa, pamiętam zmarszczki wokół jego oczu, poczucie klęski, cień na jego ramionach i ton jego głosu, kiedy mówił...

### XIII

- Esther Keppler.

- Kto?

- Esther Keppler - powtórzył szeryf Dearing.

Siedziałem naprzeciwko niego. Było późno. Nie miałem pojęcia, jak bardzo, ale sądząc z chłodu, jaki czułem, musiało być po zachodzie słońca. Z miejsca, w którym siedziałem, nie widziałem okien w małym biurze szeryfa hrabstwa Liberty. Byłem tu jakieś dwie, może trzy godziny. Przez większość czasu byłem sam, zastanawiając się, co tutaj robię, do diabła. Zapytałem o jedną rzecz, a Dearing odpowiedział:

- Mam dokładnie to samo pytanie do ciebie, Josephie, dokładnie to samo.

Następnie potrząsnął głową i wyszedł z pokoju, nie wymagając ode mnie odpowiedzi. Ulżyło mi, ponieważ jej nie znałem.

Zapytałem, jak długo tutaj będę; powiedziałem, że jestem głodny.

- Nie wiem, jak długo - odrzekł - pewnie jeszcze jakiś czas... Wyślę kogoś, żeby kupił ci coś do jedzenia.

Godzinę później zastępca szeryfa Edgewood wszedł do pokoju z tacą, na której zobaczyłem kanapki i butelkę coli.

- Możesz mi powiedzieć, co tu się dzieje, do jasnej cholery? - zapytałem go. Nie mógł być dużo starszy ode mnie; liczyłem na to, że mi pomoże.

Edgewood potrząsnął głową.

- Nie - odparł beznamiętnym głosem. - Nie mogę nic powiedzieć.

Odwrócił się do drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą. Rozległ się szcęk klucza w zamku.

Zjadłem kanapki. Wypiłem colę. Po jakimś czasie poczułem, że muszę skorzystać z toalety. Doszedłem do drzwi i uderzyłem w nie pięścią.

- Ej! - krzyknąłem. - Jest tam kto?

Nic nie usłyszałem - ani odpowiedzi, ani żadnego dźwięku. Walnąłem pięścią raz jeszcze, tym razem głośniejsze, i wystraszyłem się, kiedy usłyszałem walenie po drugiej stronie.

- Zamknąć się tam! - rozległ się głos jasny jak światło dnia.

- Muszę skorzystać z łazienki!

- Cóż, musisz, cholera, poczekać!

- Nie możecie mi tego robić! Nic nie zrobiłem! Mam prawa...

- Prawa? Niby jakie? Podaj choć jedno! - rozległ się znów głos, a potem zapadła cisza.

Jeszcze raz walnąłem pięścią w drzwi. Cisza.

Wróciłem na drewniane krzesło.

Minęło pół godziny, może nieco dłużej, i do pokoju wszedł Dearing. Podał mi nazwisko dziewczynki, którą znaleźli.

- Nie znam nikogo o takim nazwisku - powiedziałem. - Była stąd?

Haynes Dearing wysunął krzesło spod stołu i usiadł.

- Tak, z Fleming. Miała dziewięć lat.

- Została zamordowana tak jak... tak jak pozostałe?

Skinął głową.

- Na to wygląda... A poza tym po tej, którą znalazłeś w Augusta Falls, były jeszcze dwie.

- Jeszcze dwie?

- Tak, jeszcze dwie... W sumie osiem.

Mój umysł przestał pracować. Poczułem dreszcze. Włosy stanęły mi dęba. W ustach mi zaschło, czułem w nich gorzki smak. W końcu odzyskałem głos i powiedziałem:

- Dziewięć, szeryfie... W sumie jest ich dziewięć.

Dearing zmarszczył brwi.

- Dziewięć?

- Elena Kruger... Pamięta pan?

- Pewnie, że pamiętam, ale ona nie została zabita przez tę osobę. Zginęła w pożarze.

- Nie przez tę osobę - przyznałem - ale należy tę śmierć doliczyć do reszty, bo pośrednio wynikała z tych morderstw.

- Mniejsza o to - powiedział Dearing. - Mam osiem zabójstw, wszystkimi ofiarami były małe dziewczynki, ostatnia została zabita wczoraj. Przecięto ją na pół i każdą część zakopano. - Przerwał i spojrzał na mnie. - Czy to prawda, że dzisiaj rano... że Burnett Fermor nakrył ciebie i Alexandrę Webber robiących to, co robiliście, na pace furgonetki?

Skinąłem głową.

- Jezu, co to ma być? A tak w ogóle to czyja ta furgonetka? Bo na pewno nie twoja.

- Reilly'ego.

- Reilly'ego Hawkinsa?

- Tak.

- I co tam robiliście, Josephie? Dokąd jechaliście?

- Odwiedzić moją mamę w Waycross Community.

- I po co się zatrzymaliście, co? W życiu bym czegoś takiego po tobie się nie

spodziewał, nie mówiąc już o panie Webber. Ona jest nauczycielką, wiesz?

Uśmiechnąłem się.

- Wiem, szeryfie, wiem, że jest nauczycielką.

- I od jak dawna trwa ten... związek?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, chyba jakieś pół roku.

- Pół roku?

- Tak, około pół roku.

- A ile masz lat?

- Osiemnaście.

- A panna Webber?

- Dwadzieścia sześć, w lutym kończy dwadzieścia siedem.

Dearing pokiwał wolno głową.

- Kończy dwadzieścia siedem w lutym... no dobrze.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Byłem świadom nacisku na pęcherz. Wciąż jeszcze nie skorzystałem z łazienki. Wydawało mi się, że koncentruję się na tym, żeby jak najmniej myśleć o tym, co powiedział mi Dearing. Jeszcze dwie dziewczynki. W sumie osiem. Chciałem go zapytać, kim były, co ten bydlak im zrobił, dlaczego tę informację trzymano w tajemnicy. Chciałem wiedzieć, dlaczego Dearing nic z tym nie zrobił, zresztą nie tylko on, ale w ogóle połączone biura szeryfów z kilku hrabstw.

- Nie wierzę w to, że specjalnie dałeś się złapać - powiedział Dearing - ale fakt, że zostałeś aresztowany, daje ci bardzo solidne alibi, prawda?

Zmarszczyłem brwi i potrząsnąłem głową.

- Co ma pan na myśli, mówiąc alibi?

- To, że siedziałeś w policyjnej celi w czasie, kiedy ona została zabita, a więc nie mogłeś tego zrobić...

- Ja miałbym to zrobić? Co to, na rany Chrystusa, ma znaczyć?

Dearing uniósł rękę, uciszając mnie.

- Masz w ogóle pojęcie, jak to wygląda w oczach kogoś, kto cię nie zna? Chodzi mi o to, że... na miłość boską, Joseph... - Głos mu się załamał. Pokręcił głową, siedział w milczeniu przez kilka chwil, po czym dodał: - Opowiedz mi jeszcze o tym związku. To zaczęło się pół roku temu, tak? Na pewno nie wcześniej?

- Wcześniej? Chodzi panu o to, czy panna Webber nie dopuściła się gwałtu na osobie nieletniej?



Dearing wyglądał na lekko zaskoczonego.

- Czy o to panu chodzi, szeryfie? Jeśli to właśnie pan ma na myśli, niech pan, do diabła, zapyta wprost. To nie jest takie trudne. Dostanie pan prostą odpowiedź, gwarantuję.

Dearing odchrząknął.

- No dobrze, niech będzie. Czy łączyła cię z nią relacja natury seksualnej, zanim w świetle prawa byłeś na tyle dorosły, żeby podjąć świadomą decyzję o współżyciu?

- Nie.

- Nie?

- Zgadza się - odparłem. - Nie, nie wciągnęła mnie w nic takiego. Panna Webber i ja znaleźliśmy się od wielu lat...

- Jesteś jednym z jej uczniów, prawda?

- BYŁEM jednym z jej uczniów, szeryfie. Przyjaźniliśmy się po tym, gdy skończyłem szkołę. Pozostaliśmy przyjaciółmi. Teraz jesteśmy ze sobą i jechaliśmy zobaczyć się z moją matką w Waycross tego ranka, kiedy...

Dearing uniósł rękę.

- Wiem wystarczająco dużo o tym, co się tam wydarzyło. Oszczędź mi dalszych szczegółów.

- Dobrze... Czy teraz mogę skorzystać z łazienki?

- Jeszcze chwileczkę, synu, jeszcze chwileczkę. Najpierw chcę cię zapytać, co takiego robiłeś we Fleming w czasie, gdy została zamordowana kolejna dziewczynka.

Popatrzyłem na Dearinga. Jego pytanie nagle sprowadziło mnie na ziemię. Rozmawiając o Alex i wyjaśniając swoją sytuację, prawie zapomniałem, gdzie jestem. I nagle to - pytanie o powód mojej obecności we Fleming. Kolejna dziewczyna została zamordowana. A przed nią jeszcze dwie.

- Mówił pan, że jeszcze dwie dziewczynki zostały zabite, tak?

Dearing skinął głową.

- Na to wygląda. Jedna w Meridan, we wrześniu 1943 roku, druga w Offerman, w hrabstwie Pierce, w lutym tego roku... O tych na razie wiemy.

- Więc ten, kto zamordował dziewczynki w Charlton i Camden, wyjechał po pożarze domu Krugera...

- Nie doszliśmy do żadnych wniosków, Josephie. Nie mamy pewności, czy wszystkich tych morderstw dokonał ten sam człowiek.

- Ale to, w jaki sposób te dziewczynki znikają, to, w jakim stanie są znajdowane... Czy to nie wystarczy?

Dearing potrząsnął głową.

- Nie mogę nic powiedzieć... Zresztą, nie powiedziałbym nawet, gdybym mógł. Faktem bezspornym jest, że została zamordowana kolejna dziewczynka, i chcemy się dowiedzieć, co tutaj robiłeś, Josephie. Mieszkasz w Augusta Falls, twoja mama leży w Community Hospital w Waycross, a mimo to przejechałeś taki szmat drogi do Fleming, bo usłyszałeś, że została zamordowana jakaś dziewczynka. Powiedz mi, czy to ma jakiś sens? Znajdujesz się pod moją jurysdykcją. Jesteś jednym z moich ludzi. Znam cię, znam twoją mamę od nie wiem ilu lat... Powiedz mi coś, co będzie miało dla mnie sens.

Siedziałem w milczeniu przez kilka chwil.

- Joseph?

Popatrzyłem na Haynesa Dearinga. Potrząsnąłem głową.

- Nie umiem panu tego powiedzieć, szeryfie.

Skinął głową.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- O tej dziewczynce?

- Tak, o tej dziewczynce... O tym, co stało się tutaj, we Fleming.

- Szeryf Fermor nam powiedział... Przyszedł, żeby zastępca szeryfa Edgewood wypuścił mnie i Alex, bo musi jechać do Fleming.

- Więc podsłuchałeś, jak mówił o tym swojemu zastępcy?

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

- Nie powiem, żebym musiał podsłuchiwać. Nie czynił z tego tajemnicy.

- No dobrze - powiedział Dearing w zamyśleniu. Spojrzał w kierunku drzwi, zupełnie jakby przyszła mu do głowy myśl, która sprawiła, że wołał nie patrzeć na mnie.

- Co takiego?

Potrząsnął głową.

- No co? - nalegałem. - O czym pan myśli?

- Myślę o wszystkich tych zbiegach okoliczności, Josephie... Cztery z tych dziewczynek pochodziły z Augusta Falls...

- Trzy -"sprostowałem. - Trzy z Augusta Falls. Alice Ruth Van Home, Catherine McRae i Virginia Perlman.

- A także Ellen May Levine.

Potrząsnąłem głową.

- Ellen May była z Fargo w hrabstwie Clinch. Została znaleziona w Augusta Falls, ale stamtąd nie pochodziła.

- Wygląda na to, że wiesz o tym więcej ode mnie, Josephie.

Roześmiałem się i w następnej chwili uświadomiłem sobie, że dźwięk, jaki wydałem, musiał brzmieć bardzo nerwowo. Nie było to zamierzone.

- To moje rodzinne miasto - powiedziałem. - To wszystko mną głęboko wstrząsnęło, szeryfie, zwłaszcza po tym, gdy znalazłem ciało Virginii.

- No tak, oczywiście, że tak - przyznał Dearing. - Zapomniałem, że to ty je znalazłeś.

- Nieprawda, wcale pan nie zapomniał - stwierdziłem. - O co tu chodzi, do diabła? Co tu się dzieje, szeryfie? Uważa pan, że mam coś wspólnego z tymi morderstwami?

Dearing uśmiechnął się. Był to szczerzy uśmiech. Wydawał się wzorem ojcowskiej władzy, tak jak w czasach mojego odległego i dziwnego dzieciństwa.

- Akurat ja tak nie uważam, Josephie. Jeśli już, to sam wywołałeś tę sytuację.

- Jaką sytuację? O czym pan mówi?

Dearing odchylił się na krześle i skrzyżował ramiona na swoim okazałym brzuchu.

- Masz włosy prawie do ramion. Nosisz brodę, cholerną brodę. Zostałeś aresztowany za zabawianie się z dwudziestosześcioletnią nauczycielką z tyłu furgonetki należącej do Reilly'ego Hawkinsa. Mieszkasz w tym samym mieście co trzy ofiary mordercy, a znaleziono tam też czwartą. Mieszkałeś naprzeciwko Krugerów, a tak się składa, że po tym pożarze wszyscy zaczęli myśleć, że może Gunther Kruger miał z tym wszystkim coś wspólnego. A jeszcze... do diabła, Josephie, jeszcze ta sprawa między twoją matką i Guntherem Krugerem..." Większości mieszkańców naszego miasta bardzo trudno to zignorować... A do tego, ledwo tylko wyjechał z Augusta Falls, twoja matka wylądowała w Waycross Community. I teraz wszyscy myślą, że może coś wiedziała, coś na tyle ważnego, że poczuła się bardzo źle i to pomieszało jej w głowie, i dlatego znajduje się pod opieką tych lekarzy...

- Wszyscy? - powtórzyłem, przerywając szeryfowi Dearingowi jego niezręczny monolog. - Tak właśnie WSZYSCY myślą? - Przypomniałem sobie o jego odwiedzinach u niej, o tym, że mi nigdy o nich nie powiedział i nie wyglądało na to, że powie teraz.

Dearing roześmiał się.

- Tak się mówi, Josephie. Wiesz, co mam na myśli.

- Naprawdę? Jest pan pewien, szeryfie?

- No dobrze, wystarczy już... Nie chciałem konfrontacji. Chodzi o jednego zaniepokojonego funkcjonariusza policji, który prowadzi to dochodzenie.

- Dochodzenie? Przeciwko komu? Mnie? Czy byłem zamieszany w któreś z tych morderstw? Czy może raczej to dochodzenie dotyczy mojej matki i tego, dlaczego oszalała? Do cholery, szeryfie, może to ona zabijała te dziewczynki. Co pan o tym sądzi? Co pan powie

na ten trop?

Szeryf Dearing uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Jesteś zmęczony, Josephie. To był długi dzień. Powiem komuś, żeby cię odwiózł do twojej furgonetki. Jeszcze dzisiaj będziesz w domu. - Pochylił się do przodu. - Mogę ci zaufać. Znam cię wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że to niemożliwe, żebyś miał coś wspólnego z tymi morderstwami, ale Burnett Fermor i inni... Do diabła, oni nie znają cię od urodzenia. Chcą cię tutaj zatrzymać. Mimo że ta dziewczynka zginęła w czasie, kiedy byłeś w areszcie, Burnett Fermor wciąż nie chce cię puścić. Twoje alibi jest dosyć wątpliwe, tak powiedział. Powiedział, że koroner mógł się pomylić, że godzina zgonu mogła być inna. Chce zadać ci kilka pytań, ustalić, czy masz alibi w przypadku innych dziewczynek.

Byłem przerażony, zszokowany, że komuś w ogóle mogło coś takiego przyjść do głowy. Chciałem już coś powiedzieć, ale Dearing uniósł rękę.

- Weźmiesz furgonetkę Reilly'ego Hawkinsa i pojedziesz prosto do Augusta Falls. Nigdzie indziej, tylko do domu. Bądź tam, kiedy przyjadę do ciebie jutro albo pojutrze.

- A dokąd, do licha ciężkiego, miałbym jechać, szeryfie... Ach, no tak, do jakiegoś innego miasta, gdzie również zamordowano małą dziewczynkę, tak?

Dearing kiwał cierpliwie głową.

- Puszczę tę uwagę mimo uszu, Josephie. - Odsunął krzesło i wstał. - Powiem zastępcy szeryfa Edgewoodowi, żeby zawiózł cię do twojej furgonetki. Porozmawiamy za kilka dni. I powiesz prawdę, gdy cię będę przesłuchiwał, jasne?

Wyszedł zza stołu.

- Szeryfie?

Zawahał się i spojrzał na mnie. Przez krótką chwilę czułem się tak, jakbym znowu był dzieckiem. Wiedział, o co chcę zapytać; wyczytałem to z jego oczu.

- Dlaczego to ciągle się dzieje? Jak to może się dziać po tylu latach?

Dearing usiadł ponownie na krześle.

- Nie pytaj mnie o to - powiedział. - To pytanie zadajemy sobie od ponad sześciu lat.

- I nic nie macie?

Odniosłem wrażenie, że chciał się roześmiać. Rozpoznałem śmiertelną rozpacz w jego oczach.

- Nic? Mamy osiem martwych dziewczynek, Josephie... Nie nazwałbym tego niczym.

- Wie pan, o co mi chodzi, szeryfie.

Dearing opuścił głowę. Złożył dłonie jak do modlitwy.

- Mamy pewne podejrzenia - przyznał. - Przemierzyliśmy drogę od domu do domu w

wielu hrabstwach, prosiliśmy o pomoc, ale akurat toczy się wojna, gdybyś przypadkiem nie zauważył. Ludzie, których potrzebujemy, są niezbędni gdzie indziej, rozumiesz? Te morderstwa wykraczają poza granice miast, a nawet hrabstw.

- Przerwał niespodziewanie. - Nawet nie wiem, dlaczego ci to mówię. - Uśmiechnął się blado i potrząsnął głową. - Powiedzmy, że wierzę, że pewnego dnia wyjdę na dwór i zobaczę go, i chociaż nie mam pojęcia, jak wygląda, po prostu będę wiedział, że to on, i...

- Przerwał na chwilę, spoglądając na mnie w zamyśleniu. - Nie będę zadawał mu pytań, Josephie... Nie będę mu zakładał kajdanek i wiozł go do biura szeryfa. Po prostu zastrzelę go tam, gdzie będzie stał, i wszystko się skończy.

- Sześć lat - powiedziałem. - Osiem dziewczynek, jeśli nie liczyć Eleny Kruger. A te dwie ostatnie, te w Meridan i Offerman?

- O co ci chodzi?

- Czy zginęły w taki sam sposób?

- Tak, dokładnie tak samo... Jakby próbował zakopać to, co zrobił. Jakby chciał to roznieść na cztery strony świata, ale nie potrafił się do tego zmusić. I dlatego zostawia je tam, gdzie je zabił... - Dearing przerwał. - Dosyć - powiedział. Ponownie wstał z krzesła i przez chwilę wyglądał na zakłopotanego; chyba uświadomił sobie, że się wygadał. Jeśli kiedykolwiek widziałem kogoś, kto miał prawdziwą potrzebę mówienia, chęć uzewnętrznienia się, był to Haynes Dearing.

- Pierwsze morderstwa popełniono w Augusta Falls, prawda? - zapytałem. - Teraz jednak są popełniane w różnych miejscach, zgadza się?

Dearing potrząsnął głową.

- Czas, żebyś pojechał do domu, Josephie. Czas, żebyś pojechał do domu.

- Nie rozmawiaj z nieznajomymi - powiedziałem. - Nie odchodź z nieznajomymi. Uważaj na siebie. Zachowaj ostrożność.

Dearing przyjrzał mi się bacznie.

- Pamiętasz to?

- A pan pamięta Strażników?

Zmarszczył brwi.

- Ja, Hans Kruger i inni. Daniel McRae, Ronnie Duggan, Michael i Maurice. Tak siebie nazywaliśmy. Strażnicy. I plakaty, które porozwieszał pan wszędzie. Pamięta pan to, prawda?

- Pamiętam, jak pewnej nocy was złapałem - powiedział Dearing. - Często zastanawiałem się, co wam się wydawało, że robicie.

Uśmiechnąłem się.

- Coś tam robiliśmy. Po prostu staraliśmy się zrobić coś, żeby pomóc go złapać.

- Jezu, mogliście ściągnąć na siebie masę kłopotów.

- My już mieliśmy kłopoty, szeryfie. Ktoś tam mordował dzieci. Wydaje mi się, że można uznać to za wystarczające kłopoty, nie uważa pan?

Dearing skinął głową, a potem odwrócił się w kierunku drzwi.

- Muszę - iść - stwierdził. - Muszę uporać się z tą sprawą. Ktoś musi porozmawiać z rodzicami tej małej.

- Przecież to hrabstwo Fleming. Czy to nie szeryf Landis powinien się tym zająć?

Dearing popatrzył na mnie i raz jeszcze poczułem się jak dziecko.

- W dzisiejszych czasach - powiedział cicho - w dzisiejszych czasach chodzimy dwójkami.

Kwadrans po jego wyjściu przyszedł zastępca szeryfa Edgewood, żeby zawieźć mnie do furgonetki Reilly'ego. Przez całą drogę nie odezwałem się ani słowem.

- Smażony sum - powiedziała moja matka. - Możemy zacząć od Oyster Rockefeller, potem Country Captain, ciasteczka kukurydziane, ciasto ze słodkich ziemniaków i smażony sum. - Roześmiała się i odrzuciła włosy do tyłu. - Uwielbiam smażonego suma, a wy, moi drodzy?

Alex spojrzała na mnie. Skinąłem głową. Odwróciła się z powrotem i uśmiechnęła do mojej matki.

- A potem mogę zrobić ciasto. Robię pyszne ciasto. Miodowoorzechowe albo jagodowe, nawet z tortem sobie radzę. Możemy też ukręcić lody. Mogłaby przyjść moja pielęgniarka. Uwielbia dobre ciasto. Siostra Margaret. Była zakonnica. Ze zgromadzenia Najświętszej Marii Panny. Marii, rozumiecie? Tak jak moje imię. Słyszałam, że wiele zakonnice lubi słodczyce... Słyszałaś o tym, Josephie?

- Tak, mam - odparłem, godząc się z faktem, że moja matka wierzyła, że podejmie Alex, swoją rodzinę i najznakomitszych mieszkańców Georgii wystawnym przyjęciem.

- Zapalenie opon mózgowych - wyszeptała do Alex. - Latem miałam zapalenie opon mózgowych. Przyplaciłam tę chorobę apatią i osłabieniem. Nic podobnego nie widziałas. W każdym razie mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku, Josephie. Boże, jestem taka dumna, po prostu taka dumna z was obojga. Oczywiście zamierzacie się pobrać?

Popatrzyłem na matkę. Jej włosy były siwe i cienkie. To były miękkie i delikatne włosy babci. Miała czterdzieści jeden lat. Wyglądała w najlepszym razie na sześćdziesiąt. Skóra na jej twarzy i rękach była spuchnięta, tylko tak mogę ją opisać. Prawdopodobnie

lekarstwa, które brała, dawały skutki uboczne. Wołałem nie wiedzieć, co jej podawali, i dlatego nie pytałem.

Była niedziela. Poprzedniej nocy wróciłem z Fleming. Zatrzymałem się u Alex i wyjaśniłem jej, co zaszło: że spotkałem szeryfa Dearinga i że spędziłem z nim trochę czasu.

- Dlaczego? - zapytała.

- Miał kilka pytań, nic ważnego.

- Pytań? Jakich pytań?

- O Krugerów, nic więcej. Mieszkali obok nas, znaliśmy ich dobrze, może nawet lepiej niż kogokolwiek innego, i chciał wiedzieć, czy może byłem świadkiem czegoś, co mogłoby mu pomóc.

- I co?

- Nic - odrzekłem. - Nie mogłem mu nic powiedzieć.

Nie powiedziałem jej o dwóch następnych dziewczynkach, tych z Meridan i Offerman.

Zostałem na noc. Leżąc obok niej, wyczuwałem, że nie śpi, ale nic nie mówiłem.

W końcu odpłynęła. Czekałem do momentu, gdy jej oddech stał się głęboki i miarowy, po czym wyslizgnąłem się z pokoju, przeszedłem na bosaka całe piętro i stanąłem przy wąskim oknie na końcu korytarza. Pola były płaskie i niebieskawe, mgła nadpływała z Okefenokee i formowała widma, które wisiały nad ziemią. Gdzieś pomiędzy tymi zjawami były dzieci. Zamknąłem oczy i wyobraziłem je sobie. Jeśli skoncentrowałem się wystarczająco mocno, słyszałem je, ich gwizdy i śmiechy, ich nagle przerwany bieg życia, teraz istniejącego gdzie indziej, w jakiejś innej eterycznej rzeczywistości. Były tam wszystkie. Duchy dzieci. Umarłe dzieci. Szły przed siebie, obłoczki ich oddechów widoczne były we mgle, ręka w rękę, każdy ich krok zostawiał ślad w wilgotnej ziemi - a z tyłu, pilnując je i upewniając się, że nic im się nie stanie, szedł mój ojciec. Mój ojciec, anioł.

Przez cały ten czas, kiedy wstrzymywałem oddech, myślałem o Alex. Myślałem o mojej matce. Myślałem o życiu, które przybiegło i bez uprzedzenia mnie pochwytiło. Były chwile, gdy czułem, że nie mam w ogóle czasu. Osiemnaście lat - mgnienie oka, uderzenie serca. Innymi razy wydawało mi się, że wszystkie uczucia, których doświadczałem, były wepchnięte na siłę w te lata, upchane garściami, aż cały pęczniałem. Co miałem robić? Moi rodzice odeszli - ojciec fizycznie, matka psychicznie. Miałem Alex, to prawda, ale wiedziałem, że z biegiem czasu i to uczucie przestanie istnieć. Nie chodziło o to, że między nami była zbyt duża różnica wieku, zwłaszcza z mojego punktu widzenia, ale o różnice w spojrzeniu na świat. Ten związek opierał się na kompromisach.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że kocham Alexandrę Webber. Jednak okoliczności, które nas połączyły, wydawały mi się nieprawdopodobne. Nie myślałem o niej jako o nauczycielce i chyba nigdy tak jej nie traktowałem. Była przyjaciółką, tą pierwszą i najważniejszą, a mnie się wydawało, że miałem bardzo niewielu przyjaciół. Reilly Hawkins, dzieci Krugerów, także sami Mathilde i Gunther, przez jakiś czas i w szczególny sposób Strażnicy. Oprócz nich nie było nikogo poza Alex Webber, kobietą, która wyćwiczyła moje pióro i kazała mi pisać.

Po jakimś czasie wróciłem do pokoju. Stałem przy łóżku i patrzyłem na nią pogrążoną we śnie. Wsłuchiwałem się w jej oddech, nawet wyciągnąłem rękę i położyłem ją nad jej piersią, żeby poczuć bicie serca. Była wszystkim, co miałem. Znaczyła dla mnie bardzo dużo, a mimo to wiedziałem, że coś zyskam, ale też coś stracę, i dlatego toczyłem ze sobą wewnętrzną walkę.

Później zasnąłem - niespokojnie, z przerwami - i śniłem o martwych dzieciach przemierzających pola Georgii.

Nazajutrz rano wstałem przed Alex, wyszedłem i kupiłem gazetę. Wyciąłem z niej krótki artykuł o dziewczynce zamordowanej we Fleming. Dołączyłem go do pozostałych - w sumie sześciu - i pomyślałem o dwóch, których mi brakowało.

- Powinniśmy pojechać do matki - powiedziałem. - Dziewiętnastego miała urodziny. Święta są pojutrze. Powinienem tam jechać, Alex, naprawdę powinienem i chcę, żebyś pojechała ze mną.

- Więc jedźmy - odrzekła po prostu. - Reilly pożyczycy nam furgonetkę?

- Pewnie, że tak... Ale tym razem nie będziemy robić żadnych przystanków po drodze.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. Podeszedłem do niej, przyciągnąłem ją do siebie i objąłem.

- Chyba powinniśmy obciąć ci włosy i zgolić brodę - powiedziała.

- Przez nie wyglądasz jak szalony człowiek gór, który schodzi na dół, żeby straszyć wieśniaków.

- Nie teraz. Teraz pojedziemy do matki.

Tak właśnie zrobiliśmy. Dotarliśmy na miejsce bez żadnych przygód, a kiedy zobaczyliśmy moją matkę - na werandzie z tyłu budynku - powiedziałem jej, że Alex to moja dziewczyna.

- Co za nowoczesne słowo - orzekła. - Dziewczyna. - Roześmiała się śmiechem obcej osoby, nie kobiety, która mnie wychowywała.

- Musicie stanąć w słońcu - ciągnęła, unosząc rękę i wskazując przez wysokie okno



oszkłonej werandy trawnik za budynkiem. Musicie stanąć w słońcu. Poczuć jego ciepło. Poczuć palce Boga w swoich duszach. - Odwróciła się i uśmiechnęła do Alex. Sprawiała wrażenie, że jej nie poznaje. Zastanawiałem się, czy w ogóle pamięta jej imię. - I usłyszeć głosy aniołów. - Spojrzała na mnie. Miałem uczucie, jakby coś przesunęło mi się po karku. Zadrzałem. To było krótkotrwałe uczucie, jak cień chmury na polu.

- Aniołów? - powtórzyłem.

Matka skinęła głową i uśmiechnęła się raz jeszcze, ale tym razem cień rozpoznania pojawił się na jej twarzy, zupełnie jakby popatrzyła na mnie i zobaczyła, że jestem jej synem. Naprawdę zobaczyła swojego syna.

- Anioły - wyszeptała. - Głosy aniołów... A także tych dziewczynek, Josephie, tych, które odeszły z diabłem, pamiętasz?

Skinąłem głową. Poczułem się niezręcznie.

Pochyliła się do mnie.

- Bliżej - wyszeptała, a ton jej głosu był konspiracyjny, może nawet paranoiczny.

Przybliżyłem się do niej.

- Wiem, kto je zabrał - powiedziała.

Zmarszczyłem brwi.

- Te małe dziewczynki, Josephie... Wiem, kto je zabrał.

- Zabrał je? - powtórzyłem. Zastanawiałem się, co tak naprawdę stało się z moją matką. Zastanawiałem się nad jej umysłem, nad tym, jak pracuje, dlaczego tak wadliwie działa i czy to faktycznie nieodwracalne.

- Zabrał je wszystkie do piekła - wyszczała.

Byłem głęboko poruszony. Zerknąłem na Alex. Wyglądała na tak samo zdenerwowaną jak ja.

Wziąłem matkę za rękę.

Jej oczy były błękitne i nieruchome, wyglądały, jakby świeciło za nimi jakieś światło.

- Wszystkie tam są - powiedziała. - Alice i Laverna, Ellen May, Catherine... I ta, którą znalazłeś, Josephie... Jak miała na imię?

Potrząsnąłem głową.

- Znasz jej imię, mamo.

- Virginia, prawda?

- Tak, mamo, Virginia Perlman.

- Słyszę je wszystkie... Słyszę je, słyszę też twojego ojca, a czasami Elenę. Ona się zgubiła, Josephie, nie wie, skąd i dokąd idzie. Mówi, że czeka na mnie i poczeka tak długo,

jak będzie trzeba, a kiedy tam pójde, chwycę ją za rękę i pokażę jej drogę...

- Mamo... proszę...

Przerwała na chwilę, prawdopodobnie urażona tonem mojego głosu, a potem skinęła głową i mrugnęła, jakbyśmy uczestniczyli w milczącej zмовie.

- Rozumiem, Josephie, ani słowa więcej. Ale musisz mi coś obiecać...

- Co takiego, mamo, co mam ci obiecać?

- Ze porozmawiasz z szeryfem Dearingiem, przekażesz mu, co ci powiedziałam... Powiedz mu, żeby tu przyjechał. Powiedz mu, że znam prawdę. Powiedz mu, że wiem, kto jest mordercą dzieci.

Moje serce było zaciśnięte jak pięść.

- Dobrze - odparłem i gdy tylko to słowo wyszło z moich ust, zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś naprawdę porozmawiam ze swoją matką. Czy kiedykolwiek porozmawiam z kobietą, która mnie wychowała, kobietą, która kochała mojego ojca, kobietą, która pochowała go i potem żyła już tylko dla syna.

- Powiem mu - wyszeptalem łamiącym się głosem; pięści miałem zaciśnięte i z całych sił starałem się nie wybuchnąć płaczem. - Powiem mu, gdy tylko wrócę. - Uśmiechnąłem się do lekarzy i innych pacjentów. Bóg jeden wie, co by jej zrobili, gdyby powiedziała im, że rozmawia ze zmarłym mężem i zamordowanymi dziewczynkami, a także że zna tożsamość mordercy dzieci, który od tylu lat wymykał się policji kilku hrabstw.

To właśnie wtedy zaczęła mówić o przyjęciu, które wyda dla nas, dla swojej pielęgniarki i dla elity stanu Georgia. Stała się roztargnioną i nieobecną kobietą, jakiej się spodziewałem, i nie było już światła za jej oczami, i nie mówiła już o umarłych.

Pozostaliśmy tam jeszcze jakiś czas, tak długo, jak człowiek może wytrzymać przebywanie z kobietą, która kiedyś była jego matką, a potem się pożegnaliśmy.

- To takie smutne - wyszeptala Alex. Wzięła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie, kiedy wychodziliśmy. - Taka kulturalna i inteligentna kobieta... a teraz... - Jej głos ucichł nagle.

Odnaleźliśmy siostrę Margaret, pielęgniarkę mojej matki. Była niemiłosiernie wręcz chuda. Oczy miała jasnoszare i blade, zupełnie jakby spędziła większość życia na płakaniu. Zgadywałem, że jest starą panną. Jej usta były wąskie i zaciśnięte, a sposób bycia sztywny niczym gorset ortopedyczny. Była jedną z tych kobiet, które tęsknią za miłością, ale nigdy jej nie znajdują.

- Powiedziała, że... że jestem byłą zakonnica? - zdziwiła się.

- Boże wszechmogący... Jestem chyba ostatnią osobą na świecie, którą można by o to

podejrzewać. - Potrząsnęła głową. - Nie, jestem tylko Margaret, po prostu, nic bardziej skomplikowanego niż to. - Uśmiechnęła się ciepło, a potem odciągnęła Alex i mnie od ludzi, którzy siedzieli, czekając w sali za werandą.

- Jakoś sobie radzi - powiedziała. - Co jakiś czas widzi się światło za jej oczami i to jest prawdziwa Mary Vaughan, ta, która istniała przed chorobą.

- Co właściwie jej jest? - zapytała Alex. Spojrzała na mnie, zupełnie jakby bała się, że poczuje się urażony jej pytaniem.

Margaret uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Nie jestem psychiatrą, kochanie - powiedziała. - Jestem tutaj tylko ze względu na umiejętności praktyczne, nic więcej. Jeśli chcecie usłyszeć wiarygodną opinię, porozmawiajcie z jej lekarzem. Ja wiem tylko to, co słyszę, a to, co słyszę, nie ma zbyt wielkiego sensu. Nie wiem, czy ktokolwiek naprawdę rozumie, co dzieje się, kiedy ludzie...

- Margaret przerwała i popatrzyła na mnie, a potem na Alex. - Wicie, co mam na myśli... Nikt naprawdę nie wie, co się dzieje, kiedy ludzie zamykają się w swoim własnym świecie. - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Chciałabym wiedzieć, wtedy przynajmniej czułabym, że mogę jakoś pomóc.

Alex odwróciła się do mnie.

- Musimy zobaczyć się z lekarzem twojej matki.

Potrząsnąłem głową.

- Widziałem się z nim. Widziałem się z nim mnóstwo razy. Oni nie wiedzą, co jej jest, nigdy nie wiedzieli i prawdopodobnie nigdy nie będą wiedzieć. Starają się tylko ją wyciszyć.

- Te głosy, które słyszy... - powiedziała Margaret i spojrzała na nas, a w jej szarych, bladych oczach pojawił się lęk. - To głosy małych dziewczynek, prawda? - zapytała, po czym spojrzała prosto na mnie, jakbym mógł to wyjaśnić.

Nic nie powiedziałem.

- Może rozmawiać o pogodzie, o kwiatach w ogrodach, o innych pacjentach. - Margaret bawiła się brzegiem kieszeni. - Wydaje się, że cała jest tutaj. Może siedzieć i rozmawiać przez godzinę, czasami dłużej, i myślisz, że jej się poprawiło... a potem nagle, jak gdyby nigdy nic zaczyna mówić do kogoś innego, kogoś, kogo nie widzisz. Więc mówię do niej, mówię: „Mary, z kim rozmawiasz, kochanie?”, a ona odwraca się i patrzy na mnie tak, jakbym oszalała, i odpowiada: „Jak to z kim?”, a potem wymienia czyjeś imię, jakieś dziewczęce imię, o ile dobrze rozumiem, i odpływa, opowiadając komuś, kogo tylko ona widzi, o swoim dniu, rozmawiając z kimś o imieniu Earl.

Skinąłem głową.

- Earl to jej mąż... Umarł w 1939.

Margaret uśmiechnęła się, jakby otrzymała potwierdzenie swoich przypuszczeń.

- Tak, Earl - powtórzyła. - Mówi o czymś, co robiła z Earlem, i nawet kiedy odchodzi, dalej z nim rozmawia, rozmawia, jakby nie było czasu na rozmowę jutro. - Nagle przerwała. Wyglądała na zmieszaną tym, że powiedziała za dużo. - Przepraszam. Nie powinnam mówić o takich rzeczach. Wybaczenie. To dlatego, że jesteście jedynymi osobami, które ją odwiedzają od długiego czasu. Jest jeszcze jeden pan. Był kilka razy, ale nigdy nie zostawał długo...

- Haynes Dearing - powiedziałem.

Margaret potrząsnęła głową.

- Nie wiem, jak się nazywa. Nigdy mi nie podał nazwiska, a i ja nie pytałam.

Dotknąłem jej ramienia.

- W porządku - uspokoiłem ją. - Bardzo nam pani pomogła. Cieszę się, że z panią porozmawiałem. Proszę nie mieć poczucia, że powiedziała pani coś nie na miejscu.

Margaret uśmiechnęła się. Swoimi bladymi oczami spojrzała na prawo i na lewo, jakby bała się, że ktoś się pojawi. Zastanawiałem się, czy za jakiś czas sama nie zacznie rozmawiać z ludźmi, których nie ma.

Wyszliśmy z budynku, nie zaszedłszy do doktora Gabillarda. Nie zapytałem nawet, czy to on nadal opiekuje się moją matką. Nie było sensu z nim rozmawiać.

- Naprawdę myślisz, że nic nie można zrobić? - zapytała mnie Alex, kiedy odjeżdżaliśmy spod Waycross Community Hospital.

- Jest tu od prawie czterech lat.

Alex otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, być może, żeby zadać kolejne pytanie, ale w końcu nic nie powiedziała. Popatrzyła na mnie, kiedy ruszyliśmy furgonetką Reilly'ego Hawkinsa w kierunku szosy. Spojrzałem na nią również i nie było nic w jej wyrazie twarzy, po prostu nic. Jej oczy były puste, zupełnie jakby już zobaczyła wszystko, co było do zobaczenia.

Uścisnąłem jej dłoń.

- Przyjeżdżałem tutaj cholernie długo. Po roku, po półtora przestałem czuć, że odwiedzam swoją matkę. Teraz jeżdżę tu tylko z poczucia obowiązku... Może bardziej przez wzgląd na pamięć o ojcu niż cokolwiek innego.

- Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o aniołach? - zapytała Alex.

Uśmiechnąłem się.

- Nie przypominaj mi o tym.

- Dlaczego?

- Dlatego, że byłem wtedy mały, a ty byłaś moją nauczycielką, co czyni to, co robimy teraz, cholernie dziwnym.

- Tak to czujesz?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, dopóki nie zaczniesz mówić o aniołach, konkursie w Atlancie i o tym, jak podarowałaś mi książkę Steinbecka na urodziny.

- Powinieneś o tym napisać - stwierdziła.

Zamyśliłem się.

- O czym?

- O swoim życiu. O swoim ojcu, małych dziewczynkach, które zostały zamordowane, o tym, co przytrafiło się Krugerom, co stało się z twoją matką, o nas... O wszystkich tych rzeczach. Powinieneś napisać autobiografię.

Zacząłem się śmiać.

- Alex, ja mam osiemnaście lat. To zabrzmiało tak, jakbym nie miał już nic więcej ciekawego do przeżycia.

- Myślisz, że ona wie?

- Kto taki?

- Twoja matka? Myślisz, że wie, kto to robił?

- Co robił? O czym ty mówisz?

- O morderstwach małych dziewczynek. Słyszałaś, co powiedziała.

Potrząsnąłem głową.

- Alex, moja matka ma świra. Leży na oddziale psychiatrycznym Waycross Community Hospital. Rozmawia z moim ojcem, który nie żyje od lipca 1939 roku. Jestem pewien, że nie ma zielonego pojęcia o tym, kto odpowiadał za...

- Kto odpowiada, Josephie... Te morderstwa dalej trwają.

- Dobrze, niech będzie... Jestem pewien, że nie ma zielonego pojęcia o tym, kto odpowiada za to wszystko.

- A jeśli jednak ma? Jeśli właśnie to, że wiedziała, a nie mogła nic z tym zrobić, doprowadziło ją do tego, że...

- Do tego, że oszalała, Alex. Jeśli to, że wiedziała o tym, doprowadziło ją do szaleństwa. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Znamy się tak długo, że nie musimy owijać w bawełnę. Ona jest szalona. Ma świra. To wariatka...

- Przestań! - krzyknęła Alex. - Dosyć!

- To dotyczy też ciebie. Jezu, nie chcę już więcej o tym słyszeć, rozumiesz? Ona nie

wie, kto zabił te dziewczynki... Przepraszam, kto ZABIJA te dziewczynki. Ona tego nie wie. Nigdy tego nie wiedziała i jestem pewien, że nigdy nie będzie wiedzieć. Pozostanie w Waycross. Prawdopodobnie będzie tam do końca życia, a ja dalej będę ją odwiedzał, aż wreszcie nie będę już mógł tego wytrzymać albo ona przestanie mnie rozpoznawać. Wtedy będzie mi przykro, ale równocześnie poczuję ogromną ulgę, bo nie masz pojęcia, nie masz zielonego pojęcia, jak to jest jeździć tam i słuchać, jak twoja własna matka toczy rozmowy z umarłymi, zwłaszcza gdy jeden z nich jest twoim ojcem.

- Przepraszam... - zaczęła.

Spojrzałem na nią. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej twarzy.

- Kocham cię, Alex. Kocham cię bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek na tym świecie. Nie jestem na ciebie wściekły. Nawet w najmniejszym stopniu się na ciebie nie rozłościłem. Jestem wściekły na całą tę sytuację. Nie mogę z tym nic zrobić oprócz bycia wściekłym. To nie ma nic wspólnego z tobą. Jeśli już, to ta wściekłość jest skierowana na lekarzy z Waycross, którzy mówili, że zrobią coś, żeby jej pomóc, a wygląda na to, że tylko pogorszyli jej stan. To wszystko. To, co dzieje się z moją matką, to, kim jest, jak się zachowuje... to nie są rzeczy, które powinny cię martwić. Nie chciałbym, żeby stały między nami. - Przerwałem, żeby złapać oddech. - To wszystko, nie mniej i nie więcej, i naprawdę, naprawdę nie chcę o tym więcej mówić, dobrze?

- Dobrze - powiedziała cicho. Wzięła mnie za rękę i ją pocałowała. Uśmiechnęła się i w mglistym świetle wieczoru w Georgii, z ciepłym wiatrem wpadającym przez okno furgonetki, wyglądała lepiej, niż mógłbym sobie wymarzyć.

Zamknęła oczy, raz jeszcze ścisnęła moją rękę, a potem ją puściła.

Przeniosłem wzrok z powrotem na pustą drogę przed nami.

Przez dłuższy czas milczeliśmy, a kiedy zaczęliśmy rozmawiać, nasze słowa nie miały jakiegoś szczególnego znaczenia.

Po znalezieniu we Fleming ciała małej Kepplerówny, po wizycie u mojej matki i wysłuchaniu jej szaleńczego monologu zastanawiałem się, czy przypadkiem noszenie ciężaru tych wszystkich duchów nie jest moim przeznaczeniem. Zupełnie jakbym w jakiś sposób mógł powstrzymać te morderstwa, a nie robiąc nic, miał poczucie winy do końca życia.

Po znalezieniu Kepplerówny sny stały się częstsze.

Śniło mi się, że zostałem zamordowany. Śniło mi się, że uciekam jak wicher przez lasy i pola, będąc świadomym, że coś mnie goni, coś, czego nie widziałem, ale byłem tego tak bardzo pewien jak własnego imienia.

Śniło mi się, że jestem ścigany. Śledzony. Goniony. Śniło mi się, że byłem coraz

bardziej zmęczony, wyczerpany, znużony w umyśle, sercu, duszy. Śniło mi się, że każdy krok, jaki robiłem, miał być ostatni, a mimo to potem był kolejny, kolejny, kolejny. Zwolniłem jednak, zwolniłem i potykałem się, aż to coś za mną mnie dogoniło i spojrzałem w pozbawione blasku oczy i krzyknąłem w ciszy, a kiedy ta cisza została przerwana, nastąpiła głębsza, o wiele głębsza cisza, cisza, która pochłonęła mnie w całości i nigdy nie puści.

A potem zostałem przeniesiony na tył ciężarówki i był tam Kruger, i zaczął płakać nade mną, a jego łzy spadały na moją skórę. Lowell Shaner, Frank Turów, Reilly Hawkins... wszyscy tam byli i patrząc z platformy ciężarówki, kiedy zjechaliśmy ze wzniesienia, zobaczyłem swoją matkę, a za nią duchy martwych dzieci. I wszyscy płakali cicho, i miałem poczucie, że wszystko zmierza do końca... i poczucie, że coś wiem, wiem, kto tam był, kto był w ciemności, kiedy biegłem przez pola i przez zarośla, kiedy moje stopy stawały się ciężkie i wolne, bo dotarłem do krawędzi bagna Okefenokee... I słyszałem tam muzykę, muzykę, jaką gra się w kościołach...

A potem zostałem pogrzebany, mój wyraz twarzy stężał w przerażeniu. Zostałem złożony do ziemi w moim niedzielnym ubraniu, moich błyszczących butach, z moją uczesaną fryzurą i ludzie stali wokół dziury, gdy stawała się coraz głębsza, i słyszałem dźwięk ziemi spadającej na mnie, i wiedziałem, że będę tam spoczywał przez wieczność, a trawa będzie rosła, i pory roku będą się zmieniały, a ludzie, których kochałem, zestarzeją się i umrą, i będzie cisza w moim umyśle zamiast głosów...

Będę tam i już zawsze będę miał wrażenie... że wiedziałem, kto to... wiedziałem, kto to... wiedziałem, kto to...

I nie był on sylwetką na plakacie przybitym do płotu. W ogóle nie był żadnego rodzaju sylwetką. Był człowiekiem z krwi i kości, jedzącym, oddychającym, rozmawiającym człowiekiem.

I był tam.

Gdzieś.

Cały czas.

Boże Narodzenie 1945 roku. Generał Patton umarł w wyniku obrażeń, których doznał w wypadku samochodowym w Niemczech. Człowiek, który opanował Sycylię w trzydzieści osiem dni, który przeżył dwie degradacje jako wynik swojego kłótliwego i trudnego charakteru, odniósł śmiertelne obrażenia na prostym odcinku drogi. Wydawało się to straszliwą ironią losu i w pewnym sensie idealnym odbiciem tego, w jaki sposób świat uznał za konieczne traktować nas, istoty ludzkie. Dwa dni po świętach Alex pojechała do rodziców w Syracuse. Zamierzała spędzić tam około tygodnia. Zawiozłem ją na przystanek w Augusta

Falls i czekałem z nią na przyjazd autobusu. Kiedy już do niego wsiadła i odjechała, uświadomiłem sobie, że nie mam nic do roboty w domu. Zostałem więc przez jakiś czas w mieście. Poszedłem do restauracji przy Manassas Street i patrzyłem na ludzi idących z jednego miejsca w drugie. Mimo pory roku wszyscy wydawali się chętni do wyjazdu z miasta, a niechętni do przyjeżdżania do niego, ich twarze były pełne wyczekiwania, życie zaś toczyło się pomiędzy niewdzięcznymi dziećmi a zniedołężniałymi rodzicami. Dla nich samych zostawało raczej mało. Może, zastanawiałem się, może na tym właśnie to wszystko polega. Kiedy wyszedłem z lokalu, zobaczyłem szeryfa Haynesa Dearinga przechodzącego przez jezdnię. Uniósł rękę i przywołał mnie do siebie.

- Załatwiasz jakieś sprawy? - zapytał.

- Odwiozłem Alex na autobus do Syracuse.

- Pojechała do rodziny?

- Tak, zostanie z nią do Nowego Roku.

- Nie chciałeś z nią jechać?

Wzruszyłem ramionami.

- Źle się czuję w gościach.

- Ja tak samo - powiedział Dearing. - Zona zaprosiła swoją siostrę z mężem i chociaż to nasz dom, ta flądra zawsze wszystko przestawia i doprowadza mnie do szaleństwa. Nie znoszę tego.

Skinąłem głową. Chciałem jechać do domu.

- Wracasz już? - zapytał Dearing.

- Tak.

- Pewnie ci się spieszy, co? - zapytał, ale ton jego głosu wskazywał na to, że było to nie tyle pytanie, ile wyzwanie, żebym odrzucił jego towarzystwo.

- Czy mi się spieszy? Nie bardziej niż zwykle. Zawsze ma się tam coś do roboty, sam pan wie, jak to jest.

- Ale znajdziesz trochę czasu dla mnie? No wiesz, na to, żeby zapalić papierosa i pogadać o kilku sprawach? - Raz jeszcze pytali odniósł śmiertelne obrażenia na prostym odcinku drogi. Wydawało się to straszliwą ironią losu i w pewnym sensie idealnym odbiciem tego, w jaki sposób świat uznał za konieczne traktować nas, istoty ludzkie. Dwa dni po świętach Alex pojechała do rodziców w Syracuse. Zamierzała spędzić tam około tygodnia. Zawiozłem ją na przystanek w Augusta Falls i czekałem z nią na przyjazd autobusu. Kiedy już do niego wsiadła i odjechała, uświadomiłem sobie, że nie mam nic do roboty w domu. Zostałem więc przez jakiś czas w mieście. Poszedłem do restauracji przy Manassas Street i



patrzyłem na ludzi idących z jednego miejsca w drugie. Mimo pory roku wszyscy wydawali się chętni do wyjazdu z miasta, a niechętni do przyjeżdżania do niego, ich twarze były pełne wyczekiwania, życie zaś toczyło się pomiędzy niewdzięcznymi dziećmi a zniedołężniałymi rodzicami. Dla nich samych zostawało raczej mało. Może, zastanawiałem się, może na tym właśnie to wszystko polega. Kiedy wyszedłem z lokalu, zobaczyłem szeryfa Haynesa Dearinga przechodzącego przez jezdnię. Uniósł rękę i przywołał mnie do siebie.

- Załatwiasz jakieś sprawy? - zapytał.

- Odwiozłem Alex na autobus do Syracuse.

- Pojechała do rodziny?

- Tak, zostanie z nią do Nowego Roku.

- Nie chciałeś z nią jechać?

Wzruszyłem ramionami.

- Źle się czuję w gościach.

- Ja tak samo - powiedział Dearing. - Zona zaprosiła swoją siostrę z mężem i chociaż to nasz dom, ta flądra zawsze wszystko przestawia i doprowadza mnie do szaleństwa. Nie znoszę tego.

Skinąłem głową. Chciałem jechać do domu.

- Wracasz już? - zapytał Dearing.

- Tak.

- Pewnie ci się spieszy, co? - zapytał, ale ton jego głosu wskazywał na to, że było to nie tyle pytanie, ile wyzwanie, żebym odrzucił jego towarzystwo.

- Czy mi się spieszy? Nie bardziej niż zwykle. Zawsze ma się tam coś do roboty, sam pan wie, jak to jest.

- Ale znajdziesz trochę czasu dla mnie? No wiesz, na to, żeby zapalić papierosa i pogadać o kilku sprawach? - Raz jeszcze pytanie, które zadał, było bardziej stwierdzeniem czy też raczej zaproszeniem.

- Jakoś nigdy nie zapałałem miłością do papierosów - odrzekłem. - Próbowałem kilka razy, jednak źle się po nich czułem. Ale pogadać mogę, nigdy nie miałem z tym problemu.

- Więc może pójdziemy do mojego biura, tak towarzysko, nieoficjalnie? Zobaczymy, czy nie uda ci się wyjaśnić kilku spraw, dobrze?

- Czy to naprawdę pytanie, szeryfie?

Dearing uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Diabła tam, pewnie, że nie.

- Pójdę tam z własnej woli. Nie chcę, żeby pan myślał, że coś ukrywam.

- Bardzo dobrze, Joseph, bardzo dobrze - powiedział, po czym odwrócił się i ruszył.

Biuro szeryfa Haynesa Dearinga przypominało składzik, w którym przechowywał te części swojej osobowości, których nie - chciał nosić ze sobą. Na ścianach zawiesił tablice z surowego drewna, na których przyczepił pinezkami zdjęcia, bilety, dyplomy, kupony do Hot Shoppes i Howard Johnson's, bok pudełka po płatkach „Cream of Wheat”, przepis Betty Crocker, który wyglądał na wycięty z gazety, narysowany kredkami świecowymi portret podpisany dziecięcym charakterem pisma „szeryf Dearing”, tablicę z alfabetem fonetycznym, podziałkę ze wszystkimi jednostkami miary, wagi i długości oraz inne tego rodzaju rzeczy. W prawym rogu wisiał plakat z nagłówkiem Poczty Stanów Zjednoczonych, a pod spodem motto: „Ani śnieg, ani deszcz, ani skwar, ani mrok nie powstrzymają naszych doręczycieli przed wypełnianiem powierzonych obowiązków”. Dearing zauważył, że przyciągnął on moją uwagę.

- Mój ojciec - wyjaśnił - doręczał przesyłki przez czterdzieści kilka lat. Ten plakat wisi tutaj, żeby przypominać mi o jego wytrwałości i odporności, a także dlatego, że w jakiś sposób pasuje do tego, co robię.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie chodzi mi o doręczanie przesyłek. Bardziej o doręczanie faktów, wiesz? - Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i opadł ciężko na krzesło. Krzesło - drewniane, na kółkach - zatrzeszczało niepokojąco pod jego ciężarem. - Do licha, nie wiem, Josephie, może w ogóle nie ma między tym podobieństwa... Może po prostu hasło „służyć i chronić” wydawało mi się za mdłe. - Roześmiał się. - Usiądź - powiedział.

- Napijesz się kawy albo czegoś?

Potrząsnąłem głową.

- I co, w końcu dojechałeś do Waycross, do matki?

- Tak, byliśmy u niej w ostatnią niedzielę, dwa dni przed świętami.

- I co?

- Nie wiem, co powiedzieć, szeryfie... To już nie jest moja matka. Rozmawiam z nią... Do diabła, to właściwie nie są już rozmowy.

- Ponownie potrząsnąłem głową. - Ostatnim razem powiedziała mi, że wie, kto jest mordercą dzieci.

Dearing uniósł brwi, a potem popatrzył na mnie z niepokojem i współczuciem. Poruszył się na krześle, po czym pochylił się, żeby przyjrzeć mi się z bliska.

- Przykro mi to słyszeć, Josephie, naprawdę bardzo przykro. Nie wiem, co powiedzieć. To, co się tutaj dzieje... - Uniósł rękę i postukał się palcem wskazującym w czoło. - Niech

mnie lichy, jeśli wiem, co nakręca ludzi. - Wolno wypuścił powietrze i odchylił się do tyłu. - Byłem u niej kilka razy - powiedział.

- Wiem, szeryfie... Wiem, że pan u niej był, i naprawdę jestem za to wdzięczny.

- Wydawało mi się, że należy to zrobić. Siedziałem tam i mówiłem do niej, ale nawet nie wiem, czy pamięta, kim jestem.

- Ja nie... - Wlepiałem wzrok w podłogę i potrząsnąłem głową z rezygnacją. - Cokolwiek tam jej robią, nic nie pomaga. Podają jej leki i poddają specjalnej terapii. Za każdym razem, gdy tam przyjeżdżam, okazuje się, że wymyślili coś innego, jakiś nowy cudowny lek. Zawsze wygląda to dla mnie na jakieś magiczne zioło. Lekarz schodzi na dół w garniturze za siedemdziesiąt pięć dolarów i robi mądrą minę, ale to, co mówi, jest tyle samo warte, co kurze gówny.

- Przykro mi to słyszeć, Josephie. Chociaż niekoniecznie jestem zaskoczony, jeśli chodzi o lekarzy i im podobnych. Wydaje mi się, że spędzają oni czas na drażnieniu przeszłości innych ludzi, zamiast robić coś z ich przyszłością.

Uniosłem ręce i wzruszyłem ramionami z rezygnacją.

- Tak to już jest, szeryfie.

- Co o tym myśli panna Webber?

Uniosłem wzrok, zaskoczony.

- Alex?

- No tak, w końcu to nauczycielka. Jest mądrzejsza od trzech albo i czterech zwykłych ludzi razem wziętych. Nie jest zwykłą latawicą, prawda?

Roześmiałem się. Słowa Dearinga wyglądały na proste i szczerze, były niczym bokser wybijający dziury w przestrzeni między nami. Słowa takie jak te wydawały się walką na gołe pięści, rozkwaszającą nosy i groźną. Doceniałem to.

- Co ona o tym myśli? - powtórzyłem. - Nie wiem... Tak naprawdę to ją o to nie pytałem. Zabrałem ją tam po raz pierwszy. Mało mówiła po drodze, naprawdę niewiele, ale ja też nie jestem zbyt rozmowny, kiedy jadę do Waycross.

- Co to była za sprawa z Guntherem Krugerem?

Pytanie było niczym podkreślona piłka. Uchyliłem się, ale trafiła mnie w bok i trochę mnie zabolęło. Jutro wciąż to będę czuł, może będę miał siniaka.

- Guntherem Krugerem? - powtórzyłem.

- Widzimy to, co widzimy, Josephie - powiedział Dearing. Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawił, że zabrzmiały tak, jakby były czymś innym, niż się wydawały. - Jesteś pisarzem, zgadza się?

- Tak jakby.

- Chcesz dowiedzieć się, co myślę o pisarzach?

- To musi być fascynujące.

- Sądzisz, że nie czytam? Czytałem Ridera Haggarda, Hemingwaya i innych. Czytałem The Informer tego Irlandczyka, jak mu tam?

- O'Flaherty - powiedziałem. - Liam O'Flaherty.

- O, właśnie.

- Jestem zaskoczony.

- Tym, że umiem czytać?

- Nie, szeryfie, tym, że czyta pan takie rzeczy.

- Moja kuzynka pracuje w Bibliotece Stanu Georgia w Savannah. Co roku wyrzucają Bóg wie ile książek... Wybiera mi zawsze kilkadziesiąt i przysyła.

- Miał pan mi powiedzieć, co pan myśli o pisarzach.

- Do tego właśnie zmierzałem - powiedział. - Czasami lubię odbić od tematu, żeby po chwili do niego wrócić.

Siedziałem w milczeniu i czekałem.

- Pisarze widzą rzeczy, których inni nie dostrzegają.

Uniosłem brwi.

- Mam rację - powiedział Dearing. - Może bardziej trafnie by było powiedzieć, że widzą rzeczy tak, jak inni ich nie widzą. Zgodzisz się ze mną?

Wzruszyłem ramionami.

- Myślę, że wszyscy widzą to, co widzą, i wszyscy widzą to w różny sposób.

- Może i tak - przyznał Dearing - ale pisarz zauważa szczegóły, których inni nie widzą, i widzi te szczegóły dlatego, że patrzy na to innymi oczami.

- Niewykluczone - powiedziałem. - A z jakiego powodu mi pan to mówi?

- Z powodu tego, co zaszło między twoją matką a Guntherem Krugerem.

Nie odpowiedziałem.

Dearing uśmiechnął się, robiąc taką minę, jakby coś rozumiał.

- Nie jesteśmy już w szkole, Josephie. - Pochylił się i położył dłonie na stole. Myślałem, że zamierza się podeprzeć, żeby wstać, ale on tylko popatrzył na mnie. - Nie mam zamiaru grzebać w czyimś prywatnym życiu. To nie moja sprawa i chyba nie chciałbym tego, gdyby mi proponowano. Twoja matka i Gunther Kruger mieli zwyczaj cieszyć się swoim towarzystwem, to fakt. Ja wiem o tym. Ty wiesz o tym. I niech mnie diabli, jeśli pani Kruger o tym nie wiedziała. Nie wiem, czy wiedziały o tym ich dzieci. Dzieci bywają zwodnicze.

Niby niewinne, ale słyszą każde słowo. - Dearing przerwał i odchylił się do tyłu. Krzesło chyba pogodziło się z wyciskiem, jaki dostawało, bo tym razem zaskrzybiało tylko cichutko. - Pamiętam taki czas, jakieś trzy albo cztery lata temu. Pewien mężczyzna powiedział, że jego żona została otruta... - Dearing przerwał w połowie zdania. - Do diabła, chyba nie chcesz słuchać jakichś drugorzędnych historyjek. Innym razem ci to opowiem. Na czym to skończyłem?

- Na mojej matce i Guntherze Krugerze.

- A tak, racja. Jak już mówiłem, przyszło mi do głowy, że może były rzeczy w przeszłości, o których nie mówiłeś wtedy. Może nie wydawały ci się ważne. Może nie były, kto wie? Z perspektywy czasu wszystko wygląda inaczej. Zastanawiałem się, czy coś, co pamiętasz, nie pomogłoby nam w śledztwie.

- Coś o dziewczynkach, które były mordowane?

- Jasne, właśnie o tym.

- I myśli pan, że mogę coś o tym wiedzieć, bo mieszkałem obok Krugerów.

- Nie, nie dlatego, że mieszkałeś obok Krugerów... Dlatego, że trzy dziewczynki były stąd, a czwarta co prawda z Fargo, ale została znaleziona na polu Krugera.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Czuję się tak, jakby mnie pan podpuszczał.

Dearing uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nikt tu nikogo nie podpuszcza, Josephie.

- To niech mnie pan po prostu zapyta, o co pan chce zapytać, a ja panu odpowiem.

Dearing odchrząknął.

- Wiem, że rozmawiałem z tobą zaraz po tym, ale nie wiem, czy naprawdę zrozumiałem, co stało się z małą Keplerówną.

Zmarszczyłem brwi.

- Powiedz mi prawdę, Josephie... Dlaczego właściwie tego dnia pojechałeś do Fleming?

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

- Zabiera mnie pan w daleką podróż. Powinien mi pan powiedzieć, że wygrałem bilet, zapakowałbym trochę rzeczy.

- Niepotrzebny ci bilet, Josephie. Coś ci powiem. Zżera mnie ciekawość. - Dearing rozłożył szeroko ręce. - Wydaje mi się dziwne, że usłyszałeś o śmierci małej dziewczynki, dziewczynki, której nie znałeś, i pojechałeś aż do hrabstwa Liberty. To mi daje do myślenia.

- Do myślenia o czym, szeryfie... o mordercy wracającym na miejsce zbrodni?

- Niekoniecznie o mordercy, Josephie, może o kimś, kto wie coś o mordercy.

Nie odpowiedziałem.

- Słyszałeś o czymś takim wcześniej?

Potrząsnąłem głową.

- Pan myśli, że to Gunther Kruger, prawda? Pan myśli, że to Gunther Kruger zabijał wtedy te dziewczynki i teraz znów zaczął zabijać, tak?

- A co ty myślisz?

- Ja nic nie myślę, szeryfie.

- Nie wydaje ci się człowiekiem zdolnym do popełnienia morderstwa?

- Zdolnym do popełnienia morderstwa? Myślę, że każdy jest do tego zdolny. Wystarczy motyw i okazja, a wtedy kto wie? Może nawet pan, szeryfie.

- My nie rozmawiamy o mnie, Josephie. Rozmawiamy o tym, czy w przeszłości zdarzyło się coś, co sprawiło, że poczułeś, że Gunther Kruger mógł mieć coś wspólnego z tymi morderstwami. Panował wtedy taki pogląd...

- Pogląd, który usprawiedliwiał podpalenie jego domu i zabicie córki? - zapytałem. Zaczynał mnie denerwować.

- To, co się wtedy stało, było czymś strasznym - powiedział Dearing. - To było coś naprawdę strasznego i czuję ogromne brzemie odpowiedzialności...

- Dlaczego czuje się pan za to odpowiedzialny? To przecież nie pan podłożył ogień, prawda? Czy jednak pan, szeryfie? Czy to właśnie były motyw i okazja, żeby...

Dearing uniósł rękę.

- Człowiek uczy się całe życie. Próbujesz czegoś i dostajesz lekcję. Jeżeli musisz się czegoś uczyć dwa razy, to znaczy, że jesteś tępy.

Zmarszczyłem brwi.

- Wkurzyłeś mnie, kiedy przyjechałeś do Fleming. Do diabła, byłeś ostatnią osobą na świecie, którą spodziewałem się tam zobaczyć. Nie chcę, żebyś mnie wkurzył drugi raz.

Uniosłem uspokajająco rękę.

- Gunther Kruger był podejrzanym - ciągnął Dearing. - Mogę ci to teraz powiedzieć. Wiesz co? Zdradzę ci coś i nawet nie będziesz musiał się rewanzować. Nie było nic, ani jednej rzeczy, która by wskazywała na to, że ta jego mała naprawdę miała jakiegokolwiek ataki...

- Była epileptyczką, szeryfie...

- Och, doprawdy? - Dearing odchylił się w krześle. Zatkanął kciuk za pasek spodni i wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Twierdzi pan, że nie była?

Dearing potrząsnął głową.

- Ja tylko mówię, że nie ma żadnych dowodów na to, że ta dziewczynka miała faktycznie ataki.

- Więc te siniaki, które widziałem...

- Były po prostu siniakami, które widziałeś, niczym więcej ani niczym mniej. Do licha, Josephie, jakkolwiek by na to nie patrzeć, z tą rodziną było coś nie tak. Jestem republikaninem tak samo jak Bob Taft i nie powiem, żeby mi się podobało to, że sprzedajemy ziemię Georgii cudzoziemcom i innym takim, ale szanuję drugiego człowieka i nie ma we mnie żadnej niechęci do niego. A jednak... - Dearing przerwał melodramatycznie. Pochylił się do przodu, by podkreślić wagę swoich słów. - Kiedy dochodzi do zabijania małych dziewczynek, nie wyrażam opinii na temat nikogo z wyjątkiem tego, czy ten ktoś może być w to zamieszany, czy nie. Nie jestem jednym z tych ignorantów, którzy nienawidzą ludzi tylko dlatego, że pochodzą z innego kraju. Nieważne, kim są, jakiego koloru mają skórę, jakim językiem mówią, wszyscy są równi wobec prawa. To, że twoja mama, Boże błogosław ją, robiła z Guntherem Krugerem to, co Lana Turner w filmie Listonosz zawsze dzwoni dwa razy, fakt, że była przyzwoitą i bogobojną kobietą... Do diabła, Josephie, to, że twoja mama utrzymywała intymne kontakty z Guntherem Krugerem, nie może stanowić dla mnie podstawy do oceny jego charakteru. Ja... my... podejrzewaliśmy go o bicie tej dziewczynki, ja, Ford Ruby i szeryf Fermor... wiesz, ten, którego miałeś przyjemność poznać tamtego popołudnia z panną Webber.

Skinąłem głową.

- Pamiętam go.

- We trzech odbyliśmy kilka spotkań i podjęliśmy pewne określone działania, zadaliśmy też trochę pytań i sprawdziliśmy różne ślady, ale nie dowiedzieliśmy się niczego poza tym, co było wiadomo już przedtem: że dziewczynki znajdowano na jego polu. Zaczęliśmy też podejrzewać go o bicie dziecka.

- To jeszcze nie powód, żeby stawiać komuś zarzut morderstwa.

- To prawda, ale możesz sobie być taki mądry, jak jesteś, wysławiać się Bóg wie jak wyszukanie, a ja mogę być powolny i mieć nie więcej iskier w głowie niż wilgotna petarda, ale powiem ci, co mam, Josephie Vaughanie... Mam wytrwałość, rozumiesz? Wytrwałość. Jestem z gatunku tych, którzy trzymają się uparczywie jakiejś myśli i nie popuszczają, dopóki ktoś jej nie wyrwie, i nawet wtedy ten ktoś wie, że nie obędzie się bez walki.

- Co pan sugeruje? - zapytałem.

Dearing odchylił się do tyłu. Przybrał zrezygnowaną, filozoficzną minę kogoś, kto

próbuję nonszalancko zdobywać informacje, zupełnie jakby wszystko, co mógłbym powiedzieć, tak naprawdę nie miało większego znaczenia.

- Sugeruję, że Alice Ruth Van Home, Laverna Stowell, Ellen May Levine, Catherine McRae i Virginia Perlman zostały zamordowane w okresie między listopadem 1939 roku a sierpniem roku 1942. To właśnie wtedy u Krugerów wybuchł pożar. Zginęła w nim mała dziewczynka, prawda? A Krugerowie dokądś odjechali...

- Do Uvalda w hrabstwie Toombs - wtrąciłem. - Zdaje się, że ktoś z ich rodziny miał tam farmę.

Dearing skinął głową.

- Tam pojechali - powiedział - ale tam nie zostali.

Zmarszczyłem brwi. Straciłem Krugerów z oczu i nigdy nie pytałem o ich losy. Być może w pewnym stopniu czułem ulgę, widząc, że wyjeżdżają. Ich dalsza obecność przypominałaby mi o niewierności pana Krugera i śmierci Eleny.

- Wywiało ich do Jesup.

- Dokąd?

- Do Jesup - powtórzył Dearing. - W hrabstwie Wayne. - Otworzył jedną z szuflad biurka i wyciągnął z niej mapę. Rozwinął ją na blacie, wstał i dał znak, żebym popatrzył. Stuknął palcem i spojrzałem na punkt, który pokazywał. - Szósta dziewczynka Rebecca Leonard znaleziona została 10 września 1943 roku, właśnie tutaj, w Meridan, w hrabstwie McIntosh. Połóż tutaj palce.

Posłuchałem.

- SHERALYN WILLIAMS, siódmą dziewczynkę, odnaleziono 10 lutego 1945 roku, w Offerman, w hrabstwie Pierce. - Wyjął z kieszeni pięciocentówkę i położył ją na pokazywanym miejscu. - I w końcu ósma dziewczynka, jak wiesz, znaleziona tutaj, w Liberty, w hrabstwie Fleming. Esther Keppler. Ledwie kilka dni temu, 21 grudnia. - Dearing popatrzył na mnie. Staliśmy po przeciwnych stronach biurka, pochylając się nad mapą, jakbyśmy byli Bliicherem i Wellingtonem pod Waterloo. - I co widzisz?

- Widzę trzy miejsca, z Jesup pośrodku.

- Ja widzę to samo. Z Jesup do każdego z tych miejsc jest nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Ale może jednak coś znaczyć.

- I tylko dlatego, że te trzy miejsca tworzą trójkąt z Jesup pośrodku, uważa pan, że to Gunther Kruger stoi za tymi morderstwami.



Dearing prychnął pogardliwie i złożył mapę.

- Cholera, wcale nic takiego nie myślę.

Byłem zmieszany. Nie wiedziałem, dokąd Dearing zmierza ze swoimi sugestiami i insynuacjami.

- Mam osiem zamordowanych dziewczynek, dziewięć, jeśli wliczyć córkę Krugera. Ta ostatnia nie pasuje mi do tego. Kruger nie podpaliłby własnego domu. Pożar wywołał ktoś, kto uważał, że to Kruger stoi za tymi zbrodniami. Albo był to wypadek. Tak jak mówiłem, mam osiem zamordowanych dziewczynek, najmłodszą w wieku siedmiu lat, najstarszą jedenastolatkę. Czterech szeryfów z czterech hrabstw nie może wydusić żadnej odpowiedzi z ust rodziców ofiar dotyczących tego, co się stało i kto mógł to zrobić. Miałem jednego podejrzanego, może dwóch, ale nic na temat żadnego z nich. Oto miejsce, w którym jestem, a przecież wszystko to zaczęło się sześć lat temu...

- Tak nam się wydaje - przerwałem mu.

- Co takiego?

- Wydaje się nam, że to się zaczęło sześć lat temu - wyjaśniłem.

- To mogło się tak naprawdę zacząć znacznie wcześniej, po prostu nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Dearing potrząsnął głową. Dopiero patrząc na niego z bliska, uświadomiłem sobie, jak bardzo się postarzał. Jego twarz była pozbombowana bruzdami, nie tyle zmarszczkami, co zapadniętymi miejscami, gdzie siły inwazyjne czasu zajmowały terytorium młodości. Wyglądał niczym pogniecione zdjęcie, które nie będzie już nigdy idealnie gładkie.

- Nie wiem, czy chcę słyszeć takie rzeczy - powiedział cicho Dearing. Sprawiał wrażenie zmęczonego, wręcz przytłoczonego.

- Przepraszam, szeryfie, nie chciałem...

Uniósł rękę i pokręcił głową.

- Nie przejmuj się. Ja po prostu chciałem pogadać. Znam cię od małego, a ta sprawa z panną Webber... - Przerwał i spojrzał na mnie.

- Ile ona właściwie ma lat, Josephie?

Usiadłem i popatrzyłem na niego.

- Dwadzieścia sześć, szeryfie, już panu mówiłem.

Dearing również usiadł i przyciągnął mapę do krawędzi biurka.

- Jasne, że tak, jasne. Ja tylko...

Uśmiechnąłem się do niego.

- Wie pan co? Staram się myśleć jak najprościej. Pan wyraża opinię, ja jej wysłuchuję.

Inna kwestia, czy się z nią zgadzam, czy nie. Ludzie myślą, co myślą, zawsze tak było i będzie. Jestem pewien, że są ludzie, którzy znajdują jakąś pociechę w krytykowaniu tego czy tamtego. Tacy ludzie, jak mi się wydaje, są pełni goryczy i schadenfreude.

- Szadeczego?

- Schadenfreude... To słowo oznacza uczucie radości z powodu nieszczęść bliźnich.

Wie pan, co mam na myśli, prawda?

- Do diabła, pewnie, że tak - powiedział. - To doskonale opisuje tę starą flandrę, siostrę mojej żony.

Roześmiałem się na widok wyrazu twarzy Dearinga. Wyglądał, jakby w usta nabrał miedzianych plomb.

- W każdym razie, jeśli ma pan coś do powiedzenia, niech pan to powie, mnie nie tak łatwo obrazić.

Dearing wzruszył ramionami.

- Niech mnie diabli, Joseph, wyglądasz jak... Jezu, sam nie wiem, jak wyglądasz. Jak jakiś Rasputin albo ktoś taki. Włosy masz za długie, a ta broda nadaje ci wygląd szaleńca. A teraz jeszcze ta sprawa z nauczycielką. Byłeś cholernie blisko stanięcia przed sądem za obnażanie się w miejscu publicznym i nieprzystojne zachowanie... Miałeś szczęście, że Burnett Fermor nie obdarł cię ze skóry. W połączeniu z tym, jak wyglądasz... Do diabła, Fermor nie był pierwszą osobą, która podejrzewała cię o te morderstwa.

Serce przestało mi bić. Przez chwilę nie mogłem oddychać. Usiłowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

- Znalazłeś Perlmanównę - ciągnął Dearing. - Kilka innych ofiar zostało znalezionych bardzo blisko twojego domu. Istnieje nawet możliwość, że to ty podłożyłeś ogień, żeby odwrócić uwagę.

- O czym pan mówi?

- To nic takiego, Josephie... To tylko wieśniacy, którzy mają w sobie więcej strachu niż zdrowego rozsądku. Tak właśnie zaczynają się wszelkie uprzedzenia. Ludzie się boją, głównie głupi ludzie, którzy mają za dużo czasu i ten czas wypełniają im lęki..To proste... Zobacz, jak to działa w przypadku czarnych. Jeśli tylko coś ginie, wszyscy mówią, że to sprawka czarnuchów. Jeśli było włamanie do czyjegoś domu, na pewno stoi za tym czarny. Z pewnością nie możesz liczyć na żadną przychylność w Augusta Falls i mówię ci o tym dlatego, że na sto procent nikt inny ci tego nie powie.

- Nie wierzę!

- Musisz zrozumieć, co się tutaj dzieje, Josephie. To trwało od lat. Ludzie są naprawdę

przerażeni. Chcą wiedzieć, o co chodzi. Nie chcą słyszeć o tym, ile śladów zbadaliśmy. Nie chcą słyszeć o włóczęgach, których wyciągaliśmy z wagonów towarowych i przetrzymywaliśmy dwie doby, zanim wytrzeźwieli na tyle, żeby móc odpowiedzieć na pytania. Chcą, żebyśmy przynieśli im głowę mordercy dzieci, to wszystko. - Dearing westchnął z irytacją. - Anonimowe telefony. Jezu, chcesz usłyszeć o anonimowych telefonach? Każdy z nich, rozumiesz, KAŻDY musiał być sprawdzony... - Zamknął oczy. - Musisz zrozumieć jedno, może bardziej niż cokolwiek innego, a mianowicie to, że albo się dostosujesz do oczekiwań innych ludzi, albo będą do ciebie uprzedzeni.

- To chore, szeryfie - przerwałem mu. - To po prostu...

- Uspokój się - powiedział Dearing.

Ścisnąłem poręczę krzesła tak mocno, że ręce mnie zabolowały.

- To nie jest żaden zarzut, Josephie. To tylko pogłoski, plotki i paplanina ludzi, którzy wiedzą lepiej. Ludzi, którzy są przerażeni, ludzi, którzy stracili swoje córki i chcą odpowiedzi, chcą wiedzieć, kto za to odpowiada, a kiedy przerażeni ludzie rozmawiają razem, naturalne jest, że zaczynają podejrzewać każdego, kto jest trochę inny od nich, trochę odstający od normy.

- Ale chyba nie mówi pan serio... Nie powie mi pan, że ludzie naprawdę myślą, że mogą mieć coś wspólnego z mordowaniem dziewczynek?

- To, co ludzie myślą, i to, co jest prawdą, to dwie różne rzeczy, wierz mi. Ja tylko mówię, że kiedy Gunther Kruger był jeszcze tutaj, widzieli w nim cudzoziemca, Niemca, a w jego córce - dziewczynkę z posiniaczonymi ramionami. Potem wybuchła wojna. Ludzie stali się zgorzkniali i komuś udało się ich przekonać, że to Kruger jest mordercą. Wiem; że to nie ty podpaliłeś ten dom. Nie sądzę, żebyś miał mordercze myśli w głowie. Teraz Krugera nie ma, równie dobrze mógł zniknąć z powierzchni ziemi i ludzie pozostali z niczym. Co mają robić? Co mają do roboty poza szukaniem następnej osoby, która od nich odstaje, która wygląda trochę inaczej.

Dearing przerwał, żeby nabrać powietrza.

- I pozwala im pan tak myśleć? - zapytałem, nie wierząc, że w ogóle uczestniczę w tego rodzaju rozmowie.

- Jezu, a ty myślisz, że kim jestem? Myślisz, że mam najmniejszy choćby wpływ na to, co ludzie myślą i robią w wolnym czasie? Nikt nie łamie prawa swoimi myślami, a jeśli sobie trochę pogadają nad kilkoma piwami, jeśli kobiety, robiąc kołdry, trochę sobie poplotkują, to co mam, do diabła, z tym począć? Twoim zdaniem powinienem wpraszać się na wszystkie spotkania towarzyskie w Augusta Falls, słuchać oszczerczych słów na temat

Josepha Vaughana, a potem próbować przemówić ludziom do rozumu?

Potrząsnąłem głową. Czułem się zaniepokojony i zirytowany. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Po prostu staram ci się wytłumaczyć, że ponosisz trochę odpowiedzialności za to, jakim cię ludzie widzą. Rozumiesz? Nie jesteś już dzieckiem, Josephie. Nie należysz już do Strażników. Dorosłeś i ludzie biorą cię takim, jakim cię widzą, ani więcej, ani mniej.

Popatrzyłem Dearingowi w oczy. Czułem, że blednę. Wyobrażałem sobie, że wyglądam jak człowiek nawiedzony przez ducha, a może jak duch nawiedzający kogoś.

- Twierdzi pan, że muszę się dostosować, żeby wyglądać i zachowywać się tak jak wszyscy. Albo to, albo ktoś może podpalić mi dom, kiedy będę spał. A równocześnie mogą też dopaść nauczycielkę i nie ma znaczenia, że jest może kimś więcej niż latawicą zadającą się z mordercą dzieci.

Dearing zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Cholera, synku, jesteś pełen jadu i goryczy.

Pochyliłem się. Byłem zmęczony. Determinacja spadła jak ciśnienie w przebitej oponie. Moje serce było jak zaciśnięta pięść. Ta pięść nie zamierzała w nic uderzyć.

- Co takiego? - zapytał Dearing.

Zasepiłem się.

- Wyglądasz, jakbyś zamierzał...

- Kogoś zabić? - zapytałem sarkastycznie.

- Ty to powiedziałeś - odparł Dearing.

- Ale to pan włożył mi tę myśl do głowy.

- To diabeł wkłada takie myśli ludziom do głów, Josephie.

- Serio?

- Moim zdaniem tak.

Skinąłem głową i spojrzałem w kierunku drzwi.

- Ma pan z nim bezpośrednie połączenie? To on panu kazał ze mną rozmawiać?

Dearing potrząsnął głową. Kąciki ust mu opadły i odniosłem wrażenie, że chce już skończyć.

- No, teraz to już gadasz jak zupełny szaleniec.

- Cóż, skoro zabijałem dziewczynki i podpaliłem dom Gunthera Krugera... Do licha, nie zapominajmy o sprowadzeniu na złą drogę nauczycielki i...

Dearing uniósł rękę.

- Czas już zakończyć tę rozmowę, Josephie Vaughanie. Znam cię lepiej, niż myślisz.

Wiem, że nikogo nie zabiłeś. Wiem, że nie podpaliłeś domu Krugera i nigdy nie twierdziłem, że to zrobiłeś. Niepokoję się o ciebie, chłopcze. Mówiłem ci, że ludzie są przerażeni. Oni nie są najbystrzejsi. Ten twój przyjaciel Reilly Hawkins. Na sto procent nie jest najbardziej łąbskim gościem na świecie, ale na pewno jest najmądrzejszym spośród tych, których znasz. Wystarczy tylko słowo. Wiesz, co mam na myśli: Joseph Vaughan... Do diabła, podejrzenie wygląda... Słyszeliście

Onim i nauczycielce? Słodka dziewczyna opiekująca się dziećmi. Słyszeliście, że wywiózł ją do hrabstwa Clinch i robił z nią różne świńskie rzeczy z tyłu furgonetki? Nakrył go Burnett Fermor... Wiesz, dokąd zmierzam, Josephie, czy zgubiłeś się na ostatnim skrzyżowaniu?

Skinąłem głową. Czuję się pokonany. Wiedziałem, o co chodzi. Wiedziałem też, że Dearing nie wpakuje mnie do więzienia. Nie podobało mi się, że to, kim byłem, zostało podważone, że będę musiał zmienić swój wygląd, sposób bycia... do diabła, nie podobało mi się, że nie mogę być tym, kim chciałem, bez wtrącania się innych.

- Rozumiem - powiedziałem cicho.

- To dobrze - odparł Dearing. - Cieszę się.

- Mogę już iść?

- Możesz. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi? - Dearing wstał ze swojego długo cierpiącego krzesła i wyciągnął rękę.

Uścisnąłem ją.

- Jasne, że tak, nigdy nie było inaczej.

- Przypatrz się temu wszystkiemu i może...

- Mam się zastanowić, jak przekonać ludzi, że nie jestem mordercą dzieci?

Dearing zmrużył oczy. Przechylił głowę w bok i spojrzał na mnie krzywo.

- Nie przesadzaj z żartami, Josephie... Ludzie tutaj nie znają się na żartach. Nie zapominaj, że jesteś mądrzejszy niż większość z nich. Nie wyłapią sarkazmu. Powiesz coś, a oni mogą to opatrzenie zrozumieć.

- W porządku. Jestem zmęczony. Pójdę już do domu. - Wstałem

I odwróciłem się w kierunku drzwi.

- Przyjdź do mnie w razie jakichś kłopotów, dobrze? Uważam za swój obowiązek opiekować się tobą, biorąc od uwagę, co się stało z twoimi rodzicami.

- Doceniam to, szeryfie, ale nie sądzę, żeby miał pan powody do zmartwienia.

Dearing uśmiechnął się.

- To zmartwienia sprawiają, że tak młodo wyglądam.

Pozbyłem się brody. Przyciąłem ją nożyczkami, a potem namydliłem twarz i zgoliłem zarost. Człowiek, który patrzył na mnie z lustra, odmłodził o dobrych kilka lat. Wyglądałem jak nastolatek, którym zresztą byłem.

Przez ten tydzień, kiedy nie było Alex, prawie nie wychodziłem z domu. Pisałem jak opętany. Zdania, akapity, przypadkowe myśli. Wypełniłem cały zeszyt, a potem zacząłem zapisywać luźne kartki.

Czwartego stycznia pojechałem na przystanek autobusowy, żeby odebrać Alex. W pierwszej chwili mnie nie poznała.

- Twoja broda - wyjąkała.

Uśmiechnąłem się. Czuję się strasznie miody. Miała na sobie sukienkę z jedwabiu - błękitną, z wykończeniami w kolorze kości słoniowej. Nie wyglądała staro, ale starzej niż wtedy, gdy wyjeżdżała. Różnica wieku między nami stała się bardziej widoczna.

Objęliśmy się w szoferce. Była ciepła, realna i namacalna. Samotność była zdecydowanie nie dla mnie.

- Chciałbym, żebyś w domu obcięła mi włosy - powiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Przez demokrację.

- Demokrację?

- Ustrój polityczny charakteryzujący się tolerancją wobec mniejszości, wolnością wypowiedzi, szacunkiem wobec podstawowej godności i wartości człowieka, dający każdemu równe szanse rozwoju...

- Joseph! - krzyknęła. - Przestań... Co się dzieje?

- Przez demokrację, która podobno panuje w tym kraju. - Opowiedziałem jej o spotkaniu z Dearingiem. - Sama widzisz - dodałem. - Po zniknięciu Gunthera Krugera stałem się wrogiem publicznym numer jeden.

Roześmiała się.

- Jedźmy do domu - powiedziała.

Potrząsnąłem głową.

- Nie rozumiesz.

- Rozumiem, że byłeś sam przez tydzień. Rozumiem, że żywiłeś się hamburgerami i piwem korzennym, że najprawdopodobniej całą noc zaciekle pisałeś i że potrzebujesz gorącej kąpieli i cholernie dobrego pieprzenia. Dopiero wtedy słowa, które wychodzą z twoich ust, przestaną być takie szalone i paranoiczne.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

Alex odwróciła się i spojrzała na mnie. Uniosła brwi i przechyliła głowę.

- Jedź już - powiedziała stanowczo i skinęła na przednią szybę. - Stul swoją głupią gębę i jedź.

Nazajutrz udałem się do miasta. Zatrzymałem się w bibliotece i poprosiłem o gazety sprzed trzech lat. Znalazłem artykuły poświęcone Rebecce Leonard i Sheralyn Williams. Nie dowiedziałem się z nich nic więcej poza tym, że zostały znalezione martwe. Wydarłem z gazet strony z artykułami o nich i schowałem do kieszeni. Później, w domu, wyciąłem te artykuły i włożyłem je do pudełka. Osiem wycinków. Osiem martwych dziewczynek. Wyobraziłem sobie, co powiedziałby Dearing, gdyby przeszukał mój dom i znalazł te wycinki.

Amerykańska armia aresztowała we Włoszech Ezrę Pounda i odesłała go do Stanów. Został uznany za szalonego i umieszczony w St. Elizabeth's Asylum w Waszyngtonie. Krążyły plotki, że pięćdziesiąt tysięcy angielskich dziewcząt popłynę do Ameryki, wszystkie jako „wojenne narzeczone” amerykańskich żołnierzy wysłanych za granicę. W Paryżu wybuchły zamieszki w związku z brakiem chleba. ZSRR donosił o odnalezieniu stu dziewięćdziesięciu tysięcy zwłok na Śląsku. Mieli to być rosyjscy, angielscy, polscy i francuscy jeńcy wojenni. Ci naziści, którzy uciekli przed procesami norymberskimi, szukali schronienia w Argentynie. Czytałem gazety. Patrzyłem, jak świat otrząsa się z okropieństw wojny. Te wydarzenia były kamieniami milowymi mojego życia; znakami przestankowymi, które przerywały rytm mojej egzystencji.

W dalszym ciągu pracowałem dorywczo na świeżym powietrzu, stawiając płoty, pomagając przy sianiu i żniwach. Alex i ja rozmawialiśmy o wyjeździe z Augusta Falls, ale potem ona przedłużyła umowę w szkole o kolejne dwa lata. Nie kłóciliśmy się o tę decyzję, mimo że wydawała się przeczyć temu, co planowaliśmy. Prawda była prosta: chociaż myślałem o wyjeździe, zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam dokąd jechać. Bez celu podróży to nie był prawdziwy plan. Bez celu podróży nie było rozczarowania.

Kiedy nie pracowałem, zostawałem w domu i pisałem. Stworzyłem opowiadanie o mężczyźnie, którego cudem ominęła Śmierć i odtąd już zawsze myślał, że ją oszukał. Wyobrażał sobie, że widział Śmierć w ciemności, „jej oczy były żółte, intensywnie żółte jak płomień siarki, roztaczała słonawy zapach rozgrzanego metalu, oferowała takie towary jak zapalenie płuc, pelagra, strangulacja i gangrena”. Kiedy opowiadanie było już gotowe, wysłałem je do „New York Review”. Przesłali mi czterdzieści pięć dolarów i opublikowali je w trzecim tygodniu czerwca. Otrzymałem też list od czytelnika, przesłany mi za

pośrednictwem „Review”, i czytelnik - podpisujący się Baranek Boży - wyjaśnił mi bez ogródek, że służę Lucyferowi, pisząc takie rzeczy; zamieścił przy tym cytat z Księgi Ezechiela: „Ponieważ przypomnieliście sobie swoje nieprawości, a wasze przewinienia stały się jawne i grzechy w całym waszym postępowaniu widoczne, dlatego z własnej winy zostaniecie pojmani... Miecz, miecz! Wyostrzono go i wyczyszczono. Na krwawy bój wyostrzono, by lśnił jak błyskawica, wyczyszczono... Staniesz się strawą dla ognia, krew twoja będzie płynąć w środku kraju i nie pozostawisz po sobie wspomnienia...”. Zastanawiałem się, czy nie odpisać i nie zapytać, jak pan Baranek Boży znalazł się w posiadaniu egzemplarza „Review”, ale w końcu zrezygnowałem. Dołączyłem ten list do tego od jury konkursu z Atlanty. Był to dowód na to, że w jakiś sposób dotarłem do świata, a świat mi odpowiedział.

Im bliżej było zimy, tym więcej czasu spędzałem z Reillym Hawkinsem. Wydawał się starzec dwa, trzy lata z każdym moim rokiem. Zmienił się. Jego wzrok stał się przygaszony i zamyślony, wyczerpany jakimś niekończącym się ciężarem, zupełnie jakby zaginęła jego córka albo żona odeszła do innego. Reilly nie miał ani jednej, ani drugiej, ale jego oczy mówiły o duchowym głodzie, który nigdy nie został zaspokojony.

- Miałem też siostrę, wiesz? - powiedział mi pewnego razu. Siedzieliśmy w jego kuchni.

Zmarszczyłem brwi.

- Siostrę? Myślałem, że byliście tylko ty, Levin i Lucius.

- Nie, mieliśmy też siostrę. Tylko jedną. - Reilly uśmiechnął się z nostalgią. - Naprawdę śliczną. Rudawozłote włosy. Uderzył w nią piorun, kiedy była dzieckiem. - Reilly popatrzył na mnie i na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Po tym zdarzeniu nie mogła nosić zegarka... Za każdym razem, gdy włożyła zegarek, wskazówki chodziły do tyłu. Po prostu niesamowite. Najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu. - Wzruszył ramionami. - Hope... tak miała na imię. Hope Hawkins.

- I co z nią? - zapytałem.

- Z Hope? Nie żyje.

- Co się stało?

- Spadła z konia i skręciła sobie kark. Miała jedenaście lat.

- Jezu, dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

Reilly pochylił głowę i wolno wypuścił powietrze. Kiedy uniósł wzrok, jego oczy były błyszczące i wilgotne.

- Chyba o niektórych rzeczach po prostu nie chce się pamiętać.



Pomyślałem o tym, jak stopniowo wymazywałem matkę z codziennych myśli. Chwytała mnie zniechęca. Zapach, dźwięk, coś z tyłu szuflady, jakiś mały przedmiot bez znaczenia, który nagle zaczynał emanować mocą wystarczającą, by przywrócić wspomnienie w pełnej barwie wraz ze związanymi z nim emocjami. W miarę jak byłem starszy, wierzyłem, że podobne rzeczy zdarzają się za moją sprawą.

- Wiem, jak to jest - przyznałem.

Reilly uśmiechnął się.

- Wiem - wyszeptał. - Wiem.

Nie mówiliśmy już ani o Hope, ani o Levinie. Wypiliśmy trochę lemoniady, a potem założyliśmy blok w stodole, żeby wyciągnąć silnik z traktora.

Później Reilly powiedział, że czytał moje opowiadanie, że Alex dała mu egzemplarz „New York Review”.

- Podążaj za światłem - powiedział.

- Światłem? Jakim światłem?

- Niektórzy mają światło, Josephie... ścieżkę, powód istnienia. To rzadki dar, a kiedy już go masz, musisz za nim podążać. Twoje opowiadanie zrobiło na mnie duże wrażenie. Potrafisz tak układać zdania, że ludzie je rozumieją. To właśnie powinieneś robić, a nie brudzić palce smarem, naprawiając ze mną silniki.

- Lubię ci pomagać - zaprotestowałem. - Lubię naprawiać silniki.

Reilly skinął głową.

- Rób, jak uważasz, Josephie Vaughanie.

Nie powiedział już nic więcej, ale później porozmawiałem z Alex.

- Napisz książkę - poradziła mi.

- Książkę? - powtórzyłem i pomyślałem o tym, co zacząłem pisać dawno temu.

Pomyślałem o Conradzie Moodym, o opatrności i przeznaczeniu.

- Tacy ludzie jak ty zawsze noszą w sobie jakąś książkę - powiedziała Alex.

Roześmiałem się.

- Mówię poważnie - stwierdziła. Wstała z krzesła przy stole w kuchni. Okrążyła go i stanęła za mną. Masowała moje ramiona, dopóki nie poczułem, że napięcie z całego dnia odpływa ze mnie jak woda. - Każdy ma w sobie jakąś książkę - powiedziała. - Niektórzy noszą w sobie dwie, trzy albo dwadzieścia. Większość wie o tym, ale nie może sobie poradzić z jej napisaniem. Ty możesz, a nawet powinieneś. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz wściekły na siebie, a ta wściekłość będzie co jakiś czas powracać, żeby przypomnieć ci, że nie odeszła.

Nazajutrz rano przejechałem granicę stanu i znalazłem się na Florydzie. Znalazłem

dwupiętrową księgarnię w Jacksonville. Kupiłem Vocabularies Hartrampfa, The ThirtySix Dramatic Situations Poltiego i książkę pod tytułem Plotto: A New Method of Plot Suggestion for Writers of Creative Fiction Williama Wallace'a Cooka. Zatrzymałem się w kafejce na rogu Cecil i Fernandina. Wypiłem 7-up, przeczytałem kilka akapitów i spróbowałem przekonać siebie, że to właśnie zrobię: napiszę książkę. Joseph Calvin Vaughan - Wielka amerykańska powieść. Pewność siebie opuściła mnie mniej więcej po dwudziestu minutach. Zebrałem książki i wrzuciłem je do kosza na śmieci na chodniku. Włączyłem się bez celu przez jakąś godzinę, a potem wróciłem do Augusta Falls.

Kiedy przyjechałem do domu późnym popołudniem, w rękę trzymając pismo „Madamoiselle” dla Alex, dowiedziałem się, że znaleziono ciało kolejnej dziewczynki.

Był czwartek, 10 października 1946 roku, dzień przed moimi dziewiętnastymi urodzinami.

Moje sny nawiedzał obraz Virginii Grace Perlman.

Dźwięki też... Jak odgłos ciężkiego kija uderzającego o sztachety płotu albo ciągniętego w dół schodów. I ucisk w piersi, uczucie, którego doświadczyłem, kiedy ją zobaczyłem.

Leżała na ziemi.

Leżała na ziemi, jakby udała się na spoczynek.

I nieważne, jak bardzo się starałem, nieważne, ile razy rozmawiałem z Alex, ile razy budziłem się złany potem w zimnej poświacie budzącego się świtu, wciąż czułem to samo, wciąż to samo widziałem...

Nad moją głową zwiędłe liście zwijały się na gałęziach niczym dziecięce dłonie, rączki niemowlaka. Podejmowały ostatni wysiłek, żeby wyciągnąć resztki lata z powietrza.

I myślałem, jak ona musiała się czuć...

Przestań! Pomocy... Jezu, pomóż!

Dziewczynka - ramiona jak gałązki, nogi jak konary młodego drzewka, włosy jak len, pachnąca jak brzoskwinia, oczy jak szafiry.

A potem sobie uświadamiałem, że to znowu się stało.

I również tym razem, tak jak poprzednim, nikt nie pomógł.

Miała na imię Mary. Tak samo jak moja matka. Mary Tait. Mieszkała w Surrency, w hrabstwie Appling, trzydzieści kilometrów na północny zachód od Jesup, osiem kilometrów od granicy hrabstwa Wayne. Miała dwanaście lat. Nie dane jej było dożyć trzynastu. Cztery dni po znalezieniu ciała „Appling County Gazette” zamieściła jej fotografię. Mary Tait była ładną dziewczynką, o dużych oczach i minie pełnej wyczekiwania na to, co świat jej zaoferuje

i co będzie mogła dać w zamian, i tylko to świat będzie o niej wiedział, już nic więcej. Wyciąłem artykuł i schowałem go w pudełku z innymi. Niektóre zdążyły już wypłowić, druk wyglądał tak, jakby był widziany przez mgiełkę.

Tułów i głowę Mary Tait znaleziono w płytkim dole w pobliżu Odum. Odum leżało niedaleko rzeki Little Satilla, dopływu swej starszej siostry, która rozwidła się przy Screven. Obie ręce dziewczynki zostały odcięte, podobnie jak nogi. Nigdy ich nie znaleziono, a z tego, co można było wyczytać ze śladów na ziemi i kamieniach, wynikało, że te części ciała zostały wrzucone do rzeki i poniesione przez prąd. Odum leżało w hrabstwie Wayne, rodzinnym miastem Mary Tait było natomiast Appling. Teraz sprawą zajmowało się już sześciu szeryfów z sześciu hrabstw: Dearing z Charlton, Ford Ruby z Camden, Fermor z Clinch, Landis z Liberty i dwóch nowych - John Radcliffe z Appling i George Burwell z Wayne.

Ich pierwsze spotkanie odbyło się w Jesup, najbliższej miejsca znalezienia ciała Mary, we wtorek, 15 października. Deszcz uderzał o drogi i pola, brutalny i niesłabnący, i duszna atmosfera udzieliła swojej mrocznej melancholii zgromadzonym. Spotkali się po południu, jednak pochmurne niebo przydało tej porze dnia mroku wieczoru.

Rozmyślałem o swojej matce; o tym, że wierzyła, iż zna tożsamość zabójcy dzieci.

- Nie sądzę - powiedziała Alex. - Ona jest... cóż... jest...

- Szalona? - podpowiedziałem. Siedzieliśmy w kuchni domu Alex. Wiedziałem o spotkaniu w Jesup. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Sześć hrabstw, sześciu szeryfów, dziewięć zabitych dziewczynek.

Alex uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

- Niełatwo jest powiedzieć prawdę, co?

- Dlaczego szukamy wymówek? - zapytałem. - Prawda to prawda. Ona jest szalona. Nie wiem dlaczego i nie ma to w tej chwili znaczenia. Niezależnie od tego, gdzie obecnie bawi, nie wraca. To jedno wiem. Ona jest wariatką, Alex. Może to poczucie winy sprawiło, że odleciała najdalej, jak tylko można.

- Poczucie winy?

Roześmiałem się. Dźwięk, który się rozległ, był płytki, przepełniony goryczą, ale nie czułem goryczy - nie teraz, nie po tylu latach, nie po tym wszystkim, co się stało.

- Po tym, co zaszło między nią a Guntherem Krugerem...

Alex uniosła rękę.

- Tak - powiedziała pospiesznie. - Tak, oczywiście... Przepraszam, myślałam, że chodzi ci o coś innego.

Nie odpowiedziałem. Podeszedłem do okna. Deszcz uderzał wściekle o szybę

brudnymi strugami; płynny atak. Niebo było pomarańczowe, szare na krawędziach niczym nieświeże mięso. Powietrze było ciężkie i duszne. Wydawało się, że niebo zarzuciło kurtynę pomiędzy nami a resztą świata. Później, chyba kilka minut później - straciłem poczucie czasu

- Alex zapytała:

- O czym myślisz?

- O czym myślę? - Odwróciłem się do niej. - Myślę o spotkaniu w Jesup.

- Czy to z powodu tej znalezionej przez ciebie dziewczynki?

Zmarszczyłem brwi.

- Z powodu tej znalezionej przeze mnie dziewczynki? O czym ty mówisz?

Alex spojrzała mi prosto w oczy.

- O tym, że nie umiesz tego odpuścić. O tym, że to wydaje się pochłaniać cię bez reszty.

- To mnie nie pochłania - odparłem. - Skąd takie wrażenie?

Machnęła lekceważąco ręką.

- Nie wiem, dokąd zmierzasz... I mam uczucie, że ty również tego nie wiesz.

Uśmiechnąłem się. Alex umiała łagodnie mi uzmysłowić, kiedy granice między tym, co wewnątrz mnie, a tym, co na zewnątrz, się zacierały.

- Co z twoją książką? Miałeś napisać książkę.

Otworzyłem usta, potem je zamknąłem i potrząsnąłem głową.

- Chyba nie mam jeszcze za dużo do powiedzenia na ten temat.

Alex milczała przez jakiś czas, a potem wstała i podeszła do mnie. Jej wyraz twarzy był nie do rozszyfrowania, cera blada, chociaż błyszcząca; storczyk w świetle poranka. Zmrużyła swe głęboko osadzone oczy. Już kiedyś to widziałem.

Ponownie otworzyłem usta.

Uniosła rękę i dotknęła moich warg palcem wskazującym.

- Duchy - wyszeptała. Przycisnęła swój policzek do mojego.

- Duchy? - powtórzyłem.

- Wszyscy mają jakieś duchy, Josephie... duchy przeszłości, duchy teraźniejszości, duchy przyszłości.

- Nie rozu...

- Ciii... - Odchyliła się i popatrzyła na mnie swoimi chabrowymi oczami, które jakimś cudem wciąż nosiły w sobie wspomnienie słońca Syracuse. - Nikt nie wie, co się wydarzyło. Nikt z wyjątkiem samego mordercy. Nie wie tego twoja matka ani sześciu szeryfów z sześciu hrabstw. Mogą o tym gadać przez wieki, ale dopóki on nie zrobi czegoś, co da im nazwisko,

twarz, ślad pozwalający go zidentyfikować, to będzie tylko czcza gadanina. Słowa mają wartość tylko wtedy, jeśli mówi się coś wartego usłyszenia.

Przerwała; chwyciła moją prawą rękę, uniosła swoją lewą i przyłożyła dłoń do mojej twarzy.

- Masz talent do tworzenia wartościowych słów, Josephie Vaughanie, zawsze miałeś. Już jako dziecko...

- Nie chcę, żebyś mi przypominała czasy dzieciństwa...

Roześmiała się.

- Dlaczego? Jezu, masz dziewiętnaście lat. Jesteś teraz mężczyzną, a nie małym chłopcem. Jest między nami różnica kilku lat i jeśli nie pogodzisz się z tym teraz, prawdopodobnie nie pogodzisz się nigdy.

Próbowała się odsunąć.

Chwyciłem ją i nie puszczałem; przyciągnąłem do siebie i siłą pocałowałem.

Alex wrywała się. W końcu udało jej się ode mnie odsunąć.

- Może powinieneś pomyśleć o tym, co masz, a nie o tym, co...

Jeszcze raz zamknąłem jej usta pocałunkiem i uciszyłem ją. Otworzyła szeroko oczy. Cofnąłem się i spojrzałem na nią.

- No i? - zapytała.

- No i co?

- Czy zamierzasz dalej być ponury i zadręczać się czymś, na co nie masz wpływu, czy też zostaniesz pisarzem?

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

- Czy to przyznanie się do własnej głupoty, czy niepewność, co odpowiedzieć?

- To pierwsze.

- Przyznajesz się do własnej głupoty? - zakpiła.

- Przyznaję się do głupoty, żeby zadowolić moją towarzyszkę.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

- I myślisz, że mówiąc takie rzeczy, oczarujesz dziewczynę?

- Nie chcę cię oczarować.

- Ach tak, nie chcesz. A właściwie dlaczego?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

- Dlatego, że jesteś już moja, Alexandro Webber, jesteś już moja.

- Pieprz się, Josephie Vaughanie.

- Ty też się pieprz.
- Nie kiedy mówisz do mnie w ten sposób.
- Tylko tyle?

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Tylko tyle.

Chwyciłem ją za rękę, przytrzymałem je mocno przy jej bokach, a potem odwróciłem ją do kuchennych drzwi.

- Na górę - powiedziałem i pochyliłem się, by ugryźć ją w ramię.

Krzyknęła z bólu i próbowała się wyrwać. Trzymałem ją jednak mocno i popchnąłem do schodów.

- Myślisz, że gdy zdołasz mnie zaciągnąć na górę, dojdzie jeszcze do czegoś innego? - zapytała.

- Och, mam tu coś, co sprawi, że do tego dojdzie, kochanie, wierz mi... Zdecydowanie mam tu coś, co sprawi, że do tego dojdzie.

Tego wieczoru, wieczoru spotkania szeryfów w Jesup, kochaliśmy się tak, jakbyśmy szukali zemsty za nieznaną zbrodnię.

Dziesięć dni później wracałem z jakiejś fuchy, którą wykonywaliśmy z Reillym. Wyszedłem z jego domu, przeszedłem przez pole i ruszyłem drogą do siebie.

Widziałem Alex na ganku z odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Stała w bezruchu i chociaż się nie ruszała, było w niej coś, co momentalnie wyczułem...

Zacząłem biec. Kiedy dotarłem do końca drogi i skręciłem na ścieżkę, już ciężko dyszałem.

A ona dalej się nie ruszała. Nawet wtedy, gdy dotarłem do niej z wyciągniętą ręką.

Otworzyłem usta, żeby zapytać, co się stało.

Zaczęła się uśmiechać. Po chwili już się śmiała.

- Nie... - powiedziałem. - Jesteś pewna?

Skinęła głową, zrobiła krok do tyłu i usiadła na schodach.

- Jestem pewna, Josephie, tak bardzo, jak tylko można.

- Mój Boże - wyszeptalem. Ukłękłem przed nią. Objąłem ją w pasie, przytuliłem do siebie, a potem - nagle uświadamiając sobie, jak mocno ją ścisnąłem - puściłem. - Przepraszam - powiedziałem.

- Nic się nie stało - odparła. - Nic się nie stało.

Ogarnęła mnie przemożna radość; innych uczuć nawet nie potrafiłem opisać. Czułem się tak, jakbym wreszcie znalazł swoje miejsce.

- Jezu, Alex... zostaniemy rodzicami.

Przesunęła dłonią po moich włosach i przyciągnęła mnie do siebie.

- Wiem - wyszeptała. - Wiem...

Tej nocy, leżąc przy śpiącej Alex, myślałem o tym, co się stało, i o tym, że to przywraca równowagę. Życie stworzone za życie stracone. Kolejne dziecko zostało zamordowane, a ja będę ojcem. W tej chwili nie byłem pewien, która z tych rzeczy przerażała mnie bardziej.

Czasami wydawało mi się, że wiek jest wrogiem prawdy.

W miarę jak stajemy się coraz starsi, obrastając cynizmem i zgorzknieniem, tracimy dziecięcą niewinność. Wraz z tym zyskujemy wgląd w serca innych. Patrzymy w ich oczy i widzimy, kim naprawdę są. Oczy są oknami duszy; przyjrzyj się bliżej i zobaczysz odbite jej ciemniejsze aspekty.

Jestem teraz znacznie starszy, lecz chociaż prawda jest na wyciągnięcie ręki, chociaż znajduję się bliżej niej niż kiedykolwiek przedtem, boję się spojrzeć. Najbardziej się boję tego, że zobaczę własne odbicie.

Pamiętam Alabamę i Tennessee. Pamiętam takie miasta jak Union Springs, Helfin i Pułaski. Pamiętam kilometry, które pokonałem, osobę, którą się stałem, i myśląc o tym wszystkim, mam uczucie, jakbym przeżył równocześnie trzy albo cztery życia. Z każdą podróżą stawałem się starszy, z każdym kilometrem, każdym krokiem stawałem się coraz bardziej zgorzkniały i przyłapywałem się na uczuciach, których miałem nadzieję nigdy nie zaznać. Widziałem żądzę mordy, ale nie tylko mordy... widziałem chęć zadania temu człowiekowi bólu. Oko za oko.

Teraz mam go przed sobą i chociaż nie żyje, wyobrażam sobie, że słyszę jego myśli. Chcę, żeby zrozumiał, co robił, żeby pojął, że zniszczył życie wielu osobom, że sprowadził cierpienie na niewinne istoty. Chcę, żeby poczuł przerażenie, które wzbudzał, i chociaż wiem, że nie może go poczuć, wciąż mam na to nadzieję.

Mam nadzieję, że gdzieś istnieje lepsze miejsce dla mnie.

A gorsze - dla niego.

Do końca pierwszego trymestru borykaliśmy się z trudnościami finansowymi. Pieniądze sączyły się jak strużka krwi. Alex łatwo się męczyła. Doktor Piper orzekł, że ma oznaki anemii i braku żelaza, polecił spożywanie dużych ilości warzyw liściastych i krwistego mięsa. Podobnie jak w przypadku mojej matki. Zastanawiałem się, czy umiał on postawić tylko jedną diagnozę, znalazł jedno remedium, panaceum na wszystko. Nie mieliśmy pieniędzy na takie zbytki. Alex opuściła tak dużo dni w pracy, że zarząd szkoły zatrudnił zastępczynię.

Ta stara panna o zgorzkniałym sercu, najwyraźniej bardziej zdesperowana niż uczciwa, napisała długi raport do stanowego zarządu szkolnictwa, wyszczególniając w nim wszelkie niezgodności pomiędzy zalecanym programem nauczania a dziennikami Alex. Pod koniec stycznia pojawił się wizytator i przeprowadził rozmowy z niektórymi dziećmi. Nie znalazł powodu do wszczynania alarmu, ale zgodnie z wewnętrznymi przepisami zarządu każdy raport musiał być poddany szczegółowej kontroli, zanim można było podjąć działania lub ich zaniechać. Do tego czasu Alex została zawieszona. Wypłacali jej pensję, ale była to jedna czwarta normalnej kwoty. Zastępczyni zatrzymała posadę.

Alex siedziała w domu, stając się coraz bardziej przygnębiona i blada. Pracowałem najlepiej, jak potrafiłem, wykorzystywałem stosunki z farmerami i właścicielami posesji, żeby wykonywać drobne prace gospodarskie i remontowe. Myślałem o sprzedaży domu, ale nie mogłem tego zrobić. Moja matka, choć znajdowała się pod opieką państwa, fizycznie miała się dobrze. Prawo wymagało, żeby złożyła pod przysięgą pisemne oświadczenie, że ustala mnie swoim pełnomocnikiem. Dopiero wtedy mógłbym zacząć działać w jej imieniu. Wiosną 1947 roku, kiedy Alex zaczęła trzeci trymestr ciąży, spakowaliśmy jej rzeczy i przenieśliśmy do domu mojej matki. Nie stać nas było na opłacanie czynszu w domu Alex i dlatego go straciliśmy. Alex płakała nieustannie przez dwa dni, zasypiała, płacząc, i budziła się we łzach. Mało co jadła. Wezwałem doktora Pipera, który dał jej zastrzyki z żelaza. Miała bóle brzucha i w toalecie odkryłem krew. Nic nie odpowiedziała, kiedy ją o to zapytałem. Odsunęła się ode mnie, od ludzi, których знаła, od świata. W maju zawiozłem ją do szpitala w Waycross, pod pozorem odwiedzenia matki, i kiedy tam byliśmy, opuściłem ją na moment, żeby porozmawiać z pielęgniarką. Obiecała, że przyśle lekarza, który wejdzie do sali niby przypadkiem, uda, że nie podoba mu się cera Alex, zapyta, jak się czuje i zabierze ją na badania. Wszystko ułożyło się po mojej myśli. Podczas nieobecności Alex siedziałem przy matce, trzymając ją za rękę. Patrzyła na mnie oczami jakby przesłoniętymi przez dym. Spojrzałem na nią i wiedziałem, że tak naprawdę jej tam nie ma. Moja matka odeszła dawno temu. Jej widok w takim stanie przerażał mnie. Przyjechałem do szpitala ze względu na Alex, nie na matkę, i wydawało mi się, że już nie zdobędę się na kolejne odwiedziny.

Podczas godziny, którą ze sobą spędziliśmy, mówiła rzeczy, które nie miały dla mnie sensu. Mówiła o ludziach, których nie znałem, wymieniała nazwiska, których dotąd nie słyszałem, a kiedy próbowałem coś wyjaśnić, tylko na mnie patrzyła z wyrazem twarzy sprawiającym, że czułem się jak głupiutkie dziecko. Tylko raz powiedziała coś, co miało związek z moimi myślami, a kiedy słowa opuściły jej usta, zmroziło mnie.

Trajkotała bez przerwy, jej słowa zlewały się z sobą, jakby śpieszyły się, żeby opuścić



umysł i w środku monologu („Edward John Tyrell, wiesz? Był jak Edward John Tyrell z tym swoim wyprasowanym garniturem i wypolerowanymi butami, które świeciły jak latarnia morska, i stał tam, jakby zrobił coś złego”) nagle pochyliła się do mnie, jej półuśmiech zmienił się w coś bardziej złowieszczonego i powiedziała:

- Jak dzieci.

W tej chwili jej oczy były przejrzyste, błękitne, a wzrok przeszywający.

- Dzieci? - zapytałem.

- Ha! Dzieci! Co ty możesz wiedzieć o dzieciach! Tylko ja o nich wiedziałam... Ja i on, oczywiście. Wiedział wszystko o małych dziewczynkach, wiedział, kto robił te okropne rzeczy...

I wtedy przerwała w pół słowa i wpatrzyła się we mnie, dosłownie wbijając mnie w krzesło.

- Kim jesteś? - warknęła. - Co ty tu robisz? Nic ci nie powiem, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś!

Zmarszczyłem brwi.

- Jestem Jo...

Uniosła rękę.

- Mówiąc szczerze, nie chcę wiedzieć! Nie chcę wiedzieć, kim jesteś. Nie chcę wiedzieć nic o tym, kim jesteś i co robisz. Chcę żebyś już sobie poszedł... Tak, masz już iść. Czułam się świetnie, dopóki nie przyszedłeś i nie zacząłeś wypytywać, zadawać mi pytań, na które nie chcę odpowiadać... - Przerwała, żeby złapać oddech. Jej oczy wydawały się znowu zasnuwane mgłą. Odwróciła ode mnie twarz. - Nie uda im się mnie otruć, wiesz? Próbują mnie otruć swoimi kłamstwami i brudem, rzeczami, które mówią... Słyszę je, wiesz? Wszystkie je słyszę, ich kwilenie, ich płacz i nie chcą zrozumieć, że nie ma nic... - spojrzała na mnie - nie ma nic, co mogę zrobić, żeby im pomóc. Już za późno, za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Zaczęła bezgłośnie płakać, jej pierś unosiła się i opadała, kiedy powstrzymywała łkanie. Podniosłem się z krzesła. Stałem przez chwilę, patrząc na nią z góry, i pomyślałem, że lepiej by było, gdyby umarła. Ta myśl nie wydała mi się czymś nieludzkim, ale raczej wyrazem miłosiernego współczucia.

Wyszedłem z sali i z budynku. Przez pół godziny chodziłem w tę i z powrotem po ulicy. Kiedy wróciłem, Alex siedziała w recepcji szpitala. Wyglądała, jakby płakała.

Niewiele powiedziała, ale potem przyszedł doktor Gabillard i wziął mnie na stronę. Mówił do mnie szeptem. Zapomniałem o nim, unikałem go za każdym razem, kiedy przychodziłem w odwiedziny.

- Będzie musiała leżeć aż do porodu - powiedział. Miał poważną minę. - Musi dobrze się odżywiać i odpoczywać. Potrzebuje dobrej diety, bardzo dobrej diety. Musi jeść za dwoje, a do tej pory jadła ledwie za jedno...

- Rozumiem... - zacząłem, ale lekarz mi przerwał.

- Wy tłumaczyła mi waszą sytuację - kontynuował Gabillard. - Nie pytałem, sama powiedziała. Rozumiem pana położenie, to, że matka jest tutaj, i fakt, że nie może pan nic zrobić ze względów prawnych. - Pokręcił powoli głową. - Pańska matka jest w złym stanie. Leczenie nie przynosi efektów i mówiąc szczerze, nie wierzę, że kiedykolwiek zacznie je przynosić. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek opuściła ten szpital.

Gabillard czekał na moją reakcję, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Proszę spotkać się z prawnikiem - wyszeptał. - Niech prawnik przygotuje dokumenty, które przekazywałyby kontrolę nad sprawami matki panu, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby je podpisała. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - To nie należy do moich kompetencji i obowiązków zawodowych, ale przecież jestem człowiekiem. Pańska matka... Pańska matka umrze, zanim opuści to miejsce, a ja nie mogę pozwolić, żeby cierpiała kobieta w ciąży. Proszę to zrobić, panie Vaughan. Poza tym, biorąc pod uwagę kwestie moralności, społecznych zobowiązań i oczekiwań, bardzo poważnie radzę panu, żeby poślubił pan tę dziewczynę, zanim urodzi się wasze dziecko.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć.

- W zasadzie to będzie warunek udzielenia pomocy. Proszę wrócić do mnie z aktem ślubu, a wtedy ja zrobię, co w mojej mocy. Tyle mogę obiecać.

Znowu czekał przez dłuższą chwilę na moją odpowiedź.

- Uważam pana milczenie za zgodę - powiedział w końcu i ścisnął moje ramię - Proszę się z nią ożenić. Zdobyć papiery. Zrobię, co w mojej mocy.

Puścił mnie i odwrócił się, żeby odejść.

- Panie doktorze?

Odwrócił się.

- Ile jej czasu zostało? Mojej matce. Ile jeszcze czasu, według pana?

Powoli pokręcił głową.

- Jej czas skończył się już dawno temu. - Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, a potem znowu się odwrócił i odszedł.

Stałem w bezruchu. Spojrzałem na Alex siedzącą na krześle, z głową ukrytą w dłoniach. Wyglądała na załamana.

- Dosyć już tego - powiedziałem do siebie i podszedłem do niej.

Wróciliśmy do domu. Mówiłem o przyszłości. Powiedziałem, że weźmiemy ślub. Powtórzyłem jej, co Gabillard powiedział o pełnomocnictwie i że chce nam pomóc. Nastrój Alex się poprawił. Raz nawet się roześmiała. Nic nie powiedziałem o mojej matce, o tym, co mówiła o dziewczynkach. Umysł tej kobiety wypełniały kłamstwa, półprawdy, wyobrażenia i paranoiczne myśli. Nie mogła nic wiedzieć o dzieciach. Chciałem wierzyć, że to, co powiedziała, jest tylko trajkotaniem osoby niespełna rozumu.

Wierzyłem w to.

Musiałem w to wierzyć.

W środę, 11 czerwca 1947 roku, w Charlton County Courthouse, przed sędzią Lesterem Froomem poślubiłem Alexandrę Madigan Webber. Świadkami byli Reilly Hawkins i Gene Fricker ze spichrza. Po krótkiej i zdawkowej ceremonii Reilly zawiózł nas do kancelarii Littman, Hackley i Dohring i tam, za trzy dolary, Leland Hackley sporządził pełnomocnictwo. Napisał je w taki sposób, że wystarczyło, by matka je podpisała, a dom przechodził na moją własność. Reilly zawiózł nas do Waycross. Ja byłem w garniturze, Alexandra w kremowej spódnicy i bluzce, z włosami upiętymi z jednej strony i z wpiętym kwiatem. Spotkaliśmy się z doktorem Gabillardem.

- Nie chce pan się z nią zobaczyć? - zapytał, biorąc ode mnie dokument.

Pokręciłem głową.

- Nie - odpowiedziałem. - Nie dzisiaj.

Skinął głową, uśmiechnął się ze zrozumieniem, pogratulował nam z okazji ślubu i odszedł.

- Kiedy mam...

Gabillard odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział. - Musi to pan zostawić mnie. Zrobię, co w mojej mocy... Jednak nic nie obiecuję.

I znowu się odwrócił, znikając w czeluściach szpitala.

Burza trwała przez całe osiem dni. Ziemia najpierw napuchła, a potem zapadła się pokonana i pokazała czyste korzenie drzew. Niczym powykręcane i artretyczne palce chwyciły się kurczowo gleby. Rzeka wyszła z brzegów i zalała uprawy. Reilly Hawkins odwiedził nas tydzień po ślubie i z powodu burzy nie mógł wrócić do siebie przez dwa dni. Przywiózł jedzenie i wino, co tylko mógł, i rozmawialiśmy w nieskończoność o tym, co zrobimy i dokąd się wybierzemy. Gdyby Gabillard wysłał do nas wiadomość właśnie wtedy, z pewnością by do nas nie dotarła.

Burza ustała 21 czerwca, w sobotę. Wysoko nad posiniaczonym horyzontem pojawiło

się czyste słońce. Utopiło się dziewięć osób, w tym siedmioro Murzynów na polach, pozostała dwójka to małżeństwo z Folkston, które próbowało dotrzeć do Kingsland nad rzeką St. Mary's. Grupy ochotników przybyły z otaczających miast i oglądały zniszczenia. Wielu z nich odwróciło się na pięcie i pojechało z powrotem do domów.

W poniedziałek przyszedł list od Gabillarda. Zawierał pełnomocnictwo, podpisane i poświadczone przez świadków. Reilly zawiózł mnie do Lelanda Hackleya, który poświadczył dokument i napisał list do banku. W ciągu godziny zaoferowano mi pożyczkę w wysokości 1500 dolarów pod hipotekę domu. Wziąłem 200 dolarów gotówką, upchnąłem banknoty w kieszeniach i poszedłem z Reillym do zajazdu Upadek, żeby świętować tę nagłą odmianę losu.

- Sprawimy ci nową furgonetkę - powiedziałem. - Starą możemy wjechać do bagna Okefenokee.

W drodze powrotnej śmialiśmy się z tego pomysłu, a także dlatego, że wiedzieliśmy, iż Alex nie będzie się posiadać ze szczęścia, kiedy dowie się, co się stało.

Reilly zatrzymał samochód na końcu drogi.

- Wejdz - powiedziałem.

- Wolałbym nie - odparł, śmiejąc się. - Sam idź i podziel się dobrymi wieściami z żoną, Josephie. Nie chcesz chyba, żebym się tam kręcił podpity w takim momencie.

- Nie ma mowy - zaprotestowałem. - Jesteś członkiem naszej rodziny tak samo jak ja. Proszę, chodź ze mną, przynajmniej na trochę.

- Odwróciłem się i krzyknąłem w stronę domu. - Alex! Alex! Reilly jest tu ze mną, ale nie chce wejść, żeby się z tobą zobaczyć.

- Ejże! - obruszył się Reilly. - To nieprawda, nie możesz tak mówić, na miłość boską.

Śmiejąc się, zacząłem iść w kierunku furtki.

- Alex! Chodź, zobacz, co mamy! Wyjdz i zobacz, co mamy.

- Wyciągnąłem garść banknotów z kieszeni i trzymałem je jak bukiet kwiatów.

Reilly szedł za mną. Kiedy odwróciłem się do tyłu, coś zauważyłem. Jakiś błysk w jego oczach. Pokręcił głową, a potem nagle spojrzął na dom i zaczął krzyczeć na cały głos.

- Alex! Alex! Wróciliśmy!

Cisza.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Spojrzałem raz jeszcze na Reilly'ego, a on skinął głową. Zaczął biec w kierunku furtki. Ja dotarłem do niej pierwszy, popchnąłem ją, prawie wyrwałem z zawiasów, a potem zacząłem biec ścieżką. Reilly biegł tuż za mną i obydwaj wykrzykiwaliśmy imię Alex.

Wbiegłem przez drzwi wejściowe i zatrzymałem się jak wryty. Reilly, który był tuż za mną, wpadł na mnie jak rozpędzony pociąg. Kiedy zobaczył to, co ja zobaczyłem, wciągnął mocno powietrze. Wypuściłem pieniądze z rąk. Kilkadziesiąt banknotów spadło na ziemię, rozproszyło się na podłodze.

Gdyby Alex pojechała z nami, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Towarzyszyłyby nam u prawnika, potem w banku; być może napiłaby się z nami w Upadku. Ale nie czuła się najlepiej, skarżyła się na mdłości i zawroty głowy. Postanowiła zostać w domu, bo mieliśmy niedługo wrócić - za godzinę, może dwie. Gdybyśmy wrócili prosto z banku, być może bylibyśmy przy tym, kiedy się przewróciła. Spadła ze szczytu schodów na sam dół. Kiedy wróciliśmy, znaleźliśmy ją nieprzytomną w przedpokoju, krew przesiąkała jej spódnice, jej oddech był płytki i słaby.

Później przypomniałem sobie panikę i zamieszanie. Później usiłowałem przypomnieć sobie myśli, które wypełniły mi głowę, ale nie potrafiłem. Pamiętam tylko, że krzychałem jej imię ze wszystkich sił. Pamiętam krew, kiedy próbowałem ją podnieść, chłodną ciecz na dłoniach, ramionach, twarzy, kiedy przyciągnąłem ją do piersi, żeby sprawdzić, czy nadal oddycha. Pamiętam, że zaniósłem ją do ciężarówki, trzymałem jej głowę na kolanach, kiedy Reilly prowadził samochód po wyboistej drodze do domu doktora Pipera. Pamiętam banknoty przyklejone do jej ubrania, jeden we włosach, inny przywierający do przedramienia. Pamiętam, jak doktor Piper, zobaczywszy, co się stało, do razu kazał nam jechać do Waycross, i to, że ta podróż wydawała się trwać wieki. Pamiętam, że Gabillard wyszedł, kiedy wnieśliśmy Alex przez drzwi wejściowe, pamiętam kakofonię głosów, zamieszanie, które się rozegrało poza nami. Pamiętam jego twarz - poważną i mroczną, to, jak przyłożył palce do jej nadgarstka, szyi, jak wykrzykiwał polecenia do sióstr.

Te wszystkie rzeczy pamiętałem wyraźnie i odgrywałem je w umyśle jak jakąś starą płytę z szelaku - raz za razem, aż po jakimś czasie rowki stały się płytkie, dźwięk się przyciszył i nic nie pozostało oprócz rozpacz i smutku, które mnie ogarnęły.

Sześć minut po czwartej po południu, w poniedziałek, 23 czerwca 1947 roku, Alexandra Vaughan - niedoszła matka, żona od dwunastu dni - zmarła. Razem z nią bezimienne dziecko, chłopiec. Mój syn.

Powiadomił mnie o tym Gabillard, człowiek, który zrobił, co w jego mocy, żeby uratować nas przed ubóstwem i beznadzieją. Człowiek, który poczynił kroki, żeby zapewnić mojej rodzinie przetrwanie i dobrobyt. Wydawał się moim aniołem, w każdym razie tego dnia. Najpierw mi coś dał, a potem powiadomił, że to, co zostało mi dane, los odebrał.

Miałem dziewiętnaście lat. Alex - dwadzieścia siedem.

Zacząłem się zastanawiać, jaką zbrodnię popełniłem, że spotkała mnie tak sroga kara.

Wiele lat później, kiedy to wszystko wspominałem, miesiące po śmierci Alex wydawały się niewyraźne i zatarte. Pochowałem Alexandrę Vaughan, moje dziecko, a wraz z nimi dwie pierwsze dekady swojego życia. Ludzie próbowali do mnie dotrzeć - Haynes Dearing, Gene Fricker, Lowell Shaner, nawet Ronnie Duggan i Michael Wiltsey pojawiali się na końcu drogi przy moim domu, zatrzymywali się, patrzyli, zamieniali kilka słów, a potem odchodzili. Ich wysiłki były daremne. Widywałem często Reilly'ego, ale to było tak, jakby ścieżki naszych bytów po prostu od czasu do czasu się przecinały. W końcu nawet one się rozdzieliły. Nasze spotkania stały się rzadsze i w rok po śmierci Alex widywaliśmy się nie częściej niż raz na miesiąc. Nie odwiedziłem ponownie matki. Nie mogłem znieść tego, czym się stała, ani stanąć twarzą w twarz z doktorem Gabillardem. Wydawało się, że wszystko, co mogło mi przypominać o przeszłości, musiało zostać skauteryzowane lub amputowane. Nie brakowało mi pieniędzy; kiedy wydałem pierwsze 1500 dolarów, po prostu wziąłem następną pożyczkę pod hipotekę domu. Czekałem na zmianę. Czekałem cierpliwie, próbując pisać, żeby nie rozpaść się na kawałki, ale czułem, że cuma między mną a rzeczywistością staje się coraz cieńsza. Rzeczy, które łączyły mnie ze światem, stawały się coraz mniej istotne i bardziej przelotne: comiesięczne zakupy w sklepie, wizyta w zajeździe Upadek raz na pięć czy sześć miesięcy. Poza tym byłem samotny i odizolowany. Czasami miałem ochotę na towarzystwo, ale zawsze udawało mi się ją zwalczyć przekonaniem, że cokolwiek zyskam, wkrótce stracę. Jak Reilly Hawkins, który się nie zakochał, bo uważał, że jego serce nie zniosłoby drugiego zawodu, wolałem nie ryzykować, wierząc, że w ten sposób będę mniej cierpieć. To była żalosna egzystencja, ale o dziwo, wcale mnie aż tak bardzo nie wyniszczała. Byłem na tyle twardy i silny, żeby znieść spustoszenie wywołane wyrzutami sumienia i emocjami.

Blisko świąt Bożego Narodzenia roku 1948, kiedy Truman pozostał przy władzy, pokonawszy Thomasa Deweya, rozważałem możliwość opuszczenia Augusta Falls. Uważałem, że jeśli oddalę się na wystarczającą odległość, będę mógł odseparować się nie tyle od miasteczka, hrabstwa czy stanu Georgia, ile od siebie samego.

- Dokąd? - zapytał Reilly, kiedy mu o tym wspomniałem.

- Do Nowego Jorku.

Reilly o mało się nie udławił piwem.

- Nowy Jork? Nowy Jork? Po co, na miłość boską, chciałbyś tam jechać?

- Bo tam jest zupełnie inaczej niż tutaj.

- Nie ma innych powodów?

- Ten wydaje mi się dobry jak każdy inny.

Reilly pokręcił głową i nachylił się w moją stronę. Siedzieliśmy w zajeździe Upadek, był sobotni wieczór. Wokół nas panowała wrzawa, unosił się dym papierosów, słychać było kogoś grającego na skrzypcach.

- To nie jest dobry powód, żeby wyjechać do Nowego Jorku - powiedział.

- Może nie potrzebuję powodu. Może mógłbym pojechać pod wpływem impulsu.

- Musisz mieć powód - odparł Reilly.

- Muszę?

Skinął głową.

- Oczywiście. Wszystko musi mieć swój powód, w innym wypadku nie ma sensu. Problem z tobą polega na tym, że nie masz celu. To dlatego jest w tobie coraz mniej życia...

- Wcale nie.

Reilly uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Masz rację... Oczywiście. Przepraszam. Żeby czegoś było mniej, najpierw musi być go dużo.

- Ty...

Reilly podniósł rękę.

- Spójrz prawdzie w oczy, Josephie. Alex nie żyje. Umarła...

- Nie chcę o tym mówić.

- Nic mnie nie obchodzi, czy chcesz o tym mówić, czy nie, taka jest prawda. Nie można jej zmienić bez względu na to, co się dzieje. Ona nie żyje, Josephie. Od jak dawna? Od półtora roku, tak?

- Zgadza się, od półtora roku.

- Co się wydarzyło w tym czasie? Powiem ci. Nic. Otóż nic się nie wydarzyło. Absolutnie nic. Na szczęście nie popadłeś w alkoholizm. Ja pewnie na twoim miejscu wypiłbym cały alkohol w hrabstwie, a potem przeprowadził się do Brantley. To jedyna zaleta, jaką widzę, Josephie. Masz dom. Jesteś sam, oprócz tych chwil, kiedy przebywasz ze mną. Jeśli za dużo czasu spędza się w samotności, można stracić zmysły.

- I dlatego myślę o wyjeździe, Reilly.

- Ale do Nowego Jorku? Co tam takiego na ciebie czeka?

- A co ja mam tutaj?

- Matkę.

Pokręciłem głową.

- Odeszła, Reilly. Odeszła dawno temu i dobrze o tym wiesz. Moja matka już nie jest

moją matką.

Reilly milczał przez chwilę, a potem spojrzał na mnie z drugiego końca stołu. Na jego twarzy malowało się współczucie.

- Jesteś już dorosły. Znałem cię, kiedy miałeś dwa, trzy lata. Byłem świadkiem tego, co się przytrafiło twojej rodzinie. Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić, i nawet tego nie próbuję. Masz silną wolę, muszę to przyznać, i jakoś udało ci się utrzymać w kupie, mimo tego, co się stało z twoimi rodzicami, a ostatnio z Alex. Szanuję cię za to, ale po części też dlatego, że logicznie myślisz. W twoich poczynaniach jest zawsze sens i logika. Jednak w tym pomysłe z Nowym Jorkiem nie ma za grosz logiki...

- I dlatego właśnie jest to najlepsza myśl, jaką mogę rozważyć.

- Jak już mówiłem, masz silną wolę. Nie wydaje mi się, żeby to, co powiem, mogło wpłynąć na twoją decyzję. Zrobisz tak, jak uważasz.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji... Tak tylko o tym myślałem.

- Więc pomyśl jeszcze trochę i daj mi znać, co w końcu postanowiłeś.

- Oczywiście.

- Może jeśli pojedziesz do Nowego Jorku, kogoś sobie znajdziesz.

Zmarszczyłem brwi.

- To znaczy?

- Kogoś, kogo pokochasz.

Pokręciłem głową i odwróciłem wzrok.

- Nie wiem, czy kogoś kiedyś pokocham tak, jak kochałem Alex.

- Oczywiście, że tak. Jesteś młody. Masz serce na tyle silne, żeby to przetrwać.

- Kochać tak, jak ją kochałem... - zamyśliłem się. - Myślisz, że coś tak cudownego zdarza się w życiu dwa razy?

Reilly westchnął i to wtedy zobaczyłem, że nosi w sobie jakiś ciężar, ciężar tak ogromny, że mógłby nas obu zgnieść.

- Dwa razy? - wyszeptał. - Z moich obserwacji wynika, że najczęściej w ogóle się to nie zdarza.

Przez chwilę milczeliśmy. W końcu spojrzał na mnie.

- Wydaje mi się, że obydwaj zaznaliśmy w życiu trochę za dużo niespodziewanych wydarzeń, a za mało spodziewanych, prawda?

- Prawda, Reilly, święta prawda.

Nie mówiliśmy o tym więcej. Postanowiłem na razie nie podejmować decyzji i tyle. A kiedy znowu przyszło mi to do głowy, był luty roku 1949 i znaleziono kolejną dziewczynkę.



Była dziesiąta i pochodziła z Shellman Bluff w hrabstwie Mcintosh. Nazywała się Lucy Bradford. Miała osiem lat i dwunastoletniego brata o imieniu Stanley. Nie wiedziałem, kim była, nigdy jej nie widziałem, ale to ona - poza wszystkim innym - stała się powodem, z którego w końcu wyjechałem.

- Znałeś Alexandrę, prawda? - pytam trupa mężczyzny przede mną. - Znałeś ją, ale podejrzewam, że nigdy jej nie rozumiałeś... Nigdy nikogo nie rozumiałeś, prawda? Być może myślałeś, że rozumiesz ludzi... ale tylko to sobie wyobrażałeś. Nie mogło być w tobie współczucia... skoro robiłeś takie rzeczy przez te wszystkie lata.

Chcę wstać i podejść do okna, ale nie mogę. Czuję, że jestem coraz bardziej zmęczony. Zastanawiam się, co by się stało, gdybym nie pociągnął za spust, gdybym go jakoś złapał w pułapkę, przywiązał do krzesła, zmusił do wytłumaczenia, kim był, co robił... zmusił do powiedzenia, jaki człowiek zabija tak, jak on to robił.

Chcę wyciągnąć rękę i położyć dłoń płasko na szybie. Chcę spojrzeć przez palce na miasto przede mną.

- Umarła, wiesz? - mówię, a mój głos jest tylko trochę głośniejszy od szeptu. - Spodziewała się mojego dziecka i umarła. Przez długi czas uważałem, że to była moja kara za Elenę. Obiecałem, że będę jej strzegł. Stałem na wzgórzu, patrzyłem na nią, kiedy stała na podwórku za domem, i przyrzekłem, że będę ją chronił, że nic jej się nie stanie.

Przerywam, patrzę w dół i oddycham głęboko.

- Ale stało się... i nie było tak jak w przypadku innych.

Uśmiecham się i kręcę głową.

- Nie wierzę, że po tylu latach jestem razem z tobą w tym pokoju, a ty nawet nie masz szansy, żeby wyjaśnić to, co robiłeś. Jak to jest? Jakie to uczucie? Czy nie o to chodziło? Nie chodziło o to, że próbowałeś coś powiedzieć światu, próbowałeś sprawić, żeby inni zrozumieli szaleństwo, które stoi za twoimi czynami? A teraz jesteś tutaj, teraz w końcu masz widownię, ale nie możesz mówić. - Śmieję się; z moich ust wydobywa się nerwowy, przerażony odgłos. - Cóż za ironia losu, prawda? Cóż za ironia losu.

Schylam się i podnoszę pistolet z podłogi. Robię to powoli i przykładam go do czoła nieżyjącego mężczyzny. Odbezpieczam go. Dźwięk jest głośny, jak łamana gałąź, jak huk pioruna nad odległym polem w Georgii.

- Mów - syczę. - Mów teraz... albo na zawsze zachowaj milczenie.

Cisza ryczy do mnie i zastanawiam się - tylko przez chwilę - czy nie popełniłem kolejnej straszliwej pomyłki.

## XVIII

Łzy nie wystarczyły.

Płacz małej dziewczynki wzbudziłby współczucie wielu ludzi, ale nie tego.

Jakiegoż to przyjaciela mamy w Jezusie...

Być może modliła się w duszy.

Po stronie zwycięstwa, po stronie zwycięstwa, żaden wróg nie może nas zniechęcić, żaden strach nas prześladować...

Słowa krążyły w jej głowie. Oczy zamknięte mocno jak okiennice zimą.

Dolej oliwy do mojej lampy, niech płonę, dodaj oliwy do mojej lampy, modlę się...

Zapach czegoś, jakby nieżywego. Zapach skóry buta lub czegoś, co pachniało jak skóra, i po nagłym szoku, który towarzyszył porwaniu, po momencie oczekiwania na śmiech, przyszło przekonanie, że to była zabawa, po prostu zabawa, śmieszna zabawa...

Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę...

Jak zabawa w chowanego... Szukam!

Ale nagle zrozumiała. Buch. Uderzenie nagle jak trząśnięcie drzwi. Buch! Jedna rzecz, potem kolejna, a potem zrozumienie, że nacisk, który czuła na szyi, fakt, że jedna ręka znalazła się pod jej spódniczką i dotykała jej tam, gdzie sama nie śmiałyby się dotykać, że to wszystko nigdy nie było częścią żadnej zabawy, jaką pamiętała.

A potem jej oddech osłabł.

Supel, napięcie w gardle i świadomość, że cokolwiek się działo, nie miało prawa się dziać w żadnym świecie, jaki sobie mogła wyobrazić.

Ręce - jedna na jej gardle, druga pod spódnicą - i zapach alkoholu, zapach tytoniu, zapach skóry lub czegoś podobnego do skóry...

Walczy teraz. Mięśnie się napinają. Układ nerwowy naładowany elektrycznością, trzaskający jak maszyna, którą widziała kiedyś na wystawie stanowej. Duża srebrna kula i trzeszczące iskry, a gdy ktoś dotykał tej maszyny, jego włosy stawały dęba... i dzieci" się śmiały, a mężczyzna stał tam z włosami jak wata cukrowa... i zapach, słonawy, cierpki smak i syczenie uwalnianej energii...

Dodaj oliwy do mojej lampy, niech płonę... niech płonę aż do świtu...

I wszystko w środku niej krzyczy, że musi się wydostać, uciec, biec jak wichur, biec przez pole do domu.

Jednak ramiona zaciskają się wokół niej i trzymają ją mocno, nieustępliwe, i czuje nacisk na piersiach, gardle, coraz trudniej jej oddychać, kolory błyskają pod jej powiekami,

chce krzyczeć, chce krzyczeć tak głośno jak nigdy wcześniej, krzyczeć jak syrena alarmowa, jak ogromny ptak drapieżny, jak dziki koń z rozwianą grzywą, poruszającą się na wietrze... krzyczeć jak dziewczynka, która boi się o życie...

Ośmiolatka. Pół kilometra od domu.

Otworzyła nieco oczy. Zobaczyła wzniesienie, drogę kierującą się na wschód, a potem na północny wschód, a potem znowu na wschód. Za wzniesieniem na prawo, tam, gdzie stały drzewa, był jej dom.

Gdyby nie to wzniesienie, mogłaby zobaczyć dom, swój dom, skąd szła, kiedy on wyrósł jak spod ziemi.

Pachniało jak czerń, jak ciemność i głębokość. Pachniało starością, starszą chyba od samego Boga.

Pachniało tak, jakby nigdzie nie było widać Jezusa.

Mężczyzna stał za nią, jego ramiona przypominały pnie drzew. Ten mężczyzna pachniał tak, jakby już to wcześniej robił.

I wtedy zaczęła płakać, a on ją uderzył, mocno, buch! A dźwięk był jak bicz, a ból, który przeszył bok jej głowy, był podobny do tego, który czuła, kiedy spadła z drzewa i rozbiła sobie nos, i rozcięła policzek, i przez trzy tygodnie w prawym uchu słyszała huk głowy uderzającej o ziemię.

Zaczęła płakać, a on ją uderzył i wiedziała, że to ON, bo tylko ten mężczyzna mógł ją trzymać tak mocno i tylko ten mężczyzna miał takie żelazne mięśnie, szorstką skórę i stwardniałe dłonie.

Płacz został pochłonięty przez ciemność wieczoru i każda jej myśl była bardziej przerażająca niż poprzednia, a kiedy uświadomiła sobie, co on zamierza zrobić, poczuła, że krew płynie jej cicho i powoli w żyłach.

Teraz była na ziemi, na gardle czuła rękę, druga ręka rozdzierała jej ubranie, rozdzierała bawełnę i koronki, i brzoskwińową lamówkę, ściągała różowe kokardy z jej włosów... Poczwała zimne powietrze na skórze i ziemię pod głową, wilgoć ziemi, wciągnęła zapach zwiędłych liści i złamanych gałązek, słyszała ciężki oddech nad sobą. Zamknęła oczy w złudnej nadziei, że jeśli czegoś nie widzi, to się to nie dzieje.

Tyle że się działo.

Kolory pod jej powiekami jak w kalejdoskopie i szum krwi przepływającej szybko w jej ciele... wystraszonej krwi, krwi, która chciała uciec.

Znowu ją uderzył. Buch! Kłująca czerwien na policzku. Otwiera oczy i przez łyzy widzi światło w jego oczach - martwe, czerwone światło - i białe zęby, i czuje jego kwaśny,

cuchnący oddech, i szorstkość jego zarostu, kiedy przyciska twarz do jej brzucha, kiedy jego dłonie zanurzają się w nią, jego palce w nią się wciskają, i boli ją to tak bardzo, jak nigdy nie wyobrażała sobie, że coś może boleć, że ktoś może sprawić taki ból. Ale mógł.

A potem postanawia, że będzie leżeć nieruchomo, prawie nie oddychając, prawie nie myśląc, prawie nie mając już na nic nadziei, kiedy on robi te rzeczy, złe rzeczy... rzeczy, których mężczyźni nie robią małym dziewczynkom...

Ból w środku. Przeszywający ból. Ból, jakby wpychał jej wnętrzności do gardła. Dławi się, a potem, gdy dłoń na jej gardle zaczyna zwiększać nacisk, czuje, że oczy jej naciskają na oczodoły, zaraz wybuchną, i słyszy dźwięk krwi jak burzy, jak pociągu, jak koni galopujących po polach w nocy.

Walczy, walczy z ciężarem i coraz większym bólem, a potem wie, że odchodzi, przenosi się w chłodne i bezpieczne miejsce, gdzie takich rzeczy już się nie odczuwa, i wita z radością nieuchronnie zbliżającą się ciszę, poczucie bezruchu, uczucie spokoju, które opanowuje każdy centymetr jej ciała.

Wyczuwa, że mężczyzna stoi nad nią, trzymając różową kokardkę. Wkłada tę kokardkę do kieszeni.

A potem wszystko odchodzi.

Wszystko.

Nicość, pustka.

Myślała, że będzie dzieckiem trochę dłużej.

Przynajmniej tyle.

Szeryf hrabstwa McIntosh nazywał się Darius Monroe. Jego ojciec był szeryfem, podobnie jak dziadek. Ich ród wywodził się od koniokradów, złodziei, pijaków i rabusiów. Wszyscy oni byli osiłkami, silnymi facetami, ludźmi bez sumienia. Pradziadek Monroe spłodził prawie dwadzieścioro dzieci z czterema kobietami. Była to bardziej dynastia niż rodzina. Z żadną się nie ożenił. Zarabiał na życie, grając w karty na parowcach. Uwodzicielski błysk w oczach hazardzisty, wywoskowane wąsy, włosy błyszczące od pomady, życie wypełnione karygodnymi uczynkami. W jego sercu nie było miejsca na wstyd.

Darius Monroe miał 53 lata i był zmęczony. Też nigdy się nie ożenił. Jego ród zakończył się na nim, zatrzyma niczym jeleń z przestreloną głową. Twarz miał jak zgnieciona torba papierowa, a usta zaciśnięte niczym portmonetka wdowy. Słowa wychodziły z nich jak miedziaki, reszta z ostatniego dolara, kiedy do wypłaty pozostały dwa tygodnie. Jego oczy przypominały zapewne oczy przodków hazardzistów: inteligentne i bystre, nigdy niczego nie zdradzające, zostawiające wszystko do czasu, kiedy wyciągał rękę i zgarniał pulę. Ze

względu na jego pozycję ludzie musieli mu ufać, chociaż czuli, że nie powinni.

Kuzyn ze strony matki Dariusza Monroe'a - Jackson Jacko Delancey, był niezgrabnie wyglądającym mężczyzną, stanowczo za wysokim, kościstym i obdarzonym twarzą, która mówiła o pokrewieństwie z Indianami - włosy proste jak drut, kruczoczarne, nos prawie rzymski, rysy twarzy zbyt dumne jak na tak pokornego człowieka. To, co Jacko znalazł tego piątkowego poranka, sprawiło, że stał się jeszcze bardziej pokorny. Mówił o tym jeszcze wiele miesięcy później - w barach, opierając się o płoty, prowadząc konie na pastwiska, podlewając zielniki, które jego żona zakładała pomimo ziemi zatrutej przez bagna. To, co znalazł tego piątkowego ranka, 11 lutego, sprawiło, że stanął jak wryty; sprawiło, że oblał się potem mimo niezwykle zimnego jak na tę porę roku powietrza; sprawiło, że musiał się odsunąć i odejść; sprawiło, że przeszedł jakieś trzydzieści lub czterdzieści metrów, a potem wrócił, żeby się upewnić, że nie ma zwidów. Nie miał. Wiedział o tym. Tyle że nierealność tego, co widział przed sobą, sprawiała, że każdy normalny człowiek zastanawiałby się, czy nie ma halucynacji.

W pewnym momencie, klęcząc na ziemi, nawet wyciągnął dłoń i dotknął jej palców. Palców połączonych z dłonią. Dłonią, która nie była połączona z niczym. Ciało było w większej liczbie kawałków, niż mógł zliczyć. Porozrzucano je na powierzchni równej wielkości jego salonu. Jednak krew, która zalegała grubą warstwą na ziemi pomiędzy nimi, dawała złudzenie, że wciąż są połączone. Później stwierdzono, że ta mała dziewczynka została pocięta na dwanaście kawałków. Wyglądała jednak, jakby wciąż była całością.

To wtedy zwymiotował.

Jacko Delancey, niezgrabny, kościsty mężczyzna przypominający Indianina, pobiegł jak zając czując zapach psa. Pobiegł prawie kilometr do swojego domu, skąd wziął konia i pojechał prosto do kuzyna. Dariusz Monroe był akurat u siebie, wybierał się do pracy dopiero po lunchu. Jacko zaczął walić pięściami w drzwi, a potem, kiedy szeryf pojawił się w progu, ciężko dysząc opowiedział mu, co widział.

Szeryf Dariusz Monroe wziął samochód, wysłał Jacko do domu i za pomocą radia wezwał zastępcę szeryfa Lestera Ellisa, ustalając, że spotkają się na miejscu zbrodni.

Przybył tam nieco przed dziewiątą. Kiedy zobaczył to, co zobaczył, był zadowolony, że jeszcze nie jadł śniadania. Wyciągnął taśmy i paliki z samochodu, a potem odgrodził miejsce zbrodni. Czekał na Ellisa, palił papierosa i patrzył cały czas w innym kierunku. Być może było to zwykłe przecucie, może coś innego, ale kiedy uczestniczył w oględzinach córki Leonardów we wrześniu 1943 roku, zastanawiał się, kiedy znowu go to czeka. I oto właśnie się doczekał. Jednak jego przecucie nie przygotowało go w żaden sposób na spotkanie z tym

ponurym widokiem.

Ellis pojawił się jakieś dwadzieścia minut później, spojrzął tylko raz i zrobił się zielony, po czym pochylił się przy płocie i zwrócił śniadanie i trzy posiłki z czwartku. Pomyślał o swojej córce, która skończyła cztery lata dwa tygodnie wcześniej, i zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno to, czego uczą w szkółce niedzielnej, jest prawdą. Podobno Bóg jest miłosierny, sprawiedliwy, wszystko widzi i chroni niewinnych i potulnych. Bóg na pewno był zajęty czymś innym ostatniej nocy i tylko dlatego pozwolił kolejnej młodej duszyczce udać się w zaświaty. Ellis zadzwonił do biura szeryfa i kazał wezwać koronera. Przyjechał o 10.30, telepiąc się wrakiem kombi. Nazywał się Robert Gorman. Podlegały mu trzy hrabstwa: McIntosh, Wayne i Pierce. Był przy Rebecce Leonard we wrześniu 1943, Sheralyn Williams w lutym 1945, stał przy szeryfie George'u Burwellu, kiedy w październiku 1946 odkryto ciało Mary Tait. Nie było do końca jasne, czym kompetencjom podlegają te wszystkie morderstwa. Ofiary z jednego hrabstwa znajdowano w innym i nikt nie wiedział dokładnie, kto powinien się tym zajmować.

Do godziny jedenastej wiadomość o znalezieniu ciała zdążyła się rozejść. Na trzecią zwołano zebranie w Eulonii. Obecne były wszystkie zainteresowane strony. Siedem hrabstw, siedmiu szeryfów, ich zastępcy i asystenci, łącznie siedemnastu mężczyzn, wszyscy trzeźwi, wszyscy zszokowani.

Zebranie poprowadził szeryf Haynes Dearing z Charlton. Zadawał pytania i czekał na odpowiedzi. Niewiele ich otrzymał. Nikt z obecnych na sali nigdy przedtem nie miał do czynienia z czymś takim. Wiedzieli tylko, że przyszło im walczyć z seryjnym mordercą.

- Powołajmy oddziały obywatelskie - zaproponował Burnett Fermor.

- Musiałyby się składać z mieszkańców różnych hrabstw - odparł Ford Ruby. - Jeśli coś takiego zrobimy, zacznie się polowanie na czarownice.

- To jaką masz propozycję? - zapytał Fermor.

- Propozycję? - powiedział Ruby wyzywającym głosem. - Moja propozycja jest taka, żeby każdy wziął odpowiedzialność za swoje hrabstwo i jego mieszkańców. Podzielmy ich na grupy. Weźmy pod uwagę mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, nikogo nie wykluczajmy i chodźmy od domu do domu, zadając pytania.

- Dobry pomysł - przyznał Dearing. - Na początek może być. I musimy ustalić centrum dowodzenia, do którego będą spływać wszystkie dokumenty i sprawozdania, tak żebyśmy mieli do nich dostęp.

Nikt nie miał odwagi zauważyć, że ta sugestia przyszła o wiele za późno.

Radcliffe z Appling zaproponował Jesup, miejsce poprzedniego zebrania w

październiku 1946 roku.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Dearing i uświadomił sobie, że to się działo już od dziesięciu lat. Pierwszą dziewczynką była Alice Ruth Van Horne, z listopada 1939. Wybuchła wojna. Bóg jeden wie, ile milionów ludzi zginęło, w tym setki tysięcy Amerykanów po drugiej stronie kuli ziemskiej, a jednak wszystko wydawało się nieistotne w obliczu tego, co tu się działo. Morderstwa wydarzyły się na tej ziemi, to było jak inwazja obcego kraju.

- Więc tam wszystko będzie spływać - kontynuował Dearing. - Wszystkie akta, wszystkie raporty koronera, wszystkie dokumenty, wszystkie zapisy z przesłuchań mają zostać przesłane do biura szeryfa hrabstwa Wayne do jutra rana.

- Nie boisz się, że Gus Young będzie protestował? - zapytał Radcliffe, mówiąc o radnym miasteczka Jesup, mężczyźnie znanym z porywczego charakteru.

Dearing pokręcił głową.

- Znam Gusa Younga od dziecka. Gus Young zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nam pomóc.

- Gus Young jest radnym Jesup - przerwał George Burwell. - Ja jestem szeryfem hrabstwa Wayne. Gus Young zrobi dokładnie to, co mu każę.

Spotkanie zakończono. Wszyscy wrócili do swoich samochodów. Lester Ellis odebrał wiadomość drogą radiową. Ustalono tożsamość dziewczynki.

- Rany boskie - jęknął Darius Monroe. - Tylko nie córka Bradfordów.

- Znasz tę rodzinę? - zapytał Ellis.

Monroe skinął głową. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle.

- Najstarszy syn jest moim chrześniakiem - powiedział.

- Mam tam iść? - zapytał jego zastępca, mając nadzieję, że jednak nie będzie musiał.

Monroe przez chwilę milczał, a potem odwrócił się do niego.

- Jakim człowiekiem musiałbym być, żeby wysłać tam kogoś innego?

Ellis nie odpowiedział.

Usłyszałem o tym zabójstwie następnego dnia wieczorem. Usłyszałem o nim od samego Haynesa Dearinga. To właśnie wtedy - siedząc w kuchni mojego domu - powiedział mi, że chciał przyjść, żeby się ze mną zobaczyć, kiedy dowiedział się o Alex.

- To niełatwe - stwierdził. - Takie rzeczy nigdy nie są łatwe.

Uniosłem rękę i przerwał.

- To już przeszłość - powiedziałem. - Ona nie żyje i tyle. Wystarczająco dużo o tym gadałem i myślałem, szeryfie. Wydaje mi się, że jeśli znowu zacznę o tym mówić, na nowo

będzie mnie to prześladować. Wolałbym o tym dzisiaj nie rozmawiać.

- Tego właśnie chcesz?

Skinąłem głową.

- Tego właśnie chcę. Proszę tego nie brać do siebie, szeryfie.

Dał za wygraną; siedział przez chwilę w milczeniu, jego myśli były prawie słyszalne.

A potem powiedział mi o Lucy Bradford, o zebraniu, które odbyło się poprzedniego dnia, podjętej decyzji, żeby każdy szeryf odpowiadał za własne hrabstwo.

- I ja jestem na liście podejrzanych? - zapytałem.

Dearing uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

- Josephie, wszyscy są na liście podejrzanych.

- Ale ja jestem pierwszą osobą, do której pan przyszedł, tak?

Pokręcił głową.

- Mówiąc szczerze, nie, nie jesteś. Skąd takie przypuszczenie? Myślisz, że powinienem od ciebie zacząć?

- Nie będę z panem grał w żadne gierki, szeryfie. Mówię serio.

- To nie jest gierka, Josephie, to poważna sprawa. Ktoś morduje dzieci...

- Dobrze o tym wiem... Czego pan ode mnie oczekuje?

Dearing odchylił się na oparcie krzesła. Na kolanach miał kapelusz. Nerwowo go przekręcił, przesuując palcem po rondzie.

- Rozmawialiśmy już wcześniej...

- Tak?

- Żadnych gierek, Josephie... Przyjęte zasady obowiązują nas wszystkich.

Zamilkłem.

- Rozmawialiśmy już wcześniej, w święta po zakończeniu wojny. Kilka dni później znaleziono Kepplerównę.

Pamiętałem ten dzień, to wtedy odprowadziłem Alex na przystanek, kiedy jechała odwiedzić rodziców.

- Zadałem ci wtedy pytania. Powiedziałem parę rzeczy. Poprosiłem, żebyś miał oczy i uszy otwarte, jeśli dobrze pamiętam.

- Zgadza się. Zasugerował pan też, że ludzie mogą mieć mnie na myśli, kiedy zastanawiają się nad tym, kto mógł popełnić te zbrodnie...

- Powiedziałem, co powiedziałem. To, co trzeba było powiedzieć. Tak naprawdę nie rozmawiałem z nikim, kto by coś takiego sugerował.

- Więc o czym mówimy?



- O tym, że nie żyje kolejna dziewczynka. Nie chcę ci nawet opowiadać, w jakim była stanie... Mam kolejną ofiarę i hrabstwo pełne podejrzanych. Trzy z nich były stąd, z Augusta Falls. Alice Van Horne, Catherine McRae...

- I Virginia Perlman - dodałem.

Dearing skinął głową.

- A także Ellen Mary Levine w czerwcu 1941. Ta z Fargo... Znalaziono ją nie dalej niż kilometr od tego domu.

- Czego pan ode mnie oczekuje, szeryfie?

Dearing odchrząknął.

- Chcę, żebyś mi pomógł.

Pochyliłem się do przodu i uniosłem brwi.

- Pomógł?

Dearing skinął głową.

- Tak, Josephie... Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Nic nie powiedziałem. Czekałem.

- Chcę, żebyś pojechał do Jesup i odwiedził Krugerów.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiłem.

W niedzielę odwiedziłem grób Alex. Ukląknęłam i przeczytałem słowa wyryte na jej nagrobku. Kiedy wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć gładkiego marmuru, zaczęło padać. Deszcz był niczym kurtyna zapadająca nad światem, tnąc moją głowę i ramiona bez litości. Kwiaty, które przyniosłem i oparłem o kamień nagrobny, stały się garścią przemoczonych płatków. Trzymałem te płatki w otwartych dłoniach i patrzyłem, jak deszcz raz jeszcze je obmywa. Zostałem tam, dopóki moje ubranie nie zrobiło się tak ciężkie, że nie mogłem ustać. Myślałem o Alex, o dziecku, które byśmy wychowywali, i nie uroniłem nawet łzy. Najwyraźniej nie pozostała we mnie ani jedna łza i to dlatego niebo płakało za mnie.

Poprzedniego wieczoru poszedłem do domu Reilly'ego i powiedziałem mu, co się stało. Powiedziałem mu o córce Bradfordów z Shellman Bluff, wizycie Dearinga, propozycji, którą złożył.

- Dziesięć dziewczynek? - zapytał.

- Tak, dziesięć.

- I Dearing podejrzewa o to Gunthera Krugera?

- Myślę, że Haynes Dearing pływa w oceanie pytań. Nic nie wie, ale jest stróżem prawa i ma obowiązek zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby to zakończyć.

- I wszyscy szeryfowie mieli zebranie?

- Tak. Ustalili, że centrum dowodzenia będzie w Jesup.

- Dlaczego właśnie w Jesup?

- To miasto leży w samym środku tych wydarzeń, z każdego innego jest do niego mniej więcej taka sama odległość. Ta sprawa dotyczy siedmiu hrabstw, a często miejsce znalezienia ciała nie pokrywa się z tym, skąd pochodziła ofiara. Dearing wytłumaczył mi to najlepiej, jak umiał. Powiedział, że to szaleństwo. Akta spływają do Jesup szerokim strumieniem i brakuje im już środków i sił. Dlatego próbują pozyskać każdą pomoc.

- I co? Pojedziesz tam... pojedziesz tam i porozmawiasz z Guntherem Krugerem?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem, Reilly, naprawdę nie wiem.

- Jak mógłbyś nie pojechać, Josephie?

Uśmiechnąłem się.

- Po prostu bym nie pojechał.

- A jeśli - to rzeczywiście on? Jeśli to on zabił te wszystkie dziewczynki?

Westchnąłem. Czuję tak wielkie napięcie, że bałem się, iż lada chwila wybuchnę.

- Reilly, znasz go tak samo dobrze jak ja. Byłeś tam, kiedy przychodził do nas i siedział w kuchni. Jego żona, dzieci... Jezu, naprawdę uważasz, że mógłby zrobić coś takiego?

Pokręcił głową. Miał poważną minę.

- Jedno wiem na pewno... Nigdy nikogo się do końca nie zna.

Nie rozmawialiśmy już na ten temat, ale następnego dnia, kiedy klęczałem przy grobie mojej żony i dziecka, dziecka, którego nigdy nie widziałem, dziecka, któremu nawet nie nadaliśmy imienia, postanowiłem, że spełnię prośbę Haynesa Dearinga.

Pojadę do Jesup w hrabstwie Wayne; porozmawiam z Guntherem Krugerem; zobaczę, czy w jego oczach odbijają się twarze dziesięciu dziewczynek w chwili, kiedy pozbawiano je życia.

Gdybym wtedy wiedział, do czego to doprowadzi, gdybym wiedział, że luty 1949 roku będzie znakiem końca mojego pobytu w Georgii, być może podjąłbym inną decyzję. Nie widziałem tego znaku na brzegach Crooked River, na Jekyll Island czy Gray's Reef; nie widziałem żadnej wskazówki pośród zalanych wysp, zatoczek, słonych bagien czy odnóg rzecznych; nie widziałem nic przyklepionego do drzew ani do ich płaszczy z mchu; żadnego słowa w słojach bali powiązanych razem, by umożliwić podróż po krętych drogach głębszych bagien. Na stu tysiącach kilometrów kwadratowych historii, historii, którą poznałem, historii, w którą wierzyłem, nie było nic, co wskazywałoby na to, co nastąpi.

Być może tęskniłem do czasów dzieciństwa, do czasów, gdy byłem dzieckiem mającym oboje rodziców, dzieckiem żywiącym ciche i niewypowiedziane uczucie do panny Alexandry Webber. Być może po prostu mnożyłem powody przemawiające za opuszczeniem Georgii, bo wyjazd z tego stanu oznaczał, że moje życie zmieni się diametralnie i wspomnienia przeszłości zginą. W gruncie rzeczy wiedziałem, że nie ma na to szans, ale uważałem, że lepiej spróbować, niż nie robić nic.

Rankiem, we wtorek, 15 lutego, poszedłem zobaczyć się z Haynesem Dearingiem. Powiedziałem mu, że pojedę do Jesup i spotkam się z Guntherem Krugerem.

Dearing ani się nie uśmiechnął, ani mi nie podziękował. Siedział za biurkiem i patrzył na mnie przez kilka sekund.

- Rozumiesz, mam nadzieję, że chcę, żebyś wyciągnął z niego tak dużo, jak tylko się da?

- Rozumiem, czego pan chce, szeryfie. Nie jestem tylko pewien, czy pan to dostanie.

- Chcę, żebyś zrobił wszystko, co możliwe, żeby ustalić jego posunięcia. Chcę, żebyś zapytał go o zamordowane dziewczynki. Chcę poznać jego reakcję na pytanie, co pamięta z tego okresu, kiedy były znajdowane. Chcę wiedzieć, co słyszał i co o tym myślał.

- A pan nie może jechać, bo...

- Bo jestem szeryfem. Bo jestem stróżem prawa. Bo kiedy ja zadaję pytanie, wszyscy uważają za swój obowiązek nie udzielić mi na nie odpowiedzi.

- Myśli pan, że coś mu się wymyśli? Dearing pokręcił głową.

- Ja nic nie myślę, Josephie... Ja mam tylko nadzieję.

## XIX

- Strach na wróble - powiedziałem i uśmiechnąłem się, kiedy Mathilde Kruger mnie objęła.

- Strych na buble - powtórzyła, a ja roześmiałem się głośno. Bardzo się zmieniła. Minęło zaledwie siedem i pół roku od czasu, kiedy Krugerowie wyprowadzili się z Augusta Falls, ale ona postarzała się o dwadzieścia lat. Tylko ich dom, ten, w którym teraz mieszkali, w [esup w hrabstwie Wayne, był taki sam jak ten w Augusta Falls. Pachniał kiszoną kapustą, kiełbasą i ciemną kawą, hojnym sercem i troską o innych. Dom Krugerów symbolizował pamięć o mojej matce - takiej, jaką kiedyś była, i to, jak bardzo ci ludzie jej pomagali. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Gunther Kruger wiedział cokolwiek o śmierci dziesięciu dziewczynek i okropnych rzeczach, jakie im zrobiono.

Przyjechałem późnym rankiem, w środę szesnastego. Przyjechałem z Charlton furgonetką Reilly'ego.

- Powinieneś sobie kupić samochód - stwierdził Reilly i roześmiał się. Było w tym śmiechu coś dziwnego, co powiedziało mi, że doskonale rozumie, jak ciężka podróż mnie czeka. - Powodzenia - dodał, kiedy wychyliłem się przez okno i uniosłem rękę. - Lepiej, że to ty, a nie ja - powiedział chyba, kiedy odjeżdżałem, ale nie miałem pewności.

- Gunthera i chłopców nie ma - wyjaśniła Mathilde. - Ach, mówię: chłopcy. Już nie są chłopcami. Teraz to mężczyźni. Obydwaj, tak jak ty. - Raz jeszcze mnie uściskała, po czym wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do kuchni.

Z mety zaczęła się krzątać.

- Nie jestem głodny - powiedziałem.

Roześmiała się.

- Strych na buble jest zawsze głodny. Siadaj tutaj. Zrobię kawę, dobrze?

Uśmiechnąłem się, a potem zacząłem się śmiać. Udawałem, że się nie denerwuję, że moja wizyta ma charakter czysto towarzyski.

- Twoja matka... - powiedziała Mathilde. - Podobno jest na oddziale dla nerwowo chorych, tak? Mylę się?

Pokręciłem głową. Mathilde przyniosła kubek z kawą i postawiła go przede mną. Usiadła.

- Nie myli się pani - odparłem. - Jest w szpitalu w Waycross.

- Taka kobieta... - powiedziała Mathilde i było w jej tonie coś tak współczującego, że poczułem wyrzuty sumienia. Mówiliśmy o mojej matce; od dłuższego czasu myślałem o niej

bardzo mało, a czułem do niej jeszcze mniej.

- Taka kobieta i tyle nieszczęść w jej życiu... - Mathilde spuściła wzrok, zaczerwieniła się, próbując powstrzymać łzy, a potem pokręciła głową i uśmiechnęła się. - Będzie dhoobrze, wszystko będzie dhoobrze, tak?

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się wyrozumiale.

- Tak. Na pewno będzie dobrze.

- Pracujesz w Augusta?

Pokręciłem głową.

- O tyle, o ile. Jakoś żyję.

Mathilde wyciągnęła rękę i wzięła moją dłoń.

- To dhoobrze. Jesteś za chudy, Josefie, za chudy, ale zaraz zajmę się tobą, tak?

Przestałem uważać. Wydawało mi się, że patrzę przez Mathilde Kruger, jakby była oknem w przeszłość, patrzyłem przez nią na tę przeszłość, ciemną i dziwną historię, którą razem przeżyliśmy. Zastanawiałem się, czy wie o mojej matce i swoim mężu. Zastanawiałem się, ile czasu spędza, myśląc o Elenie, o tym, jak jej ciało zostało zabrane na ciężarówce rankiem po pożarze.

Przypomniałem sobie listopad 1945 roku. Rozmowę z Alex na temat dziewczynek, morderstw, o tym, kto mógł robić te wszystkie rzeczy, i o Krugerach, o śmierci Eleny, o wszystkim, co się wydarzyło. Przypomniałem sobie, jaki byłem pewny, że Kruger nie miał z tym nic wspólnego. Wtedy w to nie wątpiłem, ale teraz? Teraz siedziałem w kuchni Mathilde Kruger, czekając na powrót Gunthera do domu. Wyświadczałem przysługę szeryfowi Haynesowi Dearingowi. Pomagałem mu zbadać pewien ślad, ledwie podejrzenie wynikające ze strachu.

Być może się myliłem; być może ze swojej perspektywy, skrzywionej przez nieufność, zobaczyłem odbicie czegoś, co działo się we mnie. Być może moja wyobraźnia chciała stworzyć coś, co usprawiedliwiłoby moją wizytę.

Gunther Kruger przybył po godzinie. Zawołał do żony z drzwi wejściowych. Wszedł do kuchni i zobaczyłem to na jego twarzy.

Zobaczyłem poczucie winy.

Oceniając to spotkanie z perspektywy czasu, skłaniałem się do myśli, że musiało to być poczucie winy wynikające ze związku z moją matką.

To wyjaśniałoby jego zaskoczenie, a jednak pod nim czaił się ewidentny cień niechęci. Wyraz jego twarzy wszystko zdradził: oto ja, obraz z przeszłości - twarz, głos, nic więcej, ale to wystarczyło, żeby mu przypomnieć o czymś dawno temu pogrzebanym pod

całunem samousprawiedliwienia. Oto stał przed nim Joseph Vaughan, syn kobiety, z którą sypiał, kiedy jego żona znajdowała się ledwie trzydzieści metrów dalej. Gunther cudzołóżnik. Gunther rozpustnik. Gunther kłamca.

- Joseph! - Rozpostarł ręce i chwycił mnie mocno za ramiona.

- Ach! Nicht war? Jesteś tutaj! Joseph Vaughan. Ha!

Przyciągnął mnie bliżej i uściskał, ale było coś niepokojącego w sposobie, w jaki jego ramiona zacisnęły się na moich plecach. Ścisnął mnie, a po chwili przytulił jeszcze mocniej. Zostałem zaskoczony przez tak nagły uścisk i nie mogłem złapać tchu. Demonstruję radość na twój widok tylko ze względu na moją żonę, mówił ten gest. W ten sposób pokazuję jej, że nie mam nic do ukrycia, ale w rzeczywistości chcę cię skrzywdzić za to, że przyszedłeś. Za to, że przywróciłeś do życia wspomnienia, o których chciałem zapomnieć. Będę udawał, że cieszę się z twojej wizyty, jednak kiedy już sobie pójdiesz, masz nie wracać.

- Gunther! - odpowiedziałem entuzjastycznie. - Cieszę się, że pana widzę! Wielki Boże, minęło chyba już z jakieś siedem lat albo i więcej. Ponad siedem lat, a pan nic się nie zmienił... Żadne z was.

- Jaki miły - rozpromieniła się Mathilde. - Wiem, że jesteś tylko miły. Starzejemy się... Niedługo będziemy za starzy na pracę na roli.

- Ja? - zdziwił się Gunther. - Ja nie przestanę pracować. Będę orał, dopóki nie padnę trupem na polu! Cha, cha, cha!

Usiedliśmy przy stole i Mathilde zrobiła więcej kawy. Gunther nabił fajkę i zaczął wypełniać kuchnię gorzkim, gryzącym dymem.

- Dalej mieszkasz w Augusta Falls? - zapytał.

- W tym samym domu - odparłem. - Moja matka...

- Wiem, Josephie... - przerwał mi Gunther. - Podobno od dawna nie czuje się najlepiej, tak?

- Od siedmiu lat - powiedziałem i z jakiegoś powodu poczułem, że ma to jakieś znaczenie, że Reilly i ja zabraliśmy ją do Waycross właśnie w lutym. Dokładnie 10 lutego 1942. Teraz był luty 1949. Wtedy miałem 14 lat; obecnie 21. Straciłem żonę i dziecko. Przez ten czas zamordowano kolejnych siedem dziewczynek.

- Więc wszystko u ciebie dobrze, tak?

Spojrzałem na Mathilde stojącą nad zlewem. Ta kobieta nigdy nie siadała na dłużej niż chwilę, zawsze była czymś zajęta; wydawało się, że potrafiła tak organizować sobie czas, by nie myśleć o tym, o czym nie chciała. Niewykluczone, że wiedziała o romansie męża z moją matką, niewykluczone, że myślała o swojej córce i o tym, jak straciła życie; być może

wiedziała coś ważnego o tych morderstwach, ale nic nie powiedziała.

- Wszystko dobrze - odparłem. - W porządku... ale znowu zaczęły się te same kłopoty... - zawiesiłem głos. Było mi głupio, bo czułem się tak, jakbym specjalnie próbował nakłonić Gunthera Krugera do powiedzenia czegoś, co by go obciążało.

- Kłopoty? - powtórzył Gunther. - Jakie kłopoty?

Pokręciłem głową.

- Nie - powiedziałem. - Nie chciałem o tym rozmawiać. - Spojrzałem na Gunthera, a potem odwróciłem się do Mathilde, która odeszła od zlewu. Uśmiechnąłem się do niej, ale było coś w jej wyrazie twarzy, co wymykało się opisowi. Zupełnie jakby przebiegł przez nią jakiś cień.

- Przyszedłem państwa odwiedzić - kontynuowałem, wytrącony z równowagi wyglądem Mathilde Kruger. - Przyszedłem, żeby zobaczyć, co u państwa słychać, co u Hansa i Waltera...

Odwróciłem się do Gunthera.

- Powiedz, o jakich kłopotach mówisz - zachęcił mnie.

Westchnąłem i pokręciłem głową. Ja też byłem teraz kłamcą i tak się też czułem.

- Te rzeczy... okropne rzeczy, no wie pan...

Gunther zmarszczył brwi i pokręcił głową. Sprawiał wrażenie zmartwionego, przejętego niczym dobrotliwy ojciec; wyglądał w tej chwili tak samo jak ten mężczyzna, który przejechał wzdłuż rzeki St. Mary's, żebyśmy mogli spędzić dzień w Fernandina Beach; mężczyzna, który powiedział, że nawet ja - Joseph Vaughan - powinienem mieć jakieś wspomnienia do pielęgnowania, kiedy dorosnę.

- Chodzi o te małe dziewczynki. - Spojrzałem mu prosto w oczy. W wyrazie jego twarzy nie było nic oprócz cierpliwości i ciekawości. - Dziewczynki, które zamordowano.

Mathilde zrobiła krok do przodu. Stała za Guntherem i położyła dłoń na jego ramieniu.

- O nie - jęknęła. - To nadal trwa?

Skinąłem głową.

- Mamy już dziesięć ofiar. Zginęło dziesięć dziewczynek. - Spojrzałem na Gunthera Krugera. Gdyby coś wiedział - cokolwiek - musiałby w jakiś sposób zareagować. Ale nie zareagował.

- Dziesięć dziewczynek - powtórzył i ton jego głosu również zaprzeczył, że wiedział coś na ten temat. Jednak coś zauważyłem. Później nie potrafiłem nawet ustalić, co takiego. Cień, mignięcie czegoś w jego oczach? Wpatrywałem się w niego tak intensywnie, że poczuł

się skrępowany.

- Nie rozumiem tego - powiedział i popatrzył na swoją żonę. Wydawało mi się, że zrobił to tylko dlatego, by móc odwrócić wzrok ode mnie. Mathilde nie spojrzała na niego, cały czas wpatrywała się we mnie.

- A policja? - zapyta! Gunther. - Nic nie znalazła?

Pokręciłem głową.

- Nie mają nic poza niepotwierdzonymi plotkami. Ludzie zgłaszają się i mówią, co im się wydaje, że widzieli. Nie wiem, ile fałszywych tropów podjęli. Wiem, że próbowali włączyć w dochodzenie wydział śledczy stanu Georgia, ale nic z tego nie wyszło. Mówiąc szczerze, nie sądzę, żeby wiedzieli coś więcej od tego, co wiedzieli, kiedy morderstwa się zaczęły.

Gunther spojrzał na mnie. Na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wydawało się, że też powstrzymuje łzy.

- W jakim my świecie żyjemy - powiedział, a głos mu się łamał z emocji. - W świecie, w którym ludzie robią takie potworności.

- Trudno to zrozumieć - odparłem - ale nie przyjechałem tu po to, żeby o tym rozmawiać. Gdzie są Hans i Walter?

Gunther uśmiechnął się.

- Przez cały dzień pracują w Walthourville. Nie wrócą chyba przed zachodem słońca.

- Szkoda - westchnąłem. - Chciałem się z nimi zobaczyć.

- Zostań - powiedziała Mathilde. - Będą zawiedzeni, że przejechałeś taki kawał drogi i się z nimi nie spotkałeś.

- Nie mogę zbyt długo zostać... Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jechałem do Glenville i pomyślałem sobie, że przy okazji wstąpię tutaj.

- Więc chodź - powiedział Gunther, wstając od stołu. - Musisz zobaczyć gospodarstwo.

- Jasne - odparłem i także wstałem.

Gunther poprowadził mnie do tylnego wyjścia.

- Przygotuj Josephowi coś do jedzenia na drogę - poprosił Mathilde. - Kiełbasę i chleb, coś na przytycie! - Roześmiał się, po czym wyszliśmy na podwórze.

Dziesięć metrów za domem zwolnił. Wziął mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

- Przykro mi z powodu twojej matki - powiedział. - Teraz jesteś już dorosłym mężczyzną... - Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odwrócił wzrok, jakby był zawstydzony. - Wiele lat temu wydarzyły się pewne rzeczy...



- Nie... - zacząłem, ale przerwał mi.

- Pozwól, że powiem to, co chcę powiedzieć, Josephie. Minęło wiele lat, a twoja matka jest chora. Zawsze starałem się być uczciwym, bogobożnym człowiekiem, ale w czasie gdy mieszkaliśmy w Augusta Falls, wydarzyły się rzeczy, które nawet najlepszemu człowiekowi posłałyby do piekła.

- Jest pan dla siebie zbyt surowy.

- Biblia mówi to, co mówi, Josephie. Sypianie z kobietą inną niż żona to grzech śmiertelny. Nosilem ten grzech w sercu przez wiele lat. Mathilde - spojrzał w kierunku domu - Mathilde nic o tym nie wie i nie może się dowiedzieć, rozumiesz?

- Nie musi pan się mną przejmować... Nikomu nie powiem.

- Wiedz, że modłę się o wyzdrowienie twojej matki. Modłę się za dnia i w nocy, żeby Pan uleczył ją z choroby.

- Wiem i dziękuję panu za to. Niestety, najprawdopodobniej nigdy nie wydobrzeje, chociaż lekarze robią, co mogą.

- Przez cały dzień pracują w Walthourville. Nie wrócą chyba przed zachodem słońca.

- Szkoda - westchnąłem. - Chciałem się z nimi zobaczyć.

- Zostań - powiedziała Mathilde. - Będą zawiedzeni, że przejechałeś taki kawał drogi i się z nimi nie spotkałeś.

- Nie mogę zbyt długo zostać... Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jechałem do Glenville i pomyślałem sobie, że przy okazji wstąpię tutaj.

- Więc chodź - powiedział Gunther, wstając od stołu. - Musisz zobaczyć gospodarstwo.

- Jasne - odparłem i także wstałem.

Gunther poprowadził mnie do tylnego wyjścia.

- Przygotuj Josephowi coś do jedzenia na drogę - poprosił Mathilde. - Kiełbasę i chleb, coś na przytycie! - Roześmiał się, po czym wyszliśmy na podwórze.

Dziesięć metrów za domem zwolnił. Wziął mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

- Przykro mi z powodu twojej matki - powiedział. - Teraz jesteś już dorosłym mężczyzną... - Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odwrócił wzrok, jakby był zawstydzony. - Wiele lat temu wydarzyły się pewne rzeczy...

- Nie... - zacząłem, ale przerwał mi.

- Pozwól, że powiem to, co chcę powiedzieć, Josephie. Minęło wiele lat, a twoja matka jest chora. Zawsze starałem się być uczciwym, bogobożnym człowiekiem, ale w czasie gdy mieszkaliśmy w Augusta Falls, wydarzyły się rzeczy, które nawet najlepszemu człowiekowi

posłałyby do piekła.

- Jest pan dla siebie zbyt surowy.

- Biblia mówi to, co mówi, Josephie. Sypianie z kobietą inną niż żona to grzech śmiertelny. Nosilem ten grzech w sercu przez wiele lat. Mathilde - spojrzał w kierunku domu

- Mathilde nic o tym nie wie i nie może się dowiedzieć, rozumiesz?

- Nie musi pan się mną przejmować... Nikomu nie powiem.

- Wiedz, że modłę się o wyzdrowienie twojej matki. Modłę się za dnia i w nocy, żeby Pan uleczył ją z choroby.

- Wiem i dziękuję panu za to. Niestety, najprawdopodobniej nigdy nie wydobrzeje, chociaż lekarze robią, co mogą.

- Ha! Lekarze nic nie wiedzą. Potrafią nastawić nogę, jeśli się złamie. Potrafią zszyć ranę i zatrzymać krwawienie. Ale dusza? Nie wiedzą nic o chorobie duszy. Tylko laska Boża może wyleczyć taką chorobę. Twoja matka była... twoja matka jest dobrą kobietą, silną i dobrą. Takie rzeczy to zbrodnia przeciwko...

- Wystarczy - przerwałem mu cichym głosem. - Już wystarczy. Za późno na żal. Taki jest ten świat i nic nie możemy na to poradzić. Przyjechałem, żeby dać państwu znać, że u mnie wszystko w porządku. Żeby zobaczyć się z Hansem i Walterem...

- I Eleną - przerwał Gunther. - Zobaczyłbyś się też z Eleną, gdyby nie została nam zabrana.

- Wiem, nadal trudno mi o tym myśleć. Możemy rozpaczać z powodu wielu rzeczy, ale jeśli wierzymy w Boga, musimy też z ufnością przyjmować jego decyzje.

- Raczej jego kary - powiedział.

Zmarszczyłem brwi.

- Kary?

Gunther wbił wzrok w ziemię.

- Biblia mówi, że nic nie dzieje się bez przyczyny.

- Nie - odparłem. - Nie może pan tak myśleć, nie może pan karać się za śmierć Eleny. Jak może pan przypuszczać, że miał z tym coś wspólnego?

Gunther zamilkł. Odwrócił się do mnie plecami i spojrzał w kierunku domu.

- Zrobiłem straszną rzecz - powiedział prawie szeptem.

- Była samotna. Mój ojciec zmarł. Rozumiem ludzką naturę. Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. I dlatego właśnie czujemy to, co czujemy. Jest pan dobrym człowiekiem i zawsze nam pan pomagał. Uważam, że karanie siebie za to, co się stało z moją matką, jest tak samo szalone jak wiara w to, że w jakiś sposób odpowiada pan za śmierć

Eleny. Takie rzeczy się zdarzają i prawdziwą próbą naszej siły jest dalsze życie pomimo nich.  
- Zanim jeszcze skończyłem mówić, pożałowałem tego, co powiedziałem. Zastanawiałem się, czy ta straszna rzecz, o której wspomniał, to była jego niewierność czy może coś innego.

Gunther skinął głową. Spojrzał na mnie. W jego oczach zobaczyłem Izy.

- Masz rację, Josephie. Przez te kilka lat zmądrzałeś, co?

Machnąłem ręką.

- Przeprowadził się pan tutaj i pana rodzinie się powodzi. Mathilde jest szczęśliwa, prawda? Chłopcy pewnie też.

- Hans latem się żeni - powiedział. - Musisz przyjechać na ślub. Musisz przyjechać.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem Gunthera za ramię.

- Przyjadę na ślub... Będę zaszczycony.

- To dobrze, jesteśmy więc umówieni. A teraz musisz już iść. Czy jednak zostaniesz trochę dłużej?

- Muszę iść - skłamałem. Poczulem się okrutny i bezduszny.

- No dobrze - powiedział Gunther. - Chodź pożegnać się z Mathilde i wziąć prowiant na drogę.

Po piętnastu minutach jazdy na północ w kierunku Glenville zawróciłem furgonetkę i podążyłem do domu. Dotarłem do niego po południu. Niebo było ponure i bez najmniejszej skazy.

Pojechałem do Reilly'ego i zaparkowałem na podwórku, dziękując Bogu, że nie było go w domu. Kiedy zacząłem iść do siebie, rozpadało się, zupełnie jakby Bóg, którego imię wypowiadałem nadaremno, próbował zmyć moją winę. Bezskutecznie. Tę winę nosiłem w sobie.

Zawiodłem szeryfa Dearinga. Straciłem zimną krew. Powinienem był przycisnąć Gunthera Krugera, zapytać, co miał na myśli, kiedy mówił o strasznej rzeczy, którą zrobił. Wydawało mi się, że wiem, że muszę wiedzieć. Przypomniało mi się, jak stałem przed oknem tej nocy wiele lat temu. Przypomniałem sobie Gunthera stojącego w ciemności, jego długi płaszcz powiewający za nim niczym peleryna i to, jak dech mi zaparło w piersiach, to, jak zimna dłoń chwyciła mnie za serce i wycisnęła je do ostatniej kropli krwi. Czy Gunther Kruger mógł robić takie rzeczy? Czy taki człowiek jak on byłby w stanie dokonać tak potwornych zbrodni?

Chciałem mieć winowajcę. Chciałem, żeby ktoś zapłacił za to, co się stało.

W tamtej chwili próbowałem wierzyć, próbowałem wierzyć tak mocno, że to aż

bolało.

Stałem przy oknie w kuchni i wyglądałem na zewnątrz. Widziałem miejsce, gdzie kiedyś stał dom Krugerów, i miałem przed oczami ciało Eleny niesione w kierunku ciężarówki Franka Turowa.

Śmierć była tam tej nocy, nie szła ani nie płynęła w powietrzu, ona była w cieniach między drzewami, w cieniach mężczyzn niosących Elenę, w dźwięku ich ciężkich butów rozgniatających mokre liście i ułamane gałęzie, w chrzęście żwiru, w parze, która wydobywała się z ich ust, kiedy kaszleli i szeptali między sobą, kiedy unosili ciało i kładli je na pace ciężarówki. Była tam. Wiedziałem, że wie, iż ją obserwuję.

Przeszedł mnie dreszcz.

Zadałem sobie pytanie, czy Śmierć przyszła pod postacią Gunthera Krugera.

Wiedziałem, że powinienem spotkać się z Haynesem Dearingiem, ale nie mogłem się na to zdobyć. Postanowiłem zobaczyć się z nim następnego dnia.

Gdybym od razu do niego poszedł, mógłby coś powiedzieć, zrobić cokolwiek, co zmieniłoby bieg rzeczy. Patrząc na to z perspektywy czasu, która wykrzywiała obraz i pokazywała, co mogłoby się stać, rozumiałem, że widziałem wszystko właśnie tak, jak rozmawiałem o tym z Guntherem Krugerem. Powiedziałem mu, że nie odpowiada za to, co się stało, że nie mógł nic zrobić. Jak łatwo nam dawać rady innym. Szkoda tylko, że nie potrafimy ich stosować we własnym życiu.

Prawda to prawda, bez względu na to, jak trudno nam się z nią pogodzić.

Kiedy porozmawiałem z Haynesem Dearingiem, było już za późno, żeby coś zrobić. Powtórzyłem mu, co powiedział Gunther Kruger. Zwierzyłem mu się z tego, co podejrzewałem, a może co sobie wyobrażałem. Teraz widzę, że powiedziałem mu to, w co bardzo chciał wierzyć. Rzeczywistość, trudniejsza do zniesienia niż wyobrażenia czy domysły, nie okazała nam litości.

Wszystko miało się zmienić, choć ja - przyzwyczajony do najgorszego - nie mogłem uwierzyć, że moje życie zmieni się na lepsze.

Koła młyńskie zostały wprowadzone w ruch. Mielą życia ludzi i w pewnym momencie wydaje się, że nic już nie zostaje.

Moje życie było dalekie od tego, którego pragnąłem.

Czy jestem winny tego, co zrobiłem?

Czy wszyscy nie jesteśmy w jakiś sposób winni?

Powiedziałem to, co uważałem za prawdę, czy to, w co chciałem wierzyć? Czy powiedziałem to, co myślałem, że szeryf Haynes Dearing chciał usłyszeć, czy też to, co ja

chciałem, żeby usłyszał?

Czy zrobiłem to, ponieważ wierzyłem, że wszystko się zatrzyma, że przeszłość ucichnie i nie będzie mnie już prześladować?

Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Nawet teraz, po tylu latach, wciąż nie umiem na nie odpowiedzieć.

Mój grzech. Moja zbrodnia. Moje cierpienie.

Pamiętam twarz Dearinga, kiedy z nim rozmawiałem, to, jak unióśł brwi, ale nic nie powiedział, to, jak oczy mu się rozszerzyły, jak zabłyśły. Powinienem był usprawiedliwić swoje słowa, złagodzić je wątpliwościami, zastrzeżeniami, ale nie zrobiłem tego. Złagodziłem je strachem, złością i rozpaczą; bólem, który czułem z powodu tego, co zaszło między Guntherem Krugerem a moją matką, bólem z powodu śmierci jego córki... Uważałem, że jest temu winny.

Obarczyłem go odpowiedzialnością za klęskę mojego życia. Sprawilem, że niósł ciężar mojej straty. Osądziłem go za śmierć mojej matki, śmierć Eleny, którą przysięgłem chronić.

Byłem sędzią, ławą przysięgłych i świadkiem oskarżenia. Nie zrewidowałem faktów. Pozbawiłem oskarżonego możliwości obrony. Zdecydowałem o jego winie i nie rozważałem, czy może być niewinny.

Chciałem, żeby ktoś zapłacił za to, co się stało.

Chciałem tylko, żeby ktoś zapłacił.

## XX

Było jeszcze ciemno, gdy usłyszałem warkot silnika przed domem.

Wstałem. Stałem nago przy oknie i wyjrzałem. Trudno było pomylić ten czarnobiały samochód z jakimś innym. Kiedy zobaczyłem, że Haynes Dearing wysiada, poprawia kaburę, wyprostowuje kłamrę paska, kiedy zobaczyłem, że sięga do środka, wyciąga kapelusz i zakłada na głowę, kiedy zobaczyłem, jak na chwilę się zatrzymuje i patrzy na drogę, a potem spogląda na mój dom, jakby jego własny anioł śmierci planował z niego wyjść, wiedziałem.

Wiedziałem.

Odszedłem od okna i sięgnąłem po spodnie i koszulę. Ubierałem się powoli, tak mi się przynajmniej wydawało; doszedłem do wniosku, że Dearingowi dużo czasu zajmie dotarcie do drzwi, mimo że nie miał do pokonania dużej odległości. Wyczułem, że kilka razy się zatrzymywał, jakby zastanawiając się nad przyczynami tego, co robił, jednak za każdym razem, kiedy już miał wracać do samochodu, coś go przekonywało do kontynuowania.

Byłem na dole, zanim zapukał.

W milczeniu otworzyłem drzwi. Jego twarz nic nie wyrażała. Niebo za nim wciąż spało, było zbyt wcześnie na jakąkolwiek pogodę.

- Pomyślałem, że się ze mną przejeździsz - powiedział.

- Teraz? - zapytałem.

Skinął głową.

- Teraz - powtórzył za mną i odwrócił się, żeby odejść.

- Dokąd jedziemy? - zawołałem. Dearing nie zatrzymał się ani nie zwolnił. Cofnąłem się po buty i kurtkę.

Po drodze odezwałem się zaledwie dwa razy. Dearing tylko kręcił głową. Zastanawiałem się, czy nie zagaić trzeci raz, ale poddałem się, zanim postanowiłem, co powiem. Przejechaliśmy przez Hickox, Nahunta i Screven. Wiedziałem, dokąd jedziemy, i zgadywałem dlaczego. Obserwowałem dłonie Dearinga na kierownicy; jego skóra była stwardniała, obfitowała w blizny i znamiona, na środkowym palcu i kciuku miał plamy od nikotyny. Raz czy dwa spojrzałem na jego profil - większa część ukrywała się w cieniu, nic więcej niż zarys, mięśnie napinały się i uwypuklały wzdłuż linii szczęki. Facet był spięty. Jakieś nieodpowiednie słowo, zbyt nagły ruch i wyskoczyłby jak diabeł z pudełka. Spojrzałem do tyłu na drogę. To, o czym myślałem, zatrzymałem dla siebie.

Pobocze było zaśmiecone chałupami i wiatrowskazami. Co dziesięć, piętnaście

metrów stała skrzynka na listy, wszystkie one były głodne tego, co prawdopodobnie nigdy nie przyjdzie. Sterta opon wyglądała jak szeroka czarna kolumna, wisiała na niej tabliczka z napisem ŚWIEŻE JAJA i strzałką wskazującą na krętą ścieżkę. Kilka kilometrów od Jesup na skrzyżowaniu stał spalony traktor, niczym cierpliwy pies przytrzymujący pana, który się przewrócił. Okna bez szyb, kolory dawno temu zjedzone przez korozję, kratka z przodu jak złe usta pełne gorzkich słów, niemogące przemówić.

Cały kraj wydawał się smutny i opuszczony. Kraj mego dzieciństwa. Kraj mej przeszłości.

- Nie ma ich tutaj - powiedział Dearing, kiedy zatrzymał się na poboczu. Byliśmy pięćdziesiąt metrów od domu Krugerów. Widziałem migające światła policyjnych kogutów, wyczuwałem hałas i wrzawę, które czekały na nas za granicą. Wiedziałem, że mówi o Mathilde i chłopcach.

Naliczyłem siedem samochodów. Z twarzy, które widziałem, rozpoznałem jedną czy dwie. Jedna należała do Burnetta Fermora. Przypomnił mi się incydent ze świąt 1945 roku. Czuję się jak duch siedzący z przodu samochodu i obserwujący żywych ludzi przez przednią szybę.

- Wszyscy tu są - powiedział Dearing w pewnej chwili. - Ford Ruby, Landis, John Radcliffe, Monroe z hrabstwa McIntosh... wszyscy. Siedem hrabstw.

Nic nie powiedziałem.

Po wielu godzinach, mając dopiero wtedy niewielką nadzieję na zrozumienie tego, co się stało, myślałem o nim jako o halloweenowej dyni. Spuchnięta głowa, oczy jakby podświetlone. Język zrobił się niebieski i wysunął się z ust jak balon. Cukierki albo psikus, pomyślałem. W następnej chwili zrozumiałem, że ani jedno, ani drugie.

- Chcę tam iść - powiedziałem Dearingowi.

Pokręcił głową.

- Nie chcesz.

Nalegałbym, gdybym nie wiedział, że nic to nie da.

- Powiesił się - wyjaśnił Dearing.

Przez chwilę starałem się nic nie widzieć, ale potem wyobraziłem sobie, jak wisi na sznurze, bujając się do przodu i do tyłu, podczas gdy krokiew, na której dynda, trzeszczy i napina się pod jego ciężarem.

- Podejrzewamy, że zrobił to we wczesnych godzinach porannych - powiedział Dearing. - Walter... Pamiętasz Waltera?

Skinąłem głową.

- Walter go znalazł.

Nic nie odpowiedziałem. Patrzyłem w milczeniu, jak koroner trzech hrabstw wysiada z samochodu i idzie w kierunku stodoły Gunthera.

- Miał w ręku różową kokardkę - doda! Dearing.

Zamknąłem oczy, próbując głęboko oddychać. Brakowało mi tchu.

- Znaleźliśmy też inne rzeczy... but, naszyjnik, który przypuszczalnie należał do Keplerówny... - Przerwał.

Po chwili znowu zaczął mówić coś o winie, o tym, że martwi się, że samobójstwo Gunthera może znowu wywołać niepokój wśród ludzi, przypomnieć to, o czym starali się zapomnieć. Nic nie słyszałem oprócz bicia swojego przerażonego serca.

Moja matka, moja smutna, szalona matka, sypiała z zabójcą dzieci.

Dziesięć małych dziewczynek, wszystkie skatowane i wykorzystane seksualnie, wiele z nich rozczłonkowanych i rozrzuconych na cztery strony świata...

Gunther Kruger - mój przyjaciel, mój sąsiad, kochanek mojej matki...

Gunther Kruger wyszedł, żeby porozmawiać ze Śmiercią, i Śmierć powiesiła go na krokwi.

W pewnej chwili utraciłem całą siłę i zacząłem płakać.

- To już koniec - powiedział Dearing. Jego głos dobiegał jakby z daleka. - Wreszcie się to skończyło - dodał szeptem. A potem wyciągnął rękę, włączył silnik i wrócił tą samą drogą, którą przyjechaliśmy.

Kilka dni później Haynes Dearing poradził mi, żebym wyjechał z Augusta Falls.

- To nie jest dobry moment dla żadnego z nas - powiedział. Siedział przy stole kuchennym z kapeluszem na kolanach. Miał niezdecydowany, prawie nerwowy wyraz twarzy.

- To... to, co się stało z Guntherem Krugerem... - Jego niezgrabne słowa ucichły, a on odwrócił ode mnie wzrok. - Niektórzy uważają, że mogłeś mieć coś wspólnego z tym, co się tam wydarzyło.

- Co proszę? Dearing uniósł rękę.

- Nie zrozum mnie źle. To nie jest informacja oficjalna, Josephie. Mamy problem, największy problem, odkąd mieszkam w hrabstwie Charlton. Ludzie się boją. Głównie na skutek szoku. Gunther Kruger był znanym człowiekiem, szanowanym członkiem naszej społeczności. Ludziom trudno zrozumieć takie rzeczy i zaczęli wierzyć, że...

- Wierzyć, że co, szeryfie? W co wierzą?

- Do diabła, dla mnie nie ma to większego sensu niż dla ciebie. Nie powinienem był



cię tam posyłać. Nie powinienem był cię prosić o to, żebyś się z nim zobaczył. Ale teraz już za późno. Prawda jest taka, że przeze mnie znalazłeś się w bardzo niezręcznej sytuacji. Ludzie uważają, że to, co się stało, ma więcej wspólnego z twoją wizytą niż z czymkolwiek innym.

- Chyba nie mówi pan poważnie. Chryste Panie, o co tu chodzi? Uważają, że miałem coś wspólnego z tymi morderstwami?

Dearing pokręcił głową.

- Jasne, że nie, w każdym razie nie sądzę.

- Więc co? Co według nich zrobiłem?

- Może coś w związku z tym, co się stało z Krugerem...

- Ze zabiłem Gunthera? Właśnie to pan mówi?

- JA niczego nie mówię. - Dearing położył kapelusz na stole i pochylił się, trzymając ręce razem, a palce splecione. Miał poważny wyraz twarzy. - Może to synowie Krugera. Może to oni rozprowadzają te plotki. Wyobrażasz sobie, co muszą czuć? Nie mieści im się w głowach, że ich tatuś jest zabójcą dzieci. Nie chcą w to wierzyć...

- Więc mówią ludziom, że to ja, że ja zabiłem te dziewczynki i że zrobiłem wszystko, żeby wyglądało na to, że ich ojciec jest mordercą.

Dearing nic nie powiedział. Jego milczenie było potwierdzeniem, którego potrzebowałem.

- Nie może pan myśleć, że jest jakaś...

- Nie myślę - odrzekł z naciskiem. - Wiem, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Znaleźliśmy pod podłogą w stodole pewne rzeczy. Znaleźliśmy rzeczy, które należały do wszystkich tych dziewczynek.

- Więc dlaczego nie powie pan ludziom... dlaczego nie powie pan im, co naprawdę się stało?

- Dlatego, że Kruger nie żyje i nie może odeprzeć zarzutów.

- Słucham? - Nie wierzyłem własnym uszom. Nie wierzyłem w to, co mówił Dearing.

- Prawo to prawo, Josephie. Mamy powieszzonego, popełnił samobójstwo, nie ma wątpliwości. Znaleźliśmy rzeczy należące do tych dziewczynek w jego stodole. Nie będzie procesu, prawników, sędziów, śledztwa. To koniec. Ten koszmar się skończył. W Georgii nie będzie już więcej zabitych małych dziewczynek, a w każdym razie nie zginą z jego ręki. Pójdzie tam, gdzie pójdzie, i poniesie zasłużoną karę. Mam teraz na karku niespokojnych ludzi i w takiej sytuacji najlepiej usunąć to, co przypomina o strasznych rzeczach, które się wydarzyły.

- I to ja jestem tym, co im o tym przypomina, tak?

- Ludzie wiedzą, że znalazłeś Perlmanównę. Wiedzą, że byłeś u Krugera w Jesup. Dwadzieścia cztery godziny później powiesił się. Jakby na to nie patrzeć, jesteś częścią tych wydarzeń. Nieświadomym aktorem w tym teatrze...

- Niech pan daruje sobie ten poetycki ton, szeryfie. To wszystko gówno prawda.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz. W Augusta Falls nie czeka cię nic dobrego. Jesteś młody. Tutaj miałeś problemy. Nigdy nie będziesz pasował do wiejskiej społeczności. Wyjedź tam, gdzie zarobisz fortunę. Wykorzystaj talent, który masz. Pisz książki, zarabiaj. Mógłbyś sprzedać ten dom. Ktoś może się tym za ciebie zająć... Sprzedaj go i weź pieniądze, zacznij od początku. Zostaw to wszystko za sobą. Ja się zajmę tym, co jest tutaj, a ty żyj życiem, na jakie zasługujesz.

- Jakie to ma być życie, szeryfie?

Dearing pokręcił głową.

- Do diabła, Josephie. Nie wiem... Wydaje mi się, że najwyższy czas, żebyś zaznał trochę szczęścia.

Później, długo po wyjściu szeryfa Dearinga, usiadłem na łóżku mojej matki i zacząłem płakać.

Oplakiwałem matkę, Gunthera Krugera, dziesięć dziewczynek, które zasługiwały na szczęście pewnie bardziej niż my, Elenę, Alex, dziecko, które straciłem. Nie płakałem z żalu nad sobą. Nie miałyby to sensu. Teraz nosiłem coś w sobie i nie były do duchy tych dzieci. Nosilem prawdę o tym, co się stało, i to być może było bardziej przerażające niż wszystko inne.

Myślałem o wyjeździe. Nie bałem się tego, co ludzie mogą powiedzieć czy zrobić, nie bałem się tego, co mogą o mnie sądzić. Myślałem o wyjeździe, bo nowy początek miał sens. Zastanawiałem się nad Nowym Jorkiem i książką, którą obiecałem Alex. Wierzyłem, że jakoś to przetrwam, i próbowałem siebie przekonać, że nic nie dzieje się bez powodu.

Zastanawiałem się, czy rodzice dziewczynek próbowali kiedykolwiek wierzyć w to samo.

- Jedź - powiedział Reilly.

Był początek marca. Reilly przyszedł, żeby ze mną zjeść kolację, został na noc i większość następnego dnia. Siedzieliśmy na ganku, Reilly palił, późnopołudniowe światło przypominało poprzednie wiosny w Georgii. Po zimie nie było już śladu. Element samotności i smutku był obecny bez względu na porę roku.

- Jedź... jedź do Nowego Jorku - powtórzył z naciskiem, na który zwróciłem uwagę, mimo że bawiłem myślami daleko. - Tak jak powiedział Dearing, tutaj nic dobrego cię nie

czeka. Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden.

Uśmiechnął się niezręcznie.

- Twoje życie nawet jeszcze się nie zaczęło.

Odwróciłem się, żeby na niego spojrzeć.

- Mówisz, że nic dobrego mnie tutaj nie czeka. Dlaczego uważasz, że może mnie czekać coś dobrego w takim miejscu jak Nowy Jork?

Reilly uśmiechnął się i zerknął w dół.

- Do diabła, nie wiem. W takim miejscu jak to nie ma nic. W takim miejscu można się urodzić, ale potem człowiek się stąd wyprowadza. Chyba że ma tutaj rodzinę.

- Ty tu jesteś... Nie masz rodziny, a zostałeś.

Reilly roześmiał się. W tym śmiechu była rezygnacja i nieznaczny smutek.

- Ja? Ja jestem najlepszym powodem, że powinieneś stąd wyjechać. Za trzydzieści lat będziesz dokładnie taki jak ja, jeśli czegoś w porę nie zrobisz, wiesz? Poza tym to ty zacząłeś mówić o Nowym Jorku.

Spojrzałem na horyzont. Ocean niskich krzaków, gwiazdnica, golteria, bawełna i wierzba, która wyciągnęła za dużo wody z bagna i urosła mała i brzydka; wszystko to upstrzone niskimi dachami domów, które wydawały się kucać na ziemi, unikając odkrycia, czekając, aż zaskoczą przybysza. Zastanawiałem się, czy po prostu nie bałem się nieznanego, nie bałem się przyszłości. Zastanawiałem się, jaki sens będzie miało moje życie, jeśli zostanę tutaj, i nic nie mogłem wymyślić. Ożenię się z jakąś mało rozgarniętą wiejską dziewczuchą, wychowam kilkoro dzieci, zestarzeję się rozgoryczony i w końcu umrę z powodu za krótkiego oddechu. Wydawało się, że tutaj zawsze były tylko ostre krawędzie i rogi; że gdy się coś osiągnęło, to coś było w końcu zabierane. Nowy Jork wzywał jak głośny i upragniony hałas u kresu długiej, krępującej ciszy. Nie przejmowałem się synami Krugera, nie byłem nawet pewien, czy krążyły o mnie jakieś plotki, doszedłem do wniosku, że szeryf miał własne powody, żeby nakłaniać mnie do wyjazdu. Wydawało mi się, że to on nie chciał, żeby mu przypominano o Guntherze Krugerze. Nic nie słyszałem, a nie widywałem się z ludźmi na tyle często, żeby stwierdzić, czy dziwnie na mnie patrzyli. Od dawna wiedziałem, że jedynym powodem, dla którego tu pozostaję, jest moja matka, a i ten powód należał już do przeszłości. Nie widziałem jej od marca 1947 roku, od wizyty u Gabillarda tuż przed ślubem z Alex. Ponad dwa lata. Zastanawiałam się, czy się postarzała.

- Może faktycznie powinienem jechać - powiedziałem. Mój głos popłynął w kierunku drzew i tam zaniknął.

- Myślę, że powinieneś - odparł Reilly i już o tym nie rozmawialiśmy.

Z perspektywy czasu moje życie jawiło się jako sekwencja powiązanych ze sobą wydarzeń, przypominających rząd wykolejonych wagonów towarowych. Każdy osobny, a jednak powiązany z innymi. Jeden się wykoleił (być może tym wagonem była śmierć mojego ojca) i od tego momentu wszystkie za nim podążały. Zacząłem wierzyć, że ja też byłem z nimi połączony i że jeśli nie uda mi się odłączyć, przewrócę się w jakimś nieznanym mi miejscu.

Ostatecznym powodem mojego wyjazdu było właśnie to. A także ten Polak.

Nazywał się Kucharczyk, Władysław Kucharczyk, i przyjechał do mnie w pierwszym tygodniu kwietnia 1949 roku.

- Pana szeryf - powiedział zadziwiająco dobrą angielszczyzną. - Przyjechałem, bo pana szeryf mówił, że być może chce pan sprzedać ten dom i ziemię, i wyjechać z miasteczka.

Władysław Kucharczyk miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale mimo to nie było w nim nic onieśmielającego. Jego rysy zdradzały, że jest łagodny i wrażliwy.

- Przyjechałem z żoną - wyjaśnił. - Mamy troje dzieci. Moja rodzina... - Pochylił głowę i zamknął oczy. - Wszyscy zostali zabici przez nazistów, wszyscy oprócz nas... Miałem siedmioro dzieci, teraz tylko troje. Ja i moja żona mieliśmy rodziców. Zona miała też dziadków. Wszystkich zabili naziści. Zostało nas pięcioro i przyjechaliśmy do Ameryki. Mamy pieniądze. Mój brat też nie żyje, ale zarobił dużo pieniędzy w Polsce przed wojną. Mam pieniądze, żeby kupić ten dom i ziemię... a także ziemię, na której stał tamten spalony dom... - Kucharczyk spojrzął za siebie na parcelę Krugerów. - Dlatego przyszedłem, żeby porozmawiać, bo szeryf mówił, że może pan wyjedzie i nie wróci. Przyszedłem zapytać, czy ten dom jest na sprzedaż.

- Proszę wejść - powiedziałem. - Proszę wejść i usiąść.

- Moja żona... i moje dzieci też?

Zmarszczyłem brwi.

- Są tutaj?

Kucharczyk skinął głową. Uśmiechnął się szeroko.

- Tam - powiedział i pokazał na zagajnik niedaleko drogi. Podniósł rękę i pomachał. Spomiędzy drzew wyszła kobieta, a za chwilę gromadka dzieci. Przez chwilę wyglądali jak Mathilde Kruger, Hans, Walter i Elena. To właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że wyjadę, że Władysław Kucharczyk i jego rodzina zajmą wolne miejsce po Krugerach, a ja zrobię to, o czym wielu marzyło przez wiele lat: Joseph Vaughan zniknie z Georgii.

Kucharczyk i ja ustaliliśmy cenę, bardzo dobrą cenę za dom i ziemię. Później się

dowiedziałem, że mimo dokumentu podpisanego przez matkę procedura sprzedaży musiała być wstrzymana aż do jej śmierci. Ustaliłem z bankiem, że raz jeszcze otrzymam pieniądze pod zastaw majątku i choć nie była to duża kwota, wierzyłem, że wystarczy na podróż do Nowego Jorku, do dzielnicy o nazwie Brooklyn. Czytałem o Brooklynie w czasopiśmie i książkach; wiedziałem, że mieszkają tam pisarze, poeci, artyści i inni ludzie podobnej proveniencji. Brooklyn to było miejsce, gdzie miałem mieszkać i pracować, gdzie miałem napisać książkę, która przedstawi, jakie było moje życie, i ogłosi, czym się stało. Brooklyn miał być moim duchowym domem, być może takie miejsce wybrałaby dla mnie Alex.

Przed wyjazdem widziałem się z dwoma osobami: Haynesem Dearingiem i Reillym Hawkinsem. Dearing mówił prawie wyłącznie monosylabami, podał mi rękę i chwycił mnie za ramię tak mocno, że aż zabolowało.

- Nie będziesz pisał listów - powiedział. - Będziesz miał lepsze rzeczy do roboty niż pisanie listów, a ja będę zbyt zajęty, żeby je czytać. Musisz się stąd wynieść. To miejsce wyssie z ciebie wszystko.

- Szeryfie... ja...

Dearing pokręcił głową.

- Do diabła, Joseph, nie mam głowy, żeby słuchać, co chcesz mi powiedzieć. Już dawno temu wszystko sobie powiedzieliśmy, prawda? - Uśmiechnął się i włożył kapelusz na głowę. - Dostałem zgłoszenie, że ktoś ukradł jakieś trzydzieści czy czterdzieści metrów płotu przy domu Lowella Shąnera... Muszę się tym zająć. A ty jedź, gdzie chcesz, i zrób coś sensownego ze swoim życiem, dobrze?

- Dobrze, szeryfie.

Dearing skinął głową.

- Świetnie, Josephie, świetnie. - Uśmiechnął się jeszcze raz i podał mi rękę, a potem odszedł.

- Szeryfie?

Zatrzymał się i odwrócił.

- Wie pan, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Gunthera Krugera, prawda?

Dearing opuścił wzrok. Podniósł lekko prawą stopę i zaczął kopać dziurę w ziemi czubkiem buta.

- Wydaje mi się, że wiele się zmieniło. I nieważne, jak to się stało, Josephie. - Przestał kopać, spojrzał w górę i uśmiechnął się. - Pamiętasz to wyszukane słowo, którego użyłeś w rozmowie ze mną? Chodzi o radość z nieszczęścia innych.

- Schadenfreude.

- To jest właśnie to słowo. To jest to, co czuję w stosunku do Gunthera Krugera...  
Wiesz, co mam na myśli?

- Tak, szeryfie - odpowiedziałem. - Oczywiście.

- No dobrze, Josephie... Nie mam nic więcej do powiedzenia oprócz: żegnaj i powodzenia.

Podniosłem rękę.

- Uważaj na siebie, Josephie Calvinie Vaughan, uważaj na siebie.

Stałem w milczeniu. Szeryf Dearing odwrócił się i odszedł. Oczekałem chwilę, a potem poszedłem do domu Reilly'ego.

## XXI

Pojechałem autobusem. Przed sobą miałem podróż przez pięć stanów: obydwie Karoliny, Wirginię, Maryland i New Jersey. Za sobą miałem bagna Okefenokee, rzekę Ałtamaha, Jekyll Island i Dover Bluff. Spoglądając przez okno, podczas gdy koła autobusu walczyły z koleinami, budziłem się z Georgii jak ze snu; patrzyłem, jak miękkie krawędzie ustępują miejsca intensywnemu światłu i ostrym kolorom. Wyjechałem z przeszłości w kierunku przyszłości - przyszłości, która na mnie czekała. Wierzyłem w to; musiałem w to wierzyć.

Zajawszy miejsce w zatłoczonym i dusznym autobusie, napotkałem dźwięki i zapachy innych ludzi. Żołnierz siedzący za mną: obszarpane wstęgi od medali wpięte w rondo czapki, melodie z popękanej harmonijki, którą trzymał w ręce, myśli pochłonięte mrocznymi wspomnieniami z Europy, które zawsze go będą prześladować. Wydawało mi się, że też je słyszę. Starsza kobieta: twarz jak pergamin wyczyszczony ze wszelkich wiadomości, oczy jak otwory przedziurkowane przez światło dzienne, by znaleźć cichą ciemność. Zastanawiałem się, czy wyjeżdża, czy wraca. Oto my i nasze życie - epizodyczne, popękane przez zmiany - stłoczeni razem, kiedy noc nadciągała, kiedy wychodziliśmy z autobusu w miastach takich jak Goose Creek i Roseboro, Scotland Neck i Tuckahoe i staliśmy w kolejce, żeby wynająć ascetyczne pokoje w tanich motelach. Cienka pościel i szare ściany, koc zbyt krótki, żeby przykryć zarówno stopy, jak i głowę, dziwne dreszcze, wyzwanie rzucone naturze, przeciwstawianie się bezsenności. Setki kilometrów. Godzina za godziną. Ciasno dla kolan, łokci, ramion i serca. Trudno o powietrze, miejsce, nadzieję. Granice miasteczek i hrabstw, pola, lasy, wschody i zachody słońca, smagany wiatrem kanciasty horyzont, który zawsze pozostawał daleko. Tysiąc kilometrów, dwa tysiące lub trzy, a może więcej. Zmiana autobusu, zmiana twarzy: ładna dziewczyna z malutkim dzieckiem, arogancki student ze zbyt wieloma zębami, mężczyzna w średnim wieku, który płakał z zamkniętymi oczami i nie powiedział ani słowa od Richmond do Arlington. Rytuał przejścia. Dziennik z podróży. Pielgrzymka. Podróż, moja podróż. W moich snach Alex, a także dziecko i budzenie się z gorzkim posmakiem miedzianych plomb w ustach. Myślenie o Georgii, o Reillym Hawkinsie, o Virginii Grace Perlریان, o mężczyznach idących jeden przy drugim, przeszukujących zarośnięte ścieżki oraz bagna i znajdujących zagubione dzieci, które nigdy nie miały wrócić. Moja matka: postarzała, niedołączna, szalona. Zmarły ojciec zabrany High Road. Gunther Kruger zwisający z krokwi, siny i spuchnięty. Wszystkie te rzeczy; przelotne i mające znaczenie, ciemna i nieokreślona magia tego, co prozaiczne i monotonne. Moje życie. Ani

więcej, ani mniej.

Droga rozwijała się za mną niczym wstążka. Wiele dni zajęło mi dotarcie do New Jersey. Autobus popsuł się przed Perth Amboy. Stałem na poboczu, w lewej nodze odczuwałem skurcz.

- Zapalisz? - zapytał mężczyzna.

Odwrociłem się, uśmiechnąłem i pokręciłem głową.

- Staten Island - powiedział i zmrużywszy oczy, popatrzył na północny wschód. - Stamtąd jestem. Dokąd jedziesz?

- Brooklyn - odpowiedziałem i spojrzałem na twarz mężczyzny pod szerokim rondem kapelusza. Skóra ziemista i tłusta, woskowe policzki z bliznami jak po ospie. Wyglądał na kogoś, kto przeżył okropną chorobę.

- Nie wyglądasz na obiboka.

- Jestem z Georgii.

- Z Georgii? Po co tam jedziesz?

- Chcę zostać pisarzem - powiedziałem. Z daleka dobiegł dźwięk dzwonów, za trzema wzgórzami i wąską doliną Ujrzałem wieżę kościelną. Widmo dźwięku.

- Pisarzem, tak? A o czym będziesz pisał na tym swoim Brooklynie?

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

- Nie wiem... Wymyślę coś, kiedy tam przyjadę.

- Brama Hamptons - powiedział mężczyzna i zaciągnął się papierosem - Scott Fitzgerald, co?

- Coś w tym stylu.

- Takie życie to musi być coś - powiedział i jeszcze raz się zaciągnął.

Czekaliśmy godzinę na drugi autobus. Przyjechał aż z Linden, żeby nas zabrać.

Kolejna noc. Ciemne niebo, ulewny deszcz, woda wałaca w dach autobusu bez przerwy i bez końca. Spałem z kolanami podciągniętymi do piersi, dziesięć albo piętnaście minut zajęło przywrócenie krążenia, kiedy się obudziłem. Williamsburg Bridge. Światło dzienne słabe i bezsensowne. Czułem się oszołomiony i pusty. Kieszenie miałem wypchane dolarami, nie potrafiłem odróżnić wschodu od zachodu ani tyłka od łokcia. Doszedłem do wniosku, że jestem na tyle dorosły, żeby sobie poradzić, znaleźć miejsce na nocleg gdzieś, gdzie mógłbym się położyć na płasko i nie budzić, aż bym chciał.

Nowy Jork wydał mi się szalonym miejscem. Wysokim i pełnym nadziei; światło rozbijało się pomiędzy budynkami, które sięgały wyżej, niż można było zobaczyć gołym okiem; szkło miliona manhattańskich okien i ludzie, tylu ludzi, zbyt wielu, żeby zobaczyć ich



jako pojedyncze osoby. Broadway, Union Avenue, tabliczki szkół, kościołów i przychodni, reklamy i billboardy olśniewające kolorami i wiadomościami; i więcej ludzi, więcej na jednym chodniku, niż przechodziło przez Augusta Falls przez trzy lata.

Wysiedliśmy na dworcu autobusowym przy Lafayette Avenue. Wziąłem swoją torbę - musiała ważyć ze dwadzieścia kilogramów - i zaniósłem ją na Brooklyn, nie mając bladego pojęcia, dokąd zmierzam. Trzy przecznice i już nie miałem siły dalej iść. Znalazłem mały hotelik; wydawał się czysty i schludny. Wynająłem pokój. Rozpakowałem trochę rzeczy. Umyłem twarz i ogoliłem się. Włożyłem czystą koszulę, pogniecioną marynarkę i wyszedłem na spotkanie ze światem, który wydawał się obcy, ale miał stać się moim nowym domem. Chodziłem przez godzinę z zeszytem w ręce. Wydawało mi się, że zablądziłem, ale potem skręciłem za róg i znalazłem się przed swoim hotelem. Głupio się poczułem. Byłem kmiotkiem, prostakiem, urodzonym na wsi parobkiem. Byłem też niesamowicie głodny i w wąskiej jadłodajni przy Lewis Avenue zamówiłem żarcia jak dla dwóch. Obserwowałem nowy świat przez okno. Samochody stojące zderzak przy zderzaku, zmieniające się światła, kierowcy opierający się na klaksonach, policjant z drogówki z bezlitosnym wzrokiem, wchodzący pewnym krokiem na ulicę, jakby mu życie było niemiłe. Mijał czas, mijali mnie ludzie, z przeszłości, przez teraźniejszość, do tradycyjnie świetlanej przyszłości. Uśmiechnąłem się jak głupiec, którym byłem. To było warte podróży; to był Nowy Jork, serce Ameryki Północnej, jego ulice jak żyły, bulwary jak tętnice, aleje jak przekazujące impulsy synapsy, kierujące, sięgające; milion głosów, ludzie tak bliscy jak rodzina, ale widzący tylko siebie. To tutaj ktoś mógł być kimś ważnym przed skrzyżowaniem i nikim zaraz po jego przejściu. Nowy Jork atakował mnie ze wszystkich stron. Wszystko, co widziałem, było jaskrawe, śmiałe i aroganckie. Fason garniturów, szkarłatne usta dziewcząt z twarzami z magazynów i filmów, samochody - kilometr wypolerowanego chromu, felgi i szczerzące się kratki, światła jak oczy i lustra; dzieci ubrane w najlepsze niedzielne ubrania. Majestatyczny. Imponujący. Miasto jak zaciśnięta pięść. Schron ludzkości.

Nowy Jork zaparł mi dech w piersiach. Nie odzyskałem go przez dwa dni.

Poniedziałek, 2 maja 1949. Stałem w holu hotelu, w którym się zatrzymałem; moją uwagę przykuła leżąca pod drzwiami gazeta; nazwisko autora pod nagłówkiem - historia Arthura Millera, dramatopisarza, wydawało się, że ikony; za Śmierć komiwojażera nagrodzono go Pulitzerem. Konsjerzka przeszła obok mnie, otworzyła drzwi, wzięła gazetę z podłogi i wróciła tam, skąd przyszła. Zatrzymałem ją i zapytałem o pensjonaty, mieszkania lub pokoje do wynajęcia. Kobieta spojrzała na mnie zezem spod grubych brwi.

- Throop i Quincy - rzuciła, jakby ciskała kamyczkami. - Dom na rogu Throop i Quincy,

jeśli szukasz czegoś na stałe. Własność mojej siostry. Nazywa się Aggie Boyle, panna Aggie Boyle... Powiedz, że ja cię przysłałam.

Podziękowałem jej serdecznie. Spojrzała na mnie podejrzliwie. Zrobiła krok do tyłu, zmierzyła mnie wzrokiem, a potem odwróciła się bez słowa i zniknęła w głębi budynku.

Po śniadaniu wyruszyłem na róg Throop i Quincy. Ulice były tłoczne. Wysokie monolity wszędzie, gdzie spojrzałem. Samochody stojące zderzak w zderzak na skrzyżowaniach, przyczajone jak dziwaczne zwierzęta.

Znalazłem dom, kartka w oknie głosiła: Pokoje do wynajęcia. Aggie Boyle była zbudowana tak samo ciężko jak jej dom.

- Osiem dolarów za tydzień, wyżywienie we własnym zakresie, wspólna kuchnia i łazienka, ciepła woda między 6.00 a 8.30 rano. - Głos miała zdawkowy i rzeczowy, twarz jak dziewczyna orleańska; bezdzietna, być może nigdy nie dotknęła ręki mężczyzny z wyjątkiem wypadku, gdy któryś podał jej dłoń, żeby pomóc przy wchodzeniu po schodach czy do pociągu. Dostrzegałem bardzo małe podobieństwo między Aggie i jej siostrą, oprócz oczu, zezujących pod grubymi brwiami, strzelających w dwóch kierunkach, jakby oczekujących nagłego ruchu. Pod akrami spódnicy kryły się akry ciała, a pod nimi mocne kości, kości wyrąbane ze starych drzew, zbite razem na zawsze, być może wystarczające, żeby przenieść ją na tamten świat. Dłonie Aggie były grubo ciosane, a kiedy odwracała głowę, odwracała ją razem z ramionami, jak słoń lub nosorożec. Było w niej jednak coś sympatycznego. Przebywała na ziemi w jakimś celu: aby zapewniać miejsce do spania zmęczonym i niespokojnym. Wyobraziłem sobie przeszłość; historię Aggie i jej siostry, przeżyte przez nie lata, to, co sprowadziło je na Brooklyn.

- Mam jeszcze czterech innych lokatorów - powiedziała Aggie, kiedy wspinaliśmy się po schodach do pokoju na poddaszu. - Dwóch gentlemanów i dwie panie. Pan Janecek. Jest z Europy Wschodniej. Mieszka tu już od kilku miesięcy. Nie wtrąca się w sprawy innych i woli, żeby inni nie wtręcali się w jego. Pan John Franklin. Czyta „Brooklyn Courier”. Sprawdza, czy wszystko jest napisane jak należy i czy nie brakuje przecinków. Pani Letitia Brock. Mieszka tu od ponad piętnastu lat. Starsza dama, pomaga w bibliotece w środy i piątki. I panna Joyce Spragg, zastępczyni kierownika dziekanatu w St. Joseph's College na rogu De Kalb i Underwood Park. Słyszałeś o tej szkole?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, gdzie jest St. Joseph's College.

- Jeśli się zdecydujesz, to właśnie ich będziesz miał za przyjaciół i sąsiadów, więc dobrze by było zachowywać się grzecznie i kulturalnie, dopóki ich lepiej nie poznasz.

Pokój był funkcjonalny i czysty, wystarczająco duży, by pomieścić łóżko, dwa krzesła przy oknie wykuszowym, biurko pod ścianą po lewej stronie i szafę z prętem na ubrania.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę.

- Wezmę go - powiedziałem i popatrzyłem na Aggie Boyle.

- Nie chcesz się zastanowić? - zapytała zaskoczona.

- Nad czym tu dumać?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Rzeczywiście, nie ma nad czym.

- Więc umowa stoi. - Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem zwitek banknotów. - Ile płacę?

- Teraz za dwa tygodnie z góry, a potem przychodzę po czynsz co piątek.

Odliczyłem 16 dolarów i podałem jej. Pieniądze zniknęły w kieszeni fartucha.

- Jestem pisarzem - powiedziałem. - Zamierzam tu pracować. Czy dźwięk maszyny do pisania będzie komuś przeszkadzał?

Aggie znowu się uśmiechnęła, ukazując zęby, które ani chybi wyrosły, żując trzcinę cukrową na polu.

- Nikt się nie będzie skarżył. Jediną osobą, która nie lubi hałasu, jest panna Brock, ale ona mieszka w drugiej części domu.

Skinąłem głową i odwzajemniłem uśmiech.

- Łazienka jest po prawej, na końcu korytarza. Naprzeciwko jest pokój panny Spragg, więc niech ci nie przyjdzie do głowy wychodzić tak, jak cię Pan Bóg stworzył, dobrze?

- Dobrze, panno Boyle.

- Aggie - odparła. - Wszyscy mówią do mnie Aggie.

- Dobrze, Aggie.

- Zostawię cię, żebyś się rozgościł... Będziesz musiał iść po swoje rzeczy. Potem przyjdź po klucz.

- Dziękuję.

Aggie Boyle zrobiła krok do przodu. Spojrzała na mnie swoimi przenikliwymi oczami i zmarszczyła brwi.

- Nosisz wielki ciężar jak na kogoś tak młodego - powiedziała. - To przekleństwo pisarza czy miałeś ciężkie życie tam, skąd przyjechałeś?

Roześmiałem się zaskoczony.

- Przekleństwo pisarza?

- Wszyscy są przekłeci. Przychodzą i odchodzą. Tak samo jak aktorzy. Noszą w

głowie po stu ludzi. To cena za bycie twórczymi.

- Nie wiem nic o żadnym przekleństwie - powiedziałem.

- Więc przeżyłeś trudne chwile.

- Dostyc trudne.

Aggie skinęła głową.

- Tak właśnie myślałam. Brooklyn to dla ciebie najlepsze miejsce.

- Dlaczego?

- Tu się tyle dzieje, że nie ma czasu, żeby patrzeć gdzie indziej. Wiesz, co mam na myśli?

Pomyślałem o ludziach na ulicach, zapachu miasta, zatłoczonych jadłodajniach, hałasie skupiska ludzkiego.

- Chyba tak - powiedziałem. - Chyba wiem, co masz na myśli.

- Jeśli nie wiesz, wkrótce się przekonasz - odparła Aggie, odwróciła się i zniknęła w korytarzu.

Zostałem w pokoju przez kilka minut, nie myśląc o niczym konkretnym. Wciągałem zapach świeżej farby, pustki, pokoju czekającego na lokatora. Przybyłem. Przybyłem z innego miejsca. Nowy początek, odrodzenie.

Były tam duchy - być może wszystkie - ale na razie milczały. Zamknąłem oczy i próbowałem sobie przypomnieć twarz matki, jednak nie potrafiłem. Mój ojciec był zamazaną czarnobiałą plamą, niczym wspomnienie wyblakłej fotografii. I dziewczynki - wszystkie, stojące w szeregu, być może czekające na swoje skrzydła; czekające, żeby zostać aniołami.

Żeby zapomnieć o Georgii, musiałem zostawić wszystko, co miałem. Czulem, że właśnie to należało zrobić.

Wieczorem, w niedzielę, 12 czerwca, zostałem uwiedziony przez pannę Joyce Spragg, zastępczynię kierownika dziekanatu St. Joseph College.

Panna Spragg miała czterdzieści jeden lat, dwadzieścia lat więcej ode mnie.

- Chodź, napijemy się burgunda, Josephie - powiedziała.

Siedziałem przy biurku, być może śniąc na jawie, próbując bez przekonania pisać, i zostawiłem uchylone drzwi.

Wstałem i przeszedłem przez pokój. Kiedy dotarłem do drzwi, otworzyła je stopą. Stała na progu w bawełnianej sukience we wzory, w jednej ręce trzymając butelkę wina, w drugiej - dwa kieliszki. Włosy, ciemne i gęste, miała upięte z tyłu głowy. Była przystojną kobietą, jej usta błyszczały szkarłatem, oczy miały barwę przydymionego błękitu.

- Napijmy się - powtórzyła. - Chyba że jesteś zajęty.

Pokręciłem głowa i uśmiechnąłem się.

- Nie pracuję.

- Świetnie - stwierdziła. - Więc napijemy się wina i pogadamy niezobowiązująco o błahostkach.

Poszedłem za nią do jej pokoju po drugiej stronie korytarza. W odróżnieniu od mojego spartańsko urządzonego pokoiku ten obfitował w brokatowe narzuty i jedwabne poduchy. Przy ścianie stał drewniany parawan, na nim wisiała podomka, a po prawej stał skórzany fotel z wysokim oparciem. Panna Spragg i ja rozmawialiśmy wiele razy, witaliśmy się pogodnie, kiedy mijaliśmy się w korytarzu lub spotykaliśmy się na dole w kuchni, ale nigdy nie wyszliśmy poza niezobowiązującą pogawędkę.

- Podobno jesteś pisarzem - zauważyła. - Aggie powiedziała, że przyjechałeś tu, żeby napisać książkę.

Skinąłem głowa i uśmiechnąłem się.

- Tak - potwierdziłem.

- Proszę, usiądź - powiedziała, wskazując butelką w kierunku szezlongu stojącego przy niepościelonym łóżku. Potem odkorkowała butelkę z wprawą, która musiała przyjść dzięki latom praktyki, i napełniła oba kieliszki.

- Za wspaniałą powieść - wzniosła toast. - I wielki sukces - dodała.

Uniosłem kieliszek i podziękowałem jej.

- A więc jesteś Joseph Vaughan z Georgii - ciągnęła, podchodząc do łóżka i siadając na jego krawędzi. - Rozumiem, że masz za sobą wiele udręk i zgryzot.

Pokręciłem głową.

- Udręki i zgryzoty to relatywne pojęcia - stwierdziłem. - W sumie jestem zdrowy...

- Ale życie - przerwała - atakuje głównie umysł i serce, prawda? - Roześmiała się. Wydawała się odprężona, pewna siebie, świadoma swojej atrakcyjności i nieprzejmująca się tym, co ktoś mógłby o niej pomyśleć. Zazdrościłem jej tej pewności siebie.

- Ludzie są chyba ze stali. Przeżywają większe traumy niż te, które były moim udziałem.

- Opowiedz - poprosiła. - Opowiedz o tym, co się wydarzyło w Georgii.

- Myślałem, że będziemy rozmawiać o błahostkach.

Uśmiechnęła się.

- Twierdzisz, że nie doświadczyłeś wielkiej traumy... więc w sumie tematem naszej rozmowy będą błahostki.

Mówiłem prawie godzinę. Raz czy dwa razy przerwała mi, żeby coś wyjaśnić,

poprosić o więcej szczegółów, ale przez większość czasu słuchała cierpliwie opowieści o mojej matce, ojcu, Alex i dziecku, zabójstwach dzieci, Virginii Perlman, śmierci Gunthera Krugera. Opowiedziałem jej o wszystkim, nawet o liście od komisji konkursu na opowiadanie z Atlanty i kolekcji wycinków prasowych, którą ze sobą nosiłem. Kiedy skończyłem, wstała i napełniła ponownie mój kieliszek.

Po chwili usiadła z zamyślnym wyrazem twarzy.

- Zasmuciłem panią, panno Spragg - powiedziałem.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Absolutnie nie, Josephie. I przestań mnie nazywać panną Spragg, na miłość boską. -

Roześmiała się. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden. W październiku skończę dwadzieścia dwa.

- I już przeżyłeś tyle, że może powstać z tego książka.

Wzruszyłem ramionami.

- Napij się jeszcze - zaproponowała, wstając, żeby ponownie napełnić mój kieliszek.

Kwadrans później napełniła go po raz czwarty. Jej sukienka uniosła się nad kolano, kiedy założyła nogę na nogę. Spojrzałem w dół, a gdy podniosłem wzrok, uśmiechnęła się do mnie. Wiedziała, że spojrzałem, i przez moment czułem się skrępowany.

- Patrzenie to nie grzech - stwierdziła. - Tak samo jak grzechem nie są myśli. Najczęściej to sumienie kogoś innego mówi ci, że jakiś czyn jest grzechem. Jeśli ktoś przeżywa życie z otwartym sercem i uczciwie... jeśli ktoś łapie chwile, to nie ma czasu spoglądać za siebie i żałować. - Panna Spragg pochyliła się do przodu i zamknęła oczy na odrobinę zbyt długo.

- Czy jesteś gotowy złapać chwilę, Josephie?

Roześmiałam się, być może trochę nerwowo. Czułem zapach jej perfum - kwiatowy, słodkawy, a także coś pod nim, może zapach jej ciała, i wszystko to przekładało się na obietnicę złożoną w języku uwodzenia i seksu.

Odstawiłem kieliszek i też się pochyliłem. Nasze twarze znajdowały się teraz naprzeciw siebie. Policzki dzieliło kilka centymetrów.

- Jestem gotowy żyć - wyszeptalem i wstałem z szezlonga, żeby ją objąć. Pamiętam brzęk jej kieliszka uderzającego o podłogę po drugiej stronie łóżka. Pomyślałem, że to niezwykle, bo się nie stłukł. A potem ona znalazła się na mnie i pochłonęła mnie jak fala.

Później, gdy oboje odpoczywaliśmy ogłuszeni pośpiechem namiętności, leżąc na mnie, z głową na mojej piersi, powiedziała mi, że to, co się stało, jest błahostką.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Przez chwilę widziałem to, co znajdowało się

pod jej pewnością siebie. Tak jakby prawdziwa Joyce Spragg była widoczna za zewnętrznym obliczem. Światło jej oczu wydawało się przyciemnione, skóra nieco zużyta niczym u starej kurtyzany. Każda cecha określona przez niewielki cień, wąskie załamania, zagięcia, które mówiły językami epidermy: tutaj zdrada, tam rozczarowanie i w końcu ślad złamanego serca. Jej twarz opowiadała historię - a może nie historię, lecz sagę o marzeniach zatopionych w alkoholu. Wszystkie aspiracje przegrały z pesymizmem, próby wykorzystania szansy były niezdarne. Wierzyła, że świat zawsze będzie jej coś winny i jej ostatni oddech będzie dowodem, że nie zapłacił tego, co należało.

W każdym razie tak uważałem w tamtej chwili, uważałem tak i nic mnie to nie obchodziło. Bo panna Joyce Spragg, zastępczyni kierownika dziekanatu St. Joseph's College, wydawała mi się małym pragnieniem doskonałości w bardzo niedoskonałym świecie.

- Dla kogo błahostki, dla tego błahostki - wyszeptalem. - Śpij już.

Za każdym razem, kiedy odwiedzałem Joyce, przypominała mi, że nasz związek to błahostka. A ja za każdym razem uśmiechałem się w odpowiedzi. Było tak, jakby oglądała mnie przez teleskop i w jej oczach miałem znikome znaczenie, a jednak kiedy chciała się zmęczyć na moim materacu, wiedziałem, że jestem jedyną bliską osobą, jaką ma. Ambiwalencja Joyce Spragg była zasłoną, za którą ukrywała się przed światem. Może uważała, że koniecznie trzeba być niejednoznacznym i zagadkowym. Może uważała takie cechy za atrakcyjne. Nigdy jej nie kochałem, nigdy nie oszukiwałem się, że ją kocham. Nasz związek wynikał z wygody, był sposobem na zapewnienie sobie towarzystwa i choć byliśmy przyjaciółmi, nie mogliśmy być nikim więcej. Mimo swoich dziwactw Joyce okazała się nadzwyczaj pomocna, ponieważ wprowadziła mnie do małego światka literatów, którzy przychodzili na spotkania Uczelnianego Koła Pisarzy. Spotykaliśmy się w sobotnie wieczory. Po raz pierwszy zjawiłem się tam na początku lipca 1949 roku i odtąd widywałem się tam z ludźmi, z którymi chciałem się spotkać, kiedy wyjeżdżałem z Georgii na Brooklyn.

Uczelnianie Koło Pisarzy było przystanią dla odmieńców i indywidualistów wszelkiej maści, którzy nie potrafili znaleźć towarzystwa nigdzie indziej, i choć okazało się, że to jedni z najinteligentniejszych i najbardziej spostrzegawczych ludzi, jakich poznałem, wydawali się też najdziwniejsi. Tej pierwszej soboty poszedłem tam z Joyce tylko dlatego, że mnie zaprosiła.

- Będą próbowali tłumaczyć klasyczną poezją, której nie rozumieją - powiedziała - a potem będą pili ogromne ilości taniego czerwonego wina i podejmowali żalosne próby pisania pentametrem jambicznym i prozą.

Spotkania odbywały się w sali konferencyjnej, pół przecznicy od granicy kampusu.

Joyce, jako zastępczyni kierownika dziekanatu, mogła przyprowadzić tylu gości, ilu chciała, pod warunkiem że nie będą to cymbały, ignoranci i „zagranicznicy”.

- Zagranicznicy? - zdziwiłem się. - To znaczy, że dla nich tylko amerykańska literatura jest coś warta?

Roześmiała się.

- Zagranicznicy to ci, którzy chodzą do konkurencyjnych college'ów. Oni nie mogą przychodzić na spotkania koła.

Ponieważ nie należałem do żadnej z wymienionych grup, poszliśmy. Powitał nas Lance Forrester, który był przewodniczącym koła już drugą porę roku. Rok dzielili nie na kwartały, ale właśnie na pory roku, które nazywali „końcem zimy”, „zorzą”, „równonocą” i „przesileniem”.

- Licentia poetica - wyjaśniła Joyce. - Nadają wszystkiemu, co robią i mówią, o wiele większą głębię i znaczenie, niż na to zasługuje.

Lance Forrester miał przy sobie stertę kartek z pozaginanymi rogami. Włosy zaczesane do tyłu za pomocą jabłkowej pomady, przedziałek pośrodku prosty jak drut. Patrzył na usta, kiedy się do niego mówiło, być może miał problemy ze słuchem, a może wstydził się patrzeć prosto w oczy. Dziwaczne maniery, rozsypana układanka języka ciała ciasno zapakowana we wnętrzu mężczyzny. Wydawało mi się, że Lance potrzebował dobrej kobiety, która wygładziłaby krawędzie, wyprasowała emocjonalne zmarszczki, ale taka kobieta musiałaby mieć mnóstwo cierpliwości i dużą motywację. Kiedy spoglądał na Joyce, jego oczy błyszczały; usta drżały w obawie, że wyjdą z nich słowa, które go upokorzą. Jego myśli były jego własnymi. Tylko jego. Zaniesie je do domu i przyjrzy się im. Ten człowiek wydawał się zazdrosny o piękno, czar, przyjaciół. Niewykluczone, że kiedy myślał o dziewczętach, płakał albo wył z nienawiści. Podobnie było z ideami, ale głównie z dziewczętami: symbolizowały nieobecność i pustkę.

- Płotka - powiedział Lance przyciszonym głosem, jakby wypo. wiadał podejrzone wieści. - To tylko plotka, ale podobno Fulton

Oursler ma odwiedzić naszą enklawę.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na Joyce.

- Redaktor... Były redaktor magazynu „Liberty”... - zaczęła.

- I „Metropolitan”. A do tego publikowany pisarz - wyjaśnił Lance.

Joyce Spragg i ja uśmiechnęliśmy się uprzejmie, opuściliśmy Lance'a Forrester'a i podeszliśmy do zaimprovizowanego baru.

To tam poznałem Paula Hennessy'ego. Nieco wyższy ode mnie, włosy ciemnoblonde,



długie na czubku głowy i krótko ścięte z tyłu. Wydawał się cały czas cierpko uśmiechać, jakby naśmiewał się ze świata wokół siebie. Był bardzo dobrze ubrany i później - poznawszy go lepiej - zdałem sobie sprawę, że jego maniery i wygląd nie były wynikiem posiadania pieniędzy, ale tego, że bardzo zależało mu na tym, by wyglądać na takiego, co je ma. Hennessy miał niezwykłą zdolność wykorzystywania okazji i ze swoimi surowymi rysami twarzy, mocną szczęką i lekko zamyślonymi oczami mógłby zrobić karierę w Hollywood. Gdybym wiedział, jak ważną rolę odegra w moim życiu w przyszłości, przyszłości jeszcze nieznanej, bezzwłocznie opuściłbym kolo pisarzy i wrócił do Georgii. Hennessy był anachroniczny, a jednak jego urok wydawał się nie do podważenia. Tego wieczoru nie przyszedł sam. Obok niego stała kobieta. Wydawała się spijać słowa z jego ust. Jej włosy były ufryzowane i wylakierowane w odważny i niebezpieczny czub, jak kwitnące drzewo, które nagle skamieniało, a jej blisko osadzone oczy - przesycone smutkiem i nostalgią. Kiedy się uśmiechała, wydawało się, że wyraża głęboką i ujmującą melancholię, która była przeznaczona jedynie dla żyjących poetów lub nieżywych opiumistów.

Po kilku tygodniach, kiedy stałem się częścią koła jak wszyscy inni, dobrze poznałem Hennessy'ego. Do większości ludzi zwracał się per „Jackson” w jakiejś jazzowej nowomowie; dziewczęta to były „babki” lub „ptaszyny”, a o sobie mówił w trzeciej osobie: „Hennessy'ego nie zobaczą tam za żadne skarby świata” lub „Hennessy nie zniżyłby się do takiego poziomu”. Mówił o Nietzschem, Schopenhauerze, Gibranie i Tołstoju tak, jakby byli jego przyjaciółmi, i cytował urywki z Tako rzecze Zaratustra, jakby to była lektura do poduszki. Kiedy Hennessy wchodził do pokoju, sam lub w towarzystwie, zachowywał się tak, jakby w każdej chwili mógł pojawić się Sam Falk z aparatem, by zrobić zdjęcia dla prasy.

- Byliśmy w Top of the Mark - mówił. - Wiecie, to ten bar z koktajlami na ostatnim piętrze Mark Hopkins Hotel w San Francisco. - Wiedział dobrze, że żadne z nas nigdy nie było w San Francisco, nie mówiąc już o tym barze. Nie przeszkadzało mu to rozwdzić się na temat picia koktajli i słuchania zespołów jazzowych.

- Niezwykli muzycy, naprawdę niezwykli! Jedyne problem, że każdy z nich grał inny genialny utwór na 11/4, a ja i Klara, wiecie, była wtedy moją babką... cóż, my byliśmy tak zalani, że nie wiedzieliśmy, czy jedziemy na południe od Karoliny, czy na północ od Bostonu!

Hennessy mieszał swoje metafory z większą pewnością siebie niż większość manhattańskich barmanów mieszała drinki, a pijany stawał się głośny, bardziej natarczywy i agresywny niż dziennikarz „Hearsta”. Cały czas ziewał, sprawiając wrażenie, że jest totalnie znudzony.

- To choroba - zwierzył mi się kiedyś. - Mam za mało witaminy E. Moje ciało walczy o tlen. Cały czas muszę jeść orzeszki i krewetki. Jeśli tego nie będę robił, zapadnę w letarg... i będę narażony na okropne rzeczy, takie jak zapalenie zakrzepowe żył i gangrena cukrzycowa.

Przez chwilę zdawało mi się, że jestem spragniony kontaktu z nim ze względu na jego poczucie humoru, jego nieustanną gadatliwość. Jawił się jako panaceum na moją samotność, pustkę, którą odczuwałem, kiedy myślałem o Alex. Gdy go lepiej poznałem, uświadomiłem sobie, że było w nim coś magnetycznego, a poza tym dzięki niemu poznałem ludzi, których bym nie poznał bez jego pomocy. Jego energia pomogła mi bardziej niż cokolwiek innego. Hennessy nie stał się przyczyną wyzdrowienia, którego mogłem zaznać, ale był ważnym przystankiem na drodze ku niemu.

Przez jakiś czas prowadzał się ze starszą od siebie kobietą, to była Cecily Bryan.

- Mam cały katalog brzydkich adoratorów - mamrotała. Jej oddech śmierdzał dżinem i papierosami. - Ale mówiąc szczerze, mój drogi, nie dbam o to, że są brzydki, o ile mnie adorują. - I wtedy wybuchała śmiechem, a dźwięk, jaki się wydobywał z jej ust, był szorstki, a zarazem na tyle głośny, żeby wypełnić pokój i wywołać potrzebę ucieczki.

Jesienią tego roku zaczęło się ostre imprezowanie. Rozpoczynaliśmy zwykle w siedzibie naszego koła, ale potem wychodziliśmy poza mury budynku. Ludzie szli w miasto. Nowy Jork stawał się ich placem zabaw, jakby wyszli właśnie ze szkoły. Paul Hennessy i Cecily Bryan zawsze przyjeżdżali już pijani. Najwyraźniej potrafili wyczuć, gdzie akurat jest impreza. Picie wydawało się ich genetyczną potrzebą i choć rzadko bywali oficjalnie zapraszani, zawsze zwalali pominięcie ich na karb poczty lub pośłańca ze złym adresem. Przychodzili pijani i zostawali pijani. Po jakimś czasie Hennessy zaczynał udawać, że jest trzeźwy, ale chociaż nie mówił i się nie ruszał, zdradzał go wyraz twarzy. Co do Cecily, była ucieleśnieniem wezbranego entuzjazmu, jej egzystencja miała miękkie rogi i niezdefiniowane krawędzie, w których żadne słowo czy czyn nie były wystarczająco ostre, żeby przekłuć ochronną bańkę dypsomanii. Ciągłe się kłócili o jakieś drobiazgi bez znaczenia, a potem stawali się ckliwi i mili i oddalali się do łazienki, gdzie pieprzył ją hałaśliwie, jakby odbywał pokutę za bycie takim dupkiem. A potem w kuchni lub na werandzie Cecily Bryan piła gin i opłakiwała matki, których synowie zaginęli na wojnie.

- Mogli pojechać do Cornell - mawiała. - Mogli pojechać do Cornell i znaleźć nocleg w Ithaca... byłeś w Ithaca? Znasz Ithaca? Może... Może poszli do Notre Dame, jeśli byli katolikami. Katolicy nieżywi, grający w futbol chłopcy, co? Setki ich biegają po ulicach, szukając matek... Matek, których życie ogranicza się teraz do American Gold Star lub Christian Temperance Union.

A potem piła więcej ginu i płakała znowu, a dużo później Paul Hennessy po prostu podnosił ją z miejsca, gdzie akurat siedziała, i zanosił do swojego samochodu.

Przychodzili też inni - ludzie, którzy wydawali się „literaccy” i „kulturalni”. Później dowiadywałem się, że byli to tylko pieczeniarze, ani artyści, ani pisarze, zazwyczaj pracownicy agencji reklamowych lub takich powszechnie szanowanych przedsiębiorstw jak na przykład Batten, Barton, Durstine i Osborn Inc., firma, która miała kontrakt na rekrutację do amerykańskiej marynarki wojennej i zupę Campbella. Cytowali fragmenty raportu Starcha i nosili markowe tweedowe ubrania Abercrombie & Fitch. Byli przystojni i wysportowani, co świadczyło o tym, że biegali w drużynie lekkoatletów w szkole średniej, a kiedy już nie mogli w pełni realizować się w sporcie, ubiegali się o miejsce w Senacie. Czekają ich błogosławione życie. Ich podstawowa wada polegała na tym, że byli ślepi i głusi na magię.

Pamiętam trzech braci, którzy zawsze przychodzili razem, i choć nie byli do siebie podobni z twarzy, w ich kłótliwym i zadziornym zachowaniu było coś, co identyfikowało ich jako jedną pulę genów. Cała trójka pracowała dla E.I. de Pont Nemours & Company i kiedy pojawiali się, Paul Hennessy śmiał się i mawiał: - Przyszli Beetle, Snorkle i Halftrack - nawiązując do postaci z kreskówki Morta Walkera.

- Ci chłopcy wiedzą tyle o literaturze, ile ja o francuskich impresjonistach - mawiał, po czym wciągał ich w rozmowę na temat Dekameronu Giovanniego Boccaccia, co wywoływało zażenowanie u wszystkich, którzy mieli nieszczęście tego słuchać. W czasie naszego pierwszego przyjęcia, w wysokim budynku w BedfordStuyvesant, którego adres był dla mnie wtedy taką samą zagadką jak obecnie, Hennessy dowiedział się, że pochodzę z Południa.

- Tylko nie bagna Okefenokee! - wykrzyknął, a kiedy powiedziałem, że Okefenokee leżały jakieś piętnaście minut konno od miejsca, gdzie mieszkałem, sprowokował mnie, mówiąc:

- Na koniu? Nie więcej niż kwadrans na koniu? Chyba nie mówisz pan poważnie! Na pewno słyszałeś o Pogo - próbował naśladować akcent, którym się mówi na południe od linii MasonaDbcona. - O Pogo, który mieszka na bagnach Okefenokee, opowie Pogo?

Uśmiechnąłem się tak szczerze, jak tylko mogłem. Pomyślałem, że facet jest kompletnym dupkiem, i odwróciłem się, żeby odejść, na co on złapał mnie za rękaw i raczył przeprosić.

Dopiero później odkryłem, że istniał komiks autorstwa niejakiego Walta Kelly'ego i postacią, którą rysował, był opos Pogo mieszkający na tych właśnie bagnach. Wtedy wydawało się to bardzo zabawne, ale myślę, że nasz śmiech był wywołany bardziej

alkoholem niż śmiesznością oposa.

Na drugim przyjęciu podszedł do mnie, włożył mi kieliszek z szampanem do ręki i powiedział:

- Wiesz, o co chodzi z prawami obywatelskimi?

Zmarszczyłem brwi.

- Prawa obywatelskie?

- Pewnie, prawa obywatelskie... Martin jakiś tam King, młody człowiek, nieco ponad dwadzieścia lat, nawołuje do biernego oporu przeciwko segregacji rasowej, wiesz? Na pewno coś o tym słyszałeś.

Przyznałem, że mało o tym wiem, na tyle mało, żeby nie mieć opinii na ten temat.

- Wiesz, jak to się wszystko rozpoczęło? - zapytał Hennessy.

Pokręciłem głową.

- Druga wojna światowa.

- Co?

- Druga wojna światowa.

Zmarszczyłem brwi.

- Chyba nie rozumiem.

- Czarni żołnierze stacjonowali w Anglii - wyjaśnił. - Pojechali do Anglii, a dziewczęta, białe angielskie dziewczęta, traktowały ich jak ludzi. Na potańcówkach, które były organizowane co tydzień, białe dziewczyny prosiły czarnych amerykańskich żołnierzy do tańca, a oni odmawiali, bo myśleli, że gdy zatańczą z białą dziewczyną, przyjdzie dzika tłuszcza i ich zlinczuje. - Hennessy uśmiechnął się i odwrócił na chwilę wzrok. - Pewnego czarnego żołnierza oskarżono o gwałt na białej dziewczynie. Gość stanął przed sądem wojskowym, został uznany za winnego i armia miała go powiesić. Miejscowi wiedzieli, że tego nie zrobił, wiedzieli, że dziewczyna, która go oskarżyła, wszystko wymyśliła, więc zebrali się, podpisali petycję i wysłali ją do Eisenhowera. Eisenhower unieważnił wyrok sądu i uniewinnił czarnego gościa trzy dni przed wyznaczoną datą egzekucji.

Pokręciłem głową.

- Nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

Hennessy uśmiechnął się.

- Wstrzymaj ogień, Vaughan, jeszcze nie skończyłem. Jak mówiłem, Eisenhower uniewinnił gościa. Czarni żołnierze, czarni z południowych stanów, nie mogli w to uwierzyć, nie mogli uwierzyć, że grupa głupich białych coś takiego mogła zorganizować, i to zdarzenie oraz to, jak byli traktowani w Anglii, sprawiło, że uświadomili sobie, że we własnym kraju

traktuje się ich niesprawiedliwie. Tak się zaczęła właśnie historia oporu przed segregacją... Taki był początek.

Hennessy właśnie taki był. Miał własną opinię na każdy temat, nikogo się nie radził oprócz siebie i kiedy czuł, że jesteś gotowy, by poznać jego opinię, przedstawiał ci ją, prosto z mostu.

Kiedyś poszliśmy na Białą gorączkę, rzekomo z szacunku dla Jamesa Cagneya, ale tak naprawdę dlatego, że obaj kochaliśmy się w Virginii Mayo. Innym razem spontanicznie wybraliśmy się na plażę po drugiej stronie Staten Island, niedaleko Perth Amboy i tam - trzeźwi jak świnię - zjedliśmy lody owocowe i gorące słone precle. Panowała atmosfera radosnej życzliwości i w takich razach Hennessy bywał ironiczny, ale zawsze w dobrym humorze, nie uciekał się do ordynarnego i chamskiego słownictwa, które było wtedy tak modne.

- Nadzieja - mawiał - to bardzo przeceniany artykuł, Vaughan. Spójrz na większość ludzi na Brooklynie. Mają nadzieję na coś lepszego, zamiast uświadomić sobie, że powinni się cieszyć tym, co mają. - Uśmiechnął się i mrugnął do mnie. - Tak jak teraz... Tu i teraz. Jesteśmy tu, dwóch zdrowych, młodych ludzi, po brzegi naładowanych hormonami i co widzimy? Widzimy śliczne dziewczęta, wszystkie tak ładniutkie jak z plakatu George'a Petty'ego... i mamy odwagę, żeby z nimi porozmawiać, zaprosić na kolację, cokolwiek, prawda? Już samo bycie tutaj jest przyjemnością... bez względu na to, czy coś więcej osiągniemy. Natomiast tamci chłopcy narzekają na słońce i na to, że nie mają pieniędzy na bilet autobusowy z powrotem do miasta, nakręcają się nawzajem, żeby zagaić do jakiejś dziewczyny, ale nie mają odwagi tego zrobić. A potem się zastanawiają, dlaczego świat jest takim mrocznym i rozczarującym miejscem. Co do mnie, to nic mnie nie obchodzi, co inni myślą na mój temat. Żyję własnym życiem, tak jak potrafię, a jeśli nie mam się czym pochwalić, to co komu do tego? Życie to nie jest próba kostiumowa, Vaughan. To jest prawdziwe przedstawienie, wiesz?

Hennessy śmiał się, a potem odszukiwał Cecily Bryan i słyszałem ich śmiech. Ich brak odpowiedzialności był prawie zaraźliwy i pokochałem ich za to.

Kiedy brakowało nam pieniędzy, jedliśmy z Hennessym płatki Cream of Wheat, a potem, wczesnym popołudniem, kiedy głód szczyrzył kły jak pies obgryzający kość - chodziliśmy do automatu Horn & Hardarts i zjadaliśmy na spółkę jedną zupę i kanapkę. Pewnego razu obydwaj zachorowaliśmy na grypę i Hennessy - ze zwykłej desperacji - ukradł pudełko citroidu i superanapacu z apteki Rexall na obrzeżach BedfordStuyvesant.

- Zaufaj mi - powiedział, a jego głos był tak poważny, że wydawało się, że

przygotowuje się do spalenia na stosie. - Nikt mnie nie zobaczy, a nawet jeśli, to co się stanie? Będą mnie gonić z powodu lekarstw o wartości półtora dolara? Wydaje mi się, że nie.

I tak Paul Hennessy ukradł leki i nikt go nie zauważył, a nawet jeśli, to nie miał ochoty rzucać się za nim w pościg. Wzięliśmy lekarstwa i wyzdrowieliśmy.

Kiedy byliśmy przy forsie, chodziliśmy do domu handlowego Macy's, dziesięciopiętrowego monolitu, który zajmował całą przecnicę centralnego Manhattanu i tam - na wyprzedazach w piwnicy - znajdowaliśmy ubrania, które mieliśmy włożyć tylko raz. Kupiliśmy na przykład flanelowe garnitury od Harta, Schaffnera i Marksa, a potem poszliśmy do Metropolitan Muséum of Art, i udawaliśmy, że jesteśmy studentami malarstwa z Europy Wschodniej, rozmawiając z obcym akcentem i wygłaszając przemądrzałym tonem opinie, zupełnie jakbyśmy mieli coś wartościowego do powiedzenia, a potem - Cecily, ja i Paul - kupiliśmy butelkę whisky „Calvert” i usiedliśmy na ławce blisko Central Parku. Śpiewaliśmy Days of 49 i utwory Gershwin, patrzyliśmy, jak buicki, cadillaki i lincolny continentale jechały w kierunku Broadwayu lub po prostu przez lepszą część miasta - i nigdy, nawet raz nie pomyślałem o mojej matce, Guntherze Krugerze, przeszłości, którą zostawiłem za sobą. Kiedy byłem sam - to już inna historia. Kiedy byłem sam, myślałem o Alex i dziecku, które straciłem. Picie whisky i śmianie się z Paulem i Cecily było panaceum, które wywabiało z mojego umysłu przeszłość.

Dużo później dowiedziałem się, że Cecily Bryan przeprowadziła się z powrotem do Missouri. Jedenastego września 1961 roku, mimo zakończonej sukcesem ewakuacji pół miliona ludzi, kiedy huragan Carla przyniósł powódzie i tornada w Missouri, Teksasie, Luizjanie i Kansas, Cecily znalazła się wśród czterdziestu osób, które zginęły. Nie zasługiwała na śmierć. Mimo jej dyspomanii, mimo że Watch & Ward Society of Boston zabraniało większości słów, których używała, Cecily Bryan była pasmem płomiennego koloru w monochromatycznym świecie i dopiero kiedy jej zabrakło, uświadomiłem sobie, jak delikatną, zagubioną i oszołomioną istotą była. Ostatnie wspomnienie z nią związane to wyprawa do New Brunswick w New Jersey. Chciała zobaczyć Camp Kilmer - miejsce, gdzie umieszczono tymczasowo węgierskich uchodźców. Przyjechało ich do Stanów trzydzieści siedem tysięcy i Cecily doszła do wniosku, że było coś niesamowicie romantycznego i przerażającego w tych ludziach. Zapakowała egzemplarze „Saturday Evening Post” i „American Weekly” do zniszczonej walizki i zawlokła ją na ganek. Paul próbował jej wytłumaczyć, że Węgrzy najprawdopodobniej nie znają angielskiego.

- Ale mówią po amerykańsku, prawda? - fuknęła na nas i zaczęła nalegać, żebyśmy zabrali czasopisma. - Będą chcieli się dowiedzieć czegoś o swojej nowej ojczyźnie -

kontynuowała. Paul spojrział na mnie i pokręcił głową z rezygnacją.

W świecie Cecily niemówiący po angielsku uchodzący byli szalenie zainteresowani sensacyjnymi reportażami Williama Randolpha Hearsta; być może sprawiało im przyjemność również czytanie stron z rozrywką, komiksów o przygodach Homera Hoope'a i Li'l Abner. Zaproponowałem, żebyśmy wzięli radio. Węgorom na pewno spodobały się takie programy jak Dragnet i The Jack Benny Show.

Paul roześmiał się.

- Interesują nas tylko fakty, proszę pani - powiedział głosem udatnie imitującym Joe Fridaya.

- Absurd - stwierdziła Cecily. - Jesteście śmieszni... To radio waży z jakieś 15 kilogramów. Możecie je sobie sami dźwigać do pociągu. Ja nie zamierzam.

Według plotek Cecily pochodziła z zamożnej rodziny, która straciła wszystko w wyniku krachu na Wall Street w 1929 roku. Jej ojciec włożył sobie pistolet na ramię do ust i pociągnął za spust. W czasie pogrzebu trumna była zamknięta, bo jego twarz wyglądała jak kupka popiołu. Z doświadczenia wiedziałem, że śmierć albo wzmacnia, albo niszczy ludzi. Niektórzy - ci, którym rzucono wyzwanie nie tylko umysłowe, ale także emocjonalne i duchowe - w śmierci bliskich odnajdywali wolę i postanowienie afirmacji swojej obecności u boku innych ludzi. Inni, których związek z rzeczywistością już i tak był słaby, po prostu zamykali się w świecie, który sami stworzyli. W pewnym niewielkim stopniu Cecily Bryan była odzwierciedleniem mojej matki i być może to niewypowiedziane podobieństwo sprawiło, że odczułem jej stratę bardziej, niż wskazywałoby na to moje emocjonalne przywiązanie do niej. Cecily była szalona, ale pięknie, poetycko i cudownie, i z tego powodu wierzyłem, że mogła zostać aniołem.

Tak właśnie upływały miesiące i tygodnie pod koniec 1949 oraz na początku 1950 roku. Czas nowych twarzy i nowych doświadczeń; różne imiona i różne miejsca, być może czas nadziei. Wydawało mi się, że przekroczyłem mury jednego świata i wkroczyłem do drugiego. To był okres mojej prywatnej wielkiej zmiany, który zbiegł się z wielkimi zmianami w Ameryce oraz w moim pokoju na rogu Throop i Quincy. Dzięki nieregularnym randkom z Joyce Spragg i przyjaźni z Hennessym udało mi się ustalić w pewnym stopniu, kim jestem i dlaczego postanowiłem uciec przed swoją przeszłością.

W lipcu 1950 roku napisałem do Reilly'ego Hawkinsa. Opisałem Nowy Jork: ogromny obszar hałasu pełen spieszących się ludzi. Wydaje się, że na ulicach i chodnikach jest za mało miejsca, jakby było za mało domów czy mieszkań, żeby poradzić sobie z takim tłumem, ale w jakiś sposób wszyscy żyją razem nieświadomi uczuć i losów innych. Trudno

mi zrozumieć, jak tyle osób może być tak blisko siebie, a jednak pozostawać od siebie tak daleko.

Wysyłając list, ujawniłem, gdzie mieszkam, i przez to otworzyłem małe okienko, przez które Georgia mogła ponownie wkroczyć do mojego życia.

I tak się właśnie stało. W październiku 1950 roku do pensjonatu Aggie Boyle przyszedł list, a Aggie osobiście go przyniosła i wsunęła pod drzwi, kiedy spałem.

Dokładnie pamiętam ten dzień. Pamiętam zapach jesieni unoszący się w powietrzu - duch umarłych liści, zapach gnicia, przemijanie lata. Stałem przy oknie z listem w ręce. Nie ważył więcej niż kilka gramów. Nie rozpoznałem charakteru pisma oprócz tego, że wiedziałem, iż nie był to charakter pisma Reilly'ego, i kiedy to zrozumiałem, zrozumiałem też, że ten list to atak na mój spokój. Zanim go jeszcze otworzyłem, wiedziałem, że on z kolei otworzy coś we mnie. Ranę. Szczelinę. Szczelinę pomiędzy sercem a umysłem. Zdrowy rozsądek sprawił, że opuściłem rodzinne strony. Szukałem ucieczki od ciężaru straty. Oszukiwałem się, że jeśli uda mi się osiągnąć spokój, będę mógł go utrzymać. I że na to zasłużyłem.

Ale tak nie było.

Wcale nie zasłużyłem.

Wiedziałem, że będę musiał wrócić do Georgii, do Augusta Falls, tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Tym, co mnie przerażało, przerażało bardziej niż wszystko inne, było przekonanie, że jeśli tam wrócę, to już nigdy więcej nie ucieknę.

Otworzyłem ten list...

Uważałem się za pisarza, poetę, człowieka z wizją i dalekowzrocznego.

Uważałem, że jestem silny, stanowczy, obiektywny i spokojny.

Uważałem, że mogę wrócić do domu, a jednak pozostać daleko. Tak jakbym wysłał tam tylko swoje ciało, swój umysł, sam pozostając w Nowym Jorku, i widział wszystko z odległości tysięcy kilometrów. Moje serce było silne. Czy Reilly Hawkins mi tego nie powiedział? Czy jednak na tyle silne, żeby wrócić w przeszłość? Bałem się - o siebie, o matkę, o to, co może się zdarzyć.

Bałem się, że wspomnienia o Guntherze Krugerze i dziesięciu dziewczynkach będą mnie prześladowały już zawsze.

Wiedziałem, co się wtedy stało. Wiedziałem, jakie poczucie winy musiał nosić w sobie Dearing, kiedy wyszedł z tej stodoły. Kruger wisiał na krokwi, jego twarz była spuchnięta, język siny, między palcami tkwiła cienka różowa wstążka.



Być może bałem się tego, co mogło zostać powiedziane, plotek, które krążyły w miasteczku. Siedem hrabstw, siedem oddzielnych światów i dla wszystkich byłem duchem, tak jak one były duchami dla mnie.

Zmusiłem się do myślenia, że mój powrót to coś w rodzaju sprawdzianu. Zmusiłem się do uwierzenia, że to przetrwam i że w końcu zostawię przeszłość za sobą i będę żył dalej.

Jednak w gruncie rzeczy wiedziałem. Wiedziałem, że one zawsze mi będą towarzyszyć: wspomnienia o dziewczynkach, dźwięk głosu Alex w domu mojej matki, dźwięk płaczu mojego dziecka w ciemności i to, że nigdy nie zrozumiem ani nie uwierzę, że życie może być tak krótkie.

Stałem twarzą w twarz z konfliktem, a on rzucał mi wyzwanie. Groził, że połamię mi wszystkie kości, zniszczy wszystkie postanowienia, które miałem w głowie. Przybrał swoją postać i okazała się ona mroczna, samotna, była linią przeciągniętą pomiędzy tym, za kogo się uważałem, a moim strachem przed tym, kim się stanę. Próbowałem to wszystko odegnać za pomocą egzorcyzmów, wierząc, że moja ucieczka do Nowego Jorku stanowi katharsis dla duszy, ale ona była jedynie ucieczką.

Nawet gdybym zamieszkał w jakimś innym, odległym zakątku świata, wszystko to odnalazłoby mnie i tak, bo Georgia nie należała do świata zewnętrznego, ona tkwiła we mnie.

- Powrót do domu to coś równie naturalnego jak oddychanie - powiedziała Joyce Spragg - chyba że akurat toniesz.

Uśmiechnąłem się. Wziąłem ją za rękę.

- Wrócisz... I wszystko będzie dobrze - wyszeptała. Podeszła bliżej. Byliśmy w korytarzu na dole domu Aggie Boyle. Moja walizka stała na podłodze, miałem zapięty płaszcz, a ona przytuliła się do mnie i przyłożyła usta do ucha. - Wszystko, co mówiłam przedtem... Wcale tak nie uważałam. To było jednak coś, wiesz? To, co było między nami... to było coś.

Kiedy się odsunęła, próbowała powstrzymać łzy. Uniosłem rękę i położyłem na jej policzku.

- Wiem - powiedziałem. - Kiepski z ciebie kłamca, Joyce Spragg.

Nasze pożegnanie było niezgrabne. Podejrzywałem, że kiedy wrócę - jeśli w ogóle wrócę - nie będzie między nami tak jak wcześniej.

Godzinę później stałem na dworcu autobusowym. Czekałem cierpliwie. Drżałem. Chciałem, aby świat, do którego wracam, był światem, którego pragnąłem. Nie był.

List był krótki.

Drogi Josephie!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Reilly Hawkins pokazał mi Twój list. Cieszę się, że to zrobił, bo inaczej nie wiedziałbym, jak się z Tobą skontaktować. Piszę w związku z Twoją matką. Jak wiesz, od dłuższego czasu nie czuje się najlepiej. Ostatnio jej stan się pogorszył. Obawiam się, że nie dożyje przyszłego roku. Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć, jeśli chciałbyś się z nią jeszcze raz zobaczyć. Szeryf Haynes Dearing odwiedził ją kilka razy, ale nie zostawał zbyt długo. Rozmawiał z nią, ale ona chyba go nie poznała. Czy nie mógłbyś przyjechać? Często o Tobie wspomina, chociaż nie wiem, czy rozumie, o czym mówi.

Myślami jestem z Tobą i mam nadzieję, że wrócisz.

Z poważaniem dr Lawrence Gabillard

W duszy nienawidziłem matki - jej choroby, jej szaleństwa, tego, że zwykły list mógł mnie ściągnąć z miejsca, za którym tak długo tęskniłem.

Jednak oczywiście pojechałem; wsiałem w autobus do mojej przeszłości, a moja przeszłość czekała na mnie, jakbym nigdy nie wyjeżdżał.

Georgia: najmroczniejsze światło mego serca.

Słońce, kiedyś zawieszono wysoko na niebie i śmiało, teraz wydawało się nagie i agresywne. Kolory jawiły się blade i niewyraźne, jakby brak im było asertywności, jakby ta ziemia widziała zbyt wiele mrocznych dni, by mieć jeszcze siłę do walki.

Stałem na poboczu i patrzyłem na dom mojego dzieciństwa. Nie widziałem rodziny, która teraz w nim żyła, ale czułem jej obecność, widziałem oznaki tego, że tam mieszka. Był zmierzch, wczesny wieczór, 13 października, piątek, i choć nigdy nie należałem do osób przesadnych, wyczuwałem, że to tutaj należy szukać zarówno końca, jak i początku. Światło paliło się w oknach. Dym unosił się z komina jak zjawa. Zaszczekał pies.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem.

Na noc wynająłem pokój w zajezdzie Upadek. Nie było mnie tutaj przez półtora roku. Myślałem o pójściu do Reilly'ego Hawkinsa, ale z jakiegoś powodu nie mogłem się do tego zmusić. Frank Turów zmarł, jak się dowiedziałem; zajazd należał teraz do niejakiego McGonagle'a. Był to przysadzisty mężczyzna, szerszy niż dwóch normalnych mężczyzn, ale mimo swoich gabarytów wydawał się delikatny; delikatny olbrzym, z rysami miękkimi i zaokrąglonymi, szopą siwawych blond włosów i bladoniebieskimi oczami. Było w nim coś, co sprawiało, że z miejsca się go lubiło.

- Tak, Frank Turów zmarł - powiedział McGonagle głosem równie delikatnym jak jego aparycja, kiedy poszedłem za nim do pokoju na poddaszu.

- Chyba udar. Znał go pan?

- Trochę.

- Ja go nie znałem... Kupiłem zajazd ostatniej zimy. Frank Turów nie żył już od dwóch miesięcy. - Wyczułem, że uśmiecha się pod wąsem. - Dziwne... Czasami mam wrażenie, że tu zagląda i sprawdza, czy dobrze dbam o jego interes. - Roześmiał się prawie bezgłośnie.

Nie wypytywałem więcej. Nie chciałem nic wiedzieć o Franku Turowie czy Lowellu Shanerze, Clemencie Yatesie albo Leonardzie Stowellu. Przeszłość to przeszłość.

Zapytałem za to o szeryfa Dearinga.

- Haynes Dearing - powiedział McGonagle, po czym zwolnił i odwrócił się do mnie. - Nie wie pan, co się stało?

Poczułem w środku chłód. Skąd wiedziałem, że mój powrót nie będzie radosną podróżą pełną nostalgii?

## XXII

Pokręciłem głową.

- Tragedia... Wielka tragedia.

- Co takiego? - zapytałem zaniepokojonym głosem.

- To, co się stało z jego żoną. Nie słyszał pan?

Raz jeszcze pokręciłem głową.

- Nie znam szczegółów - powiedział McGonagle. - Chwileczkę... Kupiłem zajazd zimą zeszłego roku. To musiało być w marcu... nie, w lutym tego roku. Tak, w lutym tego roku. Nie znam szczegółów, ale z tego co słyszałem... cóż, odebrała sobie życie.

- Popelniła samobójstwo?

- Na to wygląda... Tak, popelniła samobójstwo.

- Dlaczego? - Byłem zbity z tropu. Nigdy nie poznałem żony Dearinga, ale myśl, że odebrała sobie życie, zszokowała mnie i zasmuciła.

McGonagle wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem, nie znam szczegółów. A dlaczego ludzie odbierają sobie życie? Dlatego, że nie mogą mieć tego, co chcą. Albo mają coś, czego nie chcą. Chyba nie ma innego wytłumaczenia, prawda?

Nie mogłem mówić, a przez kilka chwil także się poruszyć.

Dlaczego Georgia jest pełna zmarłych i śmierci? Czy to może ja? Czyżbym był emisariuszem Śmierci? Czy nosiłem to ze sobą jak zapach, skazę na duszy, która zatruchiwała powietrze wokół mnie?

- A szeryf Dearing?

McGonagle wzruszył ramionami.

- Wyjechał stąd jakiś tydzień czy dwa po wszystkim. Zrezygnował ze swojego urzędu i wyjechał. Zdaje się, że w marcu. Był wrakiem człowieka... Chyba zaczął pić, ale proszę o tym nikomu nie mówić, a tym bardziej nie powoływać się na mnie... Nie wiem, dokąd pojechał. Nie słyszałem nic na jego temat od tego czasu.

Stałem na schodach przerażony, czując zimny pot na czole i dłoniach. Modliłem się, żeby okazało się, że nigdy nie wróciłem, że ledwie zamknę oczy, a przeniosę się do Nowego Jorku i wszystko zniknie.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał McGonagle.

Skinąłem głową.

- Tak... nic mi nie jest.

- To proszę za mną. Pokażę panu pokój.

Później, jakąś godzinę lub więcej, stałem przy oknie i wpatrywałem się w ciemność Augusta Falls. Świat był cichy, jeśli nie liczyć duchów dnia, które najwyraźniej bały się wyjść.

Półtora roku wydawało się okresem nie dłuższym niż dwa tygodnie. To miejsce pochłonęło kolejną część mojej przeszłości. Nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jutro pojedę do Waycross odwiedzić matkę.

Jutro zmierzę się z wewnętrzną ciemnością.

Ranek wstał wczesnie. Słońce stało wysoko, białe jak śnieg i rzucało rześkie, ostre cienie. Noc była zimna, sen ciężki, bolały mnie kolana i łokcie. Nie odczuwałem tylko fizycznego bólu, ale coś więcej. Być może moje kości, wyrosłe z tej ziemi, wyczuły dom i we śnie próbowały mnie ściągnąć w dół. Łaknęły tej ziemi, jej spuchniętej i niepohamowanej wilgoci. Umyłem się nad kranem w łazience, mając nadzieję, że lodowata woda mnie orzeźwi. Nic z tego. Z trudem dochodziłem do siebie; świat wokół mnie nosił ślady wspomnień.

- Dobrze pan spał? - zapytał McGonagle, kiedy stawiał przede mną talerz w jadalni.

Wymamrotałem coś niezobowiązującego i zjadłem tak dużo, ile tylko mogłem. Gardło mi się zaciskało z każdym kęsem.

Szybko wyszedłem i nie oglądając się za siebie, ruszyłem pośpiesznie do Reilly'ego Hawkinsa.

Dom nie był zamknięty, ale pusty. Jego furgonetka stała na podwórzu, kluczyki tkwiły w stacyjce. W kuchni napisałem wiadomość, po czym zrobiłem dziurę w kartce. Powiesiłem ją na klamce od zewnątrz.

Furgonetką Reilly'ego podążałem wzdłuż Suwannee na północny wschód w kierunku Waycross. Moje serce było jak zaciśnięta pięść, nie widziałem niczego poza cienkim pasem drogi przed sobą. Po godzinie dotarłem do granicy miasta i zatrzymałem się. Próbowałem odegrać w wyobraźni scenę spotkania z matką. Pomyślałem o Alex i rozplakałem się. Położyłem głowę na kierownicy.

Po mniej więcej kwadransie włączyłem silnik. Jakimś cudem udało mi się dojechać do szpitala.

Wezwano Gabillarda. Czekałem na niego ze spuszczoną głową i z rękami w kieszeniach. Kiedy przyszedł, wydawał się dużo starszym człowiekiem, niż go zapamiętałem. Jego skronie były już siwe.

- Witaj, Josephie - powiedział, próbując się uśmiechnąć. Wyglądał na zbolalego.

- Dzień dobry, panie doktorze.

- Otrzymałeś mój list?

Skinąłem głową.

- Przykro mi...

Uniosłem dłoń i zamilkł.

- Gdzie ona jest?

Przekrzywił głowę.

- Chodź ze mną - powiedział szeptem, a potem się odwrócił i zaczął iść.

Podążając za nim, czułem, że nadzieja na moją przyszłość umiera. Odgłos moich kroków na linoleum przypominał bicie złamanego serca.

Miała pusty wyraz twarzy. Pusty człowiek. Jej włosy były szopą białych drutów, skóra - zmarszczona wokół oczu i kącików ust, źrenice rozszerzone od morfiny. Siedziała oparta na poduszkach, z kocem pod szyją niczym całunem i kiedy na mnie spojrzała, poczułem się bardziej nieważny, niż myślałem, że to możliwe.

- Mary? - powiedział Gabillard. - Mary... Przyszedł Joseph, twój syn Joseph.

Zrobiłem krok naprzód, jakby nie widziała dalej niż do końca łóżka.

Moja matka, zaledwie czterdziestopięcioletnia, wyglądała na osobę pod siedemdziesiątkę.

- Joseph? - wychrypiała. - Jaki Joseph?

- To ja, mamó - powiedziałem, z całych sił starając się nie opuścić tej sali, nie uciec od tej strasznej maski śmierci.

- Mamó? - powtórzyła za mną. - Jesteś tutaj, mamó?

Zrobiłem kolejny krok naprzód.

Gabillard stanął za mną z krzesłem, postawił je tak, że dotknęło moich kolan. Odruchowo usiadłem. Wyciągnąłem rękę i położyłem ją na jej dłoni.

- Joseph, tak?

Odwróciła do mnie twarz i zrozumiałem, że dawno opuściła doczesną powłokę i udała się do lepszego świata.

- Tak, mamó, to ja... Joseph.

Wyczułem, że Gabillard wychodzi. Nie miałem odwagi odwrócić się i spojrzeć za siebie.

- Joseph - powiedziała i na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. - Joseph. Joseph. Joseph. Długo na ciebie czekałam, kochanie.

- Wiem, mamó, wiem.

- Ale chciałam, żebyś przyszedł... Chciałam, żebyś przyszedł i je usłyszał.

Pochyliłem się bliżej.

- Kogo usłyszał? Kogo miałbym usłyszeć?

Znowu się uśmiechnęła i ujrzałem coś w jej oczach, coś, co sprawiło, że pomyślałem, że ma jednak jakiś kontakt z rzeczywistością, że jest świadoma - choć tylko przez ułamek sekundy - tego, kim jest, i że jej syn siedzi obok niej.

- Wszystkie, Josephie... Słyszę je wszystkie, wiesz?

- Kogo? Kogo słyszysz? - Serce waliło mi jak młotem. Myśli galopowały. Wydawało mi się, że wiem, co nastąpi, choć skąd to wiedziałem, nigdy nie zrozumieć.

- Dziewczynki - wyszeptała. Jej głos był niczym bryza, poruszenie wiatru, zdmuchnięcie świeczki, ruch chmury, przejście kogoś przez pole zarośnięte pszenicą.

Moje serce przestało bić. Oczy się rozszerzyły.

- Nie bój się - powiedziała. - Wiedzą, że to nie twoja wina. Ty ich nie skrzywdziłeś.

- Kogo mam? Kogo nie skrzywdziłem?

- Ich wszystkich... Tych wszystkich dziewczynek.

Odwróciła się i spojrzała w kierunku okna.

- Wiedziałam, że to on... Wiedziałam po drugim czy trzecim razie. Wiedziałam, że to on tam był w ciemności ze swoimi złymi myślami. Wiedziałam, że zabija te dziewczynki swoimi mrocznymi myślami i rękami. Wiedziałam zaraz po śmierci Ellen May i Catherine...

Pokręciłem głową.

- Nie - powiedziałem słabym i łamiącym się głosem.

Moja matka odwróciła rękę i chwyciła moją, jej palce okazały się silne, trzymały mnie jak szpony. Przyciągnęła mnie do siebie i moja twarz znalazła się kilka centymetrów od niej.

- Cały czas... Cały czas wiedziałam i dlatego trzeba to było zrobić, dlatego to musiało być zrobione.

- Co takiego? - zapytałem i przerażenie zalało mnie jak fala.

- Nie chciałam jej skrzywdzić... tylko jego. Nie mogłam nikomu powiedzieć. Nikt by mi nie uwierzył. Musiałam wypędzić demona... wypędzić demona. Oczyszczyć ziemię. Oczyszczyć ziemię, po której stapał. Musiałam go wyrugować światłem prawdy... musiałam przynieść światło do ciemności i pokazać ludziom kolor jego duszy...

Zamilkła. Próbowałem wycofać rękę, ale jej uścisk był silny.

- Musiałam go wyrugować oczyszczającym ogniem, Josephie... musiałam... musiałam...

I nagle zrozumiałem. Zanim wypowiedziała kolejne słowa, już wiedziałem.

Jej oczy rozszerzyły się i zobaczyłem, że płacze. Grube łzy popłynęły po policzkach.

- Musiałam go spalić, Josephie... Musiałam go wykurzyć z tego domu.

Zamknąłem oczy. Mój oddech był krótki i płytki. Poczulem mdłości.

- Musiałam, Josephie... Musiałam.

Wyswobodziłem rękę. Wstałem i zrobiłem krok do tyłu.

- Josephie... Nie, Josephie, nie odchodź... Ty nie rozumiesz. Nie rozumiesz, co się stało. Musiałam coś zrobić... Nie miałam wyboru... Nie mogłam nic zrobić...

- Dostyc! - krzyknąłem. Zrobiłem kolejny krok do tyłu, zacząłem się odwracać i wtedy zobaczyłem Gabillarda.

Było coś w jego oczach, co mi powiedziało, że wie.

- Powiedziała panu - stwierdziłem. Mój głos nie brzmiał jak mój.

Lekarz nie odpowiedział, tylko odwrócił wzrok. Kiedy znowu spojrzał na mnie, wszystko stało się jasne.

Zacząłem kręcić głową. Przecisnąłem się obok niego i wyszedłem z sali, a potem zacząłem iść korytarzem, stopniowo nabierając prędkości, w końcu prawie biegnąc, jakby wszystko to, od czego chciałem uciec, deptało mi po piętach.

Wybiegłem na świeże powietrze. Nie mogłem złapać tchu i zanim odzyskałem równowagę, upadłem na kolana. Klęczałem przez chwilę, próbując się powstrzymać, ale nie dałem rady. Zwymiotowałem. Czułem się tak, jakby całe moje gardło było rozrywane na strzępy.

- Nie! - charczałem, rzygając. - Nie! Nie! Nie!

Prawda wyszła na jaw. Pożar u Krugerów. Śmierć Eleny. Moja matka zabiła dziecko i przypłaciła ten czyn utratą poczucia winy.

Przez długi czas nie ruszałem się. Nikt nie wyszedł, żeby mi pomóc. Być może nikt nie zauważył.

W końcu wstałem i poszedłem do furgonetki. Choć nie byłem w zbyt dobrym stanie, pojechałem do domu Reilly'ego Hawkinsa.

Dowiedziałem się prawdy; prostej, bolesnej prawdy.

Moja matka była winna tak samo jak Gunther Kruger.

U Reilly'ego wymiotowałem jeszcze dwa razy. Siedział cicho i masował mi plecy, kiedy pochyliłem się nad zlewem i wymiotowałem już chyba tylko samym bólem i rozpaczą. Nie powiedział ani słowa, aż zebrałem się do kupy i usiadłem przy stole kuchennym.

Kiedy na niego spojrzałem, uśmiechnął się.

- Niedawno miałeś urodziny - stwierdził.



Zmarszczyłem brwi.

- Trzy dni temu... - powiedział. - Urodziny, pamiętasz?

Próbowałem się uśmiechnąć. Pokręciłem głową.

- Nie - wyszeptalem. Głos miałem zachrypnięty, a gardło paliło mnie jak ogień.

- Tak - potwierdził. - Gdybym wiedział, że przyjedziesz, kupiłbym ci prezent.

- Gdybyś wiedział, że mam zamiar przyjechać, kazałbyś mi zostać na Brooklynie.

Reilly Hawkins uśmiechnął się ze współczuciem.

- Nie wiedziałem, Josephie... Skąd miałbym wiedzieć.

- Mówiłem hipotetycznie.

- Nie wiem, czy kiedyś poznamy prawdę...

- Na razie mam dosyć prawdy - stwierdziłem. - Chyba nie poradziłbym sobie z jej większą dawką.

- Nie możesz mieć pewności, że to zrobiła. Ona... ona jest...

- Szalona - powiedziałem. - Tak, jest szalona. Szalona w pełnym znaczeniu tego słowa. Wydaje mi się, że oszalała z powodu tego, co zrobiła. - Pochyliłem się do przodu i oparłem głowę na krawędzi stołu. - Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy... Nie wiem, czy kiedykolwiek się tego dowiem. Może myślała, że był sam w tym domu... Bóg raczy wiedzieć, Reilly...

- I Bóg ją osądzi, Josephie, to nie należy do nas... Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się.

- Nie jestem w stanie rozmawiać o religii, nie teraz, dobrze? Skinął głową.

- Dobrze, Josephie, dobrze. Wyciągnął rękę i uściśnął moją dłoń.

- Opowiedz mi o Brooklynie.

- O Brooklynie?

- Jasne. Jest taki, jak to sobie wyobrażałeś?

Pomyślałem o Aggie Boyle i Joyce Spragg. Pomyślałem o Paulu Hennessym, Cecily Bryan, Uczelnianym Kole Pisarzy. Pomyślałem o kilku stronach maszynopisu, które miały być początkiem Wielkiej Amerykańskiej Powieści. Pomyślałem, co Alex sądziłaby o osobie, którą próbowałem się stać.

- Brooklyn to świat sam w sobie - powiedziałem. - Brooklyn i Augusta Falls nie należą do tego samego świata.

- Pracujesz nad czymś? Pisziesz?

- Trochę - odparłem. - Nie tyle, ile bym chciał, ale tak, pracuję nad czymś.

- Tytuł?

- Na razie mam tylko tytuł roboczy - powiedziałem. - Powrót do domu.
- Jest w tym odrobina autobiografii, co?
- Nie, żadna autobiografia. To czysta fikcja.
- Co zamierzasz zrobić?
- Zrobić? - zapytałem. - O czym mówisz?
- O tym, co powiedziała twoja matka.
- Nic nie zrobię, Reilly. Co mam niby zrobić? Gunther Kruger nie żyje, Haynes

Dearing wyjechał... Bóg raczy wiedzieć, dokąd...

- Ukrył się gdzieś... tak słyszałem.
- A właśnie, może ty ukryłeś jaką butelczynę?
- Mam whisky - powiedział i wstał. Wyjął butelkę z szafki pod zlewem, przyniósł dwa

kieliszki i napełnił je.

Usiadł i uniósł kieliszek.

- Za życie. Za przyszłość, która będzie inna niż terażniejszość. Co ty na to?
- Może być - odparłem i jednym haustem wypilem alkohol. Gorąco rozgrzało mi pierś.

To było nowe uczucie, coś innego od strachu czy mdłości i za to byłem wdzięczny. Sięgnąłem po butelkę i nalałem sobie.

- Wracasz?
- Na Brooklyn? Jasne. Nie mam powodu, żeby tu zostać.
- To prawda - przyznał Reilly. - I napiszesz tę książkę, tę o powrocie do domu?
- Spróbuję. Naprawdę się postaram.
- Zostań na noc, dobrze? Zostań na tę noc i wróć jutro.
- To mogę zrobić - powiedziałem. - Mogę zostać na noc.
- Mam jeszcze jedną butelkę. Zalejemy się w trupa.
- To rozumiem, Reilly Hawkinsie, to naprawdę rozumiem.

## XXIII

Nad moją głową zwiędłe liście zwijały się na gałęziach niczym dziecięce dłonie, rączki niemowlaka. Podejmowały ostatni wysiłek, żeby wyciągnąć resztki lata z powietrza, ponieważ już wkrótce będzie trudno przypomnieć sobie coś poza ponurą, napuchłą wilgocią, która wydawała się otaczać nas wiecznie. Zima w Georgii: śmiały i arogancki potwór. Zaciśnięte pięści i kwaśny oddech.

Mała dziewczynka.

Kopie i wymachuje rękami, jej dłonie są jak ściśnięte pęki noży, kiedy drapie ziemię, zupełnie jakby przez to drapanie jakiś głęboki, niemal podprogowy komunikat mógł być przeniesiony przez osmozę, wchłanianie... zupełnie jakby ziemia była w stanie zobaczyć, co się z nią dzieje, i przekazać komunikat poprzez glebę, korzenie i łodygi, poprzez oczy i uszy robaków oraz innych stworzeń, które wychodzą, żeby hałasować w nocy, kiedy nikt ich nie widzi.

Ma nadzieję, że dzięki drapaniu, rozszarpywaniu, biciu, kopaniu, uderzaniu pięściami w ziemię...

Że dzięki temu wszystkiemu ktoś ją usłyszy... ktoś ją usłyszy, pobiegnie na ratunek i zobaczy mężczyznę...

Mężczyznę pochylonego nad nią, mężczyznę z opuszczonym ramieniem i spoconym czołem, mężczyznę z zardzewiałym ostrzem i skórą, która śmierdziała zatęchłą norą, wychodkiem i cuchnącym bagnem, wezbranym błotem rzeczonym, rybą i surowym kurczakiem - tak surowym i starym, że jest siny, zwiędły, a jego zapach drażni nozdrza...

Ktoś przyjdzie i zobaczy.

Gunthera Krugera pochylonego i oddającego się z zapalem swemu zajęciu, zupełnie jakby to była jego praca, prawdziwa praca.

Tyle że nikt nie przyszedł.

Zupełnie nikt...

Ocknąłem się, wielki ogłuszający dźwięk nicości wybuchł we mnie. Przerazające. Wybuchowa cisza. Jakbym chwiał się nad ciemną przepaścią, a potem spadał w górę, na przekór grawitacji, rozbijając się o gorąco i ciemność, kiedy skopywałem z siebie pościel i koce.

Wydobyłem z gardła dławiący odgłos, a potem upadłem bokiem na zimną, twardą posadzkę. Leżałem zszokowany i bez tchu przez jakiś czas. Usłyszałem kroki. Przez chwilę myślałem, że to Śmierć przyszła High Road, żeby mnie zabrać. Żeby pobrać podatek od

życia. Żeby wystawić rachunek za oddychanie. Poniesie mnie nad czarną rzekę, przez wodę jak obsydian, wodę, w której nic się nie odbija; twarze w cieniu zbliżają się do mnie, serce zwalnia, oddech zamiera, zapada cisza, otwieram oczy...

- Jezu, co się stało?

Nade mną stał Reilly Hawkins z wyciągniętą ręką. Pomógł mi usiąść na łóżku.

Zamknąłem oczy i spojrzałem na dłonie. Drżały.

- Sen...

- Raczej koszmar - powiedział i pociągnął mnie. Usiadłem na brzegu materaca.

- Napijesz się wody?

Skinąłem głową.

Reilly wyszedł szybko z pokoju i zszedł na dół. Wyciągnąłem przed siebie ręce. Nie mogłem opanować drżenia.

Przycisnąłem je do piersi. Przypominały duże skrzydlate zwierzę, które chciało się wyrwać z mojej klatki piersiowej. Zamknąłem oczy i położyłem się.

Zobaczyłem twarz matki...

Musiałam go wyrugować oczyszczającym ogniem, Jose, phie... musiałam... musiałam...

- Nie! - krzyknąłem. Ta odruchowa reakcja wystraszyła mnie. Nie panowałem nad swoimi myślami ani nad swoim ciałem.

W drzwiach pojawił się Reilly ze szklanką wody w jednej ręce i butelką whisky w drugiej.

Postawił je na podłodze, a potem pomógł mi wstać i zaprowadził do swojego pokoju. Posadził mnie na krawędzi łóżka, okrył kocem, a potem wrócił po szklankę i butelkę.

- Poproszę tylko wodę - powiedziałem, biorąc od niego szklankę.

Uśmiechnął się niezręcznie.

- Whisky jest dla mnie - wyszeptał. - Na śmierć mnie wystraszyłeś, Josephie Vaughanie.

Odkorkował butelkę i pociągnął łyk.

- Przepraszam - wyjąkałem.

- Nie ma za co - odparł. - Masz prawo być nieco roztrzęsiony.

Skinąłem głową, próbując głęboko oddychać.

- Połóż się - powiedział Reilly. - Spróbuj zasnąć. Zostanę z tobą, dobrze?

Nie zareagowałem. Oddałem mu szklankę i położyłem się powoli. Czulem, że zaczyna mnie ogarniać senność, i bałem się jej poddać.

Poddałem się w końcu i wydawało się, że ciemność, która była we mnie, rozproszyła się.

Powrót do domu, pomyślałem i cicho odpłynąłem.

Nazajutrz, późnym rankiem, cztery dni po moich dwudziestych trzecich urodzinach moja matka także cicho odpłynęła.

Do czterdziestych szóstych urodzin brakowało jej dwóch miesięcy i czterech dni.

Nie było mnie przy niej, kiedy umarła, i czułem za to wdzięczność, jakby ktoś się nad nami dwojgiem zlitował. Znalazła swoją ucieczkę.

O jej śmierci dowiedziałem się dopiero wczesnym wieczorem, siedząc w kuchni z Reillym Hawkinsem. Posiłek przede mną stał nietknięty, mój umysł nie był wystarczająco silny, żeby skupić się na czymkolwiek. Dzień, który mijał, pozbawiony był wyrazistości i ostrości. Reilly został ze mną, ale rzadko się odzywał. Nie spytał o mój wyjazd, mój zaplanowany powrót na Brooklyn, a gdyby spytał, nie byłbym mu w stanie odpowiedzieć.

W pewnej chwili w drzwiach pojawił się doktor Piper. Przyjechał do Hawkinsa, bo pomyślał, że mnie u niego zastanie.

Wiedziałem, co powie, ale i tak mi to powiedział. Wydawało się, że coś takiego jest istotą jego egzystencji.

- Odeszła - wyszeptał. - Spokojnie i z uśmiechem na twarzy, Josephie. Odeszła.

Nie wiedział o jej zbrodni, a ja nie miałem zamiaru mu mówić. Nie miałem zamiaru mówić o tym nikomu. Sekret, który mi powierzyła, miał pozostać w moim sercu tak długo, jak będę w stanie go znieść.

Być może są blizny - w umyśle i sercu - które nigdy się nie goją. Być może istnieją słowa, które nigdy nie mogą zostać wypowiedziane lub wyszeptane, słowa, które pisze się na kartce, a tę następnie składa się w stateczek i puszcza go na wodę, żeby porwał go prąd. Być może istnieją cienie, które na zawsze cię prześladują, które zbliżają się do ciebie w chwilach twojej własnej ciemności, i tylko ty potrafisz rozpoznać ich twarze, bo to są twoje cienie, cienie twoich grzechów i ziemskie egzorezmy nie mogą ich wypędzić. Być może nie jesteśmy wcale silni. Być może okłamujemy świat, a okłamując go, okłamujemy również siebie.

Później, kiedy słowa doktora Pipera stały się zaledwie wspomnieniem, zacząłem oplakiwać swoją matkę.

Ale przede wszystkim Elenę Kruger: tę, którą obiecałem chronić.

Wczesny ranek. Niebo jak skuta młotkiem miedź. Serce jak tępa pięść. Deszcz drobny jak kurz.

Pochowałem matkę. Taka sama prosta trumna jak w przypadku mojego ojca. Tym razem nie było stypy. Nie przywiązałem jej ubrania do gałęzi sasafrasu i nie spaliłem go. Gunther Kruger nie powiózł jej ciała po asfaltowej drodze na pace ciężarówki. Po wszystkim nie było spotkania w kuchni mojego dzieciństwa, spotkania pełnego opowieści o jej życiu.

Tym razem nic nie było.

Nie płakałem po kobiecie, która umarła; płakałem 'po kobiecie, którą pamiętałem. Stojąc nad jej grobem, zmówiłem modlitwę, kilka słów zbudowanych na słabej nadziei na coś lepszego. Oczy zamknięte, wokół nich zmarszczki jak na zgniecionym papierze; usta zaciśnięte w cienką nieregularną linię. Reszta świata była gdzie indziej, za siedmioma górami, za siedmioma morzami...

A potem odszedłem, z Reillym Hawkinsem po jednej stronie i z doktorem Thomasem Piperem po drugiej.

Była środa, 18 października 1950 roku.

- Może istnieje jakiś lepszy świat - powiedział Reilly.

- A może nie - odparłem.

- Trochę czasu upłynie, zanim któryś z nas się o tym przekona.

Skinąłem głową, ale nic nie powiedziałem.

Dwa dni później, po południu w piątek, Reilly Hawkins odwiózł mnie na przystanek autobusowy w Augusta Falls.

Rozpocząłem długą podróż powrotną na Brooklyn.

Obiecałem sobie, że nigdy nie wrócę do Georgii.

## XXIV

Wiosną roku 1951 wróciłem do pisania. Uzyskałem wreszcie dostęp do pieniędzy ze sprzedaży domu i zainkasowałem ponad trzy tysiące dolarów. Zostałem u Aggie Boyle, ale wiele się zmieniło. Obserwowałem, jak moje serce powoli zdrowieje, i nie wspominałem o wyznaniu matki. Mój związek z Joyce Spragg - nieważne, czy miał znaczenie, czy nie - umarł powolną, aczkolwiek bezbolesną śmiercią. Wciąż należałem do Uczelnianego Koła Pisarzy, a Paul Hennessy stał się moim najlepszym przyjacielem. To on mnie zachęcił do tego, żebym kontynuował prace nad Powrotem do domu.

- Potrzebujesz tylko pierwszego zdania - powiedział. - Każda wielka książka musi się zaczynać wciskającym w fotel zdaniem, wiesz?

- Na przykład jakim?

Roześmiał się.

- Do diabła, Josephie, to ty jesteś pisarzem. Ja jestem tylko poślednim czytelnikiem. Poznam wielkie pierwsze zdanie, kiedy je przeczytam, ale jeśli chodzi o pisanie, to mam wystarczająco duże trudności z napisaniem podania o pracę.

- Mam pierwsze zdanie.

- Przeczytaj.

Byliśmy w moim pokoju. Siedziałem przy biurku, a Paul w fotelu przy oknie. Na tle popołudniowego słońca jawił się niczym więcej niż zarysem sylwetki.

Sięgnąłem do sterty kartek, na których bazgrałem różne warianty początku mojej powieści, i zacząłem je przeglądać.

- Mam - powiedziałem. - Gotowy?

- Zamieniam się w słuch, Jackson.

Uśmiechnąłem się.

- Nigdy nie uważałem, że życie będzie usłane różami...

Pokręcił głową.

- Nie, nie, nie - skrzywił się. - Niezgrabne. Niepoetyckie. Sztampowe.

- Coś jeszcze z nim nie tak?

Paul wstał z fotela i podszedł do regalu z książkami.

- Zobaczmy, co tu mamy - powiedział. Wyciągnął jeden z tomów. - Ulica Nadbrzeżna Johna Steinbecka.

- To nie fair.

- Zamknij się i posłuchaj. - Odchrząknął. - „Ulica Nadbrzeżna w Monterey, stan

Kalifornia, to poemat, smród, ogłuszający hałas, feeria światła, pieśń, mania, nostalgia, sen”\*

- Zatrzasnął książkę i uśmiechnął się. - Widzisz? Poezja. Nieco magii. Buduje atmosferę jednym zdaniem. - Sięgnął po kolejną książkę. - William Faulkner Dzikie palmy.

- Nobel w dziedzinie literatury za zeszły rok - zauważyłem. - Nie za wysoko ustawiasz poprzeczkę?

- Prawdopodobnie tego właśnie potrzebujesz. Proszę. „Doktor schodził już na dół, kiedy stukanie rozległo się znowu, dyskretne, a zarazem natarczywe”\*. Czujesz tę atmosferę tajemniczości? Kim jest ten doktor? Czy jest w swoim domu? Co to za pukanie? Czy ktoś puka do drzwi? Kto mógłby pukać o tej porze do drzwi? Czy ktoś jest chory? Czy ktoś umarł?

- Wystarczy. Rozumiem, co masz na myśli.

- To napisz wciskające w fotel pierwsze zdanie.

- Właśnie teraz?

- Jasne, że teraz, niby czemu nie? Na co czekasz? Wiesz, co mówią... Dziesięć procent talentu...

- Dziewięćdziesiąt procent ciężkiej pracy. Wiem.

- A ja sobie usiądę przy oknie i posiedzę, dopóki nie skończysz.

Pochyliłem się nad biurkiem z piórem w rękę i zamknąłem oczy. Pomyślałem o scenie otwierającej. Przybycie przyjaciół do domu. Dawno zapomnianych przyjaciół. Przejżdżających przez miasteczko przyjaciół, którzy postanawiają odwiedzić głównego bohatera. Jest zaskoczony, zdumiony, ale ich entuzjazm i urok go zniewalają. Wydaje mu się, że odzyskał coś, co stracił. Tęskni za przeszłością, czasem, kiedy przyjaciele tacy jak ci byli najważniejsi, i dochodzi do wniosku, że zmarnował życie. Zaczyna podróż, podróż do swoich korzeni. Podąży piechotą, pociągiem, autobusami i ciężarówkami, łapie okazje. Przemierza Amerykę ze wschodu na zachód i żyje tak, jak zawsze chciał żyć. Nigdy nie dociera do miasta, w którym się urodził, ale odnajduje swój dom. Alegoria, baśń, mit.

Przykładałem pióro do papieru.

- Słyszę skrobanie stalówki po pergaminie - powiedział Hennessy ze swojego miejsca przy oknie wykuszowym.

- Cii... - wyszeptalem. - Nie widzisz, że pracuję?

Kilka minut później uniosłem wzrok, odchyliłem się w fotelu, odwróciłem się z kartką w rękę i uśmiechnąłem do niego.

- Mam - oznajmiłem z dumą.

- To dobrze. Przeczytaj.

- „Był czas, gdy wydawało się, że każdy dzień może wybuchnąć namiętnością; czas,



gdy życie kipiało magią i pożądaniem; czas, gdy wierzyłem, że przyszłość może być tylko idealna. Był taki czas. I w swojej młodości, w niewinności i w zapale czułem, że ścieżka, która była dla mnie wyrąbana, może prowadzić tylko wyżej”...

- Hola, wolnego - przerwał mi Hennessy. - To więcej niż jedno zdanie.

Uniosłem wzrok.

- Mam więcej.

- Nie prosiłem o więcej.

- Co o tym myślisz?

- Lepsze - powiedział zdawkowo. - Lepsze niż to pierwsze. Ma się świadomość jakiejś nieuchronnie zbliżającej się katastrofy. Rozczarowania. Tego, że wydarzyło się coś, co ostudziło zapał tego faceta, prawda?

- Zgadza się. Jego przyjaciele...

Hennessy uniósł rękę.

- Nie mów. Napisz. Najpierw napisz, a potem mi powiedz.

Uśmiechnąłem się.

- Chcesz zostać moją muzą? - zapytałem.

- Na Boga, nie. Muza powinna być kobietą, kobietą mądrą i urokliwą. Znajdziemy ci męża, inteligentną i elegancką, ale zarazem nie na tyle piękną, żeby cały czas odwracała twoją uwagę.

Rozmawiałem z Paulem o Alex wiele razy. W tym momencie nie mogłem jednak wymówić jej imienia, więc nic nie powiedziałem.

- Będziesz pisał?

- Tak - odparłem. - Dzięki tobie zacząłem.

- No to moje zadanie zostało spełnione... Zostawię cię sam na sam z myślami. Idę poszukać baru, w którym się upiję, aż nie będę widział na oczy.

- Baw się dobrze - powiedziałem.

- Będę, Vaughan, zapewniam cię, że będę.

Pracowałem systematycznie. Odnalazłem rytm i gdzieś pomiędzy świtem a zmierzchem udawało mi się zdyscyplinować siebie na tyle, żeby wyrzucać z siebie słowa. Kupiłem nową maszynę do pisania „Underwood”, postawiłem ją na zwiniętym kocu, który położyłem na biurku, żeby zminimalizować hałas, jaki robiła, i wypluwałem stronę po stronie. Zacząłem palić, mdlące uczucie, od którego wkrótce się uzależniłem, i często wychodziłem wieczorami z Hennessym i piliśmy, dopóki nie rzygaliśmy jak koty.

Przeszłość próbowała mnie zostawić w spokoju, ale zderzałem się z nią

niespodziewanie od czasu do czasu. Myślałem o dziewczynkach, które zostały zamordowane, i ich nazwiska powracały: Alice Ruth Van Home, Rebecca Leonard, Catherine McRae, Virginia Grace Perlman, inne, których twarze nigdy nie znałem i nigdy nie poznam. Myślałem o dniu, w którym przyłapałem Gunthera Krugera w pokoju mojej matki, a także o tym, jak matka wymyka się z domu tej sierpniowej nocy, żeby podpalić jego dom. Próbowałem przekonać sam siebie, że nie mogłaby czegoś takiego zrobić, ale doskonale wiedziałem, że zrobiła. Próbowała wypędzić demona z Augusta Falls, demona, któremu pozwoliła wejść do swojego łóżka, życia, być może serca. Wyrzuty sumienia, wściekłość, ból, to wszystko w końcu ją przytłoczyło i musiała odpowiedzieć światu swoim szaleństwem. Szaleństwo się rozrastało, zjadało ją od środka i w końcu zabiło. Moje myśli o niej nie były ciężkie od żalu, ale gorzkie od litości. Myślałem też o moim ojcu. Często zastanawiałem się, jakby to było, gdyby żył. Swoje emocje przelałem na papier, pisząc Powrót do domu. I w pewien sposób mi to pomogło.

Na początku września tego samego roku, kiedy robocza wersja Powrotu do domu była prawie gotowa, zapisałem się do najbliższej biblioteki. Wypożyczyłem z niej książkę, którą napisał Immanuel Wielikowski, zatytułowaną Worlds In Collision, kilka numerów „Writer’s Digest”, wiersze Ezry Pounda, Księcia Machiavellego, Satanstoe Jamesa Fenimore’a Coopera. I to tam ją zobaczyłem. Zobaczyłem pierwszy raz. I choć nie było nic niezwykłego w jej figurze czy rysach twarzy, nic, co można by uznać za wyjątkowe; choć jej oczy nie były ani szmaragdowozielone ani szafirowo-niebieskie, ani głęboko czarne, ale ciepłe, koloru mahoni, skrupulatnie szlifowanego, dopóki powierzchnia nie była tak gładka jak masło; choć jej twarz wydawała się znajoma jak twarz kogoś bliskiego, ale dawno niewidzianego, jakby jej widok nie tylko wywoływał uczucie sympatii, ale też ducha nostalgii... Mimo że nie można było w niej znaleźć nic takiego, wokół siebie roztaczała magię. Z perspektywy czasu myślę, że poczucie, iż ta kobieta nikogo nie potrzebuje, sprawiło, że wydała mi się niewiarygodnie wręcz atrakcyjna.

Zobaczyłem ją w bibliotece. Również niosła stertę książek i wierzyłem, że to jakaś ponadnaturalna selekcja wybrała ten czas, ten dzień i ten moment, by nas ze sobą połączyć.

Słowa, zazwyczaj moja silna strona, tym razem mnie zawiodły. Pierwszego dnia nie potrafiłem powiedzieć nic, co miałoby znaczenie. Po prostu uśmiechnąłem się, mając nadzieję, że mi odpowie uśmiechem. Nie zrobiła tego. Poczulem, że serce mi pęka jak zielona gałązka.

Wracalem do biblioteki codziennie przez prawie cały tydzień i po południu w piątek znów ją zobaczyłem. Wyszła zza półek z egzemplarzem Ulicy Nadbrzeżnej w ręce.

Pamiętałem to zdanie, pierwsze zdanie, zdanie, które wbiło mi się w pamięć po mojej rozmowie z Pauliem. Uśmiechnąłem się, odchrząknąłem i zagaiłem.

- Ulica Nadbrzeżna w Monterey, stan Kalifornia, to poemat...

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Wyglądała na zakłopotaną.

-...smród, ogłuszający hałas, feeria świateł, pieśń, mania, nostalgia, sen.

Pokręciła głową.

- Słucham?

- Pierwsze zdanie - powiedziałem z dumą, choć czułem się jak głupek. - Pierwsze zdanie Ulicy Nadbrzeżnej... książki, którą wypożyczyłaś.

Uniosła brwi i spojrzała na cienki tomik w ręce.

- Naprawdę? - zapytała. - Nie wiem... Jeszcze jej nie czytałam.

- Ja przeczytałem.

- Na to wygląda. - Opuściła rękę, żeby schować książkę, a potem spróbowała przejść obok mnie.

- Przepraszam - powiedziałem. Zrobiłem krok do tyłu, próbując jej nie onieśmielać, próbowałem się uśmiechnąć szczerym uśmiechem, ciepło i serdecznie, ale mięśnie mi stężały. Wyobrażałem sobie, że musi myśleć, iż jestem stuknięty.

- Nie chciałem ci przeszkadzać - kontynuowałem. - Po prostu kiedy człowiek spotyka kogoś z książką, którą uwielbia, to zaczyna myśleć... - Poczułem ścisk w gardle. Nie wiedziałem już, co chciałem powiedzieć.

- Co zaczyna myśleć? - zapytała.

- Nie wiem - odparłem. Moje zawstydzenie urosło do rozmiarów załamania nerwowego. - Naprawdę, przepraszam... Chciałem zagadać, kiedy byłaś tu ostatnio. Pojdę już sobie. Tylko głupka z siebie robię.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Dobrze - powiedziała łagodnie. Zrobiła krok w lewo, jakby chciała mnie wyminąć.

Wiedziałem, że jeśli pozwolę jej odejść, to najprawdopodobniej już nigdy jej nie zobaczę. Tak właśnie działały Parki.

- Przychodzę tutaj dość często - powiedziałem. - Niedawno się tu przeprowadziłem... Nie znam nikogo... Zastanawiałem się...

Spojrzała na mnie nieufnie. Wydawała się zirytowana.

Podniosłem rękę i cofnąłem się.

- To nie poszło tak, jak chciałem - westchnąłem.

- A co chciałeś? - zapytała.

- Nie wiem... Chciałem się przedstawić. Przywitać. Znaleźć pretekst, żeby z tobą porozmawiać.

- A o czym chciałeś porozmawiać?

Wzruszyłem ramionami.

- O czymkolwiek. O książkach. O tym, kim jesteś. Skąd pochodzisz. Czy moglibyśmy... Sam nie wiem... Czy moglibyśmy się lepiej poznać. Pomyślałem, że możemy mieć ze sobą coś wspólnego... choćby gusta literackie. Moglibyśmy odkryć, że coś nas łączy, i mogłabyś zostać moją pierwszą przyjaciółką z Brooklynu.

Uśmiechnęła się.

- Jak się nazywasz?

- Vaughan - powiedziałem. - Joseph Vaughan.

- Cóż, Josephie Vaughanie, bardzo miło było cię poznać, ale naprawdę się spieszę. Muszę teraz wracać do domu, więc jeśli pozwolisz... - Raz jeszcze spróbowała mnie wyminąć.

- Może mógłbym znowu cię zobaczyć? - zapytałem. Dotarłem do punktu, z którego nie było już odwrotu. Nie miałem nic do stracenia. Moja godność, mój szacunek do samego siebie, nic z tych rzeczy się nie liczyło.

- Mógłbyś - powiedziała. - Ja też mogłabym cię zobaczyć. Co nie znaczy wcale, że chciałam się z tobą zobaczyć. To tak jak dzisiaj... To, że jesteśmy w tej samej bibliotece, w tym samym czasie, oznacza tylko tyle, że oboje przyszliśmy wypożyczyć książki. Zbiego okoliczności, prawda?

Nie wspomniałem, że przychodziłem codziennie w nadziei, że tam będzie.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności - oświadczyłem.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Zdaje się, że nie wierzysz również w to, że ktoś może nie mieć czasu na pogaduszki z nieznajomymi.

To już koniec. Ta dziewczyna zdruzgotała mnie doszczętnie.

- Przepraszam - powiedziałem z zażenowaniem. - Naprawdę przykro mi, że ci przeszkodziłem. Nie chciałem wyjść na...

- Na nikogo nie wyszedłeś, Josephie Vaughanie, i miło było cię poznać, ale naprawdę muszę już iść. Mam do załatwienia parę spraw.

Tym razem zrobiła krok w moim kierunku z większą determinacją i nie pozostawało mi nic innego, tylko odsunąć się na bok.

- Do zobaczenia - powiedziałem.

- Być może - odparła i zniknęła za regałem z książkami.

Serce waliło mi jak młotem i nie mogłem opanować drżenia rąk. Stałem tak kilka minut i próbowałem zmusić się do zrobienia czegoś. Czegokolwiek.

Odłożyłem książki, które wybrałem, na najbliższą półkę, a potem wybiegłem z biblioteki na ulicę. Pół przecznicy dalej znalazłem kwiaciarza, rzuciłem mu dolara i chwyciłem najbliższy bukiet. Wołał za mną coś o reszcie, ale ja już biegłem z powrotem do biblioteki.

Byłem tam, kiedy wyszła z budynku i zaczęła schodzić po schodach.

Stałem w miejscu, nie oddychając, z czerwoną twarzą, bukiet kwiatów trzymałem przed sobą jak tarczę chroniącą przed odrzuceniem.

Zobaczyła mnie i przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, a potem się uśmiechnęła i w końcu zaczęła się śmiać.

- Ale z ciebie głupek - westchnęła, wypowiadając na głos to, co sam o sobie myślałem. - Co ty wyprawiasz?

- Przyniosłem ci kwiaty - powiedziałem, stwierdzając oczywistość.

- Po co?

- Jako wyraz przeprosin za to, że cię zdenerwowałem.

- Nie zdenerwowałeś mnie. - Doszła do końca schodów i stanęła na chodniku.

- Posłuchaj - powiedziałem, czując, że irytacja zaczyna górować nad nieśmiałością. - Naprawdę nie wiem, co mam w sobie takiego, że cię to odrzuca. Przepraszam, że wyglądam tak, jak wyglądam. Przepraszam, że cię zatrzymuję, kiedy masz lepsze rzeczy do roboty, ale myślę sobie, że jeśli nie rozmawia się z ludźmi, jeśli nie zacznie się konwersacji z kimś, kto ci się podoba, to potem żałuje się tego do końca życia i żyje w samotności. Widziałem cię już wcześniej. Wyglądałaś jak ktoś, z kim miło by było porozmawiać. Przychodziłem tu codziennie, mając nadzieję, że znowu cię spotkam...

- Co takiego?

Uświadomiłem sobie, że strzelam gafę za gafą.

- Przyszedłem tutaj wczoraj i przedwczoraj... Przychodziłem, bo chciałem cię znowu zobaczyć i do ciebie zagadać. Nieważne, że powiedziałem zupełnie nie to, co trzeba. Prawda jest taka, że cokolwiek się teraz wydarzy, nie będę sobie pluł w brodę, że nie odezwałem się do ciebie.

- A co twoim zdaniem powinno się wydarzyć? - Miała zadziorny wyraz twarzy. Sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

- Ja... no... ten... pomyślałem, że moglibyśmy iść na oranżadę, kawę czy coś. Pomyślałem, że może powiesz, jak się nazywasz... Przynajmniej tyle.

Uśmiechnęła się. Wydawało się, że nieco się odprężyła i postanowiła się odsłonić.

- Jak się nazywam? Oczywiście mogę powiedzieć, jak się nazywam.

Czekałem.

- Bridget - powiedziała. - Nazywam się Bridget McCormack.

- Miło cię poznać, Bridget McCormack.

Skinęła głową.

- I wzajemnie, Josephie Vaughanie.

- Czy chciałabyś iść na oranżadę...

- Lub kawę?

- Tak... na kawę.

- Za to,- że mnie zdenerwowałeś, dostajesz zero punktów. Za przeprosiny - pięć na dziesięć. Za kwiaty? - Pokręciła głową. - To nie było konieczne.

Schowałem kwiaty za plecami.

- Ale przyjmę je, żebyś nie myślał, że zmarnowałeś pieniądze.

Wręczyłem jej bukiet.

- Za wytrwałość otrzymujesz dziesięć na dziesięć. No dobrze, pójdę z tobą na kawę... ale nie dzisiaj. Dzisiaj się spieszę, a przez ciebie jestem już bardzo spóźniona, więc jeśli pozwolisz...

- To kiedy?

- Co kiedy?

- Kiedy mogę cię zabrać na kawę?

- W poniedziałek - powiedziała Bridget McCormack. - Możemy się tu spotkać w południe, w poniedziałek, dobrze?

- Dobrze - odparłem i uśmiechnąłem się szeroko.

- Choć to niekoniecznie oznacza, że faktycznie coś nas łączy lub że w ogóle się polubimy.

Skinąłem głową.

- Rozumiem, ale możemy spróbować.

- Możemy - przyznała. - To akurat możemy.

- Dobrze, więc do poniedziałku. Do zobaczenia, panno McCormack.

Roześmiała się, mijając mnie.

- Naprawdę straszny z ciebie głuptas, Josephie Vaughanie.

Moje serce odżyło. Nic nie powiedziałem. Stałem na chodniku i patrzyłem, jak idzie ulicą, a potem znika za rogiem. Nie odwróciła się i byłem jej za to wdzięczny; stałem tam z

rękami w kieszeniach i z uśmiechem na twarzy tak szerokim, jak długa jest Mississippi.

Bridget McCormack nie była Alexandrą Webber. Była równie inteligentna i czytana, ale było w niej coś wyjątkowego, co sprawiało, że nie przypominała mi Alex. Nie wyglądała jak ona. Miała inny głos, a kiedy się śmiała, wydawała się pewna siebie i opanowana. Nikt nie mógł zastąpić Alex, nikt nie mógł zająć jej miejsca w moim sercu, ale Bridget jakoś się udało sprawić, że cieszyłem się życiem. Doświadczałem emocji, których nie odczuwałem od wielu lat, i dzięki temu uświadomiłem sobie, jak bardzo mi ich brakowało. Bridget miała dwadzieścia jeden lat, jej rodzice byli Amerykanami irlandzkiego pochodzenia, była niepraktykującą katoliczką, studentką wydziału humanistycznego Brooklyn University i chciała pisać poezje i eseje, listy i artykuły do eklektycznych czasopism, studiować sztukę, żyć pełnią życia, być sobą.

Spotkaliśmy się w poniedziałek. Przeszliśmy trzy przecznice i weszliśmy do kawiarni. Siedzieliśmy tam ponad dwie godziny. Pozwoliła mi mówić o sobie, o tym, dlaczego jestem na Brooklynie, o tym, jak mi idzie praca.

- Opowiedz mi o tej książce - powiedziała i zrobiłem to, otwierając się przed nią całkowicie, co wydawało się dziwne, zważywszy na fakt, że to było nasze pierwsze spotkanie.

- Naprawdę się do tego zapaliłeś, prawda? - zapytała, kiedy skończyłem.

- Przepraszam - odparłem. - Kiedy zacznę, nie mogę przestać.

Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

- Nie przepraszaj - powiedziała. - Przepraszać powinno się za coś złego, co się zrobiło, a nie za to, w co się wierzy. Następnym razem przynieś jakieś fragmenty, dobrze? Chciałabym przeczytać, co napisałeś.

Obiecałem, że to zrobię. Gotów byłem obiecać wszystko, byle tylko spotkać się z nią jeszcze raz. Myśli o niej były mi niezbędne jak powietrze.

W kolejnych miesiącach spotykaliśmy się dwa, trzy razy w tygodniu. Chodziliśmy do kina, jedliśmy w restauracjach na obrzeżach BedfordStuyvesant, spacerowaliśmy po Tompkins Park, aż ręce nam zmarzły i mieliśmy sine nosy. Za każdym razem dowiadywaliśmy się czegoś nowego o sobie, a ona zachęcała mnie do pracy nad Powrotem do domu w taki sam sposób, jak robiłaby to Alex.

Zbliżały się święta i doszliśmy do wniosku, że lepiej nam razem niż oddzielnie. W Wigilię, tydzień od czasu, gdy napisałem ostatnie zdania mojej książki, Bridget McCormack przysłała do pensjonatu na rogu Throop i Quincy i ostatecznie skradła mi serce.

Miłość - doszedłem później do wniosku - dla każdego oznacza coś innego. Miłość łamie i leczy serca. Miłość jest wiarą, obietnicą teraźniejszości, która staje się nadzieją na

przyszłość. Miłość jest rytmem, rezonansem, pogłosem. Miłość jest niezgrabna i głupia, agresywna i prosta, i ma tak wiele nieokreślonych cech, że nigdy nie można jej wyrazić słowami. Miłość to życie. Grawitacja nieustannie ściągała mnie w dół, ale pokonywałem ją, wznosząc się do czegoś, co stało się dla mnie wszystkim.

Kochałem Bridget McCormack i tej nocy - w poniedziałek, 24 grudnia 1951 roku - ona odwzajemniła tę miłość.

Przez chwilę wydawało mi się, że duch Alexandry Webber unosił się między nami, ale potem wyczułem, że odeszła. Odeszła po cichu, nieomal niezauważalnie i zabrała ze sobą pamięć o dziecku, które nigdy się nie narodziło. Przeszłość była jak oko i czasami znajdowałem się przed nią, czasem za nią, ale zawsze była... otwierała się, zamykała, a potem znowu otwierała.



## XXV

Brooklyn stał się moim nowym światem. Było tutaj wszystko. Rzeczy, które pamiętałem z dnia swojego przyjazdu: wieżowce, nadzieja, tłumy ludzi, samochody stojące zderzak przy zderzaku, zmieniające się światła, kierowcy opierający się na klaksonach, mijający czas, mijający mnie ludzie, z przeszłości, przez teraźniejszość, do tradycyjnie świetlanej przyszłości. Tutaj był mój Nowy Jork, serce Ameryki Północnej, jego ulice jak żyły, bulwary jak tętnice, aleje jak przekazujące impulsy synapsy, kierujące, sięgające; milion głosów, ludzie tak bliscy jak rodzina, ale widzący tylko siebie.

Tutaj - jak sobie wyobrażałem - było miejsce, gdzie mogłem być kimś. Nowy Jork we mnie uderzał. Moje serce oddawało te uderzenia. W tym mieście jak zaciśnięta pięść ja też byłem zaciśniętą pięścią. W schronie ludzkości, w końcu, nieodwołalnie, stałem się takim człowiekiem, jakim chciałem być.

I była tu również ona. Bridget McCormack. Wierzyła we mnie, a ja odwzajemniałem tę wiarę.

To wtedy uwierzyłem, że w końcu pogrzebałem ducha Georgii. Pomimo moich wyrzutów sumienia, pomimo wspomnień o matce i tego, co się wydarzyło w Augusta Falls, wierzyłem, że w końcu odszedłem jako wolny człowiek. Czuję, że nie była to ucieczka, lecz raczej ulaskawienie. Poniosłem karę; sprawiedliwości stało się zadość; egzekucja została wstrzymana.

Wydawało się, że tak jest dobrze. Sprawiedliwie. Tak, jak powinno być.

Poznałem rodziców Bridget. Jej ojciec był Irlandczykiem, zagorzałym katolikiem o twarzy ugotowanego jajka zrzuconego z dużej wysokości, które zachowało pewien zarys kształtu mimo pęknięć i szczelin. Miał paznokcie obgryzione do krwi, palce wyglądające na obdarte do żywego mięsa i nienadające się do chwycenia czegokolwiek mniejszego od buta. Zęby krzywe i przypominające słupki falochronu, które zżarła słona woda. A kiedy mówił, wydawał chropowate dźwięki; miał ucho do wyszukanych słów: tendencja, kulminacja, nagłący. Każde wyrażenie rozważne, dokładnie zważone i ocenione jak blef lub sprawdzenie przy puli o wartości tysiąca dolarów. Włosy wypomadowane i zaczesane, mogłyby służyć dzieciakom jako ślizgawka; zjeżdżałyby na sankach od czubka głowy do czoła. Śmiałyby się w trakcie, przerażone, ale zarazem podekscytowane. Jej matka była drobna i niska. Uczestniczyła w konwersacji w nader ograniczonej formie, a jej słowa były jak wycięte z czasopism. Okłamaliśmy ich, powiedzieliśmy, że jestem katolikiem. Śmialiśmy się z tego za ich plecami. Przywdzialiśmy maski dla świata, a świat zaakceptował je bez zastrzeżeń.

Pierwszy raz od śmierci Alex byłem naprawdę szczęśliwy. Hennessy stał cicho z boku, jak zawsze cierpliwy i jak zawsze ze słowami zachęty. Nie kwestionował ani nie zazdrościł mi tego, co miałem. Okazał się prawdziwym, lojalnym przyjacielem.

Na początku roku 1952, kiedy myślałem, że lepiej już być nie może, Bridget odwiedziła mnie w pensjonacie.

- Będziesz na mnie zły - powiedziała, kiedy otworzyłem.

- Zły? Czemu miałbym być na ciebie zły?

Stała w korytarzu ze spuszczoną głową.

- Zrobiłam coś, Josephie... Zrobiłam coś bez twojej wiedzy... Zrobiłam coś i myślę, że możesz się na mnie wściec. Odkładałam przyjście tutaj cały dzień...

- Co takiego? - zapytałem. - Co się stało?

Pokręciła głową. Znowu opuściła wzrok. Uniosła z powrotem. Miała zmieszaną minę. Wyglądała jak płochliwe zwierzątko. Przeszępowwała z nogi na nogę: lewa, prawa, prawa, lewa.

- Na miłość boską, Bridget, co się stało?

- Najpierw obiecaj - powiedziała. Zrugane dziecko. Mała zagubiona dziewczynka.

- Co mam obiecać?

- Ze się nie wściekniesz.

Sapnąłem ze zniecierpliwieniem. Rozłożyłem szeroko ręce. Spójrz, mówiłem bez słów. Nic tu nie ma. Nic a nic.

- Wysłałam komuś twoją książkę - powiedziała niepewnie, niemal szeptem.

Zmarszczyłem brwi.

- Moją książkę? Jak to wysłałaś ją komuś?

- Wysłałam ją komuś... do pewnej firmy na Manhattanie.

- Do jakiej firmy na Manhattanie?

- Do wydawnictwa, Josephie, o jakiej innej firmie myślałaś? Opuściłem ręce.

Bridget włożyła rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnęła list.

- Odpisali mi - powiedziała. - Proszę. - I podała mi list. Wziąłem go od niej i wyciągnąłem z koperty pojedynczą kartkę. Morrisom, Brennan & Young - głosił nagłówek napisany kursywą.

Szanowna Panno McCormack, zazwyczaj nie odpisujemy nikomu oprócz autorów przesłanych rękopisów, jednak nie jesteśmy z oczywistych względów w stanie skontaktować się z Panem Josephem Vaughanem bezpośrednio, dlatego odpisujemy Pani.

Musimy przyznać, że przeczytaliśmy nadesłany rękopis z dużym zainteresowaniem.

Po stosownym namyśle wydawnictwo Morrisom, Brennan & Young chciałoby omówić możliwość wydania Powrotu do domu. Prosilibyśmy o przekazanie naszego adresu autorowi i poproszenie go o pojawienie się w siedzibie naszego wydawnictwa tak szybko, jak to możliwe.

Łącząc wyrazy podziękowania za przesłanie rękopisu, mamy nadzieję, że spotkamy się z Panem Vaughanem, by omówić jego dzieło.

Z poważaniem

Arthur J. Morrisom dyrektor do spraw wydawniczych

Przeczytałem ten list dwa razy. Zacząłem się uśmiechać. Nie mogłem się powstrzymać.

- Nie jesteś wściekły? - zapytała Bridget.

Zacząłem się śmiać. Wydawało mi się, że śmieję się przez tydzień. Śmiałem się całą drogę na Manhattan, którą przemierzałem 24 stycznia.

I Manhattan tam był. Manhattan, po drugiej stronie rzeki. Manhattan - dzielnica, która mogłaby zgnieść Brooklyn w zaciśniętej pięści.

Róg Zachodniej Jedenastej i Szóstej. To tutaj, w cieniu biblioteki Jefferson Market, wraz z Bridget McCormack usiedliśmy w skórzanych fotelach z wysokimi oparciami w gabinecie dyrektora do spraw wydawniczych Arthura Morrisona.

Krzepki i obcesowy, twarz okrągła i duża, wyglądająca jak oblicze wiatru; cherubin z zasznurowanymi ustami, którego rysunki towarzyszyły starym mapom, południowozachodni wichur, który wieje wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Strzeżcie się, marynarze. Skały wystają z piany, a fala jest jak uścisk Neptuna.

W zachowaniu przypominał jednak dobrego wujka; czarujący ton, szczodry w obsypywaniu komplementami mojej prozy.

- Niewymuszona - stwierdził. - Prosta, szczerza, bezpretensjonalna, a jednak złożona i głęboka. Świetna książka, panie Vaughan, bardzo dobra książka.

Podziękowałem mu.

- I na dodatek jest pan jeszcze taki młody - powiedział Arthur Morrison, a jego twarz zaczęła się śmiać, zanim z ust wydobył się dźwięk. A kiedy już się wydobył, był jak odgłos pociągu wyjeżdżającego z tunelu, coraz głośniejszy w miarę zbliżania się do słuchacza. Potem wstał zza ogromnego biurka i podszedł do kominka. Stał tam przez chwilę z ramieniem opartym na półeczce i kiwał głową jak nakręcana zabawka. Jego ruchy były metronomiczne, nieomal hipnotyzujące. Wydawało się, że bawi myślami gdzie indziej, że na chwilę się zgubił, a potem bez wysiłku powrócił.

- Trudno uwierzyć, że ktoś tak młody mógł napisać dzieło o tak dużej emocjonalnej głębi.

Mówił jeszcze chwilę w podobnym tonie, a potem przeszedł do narzekania na koszty i konkurencję. Wypowiedział kilka zdań, które wszyscy wydawcy zdawali się znać na pamięć, dotyczących trudnej natury branży wydawniczej, po czym z wprawą przeszedł do uzgadniania szczegółów mojej umowy.

Powiedziałem, że tak, podpiszę ją, i że tak, 350 dolarów zaliczki jest jak najbardziej do zaakceptowania. Arthur Morrison uśmiechnął się jak różowy cherubin, którym zresztą był, podaliśmy sobie dłonie przed kominkiem, a potem ja i Bridget pocałowaliśmy się.

- Mówiłem, że tak będzie, sto razy ci to powtarzałem, i powtarzałbym to dalej, gdybyś tylko sprawiał wrażenie, że słuchasz - oznajmił Hennessy.

Następny dzień. Manhattan był niewyraźnym, lecz przyjemnym wspomnieniem. Siedzieliśmy w barze przy Van Buren Street - Hennessy, ja i Bridget - piliśmy piwo i długo gadaliśmy o błahostkach.

- Ona też w ciebie uwierzyła - dodał i uniósł kieliszek, patrząc na moją ukochaną. Bridget rozpromieniła się, ja też i wydawało się, że świat jest wreszcie taki, jaki powinien być.

Wrzawa ludzi, twarze na ulicy zaglądające do baru, zazdrosne, choć nie wiedziały, czego właściwie powinny zazdrościć, dym, gwar, alkohol i myśl, że za mniej niż pół roku pójdę do tej samej biblioteki, w której poznałem Bridget McCormack, i wypożyczę książkę Powrót do domu autorstwa Josepha Vaughana. Paul i Bridget byli najważniejszymi ludźmi na świecie. Małym świecie, ale jednak świecie, i choć raz wydawało się, że był to świat, który sam stworzyłem, który zbudowałem w pocie czoła, siłą swoich rąk i serca.

Tym razem to trwało. Tym razem nie było białych piór przy wejściu, niesionych przez wiatr od parapetu do podłogi. Tym razem wydawało się, że decyzje zostały podjęte na poważnie i że świat odpowiedział z podobną stanowczością. Mieli wydać moją książkę. Poprzez redakcję, drugą redakcję, korektę, w czasie jednostronnych dyskusji dotyczących okładki i czcionki, zdołałem zachować poczucie godności i rezerwę. Udawałem, że jestem poważny, że za moją powierzchownością kryje się kulturalny, zrównoważony człowiek, podczas gdy tak naprawdę czułem się jak siedmiolatek dzień przed Gwiazdką.

Wiosna 1952 roku to był pęd kolorów i inspiracji. Koło Pisarzy stało się moim drugim domem. Zdarzało się, że zabierałem grupkę znajomych do pensjonatu Aggie Boyle. Aggie była w swoim żywiole, podobnie jak Joyce Spragg, bo dom tętnił życiem i był pełen młodych ludzi, którzy napełniali wszystko miłością i beztróską.

- Jesteś nowym Scottem Fitzgeraldem! - zawołała do mnie pewnego dnia Joyce ze schodów, a potem chwycił ją od tyłu jakiś nabuzowany hormonami casanova. Był śmiech. Było picie. Była magia.

Pod koniec maja poznałem Bena Godfreya.

- Mieszkam na północ od Jackson Heights - powiedział - i należę do trzeciego pokolenia Żydów, którzy żyją niedaleko Mount Zion i New Calvary Cemeteries. - Roześmiał się, a gdy się śmiał, śmiało się całe jego ciało. - Bardzo literackie towarzystwo, docenia smutną szlachetność i surowe spektakle śmierci. Wszyscy chcą być Shelleyem i Byronem, ale nie mogą, bo są Żydami. - Znowu się roześmiał dudniącym głosem, nieco irytującym jak pusta butelka tocząca się po podłodze autobusu.

- Ale i tak ich wszystkich mamy. Rosz Haszana. Jom Kipur. Sukot. Chanuka. Purim. Pesach. Szawuot. - Roześmiał się znowu, a dźwięk dudnił i dudnił.

Hennessy był w pogotowiu. Zrobił zeza, otworzył usta i zrobił minę jak szaleniec.

- Jesteś pisarzem? - zapytałem Godfreya.

- A jestem, jestem - przyznał. - Właśnie teraz moje dziełko jest w drukarni. Nowela, jakieś 40-50 tysięcy słów. Jest tu coś do picia i coś do jedzenia oprócz cholernej macy?

Podał mi - Benowi Godfreyowi kieliszek i butelkę calverta. Wziął obie te rzeczy w jedną rękę i poklepał mnie po ramieniu. Spodobał mi się. Wypełniał pokój czymś więcej niż tylko swoim wzrostem i tuszą. Miał w sobie surowy urok, a po jego ubraniu znać było, że nie brakuje mu pieniędzy.

- A ty? Rozumiem, że jesteś tu gospodarzem?

Pokręciłem głową. Wyciągnąłem rękę do Bridget. Podeszła.

Godfrey zapalił się jak lampka.

- Proszę, proszę - powiedział. - A ty kim jesteś, młoda damo?

Dziewczyna zaczęła się z niego śmiać. Godfrey chyba myślał, że śmieje się z nim.

- Bridget - przedstawiła się.

- Witaj, Bridget - wyszeptał uwodzicielsko. Zbliżył się do niej i otaksował ją wzrokiem.

- Witaj - odparła i chwyciła mnie za rękę, po czym mocno przytuliła. Komunikat był wyraźny.

- Co my tu mamy? Chyba spotkanie podobnie myślących literatów alkoholików - powiedział Godfrey. - Wydaje mi się, że to znakomita sceneria dla ludzi o tak podejrzanej profesji jak nasza, prawda?

I Ben Godfrey stał się tego dnia jednym z nas. (a i Bridget, Paul Hennessy i Benjamin

Godfrey, z trzeciego pokolenia Żydów z północy Jackson Heights. Miał 27 lat, był trzy lata starszy ode mnie i od razu wkradł się w łaski Aggie Boyle i Joyce Spragg. Przynosił nawet herbatę i kosze świeżych owoców Letitii Brock, starszej lokatorce mieszkającej na końcu korytarza na pierwszym piętrze. Godfrey znał się na literaturze i kiedy przejrzało się jego niefrasobliwą i wesołą fasadę, kiedy już wydobyło się na powierzchnię prawdziwego człowieka, okazywał się świetnym towarzyszem, bardzo szczodrym.

Kiedy wyszła jego książka, pojechaliśmy autobusem na Manhattan i kupiliśmy sobie po egzemplarzu. To była cienka książeczka zatytułowana Zimowe dni i spodobał mi się jej język, zwięzłość i lapidarność stylu. Wydawało mi się, że znalazłem pokrewną duszę i snuliśmy plany, że zostaniemy przedstawicielami nowego ducha czasu, młodą krwią, śmiałyimi talentami nowej epoki literackiej.

Mój romans z Bridget przybrał na sile. Kochałem ją, a ona kochała mnie. Podczas gdy kiedyś moje nerwy były tak mocno napięte, że aż dzwoniły obietnicą pęknięcia, a moje serce było jak wygasłe palenisko - nic oprócz popiołu i wypalonych węgielków, pozostałości po wcześniejszym gorącym płomieniu - podczas gdy kiedyś uważałem siebie za pustego, niezdolnego do namiętności, teraz zrozumiałem, że naprawdę wyzdrowiałem i że Georgia pozostała jedynie pełnym nostalgii wspomnieniem, rzadko rozważanym, z wdzięcznością zapomnianym.

W Bridget żyła pamięć o Alexandrze Webber, ale żyła bezboleśnie, bez żalu, bez tęsknoty.

Daliśmy się ponieść wysokiej fali euforii i kiedy przyszedł czerwiec i stanęliśmy ramię przy ramieniu pomiędzy wąskimi półkami księgarni Langton Brothers przy Monroe Street, kiedy wzięliśmy egzemplarz Powrotu do domu i zapłaciliśmy w kasie, wydawało się, że moja przeszłość należała do zupełnie innej osoby.

- Początek reszty naszego życia - powiedziała Bridget, kiedy wyszliśmy ze sklepu. Obejmowałem ją ramieniem, a słońce zaczęło ogrzewać nasze twarze, ledwo opuściliśmy cień markizy.

Paul Hennessy i Ben Godfrey byli u Aggie Boyle. Przygotowali duży wybór wędlin i serów, sucharki i wino. Świętowaliśmy ten dzień, tę chwilę, obietnicę świetlanej przyszłości.

Tej nocy Bridget i ja kochaliśmy się i czułem, że pochłanialiśmy małe części siebie nawzajem. Staliśmy się jednym. Bridget McCormack i Joseph Vaughan - wierzyliśmy, że tak zostanie już na zawsze.

I to tej nocy zobaczyłem pióro. Stałem nago przy oknie, a zimny wietrzyk chłodził moją skórę. Bridget spała w łóżku za mną. I wtedy je zobaczyłem. Patrzyłem, jak ozdabia

powietrze arabeskami i łukami, zbliżając się do mnie, aż wreszcie opadło na parapet i znalazło się w zasięgu mojej ręki.

Nie podniosłem go. Poczułem, że strach ściska mi gardło. Poczułem, że cień z przeszłości wchodzi przez otwarte okno i mnie ogarnia.

Zamknąłem oczy, umysł, serce. Pragnąłem, żeby zniknęło. Kiedy spojrzałem ponownie, wciąż tam było, ale tylko przez ułamek sekundy, bo gdy tylko westchnąłem w oczekiwaniu, zniknęło w ciemności.

Cofnąć czas.

Gdybym miał szansę cofnąć czas, zrobiłbym to nawet teraz.

Krok po kroku, powoli wróciłbym po swoich śladach i moje decyzje byłyby inne. Wybaczyłbym matce jej grzechy, Guntherowi niewierność; trzymałbym Bridget blisko siebie, tak blisko jak własny cień i nigdy nie spuściłbym jej z oka. Byłbym tam ze Strażnikami i zobaczylibyśmy zabójcę dzieci, i szeryf Dearing biegłby z nami, aż przewróciłby się ze zmęczenia, i wszystko by się skończyło, tak jak skończyło się teraz, ale inaczej.

A przede wszystkim nie składałbym obietnic, których nie mogłem spełnić.

Perspektywa czasu jest spostrzegawcza, czasami okrutna, czasami bardziej szczerą, niż można znieść. Wszystko jest łatwe z perspektywy czasu i gdybym wiedział, gdybym dojrzał ułamek prawdy, uciekałbym z Nowego Jorku, uciekał, gdzie pieprz rośnie, z Bridget u boku, i nigdy bym się za siebie nie obejrzał.

Ale nie wiedziałem i nie miałem się dowiedzieć przez wiele lat.

Te lata rozwijają się teraz za mną. Są jak słupy milowe wyznaczające drogę, którą przeszedłem, każdy krok - odważny czy strachliwy, uczciwy czy zwodniczy - wyrażające każdy aspekt człowieka, jakim się stałem.

Jestem, kim jestem. A to, kim jestem, nigdy nie będzie bardziej ważne niż to, co zrobiłem.

Wszystko zatoczyło koło, zabierając mnie ze sobą. Krew na moich rękach wyschła.

Stałem się tym, czego najbardziej się bałem, i to mnie najbardziej przeraża.

## XXVI

Jesień nadeszła szybko. Miesiące, które ją poprzedzały, wydawały się zamazane i niewyraźne. Później, dużo później myślałem o tygodniach, które rozdzielały czerwiec i listopad - wydawało mi się, że były mało konkretne, jakby nigdy się nie zdarzyły. Wśród tych wspomnień był Paul, a także Ben Godfrey - cały czas się śmiejący, przekomarzający z Bridget, nieukrywający, że też ją kocha. Bridget radziła sobie z nim w rzeczowy i dyplomatyczny sposób, zawsze przypominając mu, że jest jego przyjaciółką, ale nikim więcej. Przez jakiś czas Ben przywoził ze sobą cichą dziewczynę Ruth Steinberg, niemiecką Żydówkę, którą rodzina odesłała z Monachium, gdy tylko narodowy socjalizm zacisnął pięść na narodzie. Jej rodzice, dziadkowie, brat - zginęli i Ruth mieszkała ze swoją ciotką ze strony matki, zgorzkniałą kobietą, która wypełniała obowiązki opiekunki nie tylko z poczucia lojalności wobec rodziny. Lubiłem Ruth, ale nie pasowała do Bena. Rozstali się pod koniec sierpnia i raz jeszcze Ben stał się piątym kołem u wozu.

Przyszła połowa listopada. Planowaliśmy wspaniałe Święto Dziękczynienia u Aggie Boyle. W czwartek dwudziestego pojechałem na Manhattan na spotkanie z Arthurem Morrisonem. Powrót do domu osiągnął skromną liczbę 1100 sprzedanych egzemplarzy w ciągu pięciu miesięcy, ale Morrison się nie zrażał. Chciał, żebym napisał drugą powieść, coś o „duchu i namiętności”.

Bridget nie pojechała ze mną, bo musiała zająć się jakimiś sprawami rodzinnymi. Nie zdążyłem na autobus, a następny odjeżdżał dwie godziny później. Mogłem iść piechotą, ale postanowiłem zaczekać.

Przez jakiś czas łąziłem po księgarniach, a potem siedziałem na dworcu i przeczytałem wyrzuconą przez kogoś gazetę. Wreszcie poproszono, żeby wsiadać. Kiedy ruszyliśmy, wiedziałem, że spóźnię się prawie dwie godziny.

Morrison machnął ręką na moją niepunktualność. Był szczodry i wylewny jak zawsze.

- Sukces trzeba budować - powtarzał. - A na to trzeba czasu. Wydajemy pierwszą książkę, a potem kolejną. Sprawiamy, że ludzie zauważają autora. Nie poddajemy się, aż wreszcie nam się udaje.

Wróciłem wczesnym wieczorem. Wiatr był ostry. Pojechałem autobusem na stację niedaleko Throop i Quincy, a potem zatrzymałem się w barze, żeby się ogrzać, zanim pójde do domu. Zamówiłem filiżankę kawy, zamieniłem kilka słów z kelnerką, kobietą w średnim wieku z uśmiechem na twarzy, potem zaś przeszedłem trzy czy cztery przecznice do domu. Moje spotkanie z Morrisonem zainspirowało mnie do napisania kolejnej książki, do tego,



żeby wlać w nią moje serce i duszę, i chciałem porozmawiać z Bridget, licząc na jej zachęty, wsparcie, śmiałe pomysły.

Myśli wylewały się ze mnie. Mamrotałem do siebie przez dzwoniące zęby i uśmiechałem się na wspomnienie swojej głupoty. Byłem w środku cały pomięty, moje myśli kręciły się w kółko jak pościel motelowych kochanków. Zacząłem iść szybciej. Wiedziałem, że Bridget powinna być już w domu, czekać na wieści z Manhattanu dotyczące tego, dokąd nasze życie teraz będzie zmierzać.

Skręciłem za róg. Po trzydziestu metrach zobaczyłem nasz dom. Paliły się wszystkie światła, a jednak wszystko w tym budynku - okapy, drewniane schody, podwórko z ubitej ziemi pomiędzy chodnikiem a ścianą, wszystko wydawało się mówić, że się spóźniłem.

Zatrzymałem się zdziwiony.

Usłyszałem radio z okna za mną, ciepły głos piosenkarza śpiewał:

...i dla każdego złamanego serca była obietnica, a w każdej złamanej obietnicy było westchnienie, a z każdym westchnieniem przypomiinałem sobie twoją twarz, a z każdym wspomnieniem załamywałem się i płakałem...

Znowu ruszyłem, tym razem wolniej. Coś się stało. Przeczuwałem coś niedobrego.

I wtedy zobaczyłem samochód. Czarnobiały radiowóz. W środku mężczyzna. Policjant.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Puściłem się biegiem. Pomyślałem o Letitii Brock, jej uporczywych czkawkach, o tym, jak się zataczała, idąc, jak mocno trzymała się balustrady, schodząc po schodach. Serce mi na chwilę stanęło. Zacząłem biec sprintem, przebiegłem przez ulicę i pchnąłem furtkę. Policjant zareagował szybciej, niż się spodziewałem, wysiadł z samochodu, obszedł go i zagroził mi drzwiami.

- Stój, człowieku! - krzyknął. - Dokąd to?

- Do środka! - wydyszałem. Na moim czole pojawiły się kropelki potu.

- Możesz sobie pomarzyć, przyjacielu - powiedział. - Nikt nie może wejść do tego budynku bez pozwolenia.

- Ja tu mieszkam - odparłem i chciałem go wyminąć.

Chwycił mnie za nadgarstek, kiedy wyciągnąłem ramię. Jego chwyt był jak imadło, zatrzymał mnie na miejscu.

- Nazwisko? - zapytał.

- Vaughan - odrzekłem. - Joseph Vaughan.

Policjant otworzył szeroko oczy. Jego twarz sposepniała. Ścisnął mój nadgarstek jeszcze mocniej i przyciągnął mnie do siebie. Odchylił głowę na bok i krzyknął na cały głos:

- Sierzancie! Mam go! Sierzancie... Mam go tutaj!

Wydało mi się wtedy, że wszystko, czego budowanie zajęło wieki, rozpadło się w jednej chwili.

Dwadzieścia lat, żeby wybudować katedrę. Ładunek wybuchowy i po trzydziestu minutach nie pozostawało po niej nic poza kupą gruzu i garścią wspomnień.

Sierzant Frank Lansford. Twarz jak arkusz blachy, oczy jak kule. Usta były rozdarcie o nierównych brzegach w tkaninie jego rysów twarzy. Poruszał się niezdarne w swoim ubraniu, spodnie miał za długie, rękawy za krótkie, jakby jego ciało miało jakiś unikatowy kształt, nigdy niewidziany przez krawców. Nozdrza niezwykle duże, niewykluczone, że rozdęte od zapachu krwi. Uszy przy czaszce, niczym przyklejone za pomocą kleju. Siedział na krześle w kuchni Aggie Boyle. Krzesło przeznaczonym dla osób o standardowych kształtach. Człowiek, który szukał wygody i rzadko ją znajdował. Nie miał obrączki. Samotny. Mówiło to o dniach wypełnionych oficjalnymi i koniecznymi znajomościami, bez dzieci, przyjaciół, kochanek, humoru. Jak życie oglądane przez wklęsłe denko butelki: rozciągnięty pryzmat, który wykrzywił świat, żeby wyglądał prawidłowo. Można by pomyśleć, że taki mężczyzna powinien być na tyle mądry, żeby wybrać zawód, który wzbudza szacunek, podziw i tym podobne. Ktoś w końcu by go pokochał za to, co robił, przebaczył to, kim jest. Ale nie, został policjantem. Zły wybór. Przegrał, zanim miał szansę wygrać.

-...i przyjechał pan tutaj sam, bez rodziny, jak zeznał pański przyjaciel.

Ton głosu podejrzliwy. Wszystko dla niego było podejrzane. Oskarżał i podjudzał.

Pokręciłem głową.

- Ja nie...

Spojrzałem w górę. Nade mną znajdował się mój pokój. Chciałem tam iść. Zobaczyć ją.

- Nie ma tam nic do oglądania - powiedział Lansford. Powiedział to wcześniej. Kiedy wyszedł mi na spotkanie na schody. Wyszedł powoli, jakby wytaczał się z domu, i stał tam, patrząc na mnie przez chwilę.

- Jest pan kochankiem tej dziewczyny, tak? - To było jego pierwsze pytanie.

Otworzyłem szerzej oczy, zastanawiając się, co się stało, do diabła.

- Dziewczyny? - powtórzyłem. - Jakiej dziewczyny?

Lansford tylko się uśmiechnął.

- Nie udawaj pan głupka.

- Bridget? - zapytałem. - Co się tu dzieje?

- O niej mowa - przyznał Lansford. - Bridget McCormack... Jest pan jej kochankiem, tak?

Skinąłem głową. Poczulem ucisk w piersi. Pociłem się mimo chłodu. Serce waliło mi jak młotem, gotowe w każdej chwili eksplodować. Uchwyt na moim nadgarstku nie poluznił się ani odrobinę.

- Gdzie pan był przez cały dzień?

- Na Manhattanie - odrzekłem. - Byłem na Manhattanie, żeby się z kimś zobaczyć.

- Czyżby? - Lansford wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik i pióro. Napisał kilka słów.

- Co się tu dzieje? - zapytałem. - Dlaczego nie mogę wejść do środka?

Pokręciłem głową.

- Nikt tam nie ma wstępu, dopóki ja nie pozwolę mu wejść.

Tym razem napisał coś dłuższego.

- Gdzie jest Bridget?

Przestał pisać i spojrzał na mnie z góry.

- Nie wie pan?

Pokręciłem głową.

- Czego nie wiem? Nie rozumiem, co się tu dzieje. Miała tu być... Miała być przed moim powrotem.

- I może pan udowodnić, że był pan na Manhattanie, panie Vaughan?

- Udowodnić? Czemu miałbym coś udowadniać? Chcę wiedzieć, co się tu dzieje.

- Dostyc tego - powiedział przytrzymujący mnie policjant. - Ma pan przed sobą sierżanta Lansforda z wydziału policji na Brooklynie. Należy mu się trochę szacunku.

Wbiłem wzrok w ziemię. Nie mogłem oddychać.

- Proszę - wysapałem. - Proszę, niech ktoś z was mi powie, co się tu dzieje, do jasnej cholery. Gdzie jest Bridget? Czy coś jej się stało? Proszę... na miłość boską, powiedzcie mi!

- Rzeczywiście coś się stało - powiedział rzeczowo Lansford. - Stało się, i to niemało, panie Vaughan... Zdaje się, że ktoś był z nią na górze, w pana pokoju...

- Zgadza się, miała być w moim pokoju.

- I wciąż tam jest, panie Vaughan.

Odetchnąłem. Uczucie ulgi zalało mnie jak fala. O mało nie straciłem równowagi. Zacząłem się uśmiechać, śmiać.

- Dzięki Bogu! - powiedziałem. - Dzięki Bogu... Muszę iść się z nią zobaczyć... Proszę, czy mógłby mnie pan wpuścić do mojego domu, żebym mógł z nią porozmawiać?

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł Lansford.

- Niemożliwe... Dlaczego? Dlaczego to niemożliwe?

- Dlatego, że ona nie żyje. Panie Vaughan, pana dziewczyna leży w pańskim pokoju martwa. Zdaje się, że ktoś zrobił jej różne rzeczy... Bóg raczy wiedzieć jakie, ale wygląda na to, że ktoś zrobił jej złe rzeczy, a potem prawie przeciął ją na pół...

To wtedy wszystko się posypało.

Nie pamiętałem nic poza mocnym niczym imadło uściskiem policjanta, który próbował mnie utrzymać.

Kuchnia.

Przedemną filiżanka mocnej herbaty, posłodzonej kilkoma łyżeczkami cukru. Dłonie za bardzo mi się trzęsły, że bym ją uniósł, miałem mdłości od tego słodkiego zapachu. Próbowałem zapalić papierosa, ale nie mogłem. Lansford zapalił go za mnie i podał mi go. Zaciągnąłem się mocno i poczułem, że wraz z dymem ogarniają mnie mdłości.

Oczy czerwone od płaczu. Przez jakiś czas nie mogłem mówić, myśleć, niemal nie mogłem oddychać.

Białe pióra. To je widziałem. Małe, białe piórka. Na stole, wokół moich stóp, na suszarce do naczyń, wysypujące się z filiżanek.

Wszyscy tłoczyli się w salonie z tyłu, obok kuchni. Aggie Boyle, Letitia Brock, Emil Janecek i John Franklin. Paul też tam był. A także Ben Godfrey. Słyszałem jakieś pojedyncze słowa, małe znaki przestankowe pomiędzy chrapliwym oddechem wydobywającym się z mojego gardła, kiedy próbowałem się na tyle zebrać do kupy, żeby móc mówić.

- O której pan wyszedł? - zapytał Lansford, zdaje się, że po raz trzeci lub czwarty.

Usłyszałem kroki na górze, deski zaskrzypiały w moim pokoju i na korytarzu. Ktoś tam był. Inni policjanci. Koroner.

- Wyszedłem nieco przed ósmą - odpowiedziałem.

- Żeby złapać autobus o 8.15, tak?

Skinąłem głową.

- Do którego pan nie wszedł.

- Uciekł mi - wyjaśniłem. - Uciekł mi i musiałem czekać na następny, odjeżdżający o dziesiątej.

- Dokładnie o dziesiątej?

- Dziesięć po... Drugi autobus wyjechał dziesięć po dziesiątej.

- I przez dwie godziny pomiędzy 8.15 a 10.10... Gdzie pan był przez te dwie godziny?

- Na stacji... Przez chwilę czytałem, przespacerowałem się, zajrzałem do kilku

księgarni.

- Mógł pan iść na piechotę na spotkanie. Albo wrócić do domu, żeby poczekać...

Dlaczego pan tego nie zrobił?

Wzruszyłem ramionami. Znowu spojrzałem na sufit. Sen. Koszmar. Nic, co można byłoby umieścić w jakimś punkcie odniesienia. Zamknę oczy, a kiedy je otworzę, okaże się, że to tylko moja wyobraźnia. Wciąż spałem w autobusie z Manhattanu. Nawet nie dojechałem jeszcze na Brooklyn. Wzruszę ramionami. Uśmiechnę się. Potem zacznę się śmiać, kiedy zdam sobie sprawę, że moje najgorsze lęki to nic więcej jak jakieś ciemne owoce zmęczonej i zbyt wybujałej wyobraźni.

- Nie chciało mi się iść piechotą. Nie miałem nic przeciwko czekaniu i nie było sensu tu wracać - powiedziałem. - Bridget miało nie być cały dzień...

Lansford pokręcił głową.

- Najwyraźniej jednak była.

- Jak to?

- A tak to. Według panny Spragg... Zna pan pannę Spragg, prawda?

Skinąłem głową.

- Według panny Spragg Bridget McCormack przyszła tuż przed dziewiątą rano.

Pokręciłem głową.

- Nie rozumiem... Powiedziała, że ma do załatwienia jakąś sprawę rodzinną.

- Co również zostało potwierdzone przez pannę Spragg. - Lansford sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej notes. Przekartkował kilkanaście kartek. - Tutaj - powiedział, podpierając się własnymi notatkami. - Panna Spragg zeznała, że wychodziła do pracy za dziesięć dziewiątą. Kiedy była w holu, przyszła Bridget McCormack i zamieniły kilka słów. Pańska dziewczyna powiedziała, że miała plany związane z rodziną tego dnia, ale że spotkanie zostało przesunięte na późniejszy termin, więc pomyślała, że spędzi cały dzień tutaj. Powiedziała, że chciała coś poczytać i że trochę posprząta w pokoju. Panna Spragg uważa, że mówiła o pana pokoju, panie Vaughan. Zeznała, że pan i Bridget McCormack spędzaliście tutaj większość wieczorów, mieszkając razem, można by rzec.

- Tak, można tak powiedzieć. Spędzaliśmy więcej czasu razem niż osobno. - Przerwałem. Spojrzałem na Lansforda i na policjanta stojącego przy zlewie. - To szaleństwo - jęknąłem. - Co tu, do diabła, się dzieje? - Zacząłem wstawać z krzesła. Policjant zrobił krok do przodu i przytrzymał mnie za ramiona.

- Dokąd to pan się wybiera, panie Vaughan? - zapytał Lansford surowym głosem.

- Muszę ją zobaczyć - wyjaśniłem. Znowu poczułem przyływ emocji. Czarne płatki

unosily się przed moimi oczami. Pióra. Więcej piór. Teraz były w mojej głowie, tuż za moimi powiekami.

Pomyślałem o aniołach.

Pomyślałem o swoim ojcu. O tym, jak Śmierć przyszła High Road i go zabrała. Pomyślałem o Guntherze Krugerze zwisającym z krokwi stodoły, z cienką różową wstążką pomiędzy palcami prawej ręki.

Pomyślałem o swojej matce, zabójczyni dziecka, o tym, że zrobiła dokładnie to, czemu chciała zapobiec.

Zacząłem szlochać i torsje wstrząsnęły moim ciałem. Machnąłem ręką i uderzyłem w filiżankę, która przeleciała przez całą kuchnię, a jej słodka zawartość wylała się na linoleum.

- Zawołaj lekarza - powiedział Lansford. - Sprowadź tu natychmiast lekarza.

Policjant podskoczył, puścił mnie, odwrócił się nagle i wyszedł z pomieszczenia. Słyszałem, jak biegnie po schodach. Słyszałem głosy. Poczułem dłonie Lansforda na swoich barkach, niepozwalające mi się ruszyć z krzesła. W kuchni Aggie Boyle.

Zobaczyłem twarz swojej matki. Matki, którą pamiętałem, a nie tej, którą pochowałem.

Zobaczyłem podeszwy butów Virginii Grace Perlman, zobaczyłem, jak się pojawiają nad grzbietem wzgórze.

Znowu głosy. Uczucie, że jestem gdzieś przenoszony. A potem ukłucie. Ostre ukłucie igły wbijającej się w moje ramię. Walczyłem z tym, gwałtownie się mocowałem, ale nadeszło. Nadeszło jak obłok przechodzący przeze mnie i nie było nic, co mogłem zrobić, żeby pozbyć się tego uczucia. Uczucia, że tonę w ciemności, ale jakbym był podtrzymywany przez pióra, dywan małych, białych piór, które próbowały utrzymać mnie na powierzchni, ale nie mogły poradzić sobie z moim ciężarem.

Zaległa cisza. Spadłem w dół, w ciemność.

Dużo czasu upłynęło, nim wypłynąłem na powierzchnię, a kiedy to się stało, przypomniałem sobie od razu, że mój świat odszedł.

Obudziłem się w szpitalu, ale w takim, jakiego jeszcze nie widziałem. Ściany były białe, tak jak i sufit, pościel oraz ramy łóżka. To było coś w rodzaju dormitorium, z pojedynczymi drzwiami na końcu i z kratami w wąskich oknach. Kiedy poruszyłem się, odkryłem, że ręce mam przykute do ramy łóżka, i to wtedy przyszła rzeczywistość. Jak pięść. Jak kula. Jak dudniący dźwięk.

Zamknąłem oczy. Nie mogłem otworzyć ich ponownie. Chciałem umrzeć.

Patrząc z perspektywy czasu, byłoby to chyba wybawieniem.

Wiele godzin później - nie miałem możliwości określenia czasu - odwiedził mnie Lansford.

- Co się dzieje? - zapytałem go. - Gdzie ja jestem? Co ja tu robię, do diabła?

Lansford przyciągnął krzesło spod ściany i usiadł przy łóżku. W ręce miał cienką brązową teczkę, którą otworzył i położył na kolanach.

- Środki uspokajające, musieli je panu podać - powiedział rzeczowo. Jego ton był oschły i poważny. Poczulem zagrożenie.

- Trochę pan stracił panowanie nad sobą - dodał. - Tam, w domu. Musiał przyjść lekarz i podać panu środki uspokajające.

- Gdzie ja jestem?

- Na bloku szpitalnym - odparł Lansford. - Na bloku szpitalnym brooklyńskiego zakładu karnego.

- Więzienie? Co ja robię w więzieniu? - próbowałem usiąść, ale kajdanki mi to uniemożliwiały.

- Muszę zadać panu kilka pytań i poznać odpowiedzi. To nie jest temat do negocjacji. To nie podlega dyskusji. Czas zgonu panny McCormack wskazuje, że miał pan szansę wrócić do domu, kiedy nie zdążył pan na autobus, zgwałcić ją i zabić, a następnie pójść na dworzec, żeby złapać następny autobus na Manhattan.

- Co? O czym pan mówi, do diabła? Chyba nie myśli pan poważnie, że...

- Nie skończyłem. Prosiłbym, żeby pan mi nie przerywał, panie Vaughan. Jak mówiłem, biorąc pod uwagę godzinę śmierci, miał pan wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do domu i zrobić tę straszną rzecz, więc możliwość popełnienia zbrodni jest oczywista. W jaki sposób ją zabito? To się wydaje proste. Dziewczyna została zaatakowana i są ślady wskazujące na gwałt. Ze wstępnego raportu koronera wynika, że została zaatakowana z taką siłą, że złamała kark, kiedy została pchnięta na ścianę. Następnie próbowano przeciąć jej ciało na pół. To tyle, jeśli chodzi o sposób, panie Vaughan...

Mój umysł się zamykał. Obrazy mnie atakowały. Krzyk, krew. Myśl o Bridget...

- Pan chyba oszalał...

- Panie Vaughan - warknął Lansford. - Poprosiłem, zdaje się, grzecznie, żeby pan mi nie przerywał. Poproszę o to jeszcze raz i będę bardzo niezadowolony, jeśli nie będzie pan współpracował. Jeśli zna pan procedury pracy policji, wie pan, że najpierw należy ustalić trzy rzeczy. Sposób, możliwość popełnienia przestępstwa i motyw. Dwa pierwsze są oczywiste. Motyw tego brutalnego ataku musi być dopiero ustalony. Tym właśnie teraz się zajmujemy.

Nic nie powiedziałem. Tysiące pytań rodziły się w mojej głowie. Moje całe ciało było

udręczone bólem, bólem, który nie był jedynie psychiczny, bólem, który mnie przeszywał na wskroś. Ledwo oddychałem. Zdałem sobie sprawę, dokąd to prowadzi. Zrozumiałem, co myśli ten policjant.

Lansford wydawał się czekać, aż coś powiem, ale nie byłem w stanie.

- Rozumie pan, oczywiście, panie Vaughan, że w naszym demokratycznym państwie człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy?

Znowu przerwał. Nadal nie mogłem wykrztusić słowa. Słowa czekały, mnóstwo słów, ale żadne nie wydobyło się z ust.

- Więc dopóki nie udowodnimy winy ponad wszelką wątpliwość, pracujemy na zasadzie, że każdy ma prawo do obrony, do szukania pomocy prawnej. W pańskim wypadku... cóż, w pańskim wypadku, panie Vaughan, sugeruję, żeby zajął się pan tym jak najszybciej. Proszę wynająć adwokata i przygotować się na długie przesłuchanie dotyczące śmierci tej dziewczyny. Jest pan, że tak się wyrażę, na linii ognia.

Przez chwilę Lansford nic nie mówił, a potem wstał, podniósł krzesło i postawił je z powrotem pod ścianą.

- Nie rozumiem, co się dzieje - wymamrotałem. Miałem ściśnięte gardło. Głowa bolała mnie niemiłosiernie. - Nie wiem, jaki mógłbym mieć motyw, żeby coś takiego zrobić... coś tak strasznego.

Lansford uśmiechnął się. Wydawało mi się początkowo, że ze współczuciem, ale potem jego twarz stała się surowa.

- Ta dziewczyna - powiedział - Bridget McCormack, dziewczyna, która została brutalnie zgwałcona i zabita... była w ciąży, panie Vaughan... kilkutygodniowej.

Poczułem, że życie ze mnie uchodzi.

- A w tych czasach... to przykre, kiedy niechciane dziecko staje się przyczyną morderstwa, ale taka jest prawda, czyż nie?

Lansford cofnął się i skierował w stronę drzwi. Kiedy do nich dotarł, odwrócił się do mnie.

- Przyślę pielęgniarza, który pomoże panu skontaktować się z adwokatem. Jak już mówiłem, sugeruję, żeby pan z tym nie zwlekał.

Pamiętam, że usłyszałem, jak drzwi zamykają się z metalicznym łoskotem. Pamiętam zgrzyt klucza w zamku. A potem nastąpiła cisza, jeśli nie liczyć mojego ciężkiego oddechu. Cały mój świat rozpadł się na kawałki.

Być może spałem. Być może nie. Bridget do mnie przyszła. Stała nade mną, nic nie mówiąc. Wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć, a ona rozplynęła się jak chmura. Każdy



kawałek jej rozpadł się i zniknął z szumem wiatru.

Po długim czasie przyszedł pielęgniarz i powiedział, że jest niedziela. Nie mogłem zadzwonić do nikogo aż do następnego dnia. Przyniósł jedzenie, którego nie tknąłem. Zapytał, czy czegoś chcę.

- Odzyskać swoje życie - powiedziałem. - Chcę odzyskać swoje życie.

Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że tego panu nie mogę dać.

Patrzyłem, jak wychodzi, i dopiero wtedy, gdy zamknął drzwi, zacząłem spoglądać prosto w twarz temu, co się wydarzyło. Wydawało mi się, że rozumiem, co się stało w domu przy Throop i Quincy, ale również - co ważniejsze - dlaczego to się stało.

## XXVII

W poniedziałek wieczorem przyszedł adwokat Thomas Billick, wyznaczony na obrońcę z urzędu. Zdjęto mi kajdanki i pozwolono skorzystać z krzesła.

Billick wyraźnie czuł się nieswojo. Wąskie oczy, okulary w drucianych oprawkach, twarz niezgrabnie dopasowująca się do otoczenia. Miał ze sobą znoszoną aktówkę i trzymał ją mocno niczym tarczę, a mówił niepewnie i z wahaniem.

- Nie jestem za bardzo obznajomiony z takimi rzeczami - wytłumaczył. Pokręcił głową i dotknął oprawki okularów. Kiedy je puścił, były lekko przekrzywione.

- Postawiono panu zarzut...

- Zarzut? - zapytałem. - Jaki zarzut?

- Zarzut popełnienia morderstwa, panie Vaughan - powiedział Billick. - Nie wiedział pan, że postawiono panu ten zarzut?

- O czym pan mówi? Chyba pan żartuje...

- Och, mówię poważnie, panie Vaughan, bardzo poważnie. Zarzut został postawiony w sobotę...

- Jezu, muszą chyba... nie, to nie może być prawda. W sobotę byłem nieprzytomny... Twierdzi pan, że postawili mi zarzut, kiedy byłem nieprzytomny?

Billick wzruszył ramionami.

- Nie mam tu wzmianki o tym, że był pan nieprzytomny, panie Vaughan.

Niezdarnie otworzył aktówkę. Papiery rozsypały się po podłodze. Dłuższą chwilę spędził na ich zbieraniu.

- Mam - powiedział w końcu. Trzymał pojedynczą kartkę. - Napisane jest tutaj, że dziesięć minut po trzynastej, w sobotę, 22 listopada, oficjalnie postawiono panu zarzut popełnienia morderstwa Bridget McCormack, że zostały panu odczytane prawa i że poradzono panu znaleźć pomoc prawną. Najwyraźniej postanowił pan nic nie robić aż do dzisiejszego poranka. - Billick spojrzał znad kartki i zmarszczył brwi. - Dlaczego, panie Vaughan? Dlaczego nie szukał pan adwokata aż do dzisiejszego ranka?

- To czyste szaleństwo! - powiedziałem. - Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Aż do wczoraj nikt mi nie powiedział, że mam znaleźć adwokata, a jeśli chodzi o postawienie zarzutów i odczytanie praw... Nie wierzę, że to zrobili! Postawili mi zarzuty i przeczytali prawa, kiedy byłem nieprzytomny.

Billick pokręcił głową.

- Według tego dokumentu było inaczej. - Wysunął kartkę w moim kierunku, ale kiedy

wyciągnąłem po nią rękę, szybko schował ją do teczki.

- Muszę to zatrzymać - powiedział. - To musi pozostać w pana aktach.

- I co teraz? Co teraz będzie? - zapytałem.

- Jutro rano zostanie pan postawiony w stan oskarżenia, a następnie przetransportowany do Stanowego Zakładu Karnego w Auburn w północnej części stanu Nowy Jork. Tam będzie pan przebywał aż do czasu wyznaczenia daty procesu, a podczas pana uwięzienia, które, miejmy nadzieję, nie potrwa długo, policja przygotuje dokumenty dla biura prokuratora okręgowego, a ja będę pracował nad obroną.

- Proces? Będę miał proces?

- Tak, panie Vaughan, zdecydowanie tak. Odbędzie się zapewne za jakieś cztery, sześć miesięcy... Tymczasem powinien pan postarać się przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się tego ranka. Moja pierwsza myśl jest taka, że powinniśmy dążyć do tego, żeby uznano to za nieumyślne spowodowanie śmierci, a jeśli się nie uda, możemy spróbować wynegocjować, żeby w zamian za przyznanie się do winy zakwalifikowano ten czyn jako morderstwo drugiego stopnia. - Uśmiechnął się szczerze. - W ten sposób unikniemy kary śmierci.

Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Patrzyłem, jak Billick zamyka teczkę i wstaje z krzesła.

- Zobaczymy się jutro. Proszę się trzymać, panie Vaughan.

Uśmiechnął się raz jeszcze, a potem przeszedł przez pokój i zapukał dwa razy. Pielęgniarz otworzył drzwi i wypuścił go. Zatrzymał się na chwilę, patrząc przez kraty w wąskim okienku, a następnie zniknął.

Kilka minut później przyszedł pielęgniarz i zapytał, czy wolę siedzieć, czy wrócić do łóżka.

Nie ruszyłem się, nie powiedziałem ani słowa, więc przykuł mnie kajdankami do krzesła, na którym siedziałem.

Byli tam Paul Hennessy i Ben Godfrey, podobnie jak Joyce Spragg, Aggie Boyle, jej siostra i inni ludzie, których znałem z Uczelnianego Koła Pisarzy. Nie odzywali się, a ich twarze były pozbawione wyrazu. Siedzieli na galerii Brooklyn City Courthouse we wtorkowy ranek. Postępowanie było krótkie i zwięzłe. Thomas Billick nie powiedział prawie nic w odpowiedzi na zarzuty przedstawiciela biura prokuratora okręgowego Alberta Oswalda. Zostałem wezwany przed oblicze sędziego, mężczyzny, który wyglądał na nie więcej niż czterdzieści lat i patrzył na mnie ze wzgardą. Przedstawiciel prokuratora okręgowego, w trzyczęściowym garniturze i lakierowanych skórzanych butach, machnął lekceważąco ręką,

kiedy Billick zauważył, że zarzut morderstwa pierwszego stopnia musi dopiero zostać postawiony.

- Wysoki sędzie, zarzut został postawiony i zapisany - powiedział Oswald. - Podczas gdy oskarżony pozostanie w areszcie śledczym w Stanowym Zakładzie Karnym w Auburn, obrońca będzie miał wystarczająco dużo czasu, żeby przedstawić prokuratorowi okręgowemu niezbędne dokumenty.

Sędzia skinął głową i dał do zrozumienia, że rozprawa wstępna dobiegła końca.

- Usłyszałem wszystko, czego potrzebuję. Oskarżony pozostanie w areszcie śledczym Stanowego Zakładu Karnego w Auburn, dopóki nie zostanie wyznaczona data procesu. - Uśmiechnął się nonszalancko. - Panie Billick?

Billick spojrzał na niego nerwowo.

- Jeśli istnieją jakieś wątpliwości dotyczące prawdziwości lub zasadności zarzutu lub kwalifikacji czynu, proponuję, żeby skontaktował się pan z biurem prokuratora okręgowego w celu zawarcia odpowiedniej umowy. Sąd nie będzie opieszwały w wypełnianiu swoich obowiązków. Dużo czasu i pieniędzy będzie kosztować wybór ławy przysięgłych i przygotowanie procesu. Nie będę tolerował żadnych niespodzianek związanych z zarzutami lub obroną... Zrozumiał pan?

Billick spojrzał na mnie i skinął głową do sędziego.

- Panie Billick?

- Tak, wysoki sędzie - powiedział Billick. - Oczywiście... Wszystko zostanie załatwione szybko i bezzwłocznie.

- No cóż, mam nadzieję - odparł sędzia. - W końcu chodzi tu o życie człowieka, prawda?

Dwóch strażników podeszło do mnie i zakłuło mnie w kajdanki. Odwrócili się, żeby mnie wyprowadzić.

- Bądź dzielny! - rozległ się głos z galerii i kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem Paula Hennessy'ego, który stał tam z rękami zaciśniętymi na balustradzie. Po jego policzkach spływały łzy.

Opuściłem głowę. Zostałem wyprowadzony. Billick szedł kilka kroków za mną.

Nie byłem w stanie odwrócić się i spojrzeć na przyjaciół.

Przed Bożym Narodzeniem 1952 roku straciłem nazwisko.

Do końca stycznia opuściła mnie moja tożsamość.

Miesiąc później przestałem być człowiekiem.

Z zakamarków pamięci wydobyłem słowa z O demokracji w Ameryce Tocqueville'a:

„Czuliśmy się, jakbyśmy przemierzali katakumby; był tam tysiąc żyjących istot, a jednak była to pustynna samotność”. Napisał te słowa o Stanowym Zakładzie Karnym w Auburn, w hrabstwie Cayuga, w piekle człowieczeństwa pomiędzy Buffalo a Syracuse.

Kiedy przybyłem tam pod koniec listopada, ogolono mi głowę. Zabrano mi ubranie, a potem staliśmy nago - ja i dwunastu innych - kiedy lekarz pobieżnie nas badał. Zostaliśmy wyprowadzeni na otwarte podwórko otoczone przez wysokie mury i w gorzkim chłodzie zmierzchu kazano nam stanąć - nogi w rozkroku, ramiona wyciągnięte na wysokość barków - i spryskano drobnym, gryzącym proszkiem odswawiającym. Staliśmy tam przez pół godziny, w nozdrzach i oczach nas paliło, chcieliśmy krzyczeć, płakać, upaść tam, gdzie staliśmy. Jeden człowiek zemdlał, łysy mężczyzna o wąskich ramionach, i strażnik bil go pałką, dopóki nie wstał.

Następnie zostaliśmy przeprowadzeni przez długi korytarz z kamienną posadzką do łazienki z prysznicami. Woda była jak igły lodu, które kłuły skórę, aż wreszcie poczułem, że krew ze mnie odpływa. Zaprowadzono nas do niskich cel z pomalowanymi na biało ścianami, potocznie nazywanych „kostkami”, i wkrótce potem leżałem, trzęsąc się jak w febrze, na cienkim materacu z końskiego włosia, dopóki sen mnie nie zmorzył i nie sprawił, że mój koszmar na krótką chwilę się skończył.

Mój pierwszy dzień w więzieniu: zapowiedź wszystkiego, co miało się zdarzyć później. Pozostaliśmy w tych ciasnych czterech ścianach. Nie było tam nic do oglądania, nic, tylko białe ściany i mało wyraźne zmiany między dniem a nocą, widziane przez okienko położone wysoko w ścianie zewnętrznej. Trzy tygodnie. Żadnego ruchu oprócz spacerów od jednej ściany do drugiej. Jedzenie dostarczano na metalowej tacy przez szparę w dolnej części drzwi i za każdym razem kiedy „pocztowa” klapka była podnoszona, a następnie zatraskiwana, czułem, że metaliczny szczęk rozbrzmiewa echem w każdej mojej kości, nerwie, ścięgnie. Duchowo i emocjonalnie byłem gdzie indziej. Spacerowałem z Bridget, siedziałem przy biurku i pisałem książkę dla Arthura Morrisona, książkę o duchu i namiętności. Czułem, że Joseph Calvin Vaughan po cichu odchodzi w niebyt. Patrzyłem, jak znika. Nie odwracał się, bo gdyby się odwrócił, zobaczyłby mnie i może pożałował na tyle, żeby wrócić. A tego nie mógł ryzykować.

Po trzech tygodniach zostaliśmy przetransportowani do trzyosobowych cel. Zakwaterowano mnie z braćmi Jackiem i Williamem Randallami, rabusiami z Odessy w hrabstwie Schuyler. Dzieliło ich tylko jedenaście miesięcy i byli bardzo do siebie podobni: tępe, świńskie rysy twarzy, zezowate oczy, plecy zgarbione. Wyglądali jak rewolwerowcy w nieodpowiednim miejscu i czasie.

Powiedziałem im, że jestem niewinny.

Jack Randall uśmiechnął się i położył rękę na moim ramieniu.

- Tutaj - odparł - są tylko dwa rodzaje ludzi... Strażnicy i niewinni.

William wybuchnął śmiechem i zaczął klepać mnie w ramię.

- To dla nas nie pierwszozna - powiedział. - Przywykniesz. Panują tu pewne zasady, ale tak długo, jak będziesz siedział cicho i nie wtrącał się w sprawy innych, nic ci nie grozi. - Uśmiechnął się serdecznie. - Ja i Jack będziemy cię pilnować... Nie pozwolimy, żeby jakiś bydlak zrobił z ciebie swoją panienkę, kapujesz?

Roześmiali się znowu, spoglądając na siebie, jakby przeglądali się w lustrze, a ja zamknąłem się w sobie jeszcze bardziej.

Thomas Billick przyszedł w trzecim tygodniu lutego. Zostałem zabrany z celi i skuto mi zarówno ręce, jak i nogi. Szedłem identycznymi, pozbawionymi wyrazu korytarzami, powłóczęc niezdarnie nogami między dwoma milczącymi strażnikami. Łańcuch między kostkami ciągnął się po podłodze, a metalowe okowy wbijały się w moje nogi. Zostałem zaprowadzony do wąskiej, słabo oświetlonej sali. A tam siedział cichutko pod ścianą mój obrońca. Wyglądał na tak skrupowanego i zdenerwowanego, jak to tylko możliwe.

- Wszystko porządku? - zapytał zbytecznie.

Zostałem posadzony na krzesło naprzeciwko Billicka, a potem dwóch strażników wyszło z sali. Ostre skrzypienie sztaby na zewnątrz, dzwonienie kluczy w zamku, poczucie, że niezależnie od tego, dokąd pójdę, znajdzie się kolejny sposób na to, żeby uniemożliwić mi swobodne poruszanie się.

- Mam dobre wieści - powiedział Billick. - Prokurator okręgowy wysłuchał mnie i zgodził się na zakwalifikowanie czynu jako morderstwa drugiego stopnia. - Otworzył aktówkę i wyjął kartkę papieru. - Morderstwo drugiego stopnia jest uważane za czyn zamierzony, ale dokonany bez premedytacji. - Spojrzał w górę, żeby sprawdzić, czy słucham. - Tu jest napisane, że taka zbrodnia jest popełniana w afekcie, ale jest spowodowana wyraźnym brakiem szacunku wobec ludzkiego życia. - Adwokat uśmiechnął się, jakby dawał prezent urodzinowy małemu dziecku. - To oznacza, że nie ma mowy o karze śmierci... Czyż to nie dobra wiadomość?

Opuściłem głowę i spojrzałem na kajdanki na nadgarstkach.

- Teraz musi pan tylko przyznać się do morderstwa drugiego stopnia i nie tylko pozbędziemy się tym samym ryzyka kary śmierci, ale także skrócimy znacznie całe postępowanie. Sędzia jest zawsze bardziej przychylny w takim przypadku. Przyznanie się do winy jest o wiele tańsze dla stanu i hrabstwa...

Spojrzałem na niego.

- Ale ja nie jestem winny, panie Billick... Nie popełniłem żadnego morderstwa i nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem.

Początkowo wyglądał na zszokowanego. Potem zaczerwienił się i ożywił.

- Chyba nie rozumie pan powagi sytuacji, panie Vaughan. Istnieją mocne dowody przeciwko panu i muszę panu powiedzieć, że nie jest prowadzone żadne inne śledztwo w tej sprawie. Policja nie ma żadnych innych podejrzanych...

- Co to oznacza?

Billick odchrząknął.

- To oznacza, że data procesu została wyznaczona na 30 marca, za nieco ponad miesiąc, i że stanie pan przed sądem pod zarzutem morderstwa, panie Vaughan, proszę się nie łudzić, że będzie inaczej.

Próbowałem podnieść ręce, ale kajdanki mi to uniemożliwiły.

- Nie rozumiem, co się tu dzieje, panie Billick... Ktoś zamordował Bridget, ktoś wszedł do domu, gdzie mieszkałem, i zabił kobietę, którą kochałem...

Adwokat pokręcił głową.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, panie Vaughan, tą osobą był pan.

- Nie - powiedziałem dobitnie. Poczułem, że ogarnia mnie strach i złość. Raz jeszcze spróbowałem poruszyć rękami, żeby podkreślić wagę słów. - Nikogo nie zabiłem, na miłość boską! - krzyknąłem - Do kurwy nędzy, ja nikogo nie zabiłem... Co muszę zrobić, do jasnej cholery, żeby ktoś zrozumiał, co tu się dzieje. To szaleństwo! To parodia sprawiedliwości! Chcę z kimś porozmawiać... z kimkolwiek. Proszę znaleźć Paula Hennessy'ego. Albo Bena Godfrefya! Proszę porozmawiać z Benem Godfrefyem... Powie panu, że nie mogłem tego zrobić. Mam pieniądze, panie Billick. Mam 3 tysiące dolarów...

Billick znowu pokręcił głową.

- Miał pan 3 tysiące dolarów, panie Vaughan.

Przerwałem i zmarszczyłem brwi.

-Jak to? O czym pan mówi, do diabła? Mam 3 tysiące dolarów ze sprzedaży domu mojej matki.

- Środki na pańskim koncie zostały zamrożone. Może pan dysponować tymi pieniędzmi w takim samym stopniu jak ja.

- Nie może pan tego zrobić! Kto dał panu do tego prawo?

- Ja? - zapytał Billick. - ja nic nie robię, panie Vaughan. To nie ja oskarżyłem pana o poważne przestępstwo... o morderstwo. I trzeba powiedzieć, że bez względu na to, czy zostało

ono zaplanowane, czy nie, czy to morderstwo pierwszego, czy drugiego stopnia, było to jednak morderstwo. Morderstwo popełnione na bezbronnej i niewinnej młodej dziewczynie. Ciężarnej dziewczynie, panie Vaughan.

Poczułem, że krew mi odpływa z twarzy. Zobaczyłem je nagle. Wszystkie. Virginie Perlman, Lavernę Stowell... wszystkie. Słyszałem skądś ich głosy. Obejrzałem się przez ramię, spodziewając się niemal zobaczyć którąś z nich, tak niewinną jak Bridget, jak Alexandra... i uwierzyłem, że naprawdę mogę być emisariuszem Śmierci.

Mój ojciec, moja matka, Alex... dziesięć dziewczynek... Elena, Gunther...

A teraz Bridget... Wszystkie te osoby spotkała śmierć i została ona zadana tą samą ręką.

Wiedziałem, wiedziałem, że jej śmierć była moją sprawką. Nie bezpośrednio, co prawda, ale to była moja wina. To była moja kara za to, co zrobiłem w Augusta Falls. Wiedziałem, że tylko Haynes Dearing byłby w stanie to naprawdę zrozumieć, ale Haynes Dearing jest ostatnią osobą, która może mi pomóc.

Zacząłem płakać. Pochyliłem się do przodu i poczułem, że moja pierś podnosi się i opada. Ogarnął mnie tak potworny ból, że ledwo mogłem oddychać.

Billick wstał z krzesła i wycofał się pod drzwi. Zapukał, nie odwracając się do mnie, i przez chwilę słyszałem szczekanie sztab i dzwonienie kluczy w zamku. W końcu strażnik go wypuścił. Kiedy drzwi się zamknęły, spojrzałem w górę. Billick tam stał... Jego mała blada twarz wyglądała przez okienko.

- Wyciągnij mnie stąd! - krzyknąłem. - WYCIĄGNIJ MNIE STĄD. DO KURWY NĘDZY!

Twarz Billicka zniknęła.

W sali nie było słycać nic oprócz mojego ciężkiego oddechu.

Nie mogłem nic zrobić, z nikim porozmawiać.

Wiedziałem już wtedy - bez cienia wątpliwości czy wahania - że koniec nadchodzi szybko.

Mój proces rozpoczął się w poniedziałek, 30 marca 1953 roku, pięć minut po godzinie dziewiątej rano. Postawiono mi zarzut morderstwa pierwszego stopnia. Ponieważ nie przyznałem się do morderstwa drugiego stopnia, pozostawałem na łasce i nielasce biura prokuratora okręgowego. Przewodniczył ten sam sędzia, którego znałem już z rozprawy wstępnej. Nazywał się Marvin Baxter. Wydawał się starszy, niż pamiętałem, miał krótko przycięte włosy, oczy zbyt szeroko osadzone, usta, które były bezkrwistą i cienką kreską determinacji i surowości. Prokurator Oswald był cichy i stanowczy, spojrzał na mnie tylko



raz, kiedy wszedłem na salę rozpraw. Wszystko wydawało się wyniosłe i przytłaczające, a jednak jakieś niematerialne, jakbym mógł jednym ruchem ręki rozproszyc to niczym obłok mgły. Tyle że nie mogłem ruszać rękami. Były przykute do krzesła.

Billick mówił niewiele, rzadko zgłaszał sprzeciw, nawet wtedy, gdy jasne było, że słowa wypowiedane o mnie muszą dotyczyć kogoś innego. Moją przeszłość przedstawiali ludzie, których nigdy nie spotkałem, z którymi nigdy nie rozmawiałem. Mówili o mojej matce, śmierci mojego ojca, mówili o tym, jak odkryłem ciało dziewczynki na wzgórzu. Wspomnieli o tym przelotnie, jakby to nie było nic takiego, ale obserwowałem twarze członków ławy przysięgłych i wydawali się skupieni, poważni i zszokowani. Przyniesiono pudła papierów, rzeczy, które napisałem, i odczytywano je tak, jakby były referencjami dotyczącymi mojego charakteru. Pytania zawisały w powietrzu niczym duchy.

Nie wspomniano ani słowem o Haynesie Dearingu, a on nie przybył, żeby mnie uratować.

Dni się ciągnęły jeden za drugim i wieczorami przenoszono mnie do celi pod budynkiem sądu, pozbawionej światła, zawilgoconej nory. Jej ściany były zaimpregnowane rozpaczą i upokorzeniem.

Później nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów rozprawy: dzielenie włosa na czworo, dziwny krzyżowy ogień pytań, pojawienie się na miejscu dla świadka Aggie Boyle, jej siostry, Joyce Spragg i Letitii Brock. Przyszli też rodzice Bridget. Jej ojciec mówił o swojej wierze, swoim oddaniu Panu, pilnym przestrzeganiu dziesięciorga przykazań, nadziejach związanych z córką jedynaczką. W tym samym czasie pogrążeni w ciszy zgromadzeni słyszeli dobiegający z tyłu sali zduszony szloch matki Bridget.

Te blisko sześć tygodni minęło jak jeden dzień. W weekendy wracałem do Auburn i siedziałem w izolatce. Członek ławy przysięgłych zachorował na gripę i sędzia Marvin Baxter zarządził przerwę między 16 a 22 kwietnia. Wróciliśmy dwudziestego trzeciego i to wtedy rozpoczęło się moje czterodniowe przesłuchanie.

Wydawało mi się, że moja dusza udała się do jakiegoś innego miejsca. Nie wierzyłem w nic oprócz czystej woli przetrwania. Nie zostało mi nic poza przekonaniem o własnej niewinności. Z miejsca dla świadków widziałem Paula Hennessy'ego i Bena Godfrey'a, a także inne twarze znane z Brooklynu. W ostatnim tygodniu pojawił się również Reilly Hawkins. To wtedy zgiąłem się aż do ziemi pod ciężarem tego, co się stało. Przeszłość przybyła, by mnie odnaleźć w Nowym Jorku. Przeszłość, którą miałem nadzieję pokonać. A jednak ta przeszłość zobaczy teraz, jak zostanę pochłonięty.

Plakałem. Trzymałem serce w dłoniach i pokazywałem sędziemu Marvinowi

Baxterowi i Albertowi Oswaldowi z biura prokuratora okręgowego, ale nie uwierzyli mi.

We wtorek, 12 maja 1953 roku, ława przysięgłych - ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, którzy nie znali prawdy o mnie, z wyjątkiem mojego imienia i nazwiska - wróciła z narady.

Moje serce do tego czasu zdążyło zmienić się w mały czarny kamyk. Palił on niby czerwona kula ognia.

- Oskarżony, proszę wstać.

Zebrałem to, co ze mnie zostało, i z pomocą strażników jakoś udało mi się stanąć.

- Czy ława przysięgłych ustaliła werdykt?

Krew dudniła mi w skroniach. Chłodne uczucie wewnętrznej pustki nagle ustąpiło miejsca żalostnemu i beznadziejnemu przerażeniu.

- Tak, wysoki sędzie. - Przewodniczący ławy przysięgłych wstał z miejsca.

Było tyle słów, które chciałem powiedzieć. Te słowa z trudem wydobywały się z gardła, ale kiedy przełknąłem, utraciłem je. Oczy szeroko otwarte, twarz ściągnięta i blada, skute dłonie wczepione w barierkę przede mną, jakby to była tratwa ratunkowa.

- Bardzo dobrze. Czy ława przysięgłych uznaje oskarżonego Josepha Calvina Vaughana za winnego morderstwa pierwszego stopnia popełnionego na osobie Bridget Sarah McCormack w czwartek, 20 listopada 1952 roku?

Serce jak młot rozbijający się o kowadło.

Przewodniczący, który nie był w stanie na mnie spojrzeć, mimo że wiedział, iż tam jestem, odchrząknął. Urzędnik sądowy przeszedł wąskim przejściem między ławą przysięgłych a rzędami krzeseł dla publiczności i wziął od niego złożoną kartkę papieru.

Wracał powoli. Jego każdy krok przypominał marsz żałobny.

On też na mnie nie spojrzał. Żadne z nich nie mogło. Pomyślałem o tym, żeby odwrócić się, spojrzeć przez ramię na Hennessy'ego, Bena Godfrey'a, Reilly'ego Hawkinsa. Mój umysł dopominał się krzykiem o uwolnienie, przebaczenie za to, czego nie zrobiłem, ale jedynym dźwiękiem był cichy szelest, kiedy sędzia rozkładał kartkę.

- My, członkowie ławy przysięgłych, uznajemy oskarżonego Josepha Calvina Vaughana... za winnego.

Przestałem oddychać.

Poczułem, że nogi uginają się pode mną.

Zacząłem krzyczeć, płakać, łkać, trzymając się barierki, kiedy strażnicy próbowali mnie od niej oderwać. Pamiętam, że krzyczałem na cały głos:

- To nie ja... To nie ja! To on! Ten sam, który zabił dzieci... To on zabił Bridget! On zabił Bridget!

- Proszę natychmiast opuścić salę! - krzyknął sędzia Marvin Baxter.

Jakimś cudem usłyszałem te słowa. Oprócz tego słyszałem jedynie szum w uszach, szum, który wypełnił całe moje ciało, mój umysł, moją duszę.

I wtedy zobaczyłem pióro, pojedyncze białe pióro, które unosiło się na wysokości mojego wzroku i zniknęło w promieniu światła padającym z okna.

Miałem umrzeć. Tyle wiedziałem.

Modliłem się, żeby Śmierć przyszła szybko, po cichu, solidna, metodyczna...

Modliłem się, żeby przyszła szybko, chłodna i pozbawiona uczuć...

Zobaczyłem siebie jako dziecko, stojącego na podwórku, na suchej ziemi, otoczonego przez gwiazdnice, floksy i golterie.

Tyle że tym razem miała przyjść po mnie.

Wkrótce, niedługo przyjdzie na piechotę... oto idzie... nie zostaną po Niej ślady końskich kopyt ani opon roweru...

Śmierć mnie zabierze.

W moich snach mogę iść na piechotę aż do samej Georgii.

W moich snach ściany nie mogą mnie powstrzymać bardziej niż mgła czy dym i przechodzę przez nie bez najmniejszego wysiłku, ziemia podnosi się, drzewa ciągną się po lewej i prawej stronie aż po horyzont, przy mojej twarzy unosi się pomarańczowa mgielka owadów, mój duch jest niewzruszony i nieugięty, a moje myśli - moje grające adagio, spokojne myśli - skupione są na czasach przed śmiercią ojca i dziesięciu dziewczynek, przed śmiercią Eleny i Gunthera Krugera, przed Alex, Bridget i Auburn w hrabstwie Cayuga.

W moich snach jestem wolnym człowiekiem.

Niebo rozszerza się przede mną. Widzę druty telegraficzne, ptaki niczym grupkę nut na pięciolinii, mrugające, wykrakujące swoją muzykę, kępy przywiedłej trawy, ziemię napuchłą od deszczu i słyszę w oddali ujadanie psa chcącego wejść do domu.

Drewniane chatki, rozklekotane wychodki i zardzewiałe tabliczki z napisami: Mobil, Chevron i Red Parrot Diesel; pochyleni mężczyźni, żółty kurz, zapach wieprzowiny, pranie suszące się na sznurze, podskakujące na wietrze niczym jakiś kolorowy legion duchów, rżenie koni, odgłos kroków na błotnych graniach, kiedy idę, ciężarówki z platformą jak ślady stóp czasu, rozległa przestrzeń samotnej ciszy, która odbija echem przeszłość, widmo mgły, drobny deszczyk na mojej twarzy niczym lakier do skóry i jestem prawie w domu... przeszedłem całą drogę aż do domu... aż do domu...

I wtedy się budzę.

Pamiętam Auburn.

Schodzenie w dół w zwolnionym tempie, prosto w ciemność, glosy i zapachy ludzi pozbawionych wartości i tożsamości. Smród potu i ziemi, przetaczanie się nieskończonej ludzkiej maszyny, rzędy przygarbionych barków i pochylonych pleców, stukot motyk i kilofów na bezlitosnej ziemi, kamieniach i skałach; bezsenne noce, odchrząkiwania flegmą, gruźlicze klatki piersiowe, spuchnięcia i ból przemieszczonych stawów i ponadrywanych mięśni; skrzypienie pryz; deszcz na dachu z blachy falistej i cienkich drewnianych ścianach; pisk szczurów, skrobanie robaków, hipnotyczny śpiew cykad. Uwięziony w brzuchu bestii, czarnej, wygłodniałej i nigdy niesytej.

Pamiętam Auburn.

Szepty i jęki mężczyzn pomiędzy koszmarami, głęboko schowane poczucie winy, nigdy nieuśmierzone; obrzęki i ślady po uderzeniach batów na nieosłoniętej skórze, na spalonej słońcem skórze, na złamanym duchu; huk i pośpiech poranka, bezlitosny hałas lata, rozmokła podłoga, smród zgnilizny, cuchnący smród podłoża nabrzmiałego od stojącej wody; brudne ubrania, niedożywienie, ciemność, ból, tęsknota, rozpacz.

Pamiętam Auburn.

Skrzynia: stojąca pośrodku dziedzina, zbyt niska, żeby człowiek mógł usiąść prosto, ani na tyle szeroka, żeby położyć się na boku; kolana przy klatce piersiowej. Dwadzieścia cztery godziny. Skulony, czoło przy kolanach, kręgosłup wygięty boleśnie, dach tuż nad tyłem głowy. Szczeliny wentylacyjne z przodu tak ustawione, żeby promienie słońca wpadały bez litości. Bez wody. Bez słów. Bez wychodzenia za potrzebą.

Dwadzieścia cztery godziny i człowiek płakał tak bardzo, że sól pokrywała mu powieki i zaczynała szczypać jak kwas. Trzydzieści sześć godzin i zaczynał rzygać i krzyczeć w ataku szaleństwa. Po wyjściu stamtąd leżał trzy lub cztery godziny, zanim mógł się wyprostować. Próby ucieczki. Pyskowanie. Strażnik, który darzył kogoś antypatią, mówił: „do skrzyni” i ten ktoś znikał, i wracał już jako zupełnie inny człowiek.

Pamiętam Auburn.

Szale sprawiedliwości - tak to nazywali. Przymocowywali człowiekowi listwy do rąk, żeby nie mógł ich opuścić. Zakopany po uda w ziemi, mocno ubitej, bez nadziei na poruszenie się. Ramiona rozpostarte, w każdej ręce litrowa menażka do połowy napełniona wodą. Zostawał tak z wyciągniętymi ramionami przez dwie, trzy, cztery godziny. Jeśli rozlał wodę, zaczynał od początku.

- Godzina na szali - mówił strażnik i człowiek musiał kopać dla siebie dziurę. Potem zaufani więźniowie związywali mu nogi. Podobno ktoś stał tak przez siedem godzin. Później już zawsze spał z rozłożonymi ramionami, przez dziewięć tygodni w ogóle się nie odzywał, a

kiedy w końcu przemówił, zaczął powtarzać bez przerwy: „menażka, menażka”, aż w końcu stał się Panem Menażką. Pan Menażka z hrabstwa Cayuga. Pan Menażka z Piekła.

Raz zjawił się Billick. Wydawał się z siebie zadowolony.

- Nie zasądziły kary śmierci - powiedział. - Ma pan szczęście, panie Vaughan. Członkowie ławy przysięgłych nie głosowali za karą śmierci, ale za dożywotnim więzieniem. Niech pan dziękuje Bogu.

- Dożywocie oznacza życie - powtarzali.

- Dożywocie oznacza życie, chłopcze - mówili, aż w moich uszach rozbrzmiewało echo niczym wspomnienie człowieka, którym kiedyś byłem.

Obrazy Bridget, Alemndry, Eleny, mojej matki.

Obrazy innej bladej istoty, które odchodziły, zanim moje myśli ich dotknęły. Musiałem przestać myśleć. Jeśli jeszcze raz o nich pomyślę, znikną na zawsze.

Pamiętam Auburn.

Pierwszy miesiąc owinął się wokół mnie jak koc, jak kokon. Drugi jak kaftan bezpieczeństwa, mocno związany, wokół mojego pasa, zapięty na plecach. Trzeci i czwarty jak całun tak ciężki, że ledwo mogłem oddychać. Potem już miesiące przechodziły gładko jeden w drugi, klaustrofobiczne, intensywne, bezlitosne.

- Nie można złamać czyjegoś ducha - powiedział mi Jack Randall. - To, co masz w środku, nigdy się nie złamie. Mogą połamać ci wszystkie kości, ale i tak będziesz walczył.

Wierzyłem Jackowi Randallowi do czasu, gdy on i jego brat spróbowali uciec.

Koniec listopada 1959 roku. Bezchmurne niebo, księżyc wysoko. Delikatny wiaterek z południa, który wiał między pryzmami i wydawał się orzeźwiający. Wspomnienie innych czasów, innego miejsca.

Cykanie świerszczy na polu za drutami. Jack i William Randallowie. Twarze zaczerwienione; wyszli przez dziurę w ziemi i zaczęli się czołgać. Po piętnastu metrach zostali zauważeni.

Rozpętało się piekło. Psy. Strażnicy. Zaufani więźniowie. Reflektory. Chaos i szaleństwo, które wybuchły jak burza.

Zbili drugą skrzynię. Ustawili ją przy pierwszej. Tydzień dla każdego.

Cokolwiek to było, cokolwiek Jack Randall miał w środku, zostało złamane na pół i wdeptane w ziemię.

William podciął sobie żyły w styczniu 1960 roku.

Jack zmarł z samotności na wiosnę.

Pamiętam Auburn... A najbardziej myśl, która mi towarzyszyła każdej chwili każdego

dnia: że wiem, kto zabił Bridget, i że wiem, dlaczego. Nie miałem nazwiska, twarzy, żadnej wiedzy na temat jego tożsamości, ale był tam, w moich snach, a także wtedy, gdy się budziłem, naciskając swoją ciemną duszą na moją twarz, jakby chciał mi przypomnieć o zdradzie.

## XXVIII

Spędzę tu całe życie. Dopóki moje ciało nie wyda ostatniego tchnienia.

Cztery ściany, kamienna podłoga, metalowa prycza, dzień przechodzący w kolejny, o tym samym kolorze i rytmie. Do końca życia.

Joseph Calvin Yaughan, morderca.

Przez wszystkie te lata Thomas Billick już nigdy więcej się nie odezwał. Czekałem cierpliwie przez cały czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień. Przestrzegałem procedur i regulaminu; czekałem, ale około Bożego Narodzenia zapomniałem na co.

W Nowy Rok 1954 roku odezwał się do mnie świat zza murów pod postacią Paula Hennessy'ego. Przyszedł do mnie i siedział z twarzą ukrytą w dłoniach w wąskiej sali odwiedzin. Przez długi czas nie mógł się odezwać ani opanować płaczu.

O ironio, przez prawie całą wizytę to ja pocieszałem jego. Pytałem go o Brooklyn, o to, gdzie mieszka, co robi, o jego nowych przyjaciół i plany.

- Musisz pisać - powiedział mi. - Musisz to wszystko opisać, Josephie... Opisać wszystko, co się wydarzyło, a potem mi to dać. Pokażę to komuś. Sprawię, że ludzie zrozumieją, jak straszna rzecz ci się przydarzyła. Musisz to zrobić, Josephie... Jeśli nie dla siebie, to dla mnie. Nie mogę żyć ze świadomością, że nic się nie robi, żeby ci pomóc.

- Nic nie można zrobić - odparłem. - Co twoim zdaniem się stanie? Wszyscy uważają ten proces za sprawiedliwy. Nie mogłem się bronić. Nie mogłem udowodnić, gdzie byłem w czasie tych dwóch godzin tamtego ranka. Zobaczyli to, co chcieli zobaczyć, uwierzyli w to, w co kazano im wierzyć, i tym sposobem zostaną tu do końca życia.

- Nie - obstawał przy swoim Hennessy. - Nie mogę tego tak zostawić. Pół roku zbierałem się na odwagę, żeby tu przyjść. Rozmawiałem z policją. Napisałem list do gubernatora Nowego Jorku... Robiłem, co mogłem. Nikt nie chce słuchać. Nikt nie dba o to, co się z tobą stanie, Josephie... Nikt prócz mnie. Musisz wszystko opisać. Musisz mi dać coś, co będę mógł wykorzystać, żeby ci pomóc.

Powiedziałem mu raz jeszcze, że nic nie mogę zrobić. Powtarzałem mu to samo co miesiąc aż do końca roku. Wreszcie skapitulowałem; zacząłem pisać. Późno w nocy skrobałem słowa na szorstkim papierze używanym do zawijania produktów w kuchniach, a Hennessy co miesiąc odwiedzał mnie i wynosił ukradkiem kilka złożonych kartek, które później mozolnie przepisywał na maszynie.

Zacząłem od początku. Zacząłem od śmierci mojego ojca i opisałem ze szczegółami swoje życie.

Jednej rzeczy postanowiłem nie opisywać. Jednego wydarzenia, jednego wspomnienia. Jednej rzeczy, która ze mną zostanie do momentu, gdy Śmierć po mnie przyjdzie. Jej jednej to powiem i wtedy podejmie Ona odpowiednią decyzję.

Trzy, cztery kartki w miesiącu, rok po roku. Hennessy błagał, żebym pisał szybciej, żebym opisał ze szczegółami rzeczy, które dotyczyły śmierci Bridget. Nie mogłem. Postanowiłem powiedzieć światu, kim jestem. Świat mógł wybrać to, w co chciał wierzyć.

Pamiętałem słowa mojej matki, wypowiedziane w Augusta Falls przed tysiącem lat.

- Nie przestawaj - powiedziała. - Nigdy nie przestawaj pisać. Dzięki temu świat dowie się, kim jesteś.

Trzy dni po zabójstwie Johna F. Kennedy'ego, zimnego listopada 1963 roku napisałem ostatnie słowa. Randallowie nie żyli. W swoim własnym mniemaniu ja też.

Byłem wycieńczony, pusty, wyczerpany.

Wierzyłem, że mój los znajduje się w cudzych rękach.

Byłem w Auburn dziesięć i pół roku. Miałem trzydzieści sześć lat, niecały rok mniej niż mój ojciec, kiedy gorączka reumatyczna zatrzymała jego serce.

Być może byłem jedynie jego echem. To echo miało ucichnąć i miałem iść przez ciszę, żeby spotkać koniec samego siebie.

To by było właściwe; poza wszystkim innym to wydawało się właściwe.

Na tych stronach było zawarte całe moje życie.

Być może wartość takiego życia mierzy się za pomocą wagi papieru, ilości tuszu, głębokości druku na każdej stronie.

Być może zależała ona od wagi słów, emocji, które wzbudzały, i tego, ile osób zjednały.

Być może nie było żadnej wartości oprócz tego, w co sam wierzyłem - a wierzyłem, że nie ma innego sposobu, żeby wyrazić poczucie straty i rozpacz, które te wydarzenia wywołały.

Moje życie zaczęło się, trwało, a teraz wydawało się kończyć.

Jeśli te słowa mają być tym, co po mnie pozostanie, niech i tak będzie.

Być może niektórzy z nas wracają... Być może niektórzy z nas uczą się wystarczająco dużo, by zmieniać świat, wpływać na rzeczy, by stały się lepsze... stoją i obserwują... czekają, aż nastąpi właściwy moment, a potem zaczynają działać...

I mimo pozorów, mimo rzeczy, które wskazywały na coś wręcz przeciwnego, mimo strachu o to, co pomyślą inni, wciąż czułem, że wszyscy mamy tę cichą wiarę.

Cichą wiarę w anioły.



Później, o wiele później Paul Hennessy opowiedział mi o tym, co w tym czasie działo się po drugiej stronie więziennego muru.

Pracował jak szalony, często bez odpoczynku przez wiele godzin. Zapelniał stronę za stroną, zaniedbując przyjaciół i obserwując, jak jego własne życie zanika. A potem, w styczniu 1965 roku, pojechał na Manhattan, żeby spotkać się z Arthurem Morrisonem.

Wydawało się, że Morrison wreszcie otrzymał książkę, której ode mnie zawsze chciał, książkę o duchu i namiętności.

Hennessy wymyślił tytuł i w czerwcu tego samego roku Cicha wiara w anioły została wydana.

Odwiedził mnie w maju 1966 roku. Świat za murami Stanowego Zakładu Karnego w Auburn był innym światem. Ludzie mieli dotknąć Księżyca; w południowoschodniej azjatyckiej dżungli, w kraju o nazwie Wietnam rozgorzała wojna i Ameryka wysyłała tam dziesiątki tysięcy żołnierzy na pewną śmierć; marsze w obronie praw obywatelskich prowadzone przez człowieka o nazwisku King, człowieka, o którym Hennessy mówił tysiąc lat wcześniej, doprowadziły do tego, że ten właśnie człowiek znalazł się w więzieniu za mówienie prawdy; Kennedy nie żył, a naród wciąż go oplakiwał.

Hennessy siedział naprzeciwko mnie w wąskim boksie w sali odwiedzin. Za drucianą siatką wydawał się daleki, nieomal nieosiągalny, ale słowa, które wypowiedział, były wyraźne i konkretne.

- W Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych złożono apelację - oznajmił. Kiedy mówił, powstrzymywał łzy, ale nie wiedziałem, czy były to łzy nadziei na to, że zostanę uwolniony, czy smutku, ponieważ nie mam na to szansy. - Twoja książka sprzedaje się jak świeże bułeczki - kontynuował. Jego twarz była zamazana. Wszystko wydawało się stworzone z cieni i podświetleń, niematerialne, nieostre. - Nie nadążają z dodrukowywaniem. Morrison musiał zlecić dodruki większej drukarni w Rochester. Ludzie są oburzeni. Pytają, czy ta książka to fikcja... Nie mogą uwierzyć, że w Ameryce mogło dojść do takiej parodii sprawiedliwości. Coś się stanie, Josephie, coś na pewno się stanie.

- Mnie już prawie nie ma - odparłem. - Nie wiem, jaki mamy dziś dzień... Nie pamiętam, jak długo tu siedzę... - Poczulem, że moja twarz wykrzywia się w nienaturalnym uśmiechu; powiedziało mi o tym napięcie mięśni.

- Nie możesz tracić nadziei - wyszeptał Hennessy. Jego głos był nagłący, natarczywy i kiedy popatrzyłem na jego twarz, przypomniała mi się Cecily Bryan, noce, które spędzaliśmy w siedzibie Uczelnianego Kola Pisarzy, noce, gdy chodziliśmy po Manhattanie, śpiewając Days of '49 i pijąc calvert.

- Zrobiłem coś okropnego - powiedziałem i przymknąłem oczy.

- Nic nie zrobiłeś - odparł. - O to właśnie chodzi, Josephie... O to właśnie chodzi... Włożyliśmy wiele pracy w to, żeby prawda przedostała się na zewnątrz, i udało się wbrew wszystkim przeciwnościom. Ludzie wiedzą, co się stało. Widzą, że to była straszna pomyłka...

Wstałem powoli z krzesła. Popatrzyłem z góry na jedyne przyjaciela, jakiego miałem.

- Nie mam nic do powiedzenia - rzuciłem. - Nie jestem w stanie odczuwać nadziei, nie jestem w stanie widzieć nic poza tym, co mam tutaj... - Głos mi się załamał i poczułem na sobie ciężar ostatnich dwunastu lat.

- Nie możesz tracić nadziei! - upierał się Hennessy. - Nie możesz, Josephie, nie możesz...

Jego głos zanikł, kiedy odszedłem.

Strażnik wypuścił mnie na korytarz. Próbowałem na niego nie patrzeć. Gdyby zobaczył, że płaczę, wysłałby mnie do skrzyni.

Hennessy wrócił następnego dnia. Przyszli po mnie, ale nie chciałem iść. Potem mi powiedzieli, że zostawił list. Nie przeczytałem go.

Leżałem na pryczy i obserwowałem cień rzucany przez kraty na sufit.

Tygodnie przeszły w miesiące. Więcej listów, więcej odwiedzin Paula. Nie chciałem go widzieć. Straciłem rachubę czasu. Rozpoznawałem, kiedy jest noc, a kiedy dzień, ale to wszystko.

- Vaughan! Joseph Vaughan!

Moje nazwisko zostało wykrzyczane z galerii. Obróciłem się na bok i zamknąłem oczy.

- Joseph Vaughan... do naczelnika. Joseph Vaughan!

Usiadłem na krawędzi pryczy. Serce zaczęło mi szybciej bić. Nie byłem w stanie sam siebie zapytać o to, co się działo. Bałem się, straszliwie się bałem.

Strażnik stanął przed drzwiami mojej celi. Skinął głową.

- Otworzyć celę numer osiem.

Zamek został zwolniony, drzwi się otworzyły.

- Wstawaj, Vaughan. Idziesz do naczelnika.

Sięgnąłem po buty. Włożyłem je i stanąłem ostrożnie. Poczulem pot na czole.

- Ruszaj się, na miłość boską!

Zacząłem iść; potknąłem się i musiałem złapać się kraty. Strażnik wyciągnął rękę i

złapał mnie za ramię, wyciągnął mnie na korytarz i krzyknął, żeby zamknąć celę. Drzwi zagrzmiały za mną i zostałem popchnięty na schody.

Kilka minut później stałem w korytarzu bez okien. Stałem w milczeniu, nie poruszałem się. Z końca korytarza obserwowało mnie dwóch zaufanych więźniów naczelnika. Wreszcie drzwi za mną się otworzyły i kazano mi wejść do środka. Stałem w przedsionku gabinetu. Serce waliło mi jak oszalałe, wydawało się za duże w stosunku do klatki piersiowej. Zamknąłem oczy i przełknąłem ślinę. Czekałem, aż wydarzy się coś okropnego.

Weszła młoda kobieta. Uśmiechnęła się niepewnie, ale ja nie mogłem się zdobyć na to samo.

- Tędy, Vaughan - powiedziała. Jej głos wydawał się dziwny. Uświadomiłem sobie, że przez ponad dziesięć lat nie słyszałem kobiecego głosu.

Naczelnik Forrester. Imponujący z uwagi zarówno na swoje gabaryty, jak i reputację. Człowiek - brutalna pięść. Oczy jak reflektory

Tygodnie przeszły w miesiące. Więcej listów, więcej odwiedzin Paula. Nie chciałem go widzieć. Straciłem rachubę czasu. Rozpoznawałem, kiedy jest noc, a kiedy dzień, ale to wszystko.

- Vaughan! Joseph Vaughan!

Moje nazwisko zostało wykrzyczane z galerii. Obróciłem się na bok i zamknąłem oczy.

- Joseph Vaughan... do naczelnika. Joseph Vaughan!

Usiadłem na krawędzi pryczy. Serce zaczęło mi szybciej bić. Nie byłem w stanie sam siebie zapytać o to, co się działo. Bałem się, straszliwie się bałem.

Strażnik stanął przed drzwiami mojej celi. Skinął głową.

- Otworzyć celę numer osiem.

Zamek został zwolniony, drzwi się otworzyły.

- Wstawaj, Vaughan. Idziesz do naczelnika.

Sięgnąłem po buty. Włożyłem je i stanąłem ostrożnie. Poczulem pot na czole.

- Ruszaj się, na miłość boską!

Zacząłem iść; potknąłem się i musiałem złapać się kraty. Strażnik wyciągnął rękę i złapał mnie za ramię, wyciągnął mnie na korytarz i krzyknął, żeby zamknąć celę. Drzwi zagrzmiały za mną i zostałem popchnięty na schody.

Kilka minut później stałem w korytarzu bez okien. Stałem w milczeniu, nie poruszałem się. Z końca korytarza obserwowało mnie dwóch zaufanych więźniów naczelnika. Wreszcie drzwi za mną się otworzyły i kazano mi wejść do środka. Stałem w przedsionku

gabinetu. Serce waliło mi jak oszalałe, wydawało się za duże w stosunku do klatki piersiowej. Zamknąłem oczy i przełknąłem ślinę. Czekałem, aż wydarzy się coś okropnego.

Weszła młoda kobieta. Uśmiechnęła się niepewnie, ale ja nie mogłem się zdobyć na to samo.

- Tędy, Vaughan - powiedziała. Jej głos wydawał się dziwny. Uświadomiłem sobie, że przez ponad dziesięć lat nie słyszałem kobiecego głosu.

Naczelnik Forrester. Imponujący z uwagi zarówno na swoje gabaryty, jak i reputację. Człowiek - brutalna pięść. Oczy jak reflektory pod grubymi brwiami, nos skrzywiony, jakby miał za sobą karierę boksera. Wstał zza biurka i podszedł do mnie.

- Joseph Vaughan - powiedział. Głos, który wydobył się z jego ust, wydał mi się zwodniczy. W jego tonie było coś prawie współczującego.

- Tak jest, proszę pana - odparłem.

- Wygląda na to, że masz anioła stróża. - Uśmiechnął się, odwrócił do kobiety i poprosił ją, żeby przyniosła mi krzesło.

- Siadaj, Vaughan, siadaj.

Forrester wrócił do biurka. Usiadł na jego brzegu.

Ja też usiadłem i popatrzyłem na niego.

- Podobno nie chciałeś przyjmować gości ani otwierać listów, które do ciebie przychodziły.

Skinąłem głową.

- Zgadza się.

- Chyba jednak powinieneś był to robić, Vaughan. - Forrester odwrócił się i zebrał stos kopert z biurka.

- Większość przyszła od człowieka o nazwisku Hennessy, inne od Arthura Morrisona. Znasz tych ludzi?

- Tak, proszę pana, znam.

- Mogę spytać, dlaczego byłeś tak niechętny kontaktom ze światem zewnętrznym?

Odchrząknąłem. Zamrugałem powiekami, jakby zrzucając sen z oczu.

- Nie wiem, proszę pana... Woląłem nie wiedzieć, co się tam dzieje.

Forrester skinął głową. Zaczął przeglądać listy.

- Ten - powiedział - powiadomiłby cię, że w maju 1966 roku w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych została złożona apelacja. - Forrester odłożył list na kupkę i podniósł następny. - Ten, z listopada tego samego roku, powiedziałby ci, że Sąd Najwyższy potwierdził otrzymanie oryginalnych protokołów z twojego procesu i że się z nimi zapoznaje.

A ten ze stycznia 1967 roku to list od Paula Hennessy'ego, w którym pisze on, że Sąd Najwyższy wyznaczył datę posiedzenia i jest gotowy przesłuchać niejakiego Thomasa Billicka, sędziego Marvina Baxtera i kilku kluczowych świadków, wezwanych przez oskarżyciela. - Forrester uniósł wzrok. Chyba spodziewał się po mnie jakiejś reakcji. Nie miałem nic do powiedzenia.

- Ten list przyszedł z biura prokuratora okręgowego stanu Georgia. Wyraża się w nim ubolewanie, że twoja obrona była prowadzona tak nieudolnie... A ten, sprzed dwóch tygodni, znów od Hennessy'ego, zawiera wiadomość, że rozważa się apelację i że odpowiedź powinna nadejść w ciągu tygodnia.

Forrester rzucił listy na biurko. Złożył ręce na kolanach i uśmiechnął się.

- Odpowiedź przyszła dziś rano, panie Vaughan. Dzisiaj, w poniedziałek, 20 lutego 1967 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że skazano pana na podstawie zbyt słabych dowodów. Wyznaczono datę nowego procesu.

Przestałem oddychać. Zaczęło mi szumieć w skroniach.

- Rozumie pan, co to oznacza, panie Vaughan? - zapytał Forrester.

Gapilem się na niego jak wół na malowane wrota. Nic z tego nie rozumiałem.

- To oznacza, że pana wyrok został unieważniony i że odbędzie się kolejny proces.

Zacząłem płakać.

Forrester skinął na młodą kobietę, a ona podała mi chusteczkę. Wydawało mi się, że dotykała mojej ręki chwilę dłużej, niż było to konieczne. Spojrzałem na nią. Przez łzy wydawała się niewyraźna i nieokreślona. Uśmiechnęła się do mnie z takim współczuciem, że nie sposób było odpowiedzieć na ten uśmiech.

Forrester pochylił się do mnie i położył rękę na moim barku.

13 lat i 9 miesięcy.

Miałem 39 lat.

Dziesięć minut po godzinie czwartej tego samego popołudnia zostałem poprowadzony przez korytarze i biura, których nigdy wcześniej nie widziałem. Zobaczyłem okna bez krat. Zobaczyłem więcej nieba, niż pamiętałem.

Kazano mi wziąć prysznic, włożyć czystą koszulę, dżinsowe spodnie, bawełnianą marynarkę. Dostałem buty ze sznurowadłami.

Kazano mi pokwitować odbiór rzeczy, które zostały umieszczone w teczce z moim nazwiskiem.

Stałem w małym pokoiku przez kwadrans. Były tam dwie pary drzwi, jedne po mojej lewej stronie, drugie przede mną. Zarówno jedne, jak i drugie były otwarte. Ludzie wchodzili,

niektórzy się uśmiechali, inni tylko kiwali głowami i za każdym razem wyobrażałem sobie, że ktoś się zatrzyma, zmarszczy brwi i zacznie tłumaczyć, że zaszła straszliwa pomyłka.

Byłem pewien, że zaraz się obudzę i zrozumie, że tylko śniłem.

Osiem po piątej w drzwiach po lewej stronie pojawił się mężczyzna.

- Vaughan, tak?

Skinąłem głową i spróbowałem się uśmiechnąć.

- Przewieziemy cię do aresztu tymczasowego. Twój ponowny proces zaczyna się pojutrze.

Nic nie powiedziałem. Nie zostały mi żadne słowa. Wypełniałem dawane mi polecenia. Odpowiadałem na zadawane pytania. Jechałem w milczeniu z tyłu samochodu, wciąż w kajdankach, wciąż pełen niedowierzania. Po jakimś czasie pokazano mi kolejną celę w kolejnym skrzydle kolejnego więzienia.

Krawędzie rozmazały się. Nie musiałem ich widzieć, bo zawsze ktoś mnie prowadził. Znow zobaczyłem Billicka, tym razem stojącego na miejscu dla świadka i odpowiadającego na pytania dotyczące mojego pierwszego procesu. Był tam Hennessy, Arthur Morrison, inni, których nie znałem. Fotoreporterzy, którzy chcieli zrobić mi zdjęcie. Każdego dnia, kiedy opuszczałem budynek sądu, stawałem przed ścianą fleszy.

Wszystko wydawało się tak szybko dziać i nagle - zanim się spostrzegłem - raz jeszcze poproszono mnie, żebym stanął, i ktoś patrzył na mnie z góry, i ktoś mówił mi, że przeszłość nic nie znaczy, że to, co się zdarzyło, to była pomyłka, że była to pomyłka sądowa i tak dalej. A potem się uśmiechnął i pokiwał głową, i przez chwilę wydawało się, że zamknął oczy, jakby delektował się tym, co zaraz powie. I w końcu to powiedział:

- Josephie Calvinie Vaughan, został pan uznany za niewinnego zamordowania Bridget McCormack. Jest pan wolny. Proszę dopilnować, żeby oskarżonemu zdjęto kajdanki.

Godzinę później stoję w innej sali. Przed sobą mam jakiegoś mężczyznę.

- To jest twoja wypłata, Vaughan - wręcza mi brązową kopertę. - Podpisz tutaj... i tutaj...

Podpisuję.

- Dolar i osiemdziesiąt centów za każdy tydzień - mówi. - Niedużo, ale na podróż do domu wystarczy.

Odwraca się i wychodzi.

Otwieram kopertę. W środku widzę banknoty pięciodolarowe, kilka jednodolarówek. Razem około 1200 dolarów.

- Chyba nie chcesz się z nimi obnosić, Vaughan.

Podnoszę wzrok. Przede mną stoi jakiś inny mężczyzna. Uśmiecha się.

- Nieodpowiednie miejsce do chwalenia się takimi pieniędzmi, prawda? - Zaczyna się śmiać. - Jesteś gotowy?

- Gotowy? - pytam.

- Żeby wyjść - mówi mężczyzna, nieco zaskoczony. - Ktoś po ciebie przyjechał - dodaje, a potem pokazuje, że bym za nim poszedł.

Składam kopertę z pieniędzmi i upycham ją w kieszeni marynarki.

Idę za tym mężczyzną. Przechodzimy przez kolejną salę i idziemy długim korytarzem. Na końcu otwiera drzwi, odsuwa się na bok i wyciąga do mnie rękę.

- Zrób tam coś dobrego - mówi i podaje mi dłoń. - Rozumiesz?

Nic nie odpowiadam.

- Idź już - rzuca i patrzy na lewo.

Podążam za jego wzrokiem i widzę - wstającego z krzesła pod ścianą - Hennessy'ego.

## XXIX

Manhattan był wizją z jakiegoś innego świata. Samochody, ludzie, ubrania; wydawało się, że wszechświat przekręcił się wzdłuż jakiejś niezidentyfikowanej osi i wszystko się zmieniło.

Ja też się zmieniłem, być może nieodwracalnie.

Tego dnia pojechaliśmy samochodem, pokonaliśmy nim całą drogę z Auburn na Manhattan. Autostradą 20, międzystanową 81, przez Binghamton, na południowy wschód do Scranton w Pensylwanii; międzystanową 380 do Stroudsburg, na wschód do Morristown, Paterson, z powrotem przez granicę hrabstwa Nowy Jork i przez północny kraniec New Jersey.

Czasami zatrzymywaliśmy się po prostu dlatego, że musiałem. Stałem na poboczu, obserwowałem horyzont i ledwo mogłem oddychać. Hennessy stał koło mnie. Nic nie mówił, tylko trzymał mnie za ramię, żebym nie upadł. Byłem rad, że się nie odzywał, bo wydawał się rozumieć, że nie dam rady pochłaniać tego, co widziałem, jednocześnie komunikując się z nim. Czułem się zagubiony, pozbawiony kotwicy i za każdym razem, kiedy zamykałem oczy i ponownie je otwierałem, wydawało mi się, że zobaczę bure ściany z zaciekami wilgoci; że poczuję smród zamkniętych ludzi - odór potu, frustracji, szaleństwa. Wyszedłem z katakumb na światło dzienne i światło dzienne wypaliło w moich oczach ślady, które będę pamiętał do końca życia. Pola, rozpadające się chatki, niektóre skupione razem, inne oddalone od siebie, jakby losowo porzucane przez niewidzialną dłoń; krowy i konie, elewatory zbożowe wznoszące się wysoko i dumnie jak świątynie ku czci ziemi; hektary pól sorgo i kukurydzy; tory kolejowe, które biegły prosto przez setki kilometrów, w którąkolwiek stronę nie spojrziałem, wszystko to ogromne, niesamowite i zapierające dech w piersiach.

Jechaliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się raz w przydrożnym barze, gdzie usiadłem w najdalszym kącie od drzwi, plecami do ściany. Za każdym razem, kiedy ktoś przechodził przez salę i wchodził do łazienki, patrzyłem nerwowo na tę osobę, a kiedy wychodziła, obserwowałem ją do momentu, gdy usiadła przy swoim stoliku.

- Wszystko w porządku - zapewniał mnie Hennessy, a ja kiwałem głową, próbowałem się uśmiechać i jeszcze baczniej obserwowałem ludzi.

Hennessy zamówił jajka na bekonie i smażone ziemniaki z cebulką. Jadłem powoli, ale w końcu pochłonałem całą swoją porcję i większość jego. Kiedy wyszliśmy, poczułem mdłości i zwymiotowałem wszystko, co zjadłem, na parkingu przed barem. Byłem przyzwyczajony do gotowanych ziemniaków, cienkich plastrów gotowanej wołowiny,



owsianki i kapusty. Teraz mój organizm się zbuntował. Hennessy wrócił po kubek czarnej kawy, a ja otworzyłem drzwi samochodu i usiadłem z przodu ze stopami na asfalcie. Patrzyłem, jak ludzie wchodzi i wychodzą, obserwowałem ich bacznie. Uświadomiłem sobie, że szukam kogoś, kogo nigdy nie rozpoznam.

Było późno, kiedy przyjechaliśmy do Stuyvesant na Brooklynie. Na ulicach było jasno jak w dzień; sodowe żółte lampy, neonowe znaki, jasno oświetlone wystawy sklepów.

Poszedłem za Hennessym nieznanymi chodnikami, aż dotarliśmy do dwupiętrowego budynku. Na pierwszym piętrze, z widokiem na nowy świat, miał wygodne mieszkanie. Pokazał mi swój pokój i mniejszy naprzeciwko, gdzie już przedtem pościelił łóżko dla mnie. Stałem przez chwilę nieruchomo, a potem odwróciłem się do niego. Wyciągnąłem ramiona i uściskałem go tak mocno, że nie mógł oddychać, a potem wszedłem do pokoju i położyłem się na materacu. Spałem w ubraniu. Kiedy się obudziłem, był wieczór następnego dnia i okazało się, że Hennessy zdjął mi buty. Przy materacu leżało małe kartonowe pudełko. Otworzyłem je ostrożnie, a to, co zobaczyłem w środku, sprawiło, że przestałem oddychać. Moje wycinki z gazet, poźółkle, pozawijane na brzegach. Kiedy je przeglądałem, widziałem każdą twarz, czytałem wszystkie słowa, jakbym był tam znowu. Pod nimi było zdjęcie Bridget i kiedy wyjąłem je z pudełka, wydawało mi się, że za chwilę cały świat zamknie się wokół mnie, a ja się uduszę w środku. Nie płakałem. Nie potrafiłem. Wszystkie łzy wylałem w pierwszym miesiącu pobytu w Auburn. Na dnie leżał list od komisji konkursu dla młodych autorów opowiadań w Atlancie.

Komisja konkursu dla młodych autorów opowiadań w Atlancie... To było pudełko z martwymi marzeniami i odległymi nadziejami. A także z koszmarami. Włożyłem wszystko z powrotem do środka, zamknąłem szczelnie i usiadłem po turecku na podłodze, trzymając pudełko przed sobą.

- Wziąłem je z pokoju - powiedział mi później Hennessy. - Z domu Aggie Boyle. Poszedłem tam później, wiesz... kiedy... - Spojrzał na mnie z bólem. - Kiedy wszystko zostało...

Uśmiechnąłem się do niego i zamilkł.

- W porządku - wyszeptalem. - I dziękuję.

Nie wyściubiałem nosa z domu przez dwa tygodnie. Nie widywałem się z nikim oprócz Hennessy'ego. To, co mówiłem, nie miało żadnego znaczenia. Hennessy próbował skłonić mnie do wyjścia. Mówił o ludziach, z którymi powinienem się zobaczyć - Arthurze Morrisonie czy Benie Godfreyu. Mówił, że dzwonią bez przerwy z gazet i magazynów. Chcą porozmawiać z człowiekiem, który napisał Cichą wiarę w anioły.

Nie byłem w stanie się z nimi spotkać.

Luty przeszedł w marzec. Na drzewach zaczęły pokazywać się liście. Hennessy często wychodził, a ja po prostu siedziałem przy oknie i obserwowałem przejeżdżające samochody i ludzi na chodniku. Pewnego dnia zobaczyłem grupę dzieci. Stały za młodą kobietą, trzymając się za ręce i przygotowując się do przejścia przez ulicę na skrzyżowaniu. Rozpłakałem się, kiedy je zobaczyłem, a potem odsunąłem się od okna i nie śmiałem wyrzeć ponownie przez dwa dni.

Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, śledzi każdy mój ruch. Nie było godziny, żebym nie myślał o Bridget, moim nienarodzonym dziecku, człowieku, który to zrobił. Uważałem, że to ten sam człowiek, który zabijał dziewczynki. Uważałem, że przywiózł swoje szaleństwo aż z Georgii i tym szaleństwem zniszczył wszystko, co miałem. Ogołocił moje dzieciństwo z niewinności, pokazał mi mroczny i zdeprawowany świat, gdzie koszmary stawały się rzeczywistością, gdzie dzieci odbierano rodzicom, bito, gwałcono i zabijano. Ten człowiek prześladował Haynesa Dearinga, posiadał jego myśli, te na jawie i we śnie, i Dearing musiał zrobić coś, czego w innym wypadku by nawet nie rozważał. Dearing przypilnował, żeby Gunther Kruger się powiesił. Sam lub przy pomocy Dearinga. Nie wiedziałem, co się stało tego ranka, i nie musiałem wiedzieć. Wiedziałem, że Gunther Kruger nie zabił tych dzieci. Wierzyłem w to całym sercem i duszą. Moja matka się myliła. Uważała, że Gunther jest winny, dlatego próbowała go zabić, podpalając jego dom. Doszedłem do wniosku, że tu najważniejszym czynnikiem było poczucie winy. Niewykluczone, że oszalała na długo przed pożarem i uwierzyła, że pozbycie się Gunthera Krugera z Augusta Falls to jedyny sposób na zdjęcie z barków ciężaru niewierności.

Moim zdaniem morderca dzieci wciąż był na wolności. Przyjechał za mną do Nowego Jorku i zabił Bridget. Wiedziałem też, że jakiegokolwiek były jego motywy, nie zrozumie ich, dopóki nie stanę z nim twarzą w twarz. Pytałem siebie dlaczego. Dlaczego ja? Dlaczego właśnie takie życie zostało dla mnie wybrane? Ale nie było odpowiedzi i wiedziałem, że ta kwestia nie zostanie rozwiązana, dopóki nie znajdę tego człowieka. To z tą myślą egzystowałem gdzieś na nieokreślonym terytorium między życiem a śmiercią, bojąc się spojrzeć na świat, bojąc się, że świat mnie odnajdzie. Tak bardzo zależało mi na Paulu Hennessym; rozumiałem, że to on mnie uratował z Auburn, ale wiedziałem, że nigdy nie zrozumie tego, przez co przeszedłem. Kiedy wszystko zostaje ci odebrane, przestajesz się bać porażki. Dlatego postanowiłem opuścić Brooklyn i wrócić do Georgii. Dryfowałem bez celu i wiedziałem, że nie mogę narzucać swojego stylu życia osobie, której na mnie najbardziej zależy.

Georgia była w centrum wspomnień jak jakieś ciemne i zatrute drzewo - z szerokimi gałęziami, które zasłaniały niebo; Georgia to był mój dom, moja nemezis, na swój sposób moje zbawienie.

W trzecim tygodniu marca 1967 roku powiedziałem Hennessy'emu o swoich zamiarach.

Pokręcił głową i wpatrzył się w okno. Podążyłem za jego wzrokiem i za szybą ujrzałem mnóstwo świateł miasta, o którego znaczeniu zapomniałem. Nowy Jork przywołał mnie z Georgii, a ja teraz pragnąłem tam wrócić. Nowy Jork symbolizował przyszłość, wszystko, czym pragnąłem się stać kiedyś, a jednak wracałem do przeszłości. Strach zaciskał się we mnie niczym węzeł gordyjski. W którąkolwiek stronę się nie odwróciłem, jakkolwiek nie próbowałem się od niego uwolnić, on tylko się zaciskał i zaciskał. Wszystko tam było: małe dziewczynki, wspomnienia o Elenie, Alex, Bridget - i czasami, leżąc przebudzony w chłodzie wczesnego świtu, przypominałem sobie ich twarze. A potem zaczynałem słyszeć ich głosy i rozumiałem, że strach nie odejdzie, dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona.

- Nie możesz wrócić, Josephie - powiedział Hennessy. W jego słowach pobrzmiewały troska i litość. Może wierzył, że widok Nowego Jorku obudzi we mnie tę osobę, którą byłem kiedyś. Być może wierzył, że powrócę - powoli, stawiając jeden niepewny krok za drugim, chybotliwie, ale jednak. Nie rozumiał, być może nigdy nie miał zrozumieć, że Joseph Vaughan, którego pamiętał, odszedł raz na zawsze. Staralem się ze wszystkich sił pozostać nieprzejednany, jednak przeszłość umiała owinać się wokół mnie; Paul Hennessy był moją kotwicą. Chciałem ją teraz puścić.

- Muszę - powiedziałem. - Wiem, że tego nie zrozumiesz...

- Rozumiem - przerwał mi.

Siedzieliśmy przy jego wąskim stole kuchennym. Okno za nami było nieznacznie otwarte i przez szparę wiał lekki wiaterek. Zadrzałem.

- Nie twierdzę, że rozumiem to, przez co przeszedłeś, Josephie, ale znam cię najlepiej na świecie. Jeśli będziesz tego się trzymał, to w końcu cię zabije. Pozwól przeszłości odejść...

Pokręciłem głową i zobaczyłem wyraz rezygnacji na jego twarzy.

- Nie mogę odpuścić - powiedziałem. Chwyciłem go za rękę. - Potrzebuję pieniędzy.

Skinął głową.

- Jesteś bogaty. Książka...

- Potrzebuję naprawdę niewiele - przerwałem mu. - Nie chcę dużo. Reszta należy do ciebie.

Hennessy roześmiał się nerwowo.

- Nie mogę...

- Możesz, Paul. Pieniądze są twoje. Potrzebuję tysiąca dolarów. Daj mi tysiąc dolarów i zatrzymaj resztę.

- Tysiąc dolarów? - krzyknął. - Masz pojęcie, ile pieniędzy przyniosła twoja książka? Wzruszyłem ramionami.

- Nie chcę wiedzieć. Ta wiedza nie jest mi do niczego potrzebna. Zdobądź dla mnie tysiąc dolarów, o to tylko proszę. Reszta jest twoja i możesz z nią zrobić, co ci się żywnie podoba. Właśnie tego chcę.

- Jako twój przyjaciel... Jezu, jako twój przyjaciel, nie mogę ci na to pozwolić.

Uśmiechnąłem się.

- Jako mój przyjaciel, jedyny przyjaciel, jakiego mam, musisz mi na to pozwolić. Nie mogę tu zostać. Nie mogę siedzieć w jakimś mieszkaniu w Nowym Jorku, podczas gdy to mnie prześladowa. To jest moje życie, wiesz? To jest to, kim jestem - spojrzałem w kierunku okna i zamknąłem oczy. - Czasami myślę, że to jedyny powód mojego istnienia.

- Dokąd pojedziesz?

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Hennessy'ego.

- Do Georgii - powiedziałem. - Do Augusta Falls. Muszę znaleźć Dearinga... Muszę go znaleźć i dokonać tego razem z nim.

- Myślisz, że będzie chciał ci pomóc?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Jeśli żyje, odnajdę go. A kiedy to zrobię, dowiem się, czy zechce mi pomóc.

- A jeśli zginiesz? Co wtedy?

- Nie rozumiesz? - zapytałem. - Jeśli zginę, przynajmniej zginę, próbując.

Hennessy przez chwilę nic nie mówił. Wpatrywał się w jakieś nieokreślone miejsce między ścianą a podłogą. Potem odwrócił się do mnie i skinął głową.

- Załatwię pieniądze - powiedział.

- To dobrze - odparłem. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Dwa dni później, w piątek, stałem w przedpokoju mieszkania Hennessy'ego. U moich stóp leżała skórzana torba podręczna z najniezbędniejszymi rzeczami. W kieszeni miałem tysiąc dolarów, plik biletów kolejowych, które miały mnie zabrać aż do Georgii, i zdjęcie Bridget McCormack. W kopercie na dnie mojej torby leżały list z Atlanty i wycinki prasowe, wszystkie po kolei od listopada 1939 roku aż do lutego dziesięć lat później. Lucy Bradford zginęła prawie dwadzieścia lat temu. Gdyby żyła, miałaby teraz 26 lat, być może byłaby mężatką, miała własne dzieci, pamiętała daleki koszmar z dzieciństwa, kiedy małe

dziewczynki porywano i brutalnie mordowano.

Uściskałem Paula Hennessy'ego, zastanawiając się, kiedy znowu go zobaczę.

- Czuję, że muszę... - zaczął, ale puściłem go i pokręciłem głową.

- Joseph...

- Idę już - przerwałem mu. - Zadzwoń, kiedy będę mógł.

- Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, zadzwoń - powiedział. - Prześlę ci telegraficznie.

Uśmiechnąłem się, pochyliłem i podniosłem torbę.

- Do następnego razu - powiedziałem, a potem odwróciłem się i wyszedłem cicho z mieszkania, po czym zszedłem schodami na ulicę.

Kiedy dotarłem do skrzyżowania, odwróciłem się i zobaczyłem twarz Hennessy'ego w oknie. Uniósł rękę, a potem zniknął.

Z Pensylwanii do Maryland, przez Wirginię do obu Karolin. Wilmington, Baltimore, Richmond, Raleigh i Columbi. Twarze zmieniające się na każdej stacji. Za oknem bezmierne przestrzenie południowego wschodu. Hałas pociągu wokół mnie, stukającego, huczącego i łomoczącego w kierunku horyzontu, poprzez światło dnia w ciemność, a potem znów w światło. Usilnie starałem się spać, nie myśleć, nie bać się. Leżałem zwinięty w kłębek na łóżku w wagonie sypialnym. Każde szarpnięcie mnie budziło, każdy gwizd lokomotywy przedzierał się przez moje sny i przypominał mi, dokąd jadę i dlaczego.

Myślałem o Haynesie Dearingu i o tym, co zrobił tego straszliwego dnia. Myślałem o Reillym Hawkinsie i o tym, czy zastanę go jeszcze przy życiu, czy też został pochowany w ziemi, której nigdy nie opuszczał. Ostatni raz widziałem go na procesie, czternaście lat temu. Musiałby być już staruszką; serce złamane przez śliczną niczym laleczka dziewczynę z hrabstwa Berrien z pewnością się nie zaleczyło. Czas nie leczy takich ran. Czas nie robi nic prócz przypominania, że nieuchronnie biegnie naprzód.

W niedzielę dwudziestego szóstego przejechaliśmy granicę stanu Georgia. Pamiętam, że przeszedłem całą długość pociągu i w końcu stanąłem w drzwiach ostatniego wagonu, patrząc na tory rozwijające się za nami niczym wstążka. Spojrzałem na horyzont i poczułem przypływ wspomnień, i choć było coś nostalgicznego w krajobrazie przede mną, towarzyszyło mi również ogromne poczucie straty, jaką reprezentowała sobą Georgia. Ta ziemia się zmieniała, lecz nigdy nie na tyle, by stać się czymś innym, niż była. To było moje dzieciństwo, śmierć mojego ojca, mojej matki; to była kuchnia Krugerów, zapach frankfurterek i sałatki ziemniaczanej. To było milczące czuwanie mojej matki; jej oczy czarne od proszku antymonowego. To byli Strażnicy i morderca dzieci, plakaty porozwieszane na

płotach i bramach, godzina policyjna i ostrzeżenia, Gunther, który stał w ciemności i wystraszył mnie jak wszyscy diabli; to była Alex Webber, szkoła, ławki, podeszwy białych butów nad grzbietem wzgórza; to było dziesięć nieżywych dziewczynek, stojących w rzędzie i czekających na skrzydła. To było Augusta Falls, dom mego serca, mimo że było złamane.

Przypominam sobie wszystkie te rzeczy w pokoju hotelowym na trzecim piętrze. Opadam na bok. Prawie nie mam czucia w nogach. Krew zasycha i krzepnie. Czuję ją i przypominam sobie, że ten sam zapach czułem tego dnia, gdy znalazłem Virginie Grace Perlman, a także wtedy, gdy pojechałem do Fleming, żeby zobaczyć ciało Esther Keppler. Teraźniejszość jest echem przeszłości i patrząc na siebie, zastanawiam się, czy nie stałem się w końcu tym, co mnie przez tyle czasu prześladowało.

Zamykam na chwilę oczy, a potem otwieram je i patrzę na człowieka przed sobą.

- Przyszedłem po ciebie - szepczę i mój głos wydaje mi się odległy i słaby.

Ponownie zamykam oczy.

Chcę już tylko zapaść w sen, nie pragnę nic więcej.

Chcę już tylko zapaść w sen.

### XXX

Nie było mnie siedemnaście lat. Augusta Falls nie zmieniło się aż tak bardzo, żebym go nie poznał. W miasteczku było wszystko to, co pamiętałem. Oprócz tego jednak dostrzegłem kilka nowości. Motel w kształcie półksiężyca za polem, które kiedyś należało do brata Franka Turowa; niewielki dom towarowy, który wydawał się już mieć najlepsze czasy za sobą; magazyn zboża Gene'a Frickera zniknął całkowicie, a na jego miejscu stała stacja benzynowa, której jaskrawoczerwone dystrybutory kojarzyły się z wartownikami. Gdzie nie spojrzełam, widziałem duchy przeszłości, ślady po budynkach, które ongiś tam stały. Przypadkowy turysta nie dostrzegał takich rzeczy, ale ja znałem Augusta Falls jak własną kieszeń, to miasteczko było częścią mnie, nieodłącznym elementem tego, kim byłem - tak więc nowe fasady, inne ogrodzenia czy odmienne szyldy nie mogły zmienić tego, co pamiętałem.

Zatrzymałem się w motelu w kształcie półksiężyca. Zapłaciłem za pokój i wziąłem klucz, a potem zamknąłem się i spałem prawie dwadzieścia czterech godzin. Kiedy w końcu się obudziłem, był wtorek, 28 marca, rano. Recepcjonista spojrzał na mnie tak, jakby miał dziesiątki pytań, których bał się zadać. Zastanawiałem się, czy można wyczuć, kim jestem, dlaczego tu jestem i jaki jest powód mojego powrotu po latach. Czy ludzie, patrząc na mnie, widzą uosobienie plotek, które słyszeli o tym zabójczym mieście? Czy nawet teraz, blisko dwadzieścia lat później, pilnują dzieci cały czas świadomości faktu, że to, co się tu kiedyś działo, z łatwością może zacząć się dziać na nowo?

Powiedziałem recepcjoniście, że zostanę tu jeszcze co najmniej jedną noc.

Popatrzył na mnie nieufnie. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a już w jego sposobie bycia była podejrzliwość.

- Na jeszcze jedną? - upewnił się.

- Może dwie - odparłem. - Chciałbym się zobaczyć z paroma osobami.

Zmarszczył brwi.

- Mieszka pan w okolicy?

- Kiedyś mieszkalem - odrzekłem. - Wiele lat temu.

Skinął głową.

- Ja nie jestem stąd - powiedział. - Pochodzę z okolic Race Pond.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie to, co opowiadał Reilly

Hawkins o moim ojcu. O tym, jak on i Kempner Tzanck pojechali za Race Pond, żeby zobaczyć się z jakimś mieszkańcem Brantley. Jak mój ojciec przywalił pewnemu gościowi

tak, że podobno wykrwawił się na śmierć.

- Szuka pan kogoś w szczególności? - zapytał recepcjonista.

- Hawkinsa - odparłem. - Reilly'ego Hawkinsa.

Pokręcił głową.

- Chyba nigdy nie słyszałem o kimś takim. Najlepiej będzie pójść do szeryfa. Nazywa się Dennis Stroud. Jest tutaj od jakichś dziesięciu albo nawet piętnastu lat. On na pewno będzie w stanie panu pomóc.

- Dziękuję - powiedziałem. - Do zobaczenia.

Znalazłem biuro szeryfa bez najmniejszego trudu. Mieściło się w nowym budynku pobudowanym w miejscu szkoły. Niewykluczone zresztą, że był to gmach szkolny, tyle że dodano do niego niską murowaną przybudówkę ze zbyt wieloma oknami.

Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wszedłem do środka.

Znad maszyny do pisania zerknęła na mnie młoda kobieta. Była to ładna dziewczyna o blond lokach. Uśmiechnęła się do mnie grzecznie i zapytała, czym może służyć.

- Chciałbym zobaczyć się z szeryfem Stroudem - powiedziałem.

- A mogę wiedzieć, w jakiej sprawie? - zapytała.

- Szukam kilku osób... Pomyślałem sobie, że będzie mógł mi pomóc.

Kilka minut później siedziałem na krześle naprzeciwko szeryfa Dennisa Strouda. Jego twarz była okrągła jak u dziecka, oczy wydawały się zbyt małe, ale w jego twarzy zobaczyłem szczerą, a w jego sposobie bycia coś, co mówiło mi, że porządny z niego człowiek. Wydawało mi się, że po latach spędzonych na Brooklynie i w Auburn, po wszystkim tym, co przeżyłem, potrafię rozpoznać takie rzeczy.

- Vaughan? - powtórzył za mną, a potem zasępił się i poskrobał w głowę ołówkiem. - Powiedział pan: Vaughan? Czy przypadkiem nie Joseph Vaughan?

- Uśmiechnąłem się.

- To zależy od tego, kim ten Joseph Vaughan miałby być.

Stroud pochylił się i otworzył szufladę biurka. Wyjął z niej egzemplarz Cichej wiary w anioły. Uniósł książkę. - Chodzi mi o tego Josepha Vaughana - wyjaśnił.

- W takim razie, zgadza się, to ja.

Roześmiał się serdecznie, a potem wstał z krzesła. Wyszedł zza biurka i wyciągnął do mnie rękę. Podałem mu swoją, a on uściśnął ją mocno.

- Słynny syn Augusta Falls - powiedział. - Zdaje się, że jest pan jedyną osobą, która wyjechała stąd i coś osiągnęła.

- Siedziałem w więzieniu za morderstwo, szeryfie - odparłem. - Spędziłem prawie



czternaście lat w Auburn...

- Za morderstwo, którego pan nie popełnił, prawda?

- No tak, ale...

- Panie Vaughan, Amerykanie nikogo tak nie kochają, jak ludzi, którzy walczą z przeciwnościami i udaje im się wygrać. Jest pan tutaj kimś w rodzaju bohatera. - Stał przez chwilę nieruchomo, a potem przekrzywił głowę i dodał: - Dla mojej żony... - Podał mi książkę. - Mógłby pan złożyć dedykację dla mojej żony? Przeczytała tę książkę trzy razy i za każdym razem się nad nią popłakała. Cholernie się ucieszy. Nie ma pan nawet pojęcia jak bardzo.

Wziąłem książkę, a on podał mi pióro.

- Jak ma na imię? - zapytałem.

- Elizabeth, ale mówimy do niej Betty. Jeśli dedykuje pan tę książkę Betty, będzie to bardziej osobiste, prawda?

„Dla Betty”, napisałem. „Z najlepszymi życzeniami dla Ciebie i Twojej rodziny, Twój Joseph Vaughan”.

Odałem mu książkę. Stroud przeczytał dedykację i uśmiechnął się.

- Bardzo panu dziękuję, panie Vaughan, naprawdę. No, ale przejdźmy do tego, co pana do nas sprowadza. Bo to chyba nie jest zwykła sentymentalna podróż, prawda?

- Poniekąd - odparłem. - Szukam paru osób.

- Kogo konkretnie? - Szeryf Stroud wrócił za biurko.

- Reilly’ego Hawkinsa...

Pokręcił głową.

- Niestety, odszedł. Odszedł kilka lat temu. Zdaje się, że serce.

- Nie żyje?

Stroud skinął głową. Zrobił minę pełną współczucia.

- Bardzo mi przykro.

Przez chwilę nie mogłem myśleć. Nie mogłem przypomnieć sobie twarzy Reilly’ego, a kiedy w końcu ją ujrzałem, zamknąłem oczy. Tak jak Hennessy wyrażał wszystko, co było charakterystyczne dla Nowego Jorku, tak Reilly Hawkins był dla mnie ucieleśnieniem całego stanu Georgia.

- A szeryf Dearing? - zapytałem, chcąc zmienić temat. Pomyślę o przyjacielu później, może pójde na jego grób i dopiero wtedy pozwolę sobie na wyrażenie tego, co czuję.

- Haynes Dearing? - upewnił się Stroud. - Dlaczego pan pyta o Haynesa Dearinga?

- Był moim sumieniem - odrzekłem. - Był tu szeryfem, odkąd pamiętam, przez cały

czas, gdy tu mieszkałem. Wróciłem w 1950 roku, kiedy umarła moja matka, i usłyszałem, że wyjechał.

- Do diabła, panie Vaughan, to smutna historia. Wydarzyła się wiele lat temu. Słyszał pan o jego żonie, prawda?

- Podobno popełniła samobójstwo.

- Zgadza się. To było bodajże w 1950. Kiedy dokładnie pan tutaj przyjechał?

- W październiku 1950. Pochowałem wtedy matkę.

- No tak. Więc musiała się zabić w styczniu albo w lutym, a Haynes wyjechał w marcu. Przeniósł się na kilka lat do Valdosty, pracował tam do jakiegoś 1954 albo 1955 roku, a potem przeszedł na emeryturę. Od tej pory nie wiem, co się z nim dzieje. - Stroud przerwał i popatrzył na mnie badawczo. - Wie pan, nie znam wszystkich szczegółów, ale słyszałem, że miał problemy z alkoholem. A poza tym wydawał się niezdolny do pracy i do czegokolwiek innego... - Przerwał w połowie zdania. - Chyba nie powinienem o tym mówić. Wie pan, to wewnętrzna sprawa policji.

Odchyliłem się na krześle. Popatrzyłem w kierunku okna.

- Znalazłem jedną z tych dziewczynek - powiedziałem. - Te morderstwa... Wiele lat temu... Znalazłem jedną z tych dziewczynek.

Strout skinął głową.

- Czytałem pańską książkę.

- A potem poszedłem do więzienia na trzynaście lat za morderstwo, którego nie popełniłem. Straciłem większość swojego życia, szeryfie... naprawdę, najlepsza część mojego życia przepadła. Teraz wróciłem, żeby zrozumieć, co tak naprawdę się stało i dlaczego zostałem w to wplątany. Ma pan pojęcie, jak muszę się czuć?

Stroud pokręcił głową.

- Nie, panie Vaughan, nie mam.

- Chyba przyjechałem tutaj, żeby coś znaleźć... coś, co pomoże mi połapać się w tym wszystkim. To tutaj dorastałem i wygląda na to, że ludzie, którzy dorastali ze mną, wyjechali, umarli albo zmienili się tak bardzo, że już ich nie poznaję. Haynes Dearing był jednym z nich, kimś bardzo ważnym dla mnie. Znal moich rodziców i po śmierci ojca był bardzo dobry dla mnie i matki. Odwiedzał ją nawet po pożarze u Krugerów, nawet po śmierci Eleny, córki Krugerów...

- Czego pan ode mnie oczekuje?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem, szeryfie... Chyba miałem nadzieję na coś... cokolwiek... co pomoże mi

zrozumieć, co stało się po moim wyjeździe. Wyjechałem do Nowego Jorku. Poznałem tam dziewczynę. Została zamordowana dokładnie w taki sam sposób jak małe dziewczynki w Augusta Falls i...

- I myśli pan, że tego morderstwa dokonała ta sama osoba, tak?

Popatrzyłem na Strouda zaskoczony, że wyraził to tak jasno.

- Uważa pan, że człowiek, który dokonywał morderstw w Augusta Falls, zabił również pańską dziewczynę w Nowym Jorku? To znaczy, takie dokładnie wrażenie wyniosłem z lektury pańskiej książki. Mieszkańcy naszego miasteczka też tak uważają, a Haynes Dearing był osobą, która wierzyła w to chyba najbardziej.

Zasępiłem się.

- Powtórz pan coś z tego, o czym panu powiem, i jestem skończony. Rozumiemy się? Skinąłem głową.

- Nie pisnę ani słówka, szeryfie.

Stroud wstał zza biurka i poszedł na tył swojego gabinetu. Otworzył kasę pancerną, pogrzebał w niej chwilę i wyjął cienką tekturową teczkę.

- Kiedy Dearing przeszedł na emeryturę, kiedy wyjechał dokądś z Valdosty, dostałem stamtąd trochę dokumentów związanych z morderstwami w Augusta Falls. Proszę to przeczytać, może będzie to miało dla pana jakiś sens.

Podał mi teczkę. Ważyła prawie tyle co nic, a kiedy ją otworzyłem, na podłogę wypadły wycinki prasowe. Pozbierałem je szybko i położyłem na biurku Strouda. Były tam wszystkie. Wyglądały prawie tak samo jak te, które teraz leżały w mojej torbie w motelu o kształcie półksiężycy. Zacząłem przeszukiwać te wycinki - odczytywałem nazwiska, patrzyłem na twarze: Alice Ruth Van Horne, Ellen May Levine, Rebecca Leonard, Mary Trait... Odkładałem je po kolei na bok, a potem nagle wstrzymałem oddech. Ujrzałem jeszcze jeden wycinek, wycinek z gazety z Nowego Jorku.

**DWUDZIESTOLETνια DZIEWCZYNA BRUTALNIE ZAMORDOWANA NA BROOKLYNIE**

Odwróciłem wzrok. Nie mogłem przeczytać tego artykułu, nie chciałem zobaczyć Bridget wśród innych ofiar.

Popatrzyłem na Strouda. Również spoglądał na wycinki.

- To nie wszystkie - powiedział cicho.

Otworzyłem teczkę raz jeszcze i znalazłem w niej te wycinki, które nie wypadły na podłogę.

Wyjmowałem je jeden po drugim.

Alabama, Union Springs, 11 października 1950:

PORWANA DZIESIĘCIOLETNIA DZIEWCZYNIKA ZNALEZIONA MARTWA.

Ponownie Alabama, miasto o nazwie Heflin, 3 lutego 1951:

MORDERSTWO DZIECKA, POLICJA BEZRADNA.

Pulaski w stanie Tennessee, 16 sierpnia 1952:

MAŁA MIESZKANKA NASZEGO MIASTA ZNALEZIONA MARTWA.

Ostatni wycinek dotyczył Calhoun w Georgii i był datowany na 10 stycznia 1954:

ZNALEZIONO CIAŁO ZAGINIONEJ DZIEWCZYNIKI.

- Sam pan widzi... - powiedział Stroud.

Popatrzyłem na niego.

- Cholera jasna, zbladł pan jak ściana.

- A więc to wcale się nie skończyło - udało mi się wydusić. Serce przestało mi bić, napięcie sprawiło, że nie mogłem się ruszyć z krzesła.

- Wygląda na to, że szeryf Dearing był tego samego zdania - przyznał Stroud.

- I cały czas go szuka... Dearing wiedział, że morderca wciąż gdzieś grasuje, i przez te wszystkie lata starał się go znaleźć, prawda?

Stroud przez chwilę nic nie mówił. Cisza dźwięczała mi w uszach. W końcu zapytał:

- Był pan tutaj, kiedy Kruger się powiesił, prawda?

Skinąłem głową.

- To było w lutym 1949. Wyjechałem na Brooklyn kilka miesięcy później.

- Doszły do pana plotki?

- O czym? O Guntherze Krugerze?

- O tym, że to on dokonał tych morderstw...

Potrząsnęłam głową.

- Gunther Kruger nie żyje, szeryfie, i nie zmienimy tego. Nie wiem, czy Haynes Dearing miał coś wspólnego z jego śmiercią, to znaczy, czy przyczynił się do niej bezpośrednio...

- Plotki jednak krążyły.

- Plotki to tylko plotki, szeryfie. Przyjechałem tutaj, żeby zrozumieć to, co wiadomo na pewno.

- Niestety, nie umiem panu pomóc. Mówimy o wydarzeniach sprzed dwudziestu i trzydziestu lat. Zostało tutaj niewielu ludzi z pańskiej młodości. Niektórzy wyprowadzili się. Inni umarli, jak na przykład Reilly Hawkins czy Frank Turów. Nawet Gene Fricker... trudno sobie wyobrazić człowieka, który wyglądałby bardziej zdrowo niż on... został potrącony przez

samochód w hrabstwie Camden. Śmierć na miejscu. Jego syn ciągle tu mieszka. Ma tu rodzinę. Nie wiem, czy powinienem wypowiadać się w imieniu ich wszystkich, ale chyba nie chcę wracać do przeszłości.

- Nie przyjechałem tutaj po to, żeby niepokoić ludzi, szeryfie.

Stroud uśmiechnął się.

- Więc po co w takim razie pan tutaj przyjechał? - zapytał, a w tonie jego głosu dało się słyszeć nutę podejrzenia.

Przez chwilę zastanawiałem się, co mu powiedzieć.

- Nie wiem. Chyba nie umiem podać jednego, w pełni zrozumiałego powodu.

- Tutaj mieszkają prości ludzie, panie Vaughan. To miasteczko przeżyło straszliwe chwile, ale wiele lat temu. Ludzie woleli zapomnieć, co tu się stało, i chociaż panu bardzo współczuję, nie będę pana zachęcał, żeby poruszał pan sprawy, które nie mają najmniejszego znaczenia dla dzisiejszego Augusta Falls. Nie mogę pana powstrzymać i nie chcę, ale prosiłbym o maksymalną dyskrecję.

Zebrałem wycinki i włożyłem je z powrotem do teczki. Oddałem ją Stroudowi i wstałem.

- Nie wie pan przypadkiem, od którego miejsca mógłbym zacząć szukać Haynesa Dearinga? - zapytałem.

Stroud również wstał i wyczułem, że ulżyło mu, że już wychodzę.

- Haynesa Dearinga? Jezu, nie mam pojęcia. Ostatnie miejsce, o jakim słyszałem, to Valdosta, jak już zresztą mówiłem. Może pan porozmawiać z tamtejszym szeryfem. Powinien wiedzieć, co się z nim potem stało. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje, panie Vaughan.

Podałem mu rękę, podziękowałem za pomoc i odwróciłem się do wyjścia. I wtedy zobaczyłem, że pod krzesłem, na którym siedziałem, leży kawałek papieru. Schyliłem się i podniosłem go. A na nim, napisane bez wątpienia ręką Haynesa Dearinga, widniały słowa: „Dokąd pojedzie chłopak z Jesup?”.

Podałem karteczkę Stroudowi.

- Nie wie pan, co to znaczy? - zapytałem.

Przeczytał pytanie i potrząsnął głową.

- Nie mam zielonego pojęcia, panie Vaughan. - Dołączył skrawek papieru do wycinków prasowych. - Czy rodzina Krugerów nie osiedliła się w Jesup?

Nie odpowiedziałem. Przed oczami miałem Gunthera Krugera stojącego na drodze tamtej nocy w długim płaszczu i przypomniałem sobie swoje przerażenie na jego widok. A potem odwrócił się i pospieszył do domu. Czyżbym się pomylił? Czyżby to w ogóle nie był

Gunther?

- Chyba tak - odpowiedziałem beznamiętnym tonem. - Chyba właśnie tam się osiedlili. - Pożegnałem się z szeryfem Stroudem i wyszedłem z jego gabinetu. Wróciłem szybko do motelu. Usiadłem na skraju łóżka. Wziąłem kartkę i spisałem na niej nazwy miast wymienionych w teczce Strouda. Union Springs, Heflin, Pułaski i Calhoun. Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Wszystko, co dotąd wiedziałem, nagle wywróciło się do góry nogami. Czyżby to w ogóle nie był Gunther Kruger? Czy to ktoś inny miał na sobie jego płaszcz? I dlaczego moja matka była święcie przekonana, że morderca dzieci jest w tym domu tej nocy, kiedy podłożyła ogień?

Przez jakiś czas nie ruszałem się. Ledwo oddychałem. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy, ale mój umysł nawiedzał obraz po obrazie. Poczulem mdłości. W końcu przeszedłem przez ten wąski pokój i otworzyłem drzwi. Stałem w wejściu, oddychając głęboko, starając się uspokoić, usiłując stać mocno na ziemi. Tyle że ziemia kołysała się pod mną, w końcu więc wróciłem do pokoju i znów usiadłem. Trzymałem się krawędzi łóżka, podczas gdy ściany przede mną wyginały się i falowały.

Minęła godzina, może więcej. Otworzyłem oczy i uświadomiłem sobie, że opadłem na materac i zasnąłem. Drzwi pokoju wciąż były uchylone. Wstałem i zamknąłem je. Oplukałem twarz w łazience wielkości szafy i wytarłem ręce w ręcznik, który był w szare plamy i poprzecierany.

Chciałem wyjechać z Augusta Falls. To, co miałem w pamięci, przyjeżdżając tutaj, już nie istniało. Nie chodziło o budynki, ulice czy charakterystyczne obiekty. Chodziło o ducha tego miejsca. Może dlatego, że nie byłem już dzieckiem i z tego powodu nie widziałem tego wszystkiego tak jak kiedyś.

Nieco później wyjąłem wycinki prasowe z torby i włożyłem je do kieszeni marynarki. Zamknąłem za sobą drzwi pokoju, przeszedłem obok recepcji i ruszyłem w kierunku centrum miasta. Na rogu zauważyłem pralnię samoobsługową. Wszedłem do niej i zapytałem kobietę, która w niej była, czy wie, gdzie mieszka Fricker.

- Maurice Fricker? Jasne, że wiem, gdzie mieszka. Musi pan skręcić w prawo, minąć biuro szeryfa i dojść do skrzyżowania. Tam skręci pan w lewo i przejdzie jakieś pół kilometra. To będzie dom po lewej stronie. Trudno go przegapić - okna mają niebieskie ramy, a na podwórku stoi skrzynka pocztowa z wiatrowskazem.

Podziękowałem i wyszedłem. Podążałem za wskazówkami i po kilku minutach stanąłem przed domem Frickera. Zobaczyłem na podwórku skrzynkę pocztową z wiatrowskazem, a na ganku dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż osiem albo

dziewięć lat. Włosy miała zaczesane do tyłu. Przekrzywiła głowę i zasłaniała dłonią oczy przed słońcem.

- Tatuś w domu? - zawołałem.

Dziewczynka popatrzyła na mnie, mrużąc oczy, a potem odwróciła się raptownie i znikła za drzwiami.

Kilka chwil później drzwi otworzyły się i w półmroku ujrzałem jakiegoś mężczyznę.

- O co chodzi? - zapytał i natychmiast, bez cienia wątpliwości, rozpoznałem głos Maurice'a Frickera.

- Maurice? - zawołałem. - Czy to ty, Maurice?

Mężczyzna wahał się przez chwilę. Zbliżyłem się do domu.

- Ja cię sunę... - wyjąkał. - To naprawdę ty? Joseph Vaughan!

Maurice Fricker zszedł po schodach ganku. Ja zatrzymałem się na podwórku. Zawsze był podobny do ojca, ale teraz, w wieku czterdziestu lat, wyglądał po prostu identycznie jak on.

Uściskał mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu, i poklepał mnie z radością po plecach. Odsunął się, położył mi ręce na ramionach, a potem uściskał jeszcze raz.

- Mój Boże, Joseph... Byłem święcie przekonany, że już cię nigdy nie zobaczę. Miałeś cholerne szczęście, że mnie tu złapałeś. Mam właśnie urlop. Niedługo wracam do pracy w White Oak. - Odwrócił się, zaczął iść, a potem zatrzymał się i spojrzał na mnie. - Człowieku, coś nieprawdopodobnego. Naprawdę byłem święcie przekonany, że już cię nigdy nie zobaczę. Aż mi mowę odjęło z wrażenia.

Wszedłem za nim na ganek. Stały tam drewniane krzesła z wysokimi oparciami.

Maurice poprosił, żebym usiadł, a potem odwrócił się, otworzył drzwi do domu i krzyknął w półmrok:

- Ellie, bądź tak dobra i przynieś tatusiowi z lodówki dwa piwa!

Po kilku chwilach na ganku pojawiła się dziewczynka, którą już przedtem widziałem.

- Ellie... to wujek Joseph - przedstawił mnie Maurice.

- Cześć, Ellie - powiedziałem i uśmiechnąłem się.

Mała wyglądała na zawstydzoną. Próbowwała uśmiechnąć się w odpowiedzi. Postawiła butelki na ganku, po czym odwróciła się i wbiegła szybko do domu.

- Jest strasznie nieśmiała - wyjaśnił Maurice. - Mam jeszcze jedną córkę, ma na imię Lacey. Pojechała z moją żoną do babci. Pamiętasz Boba Gormana, koronera trzech hrabstw?

- Pewnie, że tak.

- Ożeniłem się z jego najmłodszą córką Annabel. Znałeś ją?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, chyba nie.

- Świetna dziewczyna, Joseph, mówię ci, po prostu świetna. - Zdjął kapsel z butelki piwa i podał mi ją.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i wyczuwałem, że Maurice w duchu zadaje sobie pytanie, dlaczego właściwie przyszedłem, i że szczerze żałuje, że go zastałem w domu.

- Wszystko się popieprzyło, co? - zapytał w końcu. - Tam, w Nowym Jorku.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem nad balustradą na pola w oddali. Tam było moje dzieciństwo; w bieganiu przez sięgającą do ramion kukurydzę i pszenicę, w pożyczaniu książek od panny Webber, w słuchaniu opowieści Reilly'ego Hawkinsa w kuchni jego domu.

- Można tak powiedzieć - odparłem.

- A ta... ta dziewczyna...

- Bridget - odpowiedziałem i poczułem się dziwnie z myślą, że rozmawiam z Maurice'em Frickerem o czymś, o czym nic nie wiedział. - Czytałeś moją książkę?

Wzruszył ramionami.

- Trochę - odparł. - Nigdy nie był ze mnie za tęgi czytelnik.

- Uśmiechnął się i wydał mi się zmęczony, przetarty na krawędziach.

- Moja żona, ona ją przeczytała... Ale, do diabła, nie znała ciebie, więc dla niej to była zwykła książka. Wydaje mi się, że ludzie, których tu wtedy nie było, nigdy nie zrozumieją tego, co zaszło. - Pociągnął łyk piwa. - Słyszałeś o Reillym Hawkinsie?

Skinąłem głową.

- Mój tata też nie żyje... Potracił go jakiś pijany dupek w Camden. Mam teraz żonę, dwie córki... Wiesz, jak to jest... - Roześmiał się. - Trzymają mnie w ryzach. Tak dużo się dzieje, że nie mam czasu myśleć o przeszłości.

- A pozostali? - zapytałem. - Widujesz się z nimi?

Maurice zmarszczył brwi.

- Pozostali?

- No wiesz, Daniel McRae, Ronnie Duggan, Michael Wiltsey... Pamiętasz Wiercipiętę?

- Jasne, że go pamiętam. Ciągle tutaj mieszka. Daniel wyjechał dawno temu. Wstąpił do wojska w... do diabła, kiedy to było? Jakies dziesięć lat temu. Chciał zobaczyć trochę świata i doszedł do wniosku, że najlepiej to zrobić, służąc u Wuja Sama.

- Strażnicy - powiedziałem i nagle zrobiło mi się zimno.

Maurice roześmiał się, a przynajmniej próbował to zrobić. W jego głosie usłyszałem



niepokój.

- To było... to było wieki temu. Byliśmy dziećmi, niczym więcej jak gromadką wystraszonych dzieci. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy w stanie coś zrobić, ale... - W jego oczach pojawiły się łzy. - Nie było roku, żebym nie myślał o tych dziewczynkach. Mam teraz własne dzieci. Annabel powtarza mi, że niepotrzebnie przejmuję się tym wszystkim. Wmawia mi, że nasze dzieci muszą się uczyć niezależności, muszą same podążać przez życie, ale jej tu nie było, prawda? Nie było jej tutaj, kiedy ten szaleniec mordował dziewczynki. Jej ojciec był koronerem. Czasami zastanawiam się, czy to w jakiś sposób jej nie znieczuliło, ale ona chyba po prostu jest takim typem człowieka, który widzi tylko dobre strony wszystkiego i wszystkich. Każę jej zawozić nasze córeczki do szkoły i je z niej odbierać. Inni tego nie robią, pozwalają im chodzić kilometr tam i z powrotem, nawet zimą, kiedy szybko robi się ciemno. A czasami widzę rzeczy, które przypominają mi o tym, jak bardzo się baliśmy. Kiedy postawili przybudówkę przy budynku szkoły, cieszyłem się jak dziecko. Przedtem ten budynek przypominał mi o tych wydarzeniach za każdym razem, kiedy obok niego przechodziłem...

- Wydaje mi się, że to się nie skończyło - wyszeptalem.

Maurice potrząsnął głową.

- Nie, nie. Co ty opowiadasz. Przecież wykryto sprawcę. Ten bydlak się powiesił. To był ten Niemiec. Gunther Kruger. To on był mordercą dzieci. Wszyscy wiedzą, że to on zabijał dziewczynki. To już się skończyło. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Dokończyłem swoje piwo i postawiłem butelkę na podłodze. Wstałem wolno z krzesła i popatrzyłem na Maurice'a.

- No dobrze - westchnąłem, wiedząc, że dalsze próby wciągnięcia go w rozmowę na ten temat wpędzą go tylko w poczucie winy, że nic nie zrobił. - Chyba masz rację, Maurice. To już się skończyło. Skończyło dawno temu. - Zmusiłem się do uśmiechu. - To wszystko mnie po prostu przerosło. Spędziłem mnóstwo lat w więzieniu. Może przez to trochę ześwirowałem?

Maurice nie podniósł się. Patrzył za mną, kiedy odchodziłem.

- Masz śliczną córeczkę - powiedziałem. - Zrobiłeś to, co należało zrobić. Wierz mi, zrobiłeś to, co należało. Zrobiłeś to, co i ja powinienem był zrobić. Powinienem być zostać tutaj, ożenić się i mieć dzieci tak jak ty. Niepotrzebnie wyjeżdżałem do Nowego Jorku.

Maurice pokręcił głową.

- Nie byłeś taki jak my. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz. W końcu panna Webber zakochała się w tobie, co?

Skinąłem głową.

- To prawda.

- Zawsze byłeś inny - ciągnął Maurice. - Zawsze zadawałeś pytania, które nikomu innemu nie przychodziły do głowy. Pisałeś opowiadania. Napisałeś książki, które wydano. Zdaje mi się, że było w tobie więcej życia niż we wszystkich nas razem wziętych.

- Nie żebym za dużo z tego miał - stwierdziłem. - Muszę już iść. Trzymaj się, Maurice. Pozdrów żonę i dzieciaki. I nie przejmuj się jej słowami... Wydaje mi się, że nigdy za dużo troski o dzieci, nawet obecnie.

Maurice uniósł rękę.

- Może się jeszcze zobaczymy? Zaprosiłbym cię na kolację, ale...

- Duchy nie przychodzą na kolację, Maurice - powiedziałem, po czym odszedłem.

## XXXI

Kiedy dotarłem do końca podwórka, odwróciłem się i zobaczyłem Ellie patrzącą na mnie przez uchylone drzwi. Mogłaby być jedną z nich - Laverną, Eleną, Virginią Grace... Oddech uwiązał mi w piersi, a potem uniosłem rękę i pomachałem jej na chwilę przed zniknięciem w ciemności.

Zobaczyłem Ronniego Duggana przed lokalem, który kiedyś był zajazdem Upadek. Wyglądało na to, że w końcu przestał zezować. Włosy mu się przerzedziły i chociaż twarz wciąż miał młodą, w jego oczach pojawiło się zgorzknienie, którego uśmiech nie był w stanie rozwiać.

- Słyszałem, że przyjechałeś - powiedział na powitanie i oparł się o balustradę przed budynkiem. - Dennis Stroud do mnie dzwonił.

- Cześć, Ronnie - odparłem i wiedziałem już, że nie jestem tu mile widziany.

- Hej, hej. - Kiwnął głową. - Dzwoniłem do Michaela. Powiedział, że chętnie by się z tobą zobaczył, ale musi zawieźć gdzieś żonę czy coś takiego.

- Zajazd Upadek - powiedziałem, patrząc na budynek przed sobą.

- Już od wielu lat tak się nie nazywa. Wiesz, że Frank Turów zmarł. Potem prowadził tę budę gość o nazwisku McGonagle. A teraz należy do pewnej firmy z Augusta Falls, która podaje tu ciepłe piwo i szprycery. Kurza twarz, Augusta Falls to już nie to samo miejsce co kiedyś.

- Też mam takie wrażenie.

- Miło cię widzieć - stwierdził. Wsadził kciuki za szlufki dżinsów.

- Nie wydaje mi się, Ronnie.

- Cholercia, nikt już tak do mnie nie mówi, Joseph. Tak mnie wołali, gdy byłem dzieckiem. Teraz jestem Ron. Po prostu Ron, nic więcej.

- Rozmawiałem z Maurice'em...

- Maurice to przyzwoity gość. Ma żonę, dzieci, kota i psa. Dobrą pracę w White Oak. Znalazł swoje miejsce i pozostanie tu już do śmierci. Doczeka się wnuków, może nawet prawnuków, i chyba jesteś ostatnim człowiekiem na ziemi, którego chciał zobaczyć.

Wbiłem wzrok w ziemię. Pamiętałem Strażników. Wyglądało na to, że jako jedyny.

- Nie zamierzam tu zostać, Ron - powiedziałem - ale zanim wyjadę, chciałem zapytać o kilka spraw. - Spojrzałem na niego, przypatrzyłem mu się bacznie i mimo przerzedzonych włosów, mimo nieufnego wyrazu twarzy, wciąż widziałem dawnego Ronniego, zezującego, ciągle czymś pochłoniętego - a to kamieniem, a to szklaną kulką, a to kawałkiem drewna.

- To, co się tutaj zaczęło, już się skończyło, Joseph. Tak to czuję i chyba większość ludzi uważa tak samo. Przykro mi, że spotkało cię tyle złego. Słyszałem o Alex Webber i o dziecku, i o tym, co potem się stało na Brooklynie... i że spędziłeś tyle lat w więzieniu...

- Myślisz, że to był Gunther Kruger? - przerwałem mu.

Ron Duggan parsknął.

- Gunther Kruger się powiesił. Wydaje mi się, że to najlepsze przyznanie się do winy, jakie sobie można wyobrazić.

- Myślisz, że to on to robił, czy raczej krył kogoś... no wiesz, może znał mordercę i chciał go chronić?

Duggan zrobił krok naprzód. Wyjął kciuki zza szlufek. Jego pięści to zaciskały się, to rozluźniały.

- Wydaje mi się to raczej nieprawdopodobne, że ktoś się zabił, żeby ochronić - kogoś innego.

- A jeśli chronił członka rodziny?

- Członka rodziny? O czym ty mówisz, do diabła?

- Mówię, że to może wcale nie był Gunther. Może...

Ronnie Duggan uniósł rękę.

- Może już wystarczy? Może już nic się za tym nie kryje? To właśnie chcę powiedzieć. To właśnie usiłuję ci powiedzieć, ale wygląda na to, że jesteś głuchy na prawdę. To się skończyło w 1949 roku. Prawie trzydzieści lat temu.

- Nie wydaje mi się, żeby to się skończyło, Ronnie... I chyba szeryf Dearing uważa podobnie.

- Dosyć już tego. Nie zamierzam z tobą dłużej rozmawiać. Nigdy. Nie jesteśmy już dziećmi. Każdy z nas ma swoje życie. Ludzie tutaj postanowili zostawić przeszłość za sobą i wydaje mi się, że ty również powinienesz to zrobić. Tego wymaga rozsądek. Nikt tego nie chce, nikt nie chce, żeby wróciły wspomnienia. Mamy rok 1967. Świat się zmienił. Augusta Falls nie jest już twoim rodzinnym miastem. Powinienesz wrócić do Nowego Jorku... Wracaj tam i rób, co chcesz, ale zostaw to w spokoju, Joseph. Na miłość boską, zostaw tę sprawę w spokoju.

- Byliśmy Strażnikami - powiedziałem. - Złożyliśmy przysięgę, przyrzeczenie...

- Byliśmy bandą dzieciaków, do kurwy nędzy! Tylko tym. Nie mogliśmy tego powstrzymać i wiedzieliśmy o tym. Byliśmy przerażeni i zrozpaczeni. Wydawało się nam, że jesteśmy w stanie coś z tym zrobić, ale nie mogliśmy - nie mogliśmy wtedy i nie możemy teraz.

- Teraz? Co masz na myśli, mówiąc teraz? Ty wiesz, że te morderstwa się nie skończyły, prawda?

W oczach Ronniego pojawił się błysk gniewu. Zrobił krok w moją stronę i zobaczyłem, że mięśnie mu się napinają.

- Popatrz na mnie, Ronnie... Popatrz na mnie i powiedz, że wiesz, że to był Gunther Kruger.

Ronnie Duggan spiorunował mnie wzrokiem.

- Wiem, że to był Gunther Kruger - odparł. - Zadowolony? Chciałeś, żebym to powiedział, to masz. Wiem, że to był Gunther Kruger i że ten sukinsyn powiesił się w swojej stodole, i że w ręce miał wstążkę, i że znaleziono tam inne rzeczy należące do zabitych dziewczynek. To on je zabijał. Gwałcił, znęcał się nad nimi, zabijał i ciął na kawałki, które rozrzucał na wszystkie strony. A potem zabił się i poszedł do piekła, gdzie jego miejsce. To właśnie mówię, bo w to wierzę.

- Wierzysz w to, czy chcesz w to wierzyć?

Milczał przez chwilę, a potem zapatrzył się w horyzont i uśmiechnął.

- Muszę już iść, Joseph. Tylko z czystej uprzejmości powiem, że było mi miło znów się z tobą spotkać. Cieszyłbym się, gdybyś załatwił to, co masz załatwić, i jak najszybciej się stąd wynieść. Przekażę pozdrowienia od ciebie Michaelowi i innym chłopakom, których znałeś. A teraz czas już się pożegnać. - Podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Uścisnął mocno moją dłoń, patrząc mi prosto w oczy.

- Zegnaj, Joseph. Mam nadzieję, że widzimy się po raz ostatni.

Puścił moją rękę, po czym odwrócił się, żeby odejść.

- A jeśli to się nie skończyło, Ronnie? Co wtedy?

Odwrócił się do mnie.

- Wtedy i tak padnie na dziecko kogo innego... Nie moje, Michaela czy Maurice'a. Koszmar nawiedził Augusta Falls, a potem przeniósł się gdzie indziej. Nie zamierzam wywoływać duchów, bo boję się, że powrócą. - Uśmiechnął się. - Uważaj na siebie, Josephie Vaughanie, dobrze?

Skinąłem głową i w milczeniu odprowadziłem go wzrokiem. Strażnicy - kimkolwiek byli lub wydawało im się, że są - umarli wraz ze śmiercią Eleny Kruger, tej, którą przyrzekłem chronić, tej, która udowodniła nam, że cokolwiek byśmy robili, i tak nic nie zmienimy.

Pozostałem tam jeszcze kilka minut, a potem wróciłem do motelu.

Kiedy wracam do tej chwili, nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Na co liczyłem?

Kogo chciałem oszukać?

Byliśmy Strażnikami. Ja, Michael Wiltsey, Ronnie Duggan, Daniel McRae i Maurice Fricker. Prawie trzydzieści lat temu... Co mi strzeliło do łba, że myślałem, że ucieszą się na mój widok?

Byliśmy wtedy przerażeni, wszyscy, ale minęło dużo czasu i ten nasz strach się zmienił. Teraz oni boją się, że się pomylili. Boją się, że koszmar z przeszłości wcale się nie skończył. Boją się, że wywołają duchy, że powrócą one i będą ich prześladować. Trzydzieści lat, a oni nie zapomnieli. Nigdy nie zapomną. Wiedzieli to i chyba właśnie tego przede wszystkim się bali.

Coś założyłem, ale moje przypuszczenia okazały się błędne. Odszedłem spod dawnego zajazdu Upadek, wiedząc już, kogo szukam. Myślałem o Gabillardzie, o Lowellu Shanerze, o innych, którzy tu mieszkali, i zastanawiałem się, czy chcieliby wiedzieć, co tu się działo. Kiedy siedziałem w tanim motelowym pokoju (wiatr wpadał do środka przez szeroko otwarte drzwi), uświadomiłem sobie, że koniec tej całej sprawy wcale nie jest tak daleki. Pozostało nas już tylko dwóch. Joseph Vaughan kontra zabójca dzieci. Jak w starym horrorze klasy b. I jeśli zginę... cóż, jeśli zginę, nie zostawię za sobą nikogo. Z jakiegoś powodu nie czułem strachu. Oczywiście bałem się, ale wydawało mi się zarazem, że poczucie izolacji, jakiego doświadczałem, było o wiele silniejsze niż uczucia, które mnie ogarniały. Kupię pistolet, to jedno wiedziałem z pewnością. Znajdę jakiegoś handlarza bronią i kupię pistolet. Zawsze znajdzie się ktoś taki - jakiś obojętny, nieodpowiedzialny gość, który zainkasuje pięćdziesiąt dolców i nie będzie zadawał pytań.

Postanowiłem udać się do Columbus, które było na tyle dużym miastem, by kogoś takiego znaleźć, a potem pojechać do Alabamy. Odwiedzę Union Springs, pierwsze z tych miast wymienionych w artykułach, które przechowywał Dearing. W październiku 1950 roku zginęła tam kolejna dziewczynka. Może znajdę kogoś, kto to pamięta. Może ten ktoś będzie w stanie powiedzieć mi coś, co pozwoli mi się udać we właściwym kierunku.

Zamknąłem drzwi pokoju. Położyłem się i zasnąłem w ubraniu. Nic mi się nie śniło i byłem nieskończenie wdzięczny za ten drobny przejaw łaski.

Zbudził mnie chłód wczesnego poranka. Zabrałem swoje rzeczy i wymeldowałem się.

Złapałem autobus do Tifton i tam zaczekałem na następną do Columbus. Zmierzałem w kierunku granicy stanu Georgia jak duch, którym byłem. Miałem nadzieję, że nikt mnie tu nie zapamięta, a jeśli nawet, to szybko zapomni.

W drodze do Columbus myślałem o Reillym Hawkinsie. Miałem pójść na jego grób. Zamierzałem też zobaczyć dom, w którym kiedyś mieszkałem, przekonać się, czy wciąż jest

tam rodzina Kucharzyków. W końcu jednak zrezygnowałem z tych planów. Wydawało mi się, że podobne wspomnienia mogą wywołać tylko wściekłość, może żal, prawie na pewno rozpacz. Dwukrotnie wracałem i za każdym razem traciłem kogoś, kogo kochałem. Wiedziałem, że nie wrócę tu już nigdy więcej.

A Michael, Ronnie, Maurice Fricker, Daniel McRae (który uciekł tak jak ja, ale uczynił to mądrzej, przemierzył pół świata) - co z nimi? Przynależeli do przeszłości, którą zostawiłem za sobą i która - miałem nadzieję - już mnie nie będzie ścigać. Ależ byłem głupcem, prawda? Sam pozwoliłem na to, żeby to wszystko stało się ciężarem.

Columbus było nowym miastem, miastem, w którym bawiłem po raz pierwszy. Cieszyłem się swoją anonimowością, a kiedy zameldowałem się w hotelu wieczorem dwudziestego dziewiątego, stanąłem przy oknie i wpatrzyłem się w światła, które paliły się w ciemności. Niebo było czyste, granatowe, a księżyc unosił się na nim wysoko, jasny i okrągły. Zamknąłem oczy i myślałem o domu przy Throop i Quincy, o Aggie Boyle, o Joyce Spragg i Benie Godfreyu. Myślałem o Arthurze Morrisonie i Powrocie do domu. Wspominałem ten dzień, kiedy Bridget i ja poszliśmy do księgarni i wydawało się nam, że świat stoi przed nami otworem. Nie wykorzystaliśmy szansy, którą otrzymaliśmy. To proste: dostaliśmy szansę i wszystko schrzaniiliśmy.

Spałem dobrze. Odgłosy nieznannej ulicy uspokajały mnie. Kiedy się obudziłem, było już jasno i zza okna dobiegał hałas ruchu ulicznego; przypomniałem sobie o swoim pierwszym dniu na Brooklynie.

Chodziłem bez celu po mieście, aż wreszcie zgłódniałem i wszedłem do restauracji na śniadanie. Potem dalej szwendałem się po biednych uliczkach i alejkach, wypatrując jakiegoś lombardu. W końcu znalazłem go na rogu Young i Dziewiątej Ulicy, a tam - za ladą zasłoniętą siatką - stał dokładnie taki człowiek, jakiego szukałem. Piętnaście minut i siedemdziesiąt pięć dolarów później wyszedłem na ulicę. Pospieszyłem do hotelu, wziąłem z niego torbę, a następnie udałem się na dworzec autobusowy.

Półtorej godziny później wjechałem do Alabamy. Mżył drobny kapuśniaczek i kiedy wysiadłem z autobusu, coś mi powiedziało, że Union Springs widziało tego samego ducha, który dręczył Augusta Falls. Wyczułem to szóstym zmysłem. Miałem pewność, że tak samo byłoby w Heflin, Pułaski i Calhoun, i wiedziałem już, że odwiedzanie tych miasteczek miało się z celem. Spustoszenie już się dokonało. Ktokolwiek szedł tymi ulicami, dawno temu zniknął. Wiedziałem jednak, że musiały być inne, świeższe zbrodnie. Odwróciłem się i skierowałem z powrotem na dworzec. Wsiadłem w autobus do Montgomery, najbliższego miasta, w którym znajdowała się większa biblioteka. Ścigałem miraż, zjawę, widmo i byłem

tym całkowicie pochłonięty. Mój umysł był skoncentrowany, działał jednorodnie, nakierowany na jeden cel. Nie myślałem o jedzeniu, o spaniu. Odsuwałem podobne potrzeby od siebie i wiedziałem, że będę szedł, dopóki nie padnę. Do Montgomery zjechałem już po północy i złapałem taksówkę. Poprosiłem kierowcę, żeby zawiózł mnie do najbliższego hotelu, i zajmąwszy miejsce z tyłu, uświadomiłem sobie, jak marnie wyglądam i jak bardzo śmierdzieć. Wysadził mnie przed imponującym budynkiem z obrotowymi przeszklonymi drzwiami. Zaczekałem, aż taksówka zniknie, a potem ruszyłem przed siebie, dopóki nie znalazłem rozpadającego się hoteliku ze szwankującym neonem. Do pierwszego hotelu by mnie nie wpuszczono. Tutaj nikogo nie obchodził mój wygląd.

Po wejściu do pokoju zrzuciłem ubranie i wziąłem kąpiel. Umyłem włosy, ogoliłem się na tyle uważnie, na ile mogłem, a potem spędziłem trochę czasu, próbując zebrać myśli.

W Montgomery znajdę informacje, których potrzebowałem; gdzieś tutaj musiała być biblioteka, w której gromadzono gazety z tego stanu i kilku innych, i na pewno natrafię na jakieś podobieństwa. Zawsze były podobieństwa.

Nie mogłem zasnąć tej nocy, a kiedy szare światło świtu zaczęło się wsączać przez zasłony, wstałem i ubrałem się.

Zaraz po otwarciu biblioteki wszedłem do środka i zapytałem o czytelnię prasy. Rozpocząłem od Alabamy; znalazłem dziewczynkę z Union Springs, ośmioletnią Frances Resnick. Jej ciało odnaleziono w środe, 11 października 1950 roku. Frances Resnick została zgwałcona, a następnie pozbawiona głowy. Jej bezgłowe ciało zostało wrzucone do rowu i przysypane ziemią i kamieniami. W Heflin, w sobotę, 3 lutego 1951 roku, znaleziono jedenastoletnią Ritę Yates, która zaginęła dwa dni wcześniej. Ręce odcięto jej od tułowia, jedną z nich znaleziono, drugiej nie. Również ona została wykorzystana seksualnie. Pułaski w stanie Tennessee; sobota, 16 sierpnia 1952 roku. Miejscowy robotnik rolny znalazł szczątki Lillian Harmond, dwunastoletniej córki naczelnika poczty. Jej ciało zostało przecięte w talii, górną część znaleziono w płytkim grobie, dolną - pod drzewem. Gazeta przytaczała słowa robotnika, młodego mężczyzny nazywającego się Garth Trent: „Nie wierzyłem własnym oczom... wyglądała tak, jakby tam siedziała, ale okazało się, że to tylko jej nogi... tylko jej nogi”. Pomyślałem o Virginii Perlman i zrozumiałem - z o wiele większą jasnością, niż kiedykolwiek zrozumie to Garth Trent - co musiał czuć ten młodzieniec. A potem z powrotem do Georgii. Mała miejscina o nazwie Calhoun. Niedziela, 10 stycznia 1954 roku, poćwiartowane ciało siedmioletniej Hettie Webster zostało znalezione przez grupkę bawiących się dzieci. Najpierw ujrzały jej lewą rękę, potem prawe ramię i większą część jej głowy. Uciekły. Hettie wracała sama ze szkółki niedzielnej. Był późny ranek, jasny, pogodny



dzień i nikt nic nie zauważył. Policja była bezradna. Mieszkańcy Calhoun czuli to samo co mieszkańcy Augusta Falls.

Przez dwie godziny nie znalazłem nic nowego. Oczy mnie piekły, głowa bolała, ale dalej przeglądałem gazety - strona za stroną, segregator za segregatorem. Przejrzałem Atlantę, Tennessee, Georgię i Mississippi, szukając mordercy dzieci. Znalazłem go w 1956 roku w miasteczku o nazwie Ridgeland, w Karolinie Południowej. Ta miejscowość leżała zaledwie kilka kilometrów od rzeki Savannah, nie więcej niż dwieście kilometrów od Augusta Falls. Dziewczynka nazywała się Janice Waterson. Dziewięć lat, jedynaczka. Jej rodzice - Reanna i Milton - powiedzieli światu: „Była pogodną i dociekliwą dziewczynką, uczynną, grzeczną i nie żebyśmy musieli ją uczyć grzecznego zachowania... ona po prostu taka była”. Ucięto jej stopy w kostkach, a dłonie w nadgarstkach. Została pochowana bez nich, ponieważ ich nie odnaleziono. Trumna musiała być zamknięta również dlatego, że jej twarz uległa ząbkowanemu ostrzu.

Nagle tak jakbym dostroił się do jego ruchów. Odtąd odnajdowałem bez trudu jego dalsze ofiary. Liczyłem, zapisywałem daty i miejsca, szczegóły śmierci, to, gdzie dziewczynki znalezione, kto dokonał odkrycia i co powiedział. Czuję się, jakbym mu deptał po piętach - Moncks Corner, Sparta, Enterprise, Alexander City, rok 1957, 1958, 1961, 1963. Widziałem jego twarz. Widziałem wzór. Małe miasteczka niedaleko szosy, dziewczynka nie młodsza niż siedem lat i nie starsza niż dwanaście.

I cały czas myślałem o notatce, którą znalazłem w teczce Dearinga: „Dokąd pojedzie chłopak z Jesup?”.

Skończyłem późnym popołudniem. Nie jadłem cały dzień ani nie odchodziłem od biurka. Bibliotekarka - kobieta w średnim wieku, siwe włosy zebrane z boku głowy, fioletowa szminka, krzykliwa spódnica w kwiaty i ciężki wełniany sweter - po jakimś czasie zwróciła na mnie uwagę.

- Wszystko w porządku? - zapytała, a ja uśmiechnąłem się ciepło i wyjaśniłem, że absolutnie tak, zbieram materiały do książki i jestem po prostu pochłonięty pracą.

- Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę mi dać znać - odparła, a potem odeszła.

Wyszedłem z biblioteki miejskiej w Montgomery z listą dziewiętnastu nazwisk. Ostatnia ofiara pochodziła sprzed niecałych czterech miesięcy, z miasta o nazwie Stone Gap, leżącego ma południe od Macon. W sumie dawało to dwadzieścia dziewięć morderstw, dokonanych w okresie prawie trzydziestu lat. Wychodziło jedno rocznie, ale wiedziałem, że musi być więcej. Choćby dziewczynki, które zaginęły i ich ciała nigdy nie odnaleziono. Albo też, jeszcze gorzej, zaginęły i nigdy tego nie odnotowano.

Wracalem do swojego rozpadajacego sie hoteliku. Wiedzialem, ze musze odnalezc Dearinga. Musial gdzieś tam byc. Przemierzalismy ten sam szlak, w zasadzie deptalem mu po pietach.

Ostatniego morderstwa dokonano w Georgii, we wtorek, 29 listopada 1966 roku; ofiara byla dziewięcioletnia Rachel Garrett. Wspomnienia beda swieze, ludzie zapewne beda pamietac kogos takiego jak Dearing. Nikt nie byl swiadkiem morderstwa, ale mezczyzne, ktory przyjechal potem i zadawal dziwne pytania, na pewno ktos zapamietal...

Kiedy znalazlem sie w hotelu, spakowalem sie, a potem usiadlem na brzezku lozka i zaczalem w myslach przegladac wszystko, co dotad sie stalo. Mialem wrazenie, jakbym zblizal sie do konca pewnego rozdzialu swojego zycia, rozdzialu, ktory rozpoczela smierc mojego ojca, zwiasek matki z Guntherem Krugerem i zabicie Alice Ruth Van Horne.

Byly tam, pojedynczo i wszystkie razem, wiedzialem, ze czekaly.

Czekaly, az odnajde ich morderce i je oswobodze.

W nocy przyszli Straznicy - i to przyszli jako dzieci.

Przyszli z rekami rozpostartymi, jakby mnie witali, a kiedy do nich podbiegłem, odwrócili sie do mnie plecami. Rozlegl sie smiech, pod nim placz, a pod tym wszystkim głos człowieka robiacego szatańskie rzeczy.

Przecinanie kości, spuszczenie krwi, wstyd, poczucie winy, wściekłość i cierpienie.

A potem chłodny powiew wiatru. Wśród tego wiatru usłyszałem szum skrzydeł i wraz z nim nadeszło uspokojenie.

Zasnalem ponownie. Tym razem nic mi sie nie snilo. Rano padalo.

## XXXII

Sobota, 1 kwietnia. Siedziałem z tyłu autobusu i opuszczałem Alabamę. Ponownie przekroczyłem granicę stanu Georgia i skierowałem się do Stone Gap. Wiedziałem, jak to miasteczko wygląda, zanim jeszcze do niego przyjechałem. Znałem brzmienie głosów jego mieszkańców, kolor ich oczu, ich głęboką podejrzliwość. Być może zobaczą mnie takim, jakim jestem; być może się mnie wystraszą. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza odnalezieniem Haynesa Dearinga.

Stone Gap, co aż za dobrze wiedziałem, było małym południowym miasteczkiem. Ciepły klimat, zmienna wilgotność powietrza, zwyczajne życie. Nic nigdy się nie działo w takich miejscach jak Stone Gap; nikt sławny nie skończył żadnej z tutejszych szkół ani college'u metodystów. Ulice były wyboiste, samochody stare, polityka władz niejasna. Miała to być bogobojna społeczność, wyrozumiała i wstrzemięźliwa, ale bary były zatłoczone, a gdzieś na przedmieściach stał dom należący do niezamężnej kobiety i w tym domu mieszkały dwie albo trzy dziewczyny. Mężczyźni przychodzili tam, tak jak czynili to od stu lat albo i dłużej, ale nie było ani jednej wzmianki o tym budynku w archiwum miejskim, zupełnie tak, jakby nigdy nie istniał, i to przeoczenie nigdy nie wywoływało żadnych pytań podczas spisów ludności. Poza granicami miasta domy były mniejsze i bardziej od siebie oddalone, tak jakby ludzie w nich mieszkający skazani zostali na wygnanie. Mieszkańcy Stone Gap brzydzyli się przemocą, ale każdy mężczyzna miał broń, a każda kobieta ręce zakrwawione od podrzynania świńskich gardeł. Tak właśnie rzeczy się miały, i to od wieków, ale Stone Gap wiedziało - zawsze wiedziało - że stare ścieżki są najlepszymi ścieżkami. Nowy Jork i Las Vegas, a nawet Montgomery reprezentowały zgoła odmienną Amerykę; Amerykę, która zapomniała o prawach ziemi, obecności natury, nieuchronności czasu.

Takie miasteczka jak to nie chciały pamiętać o morderstwach dzieci, ale nie mogły o nich zapomnieć. To cały czas leżało pod powierzchnią niczym blizna nie od usunięcia, wspominana tylko spojrzeniami, które każdy widział. Obywano się bez słów. I tak samo jak Augusta Falls Stone Gap było przekonane, że podobnego czynu nie mógł się dopuścić żaden z rdzennych mieszkańców. To musiał być jakiś cudzoziemiec, przybysz. I przez lata każdy, kto tu będzie przyjeżdżał, będzie czuł rezerwę innych.

Stałem przed dworcem autobusowym, który okazał się niczym więcej jak drewnianą budą z dachem z blachy falistej, i wiedziałem, że Stone Gap jest dokładnie takie samo jak moje rodzinne miasteczko. Był to świat, który chciałem opuścić, jednak mój wyjazd do Nowego Jorku tylko skusił los, żeby mnie ściągnął z powrotem. Udało mu się, i to więcej

razy, niż chciałem pamiętać. Każdy z tych razów był dla mnie przypomnieniem, że to, co otrzymałem, z łatwością może mi zostać zabrane. Stone Gap było przesycone poczuciem straty: czułem to w powietrzu, widziałem w twarzach mijających mnie ludzi i z całych sił starałem się unikać kontaktu wzrokowego, nie rzucać się w oczy, nie wywoływać pytań.

Biuro szeryfa znajdowało się w niskim murowanym budynku przy końcu głównej ulicy. Budynek stał w pewnym oddaleniu od innych, co uwidaczniało jego przeznaczenie i wagę, a kiedy wszedłem na ganek i otworzyłem drzwi, ujrzałem za nimi szeryfa.

- Nazywam się Joseph Vaughan - powiedziałem mu - i jestem pisarzem.

Szeryf Norman Vallelly był człowiekiem po sześćdziesiątce. Jego twarz w trzech czwartych pokrywały zmarszczki, a w jednej czwartej - kurze łapki, oczy niemalże znikwały, kiedy marszczył brwi. Te oczy były jasne jak monety; oczy, które widzą wszystko, co ludzie robią, wszystko, co myślą. W jego twarzy był jednak pewien spokój, coś, co przekonało mnie od razu, że jest to szczerzy człowiek, człowiek, który mówi tylko prawdę.

- Zamordowana dziewczynka? - zdziwił się. - Po kiego czorta chce pan coś o tym wiedzieć?

Odchyliłem się na krześle. Nie uświadamiałem sobie dotąd, jak jestem wyczerpany. Gdyby szeryf Vallelly zamilkł na trochę dłużej, bez wątpienia bym zasnął.

- Pracuję nad książką - powiedziałem. - Książką o...

- Taką jak ten, jak mu tam, Capote, tak? - Vallelly pokiwał głową na znak, że rozumie.

- Z zimną krwią, o tej rodzinie w Kansas. Moja żona czytała to cholerstwo z jakieś trzy albo cztery razy.

- Tak - odparłem. - Tak jak Capote.

- No cóż, panie Vaughan, nie wiem, czy uda się panu napisać książkę akurat o tym morderstwie, ale jeśli tak, proszę mi przysłać egzemplarz dla mojej żony.

- Oczywiście - zapewniłem go. - Oczywiście prześlę.

- A wie pan, ktoś już pytał o to morderstwo.

- Starszy mężczyzna, jakieś sześćdziesiąt dwa albo trzy lata?

- Ten sam - odparł Vallelly. - Emerytowany szeryf, Geary czy jakoś tak.

- Dearing - powiedziałem. - Haynes Dearing.

- O, właśnie! Zna go pan?

- Tak, znam. Był szeryfem w Augusta Falls, moim rodzinnym mieście.

- Przyjechał tu prawie natychmiast, gdy to się stało. Już gdzieś tak dzień po, kiedy wiadomość o morderstwie ukazała się w gazetach, przyjechał tutaj i zaczął zadawać pytania.

- Czy wspominał o tym, że kogoś szuka?

- Wspominał.

Uniosłem brwi.

Vallelly pochylił się w fotelu i oparł przedramiona na biurku.

- Chce pan, żebym panu powiedział, kogo szukał?

- Mógłby pan?

- On sam nie wiedział. Nie wiedział, kogo szuka, z wyjątkiem tego, że mógł to być Niemiec.

- Niemiec?

Validly skinął głową.

- Tak mówił. Mówił, że szuka jakiegoś Niemca.

- Nie wymienił jego nazwiska?

- Nie wymieniał żadnych nazwisk. Początkowo myślałem, że ten pański Haynes Dearing pomoże nam przy tej sprawie, ale został w naszym miasteczku godzinę albo dwie, a potem wyjechał.

- Nie wspominał dokąd?

- Nawet się nie pożegnał. Chyba mu się spieszyło.

- A śledztwo? - zapytałem.

Vallelly rozparł się w fotelu i zmarszczył brwi.

- Nie mogę panu podawać szczegółów toczącego się dochodzenia. Nie wolno mi ujawniać tego rodzaju informacji.

- Ale nikt nie został zatrzymany, prawda?

Vallelly milczał chwilę, a potem uśmiechnął się ironicznie.

- Powiedzmy, że nie było na ten temat żadnych artykułów w „Stone Gap Herald”, i na tym poprzestańmy.

- I od tego czasu nie miał pan żadnych wiadomości od szeryfa Dearinga? - zapytałem.

Vallelly pokręcił głową.

- Ani słowa. Obiecał, że da mi znać o wszystkim, co mogłoby pomóc nam w śledztwie. Wspominał pan, że jest z Augusta Falls?

Skinąłem głową.

- I on był tam szeryfem?

- Tak, przez wiele lat.

- I mieliście tam ten sam problem?

- Dziesięć zabitych - odrzekłem. - Pomiędzy rokiem 1939 a 1949 zamordowano dziesięć małych dziewczynek.

- Wszystkie w tym samym mieście?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, niektóre w sąsiednich hrabstwach. Pod koniec było w to zaangażowanych siedmiu szeryfów z różnych hrabstw.

Vallelly zagwizdał przez zęby. Sięgnął po fajkę leżącą na biurku i zaczął nabijać ją tytoniem.

- I wszystko to zrobiła jedna osoba?

- Tak nam się wydaje.

- Nam?

- Mnie i Haynesowi Dearingowi.

- No tak, oczywiście. I próbuje pan znaleźć Dearinga, bo chce pan, żebyście połączyli siły?

- Tak.

Vallelly zmrużył powieki i spojrzał na mnie znad fajki.

- I pan jest pisarzem, a on emerytowanym szeryfem.

- Tak.

- I wydaje się wam, że jesteście lepsi ode mnie i całej gromady szeryfów z różnych hrabstw?

Uśmiechnąłem się.

- Nie, oczywiście, że nie. Te morderstwa są popełniane od trzydziestu lat. W Mississippi, Tennessee, w Alabamie i Karolinie Południowej. Z tego, co zdołałem ustalić, było ich co najmniej trzydzieści. Wielu z funkcjonariuszy, którzy prowadzili śledztwa w tych sprawach, już nie pracuje. Podejrzewam, że część przeszła na emeryturę, część zmarła. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie zrozumieć prawdziwą naturę tego wszystkiego. To trwa od tylu lat i toczy się w tak wielu miejscach... Każde miasto miało własną ekipę i własne śledztwo, ale te śledztwa nigdy nie zostały skoordynowane.

- I zamierza pan napisać o tym książkę?

- Najpierw zamierzam znaleźć Haynesa Dearinga, ustalić, co wie, a potem może uda się namówić jakieś służby, żeby wszczęły śledztwo, które obejmie wszystkie morderstwa.

Vallelly przez chwilę nic nie mówił. Zapalił fajkę. Skwierczenie palącego się tytoniu było jedynym odgłosem w jego gabinecie. Arabeski dymu wzlatywały do sufitu, a światło wpadające przez okno zamieniało je w zjawy.

- Nie wiem, co mam panu powiedzieć - odezwał się w końcu. - Mam tu zamordowaną dziewczynkę. Została porwana w środku dnia z miejsca w pobliżu domu. Nikt nie widział nic

niezwykłego, nikt nic nie zapamiętał. Znalaziono ją dosłownie kilka godzin po...

- Jak została znaleziona, szeryfie?

Zasepił się.

- Jak została znaleziona? Chodzi panu o to, kto ją znalazł?

- Nie - odparłem. - Chodzi mi o to, co on jej zrobił.

Vallelly znów popatrzył, mrużąc powieki.

- Nie wiem, czy chcę komukolwiek o tym mówić.

- Znalazłem jedną z tych dziewczynek.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Kiedy miałem czternaście lat. Znalazłem jedną z nich na szczycie wzgórza niedaleko swojego domu. - Poczułem, że wspomnienie tego wydarzenia wypełnia mnie, ściska moją pierś. - Kiedy mówię, że ją znalazłem, mam na myśli to, że znalazłem większość części jej ciała.

- Jezu... - westchnął Vallelly ochryłym głosem.

- Wiem, co ten bydlak robi. Widziałem to z bliska. Czytałem o tym, rozmawiałem o tym, dręczy mnie to, odkąd pamiętam...

- Przeciął ją na pół, panie Vaughan - powiedział Vallelly. - Przeciął jej ciało na pół, jakby była kawałkiem drewna. Zostawił ją między drzewami przy drodze, gdzie każdy mógł ją znaleźć, dzieci czy ktokolwiek inny. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem, i mam nadzieję, że nie ujrzę znowu. To właśnie jej zrobił, panie Vaughan, przeciął dziewięcioletnią dziewczynkę na pół i zostawił ją przy drodze.

Obaj milczeliśmy przez dłuższą chwilę, a potem Vallelly spojrzał na mnie i zapytał:

- Co pan teraz zamierza? Ma pan pomysł, w jaki sposób można znaleźć pańskiego przyjaciela?

- Nic konkretnego - odparłem.

- Nic konkretnego nie przychodzi panu do głowy?

- No właśnie nic.

- Może chce pan, żebym wszczął coś w rodzaju alarmu, który umożliwi jego znalezienie?

Byłem zaskoczony i nagle moje serce nappełniło się nadzieją.

- Mógłby pan to zrobić?

Vallelly uśmiechnął się.

- Mogę robić, co mi się żywnie podoba. W końcu jestem szeryfem.

- Co by to oznaczało w praktyce? - zapytałem. - Jaki alarm ma pan na myśli?

- Mogę wysłać dalekopis do wszystkich szeryfów w tym stanie. Podam nazwisko tego człowieka, jego opis. Napiszę im, że nie chodzi o żadne śledztwo przeciwko niemu, że chcemy tylko ustalić jego miejsce pobytu. Chce pan, żeby przekazali mu, że go pan szuka?

- Jasne, że tak - odparłem. - Jeśli ktoś go zobaczy, niech go powiadomi, że chcę się z nim zobaczyć.

- I mają mu podać pańskie nazwisko?

- Oczywiście. Będę bardzo, bardzo wdzięczny, szeryfie.

- No to załatwione, panie Vaughan. Mam tu od cholery ludzi, którzy chcą się dowiedzieć, co się stało Rachel Garrett, i moim obowiązkiem jest pomóc panu w ustaleniu prawdy.

Podziękowałem szeryfowi Normanowi Vallelly'emu tak wylewnie, że wydawał się tym zawstydzony. Powiedziałem mu, że miałem zostać w Stone Gap jeden dzień, ale w takim razie zostanę dłużej. Obiecał, że powiadomi mnie, jeśli otrzyma jakąś informację zwrotną, poprosił też, żebym poinformował go o swoim miejscu pobytu. Polecił mi hotel Excelsior przy Fallow Road, trzy przecznice dalej.

- Ta nazwa brzmi tak, jakby to był co najmniej Ritz, ale niech mi pan wierzy, daleko mu do niego. Tyle że jest tam dosyć czysto, nie mają wygórowanych cen i będę wiedział, gdzie pana szukać w razie czego.

Raz jeszcze podziękowałem Vallelly'emu, uścisnąłem mu rękę i wyszedłem z gabinetu.

Przeszedłem trzy przecznice i znalazłem hotel Excelsior, nowoczesny dwupiętrowy budynek z elewacją w kolorze złamanej bieli i z kremowymi ramami okiennymi. Czułem, że wydarzyło się coś ważnego. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę wierzyłem, że mam jakąś szansę. Niewielką, ale jednak. W tym momencie byłem wdzięczny za wszystko i nie chciałem tracić nadziei.

Do środy piątego nie mogłem sobie znaleźć miejsca w swoim małym hotelowym pokoju. Dwa razy byłem w biurze szeryfa Vallelly'ego; za pierwszym razem go nie zastałem, drzwi były zamknięte, a światła pogaszone; za drugim razem, w poniedziałek wieczorem, tylko na mnie spojrzał znad biurka, zmrużywszy oczy, po czym potrząsnął głową. Nic nie powiedział, więc ja też nic nie powiedziałem i wyszedłem.

Z okna swojego pokoju widziałem skrzyżowanie Fallow Road z sąsiednią ulicą. Po prawej stronie, prawie niewidoczna, stała szkoła, kompleks małych murowanych budynków z boiskiem z tyłu. Co jakiś czas słyszałem śmiechy i krzyki dzieci. Najpierw rano, potem około południa i wreszcie po południu, kiedy wychodziły ze szkoły. We wtorek, niedługo po



piętnastej, leżałem w łóżku, a śmiech dziewczynek wpadał przez okno. Bawiły się w jakąś zabawę i podszedłem do okna, żeby usłyszeć je wyraźniej. Gdy dotarło do mnie, w co się bawią, zmroziło mnie nagle.

- Raz, dwa, trzy, BabaJaga patrzy...

Ukląknęłam, położyłam przedramiona na parapecie, a brodę na rękach i zamknęłam oczy. Za każdym razem, gdy słyszałem zgodny chór dziecięcych głosików, czułem, jak włosy mi się jeżą na karku. Miałem wrażenie, że dziewczynki wiedzą, że tu jestem, i po prostu przypominają mi o przyczynie mojego pobytu. W końcu, trudno mi powiedzieć po jakim czasie, ucichły. Wróciłem do łóżka. Moje policzki były mokre od łez, chociaż nie pamiętałem, żebym płakał.

W środę o piątej po południu pojawiłem się znów w biurze Vallelly'ego. Kiedy stanąłem w drzwiach, przywołał mnie ręką.

- Nic dla pana nie mam - powiedział. - Zdaję sobie sprawę, że takie oczekiwanie musi być frustrujące, ale na razie naprawdę nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Pański przyjaciel gdzieś zniknął. Gdy tylko pojawi się z powrotem w naszym stanie, ktoś z pewnością go zauważy. - Uśmiechnął się ze współczuciem. - Jedyna rzecz, której nie możemy przewidzieć, to kiedy to nastąpi.

- Zastanawiam się nad powrotem do Nowego Jorku - odparłem ku swemu zaskoczeniu, ponieważ dotąd tego poważnie nie rozważałem. Ta myśl nagle przysłała mi do głowy i zdziwiłem się, że w ogóle ją wyraziłem.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł - przyznał Vallelly. - Po przyjeździe proszę do mnie zadzwonić i powiedzieć, gdzie pan się zatrzymał. Może do tego czasu będę miał już jakieś wiadomości.

Usiadłem naprzeciwko szeryfa.

- Będę czekał aż do skutku - powiedziałem zrezygnowanym tonem. Uświadomiłem sobie, że nie odzywałem się do nikogo przez ponad trzy dni. Chciałem mówić, chciałem słyszeć dźwięk swojego głosu, słyszeć czyjeś odpowiedzi. Samotność zadomowiła się we mnie i nie podobało mi się to. - To niezmiernie ważne, żebym się z nim spotkał, a czuję, że tkwienie tutaj nic mi nie daje...

- Z wyjątkiem przypominania mi, że jeszcze nic dla pana nie mam

- powiedział Vallelly. Uśmiechnął się do mnie, uśmiechnął się tak, jak uśmiechał się Haynes Dearing, kiedy byłem dzieckiem, i zaboląła mnie myśl o nim, myśl o wszystkim, przez co przeszliśmy, i o tym, że trzydzieści lat później wciąż ścigamy te same duchy.

- Coś panu powiem - odezwał się Vallelly. Raz jeszcze sięgnął po swoją fajkę i

przeszedł przez rytuał nabijania jej i zapalania. - Kiedy człowiek jest w moim wieku, po tylu latach bycia szeryfem zaczyna dochodzić do wniosku, że pewnych ludzi nigdy nie zrozumie. Coś takiego jak to mordowanie dzieci... i nie tylko sam mord, ale jeszcze gwałt i szlachtowanie ich ciał... - Vallelly zamknął na chwilę oczy i potrząsnął głową. - Jest pan w stanie zrozumieć coś takiego, panie Vaughan?

- Nie - odparłem. - Nie jestem w stanie tego zrozumieć i nie wydaje mi się, żebym chciał to zrozumieć. Taki człowiek jak ten...

- To najbardziej chory rodzaj zwyrodnialca, jaki można sobie wyobrazić - przerwał mi Vallelly. - Tak myślę.

Uśmiechnąłem się i wbiłem wzrok w podłogę.

- Mam wrażenie, że działo się to całe moje życie. Zaczęło się, kiedy byłem dzieckiem i... cholera, wszystko, co od tamtej pory robiłem, wydaje się tym skażone.

- I stąd właśnie ta książka?

Zmarszczyłem brwi.

- Książka?

- Ta, którą pan pisze. Wydaje mi się, że spisanie tego wszystkiego może być czymś w rodzaju egzorcyzmów, zgadza się?

Wzruszyłem ramionami.

- Może - powiedziałem. - Przekonamy się, prawda?

- Niech mi pan coś powie - poprosił Vallelly. Pochylił się do mnie i zmrużył oczy. - Co przeżywa dziecko, kiedy widzi coś takiego?

- To mu uzmysławia tymczasową naturę wszystkiego - odparłem.

- Była nas tam cała paczka. Nazwaliśmy się Strażnikami. Haynes Dearing wywiesił w Augusta Falls plakaty. Ostrzegały nas, przypominały, żebyśmy cały czas pozostawali w pogotowiu, uważali na nieznajomych. Na tych plakatach była tylko sylwetka mężczyzny. Nic więcej. I wtedy zrobiłem chyba najważniejszą rzecz w swoim życiu. Zebrałem chłopaków i złożyliśmy przysięgę. Nawet poprzecinaliśmy sobie dłonie, żeby przypieczętować ją własną krwią. Przyrzekliśmy, że będziemy ochraniać inne dzieci, mieć na nie oko, zadbamy o to, żeby nic im się nie stało.

- Ale to nic nie dało, prawda?

- Nie, nic nie dało. Kiedy kilka dni temu wróciłem do Augusta Falls i odszukałem dwóch z tych chłopaków...

- Niech zgadnę... nie mieli dla pana czasu.

- Zgadza się.

Vallelly uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Można się było tego spodziewać. Dorośli, sami mają teraz dzieci. To, co się stało kiedyś, nie ma już z nimi nic wspólnego.

Skinąłem głową.

- Taka już jest ludzka natura, panie Vaughan. Nic na to nie poradzimy. Świat się zmienia. Ludzie zmieniają się jeszcze bardziej. Nie powiem, że mi się to podoba, ale nie mogę tego powstrzymać.

- Więc nie pozostaje nam nic innego, jak robić, co do nas należy, i mieć nadzieję, że może to coś da, tak?

- Zgadza się - potwierdził Vallelly. - Tak jak to robicie pan i pański przyjaciel Haynes Dearing.

Wstałem z krzesła.

- Proszę mi wierzyć, panie Vaughan, naprawdę zależy mi na tym, żeby go znaleźć - powiedział Vallelly. - Chcę, żebyście panowie się spotkali i zrobili coś, żeby powstrzymać tego bydlaka. Zrobię, co w mojej mocy. Wyślę jeszcze jeden dalekopis, a gdy tylko pan się zjawi w Nowym Jorku, proszę do mnie zadzwonić z wiadomością, gdzie pan się zatrzymał, dobrze?

- Dobrze - odparłem. Podałem rękę szeryfowi, po czym odwróciłem się i wyszedłem z jego biura.

Wróciłem do hotelu Excelsior i spakowałem się. W recepcji zapytałem o odjazdy autobusów i ustaliłem, że najlepiej będzie dostać się do Atlanty, a tam złapać autobus linii Greyhound do Nowego Jorku.

Nie chciałem wyjeżdżać, ale czułem też, że nie mogę zostać. Twarde i niewzruszone miejs

Wyjechałem z Atlanty do Nowego Jorku późnym popołudniem, w czwartek, 6 kwietnia 1967 roku. Gdybym wtedy wiedział, że wszystko skończy się już za kilka dni, zastanowiłbym się, czy nie odłożyć podróży na później. Dziwnie mi się myśli o tym teraz, ale wtedy zadawałem sobie głównie pytanie, co zrobię, gdy już to wszystko się skończy. Bo niezależnie od tego, w którą stronę się skieruję, w pewnym momencie się skończy. Co wtedy?

Wsiadłem do autobusu Greyhound i starałem się jak najdłużej spać. Po ośmiu godzinach zatrzymaliśmy się na chwilę. Wsiadłem i stanąłem na poboczu. Całe ciało mnie bolało. Umysł przechodził katusze. Patrzyłem na współpasażerów: gruby mężczyzna w kapeluszu, który pachniał tanią wodą kolońską i cygarami po trzydzieści centów; dziewczyna w ciąży, mająca nie więcej niż dziewiętnaście lub dwadzieścia lat, trzymająca cały swój

dobytek w zniszczonej torbie podręcznej „Samsonite”; sprzedawca butów, pięćdziesięcioletni i wykończony, w portfelu miał zdjęcie żony, która go zostawiła, i syna, którego nie widział od jedenastu lat; obok niego blondwłosy i wielkozęby rozgrywający z drużyny college’u, który nabawił się kontuzji kolana i został skazany na życie bez cheerleaderek, szatni i masaży. Wszyscy ci ludzie byli zjawami, obrazami z jakiegoś innego świata, świata, który opuściłem i zapewne nigdy do niego nie powrócę. Usiłowałem z nimi rozmawiać, ale nie bardzo wiedziałem, co mam mówić. „Siedziałem w więzieniu za morderstwo, którego nie popełniłem. Straciłem więcej bliskich osób, niż zyskałem. Przemierzam Amerykę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu człowieka, który ma mi pomóc ustalić tożsamość mordercy dzieci. Z tego, co wiem, zabił dwadzieścia dziewięć dziewczynek. Słyszę je cały czas. Niektóre z ich twarzy mam na stałe odcisnięte pod powiekami. Kiedy zamykam oczy, natychmiast je widzę. A teraz o czym porozmawiamy?”

Dotarliśmy do Nowego Jorku w niedzielę rano. Zmienił się, ale podobnie jak to było w przypadku Augusta Falls, ten Nowy Jork, który miałem w pamięci, wciąż istniał pod powierzchnią. Pamiętałem, jak pierwszy raz go zobaczyłem w kwietniu 1949 roku. Jak mnie na każdym kroku atakował. Wszystko było jaskrawe, odważne i aroganckie. Majestatyczne. Imponujące. Schron ludzkości.

Pamiętałem, jak Nowy Jork odebrał mi dech w piersiach. Wrócił on dopiero po dwóch dniach.

Minęło osiemnaście lat. Czuję się teraz jak stary człowiek.

Przyciągał mnie Brooklyn, magnetycznie i nie do odparcia, i podążyłem za tym przyciąganiem.

Stałem na rogu Throop i Quincy. Po domu Aggie Boyle nie pozostał ślad. To już nie była ta sama ulica ani to samo skrzyżowanie, ale jednak wyczuwałem tu obecność Bridget. Jej duch również mnie nawiedzał.

Wydawało mi się, że tu pasuję. Ze powinienem wrócić do miejsca, gdzie rozpoczął się mój osobisty koszmar. Dla oczyszczenia lub kuszenia losu zameldowałem się w hotelu oddalonym zaledwie dwieście metrów od rogu, za który skręciłem tego dnia, kiedy wróciłem z Manhattanu, tego dnia, gdy puściłem się w szalonym pędzie ku najgorszej chwili swojego życia. A może wcale nie najgorszej? W końcu było ich tak wiele... Czym sobie zasłużyłem na takie życie? Jakąż zbrodnię popełniłem, że zasądzono mi tak ciężki wyrok?

Nie wiedziałem. Wołałem nie pytać. Pozwoliłem, by mój umysł uciszył się, usiadłem przy oknie swojego pokoju i popatrzyłem na Brooklyn zupełnie innymi oczami.

Rano miałem zadzwonić do szeryfa Vallelly’ego i powiedzieć mu, gdzie jestem.

### XXXIII

- Mamy go - powiedział Vallelly, gdy tylko odebrał.

- Dearinga?

- Tak jest. Widział go jeden z naszych ludzi w Baxley.

- Baxley? - powtórzyłem. To miasteczko leżało jakąś godzinę drogi od Augusta Falls.

- Mam tam znajomego. Pracowaliśmy razem w Macon.

- Jezu... - rzuciłem przez zaciśnięte zęby. Stałem przy kontuarze hotelowej recepcji.

Przez okno widziałem skrzyżowanie. Odwróciłem się tyłem do recepcjonisty, usiłując uzyskać choć trochę prywatności.

- Panie Vaughan? Jest pan tam?

- Tak... przepraszam... Tak, jestem tutaj. No dobrze, więc jest w Baxley. W jakich okolicznościach ten pański człowiek z nim rozmawiał?

- Złapał gumę. Mój znajomy, który jest tam zastępcą szeryfa, zatrzymał się, żeby mu pomóc, i wdali się w rozmowę. Powiedział Dearingowi, żeby skontaktował się ze mną, że mam wieści od starego przyjaciela, któremu bardzo zależy na spotkaniu.

- Powiedział mu, jak się nazywam?

- Nie, nie podawałem pańskiego nazwiska. Mam nadzieję, że teraz Dearing skontaktuje się ze mną i wtedy powiem mu, gdzie może pana znaleźć.

- Nie wspominał, dokąd jedzie?

- Tylko tyle, że wyjeżdża z Georgii, zdaje się na północ. Nie był w sumie zbyt rozmowny, ale obiecał, że do mnie zadzwoni.

Przez chwilę milczałem.

- Wygląda na to, że to dla pana nie lada niespodzianka, panie Vaughan.

Wzięłem głęboki wdech i przytrzymałem przez chwilę powietrze.

- Tak - odparłem. - Szansa na to, że się uda, była naprawdę niewielka. fezu, nie wiem, co powiedzieć.

- Cóż, na razie nie ma co gadać. Zaczekajmy do momentu, gdy Dearing skontaktuje się ze mną, wtedy będziemy wiedzieć, na czym stoimy. Dobrze?

- Tak. Dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczny.

- Do licha, panie Vaughan, jak już mówiłem, nic nie sprawi mi większej radości niż szybki koniec tej sprawy. Skontaktuję się z panem, gdy tylko Dearing do mnie zadzwoni.

- Jeszcze raz dziękuję. Proszę mnie informować na bieżąco.

- Mam nadzieję, panie Vaughan, że już wkrótce będę miał dla pana pomyślne wieści.

Ponownie podziękowałem szeryfowi Vallely'emu i odłożyłem słuchawkę na widełki. Następnie poprosiłem recepcjonistę, by bezzwłocznie dał mi znać, jeśli ktoś będzie do mnie dzwonił.

Recepcjonista - niewysoki łysawy człowieczek o imieniu Leonard, z niesfornymi kosmykami włosów sterczącymi nad uszami - popatrzył na mnie znad okularów połówek.

- Jakież kłopoty? - zapytał podejrzliwie.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

- Jestem trochę podenerwowany - wyjaśniłem. - Usłyszałem wieści o starym przyjacielu. Nie widzieliśmy się od lat i wreszcie mam szansę się z nim spotkać.

Leonard uśmiechnął się. Wyraźnie mu ulżyło.

- No to życzę powodzenia - powiedział. - Zawiadomię pana, gdy tylko ktoś do pana zadzwoni.

Wróciłem do pokoju i usiadłem na brzeжку łóżka. Głowa wydawała się za ciężka, by utrzymać się na szyi. Położyłem się, postawiłem za sobą poduszkę i próbowałem zebrać myśli.

Augusta Falls. Szeryf Haynes Dearing. Strażnicy kontra morderca dzieci. Wróciłem myślami do wszystkiego, co się stało, wszystkiego, co mogłem sobie przypomnieć. Pomyślałem o wykładzie Dearinga w szkole, o tym, jak patrzył na nas po kolei, nie wymieniając nas z nazwiska, ale czyniąc jasnym, kto odpowiada za to całe zamieszanie. Godzina policyjna. Ostrzeżenia. Moja matka. To, jak nieodwracalnie ześlizgiwała się w odmęty czegoś strasznego. Elena Kruger. To, że nie udało mi się jej ochronić. Przymierzenie, które złożyliśmy jako dzieci i którego nie mogliśmy dotrzymać.

Myślałem też o mordercy, o dziewczynkach, które dostały się w jego łapy. Usiłowałem zrozumieć, co go doprowadziło do tak strasznych czynów. Wściekłość. Nienawiść. Zazdrość. Jakieś szaleństwo nie do opisanego, które pochodziło z głębi jego duszy i nie mogło zostać wygnane żadnymi egzorcyzmami. Szaleństwo, którego nawet Laurence Gabillard, bez względu na liczbę liter przed nazwiskiem, nie mógłby zrozumieć.

A potem pomyślałem o Georgii, o tym wszystkim, czym była i co sobą reprezentowała. O Reillym Hawkinsie, Franku Turowie, jednookim Lowellu Shanerze, który szedł w jednej linii z siedemdziesięcioma innymi mężczyznami i wołał dziewczynkę, której nawet nie znał. O zapachach i odgłosach w kuchni Krugerów, o Mathilde i dzieciach.

I o pytaniu napisanym przez Haynesa Dearinga: „Dokąd pojedzie chłopak z Jesup?”.

No właśnie, dokąd?

Nagłe walenie do drzwi poderwało mnie na nogi. Zaszumiało mi w głowie i przez

chwilę byłem zdezorientowany. Podszedłem do drzwi, uchyliłem je i zobaczyłem Leonarda - podenerwowanego, podnieconego.

- Telefon - powiedział. - Telefon do pana... To chyba pański przyjaciel.

Minąłem go i pobiegłem na dół. Dopadłem do recepcji i chwyciłem słuchawkę.

- Joseph? - zapytał Haynes Dearing.

- Szeryf Dearing? Roześmiał się.

- Jezu, nikt tak do mnie nie mówił już całe wieki. Jak się masz? Zacząłem się śmiać.

Poczułem, że zalewa mnie fala emocji. Kręciło mi się w głowie, czułem mdłości i musiało minąć trochę czasu, zanim odzyskałem głos.

- W po... porządku. Tak, w porządku, szeryfie. Szukałem pana.

- Słyszałem - powiedział Haynes Dearing i wraz z jego głosem wróciły wspomnienia wszystkiego, co o nim pamiętałem, zupełnie jakbyśmy rozmawiali zaledwie wczoraj. Miałem mu tyle do powiedzenia, a ledwo mogłem wydusić dwa słowa.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- W Nowym Jorku - odrzekłem. - Na Brooklynie.

- Jezu, akurat tam, ze wszystkich miejsc na świecie. Myślałem, że będziesz miał go dosyć... No wiesz, po tym wszystkim, co tam zaszło.

- Wiele zaszło w całym moim życiu, szeryfie - powiedziałem. - Miałem nadzieję, że...

- Ze się spotkamy?

- Tak, że się spotkamy. Gdzie pan jest?

- Sznat drogi od ciebie, ale mogę przyjechać - powiedział Dearing.

- Mogę przyjechać do Nowego Jorku i się z tobą spotkać, Josephie... Chciałbyś?

- Tak - odrzekłem, nie dowierzając, że to naprawdę się dzieje.

- Mógłby pan?

- Pewnie, że bym mógł. Miło będzie cię zobaczyć po tylu latach.

- Przerwał na chwilę. - Słyszałem o wszystkim, co się stało. O tej dziewczynie w Nowym Jorku... o procesie...

- Wystarczy - przerwałem mu. - Nie chcę o tym mówić...

- Wiem, o czym chcesz mówić, Josephie, i dlatego właśnie do ciebie zadzwoniłem. Przyjadę do Nowego Jorku. Wydaje mi się, że w tych okolicznościach to najlepsze, co można zrobić. Zaraz wyruszam w drogę. Jeśli złapię pociąg, powinienem chyba dotrzeć na jutro, prawda?

- Tak - odparłem. Wszystkie nerwy w moim ciele dzwoniły w oczekiwaniu. Czułem strach, wyczerpanie, ale przede wszystkim nie mogłem się doczekać. Zobaczę Haynesa

Dearinga. Razem wyjaśnimy tę sprawę i doprowadzimy ją do szczęśliwego końca. Wiedziałem o tym. Wierzyłem w to. Musiałem w coś wierzyć.

- No dobrze, to jesteśmy umówieni - powiedział Dearing. - Przyjadę do Nowego Jorku. Powiedz mi, gdzie się zatrzymałeś.

Podąłem mu adres hotelu. Zapewniłem, że nie będę ruszał się z miejsca, że zostanę tam i zobaczę się z nim zaraz po przyjeździe. Podziękowałem za telefon i za to, że zgodził się przyjechać, za możliwość rozmowy i zbliżenia się do prawdy.

Życzył mi powodzenia, po czym się rozłączył.

Stałem tam ze słuchawką palącą mnie w dłoń, dopóki Leonard nie wyjął mi jej z ręki i nie odłożył na widelki.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Odwróciłem się i popatrzyłem na niego. Uśmiechnąłem się głupkowato.

- Nie może być lepiej - odparłem. - Po prostu nie może być lepiej.

Pół godziny później wyszedłem, żeby kupić coś do jedzenia - chleb, ser, parę plasterków szynki, kilka jabłek. Nie chciałem już później opuszczać hotelu. Przyniosłem to wszystko do swojego pokoju i wyłożyłem na stół przy oknie. Usiadłem na jednym z dwóch krzeseł pod ścianą.

Nie wytrzymałem długo. Zacząłem chodzić po pokoju. Podeszedłem do okna i zasunąłem zasłony. Chciałem, żeby był już wieczór. Chciałem zasnąć, przestać myśleć, chciałem, żeby już było jutro i żebym widział Haynesa Dearinga idącego ulicą w kierunku hotelu.

Zszedłem na dół i zadzwoniłem do szeryfa Vallelly'ego, żeby mu powiedzieć, że skontaktował się ze mną Dearing, i podziękować za okazaną pomoc. Nikt nie odbierał.

Wróciwszy do pokoju, zacząłem krążyć między oknem a drzwiami do malutkiej łazienki. Czuję się tak, jakbym znów się znalazł w Auburn i liczył kroki, byle tylko nie myśleć. Wydawało mi się, że za chwilę wybuchnę, tutaj, na środku tego pokoju. Uczucia, które mnie ogarniały, wydawały się trudne do zdefiniowania, ale były intensywne, bardzo intensywne. Próbowałem myśleć o książkach, które czytałem, filmach, które oglądałem. Próbowałem myśleć o Alex, o Bridget, próbowałem zobaczyć ich twarze, żeby przypomnieć sobie, dlaczego to wszystko robię. Nie pojawiły się jednak przed moimi oczami, zupełnie jakby wyczuły moje zdenerwowanie i nie chciały w tym wszystkim uczestniczyć.

W końcu położyłem się na łóżku. Zamknąłem oczy i zaczęła mnie ogarniać senność; walczyłem z nią, ale nie było łatwo; całe moje ciało było zmęczone i w gruncie rzeczy wiedziałem, że ta walka nic nie da. Leżąc, wyobrażałem sobie swoje spotkanie z Haynesem



Dearingiem; myślałem o rzeczach, o których będziemy mówili, o latach, które spędził, jeżdżąc po kraju wzdłuż i wszerz i szukając odkupienia. Zabił Gunthera Krugera, byłem tego pewien, i zastanawiałem się, jak bardzo go to prześladowało.

Jestem skołowany, powie. To trwa już od trzydziestu lat, a ja wciąż jestem skołowany. Nie rozumiem tego teraz ani trochę bardziej niż wtedy.

Nie szkodzi, odpowiem mu. Nie szkodzi, i tak we dwóch doprowadzimy tę sprawę do końca, raz na zawsze. Jest pan tutaj i tylko to się liczy. Chcę, żeby pan mi powiedział, co widział i słyszał, w co wierzy, dlaczego pańskim zdaniem te okropieństwa nigdy się nie skończyły. Może pan to zrobić, prawda? Może pan to zrobić dla mnie?

A Dearing usiądzie na krześle przy oknie, promienie popołudniowego słońca utworzą aureolę wokół jego włosów, a ja pomyślę o aniołach i ta myśl sprawi, że znów zobaczę ich twarze i zadrzę w momencie, kiedy je rozpoznam i zrozumiem, dlaczego do tej pory pozwaliałem, by to wszystko mnie prześladowało.

Porozmawiajmy, powiem mu. Proszę opowiadać, a ja będę słuchał.

I rozłożymy wycinki prasowe na łóżku, i popatrzymy na wszystkie te twarze, i on powie mi, dlaczego jego zdaniem one zginęły i dlaczego jakieś dwieście metrów od tego miejsca została zamordowana Bridget. A ja spróbuję zrozumieć to, o czym będzie mówił, wnioski, do których doszedł przez te wszystkie lata, gdy się nie widzieliśmy. I opowie o tym, jak ścigają go duchy przeszłości, że wystarczy, by zamknął oczy, a widzi ich twarze, słyszy ich śmiech, gwizdanie i okrzyki w czasie zabawy. I pewnie rozplączemy się i płacząc razem, w jakiś sposób się do siebie zbliżymy, osiągniemy pewien stopień braterstwa i świadomość, że obaj żyliśmy tą sprawą, mimo że byliśmy rozdzieleni. A potem porozmawiamy o tym, co robić, dokąd powinniśmy pójść, o tym, jak to wszystko zakończyć.

Będziemy mówili o strachu, o frustracji; będziemy mówili o gniewie, o nienawiści; będziemy mówili o nocach, kiedy stawaliśmy z tym człowiekiem twarzą w twarz, widzieliśmy go w naszych snach i w snach go zabijaliśmy. Zabijaliśmy i zabijaliśmy, i zabijaliśmy go tysiąc razy. I o tym, jak budziliśmy się i uświadamialiśmy sobie, że ta sprawiedliwość, którą wymierzaliśmy, była ułudą, zjawą, duchem... tak samo jak morderca dzieci.

Będziemy mówili o wszystkich tych rzeczach, a oprócz tego będziemy wspominać dni w Augusta Falls, które były początkiem koszmaru, i dojdziemy do wniosku, że tak naprawdę powinien był się skończyć już wtedy.

Zatoczyliśmy koło, powiem.

A Haynes Dearing popatrzy na mnie i w jego oczach ujrzę tego młodszego

mężczyznę, który na swój sposób się mną opiekował, mną i moją matką, który odwiedzał ją, gdy tylko mógł, rozmawiał z nią i dodawał jej sił. Szeryf Haynes Dearing pozostał z nami nawet wtedy, gdy wszyscy inni się od nas odwrócili. Nigdy się nie poddał. Skała. Filar. Człowiek bez skazy.

Trzeba być twardym, powiem mu, żeby znieść to wszystko. Utratę matki. Alex. Bridget. Eleny i wszystkich pozostałych. Nie wiem, jak ktoś, kto stracił tylu bliskich, może wciąż wierzyć w ludzką dobroć.

To dlatego, że każdy z nas ma swoje przeznaczenie, odpowie on na to. To dlatego, że wierzymy w to, co robimy; niezależnie od tego, w którą stronę idziemy, wierzymy w to, co robimy.

Pochyli się do mnie, mówiąc prawie konspiracyjnym szeptem, zupełnie jakbyśmy tylko my dwaj naprawdę rozumieli naturę tego, co się stało.

Musimy coś zrobić, żeby to zatrzymać, powiem, a Haynes Dearing kiwnie głową i zgodzi się ze mną, a potem opowie mi o tych wszystkich latach, kiedy wzdłuż i wszerz przemierzał Amerykę, szukając następnej dziewczynki, może mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że nie będzie następnej, ale wiedząc, jednak wiedząc, że będzie.

Pamięta pan Strażników?, zapytam, a Dearing się roześmieje. Tak właśnie się sami nazwaliśmy: Strażnicy. Ja, Hans Kruger i Maurice Fricker - pamięta go pan? Niedawno się z nim widziałem...

Niedawno?

No tak, zaledwie kilka dni temu. Wie pan, że jego ojciec nie żyje?

Gene nie żyje?

Tak. Zginął w wypadku w jakimś innym hrabstwie. Maurice wygląda jak skóra zdjęta z ojca. Zawsze tak wyglądał, ale teraz, gdy jest starszy, to już w ogóle. A pamięta pan Michaela Wiltseya? Nazywaliśmy go Wiercipiętą. Nie umiał usiedzieć w miejscu. Był jeszcze z nami Daniel McRae... Zawsze przypatrywaliśmy mu się baczniej, wie pan? Dlatego, że jego siostra była jedną z ofiar. Pilnowaliśmy go, jakby w każdej chwili mógł się załamać. I był też Ronnie Duggan. Znał pan Ronniego Duggana?

Tak, pamiętam go. Konus z włosami cały czas wpadającymi mu do oczu.

Tak, to on. On też był z nami. A pamięta pan, jak poobwieszał pan całe miasteczko plakatami z sylwetką mężczyzny?

Pamiętam... Mój Boże, kto by przypuszczał, że minęło już tyle lat.

Tak... Strażnicy przeciwstawili się zabójcy dzieci. I chociaż wiedzieliśmy, że tak naprawdę nie uda nam się go powstrzymać, przynajmniej się staraliśmy, prawda? Staraliśmy

się zrobić coś, żeby te potworności skończyły się raz na zawsze.

Wiem, że się staraliście, Josephie, wiem. I co ci powiedzieli ci twoi Strażnicy, kiedy zobaczyłeś się z nimi po latach?

Oni nie chcieli wiedzieć, szeryfie, oni po prostu nie chcieli wiedzieć. Udawali, że to wszystko należy już do przeszłości. Ze skończyło się wraz ze śmiercią Gunthera.

No tak... ze śmiercią Gunthera.

Wiem o wszystkim, szeryfie. Wiem, co się stało tamtego dnia.

Ja również wiem, Josephie. Wiem, że wszystkiego się domyśliłeś.

I rozumiem, dlaczego pan to zrobił.

Naprawdę?

Tak, a przynajmniej tak mi się wydaje. Zrobił pan to dlatego, że chciał, żeby wszystko wróciło do normy. Chciał pan, żeby wszystko było takie jak dawniej, zanim te potworności się zaczęły. Myślał pan, że jeśli będą mieli winowajcę, przestaną się tym zadrećzać, przestaną się tego bać i Augusta Falls stanie się znów takim samym miasteczkiem, jakim było przed śmiercią Alice.

Dearing nic nie będzie mówił, tylko popatrzy na mnie oczami pełnymi łez, zupełnie tak jak moja matka, kiedy mówiła o tym, co ją łączyło z Guntherem Krugerem, i zrozumie, że pragnie, bym mu wybaczył.

Mogę spróbować to zrozumieć... ale nie mogę tego panu wybaczyć, szeryfie. Nie dostanie pan ode mnie rozgrzeszenia. To nastąpi dopiero wtedy, gdy będzie pan szukał zbawienia.

Wiem, Josephie, wiem. Tak bardzo chciałem, żeby to już się skończyło. Wiem, że rozumiesz. Chciałem, żeby wszystko wróciło do punktu wyjścia. Wierzyłem w to, że jeśli dostaną kogoś, kogo będą mogli obarczyć winą za wszystko, zaznają wybawienia. Wierzyłem, że...

W porządku szeryfie, w porządku. To już przeszłość i żadne rozmowy tego nie zmienią.

A co z teraźniejszością, Josephie? Co teraz?

Teraz? Nie mam pojęcia. To wszystko wydaje się tak bardzo odległe, że czasami zastanawiam się, czy przypadkiem mi się to nie przyśniło i czy ten sen nie był tak silny, że uwierzyłem, że to stało się naprawdę.

To się stało naprawdę, Josephie, to się stało naprawdę.

Wiem, szeryfie, wiem.

Więc co robimy?

Miałem nadzieję, że to pan mi udzieli odpowiedzi na to pytanie.

Ja? Dlaczego uważasz, że mogę udzielić na to pytanie lepszej odpowiedzi niż ty?

Dlatego, że był pan tam. Przez wszystkie te lata... podczas gdy ja byłem na Brooklynie, podczas gdy siedziałem w Auburn, pan wciąż tam był i prowadził poszukiwania.

To nie znaczy jeszcze, że wiem, co mamy zrobić. Ja tylko widziałem więcej niż ty, to wszystko. Tylko to, Josephie... Ja tylko więcej widziałem.

A czy widząc więcej, nie zrozumiał pan lepiej ode mnie tego wszystkiego, szeryfie?

Długo nic nie będzie mówił, a potem popatrzy na mnie błyszczącymi od łez oczami i powie: Wydaje mi się, że wszystko przez to, że zabił pierwszą dziewczynkę i od tego czasu go prześladowała. Myślę, że mówiła do niego, kpiła z niego, chodziła za nim wszędzie i każda inna dziewczynka przypominała mu tę pierwszą, a potem drugą i trzecią. I nie mógł uciszyć ich głosów, Josephie. Myślę, że bez przerwy do niego mówiły i to doprowadzało go do szaleństwa. Nie mógł przez nie spać. Nie mógł przez nie żyć. Musiał je jakoś od siebie odegnąć... A w końcu stały się takie same i tak samo na niego patrzyły, a ich głosy były jak jeden głos, i jedynym sposobem na to, żeby je uciszyć, było zabijanie ich. Poczucie winy, rozumiesz? Zaczęło mu towarzyszyć poczucie winy i robił wszystko, żeby je zagłuszyć.

Myśli pan, że właśnie tak to wyglądało?

Nie wiem, Josephie. Nie wiem, czy ktokolwiek to kiedykolwiek zrozumie. Staralem się, uwierz mi, bardzo się starałem... ale im więcej o tym myślę, tym większy mętlik mam w głowie.

Dosyć... już dosyć. Musimy po prostu postanowić, co robić, to wszystko... Musimy po prostu postanowić, co robić.

We wtorek jedenastego obudziłem się raptownie. Ubranie miałem przepocone. Promienie słońca bezskutecznie usiłowały się przedrzeć do pokoju przez zasunięte zasłony, ale hałas ulicy za oknem przekonał mnie, że zaczął się już nowy dzień. Popatrzyłem na zegarek. Było po jedenastej.

Wstaiem i wziąłem prysznic. Ogoliłem się i włożyłem czyste ubranie. Stałem przed lustrem i pytałem samego siebie, czy jestem gotów na spotkanie z Haynesem Dearingiem. Jeśli nie teraz, to kiedy?, zapytałem i usiłowałem być silny, usiłowałem zachować jakies poczucie pewności, jeśli chodzi o to, co robiłem.

Próbowałem zjeść kanapkę z serem, ale nie miałem apetytu.

Ten pokój był po prostu moją nową więzienną celą i chociaż mogłem z niego wyjść, kiedy mi się podobało, chociaż drzwi nie były zamknięte i nikt nie stał za nimi, żeby zapobiec mojej ucieczce, to nie mogłem stąd wyjść tak samo jak wtedy, gdy siedziałem w Auburn.

Wszystko w teraźniejszości wydawało się ledwie odległym echem przeszłości. W pewnym momencie podjąłem decyzję - może mało znaczącą i prostą - i odtąd wszystko było inne, przeniosło się do innego wymiaru. Prawdziwy Joseph Vaughan istniał w świecie równoległym, świecie bez martwych dzieci, świecie, w którym zestarzał się z Alex Webber, w którym jego matka dożyła sędziwego wieku, w którym pozostała przytomna, piękna, wręcz zadowolona z życia - zarówno swojego, jak i syna. Albo może nawet ten świat rozpoczynał się jeszcze wcześniej. Może w tym świecie serce Earla Vaughana było silne jak dzwon, jak serce olbrzyma i nic tak nieistotnego jak gorączka reumatyczna go nie dotykało. Żył gdzieś dotąd ze swoją żoną i chociaż nie mogli mieć więcej dzieci, ich syn w zupełności im wystarczał. Został pisarzem i ludzie poznali jego nazwisko. Był synem Augusta Falls i Augusta Falls było dumne ze swego syna.

W jakimś innym świecie. W jakimś innym życiu.

Nie w tym.

O drugiej po południu otworzyłem okno i usiadłem na krześle, opierając przedramiona o parapet. Wyglądałem i czekałem, modląc się, żeby Dearing się nie rozmyślił. Jechał. Mocno w to wierzyłem. Przyciągałem go siłą woli. Przyciągałem myślami. Chciałem, żeby wyszedł zza rogu. Chciałem zobaczyć, jak idzie chodnikiem tym swoim niezapomnianym krokiem. Chciałem, żeby zadarł głowę i zobaczył mnie w oknie, uniósł rękę, uśmiechnął się i zaczął mówić do mnie, chociaż nie mogłem go usłyszeć.

Patrzyłem na taksówki wlokące się ulicą, pragnąc ze wszystkich sił, żeby jedna z nich zatrzymała się przy krawężniku, żeby tylne drzwi się otworzyły i żeby po chwili wahania wysiadł z niej Haynes Dearing, i nawet gdybym zobaczył tylko czubek jego kapelusza, z pewnością bym wiedział, że to on. Bez najmniejszych wątpliwości. Bez żadnej niepewności. Haynes Dearing na Brooklynie i w moim hotelu.

Do czasu, gdy słońce zaczęło zachodzić, byłem u kresu sił. Nie mogłem mówić. Patrzyłem na swoje odbicie w lustrze, udawałem, że jestem kimś innym, i usiłowałem rozpocząć rozmowę, żeby usłyszeć jakiś głos. Jakikolwiek głos. Jednak z moich ust wydobywał się tylko przyduszony charkot. Zamykałem oczy i oddychałem głęboko.

Jestem banitą, przemknęło mi przez głowę. Zastanawiałem się, czy tu zostanę. Zamknięty na zawsze we własnym prywatnym więzieniu, poza czasem i miejscem, czekając na kogoś, kto nigdy nie przybędzie.

Jestem banitą i nikt oprócz człowieka, na którego czekam, nie wie, że tu jestem. A on nigdy nie przyjdzie. Nigdy nie zamierzał przyjść. Złożył przyrzeczenie, a potem je złamał. Tak jak to przyrzeczenie, które złożyłem Elenie. Niedotrzymane słowa. Złamane przysięgi.

Ślubowania bez wartości. Oto, kim się stałem i sam to stworzyłem. Nikt inny tego nie zrobił, tylko ja. Nikt poza mną.

#### XXXIV

Zapadł zmierzch. Przez cienką szparę między zasłonami widziałem księżyc - wysoko i w pełni. Zaświecił jak oko w moim pokoju i zobaczył mnie siedzącego na podłodze, plecami do ściany przy łóżku.

Usłyszałem zatrzymujący się samochód. Usłyszałem przyciszone słowa. Usłyszałem trzask drzwi i włączanie silnika. Samochód odjechał.

Moje ciało protestowało, ale zdołałem jakoś wstać z podłogi i podejść do okna.

Rozsunąłem zasłony, podniosłem okno i spojrzałem w dół. Spojrzałem w dół i wydało mi się, że czas się cofnął.

Było jak w czwartek, 17 lutego 1949.

Wyglądał identycznie jak wtedy. Wtedy, gdy przyjechał, żeby zabrać mnie do Jesup.

W chwili, gdy go zobaczyłem, gdy zobaczyłem, jak zwleka, jak spogląda na ulicę, a potem na budynek, gdy zobaczyłem, jak jego własny anioł śmierci usiłuje wydostać się z niego, wiedziałem.

Wiedziałem.

Uniósł dłoń.

Wystawiłem rękę przez otwarte okno.

- Joseph - powiedział. Jego głos był prawie szeptem.

- Trzecie piętro! - zawołałem. - Pokój na końcu korytarza.

Skinął głową, włożył kapelusz na głowę, a potem ruszył wolno, niczym żałobnik na pogrzebie, w kierunku drzwi.

Otworzyłem torbę. Wyjąłem z niej wycinki prasowe i położyłem je na łóżku. Serce waliło mi jak młotem, ręce się spociły. Czułem pulsowanie w skroniach, a czaszki mi o mało nie rozsadziło. Postawiłem krzesło spod okna naprzeciwko drugiego, na środku pokoju.

Podszedłem do drzwi.

Słyszałem jego kroki na klatce schodowej. Stałem przez chwilę. Próbowałem głęboko odetchnąć. Próbowałem wziąć się w garść. Odsunąłem się od drzwi, usiadłem na krześle i zamknąłem oczy.

Drzwi przede mną zaczęły się otwierać. Widziałem obracającą się gałkę. O mało nie zemdlałem z wrażenia. Patrzyłem, jak drzwi otwierają się wolno, centymetr za centymetrem, a potem Haynes Dearing stanął przede mną i uśmiechnął się, uśmiechnął szeroko, i mimo że

się postarzał, mimo że od naszego ostatniego spotkania minęło tyle lat, zobaczyłem go. Zobaczyłem go naprawdę chyba po raz pierwszy w życiu.

- Joseph - powiedział, po czym wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Szeryf Dearing - odparłem.

- Miło cię widzieć.

- Naprawdę?

Rzucił okiem na łóżko, zobaczył leżące na nim wycinki. Uśmiechnął się ze zrozumieniem, może nawet ze współczuciem.

- To nasze duchy, prawda?

- Tak mi się wydaje, szeryfie - odrzekłem i gdzieś głęboko w sobie znalazłem pokłady determinacji i wewnętrznej siły. - Niech pan siada. Niech pan siada i opowiada, co słysząc.

Dearing nie miał żadnego bagażu. Był w długim płaszczu, chwilę zajęło mu jego ściągnięcie. Złożył go starannie i położył na stoliku przy łóżku.

- Od kiedy tu jesteś? - zapytał, zajmując miejsce na krześle.

- Od kilku dni.

Uśmiechnął się, po czym zaczął się śmiać.

- Śmierdzi tu, jakby ktoś wykitował.

- Może faktycznie tak było.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Potem Dearing sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął rewolwer. Wymierzył z niego prosto w moją pierś.

- Od jak dawna? - zapytał. Jego głos brzmiał troskliwie i współczująco.

- Od jak dawna? - powtórzyłem. - Nie wiem, szeryfie. Wszystko było niejasne i rozlażo się w szwach. Patrzę za siebie i wydaje mi się, że to wszystko wydarzyło się wczoraj.

- Rozumiesz w ogóle coś z tego, co się stało? - zapytał.

- Rozumiem, że nastawił pan moją matkę przeciwko Krugerom, przekonał ją, że to Gunther, a może nawet Walter, odpowiada za śmierć tych wszystkich dzieci. Myślę, że to pan strzelił w okno Krugera i to pan zabił jego psa. Myślę, że to pan podpalił jego dom, a potem tak długo odwiedzał moją matkę w Waycross, aż wreszcie wmówił jej pan, że to ona zrobiła.

Dearing wpatrywał się we mnie bez zmrużenia powiek. Jego usta drgnęły leciutko i tylko to przekonało mnie, że żyje. Jego oczy były mroczne, pozbawione światła i wydawały się studniami bez dna. Ujrzałem w nich swoje odbicie i to, co zobaczyłem, śmiertelnie mnie wystraszyło.

- A potem pojechał pan do Jesup i powiesił Gunthera Krugera. Wykorzystał mnie pan,

prawda? Zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Pojechał pan tam, zabił go, włożył mu do ręki wstążkę, a potem schował pod podłogą dowody, które miały świadczyć o tym, że to Gunther mordował dzieci.

Dearing zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, na jego twarzy pojawił się roztargniony uśmiech.

- Myślę, że zostawił pan karteczkę w teczce w Valdosta. Chciał pan znaleźć synów Krugera, chyba bał się pan, że domyślą się, że to pan zabił ich ojca. Ludzie zobaczyli tę karteczkę i doszli do wniosku, że podejrzewa pan jednego z nich. Waltera? Czy to jego właśnie pan się bał?

Dearing nie odpowiedział. Czuję mocne bicie swojego serca.

- Zląkł się pan go i chciał go znaleźć, prawda? Wystraszył się pan też mnie... Tego, co mogę wiedzieć, co mogę powiedzieć. Sądzę, że przyjechał pan tutaj, żeby zabić mnie i Bridget, ale ponieważ mnie pan nie zastał, zadowolili się nią. Założę się, że potem pogadał pan z policjantami, jakoś dał im do zrozumienia, że zabiłem Bridget i że morderstwa dziewczynek wcale się nie skończyły wraz ze śmiercią Gunthera Krugera, dlatego to nie on był ich sprawcą. Podejrzewam, że zasiał pan w nich wątpliwości i sprawił, że mnie znienawidzili. To przez pana nie sprawdzali innych poszlak i dlatego straciłem prawie czternaście lat życia... życia, które już i tak pan zniszczył.

Dearing uniósł rewolwer i wycelował w moją głowę.

- Dosyć - powiedział. - Nie zamierzam tego dłużej słuchać...

- I jeszcze te dziewczynki - powiedziałem. Głos mi się załamał, kiedy spojrzałem na lufę rewolweru Dearinga. - Tyle ich było. Porywał je pan wszystkie w świetle dnia. Pewnie pojawiał się pan w mundurze, co? Wkładał pan mundur i jeździł z miasta do miasta, a ludzie widzieli pana i nie podejrzewali o nic. Nawet dziewczynki, nawet one nie podejrzewały, że coś może im grozić z pana strony. Zgadza się, szeryfie? Tak to właśnie się odbywało, prawda?

Wyczułem, że jego palec naciska spust, więc uniosłem pistolet, który trzymałem w ręce zwisającej z boku krzesła, i wystrzeliłem.

Strzały padły niemal równocześnie. W chwili kiedy pocisk ugodził Haynesa Dearinga w pierś, poczułem nagły i gwałtowny ból w ramieniu, piersi, sercu.

Wpuściłem broń z ręki, podobnie jak Dearing, i przez chwilę siedzieliśmy nieruchomo, patrząc na siebie.

Dearing otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili jego oczy się zamknęły. Wymamrotał coś niezrozumiałego, a potem jego głowa opadła.



W pokoju zapanowała cisza, jeśli nie liczyć mojego ciężkiego oddechu, który słabł z każdą chwilą, i poczułem, że osuwam się gdzieś, skąd - jak mi się wydawało - nie ma powrotu.

Pociemniało mi przed oczami - szare fale bólu, szkarłatne rozbłyski, a pod tym wszystkim czerń, która wydawała się mnie pochłaniać. To traciłem, to odzyskiwałem przytomność i słyszałem uderzenia swojego serca, a w tle oddech wydobywający się z trudem z przestrzelonego płuca, i wiedziałem, że nie zostało mi już dużo czasu.

Zmusiłem się do pozostania przytomnym, do skoncentrowania się. Spojrzałem na Haynesa Dearinga i zacząłem do niego mówić.

- Jestem banitą - powiedziałem, a mój głos był słaby, wydawał się ledwie szeptem.

- Mam chwilę... by spojrzeć... na swoje życie... i... spróbować zrozumieć, czym było...

Mówiłem do niego długo, aż w końcu zamilkłem, bo już nie miałem siły.

W pewnej chwili chłodny wiatr wpadł przez okno i wydało mi się, że zalał cały pokój, a potem zamknąłem oczy i już w ogóle nic nie czułem.

Była tam moja matka, a także mój ojciec; były Elena, Alex i Bridget. Byli tam wszyscy. Czekali, aż zrobię pierwszy krok w ich kierunku.

A potem ujrzałem światło i usłyszałem glosy, i ludzie krzyczeli, i przez chwilę wydawało mi się, że otworzyłem oczy i ujrzałam Reilly'ego Hawkinsa stojącego nade mną i śmiejącego się, że głupek ze mnie. A kiedy otworzył usta, zaczął krzyczeć ze wszystkich sił, a to, co krzyczał, nie miało w ogóle sensu...

- Kurwa, niech ktoś wezwie pieprzoną karetkę! On jeszcze oddycha, na miłość boską! Wezwijcie pieprzoną karetkę!

Nie miałem zielonego pojęcia, kto to krzyczał, i z jakiegoś powodu zupełnie mnie to nie obchodziło.

## EPILOG

„New York Times Literary Supplement” Poniedziałek, 15 sierpnia 2005 PISARZ SAMOTNIK OCZAROWUJE NOWY JORK Wczoraj wieczorem Joseph Vaughan (77 l.) - pisarz samotnik i literacka enigma - w wypełnionej do ostatniego miejsca sali Brooklyn Academy odczytał fragmenty swojej ostatniej książki, kontynuacji kontrowersyjnej Cichej wiary w anioły z 1965 roku. Utwór zatytułowany Strażnicy opowiada o życiu Vaughana po opuszczeniu przez niego Stanowego Zakładu Karnego w Auburn w lutym 1967. Jego pierwsza książka Powrót do domu ukazała się w czerwcu 1952. W listopadzie tego samego roku Vaughan został aresztowany pod zarzutem morderstwa i na długie lata zamilkł. Po uznaniu za winnego skazano go na dożywocie. W czasie pobytu w więzieniu Vaughan napisał autobiograficzną książkę Cicha wiara w anioły, która została przemycona za więzienne mury i opublikowana dzięki pomocy jego przyjaciela Paula Hennessy’ego. Jej wydanie wywołało głosy protestu, które zaowocowały ponownym rozpatrzeniem sprawy Vaughana przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Wyrok skazujący uchylono i po ponad trzynastu latach pisarz wyszedł na wolność.

Po uwolnieniu Vaughan poświęcił się poszukiwaniu sprawcy morderstw dokonanych na trzydziestu dwóch dziewczynkach, do których dochodziło przez ponad trzy dziesięciolecia w pięciu stanach. Prywatne śledztwo Vaughana zakończyło się zastrzeleniem przez niego w obronie własnej sprawcy owych morderstw, emerytowanego szeryfa z Georgii - Haynesa Dearinga. Podczas wymiany ognia pisarz został ranny. Po tym wydarzeniu Vaughan zniknął raz jeszcze i dopiero jesienią zeszłego roku pojawiły się pogłoski, że pracuje nad kolejną książką. Publiczność Brooklyn Academy miała przyjemność wysłuchać jej fragmentów. Przed ich odczytaniem Vaughan zadedykował książkę „Elenie, Alex i Bridget... a także mojej matce, która na pewno powiedziałaaby, że stanowczo zbyt długo zwlekałem z jej napisaniem”.

Data premiery wydawniczej Strażników została wyznaczona na przyszły poniedziałek. Już w tej chwili książka typowana jest na bestseller roku.

## **PODZIĘKOWANIA**

Być może istnieją dzieła stworzone w pełni samodzielnie. Ta książka do nich nie należy.

Tak jak zawsze pragnąłbym wyrazić swą nieskończoną wdzięczność fonowi, Genevieve, Juliet, Euanowi i Robynowi. A także Paulowi Blezardowi, Alemu Karimowi i Steve'owi Warne'owi za ich nieustające wsparcie.